STEPHEN
KING
NOCNA ZMIANA

O książce

Najlepsze 20 opowiadań Stephena Kinga, wybrane osobiście przez Króla Horroru.

Na podstawie 8 z nich powstały głośne filmy – m.in. *Cmentarna szychta*, *Dzieci kukurydzy* i *Oko kota*.

POD POWIERZCHNIĄ NORMALNOŚCI CZAI SIĘ OBŁĘD

Opowieści o zwykłych ludziach i codziennych przedmiotach, które przechodzą makabryczne przemiany. O świecie, w którym to, co na pozór bliskie i swojskie, zawodzi, a szaleństwo i ślepa furia stają się jedyną rzeczywistością.

Historie, które zawładną twoim umysłem, gdy bezpieczne światło dnia przesłonią przerażające cienie nocy.

STEPHEN KING

NOCNA ZMIANA

Z angielskiego przełożył
MICHAŁ WROCZYŃSKI

STEPHEN KING

Wybitny pisarz amerykański, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book. Światową sławę przyniosła mu wydana w 1973 r. powieść **Carrie**. Kolejne utwory — powieści, zbiory opowiadań i komiksy — opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki, jak: **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Bastion**, **Zielona Mila**, **Desperacja**, **Komórka**, **Uciekinier**, **Pod kopułą**, **Czarna bezgwiezdna noc**, **To**, **Cujo**, **Pan Mercedes**, **Znalezione nie kradzione** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**.

Proza Kinga należy do najczęściej ekranizowanych, a wśród reżyserów, którzy podejmowali się tego zadania, znaleźli się Brian de Palma, Stanley Kubrick czy David Cronenberg.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Na podstawie **Pana Mercedesa** — odznaczonego Edgar Allan Poe Award dla najlepszego kryminału 2014 r. — powstaje miniserial w reżyserii Jacka Bendera (twórcy *Lost*).

www.stephenking.com
www.stephenking.pl

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MILA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZWARTA PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA

ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
BLAZE
PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE

MROCZNA WIEŻA

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCZNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU

ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY

Wkrótce

SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O’Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
NIGHT SHIFT

Copyright © Stephen King 1976, 1977, 1978
All rights reserved

This translation published by arrangement with Doubleday, an imprint
of The Knopf Doubleday Publishing Group, division of Random House, Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Paweł Wroczyński i Marcin Wroczyński 2006

Redakcja: Magdalena Stec

Ilustracja na okładce: Dariusz Kocurek

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-241-3

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDZRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

Spis treści

Przedmowa
Słowo od Autora

DOLA JERUZALEM
CMENTARNA SZYCHTA
NOCNY PRZYPŁYW
JESTEM BRAMĄ
MAGIEL
CZARNY LUD
SZARA MATERIA
POLE WALKI
CIĘŻARÓWKI
CZASAMI WRACAJĄ
TRUSKAWKOWA WIOSNA
GZYMS
KOSIARZ TRAWY
QUITTERS, INC.
WIEM, CZEGO CI POTRZEBA
DZIECI KUKURYDZY
OSTATNI SZCZEBEL W DRABINIE
CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ KWIATY

KTOŚ NA DRODZE
KOBIETA NA SALI

Przedmowa

Bardzo często na przyjęciach (staram się ich unikać jak ognia) podchodzą do mnie ludzie i z szerokim uśmiechem ściskając mi rękę, wyznają konspiracyjnym szeptem: „Wie pan, zawsze chciałem pisać”.

W takich przypadkach staram się zachowywać uprzejmie.

Ostatnio na takie *dictum* odpowiadam z podobnym, radosnym uniesieniem: „A wie pan, ja zawsze chciałem być neurochirurgiem”.

Moi rozmówcy spoglądają wtedy na mnie ze zdumieniem. Ale to nieważne. Ostatnio spotykam coraz więcej ludzi, którzy z kolei budzą moje zdumienie.

Chcesz pisać, to pisz.

Jedyną metodą, żeby nauczyć się pisać, jest pisanie. W neurochirurgii, niestety, metoda ta się nie sprawdza.

Stephen King zawsze chciał pisać, i pisze.

Napisał *Carrie*, *Miasteczko Salem*, *Lśnienie* i wiele wyśmienitych opowiadań, które możesz przeczytać w tym zbiorze; a prócz tego ogromną liczbę innych jeszcze historii, książek, fragmentów, wierszy, esejów i różnych, trudnych nieraz do zaklasyfikowania, kawałków; wiele z nich nienadających się zgoła do publikacji.

Ponieważ w taki właśnie sposób to się robi.

Ponieważ inaczej się tego nie da zrobić. Żadną miarą.

Sam przymus pracowitości i wola pisania nie wystarczają. Żadną miarą. Musisz mieć apetyt na słowa. Wilczy apetyt. Musisz czuć smak słowa. Musisz przeczytać milion słów napisanych przez innych.

Czytać z piekielną zawiścią lub z pełnym znużenia lekceważeniem.

Lekceważenie rezerwujesz głównie dla tych, którzy skrywają swoją indolencję pod rozwlekłymi konstrukcjami niemieckiej składni, szafują natrętnymi symbolami i bezsensownymi fabułkami, tworzą papierowych bohaterów i bzdurne ideologie.

Dopiero wtedy zaczynasz poznawać samego siebie na tyle, żeby móc poznać innych. Jakaś cząstka ciebie samego tkwi w każdym człowieku, którego spotykasz.

No i dobrze. Przymus pisania plus ukochanie słowa plus empatia; i z tego wszystkiego dopiero, w wielkich zresztą bólach, może narodzić się jakiś obiektywizm.

Obiektywizm, ale nie do końca.

W tej kruchej, ulotnej chwili, kiedy piszę te słowa na mojej niebieskiej maszynie do pisania i jestem właśnie na siódmym wersie od góry drugiej strony maszynopisu, znam dokładnie posmak i znaczenie tego, co chcę przekazać, choć nie mam pewności, czy mi się to uda.

Ponieważ siedzę w pisarstwie dwukrotnie dłużej niż Stephen King, stać mnie na nieco więcej obiektywizmu odnośnie do mojej twórczości niż jego względem swojej.

Ale obiektywizm przychodzi z tak ogromnym bólem i tak irytująco powoli.

Wypuszczam książki w świat, ale trudno mi je wyrzucić z serca. Są jak niesforne dzieci, które mimo że dałem im takie fory, nieustannie płatają mi przeróżne figle. Najchętniej każdą z nich ponownie ściągnąłbym do domu i jeszcze raz solidnie przemaglował. Stronę po stronie. Przerył i oczyścił, wyszczotkował i wypolerował. Starannie uporządkował.

Stephen King w wieku trzydziestu[1] lat jest dużo, dużo lepszym pisarzem niż ja, gdy miałem

jego lata; nawet osiągnąwszy czterdziestkę, nie doszedłem jeszcze do tego co on.

I dlatego czuję do niego odrobinę zawiści.

Myślę też, że znam z tuzin demonów czyhających w chaszczach obok drogi, którą podąża, ale gdybym nawet go przestrzegł, i tak nie odniosłoby to skutku. Albo on je zmiecie, albo one zmiotą jego.

Proste. Nic dodać, nic ująć.

To już tak daleko zaszliśmy?

A zatem przymus, głód słowa, empatia; wszysto to w sumie daje obiektywizm. Ale co dalej?

Narracja. Opowiadanie. Cholera jasna, opowiadanie!

Opowiadanie jest czymś, o co należy pieczołowicie dbać. Dzieje się to we wszystkich wymiarach – fizycznym, umysłowym, duchowym – i we wszystkich możliwych kombinacjach tych wymiarów.

I to bez wtrąceń odautorskich.

Co to jest wtrącenie odautorskie? Proszę bardzo: „Jezu Nazareński, mamo, popatrz, jak ślicznie to napisałem!”.

Inny przykład takiej ingerencji to już groteska. Zacytuję jeden z moich ulubionych przykładów, wybrany z ubiegłorocznego

Wielkiego Bestselleru: „Powiódł oczyma wzdłuż przodu jej sukienki”.

Wtrącaniem odautorskim może być również tak niedorzeczna fraza utworu, że czytelnik nagle uświadamia sobie, że to tylko lektura, i odkłada opowiadanie. Odkłada je ze zgrozą.

Ingerencją tego rodzaju będzie także wpleciony w narrację miniwykład. Moim zdaniem jest to najcięższy grzech, jakiego autor może się dopuścić.

Klimaty można tworzyć bardzo zgrabnie, można budować konstrukcje kompletnie zaskakujące czytelnika, a przy tym nie łamać uroku. W tej książce jest opowiadanie zatytułowane *Ciężarówki*, w którym Stephen King, w pełnej napięcia scenie oczekiwania w przydrożnym zajeździe dla kierowców ciężarówek, opisuje ludzi: „Był akwizytorem i cały czas tulił do piersi torbę z oferowanym towarem, niczym pogrążonego we śnie psiaka”.

Moim zdaniem to bardzo zgrabne sformułowanie.

W innym opowiadaniu demonstruje doskonały słuch, wyczulony na autentyczny dialog. Małżeństwo jest w długiej podróży. Jadą bocznymi drogami. Ona mówi: „Wiem o tym, Burt. Wiem, że jesteśmy w Nebrasce. Ale gdzie

dokładnie, do cholery, jesteśmy?”. A on odpowiada: „Przecież to ty masz atlas samochodowy. Zajrzyj. Nie umiesz czytać?”.

Fajne. Wydaje się takie proste. Jak neurochirurgia. Nóż posiada ostrze. Więc bierzesz go do ręki. I tniesz.

Narażając się na zarzut obrazoburstwa, powiem, że niewiele mnie obchodzi, jaką przestrzeń dla swojego pisania wybiera Stephen King. Fakt, że obecnie bawi go opowiadanie o duchach, czarach i potworach gnieżdżących się w piwnicy, jest dla mnie sprawą najmniej istotną; istotne jest to, że w tej dziedzinie nikt nie może mu dorównać.

W książce tej będzie wiele takich czających się stworów i oszalałych, groźnych maszyn, które przerażają mnie i ciebie również przerażą – będzie tyle straszliwych dzieci, że z powodzeniem wypełniłyby bez reszty cały Świat Disneya w każdą lutową niedzielę. Ale przede wszystkim liczy się narracja.

Każdy musi ją docenić.

Zapamiętaj jedną rzecz. Dwa najtrudniejsze elementy w pisarstwie to poczucie humoru i poczucie tajemnicy. U kiepskiego pisarza humor zamienia się w pieśń pogrzebową, a tajemnica jest śmiechu warta.

Ale jeśli pisarz wie, jak się z tym problemem uporać, może pisać o wszystkim.

Stephen King nie zamierza ograniczać się wyłącznie do pisania na tematy, które obecnie głównie go interesują.

Jednym z najlepszych i wzruszających opowiadań w tej książce jest *Ostatni szczebel w drabinie*. Perełka. Nie ma w nim żadnych tajemniczych szelestów ani oddechu innych światów.

I jeszcze ostatnie słowo…

On nie pisze, żeby sprawić wam przyjemność. Pisze, żeby sprawić ją sobie. Ja również piszę dla własnej przyjemności. Tylko wtedy praca sprawia człowiekowi ogromną frajdę. Zamieszczone w tej książce opowiadania przyniosły zarówno samemu Stephenowi Kingowi, jak i mnie dużo, dużo radości.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w dniu, kiedy piszę te słowa, powieść Stephena Kinga pt. *Lśnienie* oraz moja, zatytułowana *Condominium* znalazły się na liście bestsellerów. Wcale nie konkurujemy ze sobą o twoje względy. Konkurujemy z niedorzecznymi, pretensjonalnymi i sensacyjnymi książkami, publikowanymi przez głośnych pisarzy, którzy

nie zadali sobie nawet trudu, żeby nauczyć się fachu.

Na koniec pragnę podkreślić, że jeśli chodzi o opowiadania i o przyjemność płynącą z ich czytania, Stephena Kinga nigdy dosyć.

Skoro przeczytałeś wszystko to, co tu napisałem, to znaczy, że masz dużo czasu. A to z kolei przemawia za tym, że przeczytasz również opowiadania zawarte w tej książce.

JOHN D. MACDONALD

Słowo od Autora

Porozmawiajmy ze sobą – ty i ja. Porozmawiajmy o lęku.

Piszę te słowa w pustym domu; za oknem świat zmywany jest zimnym, lutowym deszczem. Panuje noc. Czasami, kiedy wiatr wieje tak jak teraz, tracimy całą naszą moc i energię. Mamy zatem doskonałą okazję, żeby odbyć szczerą rozmowę o lęku. Porozmawiajmy bardzo racjonalnie o tym, jak poruszać się na krawędzi szaleństwa… a nawet już po jej drugiej stronie.

Nazywam się Stephen King. Jestem dorosłym człowiekiem, mam żonę i troje dzieci. Kocham ich i mam nadzieję, że oni odwzajemniają moje uczucia. Moja praca polega na pisaniu i tę pracę lubię najbardziej. Powieści *Carrie*, *Miasteczko Salem* i *Lśnienie* odniosły na tyle duży sukces, że mogę już bez reszty cały swój czas poświęcać pisaniu, co jest rzeczą nad wyraz przyjemną. Cieszę się niezłym zdrowiem. W zeszłym roku

udało mi się przerzucić z papierosów bez filtra, które to paliłem od osiemnastego roku życia, na papierosy o niskiej zawartości nikotyny i mam nadzieję, że zdołam w końcu zupełnie zerwać z tym nałogiem. Mieszkam z rodziną w przyjemnym domu usytuowanym na brzegu stosunkowo mało zanieczyszczonego jeziora w stanie Maine; zeszłej jesieni, obudziwszy się pewnego ranka, ujrzałem na trawniku na tyłach domu jelenia, który stał obok piknikowego stolika. Prowadzę przyjemne życie.

A jednak… porozmawiajmy o lęku. Nie musimy ani podnosić głosu, ani na siebie wrzeszczeć – porozmawiajmy racjonalnie – ty i ja. Porozmawiajmy o tym, jak czasami dobra struktura rzeczy rozpada się przerażająco nagle.

Nocą, kiedy idę spać, przede wszystkim zwracam uwagę na to, żebym po zgaszeniu światła był dokładnie przykryty kołdrą. Nie jestem już dzieckiem, ale… nie lubię spać z nogą wystającą spod kołdry. Gdyby spod łóżka wychynęła nagle jakaś zimna łapa i chwyciła mnie za kostkę, wrzeszczałbym. Wrzeszczałbym tak strasznie, że obudziłbym umarłych. Takie rzeczy, naturalnie, się nie zdarzają i wszyscy o tym doskonale wiemy. W opowiadaniach, które zamierzam przedstawić, spotkasz różne rodzaje

nocnych stworów: wampiry, demonicznych kochanków, stworzenia, które żyją w szafach, oraz wszelkie inne potworności. Nic z tego nie jest prawdziwe. Stwór, który czai się pod moim łóżkiem, żeby złapać mnie za nogę, w rzeczywistym świecie nie istnieje. Wiem o tym, ale wiem też, że jeśli ostrożnie wysunę stopę spod kołdry, nigdy już nie zdołam jej cofnąć.

Czasami na wieczorach autorskich spotykam się z ludźmi, którzy interesują się pisaniem czy w ogóle literaturą, i zanim skończę odpowiadać na ich pytania, nieodmiennie ktoś zapyta: „Dlaczego zdecydował się pan pisać na tak makabryczne tematy?”.

Prawie zawsze odpowiadam pytaniem: „A co pana skłoniło do mniemania, że miałem jakikolwiek wybór?”.

Zawód pisarza przypomina wolną amerykankę. Umysł każdego człowieka wyposażony jest w rodzaj filtrów. Filtry te różnią się rozmiarem i grubością oczek. To, co grzęźnie w moim filtrze, przez twój przejdzie bez kłopotów. I nie ma strachu – to, co przejdzie przez mój, ugrzęźnie w twoim. Wydaje się, że wszyscy mamy wrodzoną skłonność do przesiewania szlamu, którego część zatrzymuje

się w okach indywidualnych filtrów umysłowych i zawiesina ta z kolei staje się zaczynem naszych pobocznych zainteresowań. Księgowy może być fotografikiem. Astronom – numizmatykiem. Nauczyciel potrafi kolekcjonować prastare odciski w węglu. Szlam, który grzęźnie w okach umysłowego filtru, wszystko to, co nie chce przez nie przejść, staje się nieustanną, prywatną obsesją poszczególnych ludzi. W cywilizowanym świecie niepisanym prawem obsesje te określamy słówkiem „hobby”.

Czasami hobby staje się zawodem. Księgowy dochodzi do wniosku, że jest w stanie zarobić na rodzinę, zajmując się fotografowaniem; nauczyciel okazuje się na tyle wybitnym znawcą skamienielin, że zacznie wygłaszać na ich temat wykłady i prelekcje. Istnieją też zawody, które zaczynają się jako hobby i pozostają hobby, choć człowiek dzięki tej swojej pasji jest w stanie zarobić na życie; ale ponieważ „hobby” jest tak oklepanym i powszednim zwrotem, tutaj również, niepisanym prawem, nazwaliśmy owo nasze zawodowe hobby „sztuką”.

Malarstwo. Rzeźba. Komponowanie. Śpiew. Aktorstwo. Gra na instrumentach muzycznych. Pisarstwo. Na temat tych siedmiu dziedzin działalności człowieka napisano tyle, że

w zalewie słów utonęłaby cała flotylla ekskluzywnych transatlantyków, ale tylko w jednym jesteśmy zgodni: ci, którzy uczciwie zajmują się którąś z tych sztuk, muszą ją uprawiać nawet wtedy, gdy robią to za darmo, jeśli ich dzieła są krytykowane czy wręcz obrzucane błotem; nawet pod groźbą uwięzienia czy śmierci. Moim zdaniem jest to najlepsza definicja obsesji. Ma ona zastosowanie zarówno w przypadku hobby w czystej postaci, jak też w przypadku naszych fantazji, które nazywamy „sztukami". Kolekcjonerzy broni chlubią się nalepkami przyklejonymi do zderzaków samochodu: ODBIERZESZ TĘ BROŃ DOPIERO WTEDY, KIEDY POŁAMIESZ MI ZACIŚNIĘTE NA KOLBIE MARTWE PALCE. Na przedmieściach Bostonu gospodynie domowe, które pośród innych zajęć zajmują się działalnością społeczną, przylepiają do swoich aut podobne nalepki: PRĘDZEJ PÓJDĘ DO WIĘZIENIA, NIŻ POZWOLĘ, ŻEBY MOJE DZIECKO POZBAWIONO SĄSIEDZTWA. Tak samo rzecz się ma z kolekcjonowaniem monet. Jeśli jutro wprowadzą zakaz ich zbierania, astronom na pewno nie wyrzuci ani swoich stalowych pensówek, ani pięciocentówek z bizonem; pieczołowicie zawinie je w plastik, ukryje

głęboko w muszli klozetowej i tylko głuchą nocą będzie je wyławiał, żeby napawać wzrok ich widokiem.

Pozornie odeszliśmy od tematu lęku, ale tylko pozornie. Pochwycony w oka mojego filtru umysłowego szlam często wiąże się z lękiem. Mam obsesję na punkcie makabry. Żadnego z poniższych opowiadań nie napisałem z myślą o pieniądzach, jakkolwiek niektóre sprzedałem do różnych magazynów, zanim jeszcze ukazały się w niniejszym zbiorze, i nigdy nie zwróciłem przysłanego mi czeku. Może jestem obsesjonatem, ale na pewno mam dobrze pod czupryną. Niemniej powtarzam: nie pisałem ich dla pieniędzy. Napisałem je z tego prostego powodu, że przyszły mi do głowy. Nie moja wina, że dręcząca mnie obsesja tak dobrze się sprzedaje. W wyłożonych gąbką pomieszczeniach przebywa wielu szaleńców, którym nawet w połowie nie dopisało takie szczęście jak mnie.

Nie jestem wielkim artystą, ale zawsze coś zmuszało mnie do pisania. Tak zatem codziennie przesiewam szlam w moim sicie, na nowo zbierając okruchy własnych obserwacji, wspomnień, przemyśleń, starając się zrozumieć coś z tego, co nie przeszło przez oka mego

umysłowego filtru i głęboko zapadło w podświadomość.

Mógłbym z Louisem L'Amourem, pisarzem z Zachodu, stać na brzegu niewielkiego stawu w Kolorado i obu nam jednocześnie mógłby przyjść do głowy pomysł. Mogłaby jednocześnie najść nas ochota, żeby usiąść i przelać te pomysły na papier. Jego historia dotyczyłaby prawa do wody w czasie pory suchej, ja najprawdopodobniej napisałbym o jakimś przerażającym, niezdarnym stworze, który wynurza się ze spokojnej wody i porywa owce… konie… a na końcu ludzi. „Obsesją" Louisa L'Amoura jest historia amerykańskiego Zachodu; ja skoncentrowałbym się raczej na stworzeniu, które ślizga się po świetle gwiazd. On tworzy historie o Zachodzie; ja pisuję historie przerażające. Obaj jesteśmy trochę zbzikowani.

Sztuka to obsesja, a obsesja jest rzeczą niebezpieczną. Jest w umyśle jak nóż. W niektórych przypadkach – przychodzą mi na myśl Dylan Thomas, Ross Lockridge, Hart Crane, Sylvia Plath – nóż ten może w przerażający sposób obrócić się przeciwko osobie, która go trzyma. Sztuka jest chorobą zlokalizowaną, przeważnie łagodną – twórcze jednostki przejawiają tendencje do długowieczności – ale

czasami straszliwą. Człowiek obchodzi się z nożem ostrożnie, bo wie, że klingę niewiele interesuje, kogo tnie. Jeśli więc masz choć odrobinę oleju w głowie, przesiewaj swój szlam ostrożnie… ponieważ pewne rzeczy, które możesz w nim znaleźć, nie do końca muszą być martwe.

Po takim pytaniu: „Dlaczego pan to pisze?”, rodzi się kolejne: „Dlaczego publiczność to czyta? Co sprawia, że takie książki się sprzedają?”. Pytania te niosą pewne ukryte założenie, założenie, że historie o lęku, historie grozy, są czymś chorobliwym. Ludzie, którzy do mnie piszą, często zaczynają swoje listy od słów: „Zapewne pomyśli pan, że jestem dziwny, ale naprawdę podobało mi się *Miasteczko Salem*… albo: „Mam zapewne chorobliwą wyobraźnię, ale z zapartym tchem czytałem każdą stronicę pańskiego *Lśnienia*…”.

Wydaje mi się, że klucz do tego problemu leży w sposobie, w jaki krytyka filmowa w magazynie „Newsweek” podchodzi do zagadnienia. Recenzja z filmu grozy, nie najwyższego zresztą lotu, brzmiała mniej więcej tak: „…wymarzony film dla ludzi, którzy lubią zwalniać, żeby dokładnie przyjrzeć się wypadkowi drogowemu”. To bardzo

dobre i lapidarne określenie, ale jakby tak się nad nim głębiej zastanowić, to na dobrą sprawę odnosi się do wszystkich filmów i opowieści typu horror. *Noc żywej śmierci* z przerażającymi scenami kanibalizmu i matkobójstwa z całą pewnością jest filmem, który przypadłby do gustu ludziom lubiącym zwalniać, żeby dokładnie przyjrzeć się wypadkowi drogowemu… A co ze sceną z małą dziewczynką rzygającą na kapłana grochówką w filmie *Egzorcysta*? A powieść *Drakula* Brama Stokera? Często stawia się ją za wzór współczesnym autorom utworów typu horror (i tak być powinno; tam po raz pierwszy pobrzmiewają w czystej formie akcenty psychofreudowskie). W *Drakuli* występuje maniak o nazwisku Renfeld, który pożera muchy, pająki, a na koniec ptaka. Później jednak zwraca go, ponieważ zjadł stworzenie z piórami i całą resztą. W tej powieści obserwujemy również scenę wbijania na pal – ktoś mógłby to przyrównać do rytualnej penetracji – młodej i ślicznej wampirzycy oraz notujemy morderstwo dziecka i jego matki.

Wielka literatura o rzeczach nadprzyrodzonych często zawiera syndrom „zwolnijmy i popatrzmy na wypadek”: Beowulf zarzyna matkę Grendela; narrator *Serce*

oskarżycielem rąbie na części swego dobroczyńcę, który cierpi na kataraktę, a poćwiartowane ciało chowa pod podłogę; w ostatniej części *Władcy pierścienia* Tolkiena hobbit Sam toczy zaciętą walkę z pająkiem Shelobem.

Zawsze znajdą się tacy, którzy będą z uporem powtarzać, że Henry James w swoim *The Turn of the Screw* tak naprawdę wcale nie pokazuje nam wypadku samochodowego; powołają się na to, że makabryczne historie Nathaniela Hawthorne'a, takie jak *Young Goodman Brown* i *The Minister's Black Veil*, wykazują dużo więcej dobrego smaku niż *Drakula*. Argumentacja nonsensowna. Przecież bez przerwy pokazują nam wypadki drogowe; ciała są już wprawdzie zabrane, ale na tapicerce samochodowej jest aż nadto krwi, ciągle widzimy roztrzaskany pojazd. Z drugiej strony jednak delikatność, brak akcentów melodramatycznych, niezwykle wystudiowane elementy racjonalne, które przenikają takie opowieści jak *The Minister's Black Veil*, są czasami bardziej przerażające niż monstrualne płazy u Lovecrafta czy *auto-da-fé* w *Studni i wahadle* Poego.

Bo tak naprawdę – i większość z nas w głębi duszy doskonale o tym wie – bardzo niewiele

osób potrafi powstrzymać się od niezdrowej ciekawości na widok zgruchotanego wraka otoczonego przez policję lub migających nocą na autostradzie kolorowych świateł. Starsi obywatele każdego ranka chciwie łapią gazetę i studiują uważnie nekrologi, żeby sprawdzić, kogo przeżyli. Każdy z nas był przejęty wieścią o śmierci Dana Blockera, Freddiego Prinze'a czy Janis Joplin. Czujemy dreszcz zgrozy zmieszanej z prawie radosną emocją, kiedy Paul Harvey mówi nam w radiu, że w czasie ulewy na jakimś niewielkim, lokalnym lotnisku kobieta weszła pod obracające się śmigło samolotu, że w olbrzymiej, przemysłowej mieszarce do ciał sypkich starty został na miazgę mężczyzna, którego kolega przez nieuwagę oparł się o tablicę rozdzielczą. Nie ma potrzeby wałkować spraw tak oczywistych: samo życie pełne jest grozy, większej lub mniejszej, ale ponieważ tę mniejszą jesteśmy w stanie pojąć, ona właśnie smaga nas z całą swą śmiertelną siłą.

Nie da się zaprzeczyć, że fascynują nas te kieszonkowego rozmiaru horrory, ale to samo dotyczy naszej odrazy. Oba te elementy stapiają się ze sobą, dając w sumie produkt uboczny, jakim jest poczucie winy… winy, która nie tak

bardzo różni się od tej, jaka towarzyszy nam po pierwszej nocnej zmazie.

Nie leży w moich kompetencjach przekonywać cię, że nie musisz się wcale czuć winny, podobnie jak nie jestem upoważniony do oceny moich własnych powieści czy opowiadań zamieszczonych w tym zbiorze. Ale można zaobserwować ciekawe paralele między seksem a lękiem. Kiedy osiągamy stadium, w którym możemy już podjąć życie seksualne, nasze zainteresowanie tą dziedziną wzrasta niepomiernie i ono, jeśli nie wkroczyło na drogę jakichś perwersji, w naturalny sposób kieruje nas ku kopulacji, a dalej – ku przedłużeniu gatunku. Kiedy uświadamiamy sobie nasze nieuniknione przeznaczenie, stajemy się świadomi lęku. I wydaje mi się, że podobnie jak instynkt zachowania gatunku skłania nas do kopulacji, tak lęk skłania nas do pogodzenia się z naszą skończonością.

Istnieje stara opowieść o siedmiu ślepcach, którym w ręce wpadło siedem części słonia. Jeden ślepiec myślał, że trzyma w rękach węża, drugi, że ma olbrzymi liść palmowy, a jeszcze inny sądził, że dotyka kamiennego filara. Dopiero kiedy zeszli się razem, zrozumieli, że jest to słoń.

Lęk jest uczuciem, które czyni nas ślepcami. Iluż rzeczy się boimy? Boimy się mokrymi rękami wyłączać światło, jeśli nie wyciągniemy z kontaktu kabla od tostera; boimy się włożyć do niego nóż, żeby wyjąć grzankę. Boimy się ostatecznego werdyktu lekarza po gruntownych badaniach; boimy się, kiedy samolot, którym lecimy, wpada w dziurę powietrzną. Boimy się, że wyczerpią się złoża ropy naftowej, że skończą się świeże powietrze, czysta woda, przyjemne życie. Kiedy córka obieca ci, że wróci o jedenastej, a kwadrans po północy, gdy za oknem pada deszcz ze śniegiem, bijąc w szyby jak suchy piasek, a jej ciągle nie widać, siedzisz przed telewizorem, udając, że ciekawi cię program Johnny'ego Carsona, spoglądasz niby to obojętnie na milczący telefon i czujesz, że oślepiają cię emocje, emocje, które ukradkiem niszczą w tobie zdolność logicznego myślenia.

Niemowlak jest nieustraszonym stworzeniem tylko do chwili, kiedy po raz pierwszy matka nie pojawi się na jego krzyk, żeby wetknąć mu w gębę sutkę. Pędrak szybko przyswaja sobie oczywistą i bolesną prawdę o zatrzaskiwanych drzwiach, gorącym palniku, gorączce, która przynosi ze sobą ciężki, duszący kaszel albo wysypkę i odrę. Dzieci łatwo uczą się lęku;

wyczytują go z twarzy rodziców, kiedy któreś z nich wchodzi do łazienki i widzi dziecko bawiące się buteleczką z tabletkami lub maszynką do golenia.

Strach nas oślepia i tylko ze względu na własne korzyści dotykamy chciwie każdego, najmniejszego lęku, żeby z setek takich elementów zbudować całość, jak owi ślepcy robili to ze słoniem.

Wyczuwamy kształt. Dzieci łatwo go rozpoznają, później zapominają i ponownie uczą się go już jako ludzie dorośli. Kształt istnieje, więc każdy z nas wcześniej czy później pozna, co to jest; jest to zarys ciała pod prześcieradłem. Wszystkie nasze drobne lęki tworzą w sumie jeden wielki strach, nasze lęki są częścią składową tego strachu – ręka, noga, palec, ucho. Boimy się ciała przykrytego prześcieradłem. To nasze ciało. A owo odwoływanie się do literatury horroru, która powstała w ciągu wieków, ma stanowić próbę generalną naszej własnej śmierci.

Ta dziedzina literatury nigdy nie była wysoko ceniona; przez długi czas Poe i Lovecraft jedynych przyjaciół mieli tylko we Francji, która w jakiś sposób zaakceptowała tematykę seksu i śmierci; tematykę, do jakiej amerykańscy

ziomkowie obu pisarzy nie mieli cierpliwości. Amerykanów w tym czasie bez reszty zajmowała budowa szlaków kolejowych, więc zarówno Poe, jak i Lovecraft umarli w zapomnieniu. Fantazja Tolkiena o Śródziemiu, opluwana przez dwadzieścia lat, odniosła w końcu nieprawdopodobny sukces, a Kurt Vonnegut, którego książki bardzo często poruszają temat generalnej próby śmierci, ciągle spotykał się z krytyką graniczącą z histerią.

Nastawienie to mogło brać się z faktu, że pisarz opowieści grozy zawsze przynosi złe wieści. Umrzesz – mówi, radzi ci, żebyś nie traktował poważnie Orala Robertsa i jego „przytrafi ci się coś dobrego”, ponieważ coś niedobrego również cię spotka i może będzie to rak, może wylew krwi do mózgu, a może zwyczajny wypadek samochodowy… ale na pewno coś takiego cię spotka. Pisarz grozy bierze cię za rękę, prowadzi do pokoju i każe położyć dłonie na czymś, co spoczywa pod prześcieradłem… i mówi, żebyś dotknął tu… tu… i tu.

Naturalnie, tematyka śmierci i strachu nie jest zarezerwowana wyłącznie dla autorów pisarstwa grozy. Wielu twórców tak zwanej literatury wysokiej podejmuje w swojej

twórczości ten wątek, i to na różne sposoby – od *Zbrodni i kary* Fiodora Dostojewskiego przez *Kto się boi Virginii Woolf?* Edwarda Albeego, a na powieściach Rossa Macdonalda o Archerze kończąc. Strach zawsze stanowił wielki temat. Podobnie śmierć. Są to dwa stałe czynniki w życiu każdego człowieka. Ale jedynie pisarz podejmujący tematykę grozy i obecności czynników nadprzyrodzonych jest w stanie zapewnić czytelnikowi możliwość pełnej identyfikacji i przeżycia *katharsis*. Pisarze tacy, jeśli nawet nie do końca zdają sobie sprawę z tego, co robią, wiedzą, że tematyka grozy i wątki nadprzyrodzone są rodzajem ekranu filtrującego, zainstalowanego między świadomością a podświadomością. Literatura grozy jest niczym centralna stacja metra, z której odchodzą dwie linie; niebieska, oznaczająca to, co możemy bezpiecznie sobie zaanektować, i czerwona – czyli wszystko to, czego musimy się za wszelką cenę wystrzegać i w taki czy w inny sposób pozbyć.

W trakcie lektury horroru czytelnik nie wierzy w to, co czyta. Nie wierzy w wampiry, w wilkołaki, ciężarówki, które poruszają się same. Jedyna groza, w jaką wierzymy, to ta z kart Dostojewskiego, Albeego i Macdonalda:

nienawiść, alienacja, życie bez miłości, wchodzenie niedoświadczonego, młodego człowieka w absolutnie wrogi mu świat. W naszych codziennych, zwykłych światach nakładamy maski Komedii i Tragedii; na zewnątrz zachowujemy pogodną roześmianą twarz, do wewnątrz przybieramy najbardziej ponure miny. Gdzieś w środku każdy z nas ma taki centralny wyłącznik, zapewne transformator, w którym zbiegają się przewody obu tych masek. I w to miejsce najczęściej uderza historia z gatunku horror.

Pisarz tego gatunku wcale tak bardzo nie różni się od Welshowskiego pożeracza grzechów, który brał na siebie grzechy swojej nieżyjącej ukochanej, spożywając jedzenie należące do zmarłej. Utwór o potworności i przerażeniu jest niczym koszyk wyładowany najprzeróżniejszymi fobiami; kiedy obciążony tym koszykiem pisarz przechodzi obok ciebie, wyciągasz stamtąd jeden z tych zmyślonych horrorów, a na jego miejsce wkładasz jakiś swój, prawdziwy – przynajmniej na jakiś czas.

W latach pięćdziesiątych przyszła fala monstrualnych filmowych robaków – *Them!, The Beginning of the End, The Deadly Mantis* i tak dalej, i tak dalej. W miarę jak ten gatunek kina

się rozwijał, bezbłędnie odkryliśmy, że owe obrzydliwe, gigantyczne mutanty są wynikiem prób z bombami atomowymi dokonywanymi w Nowym Meksyku czy na opustoszałych atolach Pacyfiku (a w jednym z nowszych filmów, *Horror of Party Beach*, który mógłby nosić podtytuł *Beach Blanket Armageddon*, wszystkiemu zawiniły radioaktywne odpady reaktora nuklearnego). Słowem, kino tych olbrzymich robali stanowiło doskonały wykładnik gestaltyzmu – przerażenia, jakie ogarnęło kraj w obliczu nowej epoki zapoczątkowanej Programem Manhattan. Pod koniec lat pięćdziesiątych w kinie horror pojawił się nurt „nastolatków" zapoczątkowany obrazem *I Was a Teen-Age Werewolf* i kulminujący w takich obrazach epickich jak *Teen-Agers from Outer Space* i *The Blob*, w których młodziutki Steve McQueen z pomocą nastoletnich przyjaciół walczy z galaretowatym mutantem. W czasach, kiedy prawie każdy tygodnik zamieszczał co najmniej jeden artykuł o przestępczości nieletnich, filmy o zagrożeniu ze strony młodocianych wyrażały zaniepokojenie społeczeństwa rewolucją młodzieżową. Oglądasz Michaela Landona ubranego w kurtkę z emblematami swojego liceum, kiedy zamienia

się w wilkołaka, i fantazje z ekranu zaczynają się ściśle łączyć z nurtującym cię, nieokreślonym niepokojem o córkę, która wyszła właśnie na randkę z typem jeżdżącym podrasowanym samochodem. Nastolatkom natomiast (byłem jednym z nich i znam to z własnego doświadczenia) potwory zrodzone w wynajętych studiach American-International dawały możliwość zobaczenia kogoś jeszcze bardziej odrażającego niż oni sami we własnych oczach. Cóż znaczy kilku pryszczatych wyrostków obok powłóczącego nogami stwora, który w *I Was a Teen-Age Frankenstein* był zwykłym uczniem? Ten nurt kina wyrażał również przekonanie młodzieży, że jest niesłusznie tłamszona przez dorosłych, bo oni „niczego nie rozumieją”. Kino tworzy formuły (a już na pewno robi to gatunek horror; nieważne – film czy literatura), ale formuła ta oddaje wszelkie paranoje pokolenia – paranoje, które bez wątpienia w znacznym stopniu spowodowane są doniesieniami prasy czytanej przez rodziców. Istnieje film, w którym pokryty brodawkami stwór zagraża Elmville. Dzieciaki doskonale zdają sobie z tego sprawę, ponieważ latający talerz wylądował w pobliżu ich „alei kochanków”. W pierwszym ujęciu przerażający potwór zabija starszego człowieka,

kierowcę furgonetki (bezbłędna rola Elisha Cooka Jr.). Przez trzy kolejne sekwencje dzieci starają się przekonać starszych, że w pobliżu czai się potwór. „Zjeżdżajcie do domów, bo pozamykam was za łamanie godziny policyjnej” – ryczał na nich szeryf Elmville na chwilę przed tym, gdy po Main Street zaczął prześlizgiwać się potwór i zostawiać wszędzie swoje odchody. W końcu bystre dzieciaki pokonały pokrytą brodawkami bestię, po czym udały się do swego ulubionego baru, żeby zajadać lody i tańczyć w takt niezapomnianej melodii, a po ekranie popłynęły końcowe napisy.

Tak zatem istniały aż trzy możliwości przeżycia *katharsis* w jednym cyklu kinowym – nieźle jak na filmy robione zazwyczaj w niecałe dziesięć dni. Działo się tak nie dlatego, że pisarze, producenci i reżyserzy chcieli, żeby tak było; działo się tak dlatego, że opowieści horror stanowią punkt łączący świadomość z podświadomością, stanowią miejsce, w którym wyobraźnia i alegoria stapiają się w najbardziej naturalny sposób i wywierają największe wrażenie. Prosta linia ewolucyjna łączy filmy *I Was a Teen-Age Werewolf* i *Mechaniczną pomarańczę* Stanleya Kubricka oraz *Teen-Age Monster* i *Carrie* Briana De Palmy.

Każdy utwór z gatunku horror jest utworem alegorycznym; czasami alegoryczność ta jest zamierzona, jak w *Farmie zwierzęcej* albo w *Roku 1984*, a czasami po prostu jest… J.R.R. Tolkien zaklinał się na wszystkie świętości, że Mroczny Lord Mordoru nie jest wcale Hitlerem przybranym w atrybuty fantasy, ale nie miało to wpływu na nic… może dlatego, że jak stwierdza Bob Dylan, jeśli masz w domu dużo noży i widelców, zawsze w końcu coś ukroisz.

Utwory Edwarda Albeego, Steinbecka, Camusa czy Faulknera podejmują temat strachu i śmierci, a czasami nawet zawierają w sobie element grozy, choć zasadniczo ci pisarze mainstreamu zajmują się tą tematyką w sposób bardziej tradycyjny. Ich twórczość osadzona jest w realiach świata racjonalnego; traktuje o tym, co „mogłoby się wydarzyć”. Są to linie metra, które biegną na powierzchni świata. Ale są inni pisarze – James Joyce, ponownie Faulkner, Sylvia Plath, Anne Sexton czy poeci, tacy jak T.S. Eliot – których twórczość osadzona jest w krainie symbolicznej podświadomości. Ich metro porusza się w krajobrazach podziemnych. Ale pisarz zajmujący się horrorem zawsze czeka na stacji centralnej, gdzie owe obie linie się spotykają. Kiedy mamy do czynienia

z prawdziwym twórcą, odnosimy dziwaczne wrażenie, że przebywamy w krainie leżącej między jawą a snem, gdzie czas się rozciąga i płynie w różne strony, gdzie słyszymy głosy, których nie potrafimy zidentyfikować, gdzie sen staje się rzeczywistością, a rzeczywistość snem.

Jest to dziwna i piękna stacja. W miejscu, gdzie mknące w obie strony pociągi mijają się, spotykamy Dom na Wzgórzu. Spotykamy kobietę w pokoju z żółtą tapetą, kobietę, która pełznie z głową przyciśniętą do podłogi i zostawia za sobą delikatne, tłuste plamy; Czarnych Jeźdźców, którzy tak przerażali Froda i Sama; spotykamy model Pickmana; spotykamy Wendigo; Normana Batesa i jego przerażającą matkę. Na tej stacji nie ma ani jawy, ani snu, jest tylko monotonny i racjonalny głos pisarza mówiącego o tym, że czasami dobra struktura rzeczy rozpada się przerażająco nagle. Autor mówi ci, że chcesz obejrzeć sobie wypadek samochodowy i… tak… ma rację… Chcesz. Słyszysz głuchy głos w słuchawce telefonu… pod podłogą coś chrobocze dużo głośniej niż szczur… coś porusza się na schodach prowadzących do piwnicy. Pisarz pragnie, żebyś to wszystko zobaczył… i jeszcze więcej – pragnie, żebyś położył dłonie na

przykrytym prześcieradłem kształcie. A ty sam również chcesz położyć tam ręce. Tak.

Opowieści grozy zawierają wiele elementów, ale jestem głęboko przekonany, że jeden z nich jest najistotniejszy: historie te muszą być opowiadane w taki sposób, żeby przykuć uwagę czytelnika do tego stopnia, iż zagubi się on w świecie, który nie istnieje, który nie ma prawa istnieć. Jako pisarz zawsze uważałem, że utwór powinien posiadać wartość samą w sobie; charakterystyka postaci, temat, nastrój nic nie znaczą, kiedy utwór jest nudny. Jeśli absorbuje twoją uwagę bez reszty, wszystkie inne potknięcia da się wybaczyć. Przykładem tutaj może służyć Edgar Rice Burroughs, pisarz nie najlepszy na świecie, ale czujący literaturę. W *Lądzie zapomnianym przez czas* narrator znajduje butelkę z rękopisem. Narrator mówi: „Zapoznałeś się już, czytelniku, z akapitem wstępnym… [a] za dwie minuty zapomnisz… o mnie”[2]. I Burroughs spełnia tę obietnicę… co wielu obdarzonym talentem i uznanym za większych od niego pisarzom się nie udało.

Krótko mówiąc, miły czytelniku, istnieje jedna prawda, na myśl o której największy nawet

pisarz zgrzyta ze złości zębami: z wyjątkiem trzech, bardzo nielicznych, grup czytelnicy nie czytają wstępów. Tymi wyjątkami są: najbliższa rodzina pisarza (zazwyczaj jego żona i matka), jego przedstawiciel (oraz wydawca i redaktorzy) – tych głównie interesuje to, czy pisarz nikogo nie zniesławił, a do trzeciej grupy należą osoby, które w ten czy w inny sposób pomagały pisarzowi w pracy. Ludzie ci zawsze chcą wiedzieć, czy autorowi tak już przewróciło się w głowie, że zapomniał, iż nie tylko on jest jedynym twórcą danego utworu.

Reszta jest głęboko przekonana, że autorskie słowo wstępne jest jednym wielkim szwindlem, że służy wyłącznie celom komercyjnym – pogrubieniu książki – a zatem jest jeszcze bardziej uwłaczające niż reklamy papierosów umieszczane w śroku paperbacków. Wielu czytelników oczekuje samego przedstawienia, a nie ukłonów reżysera stojącego na scenie w świetle reflektorów.

Znikam. Przedstawienie się zaczyna. Wchodzimy do pokoju, żeby dotknąć kształtu pod prześcieradłem. Ale zanim zniknę na dobre, chcę zająć wam dwie lub trzy minuty, żeby podziękować ludziom z wymienionych wyżej

trzech grup – i z czwartej. Musicie się zatem jeszcze chwilę ze mną pomęczyć.

Dziękuję mojej żone, Tabithcie, za najwnikliwszą i najostrzejszą krytykę. Jeśli uważa moją pracę za dobrą, mówi o tym bez ogródek, jeśli jej zdaniem coś sknociłem, daje mi to bardzo wyraźnie do zrozumienia. Moim dzieciom, Naomi, Joemu i Owenowi, którzy wykazują wiele zrozumienia dla dziwacznych poczynań ich ojca dokonywanych w pokoju na parterze. I mojej matce, która umarła w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim i której dedykuję tę książkę. Jej wiara we mnie była niezłomna. Matka zawsze wygrzebała te czterdzieści lub pięćdziesiąt centów na konieczne znaczki pocztowe i koperty ze zwrotnym adresem. Poza tym nikt tak jak ona – poza mną oczywiście – nie cieszył się z tego, że wreszcie się „przebiłem”.

W drugiej grupie szczególne podziękowania składam memu wydawcy, Williamowi G. Thompsonowi z wydawnictwa Doubleday & Company, który wykazywał dużo, dużo cierpliwości, znosił pogodnie moje codzienne telefony i z wielką sympatią przyjął młodego pisarza nieposiadającego żadnych listów

uwierzytelniających i związał się z nim na dobre i na złe.

Do trzeciej grupy należą ludzie, którzy pierwsi zakupili moje utwory: pan Robert A.W. Lowndes nabył ode mnie pierwsze dwa opowiadania, jakie w ogóle sprzedałem; pan Douglas Allen i pan Nye Willden z Dugent Publishing Corporation, od których w tych trudnych dla mnie czasach przychodził czek akurat w porę, żeby elektrownia nie powiadomiła mnie eufemistycznie, że chwilowo „zawiesza działalność", bo zakupywali nowe teksty dla „Cavaliera" i „Genta". Ponadto dziękuję Elaine Geiger, Herbertowi Schnallowi oraz Carolyn Stromberg z New American Library, a także Gerardowi Van der Leunowi z „Penthause'a" i Harrisowi Deinstfreyowi z „Cosmopolitan". Wszystkim wam dziękuję.

Jest jeszcze czwarta grupa, której chcę wyrazić swoją wdzięczność – są to czytelniczki i czytelnicy, którzy przynajmniej raz w życiu sięgnęli do portfela, żeby kupić coś, co napisałem. Na wiele sposobów jest to wasza książka, ponieważ z całą pewnością bez waszego udziału by nie powstała. Dzięki.

Za oknem ciągle panuje mrok i pada. To świetna noc na takie rzeczy. Istnieje coś, co chcę

ci pokazać, i chcę, żebyś tego dotknął. To miejsce znajduje się niedaleko stąd – tak naprawdę na następnej stronie.

Ruszamy?

Bridgton, Maine
27 lutego 1977 roku

DOLA JERUZALEM

2 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Jak to dobrze znaleźć się wreszcie w chłodnym, pełnym przeciągów holu w Chapelwaite z nadzieją, że w końcu ulżę pełnemu pęcherzowi. Po podróży tym przerażającym dyliżansem bolą mnie wszystkie gnaty. Ale największą radość sprawił mi widok zaadresowanego Twoimi niepowtarzalnymi bazgrołami listu, który leży na tym okropnym stoliku z drzewa wiśniowego stojącym obok drzwi! Zapewniam Cię, że zabiorę się do jego odcyfrowywania, jak tylko zaspokoję potrzeby mego ciała (w ozdobnej łazience na parterze, gdzie panuje taki ziąb, że aż para leci z ust).

Rad jestem, że wyleczyłeś się już z tej miazmy, która tak długo męczyła Ci płuca, jakkolwiek bardzo Ci współczuję moralnego dylematu, jaki miałeś w związku z podjęciem decyzji

o rozpoczęciu kuracji. Chory abolicjonista leczący się na słonecznej, skażonej niewolnictwem Florydzie. Niemniej, Bonesie, proszę Cię jako przyjaciel, który również był już w tej dolinie cienia, myśl przede wszystkim o sobie i nie wracaj do Massachusetts, dopóki ciało nie będzie zupełnie zdrowe. Jeśli umrzesz, Twój subtelny umysł i cięte pióro będą dla nas stracone; czyż nie ma jakiejś poetyckiej sprawiedliwości w tym, że Południe ma cię wyleczyć?

Owszem, dom jest tak spokojny i piękny, jak zapewniali mnie wykonawcy ostatniej woli mego kuzyna, ale w pewien sposób złowieszczy. Stoi na wysokim, wielkim, sterczącym wzniesieniu jakieś pięć kilometrów na północ od Falmouth, a dziewięć od Portlandu. Za domem rozciąga się ponad hektar ziemi, dochodzący aż do strasznej, przechodzącej wszelkie wyobrażenia dziczy – jałowce, zbite gąszcza winorośli, krzaki i dzikie pnącza porastające malownicze skały, które oddzielają moją posiadłość od terenów należących do miasta. Okropne imitacje greckich rzeźb spoglądają ślepo ze szczytów pagórków, jakby w każdej chwili miały się rzucić na przechodnia. Odnoszę wrażenie, że gust mego kuzyna Stephena wyrażał całą gamę upodobań, od predylekcji do rzeczy nie do zaakceptowania

po zamiłowanie do przedmiotów krańcowo odrażających. Jest tu dziwaczny letni domek, prawie całkowicie pogrzebany pod zwałami szkarłatnego sumaka, i groteskowy zegar słoneczny w środku czegoś, co niegdyś musiało być ogrodem. On właśnie dopełnia miary szaleństwa, jakie tkwi w tym dziwacznym krajobrazie.

Ale widok rozciągający się z okien salonu rekompensuje wszystko; przyprawiająca o zawrót głowy panorama skał u podnóża Chapelwaite Head i samego Atlantyku. Olbrzymie, wysunięte okno wykuszowe, obok którego stoi wielka, przypominająca kształtem ropuchę sekretera, wychodzi właśnie na tę stronę. Wszystko to stwarza doskonałe warunki i wspaniały nastrój, żebym zaczął w końcu pisać powieść, o której tyle Ci opowiadałem [i niewątpliwie okropnie Cię tym zanudzałem].

Dzisiejszy dzień był pochmurny, co chwila padał deszcz. Świat za oknem jest bury – stare i zwietrzałe jak sam Czas skały, niebo i naturalnie ocean, który bije w granitowe zręby u podnóża góry, powodując nie tyle huk, co jakieś wibracje… Kiedy piszę te słowa, cały czas wyczuwam stopami każde uderzenie fal. Ogólnie wrażenie nie jest nieprzyjemne.

Zdaję sobie sprawę, drogi Bonesie, że nie pochwalasz moich samotniczych ciągot, ale śpieszę Cię zapewnić, że czuję się świetnie i jestem szczęśliwy. Jest ze mną Calvin, jak zwykle praktyczny, małomówny i niezawodny; już po kilku dniach zadzierzgnęła się między nami nić sympatii. Zorganizowaliśmy sobie w miasteczku regularne dostawy prowiantu oraz cały zastęp kobiet, które mają doprowadzić ten dom do porządku!

Będę kończył – tyle tu jeszcze mam rzeczy do obejrzenia, tyle pokoi do zwiedzenia i niewątpliwie tysiące sztuk obrzydliwych mebli, które czekają, żebym rzucił na nie czułym okiem. Jeszcze raz dziękuję Ci za serdeczny list i za Twoją nieustającą przyjaźń.

Przekaż wyrazy sympatii swojej żonie i przyjmij moje.

CHARLES

6 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Cóż to za miejsce!

Nieustannie wprawia mnie w zdumienie – podobnie jak zdumiewa mnie reakcja mieszkańców pobliskiej wioski na wieść o tym,

że objąłem je w posiadanie. Jest to dziwaczna maleńka osada o malowniczej nazwie Preacher's Corners[3]. To stamtąd właśnie Calvin zorganizował cotygodniowe dostawy zaopatrzenia; tam również postanowił zamówić odpowiednią ilość drewna na zimę. Ale z miasteczka wrócił z pochmurną twarzą, a kiedy spytałem, co go dręczy, odparł posępnie:

„Panie Boone, oni uważają, że pan zwariował!".

Roześmiałem się i odparłem, że zapewne dotarła już do nich wieść, że po śmierci Sarah przeszedłem zapalenie opon mózgowych… Plotłem wtedy niestworzone rzeczy, o czym sam możesz zaświadczyć.

Ale Cal zaprotestował, twierdząc, że nikt tam o mnie nic nie wie poza tym, że jestem kuzynkiem Stephena, który również zaopatrywał się we wszystko w miasteczku. „Powiedziano mi, proszę pana, że każdy, kto mieszka w Chapelwaite, albo jest już wariatem, albo nim zostanie".

Jak zapewne sobie wyobrażasz, byłem bardzo zakłopotany i zapytałem, skąd ma te zdumiewające informacje. Wyjaśnił, że powiedział mu o tym ponury i raczej zamroczony alkoholem bałwan nazwiskiem Thompson,

właściciel czterystu akrów ziemi porośniętej sosnami, brzozami i świerkami, z których drewno obrabia wraz z pięcioma synami i sprzedaje je częściowo do tartaków w Portlandzie, a częściowo gospodarzom z przyległych terenów.

Kiedy Cal, nieświadom jego dziwacznych uprzedzeń, wyjaśnił, gdzie ma dostarczyć drewno, Thompson gapił się na niego z otwartą gębą jak sroka w gnat. Oświadczył, że drewno mogą dostarczyć jego synowie, ale tylko za dnia, i to wyłącznie drogą biegnącą wzdłuż brzegu morza.

Cal zapewne źle odczytał moje osłupienie i szybko dodał, że facet upił się tanią whisky i wygadywał jakieś bzdury o wymarłym miasteczku, z którym Stephen miał powiązania… i o glistach! Calvin dobił w końcu interesu z jednym z chłopaków Thompsona. Ten, jak wywnioskowałem z opowieści, zachowywał się raczej gburowato i sądząc po bijącym z ust zapachu, daleko mu było do trzeźwości. Zrozumiałem też, że i w samym Preacher’s Corners moje przybycie spotkało się z podobną reakcją. Cal dowiedział się o tym w sklepie kolonialnym od sprzedawcy, ale

wywnioskowałem, że to raczej typ plotkarza, który lubi obmawiać ludzi poza ich plecami.

Nie przejąłem się zbytnio tym wszystkim, ponieważ wiem, że wieśniacy lubią tworzyć mity oraz ubarwiać sobie życie plotkami, a podejrzewam, że nieszczęsny Stephen i jego rodzina stanowili bardzo wdzięczny temat. Uświadomiłem Calowi, że człowiek, który padł trupem przed werandą własnego domu, z całą pewnością musiał stać się tutaj naczelnym tematem rozmów i plotek.

Sam dom wprawia mnie w nieustanne zdumienie. Bonesie, ma dwadzieścia trzy pokoje! Ściany na piętrach wyłożone są boazerią, a galeria portretów, choć nosi wyraźne ślady pleśni, trzyma się jeszcze całkiem dzielnie. Kiedy przebywałem na piętrze w sypialni, którą ostatnio zajmował mój kuzyn, słyszałem buszujące w ścianach szczury; sądząc po hałasie, jaki robiły, musiały to być wyjątkowo dorodne sztuki – chrobot był tak donośny, jakby tam grasowali ludzie. Zapewniam Cię, że nie chciałbym spotkać się w nocy z takim stworzeniem, zresztą w dzień też nie. Jak dotąd nie natknąłem się jednak ani na ich odchody, ani na żadne nory. Dziwne.

Galeria na piętrze składa się z kiepskich obrazów, za to ramy warte są zapewne fortunę. Niektóre postacie z portretów przypominają Stephena takiego, jakim go zapamiętałem. Sądzę też, że zidentyfikowałem mego wuja, Henry'ego Boone'a, i jego żonę Judith; pozostałe twarze nic mi nie mówią. Podejrzewam, że któraś może należeć do mego znanego wszem i wobec dziadka Roberta. Ale rodziny ze strony Stephena zupełnie nie znam, czego ze szczerego serca żałuję. Ten sam dobry humor, który przebijał z listów Stephena do mnie i do Sarah, dostrzec można w twarzach osób na portretach, mimo że same obrazy są w opłakanym stanie. W jakiż głupi sposób rozpadają się rodziny! Karabinowe *escritoire*, ostre słowa między braćmi, którzy nie żyją już od trzech pokoleń, i Bogu ducha winni potomkowie niepotrzebnie patrzą na siebie wilkiem. Nie potrafię powstrzymać się od refleksji, że niebywale szczęśliwie się złożyło, iż Tobie i Johnowi Petty'emu udało się skontaktować ze Stephenem, kiedy wydawało się, że ja też podążę śladem Sary i przekroczę Bramę… zwłaszcza że złośliwy los nie pozwolił mi się osobiście spotkać z kuzynem. Tak chciałbym posłuchać na własne uszy, jak występuje w obronie rodowych rzeźb i mebli!

Ale nie pozwól mi tak bezlitośnie obmawiać tego miejsca. Stephen wprawdzie hołdował innym gustom niż moje, ale oprócz nowinek wprowadzonych przez niego znaleźć tu można prawdziwe perły sztuki meblarskiej [większość z nich spoczywa na górze przykryta płóciennymi pokrowcami]. Są tam łoża, stoły i ciężkie, mroczne woluty wykonane z drzewa tekowego i z mahoniu, a wyposażenie licznych sypialni i pokoi gościnnych, górnego gabinetu i małego salonu ma jakiś posępny urok. Podłogi wyłożone sosnową klepką lśnią jakimś tajemniczym, wewnętrznym blaskiem. Panuje tutaj aura dostojeństwa; dostojeństwa i przytłaczającego wszystko ciężaru minionych lat. Nie powiem, żebym to lubił, ale darzę szacunkiem. Bardzo jestem ciekaw, czy uda mi się przystosować do tego tak zmiennego, północnego klimatu.

Boże, ale się rozgadałem! Odpisz mi, Bonesie, jak najszybciej. Informuj mnie o postępach twej kuracji, a także o wiadomościach, jakie dostajesz od Petty’ego i reszty. I zaklinam cię na wszystkie świętości, nie próbuj zbyt nachalnie nawracać swych nowych znajomych z Południa. Obaj doskonale wiemy, że nie wszyscy, jak nasz dawno już nieżyjący przyjaciel, pan Calhoun, zadowolą się jedynie utarczkami słownymi.

Oddany Ci przyjaciel
CHARLES

16 paźdz. 1850 r.

DROGI RICHARDZIE!

Cześć, jak Ci leci? Po przybyciu do rezydencji w Chapelwaite często o Tobie myślałem i po trosze spodziewałem się jakichś wieści od Ciebie… a teraz właśnie otrzymałem list od Bonesa, który pisze, że przecież zapomniałem zostawić w klubie swego nowego adresu! Bądź pewien, że i tak bym napisał, ponieważ czasami wydaje mi się, że moi prawdziwi i wierni przyjaciele są wszystkim, co zostawiłem w zupełnie normalnym i pewnym świecie. Wielki Boże, ależ los nas rozrzucił! Ty jesteś w Bostonie i wiernie piszesz do „The Liberator” [tak na marginesie, tam również przesłałem mój aktualny adres], Hanson przebywa w Anglii na tych swoich kolejnych przeklętych wycieczkach, a biedaczysko Bones leczy płuca w samej jaskini lwa.

Dicku, sytuację tutaj zastałem taką, jak się spodziewałem, i bądź pewien, że złożę Ci o wszystkim pełne sprawozdanie, kiedy już uporam się z pewnymi sprawami, z jakimi się

zetknąłem w tym miejscu… Myślę, iż pewne wydarzenia, jakie zdarzają się w samym Chapelwaite i w okolicy, bardzo zaintrygują Twój prawniczy umysł.

Na razie pragnę tylko zapytać, czy nadal interesują Cię te sprawy. Czy pamiętasz historyka, którego przedstawiłeś mi na obiedzie u pana Clary'ego? Nazywał się chyba Bigelow. Tak czy owak, wspominał, że jego hobby polega na zbieraniu wszelkich strzępów wiadomości historycznych odnoszących się dokładnie do terenów, na których obecnie mieszkam. Moja prośba zatem brzmi: Czy byłbyś łaskaw skontaktować się z nim ponownie i poprosić o informacje dotyczące folkloru, a nawet plotki odnoszące się do małego, opuszczonego miasteczka zwanego DOLA JERUZALEM w parafii Preacher's Corners nad Royal River, która wpada do odległej od Chapelwaite o jakieś osiemnaście kilometrów rzeki Androscoggin? Jest to dla mnie sprawa niebywale istotna i byłbym Ci bardzo zobowiązany, gdybyś zechciał mi pomóc.

Drogi Dicku, przejrzałem właśnie ten list i widzę, że potraktowałem Cię dosyć skrótowo, za co z całego serca przepraszam. Ale zapewniam Cię, że w stosownym czasie wytłumaczę tę lakoniczność, a teraz przesyłam najgorętsze

pozdrowienia Twojej żonie, Twoim dwóm wspaniałym synom i, naturalnie, Tobie.

Oddany Ci przyjaciel
CHARLES

16 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Pragnę opowiedzieć Ci o tym, co mnie i Calowi wydaje się nieco dziwne [a nawet niepokojące] – ciekaw jestem, co Ty na ten temat powiesz. Jeśli Cię to nie zainteresuje, potraktuj wszystko jako żart, który uprzyjemni Ci chwile walk z komarami.

W dwa dni po tym, jak wysłałem do Ciebie list, z Corners przybyły do nas cztery młode damy w towarzystwie pani Cloris, matrony o przerażająco dystyngowanym wyrazie twarzy, żeby doprowadzić dom do porządku i wszystko dokładnie odkurzyć; w wyniku ich działań już do końca dnia nieustannie kichałem. Wszystkie kobiety, wykonując swoją pracę, wydawały się spięte i mocno zdenerwowane; jedna nawet cicho pisnęła ze strachu, kiedy nieoczekiwanie wszedłem do salonu na piętrze, który akurat sprzątała.

Zapytałem o to panią Cloris. [Zdumiałbyś się, bo odkurzała hol na parterze z taką zawziętością, że spod starej, spłowiałej opaski wysypywały się jej kosmyki włosów]. Odwróciła się w moją stronę i powiedziała z dziwnym napięciem w głosie:

„Ludzie nie lubią tego domu, proszę pana, i ja również go nie lubię. Ten dom zawsze był zły”.

Na tak nieoczekiwane oświadczenie straciłem na chwilę mowę, a wyraźnie podekscytowana pani Cloris ciągnęła:

„Nie chcę przez to powiedzieć, że Stephen Boone był człowiekiem niegodziwym, ponieważ skłamałabym; sprzątałam u niego co drugi czwartek przez cały czas, jak tutaj mieszkał, podobnie jak sprzątałam u jego ojca, pana Randolpha Boone’a aż do chwili, kiedy on i jego żona zniknęli w roku tysiąc osiemset szesnastym. Pan Stephen był dobrym i sympatycznym człowiekiem i pan również sprawia takie wrażenie (proszę wybaczyć mi moją szczerość, ale ja nie potrafię inaczej mówić), lecz sam dom jest zły, taki zresztą zawsze był, i żaden z Boone’ów nie zaznał w nim szczęścia. Tak jest od czasów, kiedy pański dziadek Robert i jego brat Philip w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym poróżnili się

o jakieś [tutaj umilkła, jakby nagle poczuła się winna] skradzione przedmioty”.

Sam popatrz, Bones, jaką ta miejscowa ludność ma pamięć!

„Dom zbudowano nieszczęśliwie – powiedziała jeszcze pani Cloris. – Ludzi w nim mieszkających prześladowały nieszczęścia, na jego podłogach rozlano krew [nie wiem, czy wiesz, Bones, że mój wuj Randolph zamieszany był w wypadek, jaki wydarzył się na schodach prowadzących do piwnicy, w którym to straciła życie jego córka Marcella; on sam, dręczony wyrzutami sumienia, odebrał sobie życie. Opisał mi to wszystko Stephen w liście, jaki przysłał ze smutnej okazji dnia urodzin swojej nieżyjącej siostry], zdarzały się tu również tajemnicze zniknięcia i wypadki.

Pracowałam w tym domu od dawna, panie Boone, a przecież nie jestem ani ślepa, ani głucha. Słyszałam w ścianach paskudne dźwięki, proszę pana, paskudne dźwięki – straszliwe łomoty i trzaski, a raz nawet dziwne ni to zawodzenie, ni to śmiech. Aż zmroziło mi krew w żyłach. Proszę pana, to mroczne miejsce…”.

Urwała, najwyraźniej w obawie, że powie za dużo.

Jeśli o mnie chodzi, sam dobrze nie wiedziałem, czy mam wybuchnąć śmiechem, czy wyrazić oburzenie, być zaintrygowany, czy podejść do tych rewelacji racjonalnie. Obawiam się, że wtedy byłem tylko rozbawiony.

„A czego się pani spodziewała, pani Cloris? – zapytałem. – Pobrzękujących łańcuchami duchów?”

Ona tylko obrzuciła mnie osobliwym spojrzeniem.

„Może i duchów. Ale to nie duchy gnieżdżą się w ścianach. To nie duchy zawodzą i płaczą jak potępieńcy, to nie duchy rozbijają się i włóczą w ciemnościach. To…”.

„Śmiało, pani Cloris – zachęciłem. – Skoro już pani opowiedziała tyle, to należy skończyć to, co się zaczęło”.

Na jej twarzy pojawił się wyraz najwyższego przerażenia i – mógłbym dać głowę – jakiejś religijnej zgrozy.

„Niektórzy nie umierają – szepnęła. – Niektórzy żyją w półmroku zalegającym dziedzinę Pomiędzy, żeby służyć… Jemu!”

I to wszystko. Przez kilka minut próbowałem z kobieciny jeszcze coś wyciągnąć, ale ona zacięła się w uporze i nic więcej nie powiedziała.

W końcu dałem spokój w obawie, że porzuci pracę.

Na tym zakończył się ten epizod, ale kolejny wydarzył się następnego wieczoru. Calvin napalił w kominku na parterze, więc zasiadłem w salonie i kołysząc się sennie nad egzemplarzem „The Intelligencer" słuchałem łoskotu nawiewanego wiatrem deszczu bijącego w duże wykuszowe okno. Wpadłem w błogi nastrój, jaki ogarnąłby każdego, kto wieczorem w taką pogodę siedzi pod dachem w cieple i w wygodnym fotelu. W pewnej chwili w progu stanął Calvin. Był podekscytowany i wyraźnie wystraszony.

„Pan nie śpi, sir?" – zapytał.

„Właśnie prawie zasnąłem – odrzekłem. – Co się stało?"

„Odkryłem coś na piętrze. Myślę, że powinien pan to zobaczyć osobiście" – odparł, z trudem kryjąc podniecenie.

Wstałem i ruszyłem za nim. Wspinając się po szerokich schodach, Calvin powiedział:

„Czytałem książkę w gabinecie na piętrze… jedną z tych dziwnych… kiedy usłyszałem w ścianie hałas".

„Szczury – oświadczyłem. – I to wszystko?"

Przystanął na górze schodów i popatrzył na mnie bardzo poważnie. Lampa, którą trzymał w ręku, rzucała tajemnicze, tańczące cienie na ciemne draperie i majaczące w mroku portrety. Twarze raczej łypały na nas z ukosa, niż się uśmiechały. Nagle za oknem zaczął wyć wiatr, ale po chwili, jakby niechętnie, ucichł.

„To nie były szczury – powiedział Cal. – To był taki dudniący dźwięk, jakby coś szamotało się za szafką z książkami, a później rozległ się okropny gulgoczący rechot… okropny, sir. I drapanie, jakby coś chciało się wydostać… dostać mnie!”

Czy potrafisz sobie wyobrazić moje zdumienie, Bonesie? Calvin nie jest człowiekiem, który daje się ponosić odruchom histerycznej wyobraźni. Zacząłem podejrzewać, że tkwi w tym jakaś tajemnica; i to tajemnica bardzo ponura.

„I co się stało dalej?” – spytałem.

Ruszyliśmy korytarzem i w końcu ujrzałem padające z gabinetu na podłogę światło. Z drżeniem serca popatrzyłem w tamtą stronę; opuścił mnie cały błogi nastrój.

„Drapanie ustało, ale po chwili znów rozległo się to dudnienie i szamotanie; tym razem coraz dalej. Na chwilę to coś się zatrzymało i przysięgam, że słyszałem dziwny, prawie

nieuchwytny dla ucha śmiech! Podszedłem do szafki i przesunąłem ją w nadziei, że znajdę za nią jakąś przegrodę albo sekretne drzwi”.

„I co? Natknąłeś się na coś interesującego?”

Cal przystanął przed drzwiami do gabinetu.

„Nie… ale znalazłem to!”

Weszliśmy do środka i zobaczyłem w półce stojącej po lewej stronie czarną wnękę. Książki w tym miejscu były tylko atrapą. Cal odnalazł skrytkę. Poświeciłem do środka lampą, ale dostrzegłem jedynie grubą warstwę kurzu, który musiał się tam gromadzić od dziesięcioleci.

„W środku było tylko to” – wyjaśnił cicho Cal, wręczając mi pożółkłą kartkę papieru.

Przed oczyma miałem mapę z delikatnymi, cienkimi jak pajęcza przędza liniami wyrysowanymi czarnym atramentem… mapę jakiegoś miasteczka lub wioski. Na planie umieszczono może z siedem budynków. Pod jednym, zaznaczonym wieżyczką, widniał podpis: *Zepsuła go glista*.

W górnym lewym rogu – wedle mapy punkt ów leżał na północny zachód od małej osady – narysowana była strzałka. Pod nią czerniał napis: *Chapelwaite*.

„W Corners ktoś wspominał z lękiem o opuszczonym miasteczku zwanym Dola

Jeruzalem – powiedział Calvin. – Wszyscy trzymają się od tamtego miejsca z daleka”.

„Ale co to znaczy?” – zapytałem, wskazując dziwaczny podpis pod wieżyczką.

„Nie wiem” – odparł.

Przypomniałem sobie wystraszoną, ale stanowczą panią Cloris.

„Glista…” – mruknąłem.

„Czy pan coś wie, panie Boone?”

„Zapewne… będzie zabawnie odwiedzić jutro to miasteczko. Co o tym myślisz, Cal?”

Oczy mu rozbłysły i skinął głową. Strawiliśmy blisko godzinę, opukując i przeszukując ścianę za znalezioną przez Cala skrytką, ale bez rezultatu. Nie powtórzyły się również odgłosy, które mi opisał.

Daliśmy sobie wreszcie spokój.

Następnego dnia rano ruszyliśmy na piechotę przez las. Padający w nocy deszcz ustał, ale niebo ciągle było szare i nad ziemią nisko płynęły chmury. Kiedy poczułem na sobie zaniepokojony wzrok Cala, śpiesznie zapewniłem go, że jeśli poczuję się zmęczony lub droga okaże się zbyt długa, natychmiast go o tym powiadomię i zrezygnujemy z całego przedsięwzięcia. Zabraliśmy ze sobą potężną wałówkę,

wyśmienity kompas Buckwhite’a i oczywiście tajemniczą starą mapę Doli Jeruzalem.

Dzień był dziwny i posępny; kiedy posuwaliśmy się przez mroczny sosnowy las, napierw na południe, a później na wschód, nie słyszeliśmy ani jednego ptaka, a w zaroślach nie poruszyło się żadne zwierzę. Głuchą ciszę mącił jedynie odgłos naszych kroków i odległy łoskot bijącego w skały przylądka oceanu. Towarzyszył nam cały czas prawie nadprzyrodzenie ciężki zapach morza.

Po niecałych trzech kilometrach natknęliśmy się na zarośniętą, niegdyś wyłożoną palami drogę, która ciągnęła się mniej więcej w tym samym kierunku, gdzie zdążaliśmy. Ruszyliśmy nią, co pozwoliło zaoszczędzić sporo czasu. Rozmawialiśmy niewiele. Pochmurny, ponury dzień opadał ciężką płachtą, gasząc w nas całego ducha.

Około jedenastej usłyszeliśmy szum płynącej wody. Zarośnięta droga, którą szliśmy, gwałtownie odbijała w lewo, a po drugiej stronie spienionego, ciemnoszarego potoku, niczym jakieś widziadło, rozsiadło się miasteczko Dola Jeruzalem!

Potok miał około dwóch i pół metra szerokości, jego brzegi łączyła obrośnięta mchem

kładka. Po drugiej stronie, Bonesie, znajdowało się przepiękne miasteczko. Naturalnie nieubłagane działanie czasu odcisnęło na nim swoje piętno, ale i tak zachowało się w zadziwiająco dobrym stanie. Kilkanaście domów, z jakich znani byli purytanie – surowych w swoim kształcie, ale mimo to imponujących – stało nad stromym brzegiem rzeki. Dalej, wzdłuż zarośniętej chwastami ulicy widniały trzy lub cztery budynki. Od biedy mogły stanowić prymitywne centrum handlowe. Jeszcze dalej sterczała iglica zaznaczonego na mapie kościoła; kłuła ołowiane niebo i sprawiała nieprawdopodobnie posępne wrażenie z powodu łuszczącej się farby i zmatowiałego, przekrzywionego krzyża.

„Nazwa pasuje do miasteczka jak ulał” – odezwał się cicho stojący za mymi plecami Cal.

Przeszliśmy mostek, ruszyliśmy w stronę wioski… i w tym miejscu moja opowieść stanie się nieco dziwaczna, więc przygotuj się, Bonesie!

W miarę jak posuwaliśmy się między domami, powietrze zdawało się przybierać konsystencję ołowiu; jeśli wolisz, było ciężkie. Budynki znajdowały się w stanie kompletnego rozkładu – pozrywane okiennice, pozapadane pod ciężarem śniegów dachy, pokryte kurzem

okna łypiące na nas zezem. Cienie rzucane przez dziwaczne załomy ścian i kanciaste przybudówki zdawały się zamieniać w jakieś złowrogie jeziora.

Najpierw wkroczyliśmy do starej, zmurszałej karczmy – odnosiłem osobliwe wrażenie, że nie powinniśmy swoją obecnością zakłócać spokoju domów, w których zmęczeni ludzie szukali chwili wytchnienia i samotności. Zwietrzała tablica wisząca nad połupanymi drzwiami głosiła, że był tu ongiś ZAJAZD I KARCZMA POD ŚWIŃSKIM ŁBEM. Wiszące na jednym zawiasie drzwi zaskrzypiały potępieńczo, a my weszliśmy do pogrążonego w głębokim cieniu wnętrza. Smród pleśni i rozkładu zwalał po prostu z nóg. Wydawało mi się, że pod tym zapachem kryje się inny jeszcze fetor, zawiesisty, morowy odór, zapach wieków i zgnilizny. Taką woń wydzielać mogą jedynie zniszczone trumny lub zbezczeszczone grobowce. Jednocześnie przyłożyliśmy do nosów chusteczki. Obrzuciliśmy pomieszczenie bystrym spojrzeniem.

„Boże drogi, sir…” – zaczął słabym głosem Cal.

„…nie powinniśmy byli tu wchodzić” – zakończyłem za niego.

I tak rzeczywiście było.

Stoły i krzesła stały niczym upiorni strażnicy; zakurzone, z niezatartym piętnem, jakie wywarły na nich gwałtowne zmiany temperatur, z których znany jest klimat Nowej Anglii, a jednocześnie w jakiś sposób w stanie nienaruszonym – jakby czekały poprzez milczące, napęczniałe echem dziesięciolecia, aż wróci ów miniony, dawny czas i ktoś wejdzie, zawoła, żeby podano mu kufel piwa albo szklankę gorzałki, rozda karty, po czym zaciągnie się wykonaną z gliny fajką. Wiszące na ścianie obok tablicy z regulaminem małe kwadratowe lustro było całe. Rozumiesz, Bonesie? Mali chłopcy znani są z tego, że wszędzie się dostaną i wszystko zniszczą. Nie istnieje dla nich żaden „nawiedzony” dom, który po ich wizycie ostałby się z całymi szybami bez względu na to, jak niesamowici i przerażający byliby jego rzekomi mieszkańcy; dla takich łobuziaków nie ma świętości pogrążonego w posępnym cieniu cmentarza, nie ma grobowca, gdzie by się nie wdarli. A z całą pewnością w odległym od Doli Jeruzalem o niecałe trzy kilometry Preacher’s Corners urwisów takich jest bardzo wielu. Na dodatek wszelkie szklane naczynia i cała masa innych kruchych i delikatnych przedmiotów, na które natknęliśmy się podczas naszych poszukiwań [warte są

z pewnością okrągłą sumkę], również pozostały nietknięte. Jedyne zniszczenia, jakich dopatrzyliśmy się w Doli Jeruzalem, dokonane zostały przez bezosobową Naturę. Wniosek jest jasny: Dola Jeruzalem to nawiedzone miasto. Ale dlaczego? Mam pewną teorię, lecz zanim odważę się bliżej ją wyjaśnić, najpierw opowiem o dziwnym i niepokojącym zakończeniu naszej wizyty w tym upiornym miejscu.

Przeszliśmy na górę do części sypialnej zajazdu. Łóżka były starannie posłane, przy każdym stał cynowy dzban na wodę. Podobnie kuchnia nie nosiła najmniejszych śladów zniszczenia, z wyjątkiem zalegających wszędzie grubych warstw kurzu i przenikającego wszystko zapachu zgnilizny i rozkładu. Karczma z całą pewnością dla miłośnika starożytności byłaby ziemią obiecaną. Wspaniały kuchenny piec stanowiłby ozdobę każdej aukcji w Bostonie i niechybnie osiągnąłby zawrotną cenę.

„I co o tym myślisz, Cal?” – zapytałem, kiedy znów znaleźliśmy się w mętnym świetle pochmurnego dnia.

„Myślę, że to paskudny interes, panie Boone” – odparł płaczliwie.

Pobieżnie zbadaliśmy inne budynki: stajnię przy karczmie, gdzie na płaskich, zardzewiałych

hakach wisiały spleśniałe uprzęże, sklep z artykułami gospodarstwa domowego, magazyn z drewnem, gdzie ciągle jeszcze piętrzyły się stosy sosnowych i dębowych belek i desek, oraz kuźnię.

W drodze do stojącego pośrodku miasteczka kościoła wstąpiliśmy do dwóch domów mieszkalnych. Oba były zabudowane w typowym, purytańskim stylu, a w środku natknęliśmy się na masę przedmiotów i sprzętów, na których każdy kolekcjoner staroci natychmiast położyłby chciwie swoją rękę. Oba domy zostały opuszczone i przenikał je zapach zgnilizny.

Z wyjątkiem nas dwóch wszystko tam było martwe i pogrążone w bezruchu. Nie dostrzegliśmy owadów, ptaków ani nawet pajęczyn w rogach okien. Tylko kurz.

W końcu dotarliśmy do kościoła. Piętrzył się nad nami, posępny, niegościnny, zimny. Okna były ciemne od panującego w środku mroku; wszelka pobożność i świętość opuściły to miejsce bardzo dawno. O tym byłem absolutnie przekonany. Weszliśmy po schodach i położyłem dłoń na wielkiej, żelaznej klamce. Wymieniliśmy z Calvinem posępne spojrzenia. Pchnąłem drzwi. Od jak dawna tej klamki nie dotknęła ludzka

ręka? Byłem pewien, że moja jest pierwsza od pięćdziesięciu lat; zapewne dłużej. Zardzewiałe zawiasy przeraźliwie zaskrzypiały. Smród pleśni, zgnilizny i rozkładu był prawie namacalny. Cal wydał zdławiony okrzyk i odruchowo odwrócił twarz, pragnąc zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza.

„Proszę pana – sapnął. – Czy jest pan pewien, że pan wytrzyma…”

„Czuję się doskonale” – odparłem spokojnie.

Bones, wcale nie byłem spokojny; podobnie jak i teraz. Podobnie jak Mojżesz, Jeroboam, Increase Mather czy nasz Hanson [kiedy jest, naturalnie, w tym swoim filozoficznym nastroju] wierzę, że istnieją szkodliwe duchowo miejsca, budowle, w których kosmiczne dobro kwaśnieje i psuje się. Przysięgam Ci, że ten kościół jest właśnie takim miejscem.

Wkroczyliśmy do długiego westybulu zastawionego zakurzonymi wieszakami i pulpitami ze zbiorami hymnów. W westybulu nie było okien. W specjalnych niszach stały lampy oliwne. Nieszczególnie godne uwagi pomieszczenie, pomyślałem, ale w tej samej chwili usłyszałem, że Calvin ze świstem wciąga w płuca powietrze i dopiero wtedy ujrzałem to, co on dostrzegł wcześniej.

To było odrażające.

Nie śmiem opisać dokładniej tego wspaniale oprawionego malowidła. Musi wystarczyć Ci tylko tyle: namalowane było w zmysłowym stylu obrazów Rubensa, przedstawiało groteskową trawestację Madonny z Dzieciątkiem, a w tle pełzły i paradowały dziwne, ukryte w półcieniu stworzenia.

„Boże” – szepnąłem.

„Tu nie ma żadnego Boga” – odparł Calvin.

Jego słowa długo jeszcze wisiały w powietrzu.

Otworzyłem drzwi prowadzące do samego kościoła. W nozdrza uderzyło nas niezdrowe powietrze i odrażający smród.

W nikłym świetle popołudnia majaczyły ławki ciągnące się aż do ołtarza. Nad nimi wznosiła się wysoka, dębowa kazalnica, a jeszcze dalej, na skrytym w mroku ołtarzu, lśniło złoto.

Calvin, który był żarliwym protestantem, z cichym łkaniem wykonał znak krzyża, a ja poszedłem w jego ślady. Owo złoto był to wspaniałej roboty krzyż, ale odwrócony do góry nogami – symbol Czarnej Mszy.

„Musimy zachować spokój – usłyszałem własny głos. – Calvin, musimy zachować spokój. Musimy zachować spokój”.

Lecz cień spowił już moje serce i obawiałem się, że nigdy nie odzyskam spokoju. Raz trafiłem pod mroczny parasol śmierci i myślałem, że nie może być ciemniejszego miejsca. Ale tu było. Tu było.

Przeszliśmy wzdłuż głównej nawy, nasze kroki wzbudzały rozliczne echa. Zostawialiśmy za sobą w kurzu wyraźne ślady stóp. A na ołtarzu były inne jeszcze mroczne *objets d'art*. Nie, nie mogę, nie pozwolę memu umysłowi roztrząsać tego, co widzieliśmy.

Zacząłem wchodzić na kazalnicę.

„Nie! Panie Boone, nie! – krzyknął nagle Cal. – Boję się…"

Ale ja już znalazłem się na górze. Na pulpicie leżała olbrzymia, otwarta księga napisana zarówno po łacinie, jak i niewyraźnymi runami, które na moje niewprawne oko były pismem druidzkim albo preceltyckim. Załączam Ci kartkę z kilkoma narysowanymi z pamięci symbolami.

Zamknąłem księgę i popatrzyłem na słowa wytłoczone w skórze okładki: *De Vermis Mysteriis*. Moja łacina jest raczej uboga, ale wystarczająca, żebym zrozumiał tytuł: *Tajemnica Glisty*.

Kiedy tylko dotknąłem księgi, cały ten przeklęty kościół i blada, uniesiona twarz Calvina

zatańczyły mi przed oczyma. Odniosłem wrażenie, że słyszę niskie, monotonnie zawodzące głosy pełne jakiegoś odrażającego, a jednocześnie żarliwego oczekiwania… a w tle tego dźwięku inny jeszcze, wypełniający trzewia ziemi, odgłos. Nie wiem… ale w tym samym momencie kościół wypełnił bardzo rzeczywisty dźwięk, który potrafię opisać jedynie jako taki odgłos, jaki musiałoby wydać coś ogromnego i nieskończenie makabrycznego, co skręciło się pod moimi stopami. Kazalnica zatrzęsła się; na ścianie zadygotał zbezczeszczony krzyż.

Wyszliśmy jednocześnie, Cal i ja, zostawiając tamto miejsce ciemnościom, i żaden z nas nie odważył się odwrócić aż do chwili, kiedy przekroczyliśmy nierówne deski przerzuconego nad potokiem mostka. Nie powiem, że wracaliśmy biegiem, plugawiąc tych tysiąc dziewięćset lat, podczas których człowiek mozolnie piął się w górę od stadium ciemnego i pełnego przesądów dzikusa, ale też skłamałbym, twierdząc, że szliśmy spacerkiem.

I to już wszystko. Nie wolno Ci psuć kuracji niepokojem, że ponownie zapadłem na zapalenie opon mózgowych; Cal może zaświadczyć o prawdziwości każdego mojego słowa

i potwierdzić istnienie tych odrażających hałasów.

Tak więc kończę, życząc sobie gorąco spotkania z Tobą [wiem, że wtedy, w jednej chwili, opuściłyby mnie oszołomienie i zamęt, jaki panuje obecnie w mojej głowie]. Z wyrazami najgorętszej, dozgonnej przyjaźni

CHARLES

17 paźdz. 1850 r.

SZANOWNI PANOWIE!

W najnowszym katalogu waszych artykułów gospodarstwa domowego (z lata 1850 r.) zauważyłem preparat pod nazwą Zmora Szczurów. Chciałbym zakupić jedną (1) dwuipółkilogramową puszkę tego środka po cenie katalogowej trzydziestu centów (0,30 $). Załączam opłatę za przesyłkę. Zamówiony towar proszę przesłać na adres: Calvin McCann, Chapelwaite, Preacher’s Corners, Cumberland County, Maine.

Z góry dziękuję za załatwienie tej sprawy.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

CALVIN McCANN

19 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Nowy, bardzo niepokojący obrót sprawy.

Hałasy w domu wzmagają się i nabieram coraz głębszego przekonania, że to wcale nie szczury harcują w ścianach. Calvin i ja podjęliśmy kolejną, bezowocną próbę odszukania jakichś kryjówek albo tajemnych korytarzy. Wyraźnie brakuje nam oczytania w romansach pani Radcliffe! Cal upiera się, że większość odgłosów ma swoje źródło w piwnicy i tam właśnie mamy zamiar rozpocząć jutro poszukiwania. Niepokoi mnie świadomość, że właśnie w piwnicy tak niefortunnie znalazła swój koniec siostra kuzyna Stephena.

Jej portret wisi w galerii na piętrze. Marcella Boone, jeśli artysta dobrze ją oddał, była pięknym stworzeniem o melancholijnej urodzie i z tego, co wiem, nie miała męża. Czasami myślę, że pani Cloris ma rację, utrzymując, iż jest to zły dom. Przejął zapewne cały smutek i przygnębienie swoich dawnych mieszkańców.

Ale muszę Ci szerzej opisać straszne rewelacje, jakie objawiła mi pani Cloris, z którą dzisiaj po raz drugi rozmawiałem. Kobieta owa jest najbardziej zrównoważoną osobą w Corners, jaką dotychczas tam spotkałem, i dlatego

postanowiłem odszukać ją po innym, bardzo nieprzyjemnym spotkaniu, o czym zamierzam Ci opowiedzieć.

Dzisiejszego ranka miano dostarczyć nam drewno na opał. Kiedy jednak minęło południe, a drewna jak nie było, tak nie było, postanowiłem osobiście udać się do miasteczka. Zamierzałem odwiedzić Thompsona, z którym Calvin umówił się na dostawę.

Dzień był cudny. Panowała ciepła, złota jesień i kiedy wreszcie dotarłem na miejsce [Cal został w domu, żeby jeszcze raz przeszukać bibliotekę stryja Stephena, ale dał mi dokładne wskazówki, jak trafić do Thompsonów], byłem w tak wyśmienitym i pogodnym nastroju, że postanowiłem wybaczyć Thompsonowi jego niesolidność.

Obejście drwala porastały bujne łany chwastów, a walące się domostwo wymagało generalnego remontu i farby; na lewo od stodoły, w zabłoconym chlewie, tarzała się i chrumkała olbrzymia maciora przygotowana na listopadowy ubój. Na zaśmieconym podwórku między domem a budynkami gospodarczymi jakaś kobieta, ubrana w zniszczoną kraciastą sukienkę, karmiła kury, rzucając im ziarno

z fartucha. Kiedy ją pozdrowiłem, odwróciła w moją stronę bladą, nieciekawą twarz.

Nagła zmiana wyrazu jej oblicza z całkowitej tępoty i bezmyślności do oszalałego strachu była rzeczą nader interesującą. Pomyślałem sobie, że zapewne wzięła mnie za samego Stephena, ponieważ uniosła dłoń z rozcapierzonymi palcami w geście odpędzającym siłę nieczystą i wrzasnęła. Kręcące się u jej stóp ptactwo spłoszone głośnym krzykiem rozbiegło się po dziedzińcu.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, z domu wynurzył się wielki, klocowaty mężczyzna odziany tylko w długie kalesony. W jednej ręce trzymał strzelbę na wiewiórki, a w drugiej kubek. Po zaczerwienionych oczach i chwiejnym chodzie poznałem, że mam do czynienia z Thompsonem Drwalem we własnej osobie.

„Boone! – ryknął. – Pieprzę cię!”

Upuścił kubek i również wykonał magiczny znak.

„Przyszedłem – wyjaśniłem na tyle spokojnie, na ile pozwalały okoliczności – ponieważ drewno do mnie przyjść nie chciało. Zgodnie z umową, którą zawarł pan z moim…”

„Jego też pieprzę!”

Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, że pod maską fanfaronady i pewności siebie skrywa śmiertelny strach. Zacząłem się poważnie zastanawiać, czy w stanie takiego podniecenia nie użyje w stosunku do mnie broni.

„Czy w geście kurtuazji mógłby pan…” – zacząłem ostrożnie.

„Pieprzę twoją kurtuazję!”

„Zatem dobrze – odparłem z godnością, na jaką mnie było w tamtej chwili stać. – Przyjdę, kiedy pan się uspokoi i będzie w lepszym nastroju”.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem drogą w kierunku osady.

„Nie wracaj! – wrzasnął za mną. – Siedź sobie w domu ze swoim złym! Przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!”

Cisnął kamieniem, który trafił mnie w ramię. Nie dałem mu tej satysfakcji i nie odskoczyłem.

Postanowiłem odszukać panią Cloris i przynajmniej wyjaśnić zagadkę tak wrogiej postawy Thompsona. Jest wdową [tak, wiem, i nic nie kombinuj ze swatami, Bonesie; ona jest o dobrych piętnaście lat ode mnie starsza, a i ja nigdy już na czterdzieści nie będę wyglądał] i mieszka samotnie w uroczym domku usytuowanym nad samym brzegiem oceanu.

Kiedy się pojawiłem, rozwieszała właśnie pranie i szczerze ucieszyła się z mojej wizyty. Poczułem ogromną ulgę; to bardzo irytujące uczucie, kiedy człowieka piętnują za coś, o czym on sam nie ma zielonego pojęcia.

„Pan Boone” – powiedziała, dygając. – „Jeśli pojawił się pan w sprawie prania, to muszę z przykrością odmówić. Reumatyzm tak mi dokucza, że z trudem radzę sobie z własnymi brudami”.

„Pani Cloris” – odparłem. – „Bardzo chciałbym, żeby to właśnie pranie było przyczyną mojej wizyty. Przyszedłem z prośbą o pomoc. Musi mi pani opowiedzieć wszystko, co pani wie o Chapelwaite i Doli Jeruzalem, oraz wyjaśnić, dlaczego okoliczni mieszkańcy traktują mnie tak wrogo i podejrzliwie”.

„Dola Jeruzalem! A więc pan już o tym wie”.

„Wiem” – odparłem. – „W ubiegłym tygodniu odwiedziłem tamto miejsce z moim przyjacielem”.

„Boże!”

Pobladła jak mleko i zachwiała się. Podtrzymałem ją za łokieć. Oczy wywróciły się jej białkami do góry i myślałem, że zemdleje.

„Pani Cloris, przepraszam, jeśli powiedziałem coś…”

„Wejdźmy do środka” – mruknęła. – „Powinien pan o wszystkim wiedzieć. Słodki Jezu, znów nadchodzą złe dni!”

Nie odezwała się więcej ani słowem do czasu, aż w swojej słonecznej kuchni zaparzyła herbatę. Kiedy stały już przed nami parujące filiżanki, długą chwilę spoglądała zamyślonym wzrokiem na ocean. Naturalnie, i jej, i mój wzrok prawie natychmiast spoczął na sterczącym wierzchołku Chapelwaite Head, gdzie w wodzie przeglądał się dom. Ogromne wykuszowe okno lśniło w promieniach przesuwającego się ku zachodowi słońca. Widok był wspaniały, ale w jakiś sposób dziwnie niepokojący.

Nagle pani Cloris popatrzyła na mnie i powiedziała gwałtownie:

„Panie Boone, musi pan natychmiast opuścić Chapelwaite”.

Po prostu zdębiałem.

„Tuż przed pańskim przybyciem bardzo wyraźnie wzmogła się aura zła. Na tydzień przed tym, jak postawił pan nogę w tym przeklętym miejscu, pojawiły się omeny i złowieszcze znaki. Halo wokół księżyca; olbrzymie ilości lelków na cmentarzu; narodziny wyrodka. Pan musi tamto miejsce opuścić!”

Kiedy już odzyskałem mowę, odezwałem się najłagodniej jak potrafiłem:

„Pani Cloris, to wszystko sny. Kto jak kto, ale pani musi o tym wiedzieć”.

„Czy to sen, że Barbara Brown urodziła dziecko bez oczu? Albo że Clifton Brockett natknął się w lesie za Chapelwaite, gdzie wszystko więdnie i traci barwy, na trop śladów mierzących półtora metra każdy? Odwiedził pan przecież Dolę Jeruzalem. Czy przyzna pan z ręką na sercu, że nic tam nie żyje?”

Znów nie byłem w stanie wykrztusić słowa; ciągle miałem żywo w pamięci tamten odrażający kościół.

Pani Cloris złożyła swoje zdeformowane dłonie; zupełnie jakby chciała uspokoić skołatane nerwy.

„Słyszałam o tym tylko od swojej matki, która z kolei usłyszała to od swojej. Czy zna pan historię rodziny Boone’ów zamieszkującej Chapelwaite?”

„Bardzo ogólnie – odparłem. – Od lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku dom należał do rodziny z linii Philipa Boone’a, jego brat, Robert, mój dziadek, przeniósł się do Massachusetts po wielkiej kłótni na temat skradzionych dokumentów. O rodzinie Philipa

wiem niewiele poza tym, że prześladowało ją pasmo nieszczęść ciągnące się z ojca na syna i na wnuki; Marcella zginęła w tragicznym wypadku, Stephen również umarł nagłą śmiercią. Życzeniem mego kuzyna było, żebym zamieszkał w Chapelwaite, by dom ten pozostał w rękach naszej rodziny i żeby dawne waśnie puścić w niepamięć".

„Nigdy do tego nie dojdzie – szepnęła. – Czy wie pan coś o przyczynie tamtej kłótni?"

„Roberta Boone'a przyłapano na przetrząsaniu biurka brata".

„Philip Boone był szalony – odparła. – Paktował z siłami piekielnymi. Przedmiotem, który Robert Boone chciał zabrać, była bluźniercza Biblia napisana w starożytnych językach: po łacinie, w druidzkim i w kilku innych. Piekielna księga".

„*De Vermis Mysteriis*".

Pani Cloris cofnęła się, jakby ktoś uderzył ją prosto między oczy.

„Wie pan o tym?"

„Widziałem tę księgę… dotykałem jej…"

Znów sprawiała takie wrażenie, jakby miała za chwilę zemdleć. Zakryła dłonią usta, tłumiąc krzyk.

„Tak, w Doli Jeruzalem – ciągnąłem. – Leżała na pulpicie w tamtejszym straszliwym, zbezczeszczonym kościele”.

„A więc ciągle jest; ciągle tam jest. – Zachwiała się na krześle. – A już sądziłam, że Bóg w Swojej mądrości cisnął ją w otchłanie piekielne”.

„Jaki był związek Philipa Boone’a z Dolą Jeruzalem?”

„Związek krwi – odparła posępnie. – Nosił Znak Bestii, choć stroił się w szaty Baranka. Nocą trzydziestego pierwszego października tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku Philip Boone zniknął… a wraz z nim wszyscy mieszkańcy tego przeklętego miasta”.

Powinna była mi powiedzieć więcej; najwyraźniej jeszcze coś wiedziała. Ale zaczęła błagać, żebym już sobie poszedł, a jako powód podała, że „krew wzywa krew”, i mruczała pod nosem o „tych, którzy patrzą, i o tych, którzy stoją na straży”. Zapadał z wolna zmierzch, a pani Cloris była coraz bardziej niespokojna, więc żeby ją sobie zjednać, obiecałem, że wszystkie jej słowa wezmę pod głęboką rozwagę.

Kiedy wracałem do domu w szybko zapadającym zmierzchu, opuścił mnie cały dobry nastrój. Pod czaszką tłukło mi się wiele pytań. Cal przywitał mnie wiadomością, że hałasy

w ścianach przybrały na sile… co mogę w tej chwili potwierdzić. Próbuję sobie wmawiać, że to tylko szczury, ale cały czas mam przed oczyma twarz pani Cloris.

Nad morzem wzeszedł księżyc, opasły, pełny, w kolorze krwi, zalewając ocean niezdrowym blaskiem. Ponownie wracam myślą do kościoła i

(wykreślona linia)

Ale Ty tego nie zrozumiesz, Bonesie. To zbyt szalone. Chyba muszę iść spać. Cały czas jestem myślami z Tobą.

Wyrazy szacunku
CHARLES

(Poniższy zapis pochodzi z prywatnego dziennika Calvina McCanna).

20 paźdz. 50 r.

Pozwoliłem sobie dziś rano sforsować zamek spinający stronice księgi; zrobiłem to przed powrotem pana Boone’a. Cały trud na nic; księga napisana jest szyfrem. Podejrzewam, że prostym. Zapewne uporałbym się z nim równie łatwo, jak z zamykającym księgę zamkiem. Diariusz. Jestem przekonany, że napisany został ręką pana Boone’a. Jakąż inną książkę trzymałby na

najciemniejszej półce w bibliotece i na dodatek zamykałby ją na specjalny zamek? Sprawia wrażenie starej, ale kto to wie. Później napiszę więcej, jeśli czas pozwoli; pan Boone koniecznie uparł się zbadać piwnice. Obawiam się, że przerażające wydarzenia, które mają tutaj miejsce, mogą fatalnie wpłynąć na jego zdrowie. Muszę koniecznie wyperswadować mu tę wyprawę…

Ale właśnie wraca.

20 paźdz. 1850 r.

BONESIE!

Nie mogę pisać Nie mogę [*sic*] jeszcze o tym pisać Ja Ja Ja

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

20 paźdz. 50 r.

Tak jak się obawiałem, zapadł ciężko na zdrowiu…

Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

Nie jestem w stanie o tym myśleć; ale mam to wypalone na dnie mojej duszy… ową zgrozę

z piwnicy…!

Jestem teraz sam. Na zegarze wybiło wpół do dziewiątej, dom pogrążony w ciszy, ale…

Znalazłem go nieprzytomnego przy stole, który służy mu do pisania. Teraz śpi. Jakże szlachetnie i z jaką godnością zachował się tam, kiedy przez kilka chwil stałem wstrząśnięty i jak sparaliżowany!

Skórę ma woskowej barwy i chłodną; dzięki Bogu, gorączka minęła. Nie ważę się zabrać go do miasteczka ani zostawić go tu samego i pójść osobiście. Ale gdybym nawet zdecydował się tam wybrać, któż przyjdzie ze mną, żeby mu pomóc? Któż przyjdzie do tego przeklętego domu?

Och, piwnica. To stwory z piwnicy nawiedzają nasze ściany!

22 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

To znowu ja, choć po trzydziestu sześciu godzinach stanu nieświadomości jestem przeraźliwie słaby. Znowu ja… brzmi to jak ponury, gorzki żart. Nigdy już nie będę sobą. Nigdy. Stanąłem oko w oko z szaleństwem i zgrozą stokroć przekraczającą możliwość

opisania jej przez człowieka. A to jeszcze wcale nie koniec.

Sądzę, że gdyby nie Cal, nadszedłby mój kres. Cal jest jedyną wyspą normalności na tym morzu szaleństwa.

O wszystkim ci teraz opowiem.

Zaopatrzyliśmy się w świece, które miały nam służyć podczas przeszukiwania piwnicy. Dawały silne światło, zupełnie wystarczające do naszych celów – diablo wystarczające. Calvin wszelkimi sposobami starał się wyperswadować mi tę wyprawę, powoływał się na moją długotrwałą chorobę, którą niedawno przeszedłem, utrzymywał, że wystarczy, jeśli powykładamy mocne trutki na szczury.

Ja jednak stanowczo nalegałem, więc Calvin w końcu musiał ulec. Westchnął ciężko i oświadczył:

„Skoro pan musi, panie Boone, chodźmy”.

Do piwnicy prowadzą drzwi zapadowe umieszczone w podłodze w kuchni [Cal zapewnia mnie, że teraz, po tym wszystkim, co tam zobaczyliśmy, zabił je na głucho deskami]. Unieśliśmy je z najwyższym trudem.

Z ciemności uderzył w nas okropny smród niewiele różniący się od tego, który przenikał opuszczone miasteczko nad Royal River. Światło

bijące z mojej świecy padło na strome schody niknące w mroku. Były w fatalnym stanie – w jednym miejscu brakowało im nawet stopnia i zamiast niego ziała czarna dziura… natychmiast zrozumiałem, w jaki sposób zginęła nieszczęsna Marcella.

„Proszę bardzo uważać, panie Boone” – ostrzegł Cal.

Odparłem, że cały czas uważam, i ruszyliśmy na dół.

Na dole było klepisko i zupełnie suche ściany z granitu. Miejsce nie sprawiało wrażenia raju dla szczurów; nie było tam nic, z czego mogłyby budować gniazda, żadnych starych pudeł, połamanych mebli, stert papieru i tym podobnych rzeczy. Unieśliśmy świece wysoko nad głowy, uzyskując niewielki krąg światła, dzięki któremu mogliśmy w miarę swobodnie się rozglądać. Klepisko stopniowo opadało. Najwyraźniej znajdowało się pod głównym salonem i jadalnią – to znaczy po stronie zachodniej. Tam też ruszyliśmy. Panowała głucha cisza. Zaduch stawał się coraz silniejszy i zdawało się, że mrok napiera na nas niczym posępna wełna; zupełnie, jakby ciemność była zazdrosna o światło, które chwilowo, po wielu latach, przejęło władzę nad jej dziedziną.

Na samym końcu granitowe ściany ustąpiły, a w ich miejsce pojawiło się gładkie, matowe, czarne jak smoła drewno. Tam też kończyła się piwnica, bo główna komora przechodziła w rodzaj niszy. Żeby dostać się do tej wnęki, należało skręcić.

Bez wahania ruszyliśmy w tamtą stronę.

Pojawiło się przed nami straszliwe widmo przeszłości. Pośrodku niszy stało samotne krzesło, a nad nim zwieszał się, przywiązany do wbitego w belkę podporową haka, przegniły konopny sznur zakończony pętlą.

„A więc tutaj się powiesił – mruknął Cal. – Boże!”

„Tak… a u stóp schodów leżały zwłoki jego córki”.

Cal zaczął coś mówić; i nagle jego wzrok przeniósł się na jakiś punkt za moimi plecami. Wtedy zaczął krzyczeć.

Bones, sam nie wiem, jak opisać Ci widok, który ujrzałem. Jak mam opisać przerażających mieszkańców, którzy gnieździli się w naszych murach?

Przeciwległa ściana odchyliła się i zamajaczyła w ciemnościach, skierowała w naszą stronę twarz – twarz o oczach czarnych jak sam Styks. Bezzębne usta wykrzywiał

przerażający uśmiech; wyciągnęła się do nas żółta przegniła ręka. Stwór zakwilił obrzydliwie i niepewnie postąpił krok w naszą stronę. Światło mojej latarni padło na…

Na jego szyi ujrzałem siną pręgę zostawioną przez sznur!

Za potworem dostrzegliśmy jakiś ruch. Popatrzyłem w tamtą stronę i zobaczyłem coś, o czym będę śnił aż do dnia, w którym w ogóle przestanę o czymkolwiek śnić – zobaczyłem dziewczynę o bladej, gnijącej, wyszczerzonej w trupim uśmiechu twarzy. Jej głowa zwieszała się pod przyprawiającym o obłęd kątem.

Chcieli nas; wiem o tym. Wiem również, że gdybym nie cisnął w stwora latarnią, a następnie stojącym pod pętlą krzesłem, maszkary zaciągnęłyby nas w mrok, żebyśmy stali się tacy sami jak one.

Wszystko, co było dalej, spowija litościwy, nieprzenikniony mrok. Na mój umysł spadła kurtyna. Ocknąłem się, jak powiedziałem, w swoim pokoju, a obok stał Cal.

Gdybym mógł, w samej tylko piżamie i kapciach uciekłbym z tego przerażającego domostwa. Ale nie mogę. Stałem się pionkiem w jakimś większym, mrocznym dramacie. Nie pytaj mnie, skąd o tym wiem… po prostu wiem.

Pani Cloris miała rację, kiedy wspomniała o krwi, która wzywa krew; jakżeż bliska była prawdy, mówiąc o tych, którzy patrzą, i o tych, którzy stoją na straży. Obawiam się, że rozbudziłem Siłę, co drzemała od półwiecza w miasteczku Dola Jeruzalem; Siłę, która uśmierciła moich przodków, biorąc ich w bezbożną niewolę jako Nosferatu – Nieumarłych. Ale jakkolwiek dostrzegam tylko ułamek całości, Bonesie, obawiam się czegoś o wiele gorszego. Gdybym wiedział… gdybym tylko wiedział!

CHARLES

Postscriptum. Naturalnie, na razie piszę to wszystko do szuflady; Preacher’s Corners izoluje się od nas. Nie odważyłbym się udać ze swoim piętnem na pocztę, a Calvin nie zostawi mnie tu samego. Niemniej, jeśli dobry Bóg dopuści, w ten czy w inny sposób, list ten do Ciebie dotrze.

C.

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

23 paźdz. 50 r.

Z dnia na dzień nabiera sił; zamieniliśmy kilka słów o widziadle w piwnicy; zgodziliśmy się, że nie były to ani halucynacja, ani skutek działania ektoplazmy, lecz najprawdziwsza w świecie rzeczywistość. Czy pan Boone, podobnie jak ja, uważa, że odeszli? Być może. Hałasy się uspokoiły, ale w powietrzu ciągle wisi coś złowieszczego, jakby dom spowijał mroczny całun. Odnoszę wrażenie, że czekamy w złudnym Oku jakiegoś dziwacznego Cyklonu…

W sypialni na piętrze, w dolnej szufladzie w szafie z żaluzjowym zamknięciem, znalazłem paczkę papierów. Korespondencja plus pokwitowania rachunków wyraźnie wskazują, że pokój ten należał ongiś do Roberta Boone’a. Ale najciekawszych jest kilka notatek zrobionych na odwrocie reklamy męskich czapek z bobrowego futra. Na górze napisane jest dużymi literami:

Błogosławieni ubodzy

Poniżej widnieje pozorny nonsens:

bko dohłewmehis bsday
ełmg osrari snaudodzd

Jestem pewien, że trafiłem na klucz do szyfru, jakim napisano ową zamykaną na zamek księgę. Z całą pewnością jest to prymitywny szyfr stosowany podczas wojny o niepodległość, znany pod nazwą „sztachety w płocie”. Kiedy opuści się co drugie „zero”, otrzymamy:

boołweibdy
łgsainuoz

Należy czytać to z góry na dół, a nie wzdłuż, i w sumie daje to początkowy cytat z Błogosławieństw[4].

Zanim ośmielę się pokazać to panu Boone’owi, muszę najpierw osobiście dowiedzieć się, o czym ta księga traktuje…

24 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Zdumiewające zjawisko – Cal, zawsze tak małomówny, jeśli nie jest pewien swojego [rzadki i pochwały godny rys ludzkiego charakteru], odnalazł diariusz mojego dziadka, Roberta. Dokument został napisany szyfrem, który Cal samodzielnie złamał. Skromnie stwierdził, że na

pomysł rozwiązania wpadł przez czysty przypadek, ale podejrzewam, że kryły się za tym upór i ogrom włożonej pracy.

Tak czy siak, jakżeż ponure światło rzuca ten dokument na kryjące się tutaj tajemnice!

Wstępny zapis pochodzi z pierwszego czerwca tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, a ostatni z dwudziestego siódmego października tegoż roku… czyli cztery dni przed owym dramatycznym zniknięciem, o którym wspominała pani Cloris. Diariusz opowiada o pogłębiającej się obsesji – mało, o szaleństwie – i w odrażający sposób wyjaśnia związek między moim ciotecznym dziadkiem Philipem, miasteczkiem Dola Jeruzalem a księgą, która spoczywa w zbezczeszczonym kościele.

Samo miasteczko, wedle relacji Roberta Boone'a, powstało wcześniej niż Chapelwaite (zbudowane w tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku) i Preacher's Corners (powstałe w tysiąc siedemset czterdziestym pierwszym i noszące pierwotnie nazwę Preacher's Rest[5]). Założyła je w roku tysiąc siedemset dziesiątym grupa purytanów, którzy odłączyli się od swego macierzystego kościoła. Przewodził im surowy fanatyk religijny James Boon. Jakżeż mnie to zaskoczyło! Jego koligacje z moją rodziną nie

mogą budzić najmniejszych wątpliwości. Pani Cloris, w swojej zabobonnej wierze, miała rację, twierdząc, że w tej kwestii rodzinna krew ma znaczenie kluczowe. Ze zgrozą przypominam sobie teraz jej odpowiedź na moje pytanie o Philipa i jego związek z Dolą Jeruzalem. Odparła: „związek krwi", i obawiam się, że o to w tym wszystkim chodzi.

Miasteczko rozbudowywało się w cieniu kościoła, w którym Boon głosił kazania… i sprawował władzę. Mój dziadek daje również do zrozumienia, że James Boon utrzymywał intymne związki z ogromną liczbą kobiet z miasteczka, zapewniwszy je, że taka jest wola Boga. W rezultacie osada stała się anomalią, jaka mogła zaistnieć wyłącznie w takich wyizolowanych warunkach i w dziwacznych czasach, kiedy wiara w czarownice i wiara w niepokalane poczęcie szły ze sobą w parze – wypaczone, zdegenerowane, przesiąknięte religijną manią miasteczko rządzone przez na wpół oszalałego kaznodzieję, którego doktryna opierała się na dwóch księgach: na Biblii i na złowieszczym dziele de Gourdge'a *Mieszkanie szatana;* społeczność, gdzie na porządku dziennym był rytuał egzorcyzmów; społeczność szalona i kazirodcza, pełna fizycznych defektów

zawsze temu grzechowi towarzyszących. Podejrzewam [wierzę, że Robert Boone był tego samego zdania], że jeden z synów z nieprawego łoża Boona opuścił Dolę Jeruzalem [albo został z niej wygnany], żeby szukać szczęścia na południu – i w ten sposób zapoczątkował naszą linię rodową. Dobrze wiem na podstawie rodzinnych przekazów, że gałąź naszej rodziny wzięła początek w tej części stanu Massachusetts, która później się oderwała i utworzyła odrębny stan Maine. Mój pradziadek, Kenneth Boone, zbił majątek na kwitnącym w tamtych czasach handlu futrami. To za jego pieniądze, pomnożone dzięki późniejszym rozumnym inwestycjom, wiele lat po jego śmierci w roku tysiąc siedemset sześćdziesiątym trzecim zbudowano ten rodowy dom. Chapelwaite wznieśli jego synowie, Philip i Robert. „Krew wzywa krew”, oświadczyła pani Cloris. A może Kenneth, rodzony syn Jamesa Boona, uciekł od szaleństwa swego ojca i jego miasteczka, żeby mieć synów i zbudować dom Boone’ów niecałe trzy kilometry od miejsca, w którym wziął początek ród Boonów? Jeśli tak, czyż nie wydaje się słuszne przypuszczenie, że naszym losem kierowała jakaś potężna i niewidzialna Dłoń?

Zgodnie z diariuszem Roberta, James Boon w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym był już bardzo leciwy – i tak rzeczywiście musiało być. Jeśli to prawda, że założył miasto w wieku dwudziestu pięciu lat, musiał sobie liczyć sto cztery lata – niesamowity wiek. Zacytuję Ci teraz fragment z diariusza Roberta Boone'a.

4 sierpnia 1789

Dzisiaj po raz pierwszy spotkałem tego Człowieka, z którym mój Brat tak chorobliwie się związał; muszę przyznać, że ten Boon posiada dziwny Magnetyzm, który trwoży mnie Wielce. Jest naprawdę Wiekowy, z białą brodą i w czarnej Sutannie, która wydała mi się w jakiś sposób odstręczająca. Bardziej konfundujący był Fakt, że obsiadły go Kobiety, niczym jakiegoś Sułtana otoczonego przez swój Harem; a P. zapewnia mnie, że on jest jeszcze aktywny, jakkolwiek to starzec co najmniej Osiemdziesięcioletni… Samą Wioskę odwiedziłem dotychczas tylko raz i nie chcę tam pojawić się więcej; na Ulicach panuje głucha cisza, a wszystko przenika Strach, który Starzec sieje z Ambony. Odnosiłem wrażenie, że wszystkie Twarze są tam takie same, i wydawało mi się, że ilekroć się obejrzę, ujrzę Oblicze Starca… wszystkie są takie bez wyrazu; wyprane

z Blasku i Emocji, jakby coś wyssało z nich całą Żywotność. Widziałem Dzieci bez Oczu i bez Nosów, Kobiety, które bez Powodu łkały, mamrotały, wskazywały Niebo i przeinaczały słowa Pisma Świętego, żeby rozmawiać z Demonami…

P. życzył sobie, abym pozostał na Nabożeństwie, ale myśl o tym złowieszczym Starcu na Ambonie i Słuchaczach składających się ze skrzyżowanych ze sobą Mieszkańców Miasteczka, wzbudziła we mnie odrazę i wymówiłem się pod byle Powodem…

Zapiski, zarówno poprzedzające ten ustęp, jak i następne, opowiadają o rosnącej fascynacji Philipa osobowością Jamesa Boona. Pierwszego września tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku Philip ochrzcił się w jego kościele i został przyjęty w poczet wiernych. Jego brat mówi: *Przejmowały mnie Zgroza i Przerażenie – mój Brat zmieniał się w oczach – wydawało się zgoła, że zaczyna być podobny do tamtego nikczemnego Człowieka.*

Pierwsza wzmianka o księdze pochodzi z dwudziestego trzeciego lipca. Diariusz Roberta kwituje to krótko: *P., moim zdaniem, dzisiejszego wieczoru wrócił z mniejszej Wioski z Obliczem raczej dzikim. Nie odezwał się słowem aż do chwili, kiedy szedł Spać. Oświadczył wtedy, że*

Boon dopytywał się o Księgę zatytułowaną Tajemnica Glisty. *Żeby zadowolić P., obiecałem mu, że napiszę do firmy Johns & Goodfellow i zapytam o tę książkę; P. aż się płaszczył z Wdzięczności.*

W notatce z dwunastego sierpnia Robert napisał: *Otrzymałem dwa listy na Poczcie dzisiaj… jeden z firmy Johns & Goodfellow w Bostonie. Przysłali Notkę o Księdze, którą P. się Interesuje. W Kraju tym istnieje tylko pięć Egzemplarzy. List raczej chłodny; rzecz zastanawiająca. Przecież Henry'ego Goodfellowa znam od Lat.*

13 sierpnia 1789

P. jak szaleniec podniecony listem Goodfellowa; nie chce powiedzieć dlaczego. Wyznał tylko, że Boon aż się pali, żeby zdobyć Egzemplarz. Nawet nie staram się zgłębiać powodów tego niebywałego zainteresowania, ponieważ Tytuł wydaje się wskazywać na nieszkodliwy Traktat naukowy z dziedziny ogrodnictwa…

Niepokoję się o Philipa; z Dnia na Dzień staje się dziwniejszy. Pragnę, żeby nie wracał do Chapelwaite. Lato jest upalne, duszne, pełne Omenów.

W diariuszu Roberta istnieją jeszcze tylko dwie wzmianki o odrażającej księdze [chyba do

końca nie pojął jej znaczenia]. Oto fragment notatki z czwartego września:

Napisałem do Goodfellowa list z prośbą, żeby w imieniu P. zajął się Kupnem tej książki, aczkolwiek Rozsądek zakazywał mi To czynić. Ale dlaczego niby miałbym tego nie zrobić? Przecież nie kupował za kradzione Pieniądze. Philip Obiecał mi, że da sobie spokój z tym obrzydliwym Baptyzmem… ale ciągle jest taki Podekscytowany; zupełnie jakby miał Gorączkę; nie wierzę mu. Jestem kompletnie zbity z Pantałyku…

I druga notatka, z szesnastego września:

Dzisiaj nadeszła Książka, a wraz z nią list od Goodfellowa, że nie życzy sobie robić ze mną więcej Interesów… P. był podniecony ponad wszelką Miarę – wręcz wyrwał mi Księgę z Rąk. Napisana w niepoprawnej łacinie i Pismem Runicznym, o którym nic nie wiem. Wolumin ten zdawał się zgoła wydzielać przy Dotyku ciepło i wibrował w moim Ręku, jakby posiadał jakąś obłędną Moc… Przypomniałem P. o Obietnicy, że będzie trzymał się od tego wszystkiego z daleka, ale on tylko wybuchnął odrażającym śmiechem, prawie jak Szaleniec,

wymachiwał mi Księgą przed Twarzą i krzyczał w kółko: „Mamy! Mamy! Glista! Sekret Glisty!”.

Teraz wyszedł, podejrzewam, że udał się do swego szalonego Benefaktora i Dzisiaj już go nie zobaczę…

O księdze nic już więcej nie ma, ale wyciągnąłem pewne wnioski, które wydają się bardzo prawdopodobne. Po pierwsze, księga ta, zgodnie z tym, co powiedziała pani Cloris, stała się powodem rozstania Roberta i Philipa; po drugie, księga stanowi kopalnię bezbożnych inkantacji, zapewne pochodzenia druidzkiego [Rzymianie, którzy podbili Brytanię, w imię nauki zachowali w przekazach wiele krwawych rytuałów druidów i dlatego niektóre z tych piekielnych ksiąg znajdują się pośród zakazanej światowej literatury]; po trzecie, Boon i Philip zamierzali wykorzystać księgę do swoich celów. Zapewne w jakiś pokrętny sposób ich intencje były dobre, choć ja osobiście w to nie wierzę. Jestem święcie przekonany, że już wcześniej związali się z jakimiś bezimiennymi siłami egzystującymi poza naszym Wszechświatem… z siłami egzystującymi poza naszym Czasem. Ostatnie ustępy diariusza Roberta Boone’a rzucają posępne światło na dwóch moich przodków i potwierdzają moje spekulacje.

Pozwalam sobie jeszcze raz oddać głos Robertowi:

26 października 1789

Okropne Plotki w Preacher's Corners; Frawley, nasz Kowal, chwycił mnie za Ramię i zapytał: „W co wdali się twój Brat i ten Antychryst?". Goody Randall zaklina się, że były Znaki na Niebie wieszczące wielkie Nieszczęścia. Urodziła się Krowa z dwoma Głowami.

Jeśli idzie o Mnie, największym moim strapieniem jest Szaleństwo mego Brata. W ciągu Jednej Nocy posiwiał, Oczy ma nabiegłe krwią, a ze Źrenic odeszły wszelkie przebłyski Zdrowego Rozsądku. Śmieje się do siebie i mamrocze pod nosem Coś, co jest Zrozumiałe wyłącznie dla niego. Jeśli nie przebywa w Doli Jeruzalem, cały czas spędza w naszej Piwnicy.

Nad Domem i na Trawnikach pojawiają się roje Lelków Kozodojów; ich Piski mieszają się z Mgłą napływającą znad Morza, a nieziemski Wrzask wyklucza wszelką myśl o Śnie.

27 października 1789

Dziś Wieczorem, kiedy P. wybrał się do Doli Jeruzalem, poszedłem za nim. Trzymałem się w bezpiecznej Odległości, żeby uniknąć Wykrycia.

Stada Przeklętych Lelków krążyły w Lesie, wypełniając wszystko przeraźliwym, monotonnym zawodzeniem. Nie odważyłem się przekroczyć Mostu. Miasto spowijały ciemności i światło paliło się tylko w Kościele, który zatopiony był w upiornym, czerwonym Blasku zamieniającym wysokie łukowe Okna w Oczy Piekieł. Głosy wznosiły się i opadały w Diabelskiej Litanii, czasem słychać było śmiech, a czasem łkanie. Sama Ziemia wydawała się pęcznieć i jęczeć pod moimi stopami, jakby nosiła jakiś olbrzymi Ciężar. Uciekłem zdumiony i ogarnięty Przerażeniem. Kiedy biegłem przez pogrążony w mroku las, uszy kłuły mi przeszywające Wrzaski Lelków.

Wydaje się, że wszystko zmierza do jakiegoś Punktu Szczytowego. Boję się Zasnąć ze względu na Sny, jakie mogą przyjść, ale i boję się nie spać ze względu na przerażające rzeczy, które mogą nadejść. Noc wypełniona jest okropnymi Dźwiękami i boję się…

A jednak czuję nieprzepartą potrzebę pójść tam ponownie, zobaczyć, zrozumieć. Wydaje się, że to sam Philip mnie wzywa, i Starzec.

Ptaki…

przeklęty przeklęty przeklęty.

Tutaj diariusz Roberta Boone’a się kończy.

Ale musisz zwrócić uwagę, Bonesie, że on sam przyznaje, iż odniósł wrażenie, że Philip osobiście go wołał. Ostateczne wnioski sformułowałem na podstawie tego, co wyczytałem w diariuszu, tego, co usłyszałem od pani Cloris, a przede wszystkim po obejrzeniu owych przerażających stworzeń w piwnicy – martwych, a jednak żywych. Nasz ród jest nieszczęśliwy, Bonesie. Ciąży na nas przekleństwo, którego nie sposób się pozbyć… W tym domu i w tamtym miasteczku istnieje jakiś obrzydliwy cień życia. I ponownie zbliża się punkt kulminacyjny tego cyklu. Jestem ostatnim z Boone’ów. Obawiam się, że to coś również o tym wie. Wie, że jestem ogniwem w tym łańcuchu zła, którego umysł ludzki nie jest nawet w stanie pojąć. Rocznica przypada w wigilię Wszystkich Świętych – to już za tydzień.

Co mam robić? Gdybyś tylko tu był, gdybyś mógł mi doradzić, pomóc! Gdybyś tylko tu był!

Muszę się wszystkiego dowiedzieć; muszę wrócić do tego nawiedzonego miasteczka. Może Bóg mi pomoże!

CHARLES

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

25 paźdz. 50 r.

Pan Boone przespał prawie cały dzisiejszy dzień. Twarz ma bladą i wymizerowaną. Obawiam się, że wróci gorączka.

Kiedy zmieniałem mu wodę w karafce, ujrzałem na stole dwa niewysłane listy do pana Gransona na Florydzie. Zamierza wrócić do Doli Jeruzalem; jeśli na to pozwolę, ta wyprawa go zabije. Czy odważę się wymknąć do Preacher's Corners, żeby wynająć jakiś powóz? Muszę, ale co się stanie, jeśli obudzi się pod moją nieobecność? Jeśli wrócę, a jego już nie będzie?

Znów rozlegają się hałasy w ścianach. Dzięki Bogu śpi! Jestem przerażony.

Później

Przyniosłem mu na tacy kolację. Planuje wstać za trochę i mimo jego wykrętnych zapewnień, dobrze wiem, co zamierza uczynić. A jednak wybiorę się do Preacher's Corners. W moich rzeczach zostało kilka nasennych tabletek, które przepisano mu w czasie jego ostatniej choroby. Rozpuściłem jedną w płynie, który wypił nieświadom tego, że w środku był proszek. Znowu śpi.

Przeraża mnie myśl, że zostawiam go sam na sam z tymi Tworami hałasującymi w ścianach.

Z każdym kolejnym dniem hałasy te trwożą mnie coraz bardziej. Zamknąłem go w pokoju na klucz.

Da Bóg, że kiedy wrócę z powozem, zastanę go bezpiecznego, w dobrym zdrowiu i wciąż pogrążonego w głębokim śnie.

Jeszcze później

Ciskali we mnie kamieniami! Ciskali we mnie kamieniami jak we wściekłego psa! Potwory i demony! Ci, którzy noszą miano człowieka. Tkwimy tu jak w więzieniu…

Ptaki, lelki, zaczynają się gromadzić.

26 października 1850 r.

DROGI BONESIE!

Już prawie zmierzch. Właśnie się obudziłem. Przespałem niemal dwadzieścia cztery godziny. Jakkolwiek Cal nie zająknął się słowem na ten temat, podejrzewam, że mając na względzie moje dobro, wsypał mi do herbaty środek nasenny. Jest dobrym, oddanym przyjacielem, ma jak najlepsze intencje, więc nic nie powiem.

Niemniej moje postanowienie jest niezłomne. Jutro też będzie dzień. Jestem spokojny, zdecydowany, ale odnoszę wrażenie, że wraca mi gorączka. Jeśli tak rzeczywiście jest, wszystko

musi wydarzyć się jutro. Zapewne lepiej, żebym uczynił to dzisiejszej nocy. Ale nawet ognie piekielne nie zmuszą mnie do postawienia po ciemku stopy w tamtym miasteczku.

Kończę, Bonesie, niech Bóg czuwa nad tobą.

CHARLES

Postscriptum. Znów zaczęły się wydzierać ptaki i ponownie dochodzą owe przerażające szurania. Cal myśli, że ich nie słyszę, ale ja słyszę je bardzo dobrze.

C.

(Z prywatnego dziennika Calvina McCanna)

27 paźdz. 50 r.

Piąta nad ranem

Jest nieugięty w swoim postanowieniu. Bardzo dobrze. Idę z nim.

4 listopada 1850 r.

DROGI BONESIE!

Słaby, ale przytomny. Nie jestem pewien daty, lecz kalendarz przypływów i odpływów morza

oraz wschodów i zachodów słońca upewnia mnie, że w nagłówku listu umieściłem właściwą datę. Siedzę przy tym samym biurku, na którym pisałem do Ciebie pierwszy list z Chapelwaite, i spoglądam na mroczniejące morze, które pławi się w ostatnich przebłyskach dnia. Noc nadchodzi szybko. Kolejnego zachodu słońca nigdy już nie zobaczę. Ta noc należy do mnie; później wszystko zostawię, choć nie wiem, jaki będzie ten cień, w który wkroczę.

Z jaką siłą fale morskie tłuką w skały przylądka! W ciemniejące niebo biją strugi piany. Ocean sprawia, że pod mymi stopami drży podłoga. W szybie widzę swoje odbicie; twarz mam bladą jak wampir. Od dwudziestego siódmego października nie miałem nic w ustach. Nie miałbym również wody, gdyby tamtego dnia Calvin zapobiegliwie nie postawił mi przy łóżku pełnej karafki.

Och, Cal! Jego już nie ma, Bonesie. Poszedł za mnie, poszedł zamiast tego nikczemnika o patykowatych kończynach i kościstej twarzy, którego odbicie widzę w szybie. A jednak może przypadł mu w udziale lepszy los; nie dręczą go już sny, które w ciągu tych kilku ostatnich dni towarzyszyły mi ciągle. Pokraczne kształty, które czają się w koszmarnych korytarzach delirium.

Nawet teraz trzęsą mi się ręce; poplamiłem papier atramentem.

Tamtego ranka, kiedy zamierzałem się wymknąć chyłkiem z domu, stanął przede mną Cal… a wydawało mi się, że jestem taki przebiegły. Oświadczyłem mu wcześniej, że zdecydowałem się wyjechać z Chapelwaite, i poleciłem, żeby udał się do odległego o jakieś piętnaście kilometrów Tandrell, gdzie byliśmy mniej znani, i wynajął dwukołowy wózek konny. Zgodził się, a później widziałem go, jak oddalał się drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża.

Kiedy już zniknął mi z oczu, szybko przygotowałem się do wyprawy. Wdziałem palto i szalik [zdarzały się już przymrozki; pierwsze zwiastuny nadchodzącej zimy]. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zabrać rewolweru, ale rozśmieszył mnie ten pomysł. Co na to może pomóc rewolwer?

Wymknąłem się kuchennym wyjściem. Na chwilę przystanąłem w progu, żeby jeszcze raz rzucić okiem na morze i niebo; chciałem jeszcze raz odetchnąć świeżym powietrzem, ponieważ niebawem wdychać miałem odór zgnilizny… Chciałem jeszcze raz popatrzeć na szybujące pod niskimi chmurami mewy.

Odwróciłem się… Przede mną stał Calvin McCann.

„Nie powinien pan tam iść sam” – oświadczył.

Takiej powagi na jego twarzy nigdy jeszcze nie widziałem.

„Ależ Calvinie…” – zacząłem.

„Ani słowa, proszę pana! Pójdziemy razem i zrobimy to, co musimy, albo siłą zawlokę pana z powrotem do domu. Nie czuje się pan najlepiej. Nie wolno panu iść samemu”.

Nie potrafię oddać uczuć, jakie mną zawładnęły: zmieszanie, uraza, wdzięczność… ale przede wszystkim ogromna miłość.

W milczeniu minęliśmy letni domek i zegar słoneczny, minęliśmy pokryty wodorostami brzeg morza, po czym zagłębiliśmy się w las. Panowała śmiertelna cisza – ptak nie zaśpiewał, nie trzasnęła gałązka. Zdawało się, że na świat opadł całun milczenia. Ciągle tylko towarzyszyły nam zapach soli oraz płynąca z oddali delikatna woń dymu. Las stał w przepysznej szacie jesiennych barw, ale moim zdaniem przeważał w nich szkarłat.

Niebawem zapach soli rozwiał się, a jego miejsce zajął inny, bardziej złowieszczy odór tamtego miejsca – smród zgnilizny, o którym już wspominałem. Kiedy dotarliśmy do chybotliwego

mostu spinającego brzegi Royal River, spodziewałem się, że Cal ponownie zacznie nalegać, żebyśmy zaniechali dalszej wędrówki. Ale on nie odezwał się słowem. Przystanął tylko, obrzucił spojrzeniem kłującą szyderczo niebo iglicę kościoła i popatrzył na mnie. Podjęliśmy marsz.

Przepełnieni lękiem, ale zdecydowani kroczyliśmy do kościoła Jamesa Boona. Drzwi były ciągle rozwarte, jak zostawiliśmy je ostatnim razem, a panujący wewnątrz mrok najwyraźniej łypał na nas pożądliwie. Kiedy wstępowaliśmy na schodki, poczułem, że serce we mnie zamiera, a gdy kładłem dłoń na klamce i otwierałem drzwi, palce mi drżały. Smród w środku był chyba jeszcze gorszy i bardziej chorobliwy niż poprzednio.

Weszliśmy do pogrążonego w półmroku przedsionka, a z niego bez chwili zwłoki do kościoła.

Panował tam nieopisany bałagan.

Kościół zdemolowało coś ogromnego. Ławki były powywracane, połamane i jak bierki ciśnięte niedbale na stos. Odrażający krzyż leżał pod wschodnią ścianą, a dziura w murze świadczyła, z jaką siłą nim rzucono. Lampy oliwne powyrywano z obudowy, toteż opary

tranu mieszały się z okropnym smrodem, który przenikał całe miasteczko. A wzdłuż nawy głównej, jak upiorny ślubny kobierzec, ciągnęła się smuga czarnego błota wymieszanego z posoką. Prowadziła do ambony – jedynej nienaruszonej rzeczy w kościele. Na pulpicie, znad bluźnierczej Księgi, spoglądało na nas nieruchomymi, szklistymi oczyma zarżnięte jagnię.

„Boże” – szepnął Calvin.

Podeszliśmy w tamtą stronę, unikając jak ognia szlamu na posadzce. Nasze kroki budziły rozliczne echa, które zmieniały odgłos stąpania w czyjś grzmiący śmiech.

Na podwyższenie weszliśmy jednocześnie. Jagnię nie zostało zarżnięte czy zagryzione. Coś lub ktoś tak mocarnie je ścisnął, że stworzeniu popękały naczynia krwionośne. Krew rozlewała się odrażającą, gęstą kałużą na ołtarzu i spływała do jego podstawy… ale na samej księdze zalegała tylko cienką, przezroczystą warstwą i zawiłe runy widoczne były niczym przez kolorowe szkło!

„Czy musimy jej dotykać?” – spytał niewzruszony Cal.

„Tak. Muszę ją zabrać”.

„Po co?”

„Żeby zrobić to, co należało uczynić sześćdziesiąt lat temu. Zamierzam ją zniszczyć”.

Odciągnęliśmy martwe jagnię; zwłoki upadły na posadzkę ze wstrętnym, mlaszczącym dźwiękiem. Zbrukane krwią stronice zdawały się wydzielać własny, szkarłatny blask.

W uszach zaczęło mi dzwonić i szumieć; ze ścian świątyni płynął niski, monotonny śpiew. Widząc skrzywioną twarz Cala, pojąłem, że on również to słyszy. Ziemia pod stopami zadrżała, jakby przybywał mieszkaniec tego nawiedzonego kościoła, żeby bronić swej własności. Struktura normalnej przestrzeni i czasu zdawała się pękać i łamać. Kościół wypełnił się widmami, lśniąc piekielnym blaskiem odwiecznego, zimnego ognia. Wydawało mi się, że dostrzegam przerażającą i zniekształconą postać Jamesa Boona, tańczącego wokół spoczywającego na wznak ciała kobiety, a tuż za nim ujrzałem mego ciotecznego dziadka Philipa, nowicjusza, odzianego w czarną sutannę z kapturem. W dłoniach trzymał nóż i puchar.

Deum vobiscum magna vermis…

Widniejące na stronicy księgi słowa zadrżały i wykrzywiły się, pławiły się w ofiarnej krwi, nagrodzie dla stwora, który przybył spoza gwiazd…

Ślepi, wymieszani ze sobą wierni kołysali się w zapamiętałym, demonicznym modlitewnym ruchu; ich zdeformowane twarze wypełnione były żarliwym, odrażającym oczekiwaniem…

Teraz łacinę zastąpił starszy język, pochodzący z czasów, kiedy nie było jeszcze Egiptu i piramid, pochodzący z czasów, kiedy Ziemia stanowiła jeszcze kulę kipiącego w pustej przestrzeni gazu…

Gyyagin vardar Yogsoggoth! Verminis! Gyyagin! Gyyagin! Gyyagin!

Pulpit zaczął drżeć i pękać, unosić się w powietrze…

Calvin wrzasnął i uniósł ramię, żeby zasłonić twarz. Cały ołtarz i absyda kościoła trzęsły się potężnym, mrocznym ruchem, jak okręt ciskany przez burzę. Porwałem księgę i trzymałem ją w wyciągniętych rękach; odnosiłem wrażenie, że spali mnie żarem słońca, spopieli, oślepi.

„Niech pan ucieka! – wrzasnął Calvin. – Niech pan ucieka!”

Ale stałem jak słup soli i obca istota wypełniła mnie niczym starożytne naczynie, które czekało przez lata… przez całe pokolenia!

„Gyyagin vardar! – wrzasnąłem. – Sługa Yogsoggotha, Bezimiennego! Glisty spoza Przestrzeni! Pożeracz Gwiazd! Niszczyciel Czasu!

Verminis! Oto nadchodzi Godzina Spełnienia! Czas Zapłaty! Verminis! Alyah! Alyah! Gyyagin!”

Calvin pchnął mnie. Zachwiałem się, kościół zawirował mi przed oczyma i upadłem na posadzkę. Uderzyłem głową w krawędź przewróconej ławki i czaszkę objął mi ogień… ale umysł jakby mi przejaśniał.

Po omacku sięgnąłem po zapałki, które ze sobą zabrałem.

Kościół wypełnił dobiegający z trzewi ziemi grzmot. Ze ścian i z sufitu zaczął płatami odpadać gips. Zardzewiały dzwon na wieży kościelnej odezwał się zdławionym, diabelskim kurantem, współczującą wibracją.

Zapłonęła zapałka. Dotknąłem nią księgi w tej samej chwili, kiedy eksplodował pulpit i roztrzaskał się na drzazgi. Na jego miejscu rozwarła się otchłań. Cal zachwiał się na jej krawędzi, wyciągnął ramiona, otworzył usta w przeraźliwym krzyku, który zapamiętam do końca swoich dni.

I wtedy napłynęło olbrzymie, szare, drgające cielsko. Smród przechodził wszelkie wyobrażenie. Była to ogromna, wylewająca się, zawiesista, pokryta pęcherzami galareta, monstrualny, odrażający kształt, który bił w niebo prosto z najgłębszych otchłani ziemi.

I wtedy też, w nagłym, straszliwym przebłysku, pojąłem to, o czym nie wiedział żaden człowiek. Spostrzegłem, że był to zaledwie jeden pierścień, jeden tylko segment potwornej glisty, która pozbawiona oczu przez lata trwała w sklepionej pieczarze mroku pod tym odrażającym kościołem!

Księga w moim ręku płonęła jasnym płomieniem, a Stwór krzyczał nade mną bezgłośnym wrzaskiem. Trafiony koszmarnym ciosem Calvin z przetrąconym karkiem przeleciał przez cały kościół jak szmaciana lalka.

To coś zapadało się… Stwór zapadał się, zostawiając jedynie olbrzymią dziurę otoczoną zwałami czarnej piany, a powietrze rozdarł potężny krzyk i okropne mlaskanie, które ginęły w jakiejś ogromnej dali. W końcu zapadła cisza.

Popatrzyłem pod nogi. Z księgi pozostał tylko popiół.

Zacząłem się śmiać, potem zawodzić jak zraniona bestia.

Opuścił mnie cały zdrowy rozsądek, usiadłem na podłodze, ze skroni płynęła mi krew, krzyczałem i mamrotałem coś w tym bezbożnym mroku, a Calvin leżał rozciągnięty w odległym kącie, spoglądając na mnie nieruchomymi

lśniącymi oczyma, w których zakrzepł wyraz najwyższej trwogi.

Nie mam najmniejszego pojęcia, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Nie potrafię tego określić. Ale kiedy wróciła mi zdolność jasnego myślenia, otaczające mnie cienie wydłużyły się; zapadał zmrok. Uwagę moją przykuł ruch w dziurze wybitej w posadzce kościoła.

Pośród potrzaskanych desek podłogi pojawiła się dłoń.

Szaleńczy rechot zamarł mi w gardle. W jednej chwili miejsce histerii zajęła zgroza. Poczułem, że z głowy odpływa mi cała krew.

Ze straszliwą, mściwą powolnością gnijąca postać wydobywała się z ciemności, odwracając w moją stronę połowę czaszki. Na czole, po gołym mięsie, spacerowały robaki. Zgniła sutanna zwisała krzywo z próchniejących obojczyków. Tylko oczy były żywe – czerwone, pełne szaleństwa jamy spoglądały na mnie z wyrazem czegoś więcej niż szaleństwo; spoglądały na mnie pełne pustego życia niezmierzonych pustek poza granicami naszego Wszechświata.

Stwór przyszedł, żeby zabrać mnie na dół, w ciemność.

I wtedy, skrzecząc, uciekłem. Zostawiłem ciało mego wieloletniego przyjaciela w tamtym miejscu żywej zgrozy. Biegłem tak długo, aż powietrze w moich płucach i mózg w czaszce stały się niczym rozpalona magma. Biegłem tak długo, aż dotarłem do tego nawiedzonego i splugawionego domu, do mego pokoju, gdzie upadłem i jak martwy leżałem aż do dzisiaj. Biegłem, ponieważ nawet mimo szaleństwa, jakie mnie ogarnęło, mimo że stwór był animowanym w przerażający sposób trupem, dostrzegłem w nim rodzinne podobieństwo. Ale nie był to ani Philip, ani Robert, których portrety wiszą w galerii na piętrze. Owo gnijące oblicze należało do Jamesa Boona, Strażnika Glisty!

Ciągle żyje gdzieś w splątanych, pozbawionych światła otchłaniach rozciągających się pod Dolą Jeruzalem i Chapelwaite… Spalenie księgi fatalnie pokrzyżowało mu szyki, ale istnieją przecież inne jeszcze jej kopie.

Niemniej stanowię bramę i jestem ostatnim człowiekiem, w którego żyłach płynie krew Boone’ów. W imię dobra ludzkości muszę umrzeć… i przerwać raz na zawsze ten łańcuch.

Niebawem utopię się w morzu, Bonesie. Moja podróż, podobnie jak opowieść, dobiega końca.

Niech Bóg zawsze ma Cię w Swej opiece.

CHARLES

Owe osobliwe papiery dotarły w końcu do pana Everetta Gransona, do którego były adresowane. Podejrzewano nawrót zapalenia opon mózgowych, które pierwotnie dotknęło Charlesa Boone’a po śmierci żony w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, a później sprawiło, że zwariował i zamordował swego towarzysza i wieloletniego przyjaciela, pana Calvina McCanna.

Notatki w prywatnym dzienniku pana McCanna są fascynującym przykładem fałszerstwa, bez wątpienia spreparowanego przez Charlesa Boone’a w celu uwiarygodnienia swoich paranoidalnych iluzji.

W co najmniej dwóch miejscach Charles Boone przeliczył się. Po pierwsze, kiedy „ponownie odkryto” (używam naturalnie terminu historycznego) Dolę Jeruzalem, posadzka w absydzie kościoła, jakkolwiek zbutwiała, nie nosiła śladów żadnej eksplozji ani jakichś szczególnych zniszczeń. Chociaż starodawne ławki były powywracane, a kilka okien wybitych, z całą pewnością jest to dziełem

wandali z sąsiednich miasteczek dokonanym w ciągu kilku ostatnich lat. Pośród starszych mieszkańców Preacher’s Corners i Tandrell wciąż wprawdzie krążą pewne pogłoski o Doli Jeruzalem (zapewne w tamtych czasach była to nieszkodliwa miejscowa legenda, która wywarła tak straszliwy skutek na chory umysł Charlesa Boone’a), ale one nie mają z całą sprawą nic wspólnego.

Po drugie, Charles Boone wcale nie był ostatnim przedstawicielem swego rodu. Jego dziadek, Robert Boone, spłodził przynajmniej dwoje dzieci z nieprawego łoża. Pierwsze zmarło w niemowlęctwie. Drugi syn przyjął nazwisko ojca i osiedlił się w miasteczku Central Falls w Rhode Island. Jestem ostatnim potomkiem tej gałęzi rodu Boone’ów; dalekim krewnym Charlesa Boone’a. Papiery te są w moim posiadaniu od dziesięciu lat. Przedstawiam je do wglądu publicznego z okazji objęcia w posiadanie naszego gniazda rodowego, Chapelwaite, w nadziei, że w głębi duszy Czytelnik odniesie się ze współczuciem do nieszczęsnej, zabłąkanej duszy Charlesa Boone’a. Na tyle, na ile mogę stwierdzić, w jednym miał on rację: miejsce to gwałtownie wymaga interwencji eksterminatora.

W ścianach, sądząc po dźwiękach, grasują olbrzymie szczury.

Podpisano:
James Robert Boone
2 października 1971 r.

CMENTARNA SZYCHTA

Piątek, druga w nocy

Hall siedział na ławce obok windy, w jedynym miejscu na drugim piętrze, gdzie prosty robol mógł złapać dyma nawet w obecności Warwicka. Ale Hall wcale nie miał ochoty na spotkanie z Warwickiem. Zresztą brygadzista podczas cmentarnej szychty[6] przeważnie nie pojawiał się na górze przed trzecią. Z całą pewnością siedział teraz w swoim biurze w suterenie i pił kawę zaparzoną w dzbanku z grzałką, który stał na skraju biurka. Zwłaszcza że panował nieludzki upał.

Był to najgorętszy czerwiec, jaki zanotowano w Gates Falls, i maksymalno-minimalny termometr zawieszony również obok windy którejś nocy o trzeciej nad ranem zatrzymał się na pięćdziesięciu dwóch stopniach Celsjusza. Bóg jeden wie, jakie piekło musiało panować

w fabryce podczas zmiany między trzecią a jedenastą.

Hall stał przy zgrzeblarce, potężnej maszynie wyprodukowanej jeszcze w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym w firmie z Cleveland, która dawno już przestała istnieć. Hall pracował tu zaledwie od kwietnia i ciągle dostawał minimalną stawkę – dolara siedemdziesiąt osiem za godzinę, ale na razie zupełnie mu to odpowiadało. Nie miał żony, nie miał stałej dziewczyny, nie musiał płacić alimentów. Był włóczęgą i w ciągu ostatnich trzech lat przebył długą drogę od Berkeley (uczeń w liceum) przez Lake Tahoe (pomocnik kelnera), Galveston (robotnik portowy), Miami (kuchcik w barze szybkiej obsługi), Wheeling (taksówkarz i pomywacz w knajpie) do Gates Falls w Maine (operator zgrzeblarki). Nie planował ruszać się stąd aż do nadejścia pierwszych śniegów. Z natury samotnik, najbardziej lubił pracować w godzinach od dwudziestej trzeciej do siódmej rano, kiedy krążenie krwi w fabryce było najwolniejsze, nie wspominając już o najniższej temperaturze.

Nie cierpiał tylko szczurów.

Drugie piętro stanowiło rozległe i opustoszałe pomieszczenie oświetlane drżącym światłem

neonówek. W przeciwieństwie do pozostałych poziomów fabryki panowała tu względna cisza i nie było żywego ducha – w każdym razie na drugim piętrze ludzi przebywało niewielu. Inna sprawa szczury. Na dwójce stała tylko zgrzeblarka; resztę przestrzeni zajmował magazyn dla czterdziestopięciokilogramowych worków z wełną, którą posortować miał dopiero Hall w swojej maszynie zaopatrzonej w koła zębate. Worki ciągnęły się długimi rzędami niczym sznury serdelków, a niektóre z nich (zwłaszcza te z grubym materiałem wełnianym i różnej długości skrawkami, co do których nie było żadnych poleceń) stały tam już od lat pokryte grubą warstwą kurzu i najprzeróżniejszych odpadków przemysłowych. Stanowiły wymarzone miejsce na gniazda dla szczurów, olbrzymich, wypasionych stworzeń o wściekłych oczach i ciałach pełnych pcheł oraz innego robactwa.

Hall wyrobił sobie zwyczaj gromadzenia niewielkiego arsenału puszek po napojach, które w przerwach wybierał z beczek ze śmieciami. Kiedy miał mniej roboty, ciskał nimi w szczury, a później, w dogodnej chwili, zbierał te swoje pociski z powrotem. Lecz tym razem nakrył go na tej rozrywce Pan Brygadzista, który dla

odmiany wszedł po schodach, a nie wjechał windą; wszyscy zresztą wiedzieli, że ten skurwiel lubi robić takie zmyłki.

– Co ty wyprawiasz, Hall?

– Szczury – odparł lakonicznie, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonująco musiało to zabrzmieć teraz, kiedy wszystkie bydlaki bezpiecznie czmychnęły do swoich nor. – Jak tylko jakiegoś widzę, walę w niego puszką.

Warwick energicznie skinął głową. Był zwalistym, muskularnym mężczyzną z wysoko podgolonym karkiem. Rękawy koszuli miał podwinięte, a krawat opuszczony. Popatrzył uważnie na Halla.

– Panie, nie płacimy panu za rzucanie puszkami w szczury. Nawet jeśli pan te puszki później zbiera.

– Od dwudziestu minut Harry nic mi z góry nie przysłał – odparł Hall, myśląc: Dlaczego, do cholery ciężkiej, nie siedzisz na dupie w swoim biurze i nie popijasz kawy? – Co mam niby przepuszczać przez zgrzeblarkę, skoro nic nie nadchodzi?

Warwick ponownie skinął głową. Najwyraźniej ten temat przestał go interesować.

– Chyba przejdę się na górę do Wisconsky'ego – oświadczył. – Stawiam pięć do jednego, że czyta

sobie gazetę, a towar gromadzi mu się w worach.

Hall pominął te słowa milczeniem.

– O, tam jest jeden! Wal w skurwysyna! – mruknął nagle Warwick, wskazując palcem.

Hall potężnym wymachem znad głowy prasnął trzymaną w ręku puszką po nehi. Gapiący się na nich z lnianego worka szczur o błyszczących, obleśnych ślepkach czmychnął z cichym piskiem. Warwick, kiedy Hall ruszył po puszkę, odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

– No, ale przyszedłem tutaj w innej sprawie – powiedział.

– W jakiej?

– Za tydzień wypada Czwarty Lipca.

Hall skinął głową. Fabryka będzie od poniedziałku do soboty zamknięta. Pracownicy zatrudnieni przez co najmniej rok dostaną tydzień pełnopłatnych wakacji. Pozostali – pójdą na chwilowe bezrobocie.

– Chcesz w tym czasie popracować?

Hall wzruszył ramionami.

– Co miałbym robić?

– Chcemy posprzątać piwnice. Nikt tam nie był od dwunastu lat. Syf i malaria! Użyjemy sikawek.

– Miasto nacisnęło trochę na radę nadzorczą?

Warwick nie spuszczał z Halla wzroku.

– Chcesz pracować? Dwa na godzinę. Czwartego podwójna stawka. Robić będziemy podczas cmentarnej szychty, bo wtedy najchłodniej.

Hall szybko to sobie przekalkulował. Po odjęciu podatków może zarobić na czysto siedemdziesiąt pięć dolców. Dobra psu mucha, skoro może nie mieć nic.

– W porządku.

– W takim razie w poniedziałek w farbiarni.

Hall patrzył, jak Warwick podąża w kierunku schodów. W połowie drogi brygadzista przystanął i odwrócił się w jego stronę.

– Masz maturę, prawda?

Hall skinął głową.

– No cóż, maturzysto, będę o tym pamiętał.

Odszedł. Hall usiadł, zapalił następnego papierosa i ściskając w dłoni puszkę po wodzie sodowej czekał na szczury. Wyobrażał sobie, co będzie się działo w piwnicach – był to poziom leżący jeszcze pod suterenami, pod farbiarnią. Wilgoć, mrok, masa pająków i zgniłych szmat, wszystko ocieka wilgocią od przepływającej pod bokiem rzeki… no i szczury. Może nawet nietoperze, lotnicy z rodziny szczurowatych. Brrr.

Cisnął z całych sił puszką i uśmiechnął się lekko, słysząc dobiegający przewodami z góry głos Warwicka sztorcującego zatopionego w lekturze Harry'ego Wisconsky'ego.

No cóż, maturzysto, będę o tym pamiętał.

Nieoczekiwanie przestał się śmiać i zgniótł niedopałek. W kilka chwil później Wisconsky zaczął przysyłać pneumatyczną windą surowy nylon i Hall zabrał się do pracy. Po jakimś czasie szczury powyłaziły z nor, usadowiły się na workach i przez całą długość pomieszczenia spoglądały na niego swymi nieruchomymi oczyma, które nawet nie mrugały. Gryzonie wyglądały jak sędziowie z ławy przysięgłych.

Poniedziałek, dwudziesta trzecia

Kiedy pojawił się Warwick ubrany w stare dżinsy wpuszczone w wysokie kalosze, w farbiarni siedziało ich już trzydziestu sześciu. Hall słuchał tego, co opowiadał mu Harry Wisconsky. Harry był przeraźliwie gruby, przeraźliwie leniwy i przeraźliwie ponury.

– Tam dopiero będą jaja – mówił właśnie Wisconsky, gdy wszedł Warwick. – Wrócimy do domu czarniejsi niż noc w Persji.

– W porządku – oznajmił Warwick. – Przeciągniemy na dole kabel z sześćdziesięcioma żarówkami tak, że będziecie mieli dosyć światła, żeby widzieć, co robicie. Wy, chłopcy – wskazał grupę mężczyzn opartych o schnące szpule – podłączycie szlauchy do głównego hydrantu, tego na klatce schodowej. Rozwińcie je i puśćcie po schodach. Na każdego przypadnie siedemdziesięciometrowy wąż. Starczy aż nadto. I niech żaden nie będzie taki rezolutny, żeby oblać kolegę, bo w trybie przyśpieszonym wyśle go do szpitala. Nasze szlauchy biją z okropną siłą.

– Ktoś cały z tej imprezy nie wyjdzie – prorokował kwaśno Wisconsky. – Sami zobaczycie.

– A wy, chłopaki – brygadzista wskazał grupę, w której znajdowali się Hall i Wisconsky – dzisiaj będziecie zbierać ten syf. Rozejdziecie się parami po piwnicach. Każda dwójka zabierze ze sobą wózek elektryczny, na który złoży wszystkie stare meble biurowe, worki z materiałem oraz zużyte części maszyn i urządzeń. Zwalicie to wszystko przy szybie wentylacyjnym po zachodniej stronie. Czy ktoś nie wie, jak się obsługuje wózek?

Nie podniosła się żadna ręka. Wózki elektryczne miały napęd akumulatorowy

i wyglądem przypominały miniaturowe wywrotki. Dłużej używane wydzielały przyprawiający o mdłości odór, który Hallowi przypominał smród palącej się izolacji.

– Zatem w porządku – podsumował Warwick. – Podzielimy piwnicę na sekcje i uporamy się z tym do czwartku. W piątek usuniemy cały szmelc wyciągiem łańcuchowym. Są jakieś pytania?

Nie było.

Hall bacznie obserwował twarz brygadzisty. Nagle ogarnęło go przeczucie, że wydarzy się coś niezwykłego. Bardzo mu ta myśl przypadła do gustu. Nie darzył brygadzisty zbytnią sympatią.

– Doskonale – zakończył Warwick. – Do roboty.

Wtorek, druga w nocy

Hall był już zmęczony i miał serdecznie dosyć nieustannego trajkotania Wisconsky’ego, który uskarżał się na swój los. Przez chwilę nawet rozważał myśl, czyby mu czymś ciężkim nie przyłożyć. Wiedział jednak, że nie odniosłoby to żadnego skutku, a Wisconsky miałby kolejny powód do gderania.

Hall od początku zdawał sobie sprawę, że podejmują się paskudnej roboty; rzeczywistość pokazała, że praca jest mordercza. Przede wszystkim nie przewidywał aż takiego smrodu. Fetor bijący z zanieczyszczonej ściekami rzeki mieszał się z odorem gnijących szmat, mokrej zaprawy murarskiej i rozkładających się roślin. Na samym początku Hall odkrył w odległym kącie całą kolonię olbrzymich muchomorów pleniących się bujnie w szczelinach w potrzaskanym betonie, gdzie woda naniosła muł. Kiedy wyciągał zalegające w tamtym miejscu wielkie, zardzewiałe koło zębate, przez przypadek dotknął ręką grzyba; okazał się zdumiewająco ciepły i mięsisty, jak człowiek dotknięty puchliną wodną.

Żarówki nie były w stanie rozproszyć zalegającego tu od dwunastu lat mroku; spychały go tylko nieznacznie, rozsiewając słabowity, żółtawy blask. Piwnice z wysokimi sufitami i niepotrzebnymi już, niezdatnymi do ponownego uruchomienia maszynami i urządzeniami o rozmiarach mamutów, z wilgotnymi ścianami porośniętymi płatami żółtego mchu i z atonalnym chórem wody tryskającej ze szlauchów, spływającej prawie zatkanymi kanałami kończącymi się w rzece, tuż

za wodospadami, przywodziły na myśl nawę jakiejś zrujnowanej, zbezczeszczonej świątyni.

I szczury – tak wielkie, że te z drugiego piętra wydawały się przy nich karzełkami. Bóg jeden wie, czym się tutaj żywiły. Bez przerwy, kiedy odwalali deski albo worki, natrafiali na olbrzymie gniazda uwite z podartych gazet, zza których łypały na nich z atawistyczną nienawiścią nienaturalnie wielkie stwory, podczas gdy ich małe kryły się w dziury i pęknięcia w betonie – oczy szczurów były wielkie i ślepe od przebywania w nieustannych ciemnościach.

– Zapalmy – odezwał się Wisconsky dziwnie zdyszanym głosem.

Halla zdziwiła ta zadyszka, bo jego kompan przez całą noc raczej obijał się i symulował pracę. Ale ostatecznie papieros im się należał; zwłaszcza że cały czas znajdowali się poza zasięgiem wzroku pozostałych.

– W porządku.

Oparł się o burtę wózka elektrycznego i wyciągnął paczkę.

– Nigdy nie dałbym się wrobić w tę robotę – odezwał się płaczliwie Wisconsky. – To nie jest zajęcie dla ludzi. Warwick wczoraj w nocy wściekł się, kiedy w tym gównie na trzecim

piętrze zastał mnie ze spuszczonymi spodniami. Jezu, ale się pieklił!

Hall milczał. Myślał o Warwicku i o szczurach. W dziwny sposób wydawali się jakoś ze sobą powiązani. Szczury, które przez całe lata przebywały w piwnicach fabryki, kompletnie zapomniały o istnieniu ludzi; były bezczelne i niczego się nie bały. Kiedy jeden z nich przysiadł na zadnich łapach jak wiewiórka i Hall posłał go kopniakiem w odległy kąt, zwierzę natychmiast zerwało się, runęło w jego stronę i wbiło mu zęby w gruby, skórzany but. Setki, może tysiące. Hall zastanawiał się, ile najprzeróżniejszych chorób roznoszą po mrocznej kloace piwnic. Warwick natomiast… Było w nim coś…

– Potrzebuję forsy – ciągnął Wisconsky. – Jezu Chryste, chłopie, to nie jest zajęcie dla ludzi. Te szczury… – Rozejrzał się z lękiem. – Sprawiają wrażenie, że myślą. Zastanawiałeś się, co by było, gdyby to one były duże, a my mali?

– Och, zamknij się! – warknął Hall.

Wisconsky popatrzył na niego z urazą.

– Chłopie, nie gniewaj się. To tylko przez te… – Zawahał się. – Jezu, ale tutaj śmierdzi! – wykrzyknął. – To nie jest zajęcie dla ludzi!

Wędrujący po krawędzi wagonika pająk wlazł mu na dłoń. Wisconsky strącił go z dławionym okrzykiem obrzydzenia.

– Do roboty – mruknął Hall i zaciągnął się po raz ostatni papierosem. – Szybciej skończymy, prędzej wyjdziemy.

– Też tak myślę – mruknął zgnębionym głosem Wisconsky. – Też tak myślę.

Wtorek, czwarta nad ranem

Przerwa na śniadanie.

Hall i Wisconsky siedzieli w towarzystwie trzech czy czterech mężczyzn i jedli kanapki czarnymi rękami, których nie mogli domyć nawet za pomocą używanych w przemyśle detergentów. Podczas posiłku Hall nieustannie spoglądał na niewielkie oszklone biuro brygadzisty. Warwick popijał kawę i z ogromnym apetytem pałaszował zimne hamburgery.

– Ray Upson poszedł do domu – zakomunikował Charlie Brochu.

– Porzygał się? – ktoś się zainteresował. – Mnie też niewiele brakowało.

– Ray? On musiałby się nażreć krowich placków, żeby się wyrzygać. Szczur go ugryzł.

Hall przestał obserwować Warwicka i popatrzył w zamyśleniu na mężczyzn.

– Jak to się stało? – zapytał.

Brochu potrząsnął głową.

– Pracowaliśmy we dwójkę. Czegoś gorszego w życiu nie widziałem. Bydlak wyskoczył z jakiejś dziury w jednym z tych starych worków. Był wielki jak kot. Wgryzł się w dłoń Raya i zaczął żreć.

– Chryste Panie! – jęknął któryś mężczyzna, zieleniejąc na twarzy.

– No właśnie – skinął głową Brochu. – Ray darł się jak baba przy porodzie, ale wcale mu się nie dziwię. Krwawił niczym zarzynana świnia. Nie można było oderwać od niego tego potwora. Dopiero jak przyłożyłem mu ze trzy albo cztery razy dechą, to puścił. Ray oszalał. Tak długo deptał tego szczura, aż zostało z niego futro i flaki. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Warwick opatrzył mu rękę i kazał iść do domu, a rano zgłosić się do lekarza.

– Kawał skurwysyna – mruknął ktoś.

Warwick najwyraźniej to usłyszał. Wstał z krzesła w swoim biurze, przeciągnął się i ruszył do drzwi.

– No, dosyć tego. Wracamy do roboty.

Powoli podnosili się z miejsc. Dojadali kanapki, chowali resztki do śniadaniówek, kończyli dopijać napoje z puszek i wsuwali do kieszeni batony czekoladowe.

Ruszyli na dół i obcasy dźwięczały na metalowych stopniach schodów.

Warwick, przechodząc obok Halla, klepnął go w plecy.

– Jak leci, maturzysto? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, odszedł.

– Chodźmy – powiedział cierpliwie Hall do Wisconsky'ego, który kończył zawiązywać sznurowadło.

Zgodnie poszli na dół.

Wtorek, siódma rano

Hall i Wisconsky wyszli razem; wydawało się, że Hall przejął coś od grubego Polaka. Wisconsky był aż komicznie uświniony, jego tłusta, pełna jak księżyc twarz była upaćkana niczym buzia małego chłopca, który przeczołgał się przez wszystkie śmietniki w mieście.

Tym razem po pracy nie rzucali żadnych zwykłych w takich wypadkach żartów czy

grubych dowcipów, nikt nie pociągał nikogo za koszulę, nikt nie zastanawiał się na głos, kto uprzyjemniał czas żonie Tony'ego między pierwszą a czwartą w nocy. W szatni panowała głucha cisza i tylko czasami któryś z mężczyzn głośno spluwał na brudną podłogę.

– Podrzucić cię do domu? – niepewnie zapytał Wisconsky.

– Jasne, dzięki.

W czasie jazdy nie odezwali się słowem. Minęli Mill Street i przejechali most. Wisconsky wysadził Halla przed jego domem, po czym pożegnali się szybko.

Hall najpierw wziął prysznic. Cały czas zastanawiał się nad Warwickiem. Intrygowało go również, dlaczego osoba Pana Brygadzisty nie daje mu spokoju. Odnosił nieprzeparte wrażenie, że łączą ich jakieś tajemne, niewidzialne nici.

Zasnął natychmiast, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki; ale sny miał ciężkie, niespokojne; śniły mu się szczury.

Środa, pierwsza w nocy

Przy sikawkach praca była dużo lżejsza.

Nie mogli z wodą wchodzić do sektorów, w których pracowały jeszcze zespoły wywożące śmieci, a zmywanie uprzątniętych już pomieszczeń kończyli przeważnie wcześniej, niż przygotowywano następne – a to znaczyło więcej czasu na papierosa. Hall pracował przy wylocie jednego z długich szlauchów, a Wisconsky biegał tam i z powrotem, to odczepiając zahaczający się nieustannie o coś wąż, to odkręcając lub zakręcając wodę, to znów musiał rozprostowywać go w miejscach, w których się załamywał, co blokowało dopływ wody.

Warwick chodził z twarzą jak chmura gradowa, bo praca posuwała się wolno. W tym tempie z całą pewnością nie uporają się z piwnicami do czwartku.

W tej chwili mozolili się przy ogromnej stercie starego, pochodzącego jeszcze z poprzedniego stulecia wyposażenia biura, które zostało zwalone byle jak w jakiś kąt. Potrzaskane biurka z żaluzjowymi drzwiczkami, spleśniałe księgi rachunkowe, stosy faktur, krzesła pozbawione siedzeń, z połamanymi oparciami, stanowiły szczurzy raj. Niezliczone ilości tych zwierząt z piskiem przemykały ciemnymi, krętymi korytarzami powygryzanymi w stosie sprzętów. Kiedy ugryzły dwóch robotników, wszyscy

porzucili pracę i czekali, dopóki Warwick nie posłał kogoś na górę po grube, gumowane rękawice używane przez pracowników farbiarni, którzy mieli na co dzień do czynienia ze żrącymi kwasami.

Hall i Wisconsky czekali właśnie, żeby wejść do akcji ze swoją sikawką, kiedy zbudowany jak byk, płowowłosy mężczyzna nazwiskiem Carmichael zaczął potwornie kląć i miotając się jak szalony, tłuc chronionymi przez rękawice dłońmi po klatce piersiowej.

Olbrzymi szczur z posiwiałą sierścią i paskudnymi, lśniącymi oczyma wbił zęby w koszulę na jego torsie i przeraźliwie piszcząc, tłukł zadnimi łapami Carmichaela po brzuchu. Mężczyzna ostatecznie strącił go z siebie pięścią, ale w koszuli widniała ogromna dziura, a tuż spod sutki spływał strumyk krwi. Z twarzy robotnika natychmiast zniknęła wściekłość; Carmichael gwałtownie odwrócił się i zaczął wymiotować.

Hall skierował sikawkę na szczura, który był już bardzo stary i trochę niezdarny, ale ciągle trzymał w zębach strzęp koszuli. Impet wody cisnął zwierzęciem o ścianę, potem zmiażdżone upadło na ziemię.

Pojawił się Warwick. Na ustach igrał mu dziwny, pełen napięcia uśmieszek. Poklepał Halla po ramieniu.

– To fajniejsze niż ciskanie puszkami w tamte maluchy, co, maturzysto?

– Maluchy, kurwa – mruknął Wisconsky. – Ten ma ze trzydzieści centymetrów długości.

– Skieruj wąż tam – powiedział Warwick, wskazując piętrzące się w nieładzie meble. – Chłopcy, zejdźcie z drogi!

– Z największą ochotą – mruknął któryś z robotników.

Do Warwicka podskoczył Carmichael. Twarz ciągle jeszcze miał zieloną. Rysy wykrzywiały mu ból i gniew.

– Odszkodowanie. Chcę…

– Pewnie – odparł z uśmiechem Warwick. – Później dostaniesz cycka i buzi. A na razie zjeżdżaj z drogi, bo woda wgniecie cię w ścianę.

Hall wycelował i z końcówki węża trysnął strumień. Uderzył w cel, eksplodując białą pianą, wywrócił biurko i do szczętu roztrzaskał dwa krzesła. Wszędzie kłębiły się szczury; tak ogromnych Hall nigdy jeszcze nie widział. Dobiegały go pełne obrzydzenia i zgrozy krzyki robotników. Widok tych bestii, z wielkimi, świetlistymi ślepiami i smukłymi, ponad miarę

wyrośniętymi cielskami był rzeczywiście porażający. Przed oczyma śmignął mu szary kształt wielkości sześciotygodniowego niemowlaka. Hall lał wodą tak długo, aż wypłoszył ostatniego szczura. Wtedy Wisconsky zakręcił kran.

– Dobra – odezwał się Warwick. – Przenosimy ten szmelc.

– Nie zatrudniałem się tutaj jako szczurołap! – wykrzyknął buntowniczo Cy Ippeston.

Hall zamienił z nim przed tygodniem kilka słów. Był to młody chłopak w usmolonej kurzem czapce baseballowej i w podkoszulku.

– Naprawdę, Ippeston? – zapytał pogodnie Warwick.

Ippeston rozejrzał się niepewnie i postąpił krok do przodu.

– Tak, mam już powyżej uszu tych szczurów. Wynająłem się do tej roboty, żeby sprzątać, a nie nabawić się wścieklizny, tyfusu czy innej francy. Dłużej na mnie nie licz.

Wśród zebranych przeszedł szmer; wszyscy w pełni zgadzali się z Ippestonem. Wisconsky rzucił szybkie spojrzenie na Halla, ale ten, pochyliwszy nisko głowę, z uwagą studiował końcówkę szlaucha. Otwór miał średnicę wylotu lufy pistoletu kaliber czterdzieści pięć i bijący

z niego strumień wody mógł odrzucić człowieka na dobrych siedem metrów.

– Cy, zamierzasz wziąć dupę w troki?

– Myślę o tym.

Warwick skinął głową.

– W porządku. Czy ktoś jeszcze chce mu towarzyszyć? Ale ostrzegam, nasz kramik gwiżdże na związki zawodowe i jak ktoś raz weźmie dupę w troki, nie ma tutaj powrotu. Moja w tym głowa.

– Chyba ci odbiło – mruknął pod nosem Hall.

Warwick błyskawicznie odwrócił się w jego stronę.

– Mówiłeś coś, maturzysto?

– Nie, nie, chrząknąłem tylko – odparł niewinnie Hall, przesyłając mu obojętne spojrzenie.

Warwick uśmiechnął się.

– Nie w smak ci?

Hall milczał.

– To bardzo dobrze. Zbierać tyłki! – wrzasnął Warwick.

Wrócili do pracy.

Czwartek, druga w nocy

Hall i Wisconsky znów dostali wózek elektryczny i zbierali śmieci. Sterta przy zachodnim szybie wentylacyjnym urosła do zdumiewających rozmiarów, a nie wykonali jeszcze nawet połowy pracy.

– Dzisiaj czwarty, wesołych świąt – odezwał się Wisconsky w przerwie na papierosa.

Znajdowali się przy północnej ścianie, z dala od schodów. Panował tu głęboki półmrok, a jakieś osobliwe anomalie akustyczne sprawiały, że głosy innych robotników zdawały się płynąć z odległości kilku kilometrów.

– Nawzajem – odparł Hall i zaciągnął się papierosem. – Jakoś nie widzę dzisiaj szczurów.

– Któż to wie – odrzekł Wisconsky. – Może nabrały rozumu?

Stali na końcu biegnącego szaleńczymi zygzakami przesmyku między stosami ksiąg rachunkowych i blankietów faktur, zapleśniałych worków ze szmatami i dwoma ogromnymi staroświeckimi krosnami.

– Tfu! – Wisconsky splunął na podłogę. – Ten Warwick…

– Jak myślisz, gdzie podziały się wszystkie szczury? – spytał Hall takim tonem, jakby

kierował to pytanie do siebie. – Przecież nie uciekły za ścianę. – Popatrzył na potężne, potrzaskane mury wnikające w olbrzymie kamienne bloki fundamentów. – Tam by się potopiły. Tam wszędzie płynie rzeka.

Coś czarnego i łopoczącego znurkowało w ich stronę. Wisconsky wrzasnął i nakrył głowę ramionami.

– Nietoperz – burknął Hall, patrząc, jak Wisconsky prostuje grzbiet.

– Nietoperz! Nietoperz! – złościł się Wisconsky. – A co niby nietoperz robiłby w piwnicy? One siedzą na drzewach, na poddaszach, na…

– Ale był wielki – przerwał mu cicho Hall. – A czym jest taki nietoperz, jak nie szczurem ze skrzydłami?

– Jezu! – jęknął Wisconsky. – Jak się…

– …tutaj dostał? W taki sam sposób, w jaki wydostały się szczury.

– Co tam się dzieje? – dobiegł ich gdzieś zza pleców krzyk Warwicka. – Gdzie jesteście?

– Nie ma strachu. Tutaj – odparł cicho Hall. Jego oczy lśniły w mroku.

– Maturzysta, to ty? – zawołał Warwick już z bardzo bliska.

– Wszystko w porządku – odkrzyknął Hall. – Otarłem sobie nogę.

– Liczysz, że dostaniesz Purpurowe Serce[7]? – parsknął krótkim śmiechem Warwick.

– Popatrz – powiedział Hall, klękając i zapalając zapałkę. W popękanym, wilgotnym cemencie widniał kwadrat. – Postukaj.

Wisconsky puknął palcem.

– Drewno.

Hall skinął głową.

– To szczyt stempla podpierającego strop. Widziałem w okolicy inne. Pod nami rozciąga się jeszcze jeden poziom.

– Boże – westchnął z odrazą Wisconsky.

Czwartek, trzecia trzydzieści nad ranem

Zbliżali się do północno-wschodniego narożnika piwnicy. Za ich plecami posuwali się z sikawką Ippeston i Brochu. W pewnym miejscu Hall zatrzymał się i wskazał podłogę.

– Myślę, że wejście jest tutaj – powiedział.

Pod nogami widniały drzwi zapadowe ze skorodowanym metalowym pierścieniem pośrodku.

Zbliżył się do Ippestona.

– Uważaj z tym wężem. Na razie go nie włączaj. – Kiedy robotnik zablokował zawór, Hall odwrócił się i zawołał: – Hej! Hej, Warwick! Lepiej tutaj przyjdź.

Człapiąc kaloszami po błocie, pojawił się brygadzista i popatrzył na Halla z nieprzyjemnym uśmiechem.

– Co, maturzysto, rozwiązało ci się sznurowadło?

– Sam popatrz – odrzekł Hall, tupiąc nogą w klapę w podłodze. – Pod nami jest kolejna piwnica.

– I co z tego? – warknął Warwick. – Jeszcze nie przyszła pora na przerwę, matu…

– Tam masz te twoje szczury. Tam się rozmnażają. Dzisiaj z Wisconskym widzieliśmy nawet nietoperza.

Do klapy podeszło kilku robotników i z uwagą zaczęli ją oglądać.

– A co mnie to obchodzi? – spytał Warwick. – Mamy oczyścić piwnice i…

– Potrzebujesz ze dwudziestu deratyzatorów, i to dobrych – odparł Hall. – Kiepska sprawa. Zarząd fabryki będzie to kosztowało kawał grosza.

– Już widzę, jak płacą – roześmiał się ktoś.

Warwick popatrzył na Halla tak, jakby badał pod lupą insekta.

– To nie twoja sprawa – odparł, świdrując go wzrokiem. – Sądzisz, że obchodzi mnie, ile szczurów gnieździ się tam na dole?

– Wczorajsze i dzisiejsze popołudnie spędziłem w bibliotece – odparł Hall. – Cieszę się, że pamiętasz, iż mam maturę. Przestudiowałem wszystkie zarządzenia miejskie, Warwick. Wydane zostały w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, w czasach, kiedy ta fabryka nie była jeszcze na tyle duża, żeby podlegać władzom miejskim. I wiesz, co tam wyczytałem?

Warwick popatrzył na niego lodowatym wzrokiem.

– Zabieraj się stąd, maturzysto. Od tej chwili jesteś bezrobotny.

– Wyczytałem – ciągnął niezrażony Hall, jakby nie dosłyszał ostatnich słów brygadzisty – że w Gates Falls obowiązują specjalne przepisy dotyczące szkodników. Możesz sobie przeliterować to słowo: s-z-k-o-d-n-i-k-ó-w. Dotyczy to zwierząt roznoszących choroby, takich jak nietoperze, skunksy, nierejestrowane psy i… szczury. Zwłaszcza szczury. W dwóch paragrafach, Panie Brygadzisto, słowo „szczur” pojawia się aż czternaście razy. Tak więc

zapamiętaj sobie, że z chwilą kiedy mnie wylejesz z roboty, natychmiast wybiorę się do pełnomocnika zarządu miasta i opowiem, jak się tu przedstawia sytuacja.

Zamilkł i z upodobaniem obserwował wykrzywioną wściekłością twarz Warwicka.

– Myślę, że miasto przyśle inspektorów. Jeszcze przed sobotą znajdzie się pan na bruku, Panie Brygadzisto. I domyślam się, co twój szef powie, kiedy zobaczy na własne oczy, co się tutaj wyprawia. Warwick, na twoim miejscu już teraz zacząłbym sprawdzać, czy dobrze odtrącali ci z pensji ubezpieczenie na zasiłek dla bezrobotnych.

Brygadzista zagiął palce w kształt szponów.

– Ty szczylu, powinienem… – Popatrzył na klapę w podłodze i nieoczekiwanie się uśmiechnął. – No dobra, maturzysto, czuj się ponownie przyjęty do pracy.

– Od razu wiedziałem, że masz poukładane w głowie.

Warwick, uśmiechając się dziwnie, skinął głową.

– Świetnie, cwaniaczku miętowy. Myślę, że to ty powinieneś tam pierwszy zejść. Jesteś człowiekiem uczonym, a nam potrzebna

miarodajna informacja. Pójdzie z tobą Wisconsky.

– Tylko nie ja! – wrzasnął gruby Polak. – Tylko nie ja…

Warwick popatrzył na niego.

– Co nie ty?

Wisconsky zamilkł.

– Doskonale – odezwał się serdecznie Hall. – Potrzebujemy trzech latarek. W głównym biurze widziałem całą półkę tych na sześć baterii.

– Może chcesz, żeby ci towarzyszył jeszcze ktoś? – spytał wielkodusznie Warwick. – Wybierz sobie kogoś.

– Ciebie – odparł z wdziękiem Hall. Na twarzy pojawił mu się osobliwy wyraz. – Ostatecznie zarząd również powinien być reprezentowany, prawda? Co będzie, jeśli nie spotkamy z Wisconskym tam zbyt wielu szczurów?

Ktoś (najprawdopodobniej Ippeston) wybuchnął śmiechem.

Warwick obrzucił ludzi czujnym spojrzeniem, ale wszyscy wbili wzrok w czubki swoich butów. W końcu wskazał na Brochu.

– Brochu, skocz do biura i przynieś trzy latarki. Powiedz strażnikowi, że to moje polecenie.

– Dlaczego mnie w to wpakowałeś? – jęknął Wisconsky. – Przecież wiesz, jak nienawidzę…

– To nie ja – odparł Hall i popatrzył na Warwicka.

Warwick oddał mu harde spojrzenie i nie spuścił wzroku.

Czwartek, czwarta nad ranem

Brochu wrócił z latarkami. Jedną wręczył Hallowi, drugą Wisconsky’emu, a ostatnią Warwickowi.

– Ippeston, podaj Wisconsky’emu sikawkę.

Polak sięgnął po sikawkę drżącymi rękoma.

– W porządku – odezwał się do niego Warwick. – Idziesz w środku. Jeśli zobaczysz szczury, od razu daj im popalić.

Pewnie, pomyślał Hall. Jeśli nawet będą tam jakieś szczury, Warwick ich nie dostrzeże. Podobnie jak Wisconsky, który w kopercie z wypłatą znajdzie dodatkową dziesiątkę.

Brygadzista wskazał palcem dwóch robotników.

– Podnieście klapę.

Jeden z nich pochylił się nad kółkiem i pociągnął. Hall przez chwilę sądził, że

mężczyzna nie poradzi sobie z ciężarem, ale płaszczyzna drgnęła nagle i uniosła się z dziwacznym chrobotem. Drugi robotnik wsunął palce pod klapę, żeby pomóc ją unieść, lecz natychmiast cofnął z wrzaskiem dłonie. Na rękach roiły mu się ślepe czarne żuki.

Mężczyzna trzymający za metalowe kółko z donośnym sapnięciem uniósł klapę do końca i odłożył ją na bok. Odwrotną stronę porastał jakiś dziwaczny grzyb, jakiego Hall nigdy jeszcze w życiu nie spotkał. Żuki albo pospadały w ciemność, albo rozlazły się po klepisku, a robotnicy rozgnietli je nogami.

– Popatrzcie – odezwał się Hall.

Po wewnętrznej stronie drewnianej konstrukcji widniał zardzewiały, kompletnie zniszczony zamek.

– Przecież on powinien być z tej strony – odezwał się Warwick. – Powinien być na górze, nie na dole. Dlaczego…

– Nie wiem – odparł Hall. – Może chodziło o to, żeby nie otwierać tego wejścia… w każdym razie wtedy, kiedy zamek był jeszcze nowy. A może ktoś nie chciał, żeby stamtąd coś wylazło.

– Ale kto ten zamek ryglował? – zapytał Warwick.

– Ha! – wykrzyknął Hall, spoglądając kpiąco na Warwicka. – W tym właśnie tkwi cała tajemnica.

– Posłuchajcie – szepnął naraz Brochu.

– Boże święty – wymamrotał Wisconsky. – Ja tam nie wchodzę.

Był to delikatny, prawie na granicy słyszalności, dźwięk skrobania i szelest tysięcy łapek, któremu towarzyszyły piski szczurów.

– To mogą być żaby – odezwał się Warwick.

Hall wybuchnął głośnym śmiechem.

Warwick poświecił w dół latarką. Do majaczącej tam kamiennej podłogi prowadziły strome, drewniane schody. W zasięgu wzroku nie było ani jednego szczura.

– Te schody mogą nie wytrzymać – odezwał się z przekonaniem Warwick.

Brochu zrobił dwa kroki do przodu, stanął na pierwszym stopniu i podskoczył. Drewno trzeszczało, ale nic nie wskazywało na to, żeby deska miała pęknąć.

– Nie prosiłem, żebyś to robił – odezwał się Warwick.

– Nie było cię przy tym, jak Raya pogryzł szczur – odparł cicho Brochu.

– Idziemy – przerwał tę wymianę zdań Hall.

Warwick obrzucił otaczających go mężczyzn ostatnim ironicznym spojrzeniem i podszedł za Hallem do krawędzi otworu w podłodze. Wisconsky niechętnie zajął miejsce między nimi. Zaczęli schodzić – najpierw Hall, za nim Wisconsky, a na szarym końcu Warwick. Kręgi światła rzucane przez ich latarki tańczyły na nierównej, pobrużdżonej podłodze w dole. Za Wisconskym, niczym niezdarny wąż, zsuwał się po stopniach szlauch.

Kiedy zeszli po schodach, Warwick rozejrzał się, świecąc latarką. Snop światła wyławiał z mroku jakieś gnijące pudła, beczki i inne, trudne do określenia przedmioty. Woda z rzeki tworzyła na ziemi rozległe kałuże, w których grzęźli po kostki.

– Nic nie słyszę – szepnął Wisconsky.

Zaczęli powoli oddalać się od wejścia w suficie, ich stopy szurały w zalegającym podłoże błocie. Hall przystanął na chwilę i skierował snop światła na wielkie, drewniane pudło, na którym majaczyły białe litery.

– Elias Varney, tysiąc osiemset czterdziesty pierwszy – przeczytał na głos. – Czy wtedy już stała tutaj ta fabryka?

– Nie – odparł Warwick. – Wybudowano ją w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym

roku. Ale co za różnica?

Hall nie odpowiedział. Znów podjęli marsz. Wszystko wskazywało na to, że ta dolna piwnica jest dużo dłuższa, niż być powinna. Smród stawał się silniejszy, cały czas towarzyszył im zapach rozkładu, zgnilizny i mokrej ziemi. Ciszę burzył jedynie szelest spadających ze stropu kropel wody.

– A to co? – zapytał nieoczekiwanie Hall, kierując snop światła na wystający z sufitu na jakieś sześćdziesiąt centymetrów betonowy występ.

Dalej panował już nieprzenikniony mrok i Hall odniósł wrażenie, że słyszy dobiegające z przodu jakieś delikatne hałasy. Jakby ktoś się skradał.

Warwick spojrzał na dziwny występ.

– To… Nie, to nie może być.

– Zewnętrzny mur fabryki? A nad nami…

– Wracam – oświadczył nagle Warwick, odwracając się na pięcie.

Hall chwycił go za kark.

– Nigdzie nie pójdziesz, Panie Brygadzisto.

Warwick popatrzył na niego, na zamazanej w półmroku twarzy pojawił się lekki uśmieszek.

– Zwariowałeś, maturzysto, prawda? Dostałeś kompletnego fioła.

– Nie możesz tak zostawić powierzonych ci ludzi. Idziemy.

– Hall… – zaczął płaczliwie Wisconsky.

– Oddaj mi to – zażądał Hall, wyrywając mu z ręki końcówkę węża.

Puścił szyję Warwicka, ale w zamian przystawił mu do głowy wylot sikawki. Wisconsky odwrócił się na pięcie i jak szalony pobiegł w stronę wyjścia. Hall nawet nie zaszczycił go spojrzeniem.

– Pan pierwszy, Panie Brygadzisto.

Warwick minął miejsce, gdzie nad ich głowami kończyła się fabryka. Hall zatoczył krąg światłem latarki i poczuł zimny dreszcz satysfakcji – jego przeczucia sprawdziły się. Otaczały ich milczące jak sama śmierć szczury. Spoglądało na niego łapczywie tysiące oczu stłoczonych, szereg za szeregiem. Rzędy stworzeń ciągnęły się aż po samą ścianę. Ogromne sztuki, niektóre sięgały do połowy ludzkiej łydki.

W chwilę później dostrzegł je również Warwick i gwałtownie przystanął.

– Otoczyły nas, maturzysto.

Głos ciągle jeszcze miał spokojny, ciągle jeszcze sprawował nad nim kontrolę, ale najwyraźniej dochodził już kresu wytrzymałości.

– Widzę – odparł Hall. – Idziemy dalej.

Ruszyli, wlokąc za sobą sikawkę. Hall obejrzał się przez ramię. Ujrzał, że szczury zamknęły za nimi przejście, którym się tutaj dostali, i zaczynają dobierać się do grubego, parcianego węża. Jeden popatrzył prawie z kpiącym uśmiechem, po czym znów schylił łeb. Hall zauważył też nietoperze. Zwieszały się z nierównego sufitu; olbrzymie, wielkości wron lub gawronów.

– Popatrz – odezwał się Warwick, kierując światło latarki na coś, co leżało jakieś półtora metra przed nimi.

Szczerzyła do nich zęby w upiornym uśmiechu pokryta pleśnią ludzka czaszka. Kawałek dalej Hall dostrzegł kość przedramienia, fragment miednicy i całą klatkę piersiową.

– Idziemy – powiedział.

Czuł, że coś rozsadza go od środka, jakieś szaleństwo, jakaś mroczna radość. Ty pierwszy się załamiesz, Panie Brygadzisto. A wtedy niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

Minęli kości. Szczury nie napastowały idących; cały czas utrzymywały stały dystans. W pewnej chwili Hall ujrzał przed sobą przebiegającego im drogę szczura. Dostrzegł jego różowy, drgający ogon grubości kabla

telefonicznego, chociaż bydlak szybko skrył się w mroku.

Przed nimi podłoga gwałtownie wznosiła się, a następnie znów opadała. Dobiegał stamtąd osobliwy, szeleszczący dźwięk; potężny dźwięk. Dźwięk wydawany przez coś, czego ludzkie oko dotąd jeszcze nie widziało. Hallowi przyszło do głowy, że czegoś takiego właśnie podświadomie szukał przez wszystkie lata swoich zwariowanych wędrówek.

Pojawiły się szczury, pełzły na brzuchach, zmuszały ich do kontynuowania drogi.

– Popatrz – odezwał się lodowatym głosem Warwick.

Coś się tym szczurom musiało przytrafić, bo uległy jakiejś straszliwej mutacji, która w jasnych promieniach słońca nigdy by nie nastąpiła; nie pozwoliłaby na to sama natura. Ale tutaj, na dole, natura miała inną, upiorną twarz.

Szczury były olbrzymie, niektóre dochodziły prawie do metra wysokości. Ale brakowało im zadnich łap i były ślepe jak nietoperze, ich skrzydlaci krewniacy. Pełzły do przodu z zajadłą zachłannością.

Warwick spojrzał na Halla. Na twarzy malował mu się uśmiech oznaczający niezłomną wolę. Hall to podziwiał.

– Nie możemy dalej iść, Hall. Musisz to zrozumieć.

– Sądzę, że te szczury mają do ciebie interes – odparł Hall.

– Proszę. – Warwick w jednej chwili stracił całą samokontrolę. – Hall, proszę.

Hall uśmiechnął się.

– Idź.

Warwick spojrzał za siebie przez ramię.

– Żrą sikawkę. Jak ją przegryzą, jesteśmy zgubieni.

– Wiem. Idź.

– Oszalałeś…

Po bucie przebiegł mu szczur i Warwick wrzasnął. Hall roześmiał się, a potem zatoczył latarką szerokie koło. Szczury roiły się dosłownie wszędzie; były już niecałe trzydzieści centymetrów od nich.

Warwick ruszył do przodu; stado zaczęło się cofać.

W przodzie pojawiło się kolejne niewielkie wzniesienie terenu. Na górze pierwszy stanął Warwick. Hall zobaczył, że twarz brygadzisty robi się biała jak papier. Z kącików ust zaczęła mu ściekać ślina.

– Boże wielki! Chryste…

Rzucił się do ucieczki.

Hall bez namysłu odkręcił zawór w sikawce i potężny strumień bijącej pod ciśnieniem wody trafił Warwicka prosto w klatkę piersiową. Rzuciło go do tyłu i zniknął z zasięgu wzroku. Rozległ się długi krzyk przebijający się nawet przez huk wody. Mlaszczące dźwięki.

– Hall!

Pochrumkiwania. A potem potężny, mroczny pisk, który zdawał się płynąć z samego wnętrza ziemi.

– HALL, NA BOGA…

Kolejny mokry, mlaszczący dźwięk czegoś rozrywanego. I krzyk, tym razem słabszy. Coś ogromnego uniosło się i przemieściło. Hall bardzo wyraźnie usłyszał trzask gruchotanych kości.

Beznogi szczur, prowadzony jakimś dziwacznym sonarem, rzucił się w stronę Halla i wbił mu zęby w buty. Ciało miał wiotkie i gorące. Hall odruchowo skierował na niego strumień, który zmiótł stwora. Ale woda z sikawki biła już z dużo mniejszą siłą.

Wszedł na wilgotny pagórek i spojrzał w dół.

Całe wgłębienie tego okropnego grobu wypełniał sobą jeden szczur. Był olbrzymi, szary, lekko pulsował, pozbawiony oczu i nóg. Kiedy padło na niego światło latarki, wydał obrzydliwy,

kwilący dźwięk. Ich królowa; *magna mater*. Olbrzymi, bezimienny stwór, którego potomstwo, być może, pewnego dnia wykształci skrzydła. Przez chwilę Hallowi wydawało się, że stwór maleje nad tym, co zostało z Warwicka, ale było to wyłącznie złudzenie. Hall był wstrząśnięty widokiem szczura wielkiego jak cielak.

– Żegnaj, Warwick – mruknął.

Szczur pochylił się zazdrośnie nad Panem Brygadzistą i oderwał mu zwiotczałe ramię.

Hall odwrócił się i rozpędzając słabnącym z każdą chwilą strumieniem tłoczące się przed nim szczury, zaczął śpiesznie wycofywać się w stronę wyjścia. Niektóre bestie przedzierały się jednak przez kurtynę wody i wyskakując w górę, gryzły go po nogach tuż powyżej butów. Któryś wraził zęby w udo przez grube, sztruksowe spodnie i nie chciał puścić. Hall strącił go potężnym uderzeniem pięści.

Przebył już prawie trzy czwarte drogi, kiedy z ciemności dobiegł donośny łopot. Uniósł głowę i w twarz uderzył go gigantyczny, uskrzydlony stwór.

Zmutowane nietoperze nie utraciły jeszcze ogonów. Potwór otoczył szyję Halla tym odrażającym pierścieniem i zaciskając go, poszukiwał zębami wrażliwego miejsca na szyi.

Machał błoniastymi skrzydłami i wbijał w koszulę ostre pazury.

Hall jak oszalały zaczął okładać końcówką węża śmierdzący kształt. Nietoperz spadł na ziemię. Zmiażdżył go stopami, mgliście zdając sobie sprawę z tego, że krzyczy. Potok szczurów dopadł jego stóp i zaczął mu się wspinać po nogach.

Ruszył biegiem, strząsając z siebie kilku napastników. Ale inni już siedzieli mu na brzuchu i na piersiach. Jeden wskoczył na ramię i wsunął kontrolnie pysk w jego ucho.

Nadleciał kolejny nietoperz. Wczepił się na chwilę pazurami w głowę Halla, po czym zerwał się ponownie do lotu, wyrywając płat skóry pokrywającej czaszkę.

Poczuł, że ciało zaczyna mu drętwieć. Uszy rozdzierały piski i zawodzenie setek szczurów. Zrobił ostatni krok, zachwiał się pod ciężarem futrzastej masy i osunął na kolana. Zaniósł się wysokim, piskliwym śmiechem, który szybko przeszedł we wrzask.

Czwartek, piąta nad ranem

– Ktoś musi tam zejść – oświadczył niezobowiązująco Brochu.

– Na pewno nie ja – szepnął Wisconsky. – Na pewno nie ja.

– Pewnie, że nie ty, beko sadła – powiedział z pogardą Ippeston.

– Cóż, chodźmy – mruknął Brogan, sięgając po kolejny szlauch. – Ja, Ippeston, Dangerfield i Nedeau. Ty, Stevenson, idź do biura i przynieś więcej latarek.

Ippeston obrzucił zamyślonym spojrzeniem czający się w otworze mrok.

– Może zatrzymali się na papierosa – powiedział. – Wielkie mi co, kilka szczurów.

Wrócił Stevenson z latarkami; w kilka chwil później ruszyli na dół.

NOCNY PRZYPŁYW

Kiedy już chłopak umarł i wiatr rozwiał woń palonego ciała, wróciliśmy na plażę. Corey miał ze sobą radiomagnetofon, jeden z tych tranzystorów wielkości walizki, który wymaga chyba ze czterdziestu baterii. Odbiornik nie był może najlepszy, ale za to bardzo głośny. Coreyowi przed A6 powodziło się bardzo dobrze, lecz teraz nie miało to już najmniejszego znaczenia. Nawet ten olbrzymi radiomagnetofon znaczył niewiele i był w zasadzie tylko ładnie wyglądającym śmieciem. W eterze zostały dwie stacje, które mogliśmy złapać. Jedną z nich – WKDM w Portsmouth – prowadził jakiś zwariowany prezenter, który dostał hopla na punkcie religii. Odtwarzał płytę Perry'ego Como, odmawiał modlitwę, puszczał płytę Johnny'ego Raya, czytał psalmy (każdy kończył słówkiem „sela", tak jak robił to James Dean w filmie *Na wschód od Edenu*), a później jeszcze coś

wykrzykiwał. Takie tam różne głupoty. Pewnego dnia odśpiewał nawet ochrypłym, matowym głosem *Pogrzebową wiązankę kwiatów*, czym przyprawił mnie i Needlesa o wybuch histerycznego śmiechu.

Stacja Massachusetts była lepsza, ale mogliśmy łapać ją tylko w nocy. Zajmowały się nią jakieś dzieciaki. Myślę, że przejęły nadajniki WRKO albo WBZ, kiedy wszyscy pracownicy odeszli lub umarli. Nadawali cały czas dowcipy, jak WDOPE, KUNT, WA6 czy inne rozgłośnie. Naprawdę śmieszne – można było pękać ze śmiechu. Wracając na plażę, słuchaliśmy właśnie Massachusetts. Trzymałem Susie za rękę; przed nami szli Kelly i Joan, a Needles skrył się już za pagórkiem i nie było go widać. Na samym końcu wlókł się Corey ze swym radiem. Z głośników dobiegało *Angie* Stonesów.

– Czy kochasz mnie? – zapytała Susie. – Chcę wiedzieć tylko to: czy mnie kochasz?

Susie nieustannie domagała się takich zapewnień. Byłem jej pluszowym misiaczkiem.

– Nie – odparłem.

Bardzo szybko tyła i jeśli pożyje wystarczająco długo, co było mało prawdopodobne, jej ciało stanie się tłuste

i sflaczałe. Już teraz bardziej przypominała beczkę.

– Jesteś wstrętny – powiedziała i zakryła dłonią twarz.

W blasku połówki księżyca, która od godziny już świeciła na niebie, zalśniły lekko jej lakierowane paznokcie.

– Znowu będziesz się mazać?

– Zamknij się!

Najwyraźniej jednak zamierzała ponownie wybuchnąć płaczem. Cóż, jej sprawa.

Weszliśmy na wzgórze i tam przystanąłem. Zawsze w tym miejscu przystawałem. Przed A6 była to plaża publiczna. Turyści, piknikowicze, ryjące nosami w piasku bachory, grube i rozdęte jak worek babcie ze spieczonymi słońcem ramionami. Papierki po cukierkach i patyki po lizakach, piękni ludzie pieszczący się na rozłożonych kocach. Wymieszane zapachy spalin z pobliskiego parkingu, morskich wodorostów i olejku do opalania marki Coppertone.

Teraz jednak wszystkie te brudy i syfy zniknęły. Ocean pochłonął je od niechcenia, tak jak człowiek pochłania garść cracker jacksów. Nie było już ludzi, którzy by wrócili i ponownie zaśmiecili plażę. Zostaliśmy tylko my; ale nas było za mało, żeby narobić aż takiego bałaganu.

Poza tym kochaliśmy plażę – czyż to nie dla niej złożyliśmy tę ofiarę? Nawet Susie, ta mała suka Susie z grubym tyłkiem wbitym w wiśniowe dzwony.

Wokoło rozciągały się wydmy i biały piasek znaczony jedynie linią przypływów – splątanymi pękami wodorostów i kawałkami drewna. W kłującym blasku księżyca przedmioty rzucały ostre, wyraźne cienie barwy atramentu, a poświata otaczała wszystko. Opuszczona wieża ratownika, stojąca jakieś dwadzieścia metrów od budynku z prysznicami, sterczała w niebo białym szkieletem niczym kościsty palec.

I przypływ, nocny przypływ, wzbijający w powietrze rozbryzgi piany, klekoczące nieustannie o brzegi przylądka fale, bezkresne morze. Jeszcze zeszłej nocy te białe grzywacze znajdowały się zapewne w połowie drogi z Anglii.

– *Angie* Stonesów – zagrzmiał głos w radiu Coreya. – Tę płytę, odprysk dobrych czasów jak z atłasów, wygrzebałem dla was w magazynie wytwórni. Nazywam się Bobby. To noc Freda, ale Fred złapał grypę. Jest cały spuchnięty.

Susie zachichotała, a na rzęsach trzepotały jej pierwsze łzy. Ruszyłem trochę szybciej w stronę plaży, żeby się nieco uspokoiła.

– Poczekaj! – zawołał Corey. – Bernie? Ej, Bernie, zaczekaj!

Chłopak w radiu zaczął czytać jakieś świńskie limeryki. W pewnej chwili z tła dobiegł głos dziewczyny, która zapytała, gdzie jest piwo. Coś tam jej odpowiedział, a my już byliśmy na plaży. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, co robi Corey. Zjeżdżał jak zwykle na plecach po piasku i wyglądał tak absurdalnie, że na chwilę zrobiło mi się go żal.

– Biegnijmy – odezwałem się do Susie.

– Po co?

Klepnąłem ją w tyłek, aż pisnęła.

– To nam dobrze zrobi.

Pobiegliśmy.

Pędziła za mną, dyszała mi w plecy jak koń i wołała, żebym zwolnił, ale ja już wcale o niej nie myślałem. Wiatr gwizdał mi w uszach i odwiewał włosy z czoła. Pełną piersią chłonąłem słone powietrze; ostre i cierpkie. Grzmiał przypływ. Fale wyglądały jak pokryte pianą szkło. Zrzuciłem gumowe sandały i pognałem boso po piasku, nie zwracając uwagi na sterczące tu i tam ostre muszle. Krew kipiała mi w żyłach…

W mroku przede mną wyłonił się szałas. W środku czekał już Needles. Na zewnątrz stali

Kelly i Joan, trzymali się za ręce i patrzyli na bezkresną wodę. Upadłem na ziemię, zacząłem się toczyć, aż nalazło mi piasku za koszulę. Chwyciłem Kelly'ego za nogi. Upadł na mnie i wytarzał mi twarz w piachu. Joan wybuchnęła śmiechem.

Rozradowani, zerwaliśmy się na nogi. Susie dawno już przestała biec i wlokła się noga za nogą w naszą stronę. Corey prawie ją dogonił.

– Ogień – odezwał się Kelly.

– Naprawdę sądzisz, że nie kłamał, mówiąc, że przyjechał tu aż z Nowego Jorku? – zapytała Joan.

– Nie wiem.

Nie wydawało mi się to istotne. Kiedy go znaleźliśmy, siedział za kierownicą wielkiego lincolna, był półprzytomny i bredził. Głowę miał rozdętą do rozmiarów piłki futbolowej, a jego szyja wyglądała jak ogromny serdel. Złapał Kapitana Tripsa i niedługo mógł sobie pożyć. Zawlekliśmy go zatem na Punkt, skąd rozciągał się przepyszny widok na całą plażę, i spaliliśmy chłopaka. Mówił, że nazywa się Alvin Sackheim. Cały czas wzywał swoją babcię. Myślał, że to Susie jest tą babcią. Strasznie ją to rozśmieszyło, Bóg jeden wie dlaczego. Susie zresztą potrafią śmieszyć najdziwniejsze rzeczy.

Na to, żeby spalić chłopaka, wpadł Corey, ale wszystko zaczęło się od żartu. W szkole Corey przeczytał multum książek o czarach i czarnej magii. Stojąc w mroku obok lincolna Alvina Sackheima, łypnął na nas chytrze okiem i oświadczył, że jeśli złożymy ofiarę mrocznym bogom, to może duchy uchronią nas od A6.

Oczywiście nikt nie wierzył w te bzdury, ale zaczęliśmy rozmawiać o tym coraz bardziej poważnie. Było to coś nowego i w końcu postanowiliśmy pójść za radą Coreya. Przywiązaliśmy chłopaka do statywu potężnej lunety stojącej w punkcie widokowym – jeśli wrzuciło się dziesięć centów, w pogodny dzień można było przez nią dostrzec nawet Portland Headlight. Przywiązaliśmy go paskami od spodni, a potem rozbiegliśmy się w poszukiwaniu suchego chrustu i kawałków wyrzuconego przez ocean drewna – zupełnie jakbyśmy się bawili w ciepło i zimno. Alvin Sackheim przez cały czas mamrotał coś do swojej babci. Susie szybko oddychała i błyszczały jej oczy. Najwyraźniej wszystko to bardzo ją ekscytowało. Kiedy znaleźliśmy się na dole, po drugiej stronie wydmy, pochyliła się nade mną i zaczęła mnie całować. Miała na ustach zbyt dużo szminki i smakowała jak tłusty talerz.

Odepchnąłem ją. Wtedy właśnie zaczęła stroić fochy.

Wróciliśmy na górę i obłożyliśmy Alvina suchymi gałęziami i chrustem do wysokości klatki piersiowej. Needles podpalił stos zapalniczką Zippo. Gałęzie w jednej chwili zapłonęły jasnym ogniem. Na koniec, tuż przed tym, jak zajęły mu się włosy, chłopak zaczął krzyczeć. Śmierdziało wieprzowiną po chińsku na słodko.

– Bernie, masz papierosa? – zapytał Needles.

– Za tobą leży z pięćdziesiąt kartonów.

Wyszczerzył zęby i pacnięciem dłoni zabił komara, który usiadł mu na ramieniu.

– Nie chce mi się ruszać.

Podałem mu zapalonego papierosa i usiadłem. Needlesa spotkałem w Portlandzie, dokąd wybrałem się pewnego dnia z Susie. Siedział na krawężniku przed State Theatre i na wielkiej, starej gitarze Gibsona, którą gdzieś ukradł, wygrywał melodie Leadbelly'ego. Dźwięk niósł się po całej Congress Street, zupełnie jakby Needles grał w sali koncertowej.

Do szałasu dowlokła się wreszcie ciężko zdyszana Susie.

– Jesteś wstrętny, Bernie.

– Daj spokój, Susie. Zmień płytę, bo ta zaczyna trzeszczeć.

– Skurwysyn. Głupi, nieczuły skurwysyn. Łachmyta.

– Spadaj albo podbiję ci oko, Susie – odparłem. – Uważaj, bo się doigrasz.

Znów zaczęła płakać. W tym jednym była naprawdę dobra. Zbliżył się Corey i próbował ją objąć. Uderzyła go łokciem w krocze, a on napluł jej w twarz.

– Zabiję cię!

Z krzykiem i płaczem ruszyła na niego, wymachując rękami jak wiatrak. Corey cofnął się, prawie upadł, a potem wziął ogon pod siebie i zaczął uciekać. Susie pędziła za nim, z ust płynął jej potok najordynarniejszych przekleństw. Needles odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Poprzez huk przypływu dochodziły do nas ciche dźwięki radia Coreya.

Kelly i Joan odeszli. Widziałem ich sylwetki nad samą wodą; spacerowali objęci ramionami. Wyglądali jak z plakatu biura podróży: OCZEKUJE WAS BAJKOWA ST LORCA. Ale tak właśnie było. Stanowili wdzięczną parę.

– Bernie?

– Co?

Siedziałem, paliłem i rozmyślałem o Needlesie, który bawił się swoją zapalniczką Zippo. Unosił przykrywkę, krzesał kółkiem iskrę i zapalał maleńki ognik – jak jaskiniowiec posługujący się krzemieniem i hubką.

– Złapałem – powiedział Needles.

– Tak? – popatrzyłem na niego. – Jesteś pewien?

– Jestem. Boli mnie głowa. Boli mnie brzuch. Trudno mi sikać.

– Może to tylko grypa z Hongkongu. Susie też ją przechodziła. Cały czas wołała o Biblię.

Roześmiałem się. Działo się to jeszcze wtedy, kiedy byliśmy na uniwersytecie – mniej więcej tydzień przed zamknięciem uczelni i miesiąc przed tym, jak zaczęto wywrotkami wywozić ciała, oblewać je benzyną i palić we wspólnych grobach.

– Popatrz.

Pstryknął zapalniczką i przysunął ognik do szczęki. Ujrzałem pierwsze trójkątne plamki i lekką opuchliznę. No tak, to była A6.

– Masz rację – powiedziałem.

– Ale nie czuję się najgorzej – mówił. – Znaczy się umysłowo. Ale ty też ciągle o tym myślisz.

– Wcale nie – skłamałem.

– Myślisz. Tak samo jak ten chłopak dzisiaj wieczorem. Też bez przerwy o tym myślisz. Jeśli się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, to wyświadczyliśmy mu łaskę. Nie sądzę nawet, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Zdawał, zdawał.

Needles wzruszył ramionami i przekręcił się na bok.

– To i tak już nie ma znaczenia.

Paliliśmy, a ja patrzyłem na bijące o brzeg plaży fale. Needles złapał Kapitana Tripsa. A więc wszystko zaczynało się od nowa. Był już późny sierpień i za kilka tygodni nadejdą pierwsze chłody. Trzeba się powoli przenosić gdzieś pod dach. Zima. A na Boże Narodzenie trup – być może my wszyscy będziemy już trupami. W frontowym pokoju czyjegoś mieszkania, z drogim radiomagnetofonem Coreya stojącym na regale wypełnionym egzemplarzami *Reader's Digest Condensed Books*. Słabe zimowe słońce malować będzie wzory okiennych ram na dywanie.

Obraz był taki sugestywny, że zadrżałem… Nikt przecież nie powinien myśleć o zimie w sierpniu. To tak, jakby ktoś odwiedzał własny grób.

Needles roześmiał się.

– A widzisz? Cały czas o tym myślisz.

Cóż miałem mu odpowiedzieć?

Wstałem.

– Poszukam Susie.

– Bernie, być może jesteśmy ostatnimi ludźmi na Ziemi. Czy przyszła ci kiedyś do głowy taka myśl?

W widmowym świetle księżyca, z podkrążonymi oczyma i białymi, nieruchomymi palcami jak ołówki już teraz sprawiał wrażenie półtrupa.

Stanąłem nad samą wodą i rozejrzałem się. Nie zobaczyłem nic z wyjątkiem będących w nieustannym ruchu garbów fal z delikatnymi lokami piany na grzbietach. Powietrze drżało od grzmotu bijącego w brzegi morza – większego niż cały świat; zupełnie jakbym trafił w sam środek burzy z piorunami. Zamknąłem oczy i kołysałem się na bosych stopach. Piasek był zimny, mokry i twardy. Nawet jeśli jesteśmy ostatnimi ludźmi, to co z tego? Bez nas świat również będzie toczył się własnym torem aż do chwili, kiedy księżyc przestanie przyciągać masy wód w ziemskich oceanach.

Na plażę wtoczyli się Corey i Susie. On człapał na czworakach, a ona jechała na nim na oklep jak na mustangu i wpychała mu co chwila głowę

pod nadbiegające fale. Corey parskał i chlapał na wszystkie strony. Oboje byli przemoczeni do nitki. Pobiegłem i popchnąłem Susie nogą. Corey, plując wodą i bełkocząc coś pod nosem, natychmiast sobie poszedł – wciąż na czworakach.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła Susie w moją stronę.

W bladej twarzy jej usta były czarnym półksiężycem i wyglądały jak wejście do wesołego miasteczka. Kiedy byłem dzieckiem, matka prowadzała nas do Harrison State Park, gdzie znajdował się lunapark. Bramę stanowiła olbrzymia głowa klowna i do środka wchodziło się przez jego usta.

– Daj spokój, Susie. Wstawaj – powiedziałem, wyciągając do niej rękę.

Po krótkim wahaniu chwyciła ją i podniosła się. Do bluzki i ciała poprzylepiały się jej ziarnka mokrego piasku.

– Nigdy mnie tak nie traktuj, Bernie. Nigdy…

– Och, daj spokój!

Nie była wcale jak szafa grająca, która nie zagra, jeśli nie wrzuci się dziesięciocentówki.

Poszliśmy plażą w kierunku kompleksu rekreacyjnego. Facet, który zajmował się plażą, miał na piętrze niewielkie mieszkanko. Było

w nim łóżko. Susie nie zasługiwała wprawdzie na łóżko, ale Needles miał rację. Nic już nie miało znaczenia. W tej grze nikt nie liczył punktów.

Na górę budynku prowadziły zewnętrzne schodki. Przystanąłem przy nich na chwilę, żeby popatrzeć przez wybite okno na znajdujące się w sklepie zakurzone towary, których nawet nikt nie pofatygował się ukraść – stojaki z podkoszulkami (na przodzie miały rysunek nieba i fal oraz napis „Anson Beach”), lśniące bransolety barwiące nadgarstki na zielono już drugiego dnia, tandetne kolczyki, piłki plażowe, zabrudzone widokówki, paskudnie pomalowane gliniane madonny, plastikowe wymiociny *(Jak prawdziwe! Wypróbuj na własnej żonie!)*, race i zimne ognie na Czwartego Lipca, którego nikt już nie będzie świętować, ręczniki plażowe ze zmysłowymi dziewczynami w bikini stojącymi pośród setek nazw słynnych kurortów, chorągiewki *(Pamiątka z Parku i Plaży Anson)*, balony i kostiumy kąpielowe. W frontowej części zabudowań mieścił się również bar szybkiej obsługi z wielkim napisem: SPRÓBUJ NASZEGO CIASTA Z MIĘCZAKAMI.

Kiedy jeszcze chodziłem do szkoły średniej, spędzałem wiele czasu na plaży Anson. Działo się to sześć lat przed A6. Kręciłem wówczas

z dziewczyną imieniem Maureen. Była duża i przepysznie zbudowana. Nosiła kostium kąpielowy w różową kratę i zawsze mówiłem jej, że wygląda w nim jak owinięta obrusem. Szliśmy na molo, pod gołymi stopami czuliśmy gorące deski i nagrzany piasek. Nigdy nie spróbowaliśmy ciasta z mięczakami.

– Na co patrzysz?

– Na nic. Chodź.

. . .

Dręczył mnie koszmar. Śniłem o Alvinie Sackheimie. Siedział wyprostowany za kierownicą lśniącego żółtego lincolna i mówił o swojej babci. Pozostał z niego tylko zwęglony szkielet i sczerniała, rozdęta głowa. Cuchnął spalenizną. Gadał i gadał, i po pewnym czasie nie potrafiłem zrozumieć ani jednego słowa. Obudziłem się zlany potem. Z trudem łapałem oddech.

Susie spała z nogami przerzuconymi przez moje uda; biała i spasiona. Zegarek wskazywał trzecią pięćdziesiąt, ale nie chodził. Za oknem ciągle jeszcze panował mrok. Huczał przypływ – jego punkt kulminacyjny. A to znaczyło, że jest czwarta piętnaście. Niebawem wstanie świt.

Zsunąłem się z łóżka i pomaszerowałem do drzwi. Morska bryza przyjemnie chłodziła mi rozpalone ciało. Na przekór wszystkiemu wcale nie chciałem umierać.

Przeszedłem w kąt pokoju i wziąłem puszkę piwa. Pod ścianą stały trzy czy cztery kartony budweissera. Ciepłego, bo nie było prądu. Mnie, w przeciwieństwie do większości ludzi, nie przeszkadza, jeśli piwo jest ciepłe. Po prostu trochę bardziej się pieni. Piwo to piwo. Wyszedłem na schody, usiadłem na stopniu, otworzyłem puszkę i zacząłem pić.

Tak oto cała rasa ludzka została zmieciona z powierzchni Ziemi. I to nie przez broń atomową, nie przez wojnę biologiczną czy zanieczyszczenie środowiska; nie, nic z tych przerażających rzeczy. Po prostu grypa. Chciałbym zamontować gdzieś olbrzymią tablicę – może na Bonneville Salt Flats. Spiżowy Skwer. Każdy bok liczyłby sześć kilometrów długości. Na użytek kosmitów, którzy w przyszłości wylądują na Ziemi, napisałbym wielkimi literami: PO PROSTU GRYPA.

Cisnąłem pustą puszkę za balustradę. Upadła z głuchym brzękiem na ciągnący się wokół budynku chodnik. W oddali widniał majaczący na piasku czarny trójkąt szałasu. Zastanawiałem

się, czy Needles śpi. Zastanawiałem się, czy ja zasnąłbym na jego miejscu.

– Bernie?

Stała w drzwiach ubrana w moją koszulę. Jakżeż jej nie znosiłem. Była spocona jak świnia.

– Już mnie nie lubisz, Bernie?

Nic nie odpowiedziałem. Czasami było mi przykro z powodu tego wszystkiego. Nie zasługiwała na mnie bardziej niż ja na nią.

– Czy mogę usiąść obok ciebie?

– Nie zmieścisz się.

Wydała zdławiony, przypominający czkawkę dźwięk i zamierzała wrócić do pokoju.

– Needles złapał A6.

Zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła na mnie. Twarz miała nieruchomą.

– Bernie, nie żartuj.

Zapaliłem papierosa.

– Przecież on nie może… On już…

– Tak, przeszedł już A2. Grypę Hongkong. Podobnie jak ty, jak ja, jak Corey, jak Kelly i Joan.

– Wiec to znaczy, że nie jest…

– Uodporniony?

– Tak. To znaczy, że i my możemy to złapać.

– Nie wiem, może kłamał, że przechodził A2. Po to, żebyśmy mu pozwolili pójść z nami – odparłem.

Na twarzy Susie pojawiła się ulga.

– Jasne, że tak. Na jego miejscu też bym skłamała. Nikt nie chce żyć samotnie… – Zawahała się. – Wracasz do łóżka?

– Za chwilę.

Zniknęła w mieszkaniu. Nie musiałem jej mówić, że A2 nie stanowi żadnej gwarancji odporności na A6. Sama o tym dobrze wiedziała. Po prostu wymazywała ten fakt ze świadomości. Siedziałem i obserwowałem przypływ. Osiągnął apogeum. Przed laty Anson było skromnym ośrodkiem, gdzie uprawiano windsurfing. Na tle nieba majaczył wyniosły Punkt. Czasami myślałem, że jest to stanowisko obserwacyjne, ale naturalnie ponosiła mnie wyobraźnia. Czasami Kelly zabierał na Punkt Joan. Ale nie sądzę, żeby zrobił to tej nocy.

Wtuliłem twarz w dłonie; czułem dokładnie ziarnistą fakturę skóry. Wszystko kończyło się tak szybko i tak nędznie – nie było w tym odrobiny godności.

A przypływ bił w brzegi przylądka, bił i bił. Bez końca. Czysty i tubalny. Latem, po skończeniu szkoły średniej, tuż przed rozpoczęciem studiów, przyjechałem tutaj z Maureen, a z południowo-wschodniej Azji nadciągała już A6, żeby spowić świat swoim

śmiertelnym całunem. Był lipiec, jedliśmy pizzę, słuchaliśmy radia, które Maureen ze sobą wzięła, smarowałem jej plecy olejkiem do opalania, ona smarowała moje, powietrze było gorące, piasek jasny, a słońce niczym płonące szkło.

JESTEM BRAMĄ

Siedzieliśmy z Richardem na werandzie mego domu i patrzyliśmy na rozciągającą się za wydmami Zatokę Meksykańską. Dym z jego cygara tworzył w powietrzu żółtawą chmurę trzymającą moskity w rozsądnej odległości. Woda miała barwę akwamaryny, niebo głębszy, prawdziwszy błękit; bardzo miła dla oka kombinacja.

– A więc jesteś bramą – powtórzył w zamyśleniu Richard. – Na pewno zabiłeś tego chłopca?... A może ci się to tylko przyśniło?

– Nic mi się nie przyśniło. Ale jednocześnie wcale go nie zabiłem... już ci to wyjaśniałem. Oni to zrobili. Jestem bramą.

Richard westchnął.

– Pochowałeś go?

– Tak.

– Pamiętasz miejsce?

– Tak. – Sięgnąłem do kieszeni na piersi i wyjąłem papierosa. Spowite bandażami dłonie miałem bardzo niezdarne i nieludzko mnie swędziały. – Jeśli chcesz obejrzeć sobie to miejsce, musisz wziąć terenówkę. Przecież nie będziesz pchać tego – wskazałem swój wózek inwalidzki – przez piaski.

Terenówka Richarda była volkswagenem rocznik pięćdziesiąty dziewiąty z oponami wielkości poduszek. Samochodem tym robił wyprawy po drewno wyrzucane przez fale na brzeg. Kiedy przestał pracować w firmie z Marylandu zajmującej się handlem nieruchomościami i przeszedł na emeryturę, zamieszkał na Key Caroline. Tworzył tutaj rzeźby z wyrzucanego przez morze drewna i sprzedawał je przybywającym do nas w zimie turystom po bezwstydnych cenach.

Richard wypuścił z cygara dym i popatrzył na zatokę.

– Dobrze, ale to później. Możesz mi wszystko jeszcze raz od początku opowiedzieć?

Westchnąłem i spróbowałem zapalić papierosa, ale on odebrał mi zapałki i podał ogień. Dwukrotnie się zaciągnąłem. Swędzenie palców doprowadzało mnie do szaleństwa.

– Zgoda – powiedziałem. – Wczoraj wieczorem siedziałem w tym miejscu, patrzyłem na zatokę i paliłem; tak, jak teraz…

– Jeszcze wcześniej.

– Jeszcze wcześniej?

– Zacznij od lotu.

Potrząsnąłem głową.

– Richard, ten temat chyba przewałkowaliśmy dosyć dokładnie. Nie ma nic…

Jego pokryta bliznami i zmarszczkami twarz była nieruchoma i tajemnicza jak oblicza jego rzeźb.

– Może sobie jeszcze coś przypomnisz – mruknął. – Może sobie przypomnisz.

– Naprawdę tak uważasz?

– Wszystko możliwe. A kiedy skończysz, pojedziemy obejrzeć ten grób.

– Grób – powtórzyłem.

Był to zaklęty, przerażający krąg, mroczniejszy niż wszystko inne, mroczniejszy nawet od tego oceanu, przez który z Corym płynąłem przed pięciu laty. Mrok, mrok, mrok.

Moje nowe oczy spoglądały ślepo w ciemność, jaka panowała pod opatrunkami. Swędziały.

. . .

Cory’ego i mnie wystrzelono na orbitę za pomocą rakiety Saturn 16, którą wszyscy komentatorzy zgodnie określali mianem Empire State Building. Zgadza się, była to ogromna bestia. W porównaniu z nią stary Saturn 1-B wyglądał jak karzełek. Startowała z silosa o głębokości sześćdziesięciu metrów – w przeciwnym razie mogłaby pociągnąć za sobą cały Przylądek Kennedy’ego.

Okrążyliśmy Ziemię, sprawdzając funkcjonowanie wszystkich systemów pokładowych, a następnie ruszyliśmy ku naszemu celowi. Ku Wenus. Na Ziemi zostawiliśmy skłócony Senat debatujący nad wysokością kredytów na dalszą eksplorację kosmosu i całą chmarę pracowników NASA, którzy zanosili pod niebiosa żarliwe modły, żebyśmy tylko coś znaleźli. Cokolwiek.

„Nieważne co – mawiał nieustannie Don Lovinger, cudowne dziecko Programu Zeus, kiedy był już po kilku głębszych. – Daliśmy wam do dyspozycji wszelkie nowinki techniczne plus pięć superczułych kamer telewizyjnych, a także szykowny, zminiaturyzowany teleskop z nieprzebraną liczbą obiektywów i filtrów. Znajdźcie jakieś złoto lub platynę. A jeszcze lepiej jakichś fajnych, przygłupich, małych, błękitnych

ludków, których moglibyśmy badać, eksploatować i czuć się od nich wyżsi. Cokolwiek. Możecie na początek przywieźć nawet ducha Howdy'ego Doody'ego".

Cory i ja strasznie chcieliśmy spełnić pokładane w nas nadzieje. Nie istniało nic, co mogłoby przemawiać za kontynuacją badań dalekiego kosmosu. Zaczynając od Bormana, Andersa i Lovella, którzy krążyli po orbicie Księżyca w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym i odkryli tylko pusty, jałowy świat o powierzchni przypominającej pokrytą brudnym piaskiem plażę, a kończąc na Markhanie i Jacksie, którzy jedenaście lat później dotknęli stopą Marsa po to tylko, żeby znaleźć tam pustynną równinę zamarzniętych piasków i kilka rozpaczliwie walczących o przetrwanie porostów, cały program podboju kosmosu okazał się jedynie kosztownym kaprysem. Były również ofiary. Pedersen i Lederer po wiek wieków krążyć będą wokół Słońca, ponieważ na przedostatnim statku z programu Apollo, którym lecieli, zawiodły dosłownie wszystkie urządzenia; John Davis – jego niewielkie orbitujące obserwatorium przedziurawił meteor, choć szansa takiego przypadku wynosiła zaledwie jeden do tysiąca. Tak, program kosmiczny nie

miał przed sobą żadnych perspektyw i otwarcie oświadczono nam, że w tej sytuacji nasz lot na Wenus stanowi ostatnią szansę.

Podróż trwała szesnaście dni i od strony technicznej nie nastręczała żadnych problemów – dla zabicia czasu pożeraliśmy niewiarygodne ilości koncentratów, graliśmy w remika i bez przerwy opowiadaliśmy sobie dowcipy. Jedynie trzeciego dnia straciliśmy przetwornicę nawilżacza powietrza i musieliśmy przejść na zapasowy. To wszystko, z wyjątkiem niewartych wzmianki głupstw. Później weszliśmy na orbitę Wenus. Obserwowaliśmy planetę, która najpierw miała wielkość ćwierćdolarówki, a później zamieniła się w wielką, mlecznej barwy kryształową kulę. Wymienialiśmy żarciki z ośrodkiem kontrolnym w Huntsville, słuchaliśmy taśm z muzyką Wagnera i Beatlesów, prowadziliśmy doświadczenia za pomocą najrozmaitszej aparatury. Mierzyliśmy siłę wiatru słonecznego, próbowaliśmy nawigacji w głębokim kosmosie, dokonaliśmy dwóch korekt lotu, obu nieznacznych, a dziewiątego dnia Cory wyszedł na zewnątrz i tak długo walił czymś ciężkim w chowaną DESĘ, aż ta zdecydowała się w końcu podjąć pracę. Nie działo się nic nadzwyczajnego, aż…

– DESA? – przerwał mi Richard. – Co to takiego?

– Eksperyment, z którego nic nie wynikło. DESA to skrót ukuty w NASA dla *Deep Space Antenna* – Antena do Penetracji Dalekiego Kosmosu. Nadawaliśmy we wszechświat wartość *pi* impulsami wysokiej częstotliwości pod adresem każdego, kto zechciałby nas wysłuchać. – Potarłem swędzącymi jak wszyscy diabli palcami po spodniach, ale to nic nie dało; przeciwnie, zrobiło jeszcze gorzej. – Podobny program realizował radioteleskop w West Virginia… no, wiesz, ten, który nasłuchuje sygnałów nadchodzących z kosmosu. Z tym tylko, że my wysyłaliśmy takie sygnały, głównie w kierunku dalszych planet naszego Układu: Jowisza, Saturna i Urana. Ale jeśli nawet istnieje tam jakieś inteligentne życie, to musiało sobie akurat uciąć drzemkę.

– Na zewnątrz wyszedł sam Cory?

– Tak, lecz jeśli nawet przywlókł jakieś międzygwiezdne choróbsko, telemetria tego nie wykryła.

– A jednak…

– To nieistotne – odparłem wykrętnie. – Liczy się tylko tu i teraz. Richardzie, oni zabili wczoraj chłopca. Nie był to piękny widok… czy odczucie.

Jego głowa… ona eksplodowała. Jakby ktoś wygarnął mu z czaszki mózg, a na jego miejsce włożył granat.

– Kończ opowieść – powiedział.

Roześmiałem się głucho.

– A cóż dalej jest do opowiadania?

. . .

Weszliśmy na ekscentryczną orbitę planety. Przerażające doświadczenie. Wysokość lotu wahała się od sześciuset do stu pięćdziesięciu kilometrów. To tyle, jeśli chodzi o pierwszą naszą orbitę. Na drugiej apogeum było jeszcze większe, a perigeum mniejsze. Wyznaczono nam cztery orbity. Zaliczyliśmy wszystkie. Mieliśmy wyśmienity widok na Wenus. Zrobiliśmy ponad sześćset zdjęć i Bóg jeden wie, ile metrów filmu.

Spowijające ją chmury składają się w równych częściach z metanu, amoniaku, pyłu i innego latającego gówna. Krajobraz tego świata wygląda jak Wielki Kanion w tunelu aerodynamicznym. Cory wyliczył, że na powierzchni szybkość wiatru osiąga ponad tysiąc sto kilometrów na godzinę. Wysłana tam sonda automatyczna nadawała ciągły sygnał, ale kiedy wylądowała, rozległ się tylko obrzydliwy skrzek

i zamilkła. Nie zaobserwowaliśmy żadnej roślinności ani śladów życia. Badania spektroskopowe wykazały śladowe ilości cennych minerałów. Taka była Wenus. Nic i nic… poza tym, że śmiertelnie mnie wystraszyła. Czułem się tak, jakbyśmy krążyli wokół nawiedzonego domu zawieszonego w pustce kosmicznej. Wiem, że brzmi to nienaukowo, ale naprawdę aż do chwili odlotu byłem przerażony. Myślę nawet, że gdybym nie usłyszał huku włączanych silników, poderżnąłbym sobie gardło. Wenus w niczym nie przypomina Księżyca. Księżyc jest pusty, ale w jakiś sposób aseptyczny. Natomiast świat, który ujrzeliśmy, nie kojarzył się z niczym, co widziało ludzkie oko. Może to i dobrze, że spowija go tak gruba pokrywa chmur. Wenus z bliska wygląda jak odarta ze skóry do czysta czaszka – inaczej tego nie potrafię określić.

Kiedy wracaliśmy, poinformowano nas, że Senat postanowił o połowę zmniejszyć budżet przeznaczony na eksplorację kosmosu. Pamiętam, że Cory powiedział: „Artie, wszystko wskazuje na to, że znów przesiądziemy się na satelity meteorologiczne”. Ale ja byłem zadowolony. Może wcale nie należymy do kosmosu?

Dwanaście dni później Cory już nie żył, a ja zostałem do końca życia kaleką. Kłopoty zaczęły się przy lądowaniu. Spadochron był splątany. Czyż to nie ironia losu? Przebywaliśmy w przestrzeni kosmicznej ponad miesiąc, dotarliśmy dalej niż jakikolwiek inny człowiek i wszystko skończyło się, ponieważ jakiś dupek żołędny śpieszył się na przerwę śniadaniową i źle złożył kilka linek.

Poszliśmy ostro w dół. Chłopak, który był w jednym z helikopterów, powiedział, że wyglądaliśmy jak olbrzymi, spadający z nieba noworodek, który wlókł za sobą pępowinę i łożysko. W momencie uderzenia straciłem przytomność.

Odzyskałem ją dopiero, kiedy wieźli mnie po pokładzie lotniskowca *Portland*. Nie zdążyli nawet zwinąć czerwonego, paradnego dywanu, po którym mieliśmy stąpać. Krwawiłem. Krwawiłem i wieziono mnie po tym czerwonym dywanie do szpitala. Dywan był tak samo czerwony jak ja…

. . .

– …dwa lata spędziłem w Bethesdzie[8]. Przyznano mi Medal Honorowy, dostałem masę

pieniędzy i ten wózek. Po roku przyjechałem tutaj. Lubię patrzeć na startujące rakiety.

– Wiem – odparł Richard. – Pokaż mi ręce.

– Nie – odparłem szybko i ostro. – Oni nie mogą patrzeć. Już ci o tym mówiłem.

– Ależ to działo się przed pięcioma laty – wyraził zdziwienie Richard. – Dlaczego więc dopiero teraz, Arthurze? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Nie wiem. Nie wiem! Bez względu na to, co to jest, może ma taki właśnie długi cykl rozwojowy. Gdzie zresztą jest napisane, że przywlokłem to stamtąd? Równie dobrze mogło to we mnie wleźć w Fort Lauderdale. Albo na przykład tutaj, na tej werandzie.

Richard westchnął i popatrzył na wodę, którą zachodzące słońce barwiło na czerwono.

– Arthurze, robię wszystko, żeby tylko nie myśleć, że postradałeś rozum.

– Jeśli będę musiał, to pokażę ci te ręce – obiecałem. Wypowiedzenie tych kilku słów kosztowało mnie bardzo wiele. – Ale tylko, jeśli będę musiał.

Richard wstał i rozejrzał się za laską. Wyglądał staro i krucho.

– Przyprowadzę samochód. Pojedziemy obejrzeć tego chłopca.

– Dziękuję, Richardzie.

Ruszył w kierunku zrytej koleinami, piaszczystej drogi wiodącej do jego domu, którego dach wystawał zza Wielkiej Wydmy, ciągnącej się prawie wzdłuż całej Key Caroline. Nad wodą, po stronie przylądka, niebo nabrało paskudnego śliwkowego koloru. Dobiegł mnie stłumiony dźwięk odległego grzmotu.

. . .

Nie znałem imienia tego chłopca, ale widywałem go od czasu do czasu, jak z sitem pod pachą wędrował o zachodzie słońca na plażę. Był mocno opalony i zawsze miał na sobie tylko obcięte, postrzępione dżinsy. Po drugiej stronie Key Caroline znajduje się plaża publiczna. Przedsiębiorczy młody człowiek mógł znaleźć na niej nawet pięć dolarów, jeśli cierpliwie przesiewał piasek w poszukiwaniu zgubionych przez amatorów kąpieli dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek. Za każdym razem, kiedy go widziałem, machałem doń ręką, a on mi odmachiwał; obaj nieznajomi, obcy sobie ludzie, a jednak w jakiś sposób bracia – stali mieszkańcy wysepki w przeciwieństwie do krzykliwych, jeżdżących cadillacami i wydających nad

morzem pieniądze turystów. Wyobrażałem sobie, że mieszka w jakiejś maleńkiej, odległej od mego domu o kilkaset metrów wiosce skupionej wokół poczty.

Kiedy mijał mnie tamtego wieczoru, ja już od godziny siedziałem na werandzie unieruchomiony na wózku i patrzyłem przed siebie. Wcześniej zdjąłem bandaże. Jeśli dawałem im możliwość obserwowania świata ich własnymi oczyma, swędzenie było dużo słabsze.

Tego, co ja, nie czuł nikt na świecie – byłem lekko tylko uchyloną bramą, przez którą oni mogli zerkać na świat, choć go nienawidzili i czuli przed nim lęk. Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że ja również w pewnym sensie wyglądałem przez tę bramę. Wyobraźcie sobie, że wasz umysł przeniesiony zostaje w ciało zwykłej domowej muchy, muchy, która zagląda wam w twarz tysiącem swoich oczu. Wtedy zapewne łatwo zrozumiecie, dlaczego trzymam ręce zabandażowane, nawet kiedy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ich ujrzeć.

Zaczęło się w Miami. Miałem tam do czynienia z facetem o nazwisku Cresswell, pracownikiem Departamentu Marynarki Wojennej. Sprawdzał mnie raz do roku – nikogo związanego z naszym programem badań

kosmicznych nie badano tak skrupulatnie jak mnie. Nie wiem, czego się spodziewał; przebiegłego błysku w moich oczach, szkarłatnych liter na czole? Bóg jeden wie. Pensję miałem tak wysoką, że aż się wstydziłem.

Siedzieliśmy na tarasie jego hotelowego pokoju, sączyliśmy drinki i dyskutowaliśmy o przyszłości amerykańskich badań przestrzeni kosmicznej. Mniej więcej kwadrans po piętnastej zaczęły swędzieć mnie palce. I to wcale nie stopniowo. To było takie uczucie, jakby przepuszczano mi prąd przez ręce. Powiedziałem o tym Cresswellowi.

– Pewnie dotknąłeś gdzieś na tej swojej wysepce trującego bluszczu – powiedział, szczerząc zęby.

– Tam rośnie tylko trochę karłowatych palm – odparłem. – Może to jakieś uczulenie?

Popatrzyłem na dłonie. Zwykłe dłonie. Tyle że swędziały.

Późnym popołudniem podpisałem, jak zwykle, ten sam papier („Przysięgam, że nigdy nie otrzymałem, nie ujawniłem ani nie przekazałem żadnej informacji, która…”) i pojechałem do siebie na Key. Miałem starego forda z zainstalowanym ręcznym hamulcem

i gazem. Uwielbiałem ten samochód – dawał mi poczucie niezależności.

Droga powrotna była długa i kiedy zjechałem z szosy, a później, gdy miałem już za sobą podróż bocznymi drogami i znalazłem się na rampie prowadzącej na Key Caroline, myślałem, że oszaleję. Ręce doprowadzały mnie do szaleństwa. Jeśli goiła wam się kiedyś głęboka rana albo szwy po zabiegu chirurgicznym, to macie niejakie pojęcie, jak mnie to swędziało i kłuło. Zupełnie jakby pod skórą roiły mi się żywe stworzenia.

Słońce prawie już zaszło i w ginącym świetle dnia popatrzyłem z uwagą na dłonie. Opuszki były czerwone, w miejscach, gdzie każdy gitarzysta ma zgrubienia, widniały maleńkie czerwone kółka. Takie same czerwone placki pojawiły się między pierwszym i drugim stawem kciuków i palców oraz między drugimi stawami a kłykciami. Przyłożyłem palce prawej dłoni do ust, ale natychmiast cofnąłem je z obrzydzeniem. Poczułem, że przerażenie ściska mnie za gardło. Tam, gdzie na skórze pojawiły się czerwone kółka, ciało było rozpalone, miękkie i galaretowate jak miąższ zgniłego jabłka.

Przez resztę drogi próbowałem sobie usilnie wmawiać, że faktycznie musiałem dotknąć trującego bluszczu. Ale szybko naszła mnie inna,

straszna myśl. Kiedy byłem dzieckiem, miałem ciotkę, która przez ostatnich dziesięć lat swego życia była zamknięta w pokoju na piętrze. Matka donosiła jej jedzenie, a wymawianie w domu imienia chorej było zabronione. Znacznie później dowiedziałem się, że chorowała na chorobę Hansena – trąd.

Kiedy dotarłem wreszcie do domu, natychmiast zadzwoniłem na kontynent, do doktora Flandersa. Po drugiej stronie odezwała się sekretarka. Oświadczyła, że doktor Flanders wybrał się w morze na ryby, ale jeśli sprawa jest pilna, to doktor Ballanger…

– Kiedy wróci doktor Flanders? – przerwałem jej.

– Najwcześniej jutro po południu. Tak zatem…

– Dziękuję.

Rozłączyłem się, a następnie wykręciłem numer Richarda. Po dwunastu sygnałach, kiedy nikt po drugiej stronie nie odbierał, odłożyłem słuchawkę. Przez chwilę siedziałem i nie wiedziałem, co mam dalej robić. Swędziało coraz gorzej. Wydawało się, że swędzi mnie wewnątrz palców.

Podjechałem wózkiem do półki z książkami i zdjąłem podniszczoną encyklopedię medyczną, którą miałem od lat. Wyczytałem tam bardzo

ogólnikowe informacje. Mogłem chorować na wszystko albo być zdrowy jak koń.

Opadłem na oparcie i zamknąłem oczy. Słyszałem, jak po drugiej stronie pokoju tyka stojący na półce stary zegar okrętowy. Dobiegał mnie też piskliwy, drżący dźwięk lecącego wysoko samolotu. I cichy szmer własnego oddechu.

Ciągle patrzyłem na książkę.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie coś, co przejęło mnie najwyższą zgrozą. Miałem zamknięte oczy, a ciągle patrzyłem na tę encyklopedię. To, co widziałem, było rozmazane, olbrzymie, wypaczone – czterowymiarowy odpowiednik książki – ale z całą pewnością miałem przed sobą książkę.

I nie tylko ja na nią patrzyłem.

Czując, że serce mi zamiera, gwałtownie otworzyłem oczy. Dziwaczne wrażenie trochę osłabło, ale nadal mnie nie opuszczało. Patrzyłem na encyklopedię. Oglądałem własnymi oczyma druk i diagramy – absolutnie codzienne doświadczenie – ale patrzyłem też pod innym, ostrzejszym kątem, patrzyłem innymi oczyma. I nie widziałem książki, lecz coś obcego, coś o potwornym kształcie i złowieszczym znaczeniu.

Powoli uniosłem dłonie do twarzy, doznałem okropnego uczucia, że mój pokój przekształca się w salon grozy.

Wrzasnąłem.

W palcach utworzyły mi się szczeliny, przez które łypały na mnie oczy. Patrzyłem tak na swoje dłonie, a skóra na nich zaczęła się kurczyć i rozciągać, kiedy oczy obojętnie wydobywały się na wierzch.

Ale nie to było przyczyną mego wrzasku. Wrzasnąłem, ponieważ spojrzałem na własną twarz i ujrzałem oblicze potwora.

. . .

Na wzgórzu pojawiła się terenówka i niebawem Richard zatrzymał ją przed moją werandą. Samochód strzelał z rury wydechowej, a jego silnik potępieńczo wył i chrypiał. Zjechałem z werandy po łagodnym spadzie obok normalnych schodków i Richard pomógł mi wsiąść do samochodu.

– No dobrze, Arthurze – powiedział. – Teraz twoja kolej. W którym kierunku jedziemy?

Wskazałem w stronę zatoki, tam, gdzie obniżała się Wielka Wydma. Richard skinął głową. Tylne koła zaczęły mielić piasek i pojazd

ruszył. Zazwyczaj lubiłem w czasie jazdy z Richardem bawić go dowcipami, ale dzisiaj nie miałem do tego głowy. Musiałem tyle rzeczy przemyśleć… i odczuć; oni nie znosili ciemności i czułem, jak starają się dojrzeć coś w mroku, czułem, że chcą, żebym zdjął bandaże.

Silnik wył, a samochód, podskakując i kolebiąc się na boki, sunął przez piaski w kierunku wody i wydawało się, że z wierzchołka każdej kolejnej wydmy po prostu wystartuje w powietrze. Po lewej stronie w swej purpurowej glorii zachodziło słońce. Przed nami kłębiły się nabrzmiałe piorunami chmury, które przemieszczały się z wolna w naszą stronę. Do zatoki spadła błyskawica.

– Teraz trochę w prawo – powiedziałem. – Tam, gdzie stoi ten szałas.

Richard gwałtownie zahamował, koła wzbijały fontanny piasku. Przystanął tuż obok przegniłych szczątków szałasu i sięgnął za siebie po łopatę. Skrzywiłem się na ten widok.

– Gdzie? – zapytał wypranym z emocji głosem.

– Tu – powiedziałem, wskazując ręką miejsce.

Wysiadł z samochodu i ruszył wolnym krokiem we wskazanym kierunku. Na miejscu chwilę się wahał, po czym wbił łopatę w piach. Wydawało mi się, że kopał bardzo długo.

Odrzucał za siebie mokry piasek. Zapowiadające burzę chmury stawały się coraz ciemniejsze, gęstsze, a woda w ich cieniu niemal kipiała. W falach odbijały się resztki światła zachodzącego słońca.

Już na długo przed tym, jak skończył kopać, wiedziałem, że nic nie znajdzie. Usunęli trupa. Wczoraj wieczorem nie zabandażowałem rąk, więc wszystko widzieli – i zareagowali. Skoro byli w stanie użyć mnie do zabicia chłopca, równie dobrze mogli też zmusić mnie do zabrania ciała; nawet podczas snu.

– Tu nie ma żadnego chłopca, Arthurze.

Wrzucił łopatę do samochodu i najwyraźniej zmęczony usiadł na siedzeniu kierowcy. Nadchodzące chmury burzowe rzucały na ziemię ciemne cienie w kształcie półksiężyców. Mieciony podmuchami wiatru piasek z szelestem uderzał o skorodowaną karoserię pojazdu. Palce mnie swędziały.

– Zostałem przez nich wykorzystany do usunięcia ciała – odezwałem się głucho. – Richardzie, oni przejmują nade mną władzę. Za każdym razem trochę szerzej otwierają bramę. Po sto razy dziennie odkrywam nagle, że stoję przed jakimś doskonale mi znanym przedmiotem… przed szpachelką, fotografią czy

puszką z fasolą… nie mając zielonego pojęcia, skąd się tam wziąłem, i że trzymam ręce wyciągnięte tak, by mogli sobie go dokładnie obejrzeć. Widząc te rzeczy jako jakieś zdeformowane, groteskowe obrzydlistwo…

– Arthurze – przerwał mi ze współczuciem. – Arthurze, dosyć. Nic nie mów. Stoję przed jakimś przedmiotem, powiedziałeś. Usunąłem ciało chłopca, powiedziałeś. Arthurze, przecież ty nie chodzisz. Od pasa w dół jesteś sparaliżowany.

Dotknąłem błotnika samochodu.

– To również wyłącznie martwy przedmiot. Ale kiedy do niego wsiadasz, jeździ. Możesz nawet nim zabić. Może się nie zatrzymać, mimo że bardzo tego chcesz. – Czułem w swoim głosie nutki histerii. – Nie rozumiesz? Jestem bramą. Richardzie, oni zabili chłopca! Oni zabrali ciało!

– Sądzę, że powinieneś poradzić się lekarza – powiedział cicho. – Wracajmy. Wracajmy i…

– Sprawdź! Sprawdź tego chłopca. Popytaj…

– Przecież mówiłeś, że nie wiesz nawet, jak on się nazywa.

– Musi pochodzić z wioski. To mała wieś. Popytaj…

– Kiedy poszedłem po samochód, rozmawiałem przez telefon z Maud Harrington. Jeśli w tym okręgu ktoś ma choć odrobinę

dłuższy nos, fakt ten nie ujdzie jej uwagi. Zapytałem ją, czy nie słyszała przypadkiem, żeby czyjś chłopak nie wrócił do domu na noc. Powiedziała, że o niczym takim nie wie.

– Ależ to ktoś miejscowy! Na pewno!

Sięgnął w stronę tkwiących w stacyjce kluczyków, ale go powstrzymałem. Odwrócił się w moją stronę z pytającym wyrazem twarzy, a ja zacząłem odwijać bandaże.

Od zatoki dobiegały odgłosy burzy.

. . .

Nie poszedłem do lekarza ani nie dzwoniłem więcej do Richarda. Przez trzy tygodnie, ilekroć wychodziłem z domu, bandażowałem dłonie. Przez trzy tygodnie żywiłem rozpaczliwą nadzieję, że wszystko samo minie. Trudno się w tym dopatrzyć rozsądku; muszę to uczciwie przyznać. Gdybym był normalnym człowiekiem, a nie poruszającym się na wózku inwalidą, gdybym prowadził normalne życie i normalnie pracował, zapewne udałbym się do doktora Flandersa lub do Richarda. Zresztą zrobiłbym to nawet na wózku, gdyby nie pamięć o wyklętym więźniu… o mojej ciotce, którą zżerało żywcem jej własne ciało. Tak zatem, mimo rozpaczy, nie

prosiłem nikogo o pomoc i modliłem się tylko, żebym pewnego dnia otworzył oczy i ujrzał, że wszystko to było wyłącznie złym snem.

Ale w miarę upływu czasu czułem ich obecność coraz intensywniej. Ich. Anonimową inteligencję. Nigdy nie próbowałem zastanawiać się nad tym, jak naprawdę wyglądają ani skąd przybyli. Była to sprawa otwarta. Stanowiłem ich bramę i okno na świat. Na zasadzie sprzężenia zwrotnego znałem ich odrazę i przerażenie, a także doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że ich świat diametralnie różni się od naszego. Dzięki sprzężeniu zwrotnemu znałem nienawiść, jaką do nas czuli. Ale ciągle obserwowali. Ich ciała zlały się z moim. Zacząłem rozumieć, że wykorzystują mnie, że mną manipulują.

Kiedy pojawił się ten chłopiec, unosząc w niezobowiązującym pozdrowieniu rękę, omal nie zadzwoniłem pod numer Departamentu Marynarki Wojennej, żeby skontaktować się z Cresswellem. Richard miał rację w jednym – wszystko jedno, co to było, w każdym razie przejęło mnie albo w samym kosmosie, albo na tej tajemniczej orbicie Wenus. Marynarka poddałaby mnie gruntownym badaniom i oni przestaliby mnie dręczyć. Nie musiałbym więcej czuwać długo w nocy i tłumić narastającego mi

w gardle wrzasku, gdy czułem, jak oni obserwują, obserwują, obserwują.

Wyciągnąłem ręce w kierunku chłopca i spostrzegłem, że mam je niezabandażowane. W gasnącym świetle dnia widziałem, jak oczy w milczeniu patrzą. Były wielkie, rozwarte, o złotych tęczówkach. Kiedyś wsadziłem w jedno koniec ołówka i poczułem w ręku rozdzierający ból. Oko łypnęło na mnie z taką nienawiścią, że było to gorsze od najgorszego bólu fizycznego. Nigdy już więcej nie próbowałem dłubać w tych oczach.

A teraz patrzyły na chłopca. Poczułem, że mój umysł w jakiś osobliwy sposób odpływa. Straciłem wszelką kontrolę nad sobą. Brama się otworzyła. Powlokłem się przez piaski w kierunku chłopaka, ciągnąc pozbawione czucia nogi jak bezwładne kłody. Odnosiłem wrażenie, że mam zamknięte powieki i patrzę wyłącznie za pośrednictwem tych obcych oczu – widziałem potworny, alabastrowy pejzaż morski nakryty olbrzymim, purpurowym niebem, widziałem przechylony, nadżarty kształt, który mógł być ścierwem jakiegoś bliżej nieokreślonego stworzenia, widziałem przerażającego stwora, który poruszał się i oddychał, i niósł pod pachą przedmiot wykonany z drewna i z drutu,

przedmiot posiadający niemożliwe z punktu widzenia geometrii kąty proste.

Zastanawiałem się, co myślał ten nieszczęsny, nieznany mi chłopak, który pod pachą niósł sito, a w kieszeniach dźwięczały mu zgubione przez turystów monety, co myślał, widząc, jak wlokę się za nim niczym oślepiony dyrygent wyciągający ramiona nad jakąś oszalałą orkiestrą, co myślał, kiedy ostatnie promienie zachodzącego słońca padły na moje czerwone dłonie o rozcapierzonych palcach, w których lśniły gałki oczne, co myślał, kiedy te ręce, na chwilę przed tym, jak eksplodowała mu głowa, wykonały nagle zamaszysty ruch w powietrzu.

Wiem, co ja myślałem.

Myślałem, że zerknąłem poza krawędź wszechświata, w ognie samego piekła.

. . .

Kiedy odwijałem bandaże, wiatr rozwiewał ich końce, smagając nimi jak biczami. Ciemne obłoki całkowicie już pochłonęły zachodzące na czerwono słońce i wydmy spowił posępny cień. Nad głowami kłębiły się nam zwały chmur.

– Richardzie, musisz mi obiecać jedno – zażądałem, przekrzykując świst wiatru. – Gdybyś

zobaczył, że próbuję… że próbuję… wyrządzić ci krzywdę, uciekaj. Rozumiesz?

– Tak.

Kołnierz rozpiętej pod szyją koszuli furkotał mu na wietrze. Twarz miał napiętą, jego oczy w zapadającym mroku były dwoma czarnymi plamami.

Opadł ostatni bandaż.

Popatrzyłem na Richarda i oni również na niego popatrzyli. Ja ujrzałem twarz mego najserdeczniejszego przyjaciela. Oni ujrzeli jedynie wypaczony żywy monolit.

– Widzisz ich – wychrypiałem. – Teraz ich widzisz.

Odruchowo zrobił krok do tyłu. Na jego twarzy pojawił się wyraz najwyższej zgrozy. Niebo przecięła błyskawica. Nad głowami przetaczał się nam grzmot, a woda w zatoce stała się czarna jak fale Styksu.

– Arthurze…

Jakżeż był odrażający. Jak mogłem przebywać w jego towarzystwie, jak mogłem z nim prowadzić wielogodzinne rozmowy. Nie był żadnym rozumnym stworzeniem, lecz uosobieniem jakiejś odrażającej zarazy. Był…

– Uciekaj! Uciekaj, Richardzie!

Zaczął biec. Sadził wielkimi, posuwistymi susami. Stał się zaledwie sylwetką na zamazanym niebie. Ręce mi się uniosły, uniosły się wysoko nad głowę w straszliwym, szaleńczym geście, palce sięgnęły do jedynej znajomej rzeczy w tym przerażającym świecie – sięgnęły do chmur.

I chmury odpowiedziały.

Niebo przecięła olbrzymia błękitnobiała błyskawica sięgająca zdawałoby się krańców świata. Trafiła Richarda, otoczyła go swymi ramionami. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to woń ozonu i smród palonego ciała.

Kiedy odzyskałem świadomość, siedziałem spokojnie na werandzie i spoglądałem w stronę Wielkiej Wydmy. Burza ucichła i powietrze stało się rozkosznie chłodne. Na niebie lśnił wąski sierp księżyca. Piasek był dziewiczo czysty – ani śladu Richarda i jego terenówki.

Popatrzyłem na dłonie. Oczy były otwarte, ale szkliste. Najwyraźniej zmęczyli się i zapadli w sen.

Dobrze wiedziałem, co należy zrobić. Zanim brama całkowicie się otworzy, muszę ją zatrzasnąć. I to na zawsze. Zaczynałem już dostrzegać pierwsze oznaki strukturalnych

zmian w moich rękach. Palce stawały się krótsze… i zmieniały się.

W salonie znajdował się mały kominek, w którym miałem zwyczaj palić, kiedy w powietrzu panowała zbyt duża wilgoć. Pośpiesznie rozpaliłem ogień. Nie miałem pojęcia, kiedy się obudzą i pojmą, co zamierzam uczynić. Gdy już ogień płonął na dobre, wyszedłem na werandę, gdzie trzymałem beczkę z naftą i zanurzyłem w niej dłonie. Natychmiast się rozbudzili i zaczęli wrzeszczeć z bólu. Myślałem już, że nie zdołam wrócić do salonu i płonącego na kominku ognia.

Ale jakoś wróciłem.

. . .

To wszystko działo się przed siedmioma laty.

Ciągle tutaj mieszkam i ciągle słucham grzmotu startujących rakiet. Ostatnio jest ich coraz więcej. Do władzy doszła nowa administracja, którą bardzo interesuje podbój kosmosu. Mówi się nawet o kolejnych załogowych lotach na Wenus.

Dowiedziałem się, jak miał na imię tamten chłopiec. Tak jak przypuszczałem, pochodził z wioski, ale noc miał spędzić u kolegi na

kontynencie i matka nie wszczynała alarmu aż do następnego poniedziałku. A Richard… no cóż, wszyscy wiedzieli, że jest starym dziwakiem. Podejrzewają, że wrócił do Marylandu albo pognał za jakąś babą.

Jeśli o mnie chodzi, tolerują moją osobę, choć cieszę się opinią oryginała. Ostatecznie, ilu byłych astronautów pisuje regularnie epistoły do Waszyngtonu, że pieniądze przeznaczone na badania kosmiczne lepiej wydać na coś innego?

Prawie już opanowałem posługiwanie się tymi hakami. Przez pierwszy rok straszliwie cierpiałem, lecz ciało ludzkie jest tak skonstruowane, że potrafi przystosować się do wszystkiego. Umiem już sam zawiązać nawet krawat i buty. Jak sami widzicie, piszę równo i wyraźnie. Nie sądzę, żebym miał specjalne kłopoty z wsunięciem sobie do ust lufy rewolweru i pociągnięciem za spust. Bo wiecie, trzy tygodnie temu znów się wszystko zaczęło.

Na piersi mam dwanaście złocistych oczu ułożonych idealnie w koło.

MAGIEL

Policjant Hunton wszedł do pralni akurat w chwili, kiedy odjeżdżał ambulans – nieśpiesznie, bez syreny i bez migających świateł. Złowieszczo. W biurze kłębił się tłum milczących ludzi; niektórzy z nich cicho łkali. Pralnia była pusta; nie zostały nawet wyłączone wielkie automatyczne pralki ciągnące się szeregiem w odległym końcu sali. Widok ten przejął policjanta dreszczem i sprawił, że Hunton nabrał nagle czujności. Ludzie powinni znajdować się na miejscu wypadku, a nie w biurze. Bo taka już jest ludzka natura – drzemiące w człowieku zwierzę posiada wrodzony instynkt nakazujący mu napawać się widokiem szczątków ofiary. A ten wypadek był szczególnie okropny. Hunton poczuł ucisk w żołądku; zawsze tak reagował na wyjątkowo paskudne wypadki. Nawet czternaście lat sprzątania ludzkich szczątków z autostrad, ulic i z chodników przed bardzo

wysokimi budynkami nie zdołało usunąć owego ściskania w brzuchu, jakby zagnieździło się w nim jakieś malutkie, wyjątkowo złośliwe zwierzątko.

Do Huntona zbliżył się niechętnie mężczyzna w białej koszuli. Zbudowany był jak tur, głowę wciskał w ramiona, a na nosie i policzkach widniały mu czerwone żyłki popękanych naczyń krwionośnych – bądź od wysokiego ciśnienia, bądź też od zbyt wielu rozmów z butelką. Usiłował coś powiedzieć, ale po dwóch nieudanych próbach Hunton przerwał mu bezceremonialnie:

– Czy pan jest właścicielem? Pan Gartley?

– Nie, nie, nazywam się Stanner. Jestem tu kierownikiem. Boże…

Hunton wyciągnął notes.

– Panie Stanner, proszę zaprowadzić mnie na miejsce wypadku i wszystko po kolei opowiedzieć.

Stanner pobladł jeszcze bardziej, a popękane żyłki na nosie i policzkach tak mu spurpurowiały, że wyglądały już na wrodzone znamiona.

– Cz…czy to konieczne?

Hunton uniósł brwi.

– Obawiam się, że tak. Z tego, co wiem, wypadek był bardzo poważny.

– Poważny… – Stanner sprawiał takie wrażenie, jakby miał kłopoty z posiłkiem, który ostatnio jadł; jego grdyka chodziła w górę i w dół jak małpa na sznurku. – Pani Frawley nie żyje. Jezu, żeby już tylko wrócił Bill Gartley!

– Ale co się stało?

– Najlepiej, jak pan sam zobaczy.

Poprowadził Huntona wzdłuż ręcznych pras, minął urządzenia do składania koszul i zatrzymał się obok znakownicy. Przeciągnął drżącą dłonią po czole.

– Dalej niech pan idzie sam. Nie chcę tego drugi raz oglądać. To taki widok, że… Nie, przepraszam, ale nie mogę…

Hunton z uczuciem lekkiego niesmaku i pogardy dla Stannera obszedł znakownicę. Mężczyzna niechlujnie kierował tym zakładem. Było tu ciasno, para szła przewodami spawanymi domowym sposobem, ludzie bez należytej ochrony pracowali z niebezpiecznymi chemikaliami, no i wreszcie skończyło się to tragicznie. Zginął człowiek. A teraz nie może patrzeć. Nie może…

Hunton zobaczył sam.

Maszyna ciągle chodziła. Nikt jej nawet nie wyłączył. Później urządzenie to Hunton poznał już bardzo dobrze: prasowarko-składarka automatyczna Hadley-Watson Model-6. Długa i niezręczna nazwa. Pracujący tu w upale i wilgoci ludzie ochrzcili ją krótkim, nieco staroświeckim mianem: magiel.

Hunton stał jak skamieniały i długo patrzył. Później, po raz pierwszy w swej czternastoletniej karierze stróża porządku, odwrócił się, konwulsyjnie chwycił za podbródek i zwymiotował.

. . .

– Dlaczego tak mało zjadłeś? – zapytał Jackson.

Panie były w domu, zmywały naczynia i paplały o dzieciach, a John Hunton i Mark Jackson siedzieli na ogrodowych krzesłach rozstawionych na trawniku obok wydzielającego aromatyczną woń barbecue. Hunton uśmiechnął się lekko. W ogóle nic nie jadł.

– Mam za sobą paskudny dzień – odparł. – Najgorszy w mojej karierze.

– Wypadek samochodowy?

– Nie, w zakładzie pracy.

– Taki okropny?

Hunton długą chwilę milczał; twarz wykrzywiał mu nerwowy grymas. Ze stojącej między nimi chłodziarki wyjął puszkę piwa i jednym haustem wypił połowę.

– Sądzę, że nauczyciele z college'ów niewiele wiedzą o przemysłowych pralniach.

Jackson zachichotał.

– Ja akurat wiem. Jako student dorabiałem sobie w pralni do stypendium.

– Zatem wiesz, jak wygląda coś, co nosi nazwę magiel wałkowy?

Jackson skinął głową.

– Jasne. Przeciąga przez siebie wilgotną pościel, przeważnie prześcieradła i inne lniane rzeczy. Wielka, długa maszyna.

– No właśnie – przytaknął Hunton. – W pralni Blue Ribbon, po drugiej stronie miasta, przeciągnęła przez siebie niejaką Adelle Frawley. Bardzo dokładnie.

Jackson nagle pozieleniał.

– Ależ… ależ to niemożliwe, Johnny. Tam jest taki rygiel bezpieczeństwa. Jeśli nawet któraś z obsługujących maszynę kobiet wsunie pod niego przez nieuwagę rękę, rygiel natychmiast zatrzyma urządzenie. Tak ja to w każdym razie pamiętam.

Hunton skinął głową.

– Racja, wymagają tego przepisy bezpieczeństwa. A jednak wypadek się zdarzył.

Hunton przymknął oczy i pod powiekami stanął mu ponownie obraz prasowarki Hadley-Watson, który oglądał nie dalej jak tego popołudnia. Była to długa maszyna w kształcie prostokątnego pudła o długości dziewięciu i szerokości dwóch metrów. W podajniku, pod ryglem bezpieczeństwa, przesuwała się brezentowa taśma, najpierw pod lekkim kątem w górę, a później w dół. Taśma ta przemieszczała nieustannie wilgotne pomarszczone prześcieradła między szesnastoma ogromnymi, obracającymi się cylindrami, które stanowiły zasadniczy element urządzenia. Osiem cylindrów na górze i osiem pod spodem – między nimi prasowana pościel, niczym cieniutkie plasterki szynki między dwoma pajdami bardzo gorącego chleba. Przy maksymalnej szybkości suszenia bielizny temperatura pary w cylindrach dochodziła do stu sześćdziesięciu stopni. Ciśnienie wywierane na transportowaną brezentowym pasem bieliznę wynosiło cztery dziesiąte kilograma na centymetr kwadratowy, co w zupełności wystarczało, żeby zlikwidować najdrobniejsze zagniecenia.

A panią Frawley w jakiś sposób wciągnęło między walce. Stalowe, pokryte azbestem cylindry były czerwone, jakby spryskała je farba do malowania stodół, a wydobywająca się z maszyny para niosła przyprawiający o mdłości odór gorącej krwi. Strzępy białej bluzki i niebieskich spodni, a nawet stanika i majtek maszyna wyrzuciła dziewięć metrów dalej, na swoim drugim końcu. Większe, skrwawione fragmenty ubrania automatyczna składarka złożyła z groteskową pieczołowitością. Ale nie to było najgorsze.

– Próbowała złożyć wszystko – odezwał się do Jacksona, czując, że w gardle rośnie mu jakaś kula. – Ale człowiek nie jest przecież prześcieradłem. Mark, to co zobaczyłem… to, co z niej zostało… – Podobnie jak Stanner, niefortunny kierownik pralni, nie był w stanie dokończyć. – Wynieśli ją w koszyku – zakończył cicho.

Jackson gwizdnął.

– Polecą za to głowy, prawda? – spytał. – Jak myślisz, czyje? Właścicieli pralni czy stanowych inspektorów bezpieczeństwa pracy?

– Jeszcze nie wiem – odparł Hunton. Ciągle miał przed oczyma koszmarny obraz; obraz magla, który sapał, dudnił i syczał, po zielonych

bokach długiego urządzenia spływała strumykami krew, smród przypieczonego… – To zależy, kto i w jakich okolicznościach przeprowadzał ostatnią kontrolę tego cholernego rygla bezpieczeństwa.

– A jeśli kierownictwo? Czy istnieje możliwość, że się z tego wywiną?

Hunton roześmiał się pozbawionym wesołości śmiechem.

– Mark, zginęła kobieta. Jeśli Gartley ze Stannerem oszczędzali na przeglądach technicznych czy naprawach, pójdą do więzienia. I to bez względu na to, kogo znają w radzie miejskiej.

– Myślisz, że robili takie oszczędności?

Hunton przypomniał sobie pralnię Blue Ribbon, fatalnie oświetloną, z wilgotnymi i śliskimi posadzkami, niektóre maszyny były nieprawdopodobnie stare i zniszczone.

– Możliwe, że tak – powiedział cicho.

Zgodnie ruszyli w stronę domu.

– Johnny, powiesz mi, jak się ta cała sprawa zakończyła – poprosił Jackson. – Bardzo jestem tego ciekaw.

. . .

Hunton grubo się mylił co do stanu technicznego magla; sprawa była czysta jak łza.

Sześciu stanowych inspektorów bezpieczeństwa pracy przeprowadziło wnikliwe, wszechstronne dochodzenie, rozkładając maszynę dosłownie na elementy pierwsze. Badania nie wykazały żadnych uchybień. Werdykt komisji brzmiał: nieszczęśliwy wypadek.

Po wysłuchaniu Rogera Martina, jednego z inspektorów, Huntonowi prawie odebrało mowę i dopiero po dobrej chwili, oszołomiony, ponownie zaczął przypierać urzędnika do muru. Martin był wysokim mężczyzną w okularach o szkłach grubych jak denko szklanek koktajlowych. W krzyżowym ogniu pytań Huntona ze zdenerwowania pstrykał długopisem.

– Nic? Nic nie znaleźliście w maszynie?

– Nic – odparł Martin. – Na pierwszy ogień, naturalnie, poszedł rygiel bezpieczeństwa. Okazał się absolutnie w porządku. Zresztą zapewniała nas o tym pani Gillian. Pani Frawley musiała po prostu zbyt głęboko wsunąć rękę. Nikt tego nie zauważył; ostatecznie każdy zajęty był swoją pracą. Zaczęła krzyczeć. Ale maszyna wciągnęła już jej dłoń i wciągała ramię. Zamiast

zatrzymać urządzenie, próbowali kobietę uwolnić i wpadli w panikę. Jedna z pracownic, pani Keene, oświadczyła, że próbowała zatrzymać maszynę, ale jesteśmy przekonani, że w popłochu nacisnęła nie ten guzik co trzeba; naciskała włącznik, zamiast ją unieruchomić. No, a później było już po wszystkim.

– A jednak ten rygiel musiał źle działać – powiedział energicznie Hunton. – Chyba że wsunęła dłoń od góry, nie od dołu.

– To niemożliwe. Powyżej znajduje się osłona z nierdzewnej stali. A sam rygiel funkcjonuje bez zarzutu. Jest połączony z silnikiem. Jeśli rygiel przestaje funkcjonować, cały magiel automatycznie się wyłącza.

– Na Boga, więc jak coś takiego mogło się w ogóle wydarzyć?

– Nie wiemy. Cały nasz zespół zgodny jest w jednym: magiel wałkowy mógł zabić panią Frawley jedynie w przypadku, gdyby spadła do niego z góry. A przecież stała na ziemi. Potwierdza to tuzin świadków.

– Opisuje pan wypadek, który nie mógł się wydarzyć – mruknął Hunton.

– Wcale nie. Nie rozumiemy tylko jednego… – Zawahał się, urwał, ale po chwili ciągnął. – Muszę pana przestrzec, panie Hunton, ponieważ

widzę, że bardzo pan wziął sobie ten wypadek do serca. Jeśli wspomni pan komukolwiek o tym, co teraz powiem, wszystkiego się wyprę. Nie podoba mi się ta maszyna. Wydaje się… wydaje się, że z nas kpi. W ciągu ostatnich pięciu lat badałem z tuzin takich magli. Niektóre znajdowały się w tak opłakanym stanie technicznym, że nie zostawiłbym przy nich bez smyczy najbardziej parszywego kundla… prawo stanowe w tym względzie jest karygodnie niefrasobliwe. Ale to wszystko były zwykłe maszyny. A ta… ta jest upiorem. Nie wiem dlaczego, ale jest. Gdybym tylko znalazł w niej jedną usterkę mechaniczną, kazałbym natychmiast oddać całość na złom. To jakieś szaleństwo, prawda?

– Przyznam się panu, że mam bardzo podobne odczucia.

– Pozwoli pan, że opowiem pewną historię, która wydarzyła się przed dwoma laty w Milton – odezwał się inspektor. Zdjął okulary i zaczął powoli czyścić je o kamizelkę. – Fecet wystawił na podwórko za domem starą lodówkę. Później zadzwoniła do nas jakaś kobieta ze skargą, że do tej lodówki dostał się jej pies i tam się udusił. Posłaliśmy do faceta policjanta, który polecił wywieźć grata na miejskie wysypisko śmieci. Facet był sympatyczny i wyrażał szczere

ubolewanie z powodu tego psa. Załadował lodówkę na furgonetkę i następnego ranka wywiózł ją na śmietnisko. Jeszcze tego samego dnia po południu inna kobieta z sąsiedztwa zgłosiła zaginięcie swego syna.

– Boże drogi – westchnął Hunton.

– Lodówka spoczywała na śmietnisku, a w niej martwy syn tej kobiety. Bardzo bystry dzieciak, jak twierdziła jego matka. Z całą pewnością nie bawiłby się pustą, starą lodówką, podobnie jak nie dałby się nabrać na przejażdżkę samochodem z obcym mężczyzną. No cóż, ale się bawił. Taki wydaliśmy werdykt. Koniec sprawy?

– Chyba tak – mruknął Hunton.

– Otóż nie. Następnego dnia pojawił się dozorca wysypiska, żeby wyrwać z tej lodówki drzwi. Regulamin miejskich wysypisk, paragraf pięćdziesiąty ósmy. – Martin popatrzył obojętnie na Huntona. – W środku znalazł sześć martwych ptaków. Mewy, wróble i jeden drozd. Oświadczył też, że kiedy wyrywał drzwi, one przytrzasnęły mu rękę. Najadł się okropnego strachu. Magiel w Blue Ribbon przypomniał mi tamten wypadek, panie Hunton. Bardzo mi się ta maszyna nie podoba.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Znajdowali się na posterunku policji, jakieś sześć przecznic

od miejsca, gdzie w ruchliwej pralni stękała i pryskała parą, mozoląc się z prasowanymi prześcieradłami, automatyczna prasowarko-składarka Hadley-Watson Model-6.

. . .

Z powodu natłoku bardziej prozaicznych zajęć policjant Hunton przez cały tydzień nie poświęcił tamtemu wypadkowi ani jednej myśli. Przypomniał sobie o nim dopiero wtedy, kiedy wpadł z żoną do Marka Jacksona na partyjkę wista i piwo.

Jackson przywitał go słowami:

– Johnny, czy rozważałeś możliwość, że ta maszyna z pralni, o której mi mówiłeś, może być nawiedzona?

Zmieszany Hunton zamrugał oczyma.

– Słucham?

– Mówię o tym maglu wałkowym z pralni Blue Ribbon. Widzę, że jeszcze nie dotarły do ciebie wieści o dalszym ciągu tamtej historii.

– Jakim dalszym ciągu? – zapytał z nagle rozbudzonym zainteresowaniem Hunton.

Jackson rozłożył przed nim wieczorną gazetę i wskazał notatkę na dole drugiej strony. Opisano tam wypadek, jaki miał miejsce przy wielkim

maglu wałkowym w pralni Blue Ribbon. Trzy z sześciu pracujących przy podajniku kobiet zostały poparzone parą. Wypadek miał miejsce o piętnastej czterdzieści pięć i spowodowany został nagłym skokiem ciśnienia w głównym kotle pralni. Jedna, pani Annette Gillian, trafiła do szpitala miejskiego z oparzeniami drugiego stopnia.

– Zabawny zbieg okoliczności – oświadczył Hunton.

Ale natychmiast przypomniał sobie słowa inspektora Martina wypowiedziane na posterunku. Ta jest upiorem… Przypomniał sobie historię psa, chłopca i ptaków pochwyconych przez zdezelowaną lodówkę.

Tego wieczoru grał w karty bardzo nieuważnie.

. . .

Kiedy Hunton wszedł do czteroosobowej sali szpitalnej, pani Gillian leżała w łóżku, plecy miała podparte poduszkami i czytała „Screen Secrets”. Ramię i kark spowijały jej grube bandaże. Druga osoba z tej sali, młoda kobieta o bladej twarzy, pogrążona była we śnie.

Na widok niebieskiego munduru pani Gillian zamrugała oczyma i przesłała Huntonowi niepewny uśmiech.

– Jeśli chce się pan zobaczyć z panią Cherinikov, to musi pan przyjść drugi raz. Właśnie dali jej jakieś środki.

– Nie, nie, ja do pani. – Uśmiech na jej twarzy wyraźnie przygasł. – Jestem tutaj nieoficjalnie… to znaczy interesuję się tym wypadkiem w pralni. Nazywam się John Hunton.

Wyciągnął rękę.

To było dobre zagranie. Twarz pani Gillian rozjaśnił promienny uśmiech i niezgrabnie wyciągnęła niezabandażowaną dłoń.

– Wszysto panu opowiem, panie Hunton. Boże, a już myślałam, że to mój Andy znów coś przeskrobał w szkole.

– Co się tam naprawdę wydarzyło?

– Wkładałyśmy prześcieradła i nagle magiel wybuchnął… tak to w każdym razie wyglądało. Myślałam właśnie o tym, że po powrocie do domu muszę wyprowadzić psy, kiedy rozległ się potężny huk, jakby eksplodowała bomba. Wszystko zniknęło w kłębach pary i rozległ się syk… okropność. – Uśmiech prawie zniknął z jej twarzy. – Zupełnie jakby maszyna oddychała. Jak smok. Wtedy Alberta, to znaczy Alberta Keene,

zawołała, że coś wybuchło, i wszystkie rzuciłyśmy się do ucieczki. Ginny Jason zaczęła wrzeszczeć, że jest poparzona. Ja też pobiegłam do wyjścia, ale potknęłam się i upadłam. Wtedy najgorzej mi się dostało. Dobry Bóg nie dopuścił jednak do większego nieszczęścia. Temperatura pary wynosi sto sześćdziesiąt stopni.

– W gazetach napisano, że puścił przewód. Co to znaczy?

– Idąca pod sufitem rura kończy się elastycznym przegubem, który wchodzi do maszyny. George… pan Stanner, oświadczył, że w głównym kotle musiał nastąpić nagły wzrost ciśnienia czy coś takiego i pękł ten elastyczny przewód.

Hunton nie potrafił wymyślić dalszych pytań i zbierał się do odejścia, kiedy pani Gillian odezwała się zamyślonym tonem:

– Ta maszyna zawsze funkcjonowała bez zarzutu. Dopiero ostatnio… Pęknięty przewód, ten straszny wypadek pani Frawley, Panie, świeć nad jej duszą, różne inne drobne zdarzenia. Na przykład przygoda Essie, której łańcuch napędowy wciągnął skraj sukienki. Gdyby jej się nie udało oderwać materiału, mogłoby się to skończyć bardzo niedobrze. Puszczają śruby, sworznie… Och, Herb Diment, nasz główny

mechanik, miał z tą maszyną urwanie głowy. Ostatnio prześcieradła zaczęły blokować się w składarce. George wprawdzie twierdzi, że to dlatego, bo do pralek dodają zbyt dużo wybielacza, ale fakt pozostaje faktem, że dotąd się takie historie nie zdarzały. Dziewczyny unikają pracy przy tej maszynie. Essie nawet utrzymuje, że w środku ciągle jeszcze tkwią kawałki Adelle Frawley i że to świętokradztwo uruchamiać ten magiel. Uważa, że ciąży na nim przekleństwo. Zaczęło się to wtedy, gdy Sherry rozcięła sobie rękę o klamry mocujące.

– Sherry? – zapytał Hunton.

– Sherry Ouelette. Śliczne stworzenie, prosto po szkole średniej. Dobra pracownica, ale czasami nieostrożna. Wie pan, jakie są młode dziewczyny.

– Rozcięła sobie rękę?

– W tym wypadku akurat nie było nic dziwnego. W maglu są takie klamry, które mocują i naciągają taśmę przy podajniku. Chciała je naprężyć, żeby można było od razu kłaść więcej bielizny, a przy tym zapewne myślała o jakimś chłopaku. Bardzo mocno skaleczyła się w palec. Wszędzie było pełno krwi. – Pani Gillian nagle umilkła i popatrzyła ze zdziwieniem na Huntona. – No tak, to od tamtej właśnie chwili

zaczęły puszczać te sworznie i odpadać śruby. Adelle… no, wie pan… to jej się przytrafiło w tydzień później. Zupełnie jakby maszyna poznała smak krwi i bardzo go polubiła. Nie uważa pan, panie Hinton, że kobiety miewają czasami pomysły?

– Hunton – poprawił odruchowo, spoglądając ponad głową swej rozmówczyni w jakiś bliżej nieokreślony punkt.

. . .

Jak na ironię, Hunton najczęściej spotykał Marka Jacksona w pralni mieszczącej się przy przecznicy, która dzieliła ich domy. Tam właśnie policjant i profesor angielskiego odbywali najbardziej interesujące rozmowy.

W tej chwili siedzieli na wygodnych plastikowych krzesłach, za szybami pralek automatycznych wirowały rzeczy, które przynieśli do prania. Kieszonkowe wydanie dzieł zebranych Miltona leżało zapomniane, a Jackson z uwagą słuchał Huntona, który relacjonował mu to, co usłyszał od pani Gillian.

– Spytałem cię kiedyś, czy bierzesz pod uwagę to, że ten magiel może być nawiedzony – odezwał się Jackson, kiedy policjant skończył. – Nie do

końca wtedy żartowałem. Teraz zadaję ci to pytanie ponownie.

– No wiesz – odparł niespokojnie Hunton – nie bądź dzieckiem.

Jackson zamyślonym spojrzeniem śledził obracające się w pralce brudy.

– „Nawiedzony” to złe słowo. Powiedzmy: „opętany”. Istnieje tyle samo zaklęć przywołujących demony, co je odpędzających. W książce Fraziera *Złota gałąź* znajdziesz ich całe mnóstwo. Wiedza druidów i Azteków zawierała takich zaklęć jeszcze więcej. Istnieją też dużo starsze, pochodzące z Egiptu. Wszystkie je można w zadziwiający sposób sprowadzić do wspólnego mianownika. Tym łączącym je elementem jest oczywiście krew dziewicy. – Popatrzył na Huntona. – Pani Gillian powiedziała, że wszystko zaczęło się od tego skaleczenia Sherry Ouelette.

– Och, daj spokój! – mruknął Hunton.

– Ale musisz przyznać, że to idealnie pasuje.

– Tak, już biegnę do niej do domu – odparł z lekkim uśmiechem Hunton. – Już słyszę, jak mówię: „Panno Ouelette, jestem oficerem policji i badam sprawę prasowarki opętanej przez demona. W związku z tym muszę zadać pani pewne pytanie: czy jest pani dziewicą?”. Jak

myślisz, czy przed przybyciem pielęgniarzy zdążę się jeszcze pożegnać z Sandrą i dzieciakami?

– Jeśli zaczniesz to rozpowiadać na prawo i lewo, z pewnością nie zdążysz – odparł bez uśmiechu Jackson. – Ale ja mówię poważnie, Johnny. Ta maszyna mnie przeraża, choć nie widziałem jej na oczy.

– No dobrze – odezwał się Hunton. – Dla podtrzymania tej interesującej rozmowy zapytam: jakie, twoim zdaniem, są inne wspólne mianowniki?

Jackson wzruszył ramionami.

– Bez głębszych studiów trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Większość anglosaskich formuł magicznych wymienia ziemię cmentarną albo oko ropuchy. Europejskie źródła wspominają często o ręce chwały, którą należy tłumaczyć albo w sensie dosłownym, czyli jako rękę trupa, albo alegorycznie, jako któryś z halucynogenów ściśle powiązanych z sabatami czarownic, zazwyczaj belladonę lub wyciąg z meksykańskich grzybów z gatunku *Psilocybe*. Ale mogą być i inne.

– Poważnie myślisz, że to wszystko wlazło w prasowarkę z Blue Ribbon? Jezu Chryste, Mark, mogę się założyć, że w promieniu pięciuset

kilometrów nie znajdziesz belladony. A może sądzisz, że ktoś odrąbał wujkowi Fredowi rękę i wpakował ją do składarki?

– Jeśli siedemset małp przez siedemset lat będzie pisać na maszynie…

– …jedna z nich napisze w końcu dzieła Szekspira – dokończył zjadliwie Hunton. – Idź do diabła! Lepiej skocz do drogerii po drugiej stronie i rozmień ten banknot na drobne. Musimy mieć na suszarki.

. . .

George Stanner w bardzo dziwny sposób stracił w maglu rękę.

W poniedziałek o siódmej rano w pralni był tylko on i Herb Diment, mechanik. Dwa razy w roku pojawiali się w pracy wcześniej, żeby przed otwarciem zakładu, o wpół do ósmej rano, dokonać generalnego przeglądu maszyny i posmarować wszystkie łożyska oraz elementy toczne. Diment akurat oliwił cztery ostatnie łożyska, dumając nad tym, ile kłopotów sprawiło mu to urządzenie, kiedy nieoczekiwanie magiel z ochrypłym rykiem ożył.

Herb unosił właśnie pas transmisyjny, żeby dostać się do silnika, kiedy taśma ruszyła i zdarła

mu skórę z dłoni.

W ostatniej chwili, kiedy już miało mu wciągnąć ramiona do składarki, oderwał ręce od taśmy.

– Boże drogi, George! – ryknął. – Wyłącz tego pieprzonego potwora!

Ale w tej samej sekundzie George Stanner zaczął wrzeszczeć.

Był to wysoki, zawodzący, mrożący krew w żyłach krzyk, który wypełnił pralnię, odbijał się echem od stalowych gąb pralek, wyszczerzonych paszcz pras parowych, ślepych oczu przemysłowych suszarek. Stanner nabrał w płuca powietrza i ponownie wrzasnął.

– Chryste, złapało mnie, ZŁAPAŁO MNIE…

Cylindry zaczęły napełniać się parą. Składarka zgrzytała i dudniła. Łożyska i silniki jękiem oznajmiały, że pulsują jakimś własnym utajonym życiem.

Diment ruszył biegiem na drugi koniec maszyny.

Pierwszy walec już nabierał złowieszczej czerwieni. Z gardła mechanika dobył się zduszony gulgot. Magiel zawodził, dudnił, syczał.

Głuchy obserwator mógłby dojść do wniosku, że Stanner pochyla się tylko nad maszyną pod dziwacznym kątem. Ale w chwilę później nawet

on dostrzegłby bladą twarz z wybałuszonymi oczyma i ustami rozwartymi w ciągłym krzyku. Ręka mechanika niknęła pod ryglem bezpieczeństwa i pod pierwszym walcem; koszulę miał podartą, a na ramieniu i przedramieniu groteskowo wychodziły żyły. Krew tryskała wszędzie.

– Wyłącz! – zawył Stanner.

W tym samym momencie rozległ się trzask pękającego łokcia.

Diment uderzył kciukiem w wyłącznik.

Magiel ciągle szumiał, warczał, cylindry się obracały.

Nie dowierzając własnym oczom, mechanik naciskał i naciskał guzik. Bez skutku. Skóra na ramieniu Stannera stawała się lśniąca i coraz bardziej napięta. Niebawem pęknie pod naciskiem walca; Stanner ciągle był przytomny i ciągle wył. Diment miał przez chwilę koszmarną, komiksową wizję człowieka rozgniecionego przez walec parowy tak, że został z niego tylko cień.

– Bezpieczniki… – zaskrzeczał Stanner.

W miarę jak walce wciągały mu ramię, coraz niżej i niżej pochylał głowę.

Diment odwrócił się i runął do pomieszczenia z bojlerem. Wrzaski Stannera goniły go jak

wściekłe duchy. W powietrzu wisiał zapach pary wymieszany z ciężkim odorem krwi.

Na lewej ścianie znajdowały się trzy wielkie, szare puszki ze wszystkimi bezpiecznikami pralni. Diment otwierał je po kolei, gorączkowo wykręcał długie cylindryczne korki i ciskał je za siebie. Najpierw pogasły światła, później stanął kompresor powietrza, a po nim z posępnym, donośnym skowytem wyłączył się sam kocioł.

A magiel pracował dalej. Krzyki Stannera przechodziły z wolna w odrażający bulgot i rzężenie.

Wzrok Dimenta padł na szklaną gablotę z siekierą przeciwpożarową. Mechanik wydał zdławiony skowyt, porwał topór i pobiegł z powrotem. Maszyna wciągnęła już rękę Stannera aż po ramię. Jeszcze kilka chwil i rygiel bezpieczeństwa złamie mu kark.

– Nie mogę – szlochał Diment, ściskając siekierę. – Jezu, George, nie mogę, nie mogę, nie…

Magiel przypominał już maszynę do mielenia mięsa. Składarka wypluwała z siebie strzępy koszuli, ochłapy ciała, palec. Stanner wydał przeraźliwy wrzask. W zalegającym pralnię półmroku Diment wzniósł siekierę i uderzył. Uderzył jeszcze raz. I jeszcze.

Nieprzytomny Stanner runął do tyłu. Twarz miał siną.

Z uciętego tuż przy pasze kikuta chlustała krew. Magiel wessał jeszcze pozostałe resztki i… przestał pracować.

Diment, szlochając, wyrwał ze spodni pasek i zaczął zaciskać go na tym, co zostało z ramienia Stannera, żeby zatamować krwotok.

. . .

Hunton rozmawiał przez telefon z inspektorem Rogerem Martinem. Jackson obserwował go i cierpliwie odrzucał piłkę trzyletniej Patty Hunton.

– Usunął wszystkie bezpieczniki? – dopytywał się Hunton. – A wyłącznik po prostu nie działał, co?… Wycofano z użytku?… Dobrze. Świetnie. Co?… Nie, nieoficjalnie. – Hunton zmarszczył brwi i popatrzył z ukosa na Jacksona. – Roger, pamiętasz tę historię z lodówką?… Tak. Ja też. Do widzenia.

Odwiesił słuchawkę i popatrzył na Jacksona.

– No, Mark, ruszamy do tej dziewczyny.

. . .

Miała własne mieszkanie (z malującej się na jej twarzy dumy wymieszanej z zakłopotaniem Hunton domyślił się, że mieszka w nim od niedawna). Zaprowadziła ich do mikroskopijnego, ale urządzonego z wielkim smakiem saloniku i zajęła miejsce naprzeciwko gości.

– Jestem oficerem policji i nazywam się Hunton. A to mój kolega, pan Jackson. Przyszliśmy tutaj w sprawie tamtego wypadku w pralni.

W towarzystwie tej ciemnowłosej, ślicznej i skromnej panienki czuł się bardzo nieswojo.

– Coś strasznego – mruknęła Sherry Ouelette. – To moja pierwsza praca w życiu. Pan Gartley jest moim wujem. Lubiłam to zajęcie, bo dzięki niemu mogłam mieć to mieszkanie i nowych przyjaciół. Ale teraz… to upiorne.

– Miejski Urząd Bezpieczeństwa Pracy do czasu zakończenia śledztwa wycofał prasowarkę z użycia – oświadczył Hunton. – Słyszała pani o tym?

– Pewnie. – Westchnęła niespokojnie. – Nie wiem, co mam dalej robić…

– Panno Ouelette – przerwał jej Jackson. – Miała pani wypadek przy tej prasowarce,

prawda? Jak słyszałem, rozcięła pani sobie rękę o klamrę.

– Tak, dokładnie palec. – Nagle się nachmurzyła. – To po pierwsze. – Popatrzyła na nich z przygnębieniem. – Poza tym zaczynam odnosić wrażenie, że dziewczyny przestały mnie lubić… jakbym była temu wszystkiemu winna.

– Muszę pani zadać bardzo obcesowe pytanie – ciągnął z namysłem Jackson. – Pytanie, które z całą pewnością nie przypadnie pani do gustu. Pozornie będzie aż absurdalnie osobiste i pozornie niezwiązane z tematem, ale daję pani najświętsze słowo honoru, że tylko pozornie. Odpowiedź na nie nie będzie figurować w żadnych kartotekach.

Popatrzyła na nich z przestrachem.

– Czy… czy coś zrobiłam?

Jackson uśmiechnął się, pokręcił przecząco głową, a dziewczyna najwyraźniej odzyskała spokój i pogodę ducha. Dzięki Bogu, że jest tu ze mną Mark, pomyślał Hunton.

– Pragnę też podkreślić, że odpowiedź na moje pytanie może pomóc pani zachować to śliczne, małe mieszkanko i wrócić do pracy, w której znów wszystko będzie po staremu.

– Odpowiem na każde pytanie – powiedziała.

– Sherry, czy jest pani dziewicą?

Popatrzyła na nich oszołomiona, prawie wstrząśnięta, zupełnie jakby kapłan najpierw udzielił jej komunii, a następnie dał w twarz. Po chwili jednak uniosła głowę i szerokim gestem wskazała swoje schludne mieszkanie. Tym gestem pytała, czy naprawdę wierzą, że jest to dom schadzek.

– Czekam z tym na męża – odparła krótko.

Hunton i Jackson wymienili spojrzenia i w ułamku sekundy policjant pojął, że wszystko, co mówił Jackson, jest prawdą; jest prawdą, że diabeł przejął władzę nad martwą stalą, trybami i tłokami magla i że obdarzył go czymś w rodzaju życia.

– Dziękujemy – powiedział cicho Jackson.

. . .

– I co teraz? – zapytał ponuro Hunton, kiedy wracali do domu. – Mamy szukać księdza, który odprawi egzorcyzmy?

Jackson parsknął.

– Jeśli nawet takiego znajdziesz, wręczy ci na początek kilka traktatów do przeczytania, a kiedy ty będziesz je studiował, on pobiegnie do najbliższego telefonu i zadzwoni do domu dla obłąkanych. Johnny, musimy to załatwić sami.

– Ale czy potrafimy?

– Może. Cały problem sprowadza się do jednego: wiemy, że coś jest w maglu. Nie wiemy tylko co. – Hunton poczuł chłód, zupełnie jakby dotknął go jakiś bezcielesny, lodowaty palec. – Istnieje wiele demonów. Czy mamy do czynienia z jakimś pochodzącym z kręgu bogini Bastet albo bożka Pana? Baala? A może jest to bóstwo chrześcijańskie zwane Szatanem? Nie wiemy. Gdybyśmy potrafili dokładnie określić demona, mielibyśmy pewne szanse. Podejrzewam jednak, że mamy do czynienia ze złym duchem, który przypadkowo utknął w tej prasowarce. – Jackson przeciągnął palcami po włosach. – Tak, krew dziewicy. Ale to stanowczo dla nas za mało. Musimy mieć pewność, absolutną pewność.

– Dlaczego? – zapytał bez namysłu Hunton. – Nie możemy po prostu zebrać do kupy różnych formuł egzorcyzmów i wypróbować, która zadziała?

Jackson popatrzył na niego surowo.

– Johnny, to nie jest zabawa w policjantów i złodziei. Boże święty, żeby tak było. Rytuał egzorcyzmów jest szalenie niebezpieczny. Na swój sposób przypomina kontrolowane rozszczepienie jądra atomowego. Bardzo łatwo popełnić jakiś błąd i stracić życie. W tę maszynę

został pochwycony demon. Ale dać mu tylko szansę…

– I wydostanie się stamtąd?

– Okropnie chce się wydostać – odparł posępnie Jackson. – I bardzo lubi zabijać.

. . .

Następnego wieczoru przed wizytą Jacksona Hunton wyprawił żonę i córkę do kina, więc mieli dla siebie cały salon. Policjantowi ciągle nie mieściło się w głowie, że dał się wplątać w taką aferę.

– Odwołałem dzisiaj wszystkie zajęcia – oznajmił od progu Jackson – i cały dzień spędziłem nad książkami o najbardziej odrażających bóstwach, jakie możesz sobie wyobrazić. Po południu wprowadziłem do uczelnianego komputera ponad trzydzieści formuł przywołujących demony. Otrzymałem pewną liczbę wspólnych elementów. Zadziwiająco obszerną listę.

Pokazał Huntonowi spis: krew dziewicy, ziemia cmentarna, ręka chwały, krew nietoperza, zbierany nocą na torfowisku mech, końskie kopyto, oko ropuchy.

Były i inne; zanotowane powtórnie.

– Końskie kopyto – mruknął w zamyśleniu Hunton. – Zabawne…

– Element występujący prawie wszędzie. Tak naprawdę…

– Czy możemy je… niektóre z tych rzeczy… czy możemy potraktować je w przybliżeniu? – przerwał mu Hunton.

– Pytasz, czy, na przykład, zrywane nocą porosty skalne mogą zastąpić porosty zbierane nocą z torfowisk?

– Dokładnie.

– Bardzo możliwe – odrzekł Jackson. – Formuły magiczne z natury rzeczy są niejasne, mętne i dwuznaczne. Czarna magia zawsze zostawiała duże pole dla wyobraźni i pomysłowości.

– Końskie kopyto możemy zastąpić galaretką owocową – powiedział Hunton. – Znajdziesz ją u każdego dziecka w śniadaniówce. W dniu, w którym zginęła ta Frawley, widziałem całe pudełko galaretek leżące za osłoną prasowarki. A żelatynę wyrabia się przecież z końskich kopyt.

Jackson skinął głową.

– Coś jeszcze?

– Krew nietoperza… no cóż, tutaj mamy wielkie pole do popisu. W pralni istnieje masa ciemnych kątów i mrocznych kryjówek. Tak,

mogą tam być nietoperze, choć osobiście wątpię, czy właściciele pralni przyznają się do tego. Bardzo możliwe, że jakiś gacek wpadł do tego magla.

Jackson odchylił głowę i potarł zaczerwienione powieki.

– Pasuje… wszystko pasuje.

– Pasuje?

– Oczywiście. Sądzę, że rękę chwały spokojnie możemy wykreślić. Z całą pewnością przed śmiercią pani Frawley nikt nie wrzucił ręki do prasowarki. Natomiast belladona w tej strefie klimatycznej nie rośnie.

– Ziemia z cmentarza?

– A jak myślisz?

– Jeśli nawet, byłby to niezwykły zbieg okoliczności – odparł Hunton. – Najbliższy cmentarz to Pleasant Hill. Leży w odległości ośmiu kilometrów od Blue Ribbon.

– W porządku – powiedział Jackson. – Zatrudniłem komputerowca… myślał, że przygotowuję jakąś hecę na Halloween… Przeprowadził pozytywną analizę wszystkich podstawowych i drugorzędnych pozycji z tej listy. Sprawdził każdą możliwą kombinację. Jakieś dwa tuziny wyrzuciłem, bo nie miały najmniejszego sensu. Te, które zostały, dają się

ująć w całkiem wyraźne kategorie. W jednej z nich występują wszystkie wydzielone przez nas elementy.

– W której?

Jackson wyszczerzył zęby.

– W najprostszej. W mitologii południowoamerykańskiej, żywej również na Karaibach. Jest związana z kultem voodoo. Literatura tematu zgodnie twierdzi, że w porównaniu z najpotężniejszymi bóstwami, takimi jak Saddath czy Ten-Który-Nie-Ma-Imienia, panteon południowoamerykański to banda pętaków. Stwór, który zagnieździł się w maszynie, wślizgnął się tam jak drobny złodziejaszek.

– Jak sobie z nim poradzimy?

– Za pomocą wody święconej i kawałka hostii. Możemy też odczytać fragmenty *Leviticus*[9]; to już dokładnie chrześcijańska biała magia.

– Jesteś pewien, że nie mamy do czynienia z czymś gorszym?

– Nie, raczej nie – odparł melancholijnie Jackson. – Powiem ci szczerze, bardzo mnie niepokoi ręka chwały. To czarny fetysz. Potężna magia.

– Woda święcona nic nie wskóra?

– Demon wezwany w połączeniu z ręką chwały może na śniadanie pałaszować całe stosy Biblii. Znaleźlibyśmy się w straszliwych opałach, gdybyśmy mieli z nim do czynienia. Już lepiej rozwalić tę cholerną maszynę.

– No cóż, skoro jesteś tak absolutnie pewny…

– Powiedzmy, prawie pewny. Wszystko zbyt dobrze do siebie pasuje.

– Kiedy?

– Im szybciej, tym lepiej – odparł Jackson. – Jak się dostaniemy do środka? Wybijemy szybę?

Hunton uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni i machnął Jacksonowi kluczem przed nosem.

– Skąd go masz? Od Gartleya?

– Nie. Od Martina, stanowego inspektora.

– Czy on wie, co zamierzamy zrobić?

– Chyba się domyśla. Kilka tygodni temu opowiedział mi zabawną historyjkę.

– O maglu?

– Nie – odparł Hunton. – O lodówce. Chodźmy.

. . .

Adelle Frawley nie żyła; precyzyjnie pozszywana przez cierpliwego przedsiębiorcę pogrzebowego spoczywała w trumnie. Niemniej jakaś cząstka jej duszy pozostała zapewne

w maszynie, a jeśli tak było, ta cząstka krzyczała. Znała prawdę, mogłaby ich ostrzec. Kobieta za życia cierpiała na niestrawność i żeby łagodzić skutki tej powszechnej przecież dolegliwości, brała popularne tabletki zwane E-Z Gel, które za siedemdziesiąt dziewięć centów można dostać w każdej aptece. Na boku opakowania widniało ostrzeżenie: „Osoby chore na jaskrę nie powinny zażywać tego środka, ponieważ jego aktywny składnik powoduje pogłębienie się tego schorzenia”. Niestety, Adelle Frawley nie cierpiała na jaskrę. Gdyby żyła, pamiętałaby, że na krótko przed tym, jak Sherry Ouelette skaleczyła się w rękę, do maglarki przez przypadek wpadło jej całe pudełko E-Z Gel. Ale była już martwa i nieświadoma tego, że aktywny składnik, który działał kojąco na jej zgagę, był chemiczną pochodną belladony, znanej w niektórych europejskich krajach pod osobliwą nazwą ręki chwały.

W upiornej ciszy zalegającej pralnię Blue Ribbon rozległ się nagle ohydny, przypominający czkawkę dźwięk. W powietrzu szaleńczo zatańczył nietoperz, skrył się w dziurze w izolacji nad suszarkami i otulił skrzydłami swoją ślepą twarz.

Odgłos brzmiał prawie jak chichot.

Z nagłym zgrzytem magiel zaczął działać – w mroku przesuwał się pas transmisyjny, tryby zazębiały się, z chrzęstem kręciły się ciężkie, miażdżące walce.

Maszyna czekała na nich.

. . .

Kiedy Hunton krótko po północy, wyłączywszy światła, wjechał na parking, księżyc właśnie skrył się za kłębowiskiem chmur. Nacisnął hamulce tak gwałtownie, że Jackson o mało nie wyrżnął czołem w przednią szybę.

Wyłączył silnik i wtedy z mroku dobiegło ciągłe, dudniące *łup-psss, łup-psss*.

– To magiel – powiedział cicho. – To magiel. Sam się uruchomił. W środku nocy.

Przez chwilę bez ruchu siedzieli w milczeniu, czując, jak od nóg zaczyna pełznąć po nich strach.

– No dobrze – przerwał ciszę Hunton. – Do dzieła.

Wysiedli z samochodu i poszli do budynku. Hałas czyniony przez magiel był coraz wyraźniejszy. Kiedy Hunton wsuwał klucz do zamka służbowych drzwi, błysnęło mu w głowie, że dźwięki wydawane przez maszynę do

złudzenia przypominają odgłosy świadczące o obecności żywej istoty – zupełnie jakby coś głęboko oddychało, mamrocząc do siebie syczącym, szyderczym szeptem.

– Wiesz, już teraz się cieszę, że jest ze mną gliniarz – oświadczył drżącym głosem Jackson.

Przełożył z jednej ręki do drugiej brązową torbę. W środku miał zawinięty w woskowany papier niewielki słoiczek z wodą święconą i Biblię Gideona.

Weszli do środka i Hunton sięgnął do kontaktu przy drzwiach. Pomieszczenia zalało zimne światło fluorescencyjnych lamp. W tej samej chwili magiel się zatrzymał.

Z walców unosiła się para. Pogrążona w nagłej, złowróżbnej ciszy maszyna czekała na nich.

– Boże, coś obrzydliwego – szepnął Jackson.

– Chodź – odezwał się Hunton. – Za chwilę nerwy nam puszczą.

Podeszli do magla. Rygiel bezpieczeństwa był na swoim miejscu, nad ginącą w podajniku taśmą transmisyjną.

Hunton wyciągnął rękę.

– Mark, nie podchodź bliżej. Daj mi, co tam masz, i powiedz, co mam robić.

– Ale…

– Żadnego ale.

Jackson wręczył mu torbę i Hunton postawił ją na blacie, na którym kładziono prześcieradła przed maglowaniem. Podał Jacksonowi Biblię.

– Teraz będę czytał – wyjaśnił Jackson. – Na mój znak pryśniesz wodą święconą na maszynę. Masz wtedy powiedzieć: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, opuść to miejsce, duchu nieczysty”. Kapujesz?

– Tak.

– Kiedy znów dam ci znak, przełam hostię i powtórz inkantację.

– A skąd będziemy wiedzieć, że to poskutkowało?

– Będziesz wiedział. Ten stwór ma predylekcję wyłamywania wszystkich okien w miejscu, które musi opuścić. Jeśli nam się nie powiedzie za pierwszym razem, będziemy powtarzać aż do skutku.

– Umieram ze strachu – odezwał się Hunton.

– Szczerze mówiąc, ja też.

– A jeśli myliliśmy się co do tej ręki chwały?…

– Nie myliliśmy się – odparł Jackson. – Przecież tu jesteśmy.

Zaczął swój obrzęd. Jego głos wypełnił pustą pralnię i odbijał się upiornym echem.

– „Nie będziesz miał innych bogów obok Mnie. Nie będziesz się im kłaniał i nie będziesz im służył, gdyż Ja, Pan, Bóg twój…”[10].

W ciszy, która nagle zapadła w pomieszczeniu, słowa padały niczym kamienie i zrobiło się zimno jak w grobowcu. Magiel stał w bezruchu zalewany fluorescencyjnym światłem, ale Hunton odnosił przykre wrażenie, że maszyna z nich szydzi.

– „…i kraj wygna cię za splugawienie go, jak wygnał inne narody przed tobą”.

Jackson uniósł głowę, twarz miał napiętą. Dał Huntonowi znak.

Hunton pokropił wodą święconą na taśmę transmisyjną podajnika.

Rozległ się zgrzytliwy wrzask torturowanego metalu. Z brezentowych pasów transmisyjnych, na które padła woda święcona, uniósł się dym i przybrał powykręcany, czerwony kształt. I wtedy magiel ożył.

– Mamy go! – zawołał Jackson, przekrzykując rumor, jaki czyniła maszyna. – Ucieka!

Znów zaczął czytać. Jego głos górował nad hałasem robionym przez prasowarkę. Dał znak Huntonowi i ten rozsypał kawałki hostii. Kiedy tylko to uczynił, ogarnęło go przerażenie, nabrał nagle pewności, że wszystko poszło nie tak, jak

trzeba, że maszyna wyczuła ich bezradność… i jest silniejsza.

Głos Jacksona stawał się coraz donośniejszy; zbliżał się kulminacyjny moment.

Między głównym motorem a silnikami pomocniczymi pojawił się łuk wyładowań elektrycznych; powietrze wypełnił zapach ozonu i miedziana woń gorącej krwi. Z głównego silnika popłynął dym. Magiel pracował na najwyższych, obłąkańczych już obrotach; gdyby ktoś odważył się przyłożyć palec do pasa transmisyjnego, maszyna w jednej chwili wciągnęłaby najpierw palec, a za nim resztę ciała i w ciągu pięciu sekund przemieliła je na krwawą miazgę. Betonowa podłoga pod stopami drżała i dudniła.

Kiedy w oślepiającym, czerwonym rozbłysku przepalił się główny bezpiecznik, chłodne powietrze znów wypełniła woń ozonu, a magiel pędził, szybciej i szybciej, pasy, walce i tryby zębate poruszały się z taką prędkością, że zdawało się, iż łączą się ze sobą, przenikają wzajemnie, zmieniają swe kształty, stapiają, przeobrażają się…

Hunton, który stał jak słup soli, zrobił nagle krok do tyłu.

– Uciekajmy! – ryknął, przekrzykując straszliwy łoskot.

– Prawie go mieliśmy! – odkrzyknął Jackson. – Dlaczego…

Rozległ się niemożliwy do opisania dźwięk dartego metalu i na betonowej podłodze pojawiło się pęknięcie, które wydłużając się i rozszerzając, błyskawicznie dotarło do ich stóp. W górę i na boki wyprysnęły kawałki zwietrzałego betonu.

Jackson popatrzył na magiel i wrzasnął.

Potwór, niczym zrodzony w najkoszmarniejszym śnie dinozaur próbujący wydobyć się z jamy w ziemi wypełnionej płynnym asfaltem, usiłował oderwać się od podłogi. I wcale już nie przypominał prasowarki. Ciągle zmianiał się, przetapiał. Ział niebieskim ogniem i sypał skrami. Pękły kable, przez które płynął prąd o napięciu pięciuset pięćdziesięciu woltów. Przewody dostały się między walce i zostały przeżute. Przez chwilę spoglądały na nich dwie ogniste kule – niczym para jarzących się ślepi; ślepi pełnych wściekłości i niepohamowanego głodu.

W posadzce pojawiły się kolejne pęknięcia. Magiel przechylił się w ich stronę, prawie całkowicie uwolnił się z kotwic, które więziły go w betonie. Bestia łypnęła na nich pożądliwie; rygiel bezpieczeństwa odskoczył w górę i Hunton

zobaczył, że teraz maszyna szczerzy na nich zachłanną paszczę wypełnioną parą.

Kiedy rzucili się do ucieczki, w podłodze pojawiła się kolejna szczelina. Za plecami słyszeli pełen szaleństwa ryk; to stwór do końca już wyzwolił się z uwięzi. Hunton przeskoczył rozwartą pod nogami otchłań, ale Jackson potknął się i jak długi runął na podłogę.

Hunton zawrócił, żeby podać mu rękę, ale już wisiał nad nimi olbrzymi amorficzny cień, tak wielki, że zasłaniał neonowe lampy.

Zawisł nad leżącym na plecach Jacksonem, który patrzył niemo z szeroko otwartymi ustami i zakrzepłym wyrazem najwyższej zgrozy – najwspanialsza ofiara. Hunton, jak przez mgłę, niewyraźnie dostrzegł coś czarnego i ruchliwego, co piętrzyło się nad nimi na zawrotną wysokość, coś, co miało lśniące elektrycznością, ogromne jak talerze ślepia i rozwartą paszczę, w której poruszał się odrażający język z brezentowej taśmy.

Hunton uciekł; ścigał go przerażający wrzask umierającego Jacksona.

. . .

Kiedy wreszcie Roger Martin zwlókł się z łóżka, żeby otworzyć komuś, kto w środku nocy dobijał się do jego domu, ciągle jeszcze był rozespany i półprzytomny. Ale gdy doczłapał już do drzwi, w jednej chwili wrócił do przytomności – zupełnie jakby rzeczywistość wymierzyła mu bezlitosną dłonią siarczysty policzek.

Huntonowi oczy wychodziły z orbit. Zagiętymi jak szpony palcami wpił się w szlafrok na piersi Martina. Z rozciętego policzka sączyła się krew, a twarz miał usmarowaną kurzem i ziemią.

Kompletnie osiwiał.

– Ratuj… na Boga, ratuj mnie. Mark nie żyje. Jackson nie żyje.

– Uspokój się – powiedział Martin. – Wejdź do salonu.

Hunton ruszył za nim posłusznie. Skamlał jak pies.

Roger nalał podwójną porcję jima beama. Policjant chwycił szklankę obiema dłońmi i jednym haustem wypił zawartość. Wypuścił z rąk naczynie, które nieszkodliwie upadło na dywan, i ponownie, niczym błąkający się upiór, chwycił Martina za klapy szlafroka.

– Magiel zabił Marka Jacksona. To… to… och, Boże, to może się stamtąd wyrwać! Nie możemy

dopuścić do tego, żeby to wylazło! Nie możemy… nie… och…

Zaczął krzyczeć, jego chrapliwy głos wznosił się i opadał.

Martin próbował wsunąć mu w dłoń kolejną szklankę, ale Hunton ją odtrącił.

– Musimy to spalić. Spalić, zanim tamto wydostanie się na wolność. Och, co będzie, jeśli to się wydostanie? Jezu, co będzie…

Zamrugał szklistymi oczyma, wywrócił nimi tak, że widać było tylko białka, i jak bezwładny worek zwalił się bez czucia na ziemię.

W progu pojawiła się pani Martin. Zaciskała pod szyją kołnierz szlafroka.

– Rog, kto to? Czy on oszalał? Myślałam…

Zadrżała. Na widok strachu, jaki malował się na twarzy jej męża, ogarnęło ją przerażenie.

– Nie oszalał. Boże, mam nadzieję, że nie przyszedł za późno.

Odwrócił się do telefonu, podniósł słuchawkę i zamarł w bezruchu.

Od wschodu, skąd przybył Hunton, dobiegał słaby, nabierający z każdą chwilą mocy dźwięk. Ciągły, chrzęszczący turkot stawał się coraz głośniejszy. Przez uchylone okno salonu wpadł podmuch wiatru, niosąc na swoich skrzydłach okropny zapach. Zapach ozonu… albo krwi.

Roger Martin stał nieruchomo i ściskał w rękach bezużyteczną słuchawkę. A hałas rósł, rósł… Coś, dysząc i potępieńczo zgrzytając, sunęło ulicą, coś, co było gorące i parowało. Pokój bez reszty wypełnił odór krwi.

Martinowi słuchawka wypadła z rąk.

To coś już wydostało się na wolność.

CZARNY LUD

– Przyszedłem do pana, ponieważ chcę coś panu opowiedzieć – odezwał się mężczyzna spoczywający na leżance w gabinecie doktora Harpera.

Człowiek ten nazywał się Lester Billings i pochodził z Waterbury w Connecticut. Historia choroby, którą wręczyła lekarzowi siostra Vickers, informowała, że pacjent miał dwadzieścia osiem lat, pracował w firmie przemysłowej w Nowym Jorku, był rozwiedziony i miał troje dzieci. Wszystkie nie żyły.

– Nie mogłem pójść do księdza, bo nie jestem katolikiem. Nie mogłem pójść do prawnika, bo nie zrobiłem nic, w czym prawnik mógłby mi pomóc. Ja, panie doktorze, zabiłem swoje dzieci. Po kolei. Wszystkie.

Doktor Harper włączył magnetofon.

Billings leżał na kozetce nieruchomo i sztywno, jakby połknął kij od szczotki. Leżanka

była trochę za krótka i stopy pacjenta wystawały poza mebel. Przedstawiał sobą obraz człowieka, który cierpliwie znosi nieuniknione upokorzenie. Ręce złożył na piersiach w pozie nieboszczyka. Twarz miał spokojną, ale pełną czujności. Patrzył w nieskazitelnie biały sufit, zupełnie jakby obserwował jakieś zmieniające się tam obrazy.

– Czy chodzi o to, że pan naprawdę je zabił, czy też…

– Nie. – Zniecierpliwione machnięcie ręką. – Ale jestem za to odpowiedzialny. Denny'ego w sześćdziesiątym siódmym. Shril w siedemdziesiątym pierwszym. Andy'ego w tym roku. Chcę panu o tym opowiedzieć.

Doktor Harper milczał. Pomyślał sobie, że Billings wygląda staro i nędznie. Włosy miał przerzedzone, cerę ziemistą. Oczy zdradzały wszelkie nieszczęsne sekrety whisky.

– Nie rozumie pan, że zostały zamordowane? Tylko że nikt w to nie wierzy. Gdyby dano mi wiarę, wszystko byłoby w porządku.

– Dlaczego?

– Ponieważ…

Billings urwał i gwałtownie wsparł się na łokciach, rzucając bystre spojrzenie w drugi koniec pokoju.

– Co to jest? – warknął.

Oczy zwęziły mu się tak, że tworzyły tylko ciemne szparki.

– Gdzie?

– Tamte drzwi.

– Szafa – wyjaśnił doktor Harper. – Chowam w niej płaszcz i kalosze.

– Proszę ją otworzyć. Chcę zobaczyć, co jest w środku.

Doktor Harper bez słowa wstał, przeszedł przez gabinet i otworzył szafę. Na jednym z czterech czy pięciu wieszaków wisiał ciemny płaszcz przeciwdeszczowy. Niżej widać było parę lśniących śniegowców. W jeden z nich ostrożnie wetknięto numer „Timesa”. Poza tym szafa była pusta.

– W porządku? – zapytał lekarz.

– W porządku.

Billings opadł na plecy i przybrał poprzednią pozycję.

Doktor Harper wrócił na krzesło i popatrzył na pacjenta.

– A więc twierdzi pan, że gdyby udowodniono panu, że zamordował pan troje swoich dzieci, skończyłyby się problemy? Dlaczego?

– Trafiłbym do więzienia – wyjaśnił bez chwili wahania Billings. – Dostałbym dożywocie. A w

więzieniu do każdej celi można zaglądać. Do każdej.

Uśmiechnął się w przestrzeń.

– W jaki sposób zamordował pan swoje dzieci?

– Proszę mnie nie naciskać.

Billings odwrócił się w jego stronę i popatrzył żałośnie.

– Niech pan się nie obawia. Wszystko panu opowiem. Nie jestem taki jak reszta pańskich cudaków, którzy stąpają dumnie, udając, że są Napoleonem, albo tłumaczą, że brali heroinę, bo mamusia ich nie kochała. Wiem, że pan mi nie wierzy. Ale nie dbam o to. To bez znaczenia. Wystarczy mi, jeśli wszystko opowiem.

– W porządku. – Doktor Harper wyjął fajkę.

– Z Ritą ożeniłem się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku. Miałem wówczas dwadzieścia jeden lat, a ona osiemnaście. Była w ciąży. Z Dennym. – Skrzywił się. – Musiałem przerwać naukę i iść do pracy. Ale niewiele mnie to obeszło. Kochałem ich. Byliśmy szczęśliwi.

Rita ponownie zaszła w ciążę zaraz po urodzeniu Denny'ego i w grudniu sześćdziesiątego szóstego na świat przyszła Shril. Andy urodził się latem sześćdziesiątego dziewiątego, ale wtedy Denny już nie żył.

Andy’ego nie planowaliśmy. Rita się pomyliła. Sama mi to powiedziała. Mówiła, że te wszystkie środki antykoncepcyjne nie zawsze skutkują. Ale ja myślę, że to nie był przypadek. Dzieci wiążą mężczyźnie ręce, sam pan o tym najlepiej wie. A kobiety to bardzo lubią; zwłaszcza jeśli mężczyzna jest od nich mądrzejszy. Nie sądzi pan, że jest w tym odrobina prawdy?

Harper dyplomatycznie chrząknął.

– Tak czy owak, nieważne. Kochałem ich – ciągnął mściwie Billings, jakby darzył dzieci uczuciem na przekór swojej żonie.

– Kto zabił pańskie dzieci? – zapytał Harper.

– Czarny Lud – odrzekł szybko Lester Billings. – Wszystkie zabił Czarny Lud. Po prostu wyłaził z szafy i zabijał. – Odwrócił się na bok i wyszczerzył zęby. – Myśli pan, że zwariowałem. Ma pan to wypisane na twarzy. Ale mnie to nic a nic nie obchodzi. Chcę jedynie o wszystkim panu opowiedzieć i umrzeć.

– Słucham.

– Zaczęło się, kiedy Denny miał dwa latka, a Shril była jeszcze niemowlęciem. Zaczął płakać, gdy Rita położyła go do łóżka. Rozumie pan, mieliśmy w domu dwie sypialnie. Shril spała w kołysce wstawionej do naszego pokoju. W pierwszej chwili myślałem, że dzieciak płacze

dlatego, że nie pozwoliliśmy mu zabrać do łóżka butelki. Rita powiedziała, żebym nie robił z tego problemu i dał mu spokój. Ale w taki właśnie sposób rozpuszcza się dzieci. Psuje się je, bo się im na wszystko pozwala. A później taki złamie rodzicom serce. Albo zmajstruje jakiejś dziewczynie bachora, albo weźmie się za narkotyki. Może też zostać pedziem. Czy wyobraża pan sobie, że pewnego dnia dowiaduje się, że pański dzieciak, pański syn, jest pedziem?

W każdym razie, kiedy nieustannie wszczynał takie awantury, zacząłem osobiście kłaść go spać. Jak nie przestawał się mazać, to dostawał klapsa. Kiedyś Rita oświadczyła mi, że Denny ciągle powtarza słowo „światło”. No cóż, nie wiem, czy mężczyzna potrafi zrozumieć, co mówią tak małe dzieci. Może tylko matka.

Rita chciała zostawiać mu zapaloną lampkę nocną. Wie pan, taki kinkiet z rysunkami Myszki Miki, Psa Huckleberry’ego czy z czymś innym. Nie pozwoliłem. Jeśli dziecko od małego boi się ciemności, będzie się bało również wtedy, gdy dorośnie.

No dobrze. Denny umarł pierwszego lata po narodzinach Shril. Położyłem go do łóżka, a on natychmiast zaczął ryczeć. Tym razem

usłyszałem, co powiedział. Wskazał szafę i rzekł: „Czarny Lud, tatusiu, Czarny Lud”.

Zgasiłem światło i wróciłem do naszego pokoju. Zapytałem Ritę, dlaczego uczy dziecko takich dziwnych wyrazów. Kusiło mnie nawet, żeby jej przyłożyć, ale opanowałem się. Oświadczyła, że niczego takiego go nie uczyła. Nazwałem ją kłamczuchą.

Widzi pan, to było dla mnie bardzo ciężkie lato. Udało mi się zdobyć tylko robotę w magazynach, gdzie ładowałem na ciężarówki skrzynki z pepsi-colą. Czułem się zmordowany jak koń. Na dodatek Shril bez przerwy budziła się w nocy i płakała, a Rita wstawała, wyciągała ją z kołyski i wąchała pieluchy. Mówię panu, czasami miałem ochotę wyrzucić obie przez okno. Chryste Nazareński, dzieci potrafią nieraz człowieka doprowadzić do szału. Człowiek mógłby je nawet zabić.

Cóż, mała obudziła mnie o trzeciej nad ranem, zgodnie z własnym harmonogramem. Pół śpiąc, nie otwierając nawet oczu, poczłapałem do łazienki, a później Rita poprosiła, żebym sprawdził, czy Denny dobrze śpi. Powiedziałem, żeby zrobiła to sama, i wróciłem do łóżka. Zasypiałem już, kiedy zaczęła krzyczeć.

Wyskoczyłem z pościeli i pobiegłem do pokoju Denny’ego. Leżał na plecach i nie żył. Był biały jak mąka, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie… gdzie opadła krew… Na łydkach, na tyle głowy, na… na pośladkach. Miał otwarte oczy. Widzi pan, one były najgorsze. Szeroko otwarte i szkliste jak oczy w głowie łosia, która wisi nad kominkiem. Jak na zdjęciach z Wietnamu pokazujących martwe dzieci żółtków. Ale amerykańskie dziecko nie powinno tak wyglądać. Martwe i leżące na plecach. Na noc wkładaliśmy mu gumowe majtki z pieluchą, ponieważ przez kilka ostatnich tygodni moczył się przez sen. Okropne. Jak ja tego dzieciaka kochałem.

Billings powoli potrząsnął głową i znów przesłał lekarzowi sztuczny, wystraszony uśmiech.

– Rita miała zadartą wysoko głowę i krzyczała. Chciała wyciągać Denny’ego z łóżka i tulić w ramionach, ale jej nie pozwoliłem. Policja bardzo nie lubi, kiedy niszczy się ślady. Wiedziałem…

– Wiedział pan, że to był Czarny Lud? – spytał cicho Harper.

– Och, nie! Wtedy jeszcze nie. Ale zauważyłem jedno. Nie przywiązywałem do tego znaczenia,

lecz ten drobny szczegół utkwił mi mocno w pamięci.

– Jaki szczegół?

– Drzwi od szafy były uchylone. Odrobinę. Zaledwie szpara. Ale wiedziałem, że przecież je dokładnie zamknąłem. Rozumie pan, w środku były plastikowe worki na ubrania. Dzieciak zacznie się nimi bawić i kaput. Uduszenie. Sam pan najlepiej wie, prawda?

– Wiem. Co było dalej?

Billings wzruszył ramionami.

– Pochowaliśmy go.

Popatrzył żałośnie na ręce, które rzucały ziemię na trzy małe trumienki.

– Czy wszczęto dochodzenie?

– Pewnie. – Oczy Billingsa szyderczo rozbłysły. – Pojawił się jakiś wsiowy konował ze stetoskopem, czarną walizką pełną pastylek od kaszlu dla dzieci, a w zanadrzu miał dyplom weterynarza. Uduszenie się poduszką; tak to określił! Słyszał pan kiedyś takie gówno? Dzieciak miał trzy lata!

– Do uduszenia się poduszką najczęściej dochodzi wśród dzieci w pierwszym roku życia – odparł ostrożnie Harper. – Niemniej diagnozy takie wstawia się do aktu zgonu do lat pięciu, żeby lepiej…

– Opowiadasz pan głupoty! – wykrzyknął rozeźlony Billings.

Harper bez słowa ponownie zapalił fajkę.

– W miesiąc po pogrzebie przenieśliśmy Shril do dawnego pokoju Denny’ego. Rita za nic w świecie nie chciała się na to zgodzić, ale w końcu ostatnie słowo należało do mnie. Uczyniłem to z ciężkim sercem; proszę mi wierzyć. Jezu, jak bardzo chciałem, żeby Shril spała z nami. Ale człowiek nie może być nadopiekuńczy. W ten sposób wyrządza się tylko dziecku krzywdę. Kiedy byłem mały, matka zabierała mnie na plażę i bez przerwy wrzeszczała ochrypłym głosem: „Nie odchodź tak daleko! Nie idź tam! Uważaj na cofające się fale! Przecież jadłeś zaledwie przed godziną! Nie zanurzaj się z głową!”. Musiałem nawet uważać na rekiny! I co? Do dzisiaj nie jestem w stanie zbliżyć się do wody. Drętwieję na sam widok plaży. Kiedyś, jeszcze jak żył Denny, Rita skłoniła mnie, żebym zabrał ją i dzieciaki do Savin Rock. Czy pan wie, że odchorowałem tę wyprawę? W stosunku do dzieci nie wolno być nadopiekuńczym. Siebie również nie można rozpieszczać. Życie płynęło dalej. Shril poszła do łóżeczka Denny’ego. Wyrzuciliśmy tylko stary

materac. Nie chciałem, żeby moja dziewczynka złapała jakieś bakterie.

Upłynął rok. Pewnego wieczoru, kiedy kładłem Shirl do łóżeczka, zaczęła zawodzić, krzyczeć i płakać. „Czarny Lud, tatusiu, Czarny Lud, Czarny Lud”.

A mnie poderwało. To samo przecież było z Dennym. Od razu przypomniałem sobie, że tamtej nocy, kiedy umarł Denny, zastałem uchylone drzwi od szafy. W pierwszej chwili chciałem zabrać Shril do naszej sypialni.

– I zabrał pan?

– Nie. – Billings popatrzył na dłonie i skrzywił się. – Jak mogłem pójść do Rity i przyznać się, że nie miałem racji? Musiałem okazać charakter. Zawsze była taką trzęsącą się meduzą… proszę zważyć na fakt, jak łatwo chodziła ze mną do łóżka, kiedy nie byliśmy jeszcze małżeństwem.

– Z drugiej strony proszę zważyć na fakt, jak łatwo pan chodził z nią do łóżka – odparł Harper.

Billings, który przekładał właśnie ręce, zamarł w bezruchu, po czym powoli przekręcił głowę w stronę lekarza i popatrzył na niego.

– Zaczyna się pan wymądrzać?

– Nie, wcale nie.

– Więc proszę pozwolić mi opowiadać w taki sposób, w jaki mi się podoba – warknął Billings. –

Przyszedłem do pana, żeby zrzucić ciężar z piersi. Opowiedzieć moją historię. Nie zamierzam informować o moim życiu erotycznym, jeśli pan tego się spodziewał. Uprawialiśmy z Ritą zwyczajne stosunki seksualne, bez żadnych tam świństw. Wiem, że wielu ludziom rośnie serce, kiedy o tym mówią, ale ja do nich nie należę.

– Nie ma sprawy – zgodził się Harper.

– Nie ma sprawy – jak echo dość arogancko powtórzył Billings.

Najwyraźniej stracił wątek, bo powędrował niespokojnym spojrzeniem w stronę zamkniętej na głucho szafy.

– Może chce pan, żeby ją otworzyć? – zapytał Harper.

– Nie! – sprzeciwił się gwałtownie Billings i nerwowo się uśmiechnął. – Po co mam oglądać pana kalosze?

Umilkł i po chwili mówił dalej.

– Ją również zabrał Czarny Lud. – Przeciągnął dłonią po czole. Najwyraźniej przypominał sobie przebieg wydarzeń. – Miesiąc później. Ale przedtem wydarzyło się coś jeszcze. W środku nocy usłyszałem hałas, a w chwilę później krzyk córki. Błyskawicznie pobiegłem do jej pokoju, otworzyłem drzwi… w holu paliło się światło…

i… siedziała w łóżeczku, i płakała, a w pokoju… coś się poruszyło. Głęboko w cieniu, przy szafie. Coś się prześlizgnęło.

– Czy szafa była otwarta?

– Odrobinę. Zaledwie szpara. – Billings przejechał językiem po wargach. – Shril krzyczała coś o Czarnym Ludzie. I wymówiła jeszcze słowo „szpony”. Zabrzmiało to jak „śpany”. Rozumie pan, dzieci mają kłopoty z wymową twardych głosek. Rita wbiegła na piętro i zapytała, co się stało. Powiedziałem, że mała przestraszyła się cienia gałęzi poruszającego się na suficie.

– Siafa? – spytał nagle Harper.

– Co proszę?

– Siafa… szafa. Może chciała powiedzieć „szafa”?

– Może – odparł Billings. – Mogło być i tak. Ale nie sądzę. Myślę, że powiedziała „szpony”. – Znów popatrzył na szafę. – Szpony, długie szpony. – Jego głos przeszedł nagle w szept.

– Zajrzał pan do tej szafy?

– N…naturalnie. – Billings zaplótł na piersiach dłonie tak mocno, że kłykcie palców pobielały mu niczym księżyce.

– Znalazł pan coś? Czy dostrzegł pan…

– Niczego nie dostrzegłem! – wrzasnął nieoczekiwanie Billings. Słowa te wyprysnęły z niego niczym czarny korek zatykający jego duszę. – To ja ją znalazłem, kiedy umarła, rozumie pan? Była czarna. Cała czarna. Połknęła własny język i była czarna jak Murzyn grany w teatrze przez białego, i wytrzeszczała na mnie oczy. Oczy miała jak u wypchanych zwierząt, lśniące i straszne, jak z żywego marmuru. Mówiły: „Tato, pozwoliłeś mu mnie zabrać, tato, zabiłeś mnie, tato, pomogłeś mu mnie zabić…”.

Głos mu zadrżał. Po policzku spłynęła wielka, wrzeszcząca ciszą i cierpieniem łza.

– Widzi pan, było to zakłócenie pracy mózgu. To czasami zdarza się u dzieci. Zły sygnał z mózgu. Zrobiono sekcję zwłok w szpitalu Hartfordzie. Oświadczyli mi, że zadławiła się językiem, kiedy dostała konwulsji. Wróciłem do domu sam, bo Ricie zaaplikowali jakieś prochy uspokajające i zostawili ją w klinice. Odchodziła wprost od zmysłów. Musiałem wrócić do domu sam, ale wiedziałem, że dziecko nie dostaje konwulsji tylko dlatego, że coś mu się popierdzieli w mózgu. Ze strachu tak! Musiałem wrócić do domu, gdzie było to coś. – Zniżył głos do szeptu. – Spałem na kanapie przy zapalonym świetle.

– Czy wydarzyło się coś nowego?

– Miałem sen – odparł Billings. – Byłem w ciemnym pokoju, w którym czaiło się coś, czego… czego nie mogłem dokładnie zobaczyć; coś w szafie. To coś wydawało dźwięki… mlaskało. Przypomniał mi się komiks, który czytałem w dzieciństwie. *Opowieści z krypty*, zna to pan? Jezu! Był tam chłopak, który nazywał się Graham Ingles; potrafił przywołać każdą najbardziej przerażającą rzecz na świecie i spoza świata. Tak czy owak, w moim śnie kobieta utopiła swego męża. Przywiązała mu do nóg kawały betonu i utopiła w zalanym wodą kamieniołomie. Ale on wrócił. Rozkładał się, był czarnozielony, ryby wyżarły mu oczy, a we włosach miał wodorosty. Wrócił i zabił ją. A kiedy wyrwałem się ze snu w środku nocy, wydawało mi się, że pochyla się nade mną. I miał szpony… długie szpony…

Doktor Harper popatrzył na stojący na biurku zegarek cyfrowy. Lester Billings mówił już blisko pół godziny.

– Jakie nastawienie miała do pana żona po powrocie ze szpitala? – zapytał.

– Ciągle mnie kochała – odparł z dumą Billings. – I ciągle robiła to, co jej kazałem. Bo taka już jest rola żony, nieprawdaż? Od tej całej

emancypacji kobiet człowiekowi robi się niedobrze. Najważniejszą rzeczą w życiu jest znać swoje miejsce. Swoje miejsce… tak…

– Miejsce w życiu?

– Właśnie. – Billings strzelił palcami. – Dokładnie to. A żona powinna być mężowi posłuszna. Och, przez cztery czy pięć miesięcy była blada jak z księżyca… Snuła się po domu, nie oglądała telewizji, nie nuciła pod nosem, nie śmiała się. Wiedziałem, że musi z tego wyjść. Kiedy dzieci umierają tak wcześnie, człowiek nie zdąży się jeszcze do nich przyzwyczaić. Niewiele czasu musi upłynąć, żeby podchodząc do biurka, na którym stoją ich fotografie, z trudem przypominał sobie, kogo przedstawiają.

Chciała mieć kolejne dziecko – dodał ponuro. – Oświadczyłem, że to poroniony pomysł. Och, nie na zawsze, ale tylko chwilowo. Powiedziałem jej, że musimy się ze wszystkim oswoić i nacieszyć sobą. Dotąd nie mieliśmy na to czasu. Żeby pójść do głupiego kina, trzeba było fest główkować i załatwiać kogoś do dziecka. Nie mogliśmy się wybrać do miasta, do opery, dopóki Rita nie zorganizowała jakiejś przyjaciółki, która posiedziałaby z dziećmi; moja mamusia nie chciała mieć z nami nic wspólnego. Denny za wcześnie przyszedł na świat, rozumie pan?

Matka uważała Ritę za wycierucha i zwykłą ulicznicę. Zresztą mianem ulicznicy określała wszystkie dziewczęta. Czyż to nie komedia? Kiedyś odbyła ze mną poważną rozmowę: opowiedziała o chorobach, które mi grożą, jeśli będę zadawał się z kur… z prostytutką. Oświadczyła, że jeśli mój ku… penis zacznie któregoś dnia piec i będzie piekł nazajutrz, to wszystko jasne. Nie pojawiła się nawet na naszym ślubie.

Billings zabębnił palcami po klatce piersiowej.

– Ginekolog sprzedał Ricie spiralę. To zabezpieczy, oświadczył. Włożył jej to w… w to miejsce i już. W razie czego nie dojdzie do zapłodnienia jaja, oświadczył, a ona nawet nie będzie czuła, że to ma. – Billings popatrzył w sufit i uśmiechnął się ponuro. – Nikt nie będzie czuł, że coś tam jest. No i po dziewięciu miesiącach skończyło się porodem. Do bani.

– Żadna metoda antykoncepcji nie jest pewna na sto procent – odezwał się Harper. – Pigułki dają tylko dziewięćdziesiąt osiem procent pewności. Spirala może się przemieścić podczas jakiegoś skurczu, podczas mocniejszej miesiączki, a nawet, w wyjątkowych przypadkach, przy oddawaniu moczu.

– Jasne. Albo kobieta może ją sama wyciągnąć.

– To też możliwe.

– Co działo się dalej? Robiła na drutach małe ubranka, śpiewała pod prysznicem i jak wariatka zajadała się piklami. Siadała mi na kolanach i twierdziła, że taka była widać wola boska. Pszczoły pierdoły.

– Dziecko przyszło na świat pod koniec tego samego roku, kiedy umarła Shril?

– Zgadza się. Chłopiec. Nazwała go Andrew Lester Billings. Początkowo nie chciałem mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Uważałem, że skoro spieprzyła sprawę, niech sama sobie radzi. Wiem, jak to brzmi, ale niech pan nie zapomina, że przeszedłem już swoje.

Szybko jednak zmieniłem stosunek do Andy'ego. Ostatecznie było to jedyne dziecko do mnie podobne. Denny przypominał matkę, a Shril nikogo z nas; może trochę moją babcię Ann. Ale Andy… skóra zdarta ze mnie.

Kiedy wracałem z pracy, potrafiłem godzinami się z nim bawić. Siedząc w kojcu, chwytał mój palec i śmiał się albo gaworzył. Uwierzy pan, dzieciak miał tylko dziewięć tygodni, a już śmiał się do swego taty.

Pewnego wieczoru kupiłem w sklepie zabawkowy samochodzik i powiesiłem mu nad łóżkiem. Ja! Ja, który uważałem, że dziecko nie

doceni zabawki tak długo, dopóki nie będzie na tyle duże, żeby za nią podziękować. Ale kupiłem. Kupiłem mu tę głupią zabawkę i natychmiast uświadomiłem sobie, że nikogo i niczego nie kochałem na świecie bardziej niż tego brzdąca. Akurat podłapałem dość dobrą robotę. Sprzedawałem sprzęt wiertniczy w firmie Cluett and Sons. Powodziło nam się bardzo dobrze, więc kiedy Andy miał roczek, przenieśliśmy się do Waterbury; ze starym miejscem wiązało się zbyt wiele złych wspomnień.

– I zbyt wiele szaf.

– Następny rok był najlepszy w naszym życiu. Oddałbym prawą rękę, żeby tylko wróciły tamte dni. Och, naturalnie, wojna w Wietnamie ciągle trwała, po ulicach snuli się na golasa hipisi, a czarnuchy darły ryje, ale nas to nie dotyczyło. Mieszkaliśmy w miłej okolicy na cichej uliczce. Byliśmy szczęśliwi – podsumował prosto. – Raz zapytałem Ritę, czy nie dręczy jej jakiś niepokój. Wie pan, do trzech razy sztuka i te rzeczy. Odparła, że nie. Oświadczyła, że Andy jest kimś szczególnym. Powiedziała, że Bóg osobiście roztacza nad nim opiekę.

Billings zapatrzył się ponuro w sufit.

– Ostatni rok nie był już tak dobry. Coś się zmieniło w samym domu. Zacząłem trzymać

buty w przedpokoju, ponieważ nie chciałem otwierać szafy. Myślałem: A co, jeśli to coś w niej siedzi? Co, jeśli to coś się w niej przyczaiło i tylko czeka, żebym ją otworzył i wypuścił to na wolność? Wydawało mi się, że słyszę czasami jakieś mlaskanie i jakby coś mokrego, czarnozielonego poruszało się w szafie.

Rita spytała, czy nie pracuję za dużo, a ja, jak za dawnych czasów, coś jej odwarknąłem. Wychodząc do pracy, z lękiem zostawiałem ich samych w domu, ale z drugiej strony czułem ulgę, że wychodzę. Boże, wybacz mi, naprawdę czułem ulgę. Zaczynałem myśleć, że to coś zgubiło nas po tym, jak się wyprowadziliśmy. Musiało krążyć w okolicy, łazić ulicami, a nawet przemykać się kanałami. Chciało nas wyniuchać. Trwało to rok, ale w końcu nas znalazło. Wróciło. Chciało Andy'ego i chciało mnie. Zacząłem podejrzewać, że to coś istnieje naprawdę. Tak dzieje się zawsze: kiedy człowiek o czymś za dużo myśli, zaczyna w to wierzyć i wtedy to coś zaczyna istnieć naprawdę. Może wszystkie potwory, w które wierzyliśmy w dzieciństwie… Frankenstein, Wilkołak, Mumia… wszystkie one istnieją naprawdę? Na tyle naprawdę, żeby zabijać dzieci, a dorośli myślą, że przywalił je

piasek w żwirowni, utopiły się w gliniance lub po prostu zaginęły. Może…

– Czy pan celowo zbacza z tematu, panie Billings?

Billings zamilkł na bardzo długą chwilę – na zegarku cyfrowym minęły dwie minuty. Dopiero wtedy się odezwał.

– Andy umarł w lutym. Rity przy tym nie było. Dostała telefon od swego ojca. Jej matka miała w dzień po Nowym Roku wypadek samochodowy i lekarze nie rokowali większych nadziei. Pojechała tam nocnym autobusem.

Jej matka nie umarła, choć w stanie krytycznym była bardzo długo… przez dwa miesiące. Wynająłem kobietę do opieki nad Andym. Strzegliśmy nocami domu. Drzwi od szafy zaczęły się otwierać.

Billings zwilżył językiem wargi.

– Dzieciak sypiał ze mną w pokoju. To też śmieszna rzecz. Kiedy miał dwa lata, Rita spytała, czy nie zamierzam go przenieść do innej sypialni. Rozumie pan, jedna z tych bzdur, że dziecko nie powinno spać z rodzicami w tym samym pokoju; może nabrać urazu do seksu i takich tam rzeczy. Ale nigdy nie robiliśmy tego, dopóki dzieciak nie zasnął. A poza tym nie chciałem, żeby spał sam.

Bałem się po tym, co przytrafiło się Denny'emu i Shril.

– Ale w końcu pan go przeniósł – ni to spytał, ni to stwierdził doktor Harper.

– Tak. – Billings przesłał mu blady, pełen udręki uśmiech. – Przeniosłem.

Znów zapadła głucha cisza. Pacjent najwyraźniej mocował się ze wspomnieniami.

– Musiałem! – bąknął w końcu. – Musiałem! Wszystko było w porządku, dopóki była z nami w domu Rita. Kiedy wyjechała, to stało się odważniejsze. Zaczęło… – Wywrócił oczyma i zacisnął zęby, wykrzywiając twarz w paskudnym grymasie. – Och, nie uwierzy pan. Wiem, że traktuje mnie pan jak kolejnego przygłupa w pańskiej kartotece. Tak, wiem o tym, ale pana tam nie było. Jest pan kolejnym parszywym zaglądaczem do ludzkich głów.

Pewnej nocy z hukiem otworzyły się wszystkie drzwi w domu. Innego ranka, kiedy się obudziłem, odkryłem biegnące od frontowych drzwi do szafy ślady błota i ziemi. Czy to wyszło? A może przyszło? Nie wiem. Zaklinam się na rany Chrystusa, że nie wiem! Wszystkie płyty były porysowane i pokryte szlamem, lustra popękane… i te dźwięki… te dźwięki…

Przeciągnął dłonią po włosach.

– Budzi się pan o trzeciej nad ranem, patrzy w ciemność i od razu mówi pan sobie: „To tylko zegar”. Ale tak naprawdę to pan wie, że coś się skrada. Niezbyt czujnie, ponieważ chce, żeby pan to usłyszał. Wilgotny, oślizgły dźwięk jak z kuchennej kanalizacji. Albo klekot, jakby to coś przeciągało szponami po balustradzie schodów. Zamyka pan oczy, bo już sam dźwięk jest wystarczająco okropny, więc gdyby pan to jeszcze zobaczył…

I cały czas boi się pan, że hałasy nagle ustaną na dłużej, a później rozlegnie się tuż przy uchu śmiech, na twarzy poczuje pan oddech śmierdzący zgniłą kapustą, a na gardle dłonie.

Billings był blady i drżał.

– Więc przeniosłem Andy’ego. Widzi pan, wiedziałem, że to pójdzie po niego, bo był słabszy. Więc zrobiłem to. Zaraz pierwszej nocy zbudził mnie jego krzyk i w końcu, kiedy wreszcie zebrałem się na odwagę, żeby tam wejść, dzieciak stał w łóżeczku i wrzeszczał: „Czarny Lud, tatusiu… Czarny Lud… chcię do tatusia, do tatusia”.

Billings krzyczał dyszkantem, niczym dziecko. Oczy miał wielkie jak spodki, prawie kurczył się do dziecięcych rozmiarów.

– Nie mogłem – krzyczał wysokim głosikiem Billings. – Nie mogłem. A w godzinę później usłyszałem wrzask. Okropny, gulgoczący wrzask. Tak bardzo kochałem synka, że pobiegłem do niego, nie zapaliwszy nawet światła; biegłem, biegłem, biegłem, Jezu Boże Mario, to go trzymało; potrząsało nim jak terier potrząsa szmatą, i widziałem odrażające, oklapłe ramiona i głowę stracha na wróble, i czułem smród gnijącej myszy, i słyszałem…

Urwał, a kiedy po chwili podjął opowieść, mówił już normalnym głosem dorosłego mężczyzny.

– Słyszałem, jak to złamało Andy'emu kark – ciągnął obojętnym, głuchym tonem. – Zupełnie jakby na stawie lód załamał się pod łyżwiarzem.

– Co było później?

– Och, uciekłem – odparł tym samym obojętnym, głuchym tonem. – Poszedłem do całonocnej knajpy. Zupełne tchórzostwo, prawda? Uciec do całonocnej knajpy i wypić sześć filiżanek kawy. Później wróciłem do domu. Już świtało. Zanim wszedłem na górę, zadzwoniłem po policję. Leżał na podłodze i patrzył na mnie. Oskarżał mnie. Z ucha wyciekła mu odrobina krwi. Tylko kropelka.

A drzwi od szafy były uchylone… odrobinę; zaledwie szpara.

Umilkł. Harper popatrzył na zegarek. Minęło pięćdziesiąt minut.

– Proszę ustalić z siostrą termin następnej wizyty – powiedział. – Tak naprawdę, to kilku. Pasują panu wtorki i czwartki?

– Przyszedłem tylko po to, żeby opowiedzieć tę historię – odparł Billings. – Zrzucić to z serca. Bo widzi pan, ja skłamałem policji. Powiedziałem, że dzieciak chciał pewnie w nocy wydostać się z łóżeczka i… przyjęli to tłumaczenie. Oczywiście, że tak. Wszystko wskazywało na to, że tak właśnie było. Przypadek, jak inne. Ale Rita wiedziała. Rita… w końcu… wiedziała…

Zakrył twarz prawą ręką i wybuchnął płaczem.

– Panie Billings, musimy jeszcze odbyć ze sobą wiele rozmów – odezwał się po chwili doktor Harper. – Wierzę, że potrafię zniszczyć w panu poczucie winy, ale najpierw pan sam musi tego chcieć.

– Nie wierzy pan, że chcę?

Billings oderwał rękę od twarzy. Oczy miał czerwone, dzikie, malował się w nich ból.

– Jeszcze nie – odparł spokojnie Harper. – Więc jak, wtorki i czwartki?

Po długim milczeniu Billings mruknął:

– Cholerny psychiatra. No dobrze. No dobrze.

– Proszę umówić się z siostrą, panie Billings. I miłego dnia.

Billings roześmiał się ponuro i szybko, nie oglądając się za siebie, wyszedł z gabinetu.

Biurko pielęgniarki było puste. O bibularz oparta była karta z napisem: „Za chwilę wracam”.

Billings odwrócił się i wszedł z powrotem do gabinetu.

– Doktorze, siostra…

Pokój był pusty.

Ale drzwi szafy były uchylone. Odrobinę. Zaledwie szpara.

– Jak miło – dobiegł z niej głos. – Jak miło.

Słowa brzmiały tak, jakby wychodziły z czyichś ust wypełnionych zgniłymi morskimi wodorostami.

Billings stał w miejscu jak słup soli. Drzwi otworzyły się na oścież. Poczuł, że puścił mu pęcherz, poczuł w kroku gorącą wilgoć.

– Jak miło – powtórzył Czarny Lud, gramoląc się niezdarnie z szafy.

W przegniłej dłoni z długimi jak sztylety szponami ciągle jeszcze trzymał maskę doktora Harpera.

SZARA MATERIA

Nadejście zadymki z północy zapowiadano już od tygodnia i wreszcie zawitała do nas we czwartek. Była to prawdziwa zawierucha; do czwartej po południu napadało dwadzieścia centymetrów śniegu i nic nie wskazywało na to, żeby miało przestać sypać. Wokół piecyka Reliable w Henry's Nite-Owl zbierało się nas zazwyczaj pięciu lub sześciu. Po tej stronie Bangor Henry's Nite-Owl był jedynym całonocnym sklepem.

Henry nie prowadził interesu na wielką skalę – głównie sprzedawał piwo i wino dzieciakom z college'u – ale nas witał zawsze z otwartymi ramionami. Jego sklep był idealnym miejscem dla takich starych ramoli, którzy od dawna już żyją na koszt opieki społecznej i lubią się spotykać, żeby pogadać o tym, kto ostatnio umarł i jak to świat powoli zmierza do piekła.

Tego popołudnia Henry królował za ladą; przy piecyku cisnęli się Bill Pelham, Bertie Connors, Carl Littlefield i ja. Na Ohio Street nie widać było ani jednego samochodu i tylko pługi śnieżne pracowały pełną mocą. Wietrzysko nawiewało coraz to nowe zaspy. Wyglądały jak grzbiety dinozaurów.

Przez całe popołudnie do sklepu zajrzało tylko trzech klientów… to znaczy jeśli liczyć ślepego Eddiego. Eddie ma około siedemdziesiątki i nie jest zupełnie ślepy. Po prostu bez przerwy na coś włazi. Zachodzi tu raz albo dwa razy w tygodniu, ukradkiem wsuwa za pazuchę bochenek chleba i wychodzi, robiąc chytrą minę, jakby mówił: a widzicie, sukinsyny, znów was wystrychnąłem na dudka.

Bertie zapytał kiedyś Henry’ego, dlaczego nie reaguje.

– Powiem ci – odparł Henry. – Kilka lat temu Siły Powietrzne potrzebowały dwudziestu milionów dolarów, żeby zbudować nowy model samolotu. Cóż, kosztowało to w sumie siedemdziesiąt pięć milionów, a potem okazało się, że ta cholerna maszyna nie chce latać. To było dziesięć lat temu, kiedy ślepy Eddie i ja byliśmy znacznie młodsi, a ja głosowałem za kobietą, która poręczała rachunek. Ślepy Eddie

głosował przeciw niej. I od tego czasu kupuję mu chleb.

Bertie nie sprawiał wrażenia kogoś, kto w pełni podąża za tokiem czyjegoś rozumowania, więc usiadł sobie cicho w kąciku, żeby jeszcze raz wszystko dokładnie przemyśleć.

Teraz drzwi otworzyły się znowu i do środka wpadł zimny podmuch szarego powietrza. W progu pojawił się chłopak i tupiąc, zaczął strząsać z butów śnieg. Po sekundzie go rozpoznałem. Dzieciak Richiego Grenadine'a. Wyglądał tak, jakby pocałował właśnie niemowlaka z niewłaściwej strony. Grdyka chodziła mu w górę i w dół, a twarz miał koloru starej ceraty.

– Panie Parmalee – mówi do Henry'ego, przewracając gałkami ocznymi, jakby były osadzone na łożyskach kulkowych. – Musi pan przyjść. Musi pan wziąć piwo i pójść do niego. Ja tam nie wrócę. Boję się.

– Uspokój się – mówi Henry. Zdjął swój biały rzeźniczy fartuch i wyszedł zza lady. – O co chodzi? Twój tata się upił?

Kiedy to powiedział, uświadomiłem sobie, że już kawał czasu nie wiedziałem Richiego. Zazwyczaj wpadał codziennie do sklepu po skrzynkę najtańszego piwa. Był wielkim, tłustym

mężczyzną o policzkach jak pośladki świni i łapskach jak dwie szynki. Richie zawsze zalewał się piwskiem, ale dopóki pracował w tartaku w Clifton, jakoś się trzymał. Potem coś się stało… źle ułożona masa celulozowa – tak w każdym razie utrzymywał Richie – no i bez skrupułów zwolniono go z pracy, a kompania, do której należał tartak, wypłacała mu rentę. Uraz kręgosłupa. Tak czy siak, potwornie utył. Ostatnio nikt go nie widywał, ale od czasu do czasu w sklepie pojawiał się jego chłopak, żeby na wieczór kupić ojcu skrzynkę piwa. Bardzo miły dzieciak. Henry sprzedawał mu piwo, wiedząc, że bierze je dla ojca.

– Upił się – mówi teraz – ale nie w tym problem. To… to… och, Boże, to jest straszne!

Henry, widząc, że chłopak zaraz zacznie krzyczeć, mówi szybko do Carla:

– Możesz przez chwilę popilnować interesu?

– Jasne.

– Świetnie, a ty, Timmy, chodź ze mną na zaplecze. Tam mi wszystko opowiesz.

Wyprowadził chłopca, a Carl wszedł za ladę i zajął miejsce na taborecie Henry’ego. Przez dobrą chwilę nikt się nie odzywał. Słyszeliśmy dobiegające z zaplecza głosy; powolny, głęboki Henry’ego i wysoki, piskliwy Timmy’ego

Grenadine’a, który mówił coś bardzo szybko. Później wybuchnął płaczem. Bill Pelham chrząknął i zaczął nabijać fajkę.

– Nie widziałem Richiego od paru miesięcy – powiedziałem.

Bill chrząknął.

– Niewiele straciłeś.

– Był tu… och, pod koniec października – wtrącił Carl. – Gdzieś tak w okolicy Halloween. Kupił skrzynkę schlitza. Stał się strasznie mięsisty.

Niewiele więcej mieliśmy do powiedzenia. Chłopak ciągle płakał, ale cały czas opowiadał. Za oknem wiatr potępieńczo wył i wywijał hołubce, a w radiu powiedzieli, że do rana spadnie jeszcze około piętnastu centymetrów śniegu. Była połowa stycznia i zastanawiałem się, czy ktokolwiek widział Richiego od października… naturalnie z wyjątkiem Timmy’ego.

Rozmowa za drzwiami trwała jeszcze przez chwilę, w końcu w sklepie pojawił się Henry z chłopcem. Dzieciak był już bez palta, za to Henry włożył swoje. Timmy trzymał rękę na piersi jak ktoś, kto wie, że najgorsze minęło, ale oczy miał zaczerwienione i kiedy się na niego patrzyło, natychmiast spuszczał wzrok.

Twarz Henry’ego była pełna niepokoju.

– Najlepiej będzie, jak poślę Timmy’ego na górę, do mojej żony, niech przygotuje mu tosta z serem. Czy dwóch z was nie zechciałoby się przejść ze mną do domu Richiego? Timmy mówi, że jego stary potrzebuje piwa. Dał mi pieniądze.

Próbował się uśmiechnąć, ale kompletnie mu to nie wyszło, więc po chwili odpuścił.

– Jasne – odezwał się Bertie. – Które piwo? Zaraz je przyniosę.

– Weź harrow’s supreme – odparł Henry. – Mam na zapleczu kilka kartonów.

Wstałem. Musiałem iść ja z Bertiem. W taką pogodę Carlowi strasznie dawał w kość artretyzm, a Billy Pelham miał bezwładną prawą rękę.

Bertie przyniósł cztery sześciopuszkowe kartony harrowa i wsadził je do dużego pudła, a Henry w tym czasie odprowadził chłopca do mieszkania na górze.

Poinformował swoją panią, że musi wyjść, i wrócił do nas, obejrzawszy się jeszcze za siebie, czy dobrze zamknął drzwi na piętrze.

– Co się dzieje? Czyżby Richie stłukł chłopaka? – Billy podniósł głos prawie do krzyku.

– Nie. – Henry pokręcił głową. – Ale na razie nic wam nie powiem. Zabrzmiałoby to jak

bredzenie wariata. Coś tylko pokażę; pieniądze, którymi Timmy zapłacił za piwo.

Za same brzeżki wyciągnął z kieszeni cztery banknoty jednodolarowe. Wcale się temu nie dziwiłem. Pokryte były czymś szarym i śluzowatym, co wyglądało jak wierzch zepsutej konserwy. Położył pieniądze na ladzie i powiedział do Carla z dziwnym uśmiechem:

– Nie pozwól ich nikomu dotykać. Nie wolno, choćby to, co powiedział chłopak, było tylko w połowie prawdą!

Przeszedł do zlewu obok stołu do cięcia mięsa i dokładnie umył ręce.

Włożyłem szalik i zielony płaszcz, który starannie zapiąłem. Nie mogliśmy jechać samochodem, ponieważ Richie mieszkał w bloku na samym końcu Curve Street. Na tej uliczce było tyle bardzo stromych podjazdów i zjazdów, że stanowiła ostatnie miejsce, gdzie pojawiłby się pług śnieżny.

– Uważajcie na siebie! – zawołał za nami Bill Pelham, kiedy ruszaliśmy do wyjścia.

Henry skinął tylko głową i położył pudło z piwem na niewielkim, ręcznym wózku, który stał przy drzwiach. Wyszliśmy na ulicę.

Wiatr uderzył w nas niczym ostrze piły, więc natychmiast owinąłem sobie uszy szalikiem.

Przystanęliśmy na chwilę w progu, żeby Bertie mógł włożyć rękawiczki. Minę miał zbolałą, a ja doskonale wiedziałem, co czuje. Szaleć całymi dniami aż do późnej nocy na nartach lub w tych zwariowanych pojazdach śnieżnych to dobre dla młodziaków. Kiedy jednak człowiek ma za sobą siedemdziesiąt lat życia bez zmiany oleju, to taka wichura przenika mu do samego serca.

– Nie chcę was, chłopcy, straszyć – odezwał się z dziwacznym krzywym uśmieszkiem Henry – ale w drodze opowiem wam to, co chłopak mi powiedział… Uważam, że powinniście wiedzieć.

Wyciągnął z kieszeni palta kopyto kalibru .45. Pistolet ten, zawsze naładowany i gotowy do strzału, trzymał pod ladą od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to jego sklep zaczął działać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnął tę broń, ale raz już machnął nią przed nosem jakiegoś typka, który wszedł do sklepu z najwyraźniej złymi zamiarami; gość natychmiast dał nogę. No cóż, Henry potrafi zachować zimną krew. Widziałem, jak dał solidną szkołę chłopakowi z college'u, który próbował wcisnąć mu lewy czek. Dzieciak odszedł z dupą w poprzek.

No tak, powiem tylko tyle, że skoro Henry chciał, żebyśmy towarzyszyli mu ja i Bertie, sprawa musiała być bardzo poważna, toteż poszliśmy bez słowa sprzeciwu.

Brnęliśmy ulicą, pochyleni na wietrze jak pomywaczki. Henry ciągnął wózek i opowiadał nam, czego dowiedział się od Timmy'ego. Wiatr próbował porywać jego słowa, zanim dochodziły do naszych uszu, ale większość usłyszeliśmy… więcej, niżbyśmy chcieli. Cieszyłem się jak cholera, że Henry ma w kieszeni tę francuską spluwę.

Dzieciak twierdził, że to musiało być piwo – wiadomo, że od czasu do czasu trafia się puszka popsutego. Śmierdzącego albo zielonego jak plamy po szczynach na gaciach Irlandczyka. Jeden gość powiedział mi, że bierze się to stąd, iż w puszce jest maleńka dziurka, przez którą włażą bakterie; a wtedy dzieją się bardzo dziwne rzeczy. Dziurka może być tak mała, że piwo wcale nie wycieka, ale dla bakterii wystarczy. A to drańst wo cholernie lubi chmiel.

Tak czy owak, dzieciak oświadczył, że pewnego wieczoru w październiku Richie jak zwykle kupił skrzynkę golden lightów i zasiadł, żeby to piwo wydoić. Timmy w tym czasie odrabiał lekcje.

Kiedy już kładł się do łóżka, usłyszał głos Richiego: „Jezu Chryste, to nie w porządku”. „O co chodzi, tato?” – zapytał. „O to piwo – odparł Richie. – Boże, czegoś gorszego w życiu nie miałem w ustach”.

Większość ludzi dziwiłaby się, że wypił zawartość tej puszki, skoro miała tak wstrętny smak. Ale też większość ludzi nie widziała, jak Richie Grenadine doi piwo. Kiedyś po południu wpadłem do Wally’s Spa, wtedy byłem świadkiem, jak wygrał cholerny zakład. Założył się z pewnym gościem, że w minutę wypije dwadzieścia dużych piw. Nikt z miejscowych nie chciał przyjąć zakładu, ale tamten komiwojażer z Montpelier położył banknot dwudziestodolarowy, a Richie przybił go swoim. Wypił wszystkie dwadzieścia kufli i zostało mu jeszcze siedem sekund w zapasie. Inna rzecz, że kiedy wyszedł na ulicę, kołysał się jak trzy okrętowe żagle na wietrze. Myślę, że zanim poczuł smak, zepsute piwo dawno już miał w brzuchu.

„Uważaj, bo mogę się wyrzygać” – powiedział synowi.

Ale kiedy alkohol uderzył mu do głowy, mdłości minęły i cała historia się skończyła. Chłopak mówi, że powąchał puszkę, z której

śmierdziało tak, jakby coś wpełzło do środka i tam zdechło. Dostrzegł też na niej maleńkie szare kropelki.

Dwa dni później Timmy wraca ze szkoły, a Richie siedzi przed telewizorem i ogląda jakiś wyciskacz łez. W oknach zapuścił te wszystkie cholerne zasłony.

„Co się stało?” – pyta dzieciak, bo Richie nigdy przed dziewiątą wieczorem nie zasłaniał okien.

„Oglądam telewizję – oświadcza Richie. – Nie chce mi się dzisiaj nigdzie wychodzić”.

Timmy włącza lampę nad zlewem, a ojciec wrzeszczy: „Zgaś to pierdolone światło!”.

Chłopak posłusznie gasi lampę i nawet nie pyta, jak ma po ciemku odrabiać lekcje. Kiedy Richie wpada w ten swój nastrój, lepiej zostawić go w spokoju.

„I leć po skrzynkę piwa – żąda Richie. – Forsę masz na stole”.

Kiedy dzieciak wraca, stary ciągle siedzi po ciemku; tyle że już zapadł zmierzch. Telewizor jest wyłączony. Timmy czuje, że po krzyżu przechodzi mu zimny dreszcz… komu by nie przeszedł? Nic, tylko mrok i mroczna sylwetka tatusia, która majaczy w rogu, niczym ciemna bryła.

No to postawił piwo na stole, wiedząc, że Richie nie lubi zimnego, ale kiedy mijał ojca, poczuł smród zgnilizny, zupełnie jakby ktoś na cały weekend zostawił na stole gliwiejący ser. Nie komentuje tego, bo dobrze wie, że jego tata nigdy nie należał do czyściochów. Po prostu idzie do swego pokoju, zamyka drzwi i zabiera się do lekcji. Po chwili słyszy, że Richie włącza telewizor i otwiera pierwszą tego wieczoru puszkę.

Przez dwa tygodnie nic się nie zmieniło. Dzieciak wstawał wcześnie, szedł do szkoły i kiedy wracał do domu, Richie siedział przed telewizorem, a na stole czekały już pieniądze na piwo.

W mieszkaniu cuchnęło coraz gorzej. Richie w ogóle przestał odsłaniać okna. W połowie listopada zabronił Timmy'emu uczyć się w jego pokoju. Powiedział, że drażni go światło bijące ze szpary pod drzwiami. Od tego dnia Timmy, kiedy już dostarczył ojcu piwo, uczył się u mieszkającego na sąsiedniej przecznicy kolegi.

Pewnego razu, kiedy chłopak wrócił ze szkoły – była już czwarta po południu i zdążyło się ściemnić – Richie powiedział: „Zapal światło".

Dzieciak zapalił lampkę nad zlewem i, niech mnie piorun strzeli, jeśli jego ojciec nie był cały owinięty kocem.

„Popatrz” – mówi Richie i wyciąga spod przykrycia dłoń.

Tylko że to wcale nie była dłoń. Coś szarego. Tyle dzieciak potrafił Henry’emu powiedzieć. To wcale nie przypominało ręki. Przypominało jakąś szarą grudę.

Cóż, śmiertelnie przerażony Timmy pyta: „Tato, co się z tobą dzieje?”.

A Richie na to: „Nie wiem. Ale to nie boli. Czuję się… to jest nawet miłe”.

Timmy odpowiada: „Lepiej zadzwonię do doktora Westphaila”.

I wtedy cały koc zaczął dygotać, jakby trzęsło się pod nim jakieś straszne stworzenie.

„Ani mi się waż, bo dotknę cię i skończysz jak to” – mówi Richie i wychyla twarz spod koca.

Dotarliśmy właśnie do rogu Harlow i Curve Street. Czułem, że temperaturę ciała mam niższą niż ta, którą wskazywał termometr wiszący przed wejściem do sklepu Henry’ego. Normalnemu człowiekowi takie historie po prostu nie mieszczą się w głowie, choć na świecie istnieje wiele dziwnych rzeczy.

Znałem faceta… George’a Kelso. Pracował w Bangor w Wydziale Robót Publicznych. Przez piętnaście lat zakładał instalacje wodne i naprawiał przewody elektryczne, aż pewnego

dnia, kiedy do emerytury brakowało mu niecałe dwa lata, po prostu rzucił robotę. Frankie Haldeman, który dobrze go znał, twierdzi, że George, śmiejąc się i żartując, zszedł w Essex do kanałów, a w kwadrans później wyszedł z nich z włosami białymi jak śnieg. W oczach płonęło mu szaleństwo, zupełnie jakby przez jakieś okno zajrzał do samego piekła. Dotarł do garaży WRP w Bangor, stłukł swój licznik zegarowy, po czym ruszył do Wally's Spa i tam pił na umór. Po dwóch latach alkohol go zabił. Frankie utrzymywał, że kilkakrotnie próbował z George'em porozmawiać. Pewnego razu, kiedy Kelso był kompletnie naprany, odwrócił się na barowym stołku i spytał Frankiego Haldemana, czy widział kiedykolwiek pająka wielkości dobrze wyrośniętego psa, pająka, który siedział na pajęczynie pełnej zaplątanych w niej kotów. Cóż Frankie miał na to odpowiedzieć? Nie twierdzę, że George mówił prawdę, ale jestem najgłębiej przekonany, że gdzieś w zakamarkach naszego świata istnieją rzeczy, których widok, jeśli człowiek na nie spojrzy, może doprowadzić do szaleństwa.

Tak więc, chociaż po ulicy hulał wiatr, wyczyniając straszne harce, staliśmy na tym skrzyżowaniu dłuższą chwilę.

– I co zobaczył? – zapytał Bertie.

– Powiedział, że ciągle jeszcze potrafił rozpoznać swego tatę, chociaż pokrywała go szara galareta i… wszystko było jakby ze sobą wymieszane. Powiedział, że ubranie Richiego było lepkie i wrosło mu w skórę.

– Jezu Chryste – mruknął Bertie.

– Później Richie znów nakrył głowę kocem i zaczął krzyczeć na dzieciaka, żeby zgasił światło.

– Zupełnie jakby był grzybem – wtrąciłem.

– Tak. – Henry skinął głową. – Coś w tym rodzaju.

– Najlepiej trzymaj ten pistolet w pogotowiu – odezwał się Bertie.

– Jasne.

Bez słowa powlekliśmy się Curve Street.

Kamienica, w której mieściło się mieszkanie Richiego Grenadine'a, stała prawie na samym szczycie wzgórza. Był to jeden z tych wiktoriańskich potworów budowanych na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku przez magnatów prasowych i włókienniczych. Obecnie domy te przekształcono na budynki mieszkalne. Bertie urywanym głosem poinformował nas, że Richie mieszka na drugim piętrze, tuż pod sterczącym niczym brew okapem

dwuspadowego dachu. Zapytałem Henry'ego, co działo się z dzieciakiem później.

W trzecim tygodniu listopada chłopak wrócił któregoś popołudnia do domu i spostrzegł, że Richiemu nie wystarczały już zasłony i poprzybijał gwoździami koce do wszystkich okiennych ram. Poza tym w mieszkaniu okrutnie śmierdziało – zawiesisty odór przypominający woń fermentujących owoców i drożdży.

Po upływie tygodnia Richie kazał dzieciakowi piwo podgrzewać na piecu. Wyobrażacie to sobie? Samotne dziecko, którego ojciec zamieniał się w… no właśnie, w coś… Timmy musiał grzać piwo, a potem słuchać, jak ojciec – to – pije z odrażającym siorbaniem przypominającym dźwięk, z jakim starcy pochłaniają owsiankę. Czy potraficie sobie to wyobrazić?

I tak było aż do dzisiaj, kiedy to z powodu śnieżycy dzieciak wrócił wcześniej ze szkoły.

– Chłopiec mówi, że poszedł prosto do domu – ciągnął Henry. – W korytarzu na piętrze nie paliło się ani jedno światło. Timmy utrzymuje, że to jego tata musiał którejś nocy potłuc wszystkie żarówki… więc chłopak po omacku dotarł do drzwi mieszkania.

Usłyszał, że w środku coś się rusza, i nagle dotarło do niego, że nie wie, co Richie robił przez

cały tydzień. Prawie przez miesiąc nie opuszczał krzesła, a przecież człowiek musi czasem spać albo iść do ubikacji.

W drzwiach był wizjer, niegdyś zamykany od wewnątrz, ale gdy się sprowadzali do tego domu, zamek był wyłamany. Tak więc chłopak podkradł się na palcach do drzwi i kciukiem pchnął klapkę wizjera. Zerknął do środka.

Dotarliśmy do stopni wiodących do drzwi wejściowych domu, którego fasada majaczyła nad nami niczym wielka, odrażająca twarz; okna na drugim piętrze stanowiły jej oczy. Popatrzyłem w górę. Oba były czarne jak smoła; ktoś zamalował je albo zabił od środka.

– Dłuższą chwilę przyzwyczajał wzrok do panującego w mieszkaniu mroku. I wtedy ujrzał olbrzymią, szarą bryłę, zupełnie już nieprzypominającą człowieka. Pacyna pełzła po podłodze, zostawiając za sobą szary, śluzowaty ślad. W pewnym momencie to wyciągnęło ramię… czy coś w rodzaju ramienia… i odsunęło deskę w ścianie, po czym wyjęło kota. – Henry przystanął na chwilę, a Bertie zaczął rozcierać zgrabiałe dłonie. Choć panował przeraźliwy ziąb, żaden z nas nie kwapił się jeszcze wchodzić do wnętrza domu. – Martwego kota – odezwał się po

chwili Henry. – Gnijącego. Timmy mówił, że był rozdęty… i łaziło po nim coś białego…

– Przestań! – sapnął Bertie. – Na Boga, przestań.

– Jego tata zjadł tego kota na oczach dzieciaka.

Próbowałem przełknąć ślinę, która nabrała nagle ohydnego, tłustego smaku.

– Wtedy właśnie Timmy zamknął wizjer i uciekł – zakończył cicho relację Henry.

– Nie jestem pewien, czy mam ochotę tam iść – przerwał milczenie Bertie.

Henry nic nie odpowiedział, tylko wodził po nas czujnym wzrokiem.

– Sądzę, że powinniśmy tam jednak wejść – powiedziałem. – Mamy dla Richiego piwo.

Bertie milczał. Bez słowa wspięliśmy się po stopniach, następnie przekroczyliśmy próg i znaleźliśmy się na klatce schodowej.

Wiecie zapewne, jak latem pachnie w domu, gdzie produkuje się jabłecznik. Nigdy nie można do końca pozbyć się woni jabłek, ale jesienią zapach jest już tak ostry i intensywny, że aż w nosie kręci. Latem jest niezbyt silny, i tak właśnie pachniało w domu Richiego; z tym tylko, że tam odór był odrobinę paskudniejszy.

Na samym dole paliła się jedna lampa – żarówka w matowym kloszu rzucała słabe, żółte

jak maślanka światło. Schody niknęły już w ciemności.

Henry zatrzymał wózek i zaczął z niego zdejmować skrzynkę z piwem, a ja nacisnąłem guzik w ścianie, żeby sprawdzić, czy na pierwszym piętrze zapali się światło. Timmy nie skłamał – żarówka była stłuczona.

– Ja wtaszczę piwo na górę – powiedział drżącym głosem Bertie. – Ty lepiej zajmij się pistoletem.

Henry nie spierał się. Wyciągnął broń i zgodnie ruszyliśmy po schodach; Henry pierwszy, ja w środku, a na szarym końcu Bertie tulący do siebie kartony z piwem. Na pierwszym piętrze smród stał się już okropny. Zapach zgniłych, przefermentowanych jabłek, przez który przebijał inny jeszcze, dużo gorszy fetor.

Kiedy mieszkałem w Levant, miałem psa. Nazywał się Rex – fajny kundlas, ale jeśli chodzi o samochody, nie wykazywał szczególnego rozumu. Pewnego popołudnia, kiedy byłem w robocie, potrąciło go jakieś auto. Dowlókł się do domu, wpełzł pod niego i tam zdechł. Boże drogi, ależ śmierdział! W końcu musiałem sam wleźć pod dom i wyciągnąć go za pomocą drąga. I właśnie tak tutaj śmierdziało; odrażający fetor gnijącej padliny.

Aż do tej chwili myślałem, że cała opowieść Henry'ego i nasza wyprawa są wyłącznie niewybrednym, ponurym żartem. Teraz dopiero pojąłem, że wszystko to dzieje się naprawdę.

– Boże drogi, Harry, dlaczego sąsiedzi nie wykopali go jeszcze z mieszkania?

– Jacy sąsiedzi? – Henry ponownie przesłał mi ów dziwaczny uśmiech.

Rozejrzałem się po korytarzu. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, a drzwi prowadzące do mieszkań na drugim piętrze były pozamykane na kłódki.

– Ciekaw jestem, do kogo należy ten dom – odezwał się Bertie, przystając na półpiętrze i z trudem łapiąc oddech. – Do Gaiteau? Dziwne, że jeszcze go nie wywalił na zbity pysk.

– A kto miałby tu przyjść i go wywalić? – zapytał Henry. – Ty?

Bertie milczał.

Podjęliśmy wspinaczkę. Schody stały się zdecydowanie węższe i bardziej strome. Zrobiło się też wyraźnie cieplej, a w grzejnikach coś klekotało i syczało. Powietrze przenikał okropny, duszący smród. Czułem się tak, jakby ktoś wiercił mi w brzuchu kijem.

Na górze był krótki korytarzyk, który kończył się drzwiami z wizjerem.

Bertie cicho jęknął.

– Zobaczcie, po czym szliśmy – wydusił z siebie.

Spojrzałem pod nogi. Podłogę pokrywał śluz, tworząc miejscami gęste kałuże; kiedyś zapewne leżał tu dywan, ale został całkowicie zeżarty przez tę szarą masę.

Henry podszedł do drzwi; my za nim. Nie wiem, jak Bertiemu, ale pode mną uginały się nogi. Henry był twardy; wyciągnął z kieszeni pistolet i zastukał kolbą w drzwi.

– Richie! – zawołał silnym, pewnym siebie głosem, jakkolwiek twarz miał śmiertelnie bladą. – To ja, Henry Parmalee z Nite-Owl. Przyniosłem ci piwo.

Przez dobrą minutę panowała głucha cisza, po czym rozległ się głos:

– Gdzie jest Timmy? Gdzie jest mój chłopak?

Prawie uciekłem. Nie był to głos ludzki, ale dziwaczny, niski i bulgoczący dźwięk; zupełnie jakby ktoś mówił z ustami pełnymi płynnego tłuszczu.

– U mnie w sklepie – odparł Henry. – Dałem mu wreszcie coś przyzwoitego do jedzenia. Richie, twój syn wychudł jak bezpański kot!

Przez chwilę panowała cisza, po czym znów rozległ się ów wstrętny, mlaszczący głos…

dźwięk, jaki wydają wyciągane z grząskiego, tłustego błocka kalosze. Tak więc zza drzwi dobiegł ów głos, który wychodzić musiał z gardła o przegniłych strunach głosowych:

– Uchyl drzwi i wsuń to piwo. Tylko najpierw pootwieraj puszki. Ja tego nie mogę zrobić.

– Chwileczkę – odparł Henry. – Richie, w jakim jesteś stanie?

– Nieważne – odrzekł głos pełen jakiegoś odrażającego głodu. – Po prostu wsuń to piwo i wynoś się.

– To nie jest martwy kot, prawda? – powiedział ze smutkiem Henry.

Nie trzymał już pistoletu za lufę; należało ze wszystkim skończyć.

I nagle mnie olśniło. Zrozumiałem to, co Henry już wcześniej pojął z rozmowy z Timmym. W nozdrza z podwójną siłą uderzył mnie smród rozkładu. W ciągu ostatnich trzech tygodni w miasteczku zaginęły bez śladu dwie dziewczyny i pijaczek z Armii Zbawienia – wszyscy po zmroku.

– Wsuń to piwo albo ja po nie wyjdę – odezwał się głos.

Henry dał znak, żebyśmy się cofnęli, uniósł pistolet i powiedział:

– Lepiej będzie, jak wyjdziesz, Richie.

Przez chwilę panowała cisza. Prawdę mówiąc, sądziłem, że wszystko się skończyło. I nagle drzwi otworzyły się z impetem; tak nagle i brutalnie, jakby coś nieoczekiwanie rozdęło się do nieprawdopodobnych rozmiarów i wyrwało je z futryny, ciskając na przeciwległą ścianę. Z mieszkania wylazł Richie.

Trwało to sekundę, może dwie, kiedy runęliśmy z Bertiem po schodach jak zmykające ze szkoły dzieciaki i wybiegliśmy na śnieg, na mróz.

Kiedy ślizgając się i zataczając, biegliśmy ośnieżoną ulicą, dogonił nas grzmot głośnych jak eksplozje granatów trzech strzałów pistoletu Henry'ego oddanych w ciasnych korytarzach pustego, przeklętego domu.

To, co widziałem przez sekundę lub dwie, wystarczy mi do końca życia. To we mnie zostało. Potworna, olbrzymia fala szarej galarety, galarety, która formowała się w kształt człowieka i zostawiała za sobą pasmo śluzu.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsze były oczy – olbrzymie i żółte, dzikie, niemające w sobie nic ludzkiego. Nie było to dwoje oczu. Było ich czworo, a przez środek stwora, między tymi dwoma parami ślepi biegła biała włóknista linia

pulsującego różowego mięsa, niczym rozerżnięty świński brzuch.

Bo widzicie, to się dzieliło. Dzieliło się na dwoje.

Wracając do sklepu, nie zamieniliśmy z Bertiem słowa. Nie wiem, o czym on myślał, ale aż za dobrze wiem, o czym ja myślałem. Miałem w głowie tabliczkę mnożenia. Dwa razy dwa jest cztery, cztery razy dwa jest osiem, osiem razy dwa jest szesnaście, szesnaście razy dwa jest…

Wróciliśmy do sklepu. Natychmiast podskoczyli do nas Carl i Bill Pelham, zasypując gradem pytań. Nie odpowiedzieliśmy na żadne. Po prostu odwróciliśmy się i w milczeniu czekamy, czy Henry wyjdzie na śnieg. Doszedłem do wniosku, że trzydzieści dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt osiem razy dwa oznaczać będzie koniec ludzkiej rasy. Tak więc siedzimy przy piwie i czekamy. Chcemy zobaczyć, kto lub co ostatecznie wróci… Ciągle siedzimy.

Mam nadzieję, że wróci Henry. Naprawdę mam taką nadzieję.

POLE WALKI

– Panie Renshaw?

Głos recepcjonisty zza biurka dotarł do niego w chwili, kiedy był już w połowie drogi do windy. Zniecierpliwiony Renshaw odwrócił się w jego stronę i przełożył torbę podróżną z jednej ręki do drugiej. Koperta wypchana dwudziesto- i pięćdziesięciodolarowymi banknotami, którą miał w kieszeni płaszcza, głośno zaszeleściła. Praca poszła mu bardzo dobrze, a wynagrodzenie było znakomite – nawet po odjęciu piętnastu procent dla organizacji. W tej chwili marzył tylko o gorącym prysznicu, szklaneczce ginu z tonikiem i wygodnym łóżku.

– O co chodzi?

– Przesyłka, sir. Może pan pokwitować?

Renshaw podpisał druk i obrzucił bacznym spojrzeniem prostokątną paczkę. Na przyklejonej etykietce widniały jego nazwisko i adres wypisane ostrym, pochyłym ręcznym pismem,

które wydało mu się znajome. Sięgnął po paczkę leżącą na wykonanym z imitacji marmuru blacie biurka i potrząsnął nią. W środku coś cicho zagrzechotało.

– Panie Renshaw, czy mam ją przysłać na górę?

– Nie trzeba, wezmę ze sobą.

Pakunek miał jakieś siedemdziesiąt centymetrów długości i od biedy można go było wziąć pod pachę. W windzie położył paczkę na wysłanej pluszową wykładziną podłodze i do specjalnego otworu nad rzędem normalnych guzików wsunął klucz; jechał do swego apartamentu mieszczącego się na dachu wieżowca. Winda ruszyła łagodnie i cicho. Zamknął oczy; na czarnym ekranie pamięci ponownie pojawiły się obrazy z wykonanej roboty.

Jak zawsze, wszystko zaczęło się od telefonu Cala Batesa.

„Johnny, czy jesteś dyspozycyjny?”

Dyspozycyjny był dwa razy do roku, a jego minimalna stawka wynosiła dziesięć tysięcy dolarów. Cieszył się opinią dobrego i solidnego fachowca, ale tak naprawdę klienci płacili mu za jego naturę drapieżcy. John Renshaw był ludzkim sępem, ukształtowanym przez genetykę

i środowisko do tego, żeby dwie rzeczy robić bezbłędnie: zabijać i przetrwać.

Po telefonie Batesa w skrzynce na listy pojawiła się płowożółta koperta. Nazwisko, adres, fotografia. Musiał to dokładnie wryć sobie w pamięć, a następnie spalić kopertę wraz z jej zawartością, popiół zaś wyrzucić do kosza na śmieci.

Tym razem twarz na zdjęciu należała do biznesmena z Miami, Hansa Morrisa, założyciela i właściciela fabryki zabawek Morris Toy Company. Ktoś chciał usunąć go ze swej drogi i przyszedł z tym do organizacji. Organizacja za pośrednictwem Calvina Batesa zwróciła się do Johna Renshawa. *Trach!* Żałobnicy, proszę nie zapomnieć o kwiatach.

Drzwi windy rozsunęły się. Podniósł przesyłkę i wyszedł na korytarz. Otworzył mieszkanie i stanął w progu. O tej porze dnia, o trzeciej po południu, przestronny salon skąpany był w blasku kwietniowego słońca. Renshaw tkwił chwilę nieruchomo, radując oczy tym widokiem, a następnie postawił paczkę na końcu znajdującego się przy drzwiach stołu i poluzował krawat. Później położył na przesyłce kopertę i ruszył w stronę tarasu.

Rozsunął szklane drzwi i wyszedł na powietrze. Panowało przenikliwe zimno, więc wiatr przewiewał jego cienki płaszcz. Niemniej Renshaw spoglądał przez chwilę na miasto wzrokiem generała lustrującego podbitą krainę. Po ulicach, niczym maleńkie żuczki, sunęły samochody. Daleko, prawie ginąc w złocistej popołudniowej mgiełce, lśnił Bay Bridge niczym miraż zrodzony w umyśle szaleńca. Po stronie wschodniej, niemal całkiem zasłonięte drapaczami chmur w śródmieściu, tłoczyły się odrażające i brudne kamienice czynszowe z lasem metalowych anten telewizyjnych na dachach. Tak, tutaj było zdecydowanie lepiej. Lepiej niż w rynsztokach.

Wrócił do mieszkania, zamknął dokładnie prowadzące na taras drzwi i przeszedł do łazienki, aby wziąć długi, gorący prysznic.

Kiedy czterdzieści minut później z drinkiem w dłoni zasiadł i zabrał się do oglądania przesyłki, spowijający podłogę dywan koloru wina był już prawie całkowicie pogrążony w cieniu. Nadchodził wieczór.

Bomba.

Naturalnie nie była to bomba, ale należało postępować tak, jakby paczka to właśnie zawierała. Dlatego Renshaw chodził jeszcze

wyprostowany po ziemi i miał się bardzo dobrze, podczas gdy tylu innych wylądowało w niebie w ogromnym biurze dla bezrobotnych.

Jeśli jednak była to bomba, to na pewno nie zegarowa. Paczka leżała w całkowitej ciszy; szydercza i enigmatyczna. Tak czy owak, w obecnych czasach najbardziej prawdopodobny był plastik. Mniej kapryśny niż całe to zegarowe potomstwo płodzone przez Westclox i Big Ben.

Renshaw popatrzył na stempel pocztowy. Miami. 15 kwietnia. A więc sprzed pięciu dni. Zatem to nie bomba z opóźnionym zapłonem. W przeciwnym razie mogłaby, na przykład, eksplodować w hotelowym sejfie.

Miami. Tak. I to ostre, pochyłe ręczne pismo. Na biurku smagłego biznesmena stała oprawiona w ramkę fotografia. Staruszka na zdjęciu była jeszcze bardziej smagła, a na głowie miała typową rosyjską chustkę ściśle otulającą twarz. Na dole fotografii widniał napis: „Od Twojej najbardziej pomysłowej dziewczynki – Mama”.

Jakiż to najlepszy pomysł, mamusiu? Samodzielnie zastawić śmiertelną pułapkę?

Założył ręce na piersi i bacznie lustrował pakunek. Nie zastanawiał się nad niezwiązanymi z tematem pytaniami, na przykład: w jaki sposób najbardziej pomysłowa dziewczynka Morrisa

znalazła jego adres. To były pytania na później i odpowie na nie Cal Bates. Teraz zupełnie nieistotne.

Prawie odruchowo wyciągnął z portfela mały, celuloidowy kalendarzyk i zgrabnie wsunął go pod szpagat obwiązujący zawiniętą w brązowy papier przesyłkę. Następnie wsunął kartonik pod taśmę klejącą, która trzymała jedną z zakładek opakowania na boku pudełka. Róg pod sznurkiem odkleił się bez trudu.

Renshaw dłuższą chwilę obserwował paczkę, po czym pochylił się nad nią i lekko pociągnął nosem. Tektura, papier, sznurek. Nic więcej. Obszedł stolik, przykucnął i powtórzył operację na drugim końcu przesyłki. Szare palce zmierzchu z wolna rozsiewały w mieszkaniu mrok.

Brązowy papier pod sznurkiem rozchylił się z jednej strony i Renshaw ujrzał pod spodem matowe, zielone pudełko. Metalowe. Z zawiasami. Wyciągnął scyzoryk i przeciął szpagat. Kilka ruchów końcem noża i pokazała się cała skrzyneczka.

Pomalowana była w zielone i czarne plamy, a na wierzchu widniały białe litery układające się w słowa: WIETNAMSKI KUFEREK SZEREGOWCA. A poniżej: 20 żołnierzy piechoty,

10 helikopterów, 2 żołnierzy z cekaemami, 2 żołnierzy z bazookami, 2 medyków, 4 jeepy. Dalej: flagi sygnalizacyjne. I jeszcze niżej w rogu: Morris Toy Company, Miami, Floryda.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć pudełka, ale natychmiast ją cofnął. W środku kuferka coś się poruszyło.

Renshaw wyprostował się, po czym nieśpiesznie ruszył w stronę kuchni i przedpokoju. Pozapalał wszystkie światła.

Wietnamski kuferek kołysał się, a pod nim szeleścił brązowy papier. Nagle pudełko przechyliło się bardzo mocno i z cichym stuknięciem spadło na dywan. Wylądowało na boku. Wieczko na zawiasach uchyliło się na jakieś pięć centymetrów.

W szczelinie pojawiła się malutka, trzycentymetrowej wysokości sylwetka żołnierza piechoty. Renshaw spoglądał na to nieruchomym wzrokiem. Nie starał się nawet dociekać, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę, czy jest wyłącznie halucynacją – zastanawiał się tylko, jakie to będzie miało konsekwencje dla jego przeżycia.

Żołnierze nosili tycie, wojskowe peleryny, hełmy i plecaki polowe. Na ramionach trzymali maleńkie karabiny. Dwóch spojrzało przez pokój

na Renshawa. Ich oczy, maleńkie jak kulki w długopisie, błyszczały.

Pięciu, dziesięciu, dwunastu; cała dwudziestka. Jeden z nich gestykulował, wydawał rozkazy pozostałym. Ustawili się w szeregu w szczelinie, jaka powstała między korpusem pudełka a wieczkiem, i zaczęli pchać to ostatnie. Szczelina powiększała się.

Renshaw chwycił z kanapy wielką poduszkę i zaczął podchodzić w ich stronę. Wydający rozkazy oficer odwrócił się do żołnierzy i dał znak ręką. Szeregowcy zakręcili się w miejscu, pozdejmowali z ramion karabiny. Rozległy się ciche, delikatne dźwięki wystrzałów, a Renshaw poczuł się nagle tak, jakby użądlił go rój pszczół.

Cisnął poduszką. Najpierw zmiotła żołnierzy, rozrzucając ich po podłodze, a następnie trafiła w samo pudełko, które otworzyło się na oścież. Niczym rój komarów z cichym, wysokim bzyczeniem z kuferka wyfrunęła chmara miniaturowych helikopterów pomalowanych na ochronny, zielony kolor.

Do uszu Renshawa dobiegł cichutki dźwięk *phut! phut!*; z otwartych drzwi helikopterów wystawały cieniutkie jak ostrza szpilek lufy rozbłyskujące pomarańczowym ogniem. Igiełki bólu przeszyły mu brzuch, prawą rękę i szyję.

Wyciągnął rozwartą dłoń i chwycił jedną z maszyn – palce poraził straszny ból; trysnęła krew. Skrzydełka wirnika rozerwały na palcach ciało do kości, zostawiając pionowe, krwawe pręgi. Pozostałe helikoptery trzymały się w bezpiecznej odległości, krążąc wokół niego jak gzy. Trafiony helikopter uderzył z impetem w dywan i znieruchomiał.

Nagły rozdzierający ból w stopie sprawił, że Renshaw wrzasnął. Jeden z żołnierzy piechoty stał na jego bucie i wbijał mu w kostkę bagnet. Z dołu na Renshawa patrzyła wykrzywiona w grymasie twarz ciężko oddychającego szeregowca.

Renshaw kopnął figurkę, która niczym pocisk śmignęła przez cały pokój i rozmazała się na ścianie. Nie było nawet krwi; tylko gęsta, purpurowa zawiesina.

Rozległa się cicha, przypominająca kaszlnięcie detonacja i udo przeszył mu potworny ból. Z kuferka wynurzył się żołnierz uzbrojony w bazookę. Z wylotu lufy unosił się leniwie czarny obłoczek dymu. Renshaw spojrzał na nogę i ujrzał wypaloną w spodniach czarną dziurę o średnicy ćwierćdolarówki. Ciało pod spodem było zwęglone.

Ten mały skurwiel do mnie strzelił!

Odwrócił się i wbiegł do przedpokoju, a stamtąd do sypialni. Obok policzka, mieląc powietrze łopatkami wirnika, przeleciał mu helikopter. Cichutki terkot CKM-u. Maszyna odleciała.

Pod poduszką trzymał pistolet, magnum, kaliber .44 – wystarczający, żeby we wszystkim, w co trafi kula, zrobić dziurę wielkości dwóch pięści. Renshaw na zimno uświadomił sobie, że czeka go strzelanie do ruchomych celów niewiele większych niż podrzucane żaróweczki od latarki.

Do pokoju wleciały dwa następne helikoptery. Siedząc jeszcze na łóżku, Renshaw wypalił z pistoletu i jeden śmigłowiec eksplodował. To już drugi. Wycelował w trzecią maszynę… nacisnął spust…

Zrobił unik! Cholera jasna, zrobił unik!

Helikopter zatoczył nagle szaleńczą pętlę i z ogromną szybkością okrążył mu głowę; wirniki bojowej maszyny kręciły się z zawrotną prędkością. Przez mgnienie oka widoczny był przykucnięty w otwartych drzwiach helikoptera jeden z żołnierzy obsługujących CKM. Strzelał krótkimi, morderczymi seriami. Renshaw rzucił się na ziemię i potoczył.

Oczy! Skurwiel celuje mi w oczy!

Nie wstając z podłogi, oparł się plecami o ścianę. Rewolwer trzymał przy piersi. Ponownie nadleciał śmigłowiec. Zawisł na chwilę w powietrzu, po czym najwyraźniej rozpoznawszy wspaniałą, morderczą broń Renshawa, znurkował i szybko odleciał do salonu.

Renshaw podniósł się. Kiedy stanął na zranionej nodze, twarz wykrzywił mu grymas bólu. Rana krwawiła. Bo i dlaczego miałaby nie krwawić? – zadał sobie w duchu pytanie. Nie każdy ma szczęście zostać trafionym z bazooki, a później móc jeszcze o tym opowiadać.

A więc to mamusia była tą najbardziej pomysłową dziewczynką? To ona za tym wszystkim stała.

Ściągnął z poduszki poszewkę, podarł ją na pasy, owinął nimi ranę, po czym wziąwszy małe lusterko, którego używał do golenia, zbliżył się do drzwi prowadzących na korytarz. Uklęknął, położył lusterko na dywanie pod odpowiednim kątem i zerknął w nie.

Rozłożyli się obozem obok kuferka; tak, Renshaw nie miał co do tego wątpliwości. Miniaturowi żołnierze biegali tu i tam, rozstawiali namioty. Między nimi jeździły pięciocentymetrowej wysokości jeepy.

Żołnierzem, którego kopnął, zajmował się medyk. Nad obozem, na wysokości stolika do kawy, krążyło osiem ocalałych helikopterów.

W pewnym momencie żołnierze dostrzegli lusterko; trzech z nich uklękło na kolanie i zaczęło strzelać. W chwilę później szkło pękło w czterech miejscach.

W porządku, w porządku.

Renshaw wrócił do gabinetu i wziął ciężkie, niewiele warte pudełko z mahoniu, które dostał od Lindy na Gwiazdkę. Zważył je w ręku, skinął z uznaniem głową, podszedł do drzwi i wychylił się. Wziął mocny zamach i cisnął pudełkiem jak *pitcher* szybką piłkę. Poszybowało wdzięcznym łukiem i trafiło w cel, obalając lilipucie figurki niczym kręgle. Jeep dwukrotnie przekoziołkował. Renshaw błyskawicznie podszedł do drzwi salonu i widząc rozciągniętego na ziemi żołnierza, wymierzył mu straszliwego kopniaka.

Kilkunastu szybko podniosło się z podłogi. Niektórzy uklęknęli i otworzyli ogień. Inni szukali osłony. Pozostali schronili się w kuferku.

Renshaw ponownie poczuł w nogach i torsie ukłucia pszczelich żądeł, ale żaden pocisk nie trafił powyżej klatki piersiowej. Zapewne odległość była już zbyt duża. Nieważne; i tak nie miał zamiaru się wycofywać. Właśnie tak.

Kolejny jego strzał chybił – cele były tak cholernie małe – ale następny pocisk trafił żołnierza.

Helikoptery przypuściły dziką szarżę. Tym razem maleńkie pociski trafiły go w twarz; nad i pod oczyma. Strącił dłonią jedną maszynę, a po sekundzie drugą. Z bólu świeczki stanęły mu przed oczyma.

Ocalałe śmigłowce utworzyły dwie grupy i w popłochu odleciały. Renshawowi krew zalała oczy. Otarł ją przedramieniem. Zamierzał właśnie oddać kolejny strzał, ale się powstrzymał. Żołnierze, którzy schronili się w kuferku, wytaszczali z niego coś… Coś, co wyglądało jak…

Powietrze przecięła z trzaskiem błyskawica ognia i od ściany po lewej stronie Renshawa odprysnął kawał drewna.

…wyrzutnia rakiet!

Strzelił, chybił, odwrócił się na pięcie i czmychnął do łazienki w drugim końcu korytarza. Zatrzasnął za sobą drzwi, przekręcił zasuwę. Z lustra popatrzył nań oszołomionym, nawiedzonym wzrokiem rozpalony walką Indianin. Po twarzy, z ranek nie większych niż okruchy pieprzu, spływały mu strużki czerwieni.

Z policzka zwisał płatek skóry. Na karku paliło głębokie przecięcie.

Przegrywam!

Przeciągnął drżącą dłonią po włosach. Drogę do drzwi wyjściowych miał odciętą. Do telefonu i do kuchni też. Dysponowali tą przeklętą wyrzutnią rakiet. Bezpośredni celny strzał z całą pewnością roztrzaskałby mu głowę.

Cholera jasna, tego nawet nie było w spisie na pudełku!

Brał właśnie głęboki oddech, ale gwałtownie, ze świstem wypuścił powietrze z płuc i głośno chrząknął. Coś z okropnym trzaskiem rąbnęło w drzwi łazienki i w drewnie pojawiła się dziura wielkości pięści. Opalone brzegi dymiły. Przez chwilę na postrzępionych krawędziach drewna tańczyły niewielkie płomyki… kolejny błysk… kolejny pocisk. W drzwiach powstała jeszcze większa dziura, a na dywanik posypały się płonące drzazgi. Zdusił je nogą, ale przez wybity otwór z wściekłym warkotem wleciały dwa helikoptery. Mikroskopijne kule z CKM-u trafiły Renshawa w tors.

Z głośnym jękiem rozpaczy gołą ręką strącił jedną maszynę, znów głęboko raniąc sobie palce. Prawem ostatniej szansy chwycił ciężki ręcznik kąpielowy i chlasnął nim w drugi samolocik.

Maszyna, wirując, spadła na podłogę, a Renshaw zgniótł ją nogą. Oddychał ciężko i chrapliwie. Oko zalewał mu strumień gorącej i piekącej krwi. Starł ją ręką.

Cholera, to chyba trochę nauczy ich rozumu.

Faktycznie, najwyraźniej nauczyło. Przez kwadrans nic się nie działo. Renshaw siedział na skraju wanny i gorączkowo myślał. Na pewno musi istnieć jakieś wyjście z tego ślepego zaułka. Musi istnieć. Gdyby tylko znalazł sposób, aby zajść ich od tyłu…

Odwrócił się i popatrzył na niewielkie okienko nad wanną. Istniał sposób. Oczywiście, że istniał.

Jego wzrok padł z kolei na stojący na apteczce pojemnik z benzyną do zapalniczek. Sięgnął po niego, ale w tej samej chwili usłyszał szelest.

Błyskawicznie odwrócił się w stronę drzwi i uniósł magnum… ale to był tylko skrawek papieru wsunięty pod dolną szczelinę w drzwiach. Szczelinę, która, jak ponuro skonstatował, była za wąska nawet na to, żeby któryś z nich zdołał się tamtędy przecisnąć.

Na papierze widniało tylko jedno, napisane maleńkimi literkami słowo:

Kapitulacja

Renshaw uśmiechnął się posępnie i do kieszeni na piersi wsunął pojemnik z benzyną do zapalniczek. Na apteczce leżał ogryzek ołówka. Szybko napisał nim na kartce inne słówko i wsunął ją pod drzwi.

DUPKI

W powietrzu pojawił się nagle grad pocisków rakietowych, więc Renshaw się cofnął. Rakietki łukiem przeleciały przez wybitą w drzwiach dziurę i eksplodowały w jasnobłękitnych kafelkach powyżej wieszaka na ręczniki, zamieniając elegancką, wytworną glazurę w księżycowy krajobraz. Zasłonił ręką twarz przed gradem rozpalonych szrapneli. W koszuli na plecach pojawiły się palące żywym ogniem dziurki.

Ruszył się, kiedy kanonada ustała. Stanął na krawędzi wanny i otworzył okienko. Popatrzyły nań zimno gwiazdy. Okno było wąskie, a za nim ciągnął się również bardzo wąski gzyms. Ale nie było czasu myśleć.

Wychylił się mocno. Zimny wiatr smagnął pokaleczoną twarz i szyję niczym otwarta dłoń. Opierając ciężar ciała na rękach, wysunął się tak daleko, że aż zaczął tracić równowagę,

i popatrzył w dół. Czterdzieści pięter. Z tej wysokości ulica miała szerokość torów dziecięcej kolejki. Jasne, migające światła miasta lśniły szaleńczo jak porozrzucane brylanty.

Ze złudną łatwością wytrenowanego gimnastyka Renshaw uklęknął na parapecie. Gdyby w tej chwili przez dziurę w drzwiach wleciał do łazienki któryś z przypominających osy helikopterów, jeden strzał w jego wypięty tyłek wystarczyłby, żeby Renshaw rozpoczął długi, pełen wrzasku lot ku ziemi.

Ale żadna maszyna się nie pojawiła.

Przekręcił się i wysunął nogę. Chwycił za biegnący nad głową okapik. Po chwili stał już na występie po zewnętrznej ścianie wieżowca.

Nie myśląc o przyprawiającej o zawrót głowy przepaści pod stopami, nie myśląc, co by się stało, gdyby jego śladem poleciał któryś helikopter, Renshaw ruszył do miejsca, gdzie zbiegały się ściany budynku.

Pięć metrów… trzy… jeden. Przystanął. Przyciskał klatkę piersiową do muru, rozpostarł ręce na jego szorstkiej powierzchni. W kieszeni koszuli czuł pojemnik z benzyną, a za paskiem spodni uspokajający ciężar zatkniętego tam magnum.

Teraz tylko przekroczyć ten cholerny załom.

Ostrożnie przesunął stopę za róg i oparł na niej ciężar ciała. Zbiegające się pod kątem prostym ściany naciskały na brzuch i klatkę piersiową jak ostrza brzytwy. Przed nosem miał rozsmarowane na murze ptasie guano. Jezu Chryste, jak mogą latać na tej wysokości! – pomyślał idiotycznie.

Poślizgnęła mu się lewa stopa.

Przez dziwaczny, trwający nieskończone wieki ułamek sekundy chwiał się na krawędzi, wymachując rozpaczliwie prawą ręką, żeby złapać równowagę. Po chwili ściskał już obiema rękami schodzące się ściany niczym najczulszy kochanek i ciężko dyszał.

Niebawem przesunął za załom drugą stopę.

Dziesięć metrów przed sobą miał balkon prowadzący do jego własnego salonu.

Wstrzymując oddech, ruszył ostrożnie w tamtą stronę. Dwukrotnie nadchodziły silne podmuchy wiatru, które z łatwością mogły strącić go z gzymsu, więc musiał przystawać.

W końcu zacisnął dłonie na kutej w żelazie, pełnej ornamentów balustradzie tarasu.

Bezszelestnie wspiął się na nią i zeskoczył na podłogę balkonu. Rozsuwane szklane drzwi od strony pokoju do połowy tylko były zasłonięte

grubymi kotarami i dzięki temu mógł ostrożnie zajrzeć do środka.

Nad bezpieczeństwem kuferka czuwało czterech żołnierzy, którym asystował helikopter. Reszta oddziału skupiła się zapewne przy wyrzutni rakiet pod drzwiami łazienki.

W porządeczku. Teraz wejść jak włamywacz. Wykończyć tych przy kuferku i w te pędy do drzwi wyjściowych. Szybko do taksówki i na lotnisko. Do Miami, gdzie należy odnaleźć najbardziej pomysłową dziewczynkę Morrisa. Pomyślał sobie, że może spalić jej twarz miotaczem ognia. Byłaby to przepyszna zemsta.

Ściągnął koszulę i z rękawa oderwał długi pas materiału. Resztę niepotrzebnej już koszuli rzucił na dół; opadała w luźnych splotach. Zdjął plastikową zatyczkę z pojemnika z benzyną i wepchnął do środka materiał, zostawiając tylko piętnastocentymetrową nasączoną końcówkę.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę, wziął głęboki wdech i pokręcił kciukiem kółko. Przytknął płomyk do gałganka. Kiedy szmatka zajęła się ogniem, z rozmachem otworzył rozsuwane drzwi i wskoczył do pokoju.

Pilot helikoptera zareagował natychmiast, pikując na niego jak kamikaze. Ale Renshaw gnał już po dywanie, rozsiewając wokół krople

płynnego ognia. Nawet nie czuł przeszywającego bólu w ramieniu, kiedy ostrza obracającego się wirnika rozdarły mu skórę.

Malutkie figurki wskoczyły do kuferka.

Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Renshaw cisnął pojemnikiem z benzyną. Opakowanie eksplodowało kulą ognia w kształcie grzyba. W następnym ułamku sekundy był już odwrócony plecami i sadził do drzwi wyjściowych.

Nigdy się nie dowiedział, co go trafiło.

Huknęło tak, jakby z ogromnej wysokości spadła stalowa szafa pancerna. Ów grzmot rozniósł się po całym wieżowcu; stalowa konstrukcja budynku zadrżała i wpadła w rezonans niczym kamerton.

Drzwi apartamentu Renshawa, wyrwane z futryny i zawiasów, wyrżnęły z impetem w przeciwległą ścianę.

Idąca pod rękę ulicą para popatrzyła akurat w tej chwili do góry i ujrzała olbrzymi biały snop ognia, jakby sto dział pancernika oddało jednocześnie salwę.

– Komuś musiało nieźle wysadzić korki – stwierdził chłopak. – Myślę…

– A to co takiego? – zapytała dziewczyna.

Furkocząc i falując w powietrzu, coś powoli opadało prosto na nich. Chłopak wyciągnął rękę.

– Jezu, koszula jakiegoś faceta. Podziurawiona i zakrwawiona.

– Wcale mi się to nie podoba – odparła nerwowo dziewczyna. – Ralph, wezwij taksówkę, dobrze? Jeśli naprawdę coś się tutaj wydarzyło, zacznie nas maglować policja, a ja nie mam ochoty, żeby widziano nas razem.

Chłopak rozejrzał się, dostrzegł taksówkę, gwizdnął. Zapaliły się światła hamulcowe i para pobiegła przez jezdnię w stronę czekającego auta.

Za nimi, niewidoczny w mroku, opadł łagodnie obok resztek koszuli Johna Renshawa niewielki skrawek papieru. Ostrym, pochyłym ręcznym pismem ktoś napisał:

Hej, dzieciaki! To specjalny
wietnamski kuferek!

(Działa przez czas ograniczony)
1 wyrzutnia rakietowa

20 pocisków ziemia–powietrze klasy Twister
1 bomba nuklearna w zmniejszonej skali.

CIĘŻARÓWKI

Facet nazywał się Snodgrass i od początku wiedziałem, że zamierza popełnić jakieś szaleństwo. Miał wybałuszone oczy, w których widać było głównie białka; jak u gotowego do walki psa. Dwoje młodziaków, którzy z poślizgiem wjechali na parking starym fury, próbowało coś do niego mówić, ale gość tylko unosił lekko głowę, jakby nasłuchiwał innych głosów. Pod drogim, choć wytartym na siedzeniu garniturem sterczał mu wydatny brzuch. Był akwizytorem i cały czas tulił do piersi torbę z oferowanym towarem, niczym pogrążonego we śnie psiaka.

– Spróbuj jeszcze raz złapać coś w radiu – odezwał się siedzący przy kontuarze kierowca ciężarówki.

Barman wzruszył ramionami i włączył radioodbiornik. Przejechał całą skalę, ale urządzenie milczało jak zaklęte.

– Za szybko – zaprotestował kierowca. – Mogłeś ominąć jakąś stację.

– A niech je cholera! – mruknął barman.

Był podstarzałym Murzynem, który w uśmiechu pokazywał całą kolekcję złotych zębów. Nie spojrzał nawet na szofera; wzrok utkwił w ciągnącym się przez całą długość jadalni oknie, które wychodziło na parking.

Za szybą widać było siedem czy osiem potężnych ciężarówek. Ich silniki z niskim, leniwym, prawie kocim pomrukiem pracowały na jałowym biegu. Dwa macki, jeden hemingway i cztery albo pięć reo. Ciężarówki z przyczepami, ogromne samochody przemierzające wszystkie stany, z różnorodnymi tablicami rejestracyjnymi i smukłymi antenami CB z tyłu.

Fury młodziaków dachował i teraz spoczywał do góry nogami na końcu głębokiej, długiej bruzdy wyrytej w pokrywającym parking żwirze. Pojazd nie nadawał się już do niczego. U wjazdu dla ciężarówek stał rozbity cadillac. Przez roztrzaskaną przednią szybę kierowca wytrzeszczał oczy jak wypatroszona ryba. Z ucha zwisały mu okulary w rogowej oprawie.

Na środku placu leżały zwłoki dziewczyny ubranej w różową sukienkę. W ostatniej chwili wyskoczyła z cadillaca i próbowała uciekać. Ale

nie miała szans. Ona była najgorsza; mimo że leżała twarzą do ziemi… Krążyła nad nią chmara much.

Po drugiej stronie drogi wbita w odbojnicę stała furgonetka marki Ford. Wszystko to wydarzyło się przed godziną. Od tego czasu nie pojawił się już żaden nowy samochód. Rogatki były daleko, a telefon nie działał.

– Zbyt szybko przeleciałeś skalę – protestował kierowca. – Powinieneś…

Wtedy właśnie Snodgrass poderwał się jak rażony prądem. Przewrócił stolik, zrzucając przy tym filiżanki po kawie i siejąc deszczem cukru. Oczy wychodziły mu z orbit. Dolną wargę miał oklapniętą.

– Musimy stąd wyjść – paplał – musimy stądwyjść musimy stądwyjść…

Młodziak coś krzyknął, jego dziewczyna zaczęła wrzeszczeć.

Siedziałem na taborecie najbliższym drzwi i chwyciłem spanikowanego akwizytora za klapy marynarki. Wyrwał się. Gnał jak wariat. Przebiłby się nawet przez pancerne drzwi bankowego skarbca.

Wyskoczył na zewnątrz, zatrzasnął za sobą drzwi i zaczął biec przez parking w kierunku ciągnącego się po lewej stronie kanału

melioracyjnego. Natychmiast ruszyły za nim dwie ciężarówki; z umieszczonych nad kabinami rur wydechowych uderzyły w niebo ciemnobrązowe obłoki spalin, spod ogromnych tylnych kół jak z karabinów maszynowych wyprysnęły fontanny żwiru.

Snodgrassa dzieliło najwyżej pięć albo sześć metrów od skraju parkingu. Kiedy się odwrócił, twarz wykrzywiał mu strach. Zaczepił jedną nogą o drugą, zachwiał się, prawie upadł. Odzyskał równowagę, ale było już za późno.

Jedna ciężarówka przepuściła drugą, teraz ta mknęła przed siebie; kratownica jej maski lśniła złowrogo w blasku słońca. Snodgrass wrzasnął, ale jego krzyk utonął w ryku potężnego dieslowskiego silnika reo.

Samochód wcale nie wciągnął go pod siebie. Przyszłość pokazała, że byłoby lepiej, żeby tak właśnie się stało. Snodgrass, podrzucony w górę i kopnięty niczym piłka przez zawodnika, poszybował w powietrzu. Przez chwilę widać było jego sylwetkę na tle popołudniowego nieba – wyglądała jak sponiewierany strach na wróble – po czym wpadł do rowu melioracyjnego.

Hamulce potężnej ciężarówki zasyczały smoczym oddechem, przednie, unieruchomione koła wyryły głębokie koleiny w żwirze i pojazd

zatrzymał się o centymetry przed kanałem. Kawał skurwysyna.

Dziewczyna darła się. Przyciskała dłonie do policzków, naciągając ich skórę tak, że jej twarz przypominała oblicze wiedźmy.

Trzask pękającego szkła. Odwróciłem głowę i ujrzałem, że szofer ciężarówki zgniótł w dłoni szklankę. Nawet nie zdał sobie z tego sprawy. Na kontuar pociekło mleko i kilka kropel krwi.

Stojący przy radiu ciemnoskóry barman znieruchomiał ze ścierką do wycierania naczyń w ręku. Po chwili rozejrzał się ze zdumieniem. Szczękał zębami. Panowała głucha cisza mącona jedynie szumem silnika westcloxa i warkotem reo, które wracały do swoich kumpli. Dziewczyna zaczęła chlipać i to już było dobre… w każdym razie dużo lepsze.

Mój samochód również stał na parkingu – rozbity na miazgę. Camaro, rocznik siedemdziesiąty pierwszy. Jeszcze ciągle spłacałem za niego raty; ale nie sądzę, żeby miało to teraz znaczenie.

W ciężarówkach nie było nikogo.

W szybach pustych kabin lśniło słońce, rzucając migotliwe błyski. Kierownice obracały się same. Trudno nawet o tym myśleć. Gdyby

człowiek dłużej się nad tym zastanawiał, toby zwariował. Jak Snodgrass.

Minęły dwie godziny. Słońce zaczęło chować się za horyzont. Za oknem, zataczając szerokie pętle i ósemki, leniwie krążyły ciężarówki. Miały pozapalane długie i postojowe światła.

Żeby rozprostować nogi, dwukrotnie przeszedłem się wzdłuż kontuaru, a następnie usiadłem w loży obok długiego frontowego okna. Był to typowy zajazd dla kierowców ciężarówek stojący w pobliżu autostrady i mający stację benzynową na tyłach. Zatrzymywali się w nim na kawę i ciasto.

– Proszę pana? – dobiegł mnie nieśmiały głos.

Rozejrzałem się. Obok mnie stał chłopak z dziewczyną. On miał około dziewiętnastu lat, długie włosy i kiełkującą brodę, jego towarzyszka wyglądała na młodszą.

– Tak?

– Jak to było z panem?

Wzruszyłem ramionami.

– Zbliżałem się właśnie do międzystanówki prowadzącej na Pelson – wyjaśniłem. – Za mną jechała ciężarówka. Już z daleka zobaczyłem ją w lusterku wstecznym, bo świeciła jak choinka. Taką zresztą usłyszysz i zobaczysz z odległości dwóch kilometrów. Błyskawicznie zrównała się

z volkswagenem beetle i po prostu lekkim balansem przyczepy zmiotła go z szosy tak, jak ty pstryknięciem palca strącasz kulkę papieru ze stołu. W pierwszej chwili myślałem, że sama pójdzie w ślad za nim, bo żaden szofer nie opanowałby kierownicy po takim wahnięciu się przyczepy. Ale nie. Volkswagen przekoziołkował pięć albo i siedem razy, po czym eksplodował, a ciężarówka zajęła się kolejnym nadjeżdżającym autem. Kiedy zaczęła zbliżać się do mnie, skręciłem w pierwszy zjazd z autostrady. – Roześmiałem się nerwowo. – Trafiłem tutaj. Z deszczu pod rynnę.

Dziewczyna głośno przełknęła ślinę.

– Na południowym paśmie autostrady widzieliśmy pędzącego na północ greyhounda. On… po prostu… orał samochody. W końcu sam eksplodował i spłonął, ale przedtem zdążył zrobić nieprawdopodobną jatkę.

Autobus Greyhound. To była ciekawostka. Bardzo paskudna ciekawostka.

Na parkingu nieoczekiwanie zapaliły się jednocześnie wszystkie światła ciężarówek, zalewając go dziwacznym, martwym blaskiem. Samochody z warkotem krążyły w tę i we w tę. Reflektory wyglądały jak oczy, a wielkie przyczepy w nadciągającym mroku

przypominały garby na plecach jakichś prehistorycznych olbrzymów.

– Czy to aby bezpiecznie zapalać światła? – zaniepokoił się barman.

– Jak pan to zrobi, to się przekonamy – odparłem.

Przekręcił włącznik i nad głowami zapłonęły nam zapaskudzone przez muchy żarówki. Jednocześnie na zewnątrz zapalił się neon: „Zajazd u Conanta – Domowe obiady”.

Nic się nie wydarzyło. Ciężarówki jak krążyły, tak krążyły.

– Nie rozumiem – przerwał ciszę szofer. Wstał ze stołka przy barze i zaczął kręcić się po sali. Dłoń owiniętą miał czerwoną chustką. – Nigdy nie miałem problemów ze swoją maszyną. Dobra stara dziewczynka. Zajechałem tutaj trochę po pierwszej, żeby zjeść spaghetti, no i wtedy się wszystko zaczęło. – Machnął ręką i chustka się rozwiązała. – Moja ciężarówka to ta ze słabszym lewym tylnym światłem. Jeżdżę nią od sześciu lat. Ale jeśli teraz wychylę nos z zajazdu…

– To się dopiero zaczyna – zauważył barman. Oczy mu lśniły jak dwa obsydiany. – Sytuacja musi być rzeczywiście fatalna, skoro wysiadło nawet radio. To się dopiero zaczyna.

Twarz dziewczyny była biała jak mleko.

– Tym niech się pan nie przejmuje – powiedziałem do barmana. – Jeszcze nie teraz.

– Ale skąd się to wzięło? – Kierowca był bardzo niespokojny. – Burze elektryczne w atmosferze? Próba nuklearna?

– Może po prostu zwariowały? – podsunąłem myśl.

. . .

Około siódmej wieczorem zaczepiłem barmana.

– Jak stoimy z żywnością? – zapytałem. – Chodzi mi o to, że zapewne zostaniemy tu jakiś czas.

Zmarszczył czoło.

– Nie jest źle. Wczoraj był dzień dostawy. Mamy jakieś trzysta hamburgerów, owoce i warzywa w puszkach, płatki kukurydziane, jajka… mleka tyle co w chłodziarce, ale wodę czerpiemy prosto ze studni. Jeśli będzie trzeba, nasza piątka przekibluje tu miesiąc albo i lepiej.

Zbliżył się do nas szofer.

– Szefie, skończyły mi się papierosy, a ten automat…

– On nie jest mój – wyjaśnił barman. – Nie mam papierosów, proszę pana.

Kierowca trzymał w ręku metalowy pręt, który znalazł w magazynku. Bez słowa ruszył do automatu.

Młodziaki zajęły się lśniącą, migającą światłami grającą szafą. Wrzuciły do niej ćwierćdolarówkę. John Fogerty zaśpiewał o tym, że urodził się nad rozlewiskiem rzeki.

Usiadłem i zacząłem wyglądać przez okno. Zobaczyłem coś, co mi się od pierwszej chwili cholernie nie spodobało. Do patrolu ciężarówek dołączyła niewielka furgonetka marki Chevrolet; pasowała do nich jak kucyk szetlandzki do perszeronów. Obserwowałem ją do chwili, kiedy obojętnie przetoczyła się po zwłokach dziewczyny z cadillaca. Wtedy odwróciłem wzrok.

– Ależ to my je wyprodukowaliśmy! – krzyknęła nagle ogarnięta skrajnym przerażeniem dziewczyna. – Nie mogą nam tego zrobić!

Chłopak kazał jej być cicho. Kierowca uporał się wreszcie z automatem i wyjął z niego sześć czy osiem pudełek viceroyów. Poupychał je po kieszeniach. Jedną paczkę otworzył. Z wyrazu jego twarzy nie potrafiłem wywnioskować, czy zamierza palić, czy też jeść te papierosy.

W szafie grającej wskoczyła kolejna płyta. Zrobiła się ósma.

O wpół do dziewiątej wysiadł prąd.

Kiedy pogasły światła, dziewczyna znów zaczęła krzyczeć. Krzyk urwał się nieoczekiwanie, jakby chłopak zakrył jej usta dłonią. Szafa grająca milkła stopniowo z coraz głębszym, basowym dźwiękiem zwalniającej płyty.

– Jezu słodki, co się dzieje! – wykrzyknął kierowca.

– Barman! – zawołałem. – Czy ma pan tu jakieś świece?

– Chyba tak. Proszę poczekać… o, tutaj są.

Zapaliwszy świece, zaczęliśmy je rozstawiać.

– Tylko ostrożnie – ostrzegłem. – Jeśli wywołamy pożar, szlag nas trafi.

Barman markotnie zachichotał.

– No właśnie.

Kiedy skończyliśmy ze świecami, dzieciaki przytuliły się do siebie, a kierowca stanął w tylnych drzwiach i obserwował sześć nowych ciężarówek krążących między betonowymi wysepkami, na których stały dystrybutory paliwa.

– Sytuacja się zmieniła, prawda? – mruknąłem.

– Jak jasna cholera. Prąd siadł na dobre.

– I co?

– Hamburgery pójdą za trzy dni. Mięcho i jaja też. Puszki są w porządku. Ale nie to jest najgorsze. Bez pompy nie mamy wody.

– Jak długo?

– Bez wody? Tydzień.

– Musimy napełnić każdy garnek, jaki znajdziemy. Napełniajmy je tak długo, aż z kranów będzie leciało już tylko powietrze. Gdzie są toalety? W zbiornikach jest dobra woda.

– W pomieszczeniu służbowym na tyłach. Ale żeby dostać się do ubikacji, trzeba wyjść z baru.

– Do tamtego budyneczku naprzeciwko?

Na to nie byłem przygotowany. Jeszcze nie.

– Ależ skąd. Musi pan tylko wyjść bocznymi drzwiami i będzie pan prawie na miejscu.

– Dawaj pan dwa wiadra.

Wręczył mi dwa pocynkowane kubełki.

Zbliżył się chłopak.

– Co chce pan zrobić?

– Musimy mieć wodę. Trzeba się po nią wybrać.

– Proszę dać mi jedno wiadro.

Podałem mu.

– Jerry! – krzyknęła dziewczyna. – Ty…

Zmierzył ją wzrokiem i dziewczyna zamilkła. Wzięła papierową serwetkę, po czym zaczęła obrywać jej rogi. Kierowca palił kolejnego papierosa, gapiąc się w podłogę. Nie odezwał się słowem.

Podeszliśmy do bocznych drzwi, którymi po raz pierwszy wszedłem do zajazdu ostatniego popołudnia. Chwilę obserwowaliśmy cienie – kurczyły się i wydłużały w miarę, jak ciężarówki przemieszczały się z miejsca na miejsce.

– Teraz? – zapytał chłopak.

Dotknął mojej ręki. Mięśnie napięte miał niczym struny fortepianowe. Gdyby ktoś go uderzył, wystrzeliłby jak z procy i poleciał prosto do nieba.

– Odpręż się – poradziłem.

Uśmiechnął się lekko. Był to wątły uśmiech, ale zawsze uśmiech.

– W porządku.

Wymknęliśmy się na zewnątrz.

Nocne powietrze wyraźnie pochłodniało. W trawie grały świerszcze, a z kanału melioracyjnego dobiegał rechot żab. W tym miejscu rumor czyniony przez ciężarówki był dużo głośniejszy, groźniejszy; dźwięki wydawane przez bestie. W środku człowiek czuł się trochę

jak w kinie. Tutaj wszystko działo się naprawdę i łatwo było naprawdę umrzeć.

Posuwaliśmy się wzdłuż wyłożonej płytkami ściany. Niewielki okap dawał trochę cienia. Naprzeciwko stał mój camaro wbity w betonowy wiatrochron. Pobliski podświetlany znak drogowy rzucał nikły poblask, który odbijał się w pogniecionym metalu karoserii oraz w kałużach benzyny i oleju.

– Zajmij się damską – szepnąłem. – Napełnij kubełek wodą z rezerwuaru i czekaj.

Nieustanny łoskot silników Diesla był bardzo zwodniczy. Człowiek myślał już, że zbliża się któraś z tych bestii, a to tylko grało echo odbijające się od licznych rogów i załomów budynku. Niemniej krążyły w odległości zaledwie siedmiu metrów, choć wydawało się, że są dużo dalej.

Chłopak otworzył drzwi damskiej ubikacji i wślizgnął się do środka. Poszedłem dalej i wszedłem do męskiej. Poczułem, jak rozluźniają mi się napięte mięśnie. Ze świstem wypuściłem powietrze z płuc. Kątem oka dostrzegłem własne odbicie w lustrze; bladą, napiętą twarz i czarne oczy.

Zdjąłem porcelanową pokrywę rezerwuaru, napełniłem wiadro, odlałem trochę wody, żeby

nie rozlewać jej w drodze powrotnej, i ruszyłem do drzwi.

– Jesteś tam?

– Pewnie – szepnął.

– Gotowy?

– Pewnie.

Znów byliśmy przy parkingu. Przeszliśmy może sześć kroków, kiedy oślepiły nas światła. Podkradła się niepostrzeżenie; ogromne koła powoli toczyły się po żwirze. Cały czas czaiła się w jakimś miejscu i teraz wypadła z ukrycia, jej czołowe reflektory pałały szaleństwem, potężna, chromowana kratownica maski wydawała się szczerzyć na nas kły.

Dzieciak zamarł, na twarzy malowało mu się przerażenie, oczy miał martwe, źrenice jak szpileczki. Popchnąłem go tak mocno, że wylał z wiadra połowę wody.

– Biegnij!

Grzmiący ryk diesla przeszedł w skrzek. Sięgnąłem nad ramieniem chłopaka, żeby pchnąć drzwi, ale zanim zdążyłem to uczynić, ktoś otworzył je od wewnątrz. Dzieciak w jednej chwili znalazł się w środku; ja za nim. Obejrzałem się. Olbrzymi peterbilt o podnoszonej kabinie pocałował wyłożoną kafelkami ścianę, odrywając wielki płat glazury. Rozległ się

przeszywający zgrzyt, jakby jakiś gigant przejechał palcem po szkolnej tablicy. Prawy błotnik i skraj przedniej maski uderzyły w otwarte ciągle drzwi, posypały się chmury okruchów rozbitej szyby. Pojazd cofnął się, rozerwał stalowe zawiasy w futrynie niczym bibułkę. Drzwi pofrunęły w noc – jak na obrazie Salvadora Dali – i ciężarówka, nabrawszy rozpędu, odjechała w stronę głównego parkingu, strzelając z rury wydechowej jak z karabinu maszynowego. Wydawała pełne wściekłości i niezadowolenia pomruki.

Chłopak postawił z impetem wiadro na podłodze i trzęsąc się jak galareta, zatonął w objęciach dziewczyny.

Serce obijało mi się boleśnie o żebra, a łydki drżały, jakbym miał w nogach wodę. A skoro już mowa o wodzie, przynieśliśmy jej niecałe półtora wiadra. Wyprawa zupełnie się nie opłaciła.

– Musimy jakoś zatarasować te drzwi – odezwałem się do barmana. – Czym możemy to zrobić?

– Cóż…

– A po co? – wtrącił kierowca. – Przecież w drzwiach nie zmieści się nawet koło takiej ciężarówy.

– Nie chodzi mi o wielkie ciężarówki.

Szofer zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

– W magazynku mamy trochę blachy falistej – oświadczył barman. – Szef zamierzał postawić baraczek na pojemniki z butanem.

– Świetnie, blachą zasłonimy drzwi i podeprzemy kilkoma lożami z restauracji.

– Na pewno pomoże! – burknął kierowca.

Zajęło nam to około godziny i pod koniec wszyscy już braliśmy udział w pracy, nawet dziewczyna. Oczywiście, stworzona przez nas zapora nie wytrzymałaby szarży wielkiej maszyny, ale sądzę, że z tego zdawał sobie sprawę każdy z nas.

Przy wielkim panoramicznym oknie w jadalni pozostały jeszcze trzy loże; zająłem miejsce w jednej z nich. Zegar za barem zatrzymał się wprawdzie na dwudziestej trzydzieści dwie, ale wiedziałem, że wybiła już co najmniej dziesiąta. Na parkingu ciągle z hałasem przewalały się ciężarówki. Niektóre z nich odjeżdżały w nieznanym kierunku, a na ich miejsce pojawiały się inne. Zobaczyłem trzy nowe furgonetki, które krążyły niezmordowanie między swymi większymi siostrami.

Zaczął morzyć mnie sen, ale zamiast liczyć barany, liczyłem ciężarówki. Ile ich jest

w naszym stanie? Ile ich jest w całej Ameryce? Z przyczepami, zwykłe ciężarówki, ciągniki z naczepami, wywrotki, dziesiątki tysięcy pojazdów wojskowych różnego typu, autobusy… Koszmarna wizja autobusów miejskich – dwa koła na krawężniku, a dwa na chodniku – które orzą tłumy rozwrzeszczanych przechodniów, roztrącają je jak kręgle.

Potem wszelkie obrazy odeszły i zapadłem w płytki, niespokojny sen.

. . .

Nad ranem Snodgrass zaczął wyć. Na niebie stał cieniutki sierp księżyca, lśniąc lodowatym blaskiem poprzez cienkie warstwy wysokich chmur. W gardłowy, niski warkot silników wdarł się nowy dźwięk. Wyjrzałem przez okno. Do ciężarówek dołączyła z klekotem potężna prasa do siana. W martwym blasku księżyca lśniły sino ostrza na obracających się szprychach podawacza.

I wtedy z kanału irygacyjnego ponownie dobiegł wyraźny krzyk:

– Na pomooooooccc…

– Co to było? – zapytała dziewczyna.

W mroku jej oczy były ogromne i wypełnione strachem.

– Nic – odparłem obojętnie.

– Na pomooooooccc…

– On żyje – szepnęła. – Boże, on żyje!

Wcale nie musiałem go oglądać. Mogłem sobie wszystko wyobrazić aż nadto wyraziście. Snodgrass leżał do połowy zanurzony w wodzie, nogi i kręgosłup miał połamane, starannie wyprasowany garnitur uświniony błotem, bladą twarz. Z trudem łapiąc oddech, wpatrywał się w obojętnie świecący księżyc.

– Nic nie słyszę – odparłem. – A ty?

Popatrzyła na mnie.

– Jak to? Nie słyszy pan?

– Jeśli jego obudzisz – wskazałem kciukiem chłopaka – on rzeczywiście może coś usłyszeć. A wtedy z pewnością tam pobiegnie. Chcesz tego?

Jej twarz skurczyła się, jakby ściągały ją jakieś niewidzialne szwy.

– Nie, nic nie słyszałam – szepnęła po chwili. – Nic a nic.

Podeszła do swego chłopaka i przytuliła policzek do jego piersi. On przez sen objął ją ramieniem.

Nikt więcej się nie obudził. Snodgrass długo jeszcze wołał, szlochał, krzyczał, aż w końcu

umilkł.

. . .

Świt.

Przybyła kolejna ciężarówka; tym razem z potężną lawetą do przewozu samochodów. Towarzyszył jej buldożer. To dopiero mnie przeraziło.

Pojawił się kierowca i mocno ścisnął mi ramię.

– Chodź pan ze mną na tyły budynku – szepnął podekscytowany. Wszyscy inni pogrążeni byli we śnie. – Chodź pan, chcę coś pokazać.

Powlokłem się za nim do magazynku. Na zewnątrz buszowało chyba z dziesięć pojazdów. W pierwszej chwili nie zauważyłem nic ciekawego.

– Widzisz pan? – zapytał szofer, wskazując coś palcem. – Tam!

I wtedy zobaczyłem. Jedna z furgonetek stała nieruchomo; po prostu stos niegroźnego złomu.

– Skończyła się jej benzyna?

– O to chodzi, chłopie! A same się przecież nie zatankują. Tu je mamy! Musimy tylko cierpliwie poczekać.

Z uśmiechem sięgnął po papierosa.

Około dziewiątej, kiedy zasiadłem właśnie do śniadania złożonego z ciasta, które zostało z poprzedniego dnia, ciszę rozdarł przeraźliwy ryk klaksonu – długi, toczący się nad ziemią, świdrujący czaszkę dźwięk. Podbiegliśmy do okien. Pojazdy stały bezczynnie. Ciężarówka z przyczepą – olbrzymi reo z czerwoną kabiną – podjechała aż do wąskiego trawnika oddzielającego parking od restauracji. Z tej odległości kratownica maski była ogromna, złowieszcza, a koła sięgały klatki piersiowej postawnego mężczyzny.

Ponownie rozległ się grzmot klaksonu: ostry, drapieżny, odbijający się echem od ściany zajazdu. Nie były to chaotyczne dźwięki. Długie i krótkie sygnały układały się w wyraźny wzór.

– To alfabet Morse’a – oświadczył chłopak, który na imię miał Jerry.

Kierowca popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– A ty to skąd wiesz?

– Nauczyłem się w skautach – odparł, lekko czerwieniając.

– Ty? – zdziwił się kierowca. – Ty? No proszę.

Potrząsnął głową.

– Nieważne – wtrąciłem. – Czy pamiętasz…

– Pewnie. Muszę tylko uważnie posłuchać. Dajcie mi coś do pisania.

Barman wręczył mu długopis i chłopak zaczął notować na serwetce. Po dłuższej chwili popatrzył na nas.

– Powtarza w kółko: „Uwaga”. Poczekajcie…

Czekaliśmy. W porannym powietrzu niosły się krótkie i długie sygnały. Wzór zmienił się, więc chłopak znów zaczął pisać. Staliśmy nad nim i zaglądaliśmy mu przez ramię: „Ktoś musi dać nam paliwo. Nie skrzywdzimy tego kogoś. Musimy dostać całe paliwo. To ma być zrobione natychmiast. Niech ktoś da nam paliwo”.

Klakson huczał i huczał, ale chłopak odłożył długopis.

– Znów powtarza: „Uwaga” – poinformował.

Ciężarówka w kółko ponawiała żądanie. Nie podobały mi się słowa, które chłopak napisał drukowanymi literami na serwetce. Były takie mechaniczne, bezlitosne. Żadnego kompromisu; albo zrobicie to, albo nie.

– No tak – mruknął Jerry. – Co dalej?

– Nic – odrzekł kierowca. Na jego nerwowej, ruchliwej twarzy malowało się wielkie podniecenie. – Trzeba czekać. Zostało im niewiele paliwa. Jeden z tych małych samochodów jest już unieruchomiony. Musimy…

Klaskon ucichł. Ciężarówka zawróciła i dołączyła do swoich kolesiów. Pojazdy ustawione w półkolu ze skierowanymi w naszą stronę reflektorami czekały.

– Jest z nimi buldożer – zauważyłem.

Jerry popatrzył na mnie.

– Myśli pan, że zamierzają zrównać to miejsce z ziemią?

– Tak.

Popatrzył na barmana.

– Przecież nie mogą tego zrobić, prawda?

Murzyn wzruszył ramionami.

– Zagłosujmy – odezwał się nieoczekiwanie kierowca. – Nikt nikogo nie będzie szantażował. Ja uważam, że należy czekać.

Powtórzył to trzykrotnie, jak zaklęcie.

– W porządku – zgodziłem się. – Głosujmy.

– Jestem za tym, żeby czekać – szybko odezwał się kierowca.

– Moim zdaniem powinniśmy dać im to paliwo – oświadczyłem. – Nadarzy się lepsza okazja, żeby się stąd wynieść. A jak pan uważa? – zwróciłem się do barmana.

– Czekajmy – powiedział. – Chce pan zostać ich niewolnikiem? Bo do tego dojdzie. Chce pan do końca życia na dźwięk klaksonu wymieniać tym… tym… stworom filtry oleju? Ja w to nie

wchodzę. – Popatrzył ponuro w okno. – Niech zdychają z głodu!

Skierowałem wzrok na chłopaka i dziewczynę.

– Oni chyba mają rację – stwierdził Jerry. – To jedyny sposób, żeby je powstrzymać. Gdyby ktoś miał nas uratować, dawno już by tu był. Bóg jeden wie, co się dzieje w innych miejscach.

Dziewczyna, która ciągle miała w pamięci obraz biegnącego przez parking Snodgrassa, przytaknęła i podeszła do chłopaka.

– Niech tak będzie – zgodziłem się.

Podszedłem do automatu z papierosami i na chybił trafił, nie patrząc na markę, wyjąłem jedną paczkę. Przed rokiem wprawdzie przestałem palić, ale teraz była świetna okazja, żeby znów zacząć. Dym boleśnie wypełnił mi płuca.

Minęło dwadzieścia minut. Ciężarówki znajdujące się przed frontem zajazdu czekały. Inne, te z tyłu budynku, ustawiały się w kolejce do dystrybutorów.

– Myślę, że próbują blefować – odezwał się beztrosko kierowca. – Po prostu…

Rozległ się dużo głośniejszy, zgrzytliwy i terkoczący dźwięk wchodzącego na wysokie

obroty silnika. Po chwili zszedł na niższy bieg i ponownie wszedł na wyższy.

Buldożer.

Lśnił w słońcu niczym żółty liść; caterpillar z chrzęszczącymi po żwirze stalowymi gąsienicami. Kiedy maszyna odwracała się przodem w naszą stronę, z jej krótkiej, zamontowanej pionowo rury wydechowej buchnął czarny dym.

– Zaraz będzie szarżował – powiedział kierowca. Był kompletnie zaskoczony. – Zaraz będzie szarżował!

– Do tyłu! – zawołałem. – Za bar!

Silnik spycharki bez przerwy wchodził na wysokie obroty i zwalniał. Biegi same się zmieniały. U wylotu rury wydechowej drżało rozgrzane powietrze. Nagle lemiesz buldożera uniósł się; stalową zagiętą płytę pokrywało zaschnięte błoto. Z rykiem motoru spychacz ruszył prosto na nas.

– Za bar! – Popchnąłem kierowcę mocno w plecy.

Inni również rzucili się w stronę kontuaru.

Parking od trawnika oddzielał niewysoki betonowy krawężnik. Buldożer przejechał po nim, jakby wcale nie istniał, uniósł lemiesz jeszcze trochę i wyrżnął w frontową ścianę

budynku. Z ciężkim, ochrypłym kaszlnięciem implodowały szyby, zasypując restaurację i bar deszczem szkła, drewniane ramy okienne poszły w drzazgi. Spadł też żyrandol, rozsiewając grad szkła. Z półek zsunęły się talerze. Dziewczyna krzyczała, ale jej głos tonął w nieustannym, dudniącym huku silnika caterpillara.

Maszyna cofnęła się, zachrzęściła gąsienicami po zrytym skrawku trawnika i znów runęła do przodu; tym razem do końca zniszczyła loże, których fragmenty poszybowały w powietrzu na wszystkie strony. Z baru zsunął się pojemnik z ciastem – trójkątne porcje rozsypały się po podłodze.

Barman tkwił przykucnięty za kontuarem, oczy miał zamknięte. Chłopak tulił dziewczynę. Przerażony kierowca rozglądał się na wszystkie strony.

– Musimy go jakoś powstrzymać – mamrotał. – Powiedzcie im, że zrobimy wszystko, co zechcą, zrobimy wszystko…

– Obawiam się, że na to jest chyba trochę za późno.

Caterpillar cofnął się, czyniąc przygotowania do kolejnego najazdu. Na jego lemieszu, niczym hieroglify, lśniły w słońcu świeże rysy. Maszyna wyrwała do przodu z ogłuszającym hukiem. Tym

razem uderzyła w główną podporę dachu, trochę na lewo od miejsca, gdzie przedtem było okno. Część dachu runęła z ostrym trzaskiem. W niebo wzbił się tuman gipsowego pyłu.

Spycharka ostrym szarpnięciem wycofała się na trawnik. Z tyłu cierpliwie czekała grupa ciężarówek.

Chwyciłem za ramię barmana.

– Gdzie są beczki z olejem?

Wprawdzie kuchenka opalana była butanem, ale widziałem odpowietrzniki pieca olejowego, który służył do ogrzewania lokalu.

– W magazynku na tyłach – wyjaśnił.

Położyłem z kolei rękę na ramieniu chłopaka.

– Chodź ze mną – poleciłem.

Zerwaliśmy się na nogi i pobiegliśmy do magazynu. Buldożer ponownie uderzył, a budynek zadrżał w posadach. Jeszcze dwie albo trzy takie szarże, po czym maszyna spokojnie podjedzie przed sam kontuar, żeby napić się kawy.

Znaleźliśmy dwie wielkie dwustulitrowe beczki oleju, którym opalany był piec. Każda miała kranik. W pobliżu drzwi dostrzegłem karton z pustymi butelkami po keczupie.

– Jerry, podaj mi te flaszki – rozkazałem.

Kiedy je przyniósł, ściągnąłem koszulę i podarłem ją na pasy. Buldożer uderzał i uderzał; po każdym ataku zostawiał za sobą większe zniszczenia.

Odkręciłem kranik, napełniłem olejem cztery butelki i w każdą wsunąłem pasek materiału.

– Grasz w futbol amerykański? – zapytałem.

– Grałem w liceum.

– W porządku. Wyobraź sobie, że wchodzisz z pięciu metrów.

Wróciliśmy do restauracji. Frontowa ściana przestała praktycznie istnieć. Przez olbrzymi wyłom widać było niebo. Potłuczone szkło lśniło niczym brylanty. W miejscu ściany sterczała ukosem jedna z głównych belek podporowych. Buldożer nabierał rozpędu, żeby i ją zwalić. Wtedy bez kłopotu przedrze się już do wysokich stołków i samego baru.

Klęknęliśmy pod osłoną kontuaru. Wyciągnąłem butelki.

– Podpal! – poleciłem kierowcy.

Wyciągnął zapałki, ale ręce tak mu się trzęsły, że wypuścił pudełko z dłoni. Barman natychmiast je podniósł, a następnie podpalił materiał. Nasączony olejem strzęp koszuli zajął się płomieniem wydzielającym czarny, kopcący dym.

– Śpieszmy się – powiedziałem.

Pobiegliśmy, chłopak trochę z przodu. Pod nogami chrzęściło szkło. W powietrzu wisiał ciężki, gorący odór oleju. Panował nieopisany hałas, było bardzo jasno.

Spychacz rozpoczął kolejny atak.

Jerry przemknął pod skośną belką. Widziałem jego sylwetkę stojącą przed ciężkim, wykonanym z hartowanej stali lemieszem. Ruszyłem w prawo. Pierwszy rzut chłopaka był za krótki. Druga butelka trafiła w lemiesz, ale kałuża ognia rozlała się nieszkodliwie po żelazie.

Chłopak chciał się cofnąć, lecz czterotonowy, stalowy moloch był już przy nim. Dzieciak uniósł ręce i został wciągnięty pod gąsienice; przeżuty.

Podbiegłem do maszyny i szerokim łukiem wrzuciłem jedną butelkę do szoferki, a drugą do otwartego silnika. Obie wybuchnęły huczącym płomieniem.

Przez chwilę silnik buldożera prawie po ludzku ryczał z wściekłości i bólu. Caterpillar jak szalony zatoczył półłuk, demolując lewy kąt jadalni i niepewnie potoczył się w kierunku rowu melioracyjnego.

Stalowe gąsienice zbrukane były krwią i strzępami mięsa, a tam, gdzie przed chwilą

jeszcze stał chłopak, walało się coś, co wyglądało jak zmięty ręcznik.

Spycharka dojechała prawie do kanału. W kabinie i pod maską kipiał ogień. Maszyna eksplodowała wysokim gejzerem płomieni i dymu.

Zatoczyłem się, prawie upadłem na stertę gruzu. Poczułem zapach, który nie był odorem płonącego oleju. To paliły się włosy. Moje włosy.

Chwyciłem jakiś obrus, owinąłem nim głowę, wbiegłem za bar i włożyłem głowę do zlewozmywaka tak gwałtownie, że boleśnie wyrżnąłem ciemieniem w dno zlewu. Dziewczyna wykrzykiwała w kółko imię Jerry'ego niczym jakąś upiorną litanię.

Odwróciłem się i ujrzałem toczącą się powoli w kierunku wyburzonej kompletnie ściany ciężarówkę z doczepioną lawetą do transportu samochodów.

Kierowca krzyknął coś i rzucił się w stronę bocznych drzwi.

– Nie! – wrzasnął za nim barman. – Proszę tego nie robić!

Ale kierowca już wybiegł z zajazdu i gnał w stronę kanału, za którym ciągnęły się otwarte pola.

Samochód musiał czatować w jakimś niewidocznym dla nas miejscu. Na bokach miał niewielkie napisy: „Obwoźna pralnia chemiczna Wonga”. Natychmiast przejechał biegnącego i oddalił się; pozostały tylko skurczone na żwirze zwłoki kierowcy. Siła uderzenia zdarła mu buty.

Ciężarówka z lawetą minęła betonowy prożek, przejechała po trawniku nad szczątkami chłopaka i podtoczyła się do samego wyłomu w murze, wsuwając do jadalni swój masywny, kaprawy ryj.

Nagle z jej trzewi wydobył się ogłuszający ryk klaksonu; później następny. I następny.

– Niech przestanie! – zaskowyczała dziewczyna. – Boże, proszę, niech przestanie…!

Ale klakson grzmiał i grzmiał. Po niecałej minucie rozpoznałem wzór. Ten sam co poprzednio. Ciężarówka żądała, żeby ktoś dał jej paliwo; jej i pozostałym pojazdom.

– Pójdę – oświadczyłem. – Czy dystrybutory są odblokowane?

Barman potakująco skinął głową. Postarzał się o pięćdziesiąt lat.

– Nie! – zawyła dziewczyna, rzucając się w moją stronę. – Musicie je powstrzymać! Pokonać! Spalić! Zniszczyć…!

Jej głos załamał się w ochrypłym skowycie.

Barman odciągnął ją. Obszedłem kontuar i ruszyłem po gruzie do magazynku, a stamtąd na parking. Kiedy stanąłem pod palącymi promieniami słońca, serce waliło mi jak młotem. Okropnie chciało mi się palić, ale przy dystrybutorach z paliwem palenie jest wzbronione.

Ciężarówki cierpliwie czekały w kolejce. Samochód z pralni posuwał się za mną niczym myśliwski ogar – warczał i dyszał mi w plecy. Jeden nieprzemyślany ruch i zrobi ze mnie naleśnik. Słońce lśniło w przedniej szybie pustej szoferki, a mnie po krzyżu przeszedł zimny dreszcz. Zupełnie jakbym patrzył w twarz kretynowi.

Zatrzymałem się przy dystrybutorze i zdjąłem wąż z dozownikiem. Odkręciłem pokrywkę wlewu paliwa w pierwszej ciężarówce i zacząłem napełniać bak. Po półgodzinie wyczerpałem pierwszy zbiornik i podłączyłem się do kolejnego. Raz nalewałem benzynę, a raz olej napędowy. Ciężarówki podjeżdżały i podjeżdżały. Dopiero teraz zaczynałem rozumieć. Jak kraj długi i szeroki w tej chwili ludzie albo robili to samo co ja, albo leżeli martwi jak ten kierowca, uderzeni tak, że im

buty pospadały, i rozbebeszeni przez olbrzymie koła.

Po wyczerpaniu się drugiego zbiornika zacząłem nalewać z trzeciego. Od bijącego żaru słonecznego i od smrodu spalin rozbolała mnie głowa. W miejscu, gdzie rura z dozownikiem ocierała mi dłoń – między kciukiem a palcem wskazującym – wyskoczyły bąble. Ale skąd miały o tym wiedzieć samochody? Wiedziały o nieszczelnych kolektorach, złych uszczelkach i o pękniętych złączach, ale nie o pęcherzach, porażeniu słonecznym albo potrzebie krzyku. O swoich byłych władcach wystarczało im wiedzieć tylko jedno; i wiedziały. Oni krwawią.

Wyczerpałem ostatni zbiornik, więc cisnąłem bezużyteczny dozownik na ziemię. A w kolejce stały dalsze ciężarówki. Pokręciłem głową, żeby pozbyć się nieznośnego skurczu w karku, po czym popatrzyłem na rząd pojazdów. Sznur samochodów wykręcał z parkingu i ciągnął się drogą w trzech rzędach aż po granice wzroku. Przypominało to koszmar autostrady w Los Angeles w godzinach szczytu. Horyzont lśnił i drżał od gorąca bijącego z setek rur wydechowych; powietrze przesączał smród pirolizy.

– Koniec – oświadczyłem. – Nie ma więcej. Benzyna wyszła, chłopcy.

Dobiegł mnie bardziej basowy i dudniący warkot, od którego cierpły zęby. Pojawiła się olbrzymia, srebrzysta cysterna. Na bokach miała napisy: „Napełnij Phillipsem 66 – Paliwo lotnicze”.

Z tyłu wystawał jej gruby wąż.

Podszedłem, wziąłem końcówkę przewodu, uniosłem pokrywę pierwszego podziemnego zbiornika i wsunąłem doń przewód. Ciężarówka zaczęła pompować. Dotarł do mnie ten sam smród, który zabijał dinozaury, kiedy wpadały do rozpadliny z olejem skalnym. Napełniłem wszystkie trzy zbiorniki, a potem wróciłem do pracy.

Straciłem poczucie czasu i rzeczywistości, nie widziałem ciężarówek. Odkręcałem wlew paliwa, wkładałem w niego dozownik, lałem tak długo, aż ciepły, ciężki płyn zaczynał się przelewać, zakręcałem wylot i zaczynałem operację od początku. Na dłoniach pękały bąble, pieniąca się ropa spływała po nadgarstkach. Głowa pulsowała niczym zgniły ząb, a od fetoru węglowodorów wywracał się żołądek.

Traciłem przytomność. Chciałem zemdleć i mieć święty spokój. Zrozumiałem, że będę

pompował tak długo, aż upadnę.

Poczułem na ramionach czyjś dotyk; czarne dłonie barmana.

– Wracaj do środka – powiedział. – Odpocznij. Popracuję do zmierzchu. Prześpij się.

Wręczyłem mu przewód z dozownikiem.

. . .

Ale nie mogłem zasnąć.

Obok spała dziewczyna. Skuliła się w kącie, pod głowę podłożyła obrus, ale nawet we śnie miała napiętą twarz. Było to wieczne, zawsze młode oblicze walkirii. Zamierzałem ją niedługo obudzić. Zapadał już zmierzch, zatem barman trwał na posterunku od pięciu godzin.

Samochodów przybywało. Wyjrzałem przez strzaskane okno i ujrzałem ciągnące się na półtora kilometra albo więcej reflektory, żarzące się w zapadającym mroku niczym żółte szafiry. Sznur pojazdów kończył się zapewne gdzieś przy płatnej autostradzie; a może dużo dalej.

Dziewczyna też musi włączyć się do pracy. Pokaż jej jak. Początkowo będzie protestować, ale się zgodzi. Ostatecznie każdy chce żyć.

„Chce pan zostać ich niewolnikiem? – mówił niedawno barman. – Bo do tego dojdzie. Chce pan

do końca życia na dźwięk klaksonu wymieniać tym stworom filtry oleju?”

Zapewne możemy uciec. Przemknąć się za kanał irygacyjny, pobiec przez pola na bagniste tereny, gdzie samochody ugrzęzną jak mastodonty. Tam ukryjemy się i…

…i wrócimy do jaskiń.

Zaczniemy rysować węglem na ich ścianach. To jest bóg-księżyc. To jest drzewo. A to mac z naczepą – bezlitosny łowca.

Ale to nie tak. Ileż miejsc na świecie wylanych jest już betonem i asfaltem? Nawet boiska mają twardą nawierzchnię. A na polach, bagnach i w ostępach leśnych drzemią czołgi, pojazdy gąsienicowe, ciężarówki z zainstalowanymi laserami, maserami i pracującymi na podczerwień radarami. Powoli, krok po kroku, przetworzą świat na taki, jaki zechcą, żeby był.

Oczyma wyobraźni ujrzałem całe konwoje ciężarówek zasypujących piaskiem bagna Okefenokee, buldożery przetaczające się przez parki narodowe, rezerwaty i głusze, niwelujące teren, zamieniające wszystko w jedną ogromną równinę. A potem przyjadą betoniarki.

Ale to tylko maszyny. I nieważne, w jakim stopniu osiągną kolektywną świadomość, nie potrafią się przecież reprodukować. Za

pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat staną się tylko zardzewiałymi wrakami, nieruchomym ścierwem, na które człowiek będzie mógł pluć i ciskać w nie kamieniami.

Ale kiedy zamknąłem oczy, ujrzałem linie produkcyjne w Detroit i w Dearnborn, w Youngstown i w Mackinac, gdzie zastępy roboli, piątek czy świątek, nie patrząc na zegary, składać będą nowe maszyny. Kto padnie, zastąpiony zostanie następnym.

Barman chwieje się na nogach. Ostatecznie, skubaniec, nie jest już młody. Muszę obudzić dziewczynę.

Na ciemniejącym niebie po wschodniej stronie pojawiły się dwa samoloty zostawiające za sobą srebrzyste smugi kondensacyjne.

Chcę wierzyć, że w tych maszynach są jednak ludzie.

CZASAMI WRACAJĄ

Żona Jima Normana czekała na niego od czternastej, więc kiedy ujrzała przed frontem ich kamienicy zatrzymujący się samochód, wyszła przed dom na spotkanie. Wcześniej była w sklepie i zrobiła zakupy na uroczysty obiad – dwa steki, butelkę lancera, główkę sałaty oraz przyprawę Thousand Island. Tak więc teraz, obserwując wysiadającego z auta męża, żywiła rozpaczliwą nadzieję (nie po raz pierwszy tego dnia), że jednak będą mieli co uczcić tym uroczystym obiadem.

Ruszył w jej stronę, ściskając w jednej ręce nową teczkę, a w drugiej cztery podręczniki; dostrzegła nawet tytuł tego, który był na wierzchu – *Wstęp do gramatyki*. Położyła mężowi dłonie na ramionach.

– I jak poszło? – zapytała.

Uśmiechnął się.

. . .

Ale w nocy, po raz pierwszy od bardzo dawna, znów nawiedził go tamten stary sen. Obudził się zlany zimnym potem i z trudem stłumił krzyk.

. . .

Wywiad prowadził dyrektor liceum Harolda Davisa oraz kierownik pracowni angielskiego. Stanęła naturalnie kwestia załamania nerwowego. Ale tego się akurat spodziewał.

Dyrektor, łysy mężczyzna o trupiej cerze, który nazywał się Fenton, rozparł się na krześle i popatrzył w sufit. Simmons, kierownik zespołu anglistów, zapalił fajkę.

– Przechodziłem wówczas zaburzenia emocjonalne – odezwał się Jim Norman.

Odruchowo zaczął wyłamywać sobie palce, ale natychmiast zapanował nad sobą. Wiedział, że tego nie wolno robić.

– Rozumiemy to – odparł z uśmiechem Fenton. – I na razie nie zamierzamy w to wnikać, ale wszyscy się chyba zgadzamy, że nauczanie jest zawodem stresującym, zwłaszcza w szkole średniej. Pięć dni w tygodniu człowiek jest na widoku publicznym i występuje przed

najbardziej wymagającą widownią na świecie. Dlatego też – kończył z wyraźną dumą – dlatego nauczyciele cierpią na wrzody żołądka częściej niż przedstawiciele innych zawodów, z wyjątkiem oczywiście kontrolerów ruchu powietrznego na lotniskach.

– Stresy związane z moim załamaniem nerwowym były… skrajne – powiedział Jim.

Dyrektor i kierownik zgodnie pokiwali głowami z dyplomatyczną zachętą, a Simmons pstryknął zapalniczką, żeby na nowo rozjarzyć tytoń w fajce. Nagle gabinet stał się mały i duszny. Jim odniósł dziwaczne wrażenie, że ktoś tuż za jego plecami włączył piecyk elektryczny. Znów zaczął wyłamywać sobie palce i znów natychmiast przestał.

– Byłem na ostatnim roku studiów i odbywałem praktykę nauczycielską. Rok wcześniej, latem, umarła mi matka… na raka… W czasie naszej ostatniej rozmowy zaklinała, żebym kontynuował i ukończył studia. Mój brat, starszy brat, umarł, kiedy byliśmy dziećmi. On również chciał być nauczycielem i matka uważała…

Z wyrazu ich oczu wyczytał, że ich zdaniem zaczyna mówić niezbornie.

Boże, jeszcze chwila, a wszystko schrzanisz.

– Zastosowałem się do jej życzenia – ciągnął, pomijając skomplikowane relacje między jego matką, bratem Wayne’em, nieszczęsnym, zamordowanym Wayne’em, a nim samym. – W drugim tygodniu praktyki moja narzeczona miała wypadek samochodowy. Uderzył ją jakiś dzieciak pędzący na złamanie karku podrasowanym wozem… nigdy go nie schwytano.

Simmons chrząknął zachęcająco.

– Kontynuowałem praktykę. Nie miałem wyboru. Narzeczona bardzo cierpiała: miała paskudnie strzaskaną nogę i cztery połamane żebra, ale jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, w jakim żyję stresie.

Teraz uważaj, wkraczasz na kruchy lód.

– Praktykę odbywałem w handlówce na Center Street – ciągnął Jim.

– Pyszności – zauważył Fenton. – Noże sprężynowe, wysokie buty do jazdy na motorze, gazowe spluwy w szafkach, okupy za ochronę, a co trzeci dzieciak sprzedaje prochy dwóm pierwszym. Dobrze wiem, co to handlówka.

– Był tam uczeń, Mack Zimmerman – powiedział Jim. – Wrażliwy chłopak. Grał na gitarze. Miałem go w prowadzonej przez siebie

klasie kompozycji; bardzo uzdolniony. Pewnego ranka zobaczyłem, że dwóch kolesiów trzyma go za ręce, a trzeci rozwala o kaloryfer jego gitarę Yamaha. Zimmerman wrzeszczał. Krzyknąłem, żeby się uspokoili i oddali instrument. Ruszyłem w ich stronę, ale ktoś wyrżnął mnie od tyłu w głowę. – Jim wzruszył ramionami. – To wszystko. Załamałem się. Żadnych histerycznych skowytów, żadnego kulenia się po kątach. Po prostu nie byłem w stanie tam wrócić. Kiedy zbliżałem się do handlówki, coś ściskało mnie za gardło, nie mogłem złapać tchu. Oblewał mnie zimny pot…

– Przeżyłem coś podobnego – odezwał się ze współczuciem Fenton.

– Udałem się do psychoanalityka w przychodni społecznej. Na prywatnego psychiatrę nie było mnie stać. Pomógł mi. Ożeniłem się z Sally. Lekko kulała i do dzisiaj pozostała jej niewielka blizna, ale generalnie ze szpitala wyszła jak nowa. – Popatrzył na nich czujnie. – Podobnie jak ja.

– Praktykę ukończył pan w liceum Corteza – stwierdził Fenton.

– Tam też nie rzucano panu róż pod nogi – wtrącił Simmons.

– Nie szukałem łatwej szkoły – odparł Jim. – Namówiłem kolegę, żeby się ze mną zamienił.

– Wizytator i metodyk zgodnie przyznali panu stopień A – oświadczył Fenton.

– Zgadza się.

– A przeciętną z czterech lat miał pan trzy koma osiemdziesiąt osiem. To również prawie A.

– Lubię pracę w szkole.

Fenton wymienił z Simmonsem spojrzenie i obaj wstali. Jim również podniósł się z krzesła.

– Pozostaniemy w kontakcie, panie Norman – odezwał się Fenton. – Czeka nas jeszcze rozmowa z innymi kandydatami…

– Naturalnie.

– …ale jeśli chodzi o mnie, jestem pod wrażeniem pańskich dokonań pedagogicznych i pańskiej bezpośredniości.

– Miło mi to słyszeć.

– Sim, poczęstuj pana Normana kawą.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Sądzę, że jeśli tylko wyrazi pan zgodę, ma pan tę pracę. Mówię to oczywiście nieoficjalnie – powiedział Simmons, kiedy znaleźli się w korytarzu.

Jim skinął głową. On także pominął w rozmowie wiele nieoficjalnych szczegółów.

. . .

Liceum Davisa mieściło się w posępnym budynku o murach wyłożonych surowym kamieniem, ale wewnątrz urządzonym niezwykle nowocześnie – sama przebudowa skrzydła przeznaczonego na pracownie naukowe kosztowała w poprzednim roku półtora miliona. Do sal lekcyjnych, gdzie ciągle jeszcze straszyły duchy robotników, którzy wznosili budynek szkoły, oraz pokutowały wspomnienia dzieciaków z pierwszych powojennych roczników, wstawiono nowoczesne ławki i lśniące tablice. Uczniowie liceum byli schludni, dobrze ubrani i pochodzili z zamożnych rodzin. Sześciu na dziesięciu z najwyższych klas posiadało własne samochody. Ogólnie była to bardzo przyzwoita szkoła. Idealna do nauczania młodzieży w schorowanych latach siedemdziesiątych. W porównaniu z nią handlówka na Center Street kojarzyła się z najczarniejszą Afryką.

Ale kiedy budynek pustoszał, coś starego i złowieszczego snuło się po korytarzach i szeptało w pustych klasach. Jakaś mroczna, chorobliwa bestia, którą można było dostrzec jedynie kątem oka. Czasami, kiedy Jim Norman

z nową teczką w garści przemierzał korytarz w czwartym skrzydle, kierując się w stronę parkingu, odnosił wrażenie, że słyszy jej oddech.

. . .

Pod koniec października ponownie nawiedził go sen, ale tym razem obudził się z krzykiem. Rozpaczliwie wydobywał się z czarnej otchłani na powierzchnię; ujrzał siedzącą na skraju łóżka Sally. Szarpała go za ramię. Serce waliło mu jak młotem.

– Boże – sapnął i przeciągnął dłonią po twarzy.

– Jim, wszystko w porządku?

– Pewnie. Chyba krzyczałem?

– I to jak! Przyśnił ci się jakiś koszmar?

– Tak.

– Chłopcy, którzy rozbijali gitarę?

– Nie. Inny. Dużo starszy. Czasami wraca. Nie przejmuj się.

– Jesteś pewien, że już wszystko w porządku?

– Tak.

– Może przynieść ci szklankę mleka? – Oczy jej pociemniały z niepokoju.

Pocałował ją w ramię.

– Nie trzeba. Śpij.

Zgasiła światło. Jim położył się na plecach i zapatrzył w ciemność.

. . .

Jak na nowego nauczyciela, trafił mu się całkiem niezły rozkład zajęć. Pierwszą godzinę miał wolną. Drugą i trzecią z pierwszymi klasami; jedna była nudna i ospała, druga zabawna. Czwartą lekcję lubił najbardziej – w najstarszej klasie literatura amerykańska, którą zresztą i dzieciaki lubiły najbardziej. Na piątej – „konsultacjach” – uczniowie mogli zwracać się do niego z problemami natury osobistej albo szkolnej. Bardzo niewielu miało takie problemy (albo chciało się nimi dzielić) i przeważnie godzinę tę spędzał nad dobrą książką. Lekcja szósta była lekcją gramatyki – sucha jak sama kreda.

Na siódmej przechodził drogę krzyżową. Zajęcia nosiły nazwę „Życie z literaturą” i odbywały się w niewielkiej salce na drugim piętrze. Wczesną jesienią panował tam nieznośny zaduch, a w zimie okropny ziąb. Godziny te obowiązywały uczniów określanych oględnie w dokumentach szkoły jako „opóźnieni w nauce”.

W klasie Jima takich „opóźnionych w nauce” delikwentów było dwudziestu siedmiu i składali się na nich najwięksi szkolni jajarze. Najłagodniej można było zarzucić im kompletny brak zainteresowania czymkolwiek, ale niektórych cechowały niebywałe wręcz chamstwo i jawnie okazywana wrogość. Pewnego dnia, kiedy wszedł do klasy, ujrzał na tablicy obrzydliwą i wyrysowaną ze szczegółami karykaturę, całkiem już niepotrzebnie podpisaną: „Pan Norman”. Bez słowa starł rysunek i przystąpił do zajęć, ale w środku cały się gotował.

Opracował interesujący program zajęć, zawierający między innymi autoryzowane materiały literackie, i zamówił z prywatnych źródeł kilkanaście ciekawych i zrozumiałych tekstów – wszystkie nie do zdobycia normalną drogą. W klasie panowała albo rozpasana wesołość, albo grobowa cisza. Na początku listopada, podczas dyskusji o *Ludziach i myszach*, wybuchła między dwoma chłopakami bójka. Jim obu odesłał do dyrektora. Kiedy ponownie otworzył stronę, na której przerwał, usłyszał pełne nienawiści: „Ugryź się w dupę”.

Zwierzył się ze swoich kłopotów Simmonsowi, ale ten wzruszył tylko ramionami i zapalił fajkę.

– Nie wiem, co ci poradzić, Jim. Ostatnia lekcja zawsze jest syfiata. A dla niektórych stopień D z zajęć z tobą oznacza definitywne odsunięcie od gry w futbol i w koszykówkę. A przecież uczęszczają jeszcze w swoich klasach na normalne lekcje z literatury angielskiej. Więc nie dziw się, że mają tego serdecznie dosyć.

– Ja też – odparł ponuro Jim.

Simmons skinął głową.

– Przerabiaj tylko główne zagadnienia. Jeśli będą mogli uprawiać sport, dadzą ci spokój.

Mimo to cały czas owe siódme lekcje bardzo Jimowi doskwierały.

Najwięcej problemów podczas życia z literaturą miał z wielkim, rozrośniętym byczkiem, Chipem Oswayem. Na początku grudnia, w krótkiej przerwie między rozgrywkami futbolu a meczami koszykówki (Osway grał i w to, i w to), podczas sprawdzianu Jim znalazł u niego ściągawkę i wyrzucił chłopaka z klasy.

– Jeśli mnie oblejesz, dostaniemy cię, ty sukinsynu! – wrzasnął Osway przez całą długość pogrążonego w półmroku korytarza na drugim piętrze. – Słyszysz?

– Spadaj! – odkrzyknął Jim. – Nie wysilaj się!

– Dopadniemy cię jeszcze, draniu!

Jim wrócił do klasy. Uczniowie popatrzyli na niego ironicznie, ale ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć. Odniósł wrażenie jakiejś nierealności, jak wtedy, przed… przed…

„Dopadniemy cię jeszcze, draniu!”

Sięgnął po dziennik ze stopniami, otworzył go na stronie zatytułowanej „Życie z literaturą” i postawił F w rubryce z nazwiskiem Chipa Oswaya.

. . .

Tej nocy ponownie nawiedził go sen.

Sen, jak zawsze, rozwijał się okrutnie powoli, więc Norman miał czas, żeby wszystko dokładnie widzieć i wszystko dokładnie czuć. Koszmar był po stokroć straszniejszy dlatego, że choć na nowo przeżywany, zmierzał do znanego finału, a Jim był bezradny jak człowiek, który w samochodzie spada z wysokiej skały.

W tym śnie Jim miał dziewięć lat, a jego brat Wayne – dwanaście. Szli Broad Street w miasteczku Stratford w stanie Connecticut do biblioteki publicznej. Jim przetrzymał książki o dwa dni i musiał wyciągnąć ze skarbonki cztery centy, żeby zapłacić karę. Działo się to w czasie letnich wakacji. Powietrze przesączał

zapach koszonej trawy. Z jakiegoś okna na pierwszym piętrze dobiegały odgłosy transmisji z meczu baseballowego; Jankesi prowadzili osiem do sześciu z Red Soxami, a Ted Williams znalazł się na spalonym. Na ulicę kładły się coraz dłuższe cienie budynków Burrets Building Company; nadchodził wieczór.

Za supermarketem Teddy'ego i za budynkami Burretsa przechodziła pod wiaduktem linia kolejowa, po drugiej stronie, przy nieczynnej stacji benzynowej, stało zawsze kilku miejscowych żuli – pięciu albo sześciu chłopaków w skórzanych kurtkach i postrzępionych dżinsach. Jim nie chciał tamtędy iść. Zawsze krzyczeli: „Ej, okularnik, ej, nie wdepnij w gówno, ej, dawaj forsę"; kiedyś nawet gonili ich przez dwie przecznice. Ale tym razem Wayne nie zamierzał nadkładać drogi górą. Poza tym to byłoby tchórzostwo.

We śnie wiadukt majaczy coraz bliżej i bliżej, a Jim czuje, że gardło zaciska mu strach, jakby przez krtań przepychało się jakieś czarne ptaszysko. Wszystko widzi z przerażającą wyrazistością; neon Burretsa zaczyna właśnie migać; widzi płaty rdzy na zielonych podporach wiaduktu, lśniące kawałki rozbitego szkła na

podkładach kolejowych, ramę roweru na dole nasypu.

Próbuje powiedzieć Wayne'owi, że raz już to przeszli, że przeszli to setki razy, że żule wcale nie czają się przy stacji benzynowej, że ukryli się pod przęsłami wiaduktu. Ale Wayne nie słucha. Jim jest bezradny.

I oto są już pod wiaduktem, a spod spowitych mrokiem ścian zaczynają się odrywać jakieś cienie i wysoki blondyn ze złamanym nosem i włosami ostrzyżonymi na pieczarę przypiera Wayne'a do osmolonej ściany wiaduktu i wrzeszczy:

„Dawaj forsę".

„Zostaw mnie".

Jim chce uciekać, ale jakiś grubas z czarnymi, tłustymi włosami chwyta go i ciska na ścianę, tuż obok jego brata. Powieka drga mu nerwowo, kiedy mówi:

„No, szczylu, ile masz?"

„Cz…cztery centy".

„Pierdolisz".

Wayne stara się wyrwać, więc chłopak z dziwaczną, ufarbowaną na pomarańczowo czupryną pomaga blondynowi go przytrzymać. Ten, któremu drży powieka, wali nagle Jima

w usta. Jim czuje ciepło w kroku, a na spodniach pojawia mu się ciemna plama.

„Vinnie, popatrz, zeszczał się!”

Wayne wyrywa się jak oszałały i prawie mu się to udaje; ale niezupełnie. Inny chłopak, w czarnym *chinos* i białym podkoszulku, rzuca nim o ścianę. Na szyi ma znamię koloru truskawki. Kamienna gardziel tunelu zaczyna drżeć, metalowe podpory dźwięczą. Nadjeżdża pociąg.

Ktoś wyrywa Jimowi książki i chłopak ze znamieniem na szyi kopniakiem posyła je do rynny odpływowej. Wayne nieoczekiwanie unosi prawe kolano i uderza w krocze chłopaka z drgającą powieką. Ten krzyczy:

„Vinnie, on ucieka!”

Chłopak z drgającą powieką drze się, ponieważ straszliwie bolą go jaja, ale jego krzyk ginie w ogłuszającym łoskocie nadjeżdżającego pociągu. I już pociąg jest przy nich, huk wypełnia cały świat.

Światło lśni w ostrzu sprężynowego noża. To podcięty na pieczarę blondyn trzyma ten nóż. Chłopak ze znamieniem ma drugi. Jim nie słyszy słów Wayne’a, ale rozumie z ruchu warg:

„Jimmy, uciekaj”.

Podrywa się na kolana, trzymające go dłonie nagle puszczają i jak żaba przeczołguje się między czyimiś nogami. Jakaś ręka próbuje go jeszcze pochwycić za kark, ale palce zaciskają się na pustym powietrzu. Ucieka drogą, którą tutaj przyszedł; wszystko to dzieje się ślamazarnie, powoli, jak zawsze we śnie. Ogląda się przez ramię i widzi…

Obudził się w ciemności, obok spokojnie spała Sally. Stłumił wyrywający mu się z gardła krzyk i sen wrócił.

Kiedy obejrzał się w wyszczerzoną mrokiem paszczę tunelu, ujrzał, że blondyn i ten ze znamieniem uderzają jego brata nożami – cios blondyna trafił pod mostek, a tego ze znamieniem prosto w krocze.

Leżał w ciemności, oddychał chrapliwie i czekał, aż tamten dziewięcioletni duch odejdzie, czekał, aż zapadnie w sen, który wszystko wymaże.

W jakiś czas później Jim rzeczywiście zapadł w sen.

. . .

W tym okręgu szkolnym ferie na Boże Narodzenie łączono z przerwą

międzysemestralną i dzieciaki miały wolny prawie cały miesiąc. Sen nawiedził Jima jeszcze dwukrotnie, ale później przestał go dręczyć. Wybrał się z Sally w odwiedziny do jej siostry w Vermoncie, gdzie prawie cały czas spędzili, szalejąc na nartach. Byli bardzo szczczęśliwi.

W czystym, ostrym powietrzu kłopoty związane z życiem z literaturą wydawały się odległe, bez związku i trochę niemądre. Do szkoły wrócił wypoczęty, uspokojony i z zimową opalenizną na twarzy.

. . .

Kiedy szedł na drugą lekcję, zaczepił go na korytarzu Simmons i wręczył cienką teczkę.

– Na siódmych lekcjach masz nowego ucznia. Nazywa się Robert Lawson. Przeniesiony.

– Ej, mam już ich dwudziestu siedmiu. Klasa i tak jest przepełniona.

– I ciągle masz dwudziestu siedmiu. We czwartek po świętach zginął Bill Stearns. Potrącił go samochód, ale kierowca zbiegł z miejsca wypadku.

– Billy?

Przed oczyma stanął mu czarno-biały obraz ucznia z ostatniej klasy, niczym fotografia

z legitymacji szkolnej. William Stearns należał do jego ulubionych uczniów na życiu z literaturą. Spokojny, na sprawdzianach zawsze zbierał same A i B. Nie wyrywał się wprawdzie sam do odpowiedzi, ale zapytany, zawsze doskonale sobie radził (mówił błyskotliwie i dowcipnie). Nie żyje? Miał przecież tylko piętnaście lat! Poczucie własnej śmiertelności przejęło go lodowatym dreszczem, jakby znalazł się nagle w idącym spod drzwi przeciągu.

– Jezu Chryste, to okropne. Czy wiadomo, jak to się stało?

– Policja dopiero ustala. Pojechał do centrum miasta z prezentem świątecznym. Kiedy przejeżdżał w poprzek Rampart Street, uderzył go stary ford sedan. Nikt nie zapamiętał numerów rejestracyjnych, ale na drzwiach miał wymalowany napis „Oczy Węża”… takim samochodem mogą jeździć tylko młodziaki.

– Jezu Chryste! – powtórzył Jim.

– Już po dzwonku – przypomniał mu Simmons.

Odszedł pośpiesznie, przepychając się przez tłum uczniów rojących się przy fontannie z wodą do picia. Czując w sobie kompletną pustkę, ruszył do klasy.

Następną lekcję miał wolną, więc dokładnie przejrzał teczkę Roberta Lawsona. Na początku dostrzegł zielony formularz z liceum Milford, o którym nigdy nie słyszał. Później dokumentację osobowości ucznia. IQ – 78. Pewne zdolności manualne. Test osobowości Barnett-Hudsona wskazywał na nastawienie aspołeczne. Mało zdolny. Jim pomyślał kwaśno, że on osobiście zawsze żył literaturą.

Teraz powinien natknąć się na żółty formularz z historią kar dyscyplinarnych, ale ten z Milford był biały z czarną obwódką; wypełniony prawie do końca. Lawson popełnił wszystkie możliwe wykroczenia.

Odwrócił kartkę i rzucił przelotnie okiem na szkolną fotografię Roberta Lawsona; po chwili pochylił się i zaczął ją z uwagą studiować. W żołądku poczuł lodowate igły strachu, oblała go fala takiego gorąca, że aż syknął.

Na zdjęciu Lawson spoglądał w obiektyw aparatu fotograficznego tak wrogo, jakby pozował do fotografii w areszcie śledczym. Na szyi miał małe znamię koloru truskawki.

. . .

Przez cały czas dzielący go od siódmej lekcji starał się to sobie wytłumaczyć racjonalnie. Wmawiał w siebie, że tysiące dzieci rodzi się z podobnym znamieniem na szyi. Klarował sobie, że bandzior, który przed szesnastu laty pchnął nożem jego brata, liczyłby sobie dzisiaj co najmniej trzydzieści dwa lata.

Kiedy wchodził na drugie piętro, dręczył go lęk. Ale gdy uświadomił sobie jeszcze coś, ogarnęła go wręcz panika. *To samo czułeś wtedy, gdy przyszło tamto załamanie nerwowe.* Poczuł w ustach metaliczny smak strachu.

Przed salą trzydzieści trzy kłębił się tłum uczniów; część z nich na widok Jima wbiegła do klasy. W środku dostrzegł kilkoro dzieciaków rozmawiających ze sobą półgłosem i wybuchających co chwila śmiechem. Obok Chipa Oswaya stał nowy. Robert Lawson miał na sobie niebieskie dżinsy i ciężkie żółte buty na wibramie – ostatni krzyk mody.

– Chip, wracaj na miejsce.

– Czy to rozkaz? – spytał chłopak, śmiejąc się bezczelnie Jimowi w twarz.

– Jasne.

– Oblałem ostatni sprawdzian?

– Jasne.

– Jasne! To jest czyste… – Reszta słów zginęła w niezrozumiałym mamrocie.

Jim zwrócił się do Roberta Lawsona.

– Jesteś tu nowy. Chcę powiedzieć ci o panujących u nas zwyczajach.

– Jasne, panie Norman.

Prawą brew szpeciła mu niewielka blizna; blizna, którą Jim znał. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Było to wariactwo, czyste szaleństwo, niemniej… Przed szesnastu laty ten właśnie chłopak wbił nóż w jego brata.

Tępym głosem, który w jego własnych uszach brzmiał tak, jakby dochodził z niezmierzonej dali, Jim wyjaśnił obowiązujące w klasie przepisy. Robert Lawson założył kciuk za wojskowy pas, uśmiechał się i kiwał głową na znak, że od lat byli najlepszymi kumplami.

. . .

– Jim?

– Hm?

– Coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Chłopcy z życia z literaturą ciągle ci dokuczają?

Milczał.

– Jim?
– Nie.
– Może pójdziesz wcześniej spać?
Nie poszedł.

. . .

W nocy nawiedził go wyjątkowo paskudny sen. Chłopak z truskawkowym znamieniem, który zabił nożem jego brata, krzyknął za Jimem:
– Ty, dzieciaku, będziesz następny. Prosto w jaja.
Jim obudził się z krzykiem.

. . .

W tym tygodniu przerabiali *Władcę much* i rozprawiali właśnie o symbolice powieści, kiedy Lawson podniósł rękę.
– Robert? – zapytał gładko Jim.
– Czego się na mnie gapisz?
Jim zamrugał oczyma i poczuł, że ma kompletnie sucho w ustach.
– Mam gębę pomalowaną na zielono? A może rozpięty rozporek? – dopytywał się Lawson.
Po klasie rozszedł się nerwowy chichot.

– Nie gapię się na pana, panie Lawson – odparł spokojnie Jim. – Czy możesz nam powiedzieć, dlaczego Ralph i Jack byli odmiennego zdania…

– Gapisz się na mnie.

– Czy chcesz porozmawiać o tym z panem Fentonem?

Lawson namyślał się przez chwilę.

– Nie.

– To bardzo dobrze. Więc powiedz nam teraz, dlaczego Ralph i Jack…

– Nie czytałem tej książki. To kwasior.

Jim uśmiechnął się zimno.

– Naprawdę? Więc zapamiętaj sobie, że jeśli oceniasz książkę, ona również wystawia ocenę tobie. Skoro zatem nie ty, to może ktoś inny powie nam, dlaczego nie zgadzali się w sprawie istnienia bestii.

Kathy Slavin podniosła nieśmiało rękę i Lawson obrzucił ją cynicznym spojrzeniem, po czym powiedział coś do Chipa Oswaya. Z ruchu warg Jim wyczytał dwa słowa: „fajne cycki”. Chip skinął głową.

– Kathy?

– Chodzi o to, że Jack chciał zapolować na bestię?

– Dobrze.

Podszedł do tablicy, żeby coś napisać. W chwili, kiedy stanął do klasy plecami, w tablicę tuż obok jego głowy wyrżnął grejpfrut.

Jim drgnął i odwrócił się na pięcie. Niektórzy uczniowie wybuchnęli śmiechem, ale Osway i Lawson spoglądali niewinnie w jego stronę.

Jim schylił się i podniósł z podłogi owoc.

– Ktoś powinien to wepchnąć sobie w parszywe gardło – oświadczył, patrząc na klasę.

Kathy Slavin głośno przełknęła ślinę.

Jim wrzucił grejpfruta do kosza na śmieci i znów odwrócił się do tablicy.

. . .

Przy porannej kawie otworzył gazetę i ujrzał wielki tytuł, który zajmował połowę strony.

– Boże! – jęknął, przerywając żonie poranny potok słów.

Poczuł, że żołądek wypełniają mu ostre jak igły drzazgi…

„NASTOLATKA SPADA Z DACHU I PONOSI ŚMIERĆ NA MIEJSCU: Wczoraj, wczesnym wieczorem, w śródmieściu, spadła albo została zepchnięta z dachu wieżowca, w którym mieszkała, uczennica liceum Harolda Davisa,

siedemnastoletnia Katherine Slavin. Jej matka oświadczyła, że dziewczyna hodowała na dachu gołębie i poszła je nakarmić. Na policję zgłosiła się kobieta, która zachowując anonimowość, zeznała, że widziała o osiemnastej czterdzieści pięć przebiegających po dachu trzech chłopców. Działo się to na chwilę po tym, jak ciało dziewczyny… (ciąg dalszy na str. 3)”.

– Jim, czy to jedna z twoich uczennic?

Był w stanie tylko w milczeniu skinąć głową.

. . .

Dwa tygodnie później, po dzwonku na lunch, zaczepił go na korytarzu Simmons. W ręku trzymał cienką teczkę, na widok której Jimowi żołądek podszedł do gardła.

– Nowy uczeń – stwierdził bezbarwnym głosem Jim. – Życie z literaturą.

Simmons uniósł brwi.

– Skąd wiesz?

Jim wzruszył ramionami i wyciągnął rękę po teczkę.

– Muszę lecieć – oświadczył Simmons. – Mam spotkanie kierowników wydziałów. Debatujemy nad budżetem. Coś marnie ostatnio wyglądasz. Dobrze się czujesz?

Tak, trochę marnie. Jak Billy Stearns.

– Dlaczego? Dawno nie czułem się lepiej.

– Tu masz jego papiery. – Simmons klepnął go w plecy.

Kiedy odszedł, Jim, krzywiąc się jak człowiek, który z góry wie, że dostanie cios prosto między oczy, przejrzał teczkę i odnalazł fotografię.

Ale ujrzał obcą twarz. Po prostu twarz chłopaka. Może już ją kiedyś widział, a może nie. Dzieciak nazywał się David Garcia, był masywnie zbudowany, ciemnowłosy, miał trochę murzyńskie usta i czarne, senne oczy. Żółty formularz mówił, że też pochodzi z liceum Milford i spędził dwa lata w domu poprawczym w Granville. Złodziej samochodów.

Kiedy Jim zamknął teczkę, lekko drżały mu dłonie.

. . .

– Sally?

Popatrzyła na niego znad żelazka. Gapił się niewidzącym wzrokiem w ekran telewizora. Transmitowano właśnie mecz koszykówki.

– Nic ważnego – mruknął. – Nawet już nie pamiętam, co chciałem powiedzieć.

– Coś kręcisz.

Uśmiechnął się mechanicznie i ponownie wbił wzrok w ekran. Zamierzał zrelacjonować jej, co się dzieje, ale w porę ugryzł się w język. Bo i co niby miał powiedzieć? Przecież to czysty obłęd; a nawet jeszcze gorzej. Od czego miał zacząć? Od snu? Od załamania nerwowego? Od pojawienia się Roberta Lawsona?

Nie. Od Wayne'a… od twojego brata.

Ale o tym przecież nigdy nikomu nawet nie wspomniał; nawet psychoanalitykowi. Wrócił myślami do Davida Garcii i sennej zgrozy, jaka go ogarnęła, kiedy w korytarzu wymienił z nim spojrzenie. Naturalnie, fotografia chłopaka nikogo mu nie przypominała. Ludzie na zdjęciach nie ruszają się… ani nie drga im powieka.

Garcia stał w towarzystwie Lawsona i Chipa Oswaya. Kiedy uniósł głowę i ujrzał Jima Normana, uśmiechnął się. Zaczęła drgać mu powieka, a Jim, z nieziemską wyrazistością, usłyszał w umyśle słowa:

„No, szczylu, ile masz?"

„Cz…cztery centy".

„Pierdolisz… Vinnie, popatrz, zeszczał się".

– Jim, mówiłeś coś?

– Nie.

Ale nie był już tego wcale pewien. Po prostu śmiertelnie się bał.

. . .

Na początku lutego, po lekcjach, ktoś zapukał do pokoju nauczycielskiego. Kiedy Jim otworzył drzwi, ujrzał w progu Chipa Oswaya. Chłopak sprawiał wrażenie bardzo wystraszonego. W pokoju był tylko Jim; zegar wskazywał szesnastą dziesięć i ostatni nauczyciel godzinę wcześniej opuścił budynek szkolny. Norman uzupełniał tematy lekcji z literatury amerykańskiej.

– Chip? – spytał niepewnie.

Chłopak szurnął nogami.

– Panie Norman, czy mogę z panem chwilę porozmawiać?

– Pewnie. Ale jeśli chodzi o ten sprawdzian, to tracisz tylko…

– Ja nie o sprawdzianie… eee… czy mogę zapalić?

– Proszę bardzo.

Chip zapalił papierosa lekko trzęsącą się ręką i przez dobrą minutę milczał. Najwyraźniej stracił cały rezon. Wykrzywiał usta, splatał dłonie, mrużył oczy; zupełnie jakby jakaś część

jego osobowości szukała stosownych sformułowań.

I nagle z ust popłynął mu potok słów:

– Jeśli to zrobią, chcę, żeby pan wiedział, że nie miałem z tym nic wspólnego! Nie lubię tych chłopaków! To dranie!

– O kim, do licha, mówisz?

– O Lawsonie i o tym draniu Garcii.

– Chcą mnie dostać w swoje ręce?

Znów powróciła tamta stara, senna zgroza, więc Jim dobrze znał odpowiedź.

– Początkowo nawet mi się podobali – ciągnął Chip. – Polazłem z nimi na piwo. Zacząłem bluzgać na pana za ten sprawdzian i oświadczyłem, że chciałbym pana dorwać w ciemnej uliczce. Ale było to tylko takie gadanie! Przysięgam!

– Co dalej?

– Zaczęli mnie maglować. Pytali, o której wychodzi pan ze szkoły, jaki ma pan samochód… takie tam rzeczy. Zapytałem, co mają przeciwko panu, a Garcia wyjaśnił, że znają pana od bardzo dawna… ej, dobrze się pan czuje?

– Dym papierosowy – wydukał Jim. – Nie znoszę tego zapachu.

Chip zdusił niedopałek w popielniczce.

– Zapytałem ich, kiedy pana poznali, a Bob Lawson odparł, że jeszcze w czasach, kiedy sikałem w majtki. Ale przecież oni mają po siedemnaście lat, tyle samo co ja!

– I co stało się dalej?

– No, Garcia przechylił się przez stół i oświadczył mi, że tak naprawdę wcale nie chcę pana dopaść, bo nawet nie wiem, o której godzinie wychodzi pan z tej pieprzonej szkoły. I zapytał jeszcze, co chciałbym panu zrobić. Odparłem, że przebiłbym opony w pańskim samochodzie. – Popatrzył na Jima przepraszająco. – Wcale nie chciałem tego robić. Powiedziałem tak, bo…

– Bałeś się? – spytał cicho Jim.

– Tak, i ciągle się boję.

– Jak oni zareagowali na twój pomysł?

Chip wzruszył ramionami.

– Bob Lawson powiedział: „Tylko tyle chcesz, rzadki chuju?”. A ja udałem chojraka i zapytałem, co on zamierza panu zrobić. Wtedy Garcia… tak okropnie drgały mu powieki… wyciągnął coś z kieszeni i otworzył nóż sprężynowy. No i uciekłem.

– Kiedy to było?

– Wczoraj. Boję się teraz być nawet z nimi w jednej klasie, panie Norman.

– W porządku – mruknął Jim. – W porządku.

Popatrzył niewidzącym wzrokiem na rozłożone na biurku papiery.

– I co pan teraz zamierza zrobić?

– Nie wiem – odparł Jim. – Naprawdę nie wiem.

. . .

W poniedziałek rano też jeszcze nie wiedział. W pierwszej chwili chciał zwierzyć się ze wszystkiego Sally, zaczynając od morderstwa swego brata przed szesnastu laty. Nie mógł przecież tego zrobić. Sally z pewnością wysłuchałaby go życzliwie i ze współczuciem, ale by nie uwierzyła, a ponadto bardzo by ją wystraszył.

Simmons? Też nie. Simmons wziąłby go za wariata. A może taka jest właśnie prawda? Instruktor podczas grupowej terapii, na którą uczęszczał Jim, oświadczył przy jakiejś okazji, że przejście przez załamanie nerwowe jest jak rozbicie i sklejenie wazonu. Nigdy już nie będzie pewności, że naczynie kiedyś się nie rozpadnie. Nie można w nim trzymać kwiatów, bo kwiaty potrzebują wody, a woda rozpuszcza klej.

Czyżbym zwariował?

Ale jeśli tak, to zwariował również Chip Osway. Ta myśl przyszła mu do głowy, kiedy wsiadał do samochodu i ogarnęło go podniecenie.

Oczywiście! Lawson i Garcia grozili mu w obecności Chipa Oswaya. Może dla sądu nie stanowiłoby to dowodu, ale wystarczy, żeby zawiesić ich w prawach uczniów, jeśli Chip powtórzy wszystko w gabinecie Fentona. Jim był prawie pewien, że uda mu się Chipa do tego skłonić. Ostatecznie chłopak ma swoje powody, żeby trzymać się od nich jak najdalej.

Kiedy wjeżdżał na parking, przypomniał sobie, co przytrafiło się Billowi Stearnsowi i Kathy Slavin.

Podczas wolnej lekcji przeszedł do kancelarii i stanął przed biurkiem sekretarki, która mozoliła się właśnie nad listami nieobecności.

– Czy jest dzisiaj w szkole Chip Osway? – zapytał od niechcenia.

– Chip…? – spytała, patrząc na niego niepewnie.

– Charles Osway – poprawił się Jim. – Chip to jego przezwisko.

Przejrzała spięty spinaczem plik papierów i wyciągnęła jeden formularz.

– Nieobecny, panie Norman.

– A czy mogłaby mi pani podać numer jego domowego telefonu?

Podrapała się długopisem po włosach.

– Naturalnie.

Otworzyła notes na literze O i wręczyła go Jimowi. Sięgnął po słuchawkę stojącego na biurku aparatu.

Telefon odezwał się dwanaście razy, zanim wreszcie w słuchawce rozległ się chrapliwy, rozespany głos:

– Tak?

– Pan Osway?

– Barry Osway nie żyje od sześciu lat. Ja nazywam się Gary Denkinger.

– Czy jest pan ojczymem Chipa Oswaya?

– Co on takiego znów zmalował?

– Nie rozumiem.

– Uciekł z domu. Chcę wiedzieć, co zmalował.

– O ile mi wiadomo, nic. Po prostu chciałem z nim porozmawiać. Czy nie orientuje się pan, gdzie mogę go znaleźć?

– Pracuję na nocnej zmianie. Nie znam jego kolegów.

– I nic panu nie przychodzi do głowy?

– Nic. Zabrał starą walizkę i pięćdziesiąt dolców, które zarobił, sprzedając kradzione części do samochodów albo prochy; nie mam

zresztą zielonego pojęcia, skąd teraz dzieciaki biorą pieniądze. Z tego, co wiem, wybrał się do San Francisco, żeby dołączyć do hipisów.

– Gdyby dostał pan od niego jakąś wiadomość, proszę zadzwonić do szkoły. Nazywam się Jim Norman i uczę literatury angielskiej.

– Dobrze, zadzwonię.

Jim odłożył słuchawkę. Sekretarka popatrzyła na niego z urzędowym uśmiechem.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

. . .

Dwa dni później w kartotece Chipa Oswaya pojawiła się urzędowa adnotacja: „Opuścił szkołę” i Jim zaczął czekać, kiedy pojawi się Simmons z kolejną teczką. Stało się to po tygodniu.

Ponuro łypnął okiem na fotografię. Tym razem nie miał najmniejszych wątpliwości. Fryzurę „na pieczarę” zastąpiły długie włosy, ale chłopak z fotografii ciągle był blondynem. I twarz była ta sama. Z fotografii spoglądał na Jima z bezczelnym uśmiechem Vincent Corey – dla przyjaciół i znajomych Vinnie.

Kiedy Jim wchodził na siódmej lekcji do klasy, serce łopotało mu jak szalone. Przed wiszącą

obok sali lekcyjnej tablicą z ogłoszeniami stali Lawson, Garcia i Vinnie… Wyprostowali się, kiedy Jim skierował kroki w ich stronę.

Vinnie posłał mu ten swój bezczelny uśmiech, ale oczy miał zimne i martwe jak lodowa kra.

– Pan musi być panem Normanem. Cześć, Norm.

Lawson i Garcia zachichotali.

– Jestem panem Normanem – odparł Jim, ignorując wyciągniętą w swoją stronę dłoń. – Zapamiętasz to sobie?

– Jasne, że zapamiętam. Jak się miewa pański brat?

Jima zmroziło. Poczuł, że puszcza mu pęcherz, i posłyszał z niesamowicie długiego tunelu umieszczonego gdzieś w jego czaszce upiorny głos: „Vinnie, popatrz, zeszczał się!”.

– Co wiesz o moim bracie? – spytał resztkami tchu.

– Nic, zupełnie nic – odparł Vinnie.

Cała trójka przesłała mu puste uśmiechy, w których czaiła się groźba.

Zadzwonił dzwonek i chłopcy pobiegli do klasy.

. . .

Dwudziesta druga tego samego dnia. Kabina telefoniczna w drogerii.

– Halo, chciałbym się połączyć z posterunkiem policji w Stratford w Connecticut… Nie, nie znam numeru.

Trzaski na linii. Narady.

Policjant nazywał się Nell. W tamtych czasach liczył sobie koło pięćdziesiątki i miał siwe włosy. Dziecku trudno jest dokładnie określić wiek dorosłych. Ich ojciec umarł i pan Nell skądś o tym wiedział.

Chłopcy, mówcie do mnie „panie Nell”.

Jim i jego brat spotykali się codziennie w porze lunchu i udawali się do Stratford Diner, żeby zjeść przygotowane kanapki. Mama dawała każdemu z nich po pięć centów na mleko – było to jeszcze w czasach, kiedy nie serwowano go uczniom w szkołach. Czasami do baru zachodził pan Nell. Skórzany pas pod wydatnym brzuchem obciążony rewolwerem kalibru .38 lekko skrzypiał. Zawsze stawiał im szarlotkę *à la mode*.

Gdzie pan był, panie Nell, kiedy zasztyletowano mojego brata?

Uzyskał połączenie. W słuchawce raz zadzwoniło.

– Posterunek policji w Stratford. Słucham?

– Halo. Nazywam się Jim Norman. Dzwonię z innego stanu. – Podał nazwę miasta. – Chciałbym się dowiedzieć, czy mogę rozmawiać z człowiekiem, który około roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego służył u was w policji.

– Proszę zaczekać, panie Norman.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym znów rozległ się w słuchawce męski głos.

– Panie Norman, przy telefonie sierżant Morton Livingston. Kogo pan szuka?

– Jako dzieciaki wołaliśmy na niego „panie Nell”. Czy…

– Do licha, pewnie! Don Nell jest obecnie na emeryturze. Ma siedemdziesiąt trzy albo cztery lata.

– Czy ciągle jeszcze mieszka w Stratford?

– Jasne, na Barnum Avenue. Czy chce pan jego adres?

– Tak, proszę. I numer telefonu, jeśli ma.

– W porządku. Czy zna pan Dona?

– Zawsze mnie i mojemu bratu kupował w Stratford Diner szarlotkę *à la mode*.

– Jezu, to musiało być z dziesięć lat temu. Proszę chwileczkę zaczekać.

Po chwili policjant podyktował adres oraz numer telefonu. Jim zapisał dane, podziękował

Livingstonowi i odłożył słuchawkę.

Znów wykręcił zero, zamówił rozmowę i czekał. Kiedy aparat zaczął dzwonić, oblała go fala takiego gorąca, że instynktownie odwrócił się w stronę, gdzie zazwyczaj stał saturator z bezpłatną wodą sodową. Ale w tej drogerii niczego takiego nie było – Jim dostrzegł jedynie tłustą nastolatkę czytającą jakiś magazyn.

Podniósł słuchawkę. Usłyszał dźwięczny męski głos; wcale nie taki stary.

– Halo?

To pojedyncze słowo wywołało w pamięci Jima zardzewiały łańcuch wspomnień i emocji, silnych jak reakcja Pawłowa, przejmujących niczym nostalgia, kiedy słyszy się w radiu starą płytę.

– Pan Nell? Donald Nell?

– Przy telefonie.

– Panie Nell, nazywam się Jim Norman. Może pan mnie sobie przypomina?

– A jakże – odparł bez wahania głos. – Szarlotka *à la mode*. Pański brat został zabity… zasztyletowany. Straszna historia. To był taki miły chłopiec.

Jim oparł się o szklaną ścianę kabiny telefonicznej. W jednej chwili opuściły go cała energia, napięcie i podniecenie; poczuł się słaby

i sflaczały jak dmuchana lalka, z której zeszło powietrze. Już miał opowiedzieć policjantowi całą historię, ale w ostatniej chwili się opamiętał.

– Panie Nell, tamtych chłopaków nie złapano?

– Nie. Mieliśmy tylko kilku podejrzanych. O ile mnie pamięć nie myli, współdziałaliśmy w tej sprawie z posterunkiem w Bridgeport.

– Czy podejrzani znali moje nazwisko?

– Nie. W praktyce policyjnej operujemy wyłącznie oznaczeniami liczbowymi. Panie Norman, o co panu dokładnie chodzi?

– Chciałbym panu rzucić kilka nazwisk – odparł Jim. – Może któreś z nich skojarzy się panu z tą sprawą.

– Synu, nie…

– Proszę spróbować – przerwał mu ostro Jim. – Robert Lawson, David Garcia, Vincent Corey. Czy któreś z tych…

– Corey – odparł z przekonaniem pan Nell. – Pamiętam go. Vinnie Żmija. Tak, był jednym z podejrzanych. Ale matka zapewniła mu alibi. Roberta Lawsona sobie nie przypominam. Może i słyszałem kiedyś to imię i nazwisko, ale nic nie potrafię na ten temat powiedzieć. Ale Garcia… tak, to mi się z czymś kojarzy. Nie wiem z czym… do licha, jestem już stary – zakończył z niesmakiem.

– Panie Nell, czy jest pan w stanie jakoś sprawdzić tych chłopców?

– Cóż, oni już dawno nie są chłopcami.

Naprawdę?

– Powiedz, Jimmy, czyżby któryś z nich nagle się pojawił i zaczął cię napastować?

– Nie wiem. Dzieją się tutaj dziwne rzeczy. Rzeczy mające związek z zasztyletowaniem mego brata.

– Jakie rzeczy?

– Panie Nell, nie mogę powiedzieć. Wziąłby mnie pan za wariata.

– A jest pan wariatem? – spytał szybko, ostro i z wyraźnym zainteresowaniem Nell.

– Nie.

– To dobrze. Sprawdzę te nazwiska w kartotekach policyjnych w Stratford. Jak mogę się z panem skontaktować?

Jim podał mu domowy numer.

– We wtorek wieczorem na pewno będę w domu.

Prawie wszystkie wieczory spędzał w domu, ale we wtorki Sally wychodziła na zajęcia z garncarstwa.

– Co teraz porabiasz, Jimmy?

– Uczę w szkole.

– To bardzo dobrze. Poszukiwania zajmą mi kilka dni. Wiesz, jestem na emeryturze.

– Ale głos się panu nie zmienił.

– Gdybyś za to mnie zobaczył! – Zachichotał. – Jimmy, ciągle jeszcze lubisz szarlotkę *à la mode*?

– Pewnie.

Było to kłamstwo. Nienawidził szarlotki *à la mode*.

– Cieszę się, że usłyszałem twój głos. Ale skoro nie masz już nic więcej…

– Jeszcze jedno. Czy w Stratford jest liceum Milford?

– Jeśli jest, to ja o nim nie słyszałem.

– To mnie właśnie…

– Jedyny Milford w okolicy to cmentarz Milford na Ash Heights Road. Ale tam nie dają matur.

Zachichotał sucho, co w uszach Jima zabrzmiało jak klekot kości w cmentarnym dole.

– Dziękuję – usłyszał własny głos. – I do usłyszenia.

Pan Nell wyłączył się. Telefonista w centrali polecił Jimowi wrzucić jeszcze sześćdziesiąt centów, co Norman automatycznie uczynił. Odwrócił się i spojrzał prosto w przylepioną z drugiej strony do szyby budki telefonicznej

parę dłoni – rozpłaszczone palce pobielały; podobnie jak czubek nosa.

Zza szyby szczerzył do niego zęby Vinnie.

Jim wrzasnął.

. . .

Ponownie w klasie.

Grupa „Życie z literaturą” pisała wypracowanie i uczniowie, nisko pochylając czoła nad pulpitami, mozolnie i z wysiłkiem, jakby rąbali drewno, przelewali swoje myśli na papier. Wszyscy z wyjątkiem trzech: Roberta Lawsona, który zajął miejsce Billy’ego Stearnsa, siedzącego na miejscu Kathy Slawin Davida Garcii i Vinniego Coreya, który siedział na miejscu Chipa Oswaya. Przed nimi leżały niezapisane kartki, a cała trójka bacznie przyglądała się Jimowi.

Na chwilę przed dzwonkiem Jim powiedział cicho:

– Po lekcji chcę z panem chwilę porozmawiać, panie Corey.

– Pewnie, Norm.

Lawson i Garcia zachichotali hałaśliwie, ale reszta klasy milczała. Kiedy rozległ się dzwonek, uczniowie pośpiesznie pozbierali swoje papiery

i błyskawicznie wybiegli z sali. Zwlekali tylko Lawson i Garcia. Jim poczuł, że żołądek wypełnia mu lodowata kula.

Czyżby to miało stać się teraz?

Ale Lawson skinął Vinniemu głową.

– Do zobaczenia później – powiedział.

– No, cześć!

Obaj wyszli z klasy. Lawson zamknął za nimi drzwi, ale zza matowego szkła rozległ się nieoczekiwanie ochrypły głos Davida Garcii:

– Norm to zje!

Vinnie popatrzył na drzwi, po czym przeniósł wzrok na Jima. Uśmiechał się.

– Byłem ciekaw, czy kiedykolwiek dotrzesz do sedna sprawy – powiedział.

– Naprawdę? – spytał Jim.

– Wczoraj wieczorem w tej budce telefonicznej nieźle cię nastraszyłem, tatuśku, co?

– Dzisiaj już nikt nie mówi „tatuśku”, Vinnie. Słowo wyszło z mody i jest martwe jak sam Buddy Holly.

– Mówię, jak mi się podoba – odparł Vinnie.

– A gdzie podział się jeszcze jeden? Ten ze śmiesznymi czerwonymi włosami?

– Człowieku, nasze drogi się rozeszły – odparł beztrosko Vinnie, ale pod tą maską Jim wyczuł

nagłą czujność.

– On żyje, prawda? Dlatego go nie ma z wami. Żyje i ma trzydzieści dwa lata, podobnie jak i wy mielibyście, gdyby…

– Farbiarz zawsze się tylko przy nas plątał. Jest niczym. – Vinnie usiadł w ławce i położył dłonie na starym graffiti. Oczy mu zalśniły. – Człowieku, pamiętam cię z tamtej konfrontacji. Wyglądałeś tak, jakbyś miał się zeszczać w swoje sztruksowe spodenki. Widziałem, jak patrzyłeś na mnie i na Daviego. Rzuciłem na ciebie urok.

– W to akurat wierzę – odrzekł Jim. – Szesnaście lat koszmarnych snów. Czy to wam nie wystarczyło? Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego ja?

Vinnie przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale na twarz szybko powrócił mu uśmiech.

– Ponieważ wtedy nie skończyliśmy z tobą, człowieku. Musimy to zrobić teraz.

– A gdzie byłeś dotąd? – zapytał nagle Jim.

Vinnie zacisnął usta.

– O tym nie będziemy rozmawiać! Jasne?

– Nie, ciemne. Ciemne jak dół, który dla ciebie wykopali, Vinnie. Ładny dół, na dwa metry głębokości. Na cmentarzu Milford. Dwa metry…

– Zamknij ryj!

Wywrócił ławkę, zrywając się na równe nogi.

– Ze mną nie pójdzie wam łatwo – odezwał się Jim. – O nie, nie ułatwię wam zadania.

– Zabijemy cię, tatusku. Jeszcze poznasz całą prawdę o tym dole.

– Zjeżdżaj stąd.

– Może nawet i twoja śliczna, maleńka żoneczka Sally.

– Ty śmieciu, jeśli tylko tkniecie ją palcem…

Doprowadzony do ostateczności, przerażony tym, że padło imię Sally, ruszył w stronę Vinniego.

Chłopak wyszczerzył zęby i podszedł do drzwi.

– Będzie zimna. Zimna i sztywna.

Zarechotał.

– Zabiję cię, jeśli tkniesz moją żonę.

Uśmiech Vinniego pogłębił się.

– Zabijesz mnie? Człowieku, myślałem, że wiesz o tym, iż ja już jestem martwy.

Wyszedł z klasy.

Odgłos jego kroków długo jeszcze odbijał się echem w korytarzu.

. . .

– Co czytasz, kochanie?

Jim podsunął jej pod nos okładkę książki zatytułowanej *Wskrzeszanie demonów*.

– Ohyda! – parsknęła i odwróciła się do lustra, żeby poprawić fryzurę.

– Czy wrócisz taksówką? – zapytał.

– To tylko cztery przecznice. Spacer dobrze zrobi mi na figurę.

– Na Summer Street ktoś porwał jedną z moich dziewczynek – zażartował. – Chodziło o gwałt.

– Naprawdę? Którą?

– Dianne Snow – zmyślił na poczekaniu. – Była bardzo zrównoważoną dziewczyną. Weź taksówkę, dobrze?

– Dobrze. – Podeszła do krzesła, przyklęknęła i ujęła w dłonie policzki Jima. Popatrzyła mu prosto w oczy. – O co chodzi, Jim?

– O nic.

– Nie. Dzieje się z tobą coś niedobrego.

– Nic, z czym bym sobie nie poradził.

– Czy… czy to ma jakiś związek z twoim bratem?

Ogarnęło go przerażenie, zupełnie jakby otworzyły się w nim jakieś wewnętrzne drzwi.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Zeszłej nocy jęczałeś przez sen i wymawiałeś jego imię. „Wayne, Wayne”, mówiłeś. „Wayne,

uciekaj”.

– To nieważne.

Przeciwnie, było to bardzo ważne. I oboje o tym świetnie wiedzieli.

Kwadrans po ósmej zadzwonił Nell.

– Tych chłopaków nie musisz się już obawiać – oznajmił. – Nie żyją.

– Jak to?

Zamknął *Wskrzeszanie demonów* i tylko kciukiem zaznaczył strony, na których skończył lekturę.

– Wypadek samochodowy. W sześć miesięcy po śmierci twojego brata. Gonił ich gliniarz. Frank Simon. Lata teraz na sikorskym. Musi zarabiać tam kupę szmalu.

– Rozbili się?

– Przy szybkości blisko dwustu kilometrów na godzinę samochód wyskoczył z szosy i uderzył w słup trakcji wysokiego napięcia. Kiedy wreszcie wyłączono prąd i zeskrobano ich, byli usmażeni jak befsztyki.

Jim zamknął oczy.

– Widział pan raport?

– Na własne oczy.

– A samochód?

– Podrasowany.

– Może go pan opisać?

– Czarny ford sedan z napisem „Oczy Węża” na boku. Rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty. To chyba załatwia całą sprawę. Zgnieceni na placek.

– Ale jeden z nich uciekł, panie Nell. Nie wiem, jak ma na nazwisko, ale wołali na niego Farbiarz.

– To chyba będzie Charlie Sponder – powiedział bez wahania Nell. – Bardzo dobrze go pamiętam. Raz ufarbował sobie włosy. Cloroxem. Pojawiły mu się na nich białe pasma, a kiedy próbował przywrócić naturalny kolor, pasma zmieniły barwę na pomarańczową.

– Czy pan wie, co się z nim dzieje?

– Robi karierę w wojsku. Zaciągnął się w pięćdziesiątym ósmym albo dziewiątym, zaraz po tym, jak wpędził jedną z tutejszych dziewcząt w ciążę.

– Jak mógłbym się z nim skontaktować?

– Jego matka mieszka w Stratford. Ona powinna wiedzieć.

– Czy może pan podać mi jej adres?

– Nie, Jimmy. Chyba że powiesz mi, o co dokładnie ci chodzi.

– Panie Nell, naprawdę nie mogę. Weźmie mnie pan za wariata.

– Zaryzykuj, Jimmy.

– Nie mogę.

– W porządku, synu.

– Czy mógłby pan....

Ale policjant odłożył już słuchawkę.

– Ty stary łobuzie – mruknął Jim i również przycisnął widełki.

Nie zdążył jeszcze zabrać ręki z telefonu, kiedy ten ponownie zadzwonił. Jim poderwał dłoń, jakby słuchawka nagle rozgrzała się do czerwoności. Popatrzył na nią, ciężko dysząc. Telefon zadzwonił czterokrotnie, zanim go odebrał. Słuchał. Później zamknął oczy.

. . .

W drodze do szpitala towarzyszył mu policjant, który jechał z przodu na sygnale. Ostry dyżur pełnił młody lekarz z wąsami przypominającymi szczoteczkę do zębów. Popatrzył na Jima ciemnymi, wypranymi z wszelkich emocji oczyma.

– Przepraszam, nazywam się Jim Norman i…

– Przykro mi, panie Norman. Umarła o dwudziestej pierwszej zero cztery.

Myślał, że zemdleje. Świat jakby się oddalił i zaczął pływać przed oczyma. W uszach rozległ się potężny szum. Patrzył bezmyślnie na wyłożone zielonymi kafelkami ściany, na lśniący

chromem w świetle neonówek wózek na kółkach, patrzył na pielęgniarkę w przekrzywionym czepku. *Pora się odświeżyć, kochanie.* Przed salą zabiegową numer jeden stał oparty o ścianę sanitariusz. Miał na sobie nie pierwszej czystości biały uniform, na którego przodzie zakrzepło kilka kropel krwi. Czyścił nożem paznokcie. Nagle uniósł twarz i wyszczerzył do Jima zęby. Sanitariuszem był David Garcia.

Jim zemdlał.

. . .

Pogrzeb. Jak sztuka w trzech odsłonach. Własny dom. Dom przedpogrzebowy. Cmentarz. Ludzkie twarze wynurzają się z nicości, wirują, zbliżają się, by po chwili, ciągle wirując, ponownie zapaść się w nicość i mrok. Matka Sally – pod czarnym welonem jej policzki błyszczą od łez. Ojciec Sally – wstrząśnięty, postarzały. Simmons. Inni. Przedstawiają się i potrząsają jego ręką. On kiwa głową, ale nie pamięta żadnych nazwisk. Kilka kobiet przyniosło jedzenie, a jedna nawet szarlotkę. Ktoś ukroił kawałek. Kiedy Jim wyszedł z kuchni, ujrzał półmisek z tym ciastem. Z miejsca, gdzie je odkrojono, ciekł sok niczym bursztynowa krew.

Jim pomyślał: Brakuje tylko solidnej porcji lodów waniliowych na wierzchu.

Zaczęły drżeć mu dłonie i kolana. Poczuł nieprzepartą chęć, żeby cisnąć szarlotką o ścianę.

Goście zaczęli wychodzić, a on obserwował samego siebie, jakby oglądał się na nakręconym we własnym domu filmie. Potrząsał dłońmi, kiwał ręką i mówił: Dziękuję… Tak, będę… Dziękuję… Tak, jestem przekonany, że ona… Dziękuję…

Kiedy wyszedł ostatni gość, dom znów należał wyłącznie do niego. Podszedł do drewnianej półki wiszącej nad kominkiem. Wypchany pies z błyszczącymi ślepiami, którego Sally wygrała na loterii podczas ich miodowego miesiąca na Coney Island. Dwie skórzane teczki: jego dyplom z Uniwersytetu Bostońskiego i jej – z Uniwersytetu Massachusetts. Dwie duże kości do gry ze styropianu, które dała mu złośliwie, gdy przed rokiem czy dwoma przegrał w pokera w Pinky Silverstein’s szesnaście dolarów. Filiżanka z cienkiej porcelany; Sally kupiła ją przed rokiem w Cleveland w sklepie ze starzyzną. Pośrodku półki stała w ramce ich ślubna fotografia. Odwrócił ją do ściany, usiadł na krześle i zaczął gapić się w wyłączony

telewizor. W głowie krystalizowała mu się pewna myśl.

. . .

Po upływie godziny z lekkiej drzemki wyrwał go dzwonek telefonu.

– Jesteś następny w kolejce, Norm.

– Vinnie?

– Człowieku, ona wyglądała jak jeden z tych glinianych gołębi na strzelnicy. Rozmaźgolona i w strzępach.

– Vinnie, będę czekać dziś wieczorem w szkole. W sali trzydzieści trzy. Nie zapalę światła. Po prostu chcę już mieć ten dzień za sobą. Myślę, że mogę nawet zorganizować pociąg.

– Chcesz już ze wszystkim skończyć? Naprawdę?

– Naprawdę – odparł Jim. – Bądźcie tam.

– Może.

– Przyjdziecie – mruknął Jim i odłożył słuchawkę.

Do szkoły dotarł już prawie o zmroku. Zaparkował samochód na zwykłym miejscu i otworzył wytrychem tylne drzwi budynku. Najpierw udał się na pierwsze piętro do

pracowni języka angielskiego. Tam otworzył szafę i zaczął przerzucać płyty. Przejrzał ich prawie połowę, zanim znalazł wreszcie *Efekty dźwiękowe Hi-Fi*. Spojrzał na tył okładki, na spis utworów; trzeci na stronie A nosił tytuł *Pociąg towarowy: 3:04*. Położył płytę na wierzchu przenośnego adapteru i wyciągnął z kieszeni płaszcza *Wskrzeszanie demonów*. Otworzył książkę w zaznaczonym miejscu, przeczytał coś i pokiwał głową. Wyłączył światło.

. . .

Sala numer trzydzieści trzy.

Uruchomił aparaturę stereo, głośniki rozstawił jak najdalej od siebie i puścił *Pociąg towarowy*. Utwór zaczął się od martwej ciszy, potem dźwięk stopniowo rósł, aż w końcu całe pomieszczenie wypełniał ryk silników Diesla i hałas stali uderzającej o stal.

Kiedy zamknął oczy, wydawało mu się, że znajduje się pod wiaduktem, po którym biegła Broad Street, i na kolanach ogląda ów dziki, mały dramat, który zmierza do nieuchronnego finału…

Rozchylił powieki, podniósł ramię adapteru, ponownie nastawił płytę, zajął miejsce za biurkiem i otworzył *Wskrzeszanie demonów* na

rozdziale zatytułowanym: *Szkodliwe duchy i jak je przywołać*. W trakcie lektury poruszał ustami, a w przerwach wyciągał z kieszeni różne przedmioty i kładł je przed sobą na blacie.

Najpierw wyjął stare, pomarszczone zdjęcie, zrobione kodakiem, na którym on i jego brat stoją na trawniku przed swoim blokiem mieszkalnym na Broad Street. Obaj byli identycznie ostrzyżeni, krótko i z przedziałkiem, i obaj uśmiechali się wstydliwie do obiektywu. Później wyjął niewielkie naczynie z krwią – złapał na ulicy bezpańskiego kota i podciął mu gardło scyzorykiem – a obok niego położył scyzoryk. Wreszcie wyciągnął z kieszeni przepoconą wkładkę wyprutą z baseballowej czapeczki z napisem „Little League”; z czapeczki Wayne’a. Jim cały czas przechowywał ją bardzo starannie w cichej nadziei, że pewnego dnia będą mieli z Sally synka, który tę czapkę włoży.

Podniósł się z krzesła, podszedł do okna i wyjrzał. Parking był pusty.

Zaczął przesuwać pod ściany ławki, zostawiając pośrodku sali nierówny, wolny krąg. Kiedy już się z tym uporał, wyciągnął z szuflady biurka kredę i zgodnie z tym, co wyczytał w książce, przy użyciu linijki bardzo starannie wyrysował na podłodze pentagram.

Oddychał ciężko. Wyłączył światła, wziął do jednej ręki zgromadzone przedmioty i zaczął recytować:

– Ojcze Mroku, przez wzgląd na mą duszę, wysłuchaj mnie. Jam jest ten, który obiecuje ofiarę. Jam jest ten, który błaga cię o mroczną łaskę ofiary. Jam jest ten, który szuka zemsty lewej ręki. W obietnicy ofiary przyniosłem krew.

Odkręcił wieczko słoika po maśle orzechowym i spryskał pentagram krwią.

W ciemnej klasie coś się stało. Trudno powiedzieć, co dokładnie, ale powietrze stało się ciężkie. Jego ciężar wypełniał krtań i brzuch Jima płynną, szarą stalą. Cisza zrobiła się wręcz miażdżąca i jakby pęczniała czymś niewidzialnym.

Uczynił tak, jak nakazywały starodawne rytuały.

Czuł to samo, co wtedy, gdy wybrał się z klasą do elektrowni – atmosfera nabrzmiewała energią elektryczną, a powietrze wibrowało. Wtedy też rozległ się zdumiewająco niski, odrażający głos:

– Czego żądasz?

Jim nie był w stanie stwierdzić, czy naprawdę słyszał ten głos, czy tylko mu się wydawało, że go słyszy. Wyłuszczył swoją prośbę w dwóch zdaniach.

– To mała łaska. Co proponujesz w zamian?

Jim wymówił dwa słowa.

– Dwa – szepnął głos. – Lewy i prawy. Zgoda?

– Tak.

– Więc daj mi, co do mnie należy.

Jim otworzył scyzoryk, odwrócił się do biurka, położył prawą dłoń płasko na blacie i czterema ciosami noża odciął sobie palec wskazujący. Na bibularz spłynął zawiłym wzorem strumień krwi. Wcale nie bolało. Odsunął obcięty palec i ujął nóż w prawą dłoń. Obcięcie lewego palca nastręczyło mu wiele kłopotu. Prawa, okaleczona dłoń była niezdarna, jak cudza, i nóż nieustannie wyślizgiwał się z uścisku. W końcu ze zniecierpliwionym mruknięciem odrzucił scyzoryk, chwycił kość zębami i przegryzł ją. Podniósł z blatu oba palce niczym maleńkie chrupiące bułeczki i wrzucił je do pentagramu. Nastąpił błysk oślepiającego światła, jak w staroświeckim aparacie fotograficznym. Żadnego dymu, pomyślał zupełnie bez sensu Jim. Żadnego zapachu siarki.

– Co ze sobą przyniosłeś?

– Fotografię. I pasek materiału przesiąknięty jego potem.

– Pot jest drogocenny – zauważył zimnym, pełnym żądzy i zachłanności tonem głos. Jimowi

przeszedł po plecach dreszcz. – Daj mi to.

Jim cisnął żądane przedmioty do pentagramu. Znów rozbłysło światło.

– Dobrze – odezwał się głos.

– Jeżeli w ogóle przyjdą – powiedział Jim.

Nie doczekał się odpowiedzi. Głos umilkł – jeśli w ogóle jakikolwiek głos istniał. Jim pochylił się nad pentagramem. W środku ciągle jeszcze leżała fotografia, ale była czarna i zwęglona. Pasek materiału zniknął.

Z ulicy dobiegł jakiś odległy hałas; nasilał się. Ryk silnika podrasowanego samochodu z usuniętymi tłumikami. Pojazd skręcił w Davis Street i zaczął się zbliżać. Jim usiadł i nasłuchiwał, czy auto przejedzie, czy też skręci na parking.

Skręciło.

Ze schodów doszedł odbijany echem tupot nóg.

Rozległ się piskliwy chichot Roberta Lawsona, ktoś syknął: „Ciiii…” i znów chichot Lawsona. Odgłosy kroków były coraz wyraźniejsze, nie niosły się już echem, a w chwilę później z trzaskiem otworzyły się szklane drzwi oddzielające klatkę schodową od korytarza.

– Ja-hu, Normi! – zawołał falsetem David Garcia.

– Normi, jesteś tam? – szepnął Lawson i znów zachichotał. – Jeśteś tiam, maluśki?

Vinnie milczał, ale kiedy szli korytarzem, Jim widział ich cienie. Cień Vinniego był najwyższy. Vinnie niósł w ręku jakiś wąski przedmiot. Rozległ się cichy trzask i przedmiot wydłużył się.

Stali w progu. Vinnie w środku. Wszyscy uzbrojeni w noże.

– Człowieku, jesteśmy – powiedział cicho Vinnie. – Przyszliśmy po twoją dupę.

Jim nastawił adapter.

Garcia podskoczył i zawołał:

– Jezu, co to?

Nadjeżdżał pociąg towarowy. Wydawało się, że od huku stalowego kolosa drżą ściany klasy.

Dźwięk nie płynął już z głośników, ale z dołu, z korytarza, z odległych w czasie i przestrzeni szyn.

– Człowieku, nie lubię takich rzeczy – odezwał się Lawson.

– Za późno – powiedział Vinnie. Postąpił krok do przodu i machnął nożem. – Dawaj pieniądze, tatuśku.

…puśćcie nas…

Garcia cofnął się.

– Co jest, do cholery ciężkiej…

Ale Vinnie był niewzruszony. Gestem polecił pozostałym ruszyć tyralierą, twarz miał nieruchomą.

– No, szczylu, ile masz? – zapytał nieoczekiwanie Garcia.

– Cztery centy – odpowiedział Jim.

Była to prawda. Wyciągnął je ze skarbonki w sypialni. Najnowsza moneta pochodziła z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego.

– Pierdolisz.

…zostawcie go…

Lawson obejrzał się przez ramię i oczy mu się rozszerzyły. Ściany stały się mgliste, niematerialne. Gwizd lokomotywy pociągu towarowego. Płynący z parkingu i z ulicznych lamp blask poczerwieniał jak bijąca w mroczne niebo łuna od mrugającego neonu Burrets Building Company.

Coś wynurzało się z pentagramu, coś o twarzy małego, dwunastoletniego chłopca. Chłopca z króciutko przyciętymi włosami.

Garcia runął do przodu i wyrżnął Jima w usta; cuchnęło od niego czosnkiem i pepperoni. Wszystko to działo się bardzo wolno i było całkowicie bezbolesne.

Jim poczuł naraz w kroku ciężar ołowiu i puścił mu pęcherz. Popatrzył w dół. Ujrzał

rozlewającą się mu na spodniach czarną plamę.

– Vinnie, popatrz, zeszczał się! – krzyknął Lawson.

Ton głosu miał normalny, ale na twarzy malowała mu się zgroza – było to oblicze kukiełki, która ożyła i pojęła nagle, że poruszają nią sznurki.

– Zostawcie go – odezwał się stwór-Wayne. Ale nie był to głos Wayne'a; był to zimny, odrażający głos stwora z pentagramu. – Uciekaj, Jimmy! Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!

Jim opadł na kolana, rękami zaczął macać w poszukiwaniu jakiegoś oparcia. Nic takiego nie znalazł.

Spojrzał w górę i zobaczył, że twarz Vinniego wykrzywia się nienawiścią i chłopak wbija w stwora-Wayne'a nóż, tuż pod mostkiem… a następnie zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć. Jego twarz zapada się, spopiela, czernieje, staje się straszna.

Vinnie zniknął.

W chwilę później również i Garcia z Lawsonem zaczęli się skręcać, spalać i poszli śladem Vinniego.

Jim leżał na podłodze i chrapliwie oddychał. Dźwięk pociągu towarowego ucichł.

Z góry spoglądał nań jego brat.

– Wayne – szepnął Jim.

I wtedy twarz jego brata uległa nagłej przemianie. Zdawała się przetapiać i migać. Oczy stały się żółte i przerażające, zmrużone w złośliwym grymasie. Stwór patrzył na Jima.

– Wrócę, Jim – szepnął lodowaty głos.

Stwór zniknął.

Jim powoli podniósł się z podłogi i okaleczoną ręką wyłączył adapter. Dotknął ust. Ciągle krwawiły po ciosie Garcii. Podszedł do ściany i zapalił światło. Pokój był pusty. Wyjrzał przez okno na parking. Tam również było pusto z wyjątkiem jednego samochodu, w którego karoserii odbijało się światło księżyca, tańcząc idiotyczną pantomimę. Powietrze w klasie zrobiło się ciężkie i zatęchłe – fetor grobowców. Jim starł dokładnie z podłogi pentagram i poustawiał na miejsca ławki. Następnego dnia miały się odbywać normalne lekcje. Straszliwie bolały go palce… jakie palce? Musi natychmiast zgłosić się do lekarza. Zamknął drzwi i tuląc do piersi kalekie dłonie, powoli ruszył na dół. W połowie drogi coś szaleńczo wokół niego zawirowało; jakiś cień – a może była to tylko intuicja.

Coś niewidzialnego dało zawrotnego susa.

Jim przypomniał sobie przestrogę, którą wyczytał we *Wskrzeszaniu demonów*: z tym wiąże się ryzyko. Zapewne uda ci się ich przywołać, zapewne skłonisz ich do współpracy. Zapewne nawet uda ci się ich pozbyć.

Ale czasami wracają.

Powoli ruszył w dół schodami, zastanawiając się, czy jego koszmar naprawdę się skończył.

TRUSKAWKOWA WIOSNA

Springheel Jack…

Te dwa słowa ujrzałem tego ranka w gazecie i, mój Boże, jakże one cofnęły mnie w przeszłość. Wszystko działo się osiem lat temu; prawie dokładnie, co do dnia. Wtedy właśnie ujrzałem siebie w ogólnokrajowej sieci telewizyjnej – w Raporcie Waltera Cronkite'a. Wprawdzie moja twarz mignęła tam tylko przez chwilę w tle, za plecami reportera, ale wszyscy znajomi natychmiast mnie zauważyli. Otrzymywałem telefony z innych miast i z innych stanów. Mój tata domagał się ode mnie analizy i oceny sytuacji, był bardzo rubaszny, serdeczny – taki do rany przyłóż. Matka chciała tylko, żebym wrócił do domu. Ale ja nie chciałem wracać do domu. Byłem oczarowany.

Oczarowany tą mroczną, spowitą mgłą truskawkową wiosną i wiszącym nad wszystkim cieniem gwałtownej śmierci, która jej

towarzyszyła w czasie tamtych nocy sprzed ośmiu lat. Cień Springheel Jacka…

W Nowej Anglii nazywano to truskawkową wiosną. Nikt nie wie dlaczego; ot, po prostu określenie używane przez starców. Twierdzą oni, że coś takiego zdarza się co osiem lub co dziesięć lat. Wypadki, jakie miały miejsce w New Sharon Teachers' College tamtej konkretnie truskawkowej wiosny… też mogłyby tworzyć cykl, ale ponieważ nikt nie przeprowadzał nad tym głębszych studiów, nigdy tego tak nie nazwali.

W New Sharon truskawkowa wiosna zaczęła się szesnastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Tego właśnie dnia nastąpił przełom w najostrzejszej od dwudziestu lat zimie. Padał deszcz, a powietrze przesycał zapach odległego o trzydzieści kilometrów morza. Śnieg, którego napadało na wysokość prawie dziewięćdziesięciu centymetrów, zaczął gwałtownie topnieć i cały kampus tonął w grząskim błocku. Rzeźby ze śniegu – pozostałość zimowego karnawału – które przez dwa miesiące trwały nietknięte w minusowych temperaturach, przekrzywiały się i przygarbiały. Ulepiona przed budynkiem bractwa Tep karykatura Lyndona Johnsona płakała rzewnymi

łzami odwilży. Gołąb widniejący przed Prashner Hall stracił wszystkie pióra i miejscami widać już było jego żałosny, wykonany ze sklejki szkielet.

W nocy nadeszła mgła i spowiła nieprzeniknioną białą opończą i ciszą wąskie alejki college'u oraz wszystkie drogi dojazdowe. Okalające promenadę sosny sterczały niczym wyciągnięte do liczenia palce, a mleczny opar, jak dym z papierosów, snuł się leniwie pod niewielkim mostkiem, otulając armaty pochodzące jeszcze z czasów wojny domowej. Mgła odbierała pejzażowi spoistość, wszystko wydawało się obce i magiczne. Ktoś, kto niebacznie opuścił dudniące muzyką z szafy grającej, jaskrawo oświetlone, zgiełkliwe wnętrze klubu Grinder, spodziewając się widoku wypełnionego gwiazdami zimowego nieba, trafiał nagle w pogrążony w ogłuszającej ciszy świat dryfującej, białej mgły; w ciszę, którą mącił jedynie dźwięk jego własnych kroków i plusk wody kapiącej ze staroświeckich rynien. Człowiek niemal spodziewał się napotkać idącego śpiesznie Golluma, Froda, Sama albo odwróciwszy się, skonstatować, że Grinder zniknął, a jego miejsce zajęła mglista panorama wrzosowisk, cisów, druidzkich kręgów lub pryskających iskrami zaczarowanych pierścieni.

Tego roku szafa grająca odtwarzała *Love is Blue*. Bez przerwy dochodziły tony *Hey, Jude*. Dźwięki *Scarborough Fair*.

Tamtego wieczoru, dziesięć po jedenastej, student pierwszego roku, John Dancey, wracając do akademika, zaczął w tej mgle wrzeszczeć. Cisnął na ziemię książki i darł się, wpatrzony w rozrzucone szeroko nogi leżącej na śniegu w mrocznym narożniku na parkingu przylegającym do Animal Sciences martwej dziewczyny, która miała gardło rozerżnięte od ucha do ucha. Jej rozwarte oczy zdawały się ciskać skry radości, jakby zrobiła najlepszy dowcip w życiu – Dancey, student pedagogiki, lepszy w nauce niż w gębie, wrzeszczał, wrzeszczał i wrzeszczał.

Ranek wstał posępny i pochmurny, a my szliśmy na sale wykładowe z cisnącymi się na usta pytaniami: Kto? Dlaczego? Jak myślisz, czy go złapią? I ostatnie, budzące największy dreszcz emocji: Znałeś ją? Znałaś ją?

Tak, chodziłem z nią na plastykę.

Tak, w zeszłym semestrze mój kumpel umawiał się z nią na randki.

Tak, kiedyś w Grinder poprosiła mnie o ogień. Siedziała przy sąsiednim stoliku.

Tak

Tak, ja…

Tak… tak… och, tak, ja…

Znaliśmy ją wszyscy. Nazywała się Gale Cerman (wymawiało się Kerr-man) i studiowała na wydziale plastycznym. Nosiła okrągłe, druciane okulary i miała świetną figurę. Była powszechnie lubiana, ale koleżanki z pokoju jej nie znosiły. Niewiele udzielała się towarzysko, chociaż należała do najbardziej adorowanych dziewcząt w kampusie. Była okropna, ale miła. Była niebywale żywa, ale rzadko zabierała głos i prawie nigdy się nie uśmiechała. Była w ciąży i chorowała na białaczkę. Była lesbijką, którą zamordował jej chłopak. Siedemnastego marca była truskawkowa wiosna i wszyscy znaliśmy Gale Cerman.

W kampusie pojawiło się pół tuzina samochodów policji stanowej; większość zaparkowała przed Judith Franklin Hall, gdzie mieszkała Cerman. Kiedy o dziesiątej rano przechodziłem tamtędy w drodze na zajęcia, kazano mi się wylegitymować. Głupi nie byłem. Pokazałem im dokument i nie robiłem żadnych uwag.

– Czy nosisz przy sobie nóż? – zapytał chytrze policjant.

– Czy chodzi o Gale Cerman? – próbowałem się dowiedzieć, gdy już oświadczyłem, że najniebezpieczniejszą rzeczą, jaką ze sobą noszę, są klucze przypięte do zasuszonej króliczej łapki.

– Dlaczego pytasz? – nasrożył się.

Na zajęcia spóźniłem się pięć minut.

Panowała truskawkowa wiosna i tej nocy nikt już nie chodził samotnie po terenie na poły akademickiego, na poły magicznego kampusu. Ponownie pojawiła się mgła pachnąca morzem, cicha i otchłanna.

Mniej więcej o dziewiątej wieczorem wpadł do pokoju kolega, z którym mieszkałem. Od siódmej wytężałem mózgownicę, mozoląc się nad esejem o Miltonie.

– Złapali go – oświadczył. – Słyszałem to w Grinder.

– Od kogo?

– Nie wiem. Od jakiegoś chłopaka. Zrobił to jej narzeczony. Nazywa się Carl Amalara.

Rozparłem się na krześle. Poczułem ulgę, a jednocześnie byłem trochę rozczarowany. Takie nazwisko nie budzi wątpliwości. Musiała to być prawda. Najzwyklejsze, odrażające, nędzne morderstwo z namiętności.

– W porządku – powiedziałem. – I bardzo dobrze.

Wybiegł z pokoju, żeby dalej rozgłaszać wieść. Jeszcze raz przeczytałem swój esej o Miltonie i nie mogąc dojść do tego, co chciałem powiedzieć, podarłem go, po czym zacząłem pisać od początku.

O wszystkim doniosła poranna prasa. Zamieściła aż nieprzyzwoicie wyraźne zdjęcie Amalary – zapewne ze świadectwa ukończenia szkoły średniej – pokazujące raczej smętnie wyglądającego chłopaka o oliwkowej cerze, ciemnych oczach i z dziobami na nosie. Amalara nie przyznał się jeszcze do winy, ale wszystkie okoliczności wskazywały na niego. On i Gale Cerman przez ostatni miesiąc bardzo się kłócili, a tydzień przed morderstwem zerwali ze sobą. Jego kolega z pokoju powiedział, że ostatnio Amalara był „przybity". W kuferku pod jego łóżkiem policja znalazła kupiony u L.L. Beana nóż myśliwski o osiemnastocentymetrowej klindze i ewidentnie pociętą nożyczkami fotografię jego narzeczonej.

Obok zdjęcia Amalary widniała też podobizna Gale Cerman. Koło blondynki o raczej mysim wyglądzie i w okularach dostrzec można było trochę rozmazanego psa oraz flaminga z rozpostartymi skrzydłami. Na twarzy Gale Cerman gościł pełen zakłopotania uśmiech.

Mrużyła oczy i rękę trzymała na łbie psa. A więc to prawda. To musiała być prawda.

Następnej nocy znów wystąpiła mgła, która słała się jak bluszcz, spowijając świat w nieprzytomnej ciszy. Wyszedłem tego wieczoru na spacer. Bolała mnie głowa i miałem ochotę zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Pachniało wiosną, która z wolna usuwała ze swej drogi niechętnie ustępujący śnieg, zostawiając za sobą pozbawione życia łaty zeszłorocznej trawy, nagie i niczym niezakryte jak głowa wiekowej babci.

Dla mnie był to jeden z najczarowniejszych wieczorów, jakie pamiętam. Ludzie, których mijałem pod otoczonymi halo latarniami, byli mruczącymi cieniami i sprawiali wrażenie splecionych ramionami, patrzących sobie w oczy kochanków. Śnieg topił się i odpływał, topił się i odpływał, każdy podmuch wiatru osuszał świat, a mroczne morze zimy odpływało w niepamięć.

Spacerowałem prawie do północy, do chwili, kiedy byłem już przemoczony do suchej nitki, a w alejkach zaroiło się od cieni, w krętych przejściach usłyszałem wiele tłumionych mgłą kroków. Kto powie, że jednym z tych cieni nie był człowiek, czy stwór, nazwany Springheel Jack?

Na pewno nie ja, ponieważ minąłem wiele cieni, ale we mgle nie rozróżniałem twarzy.

. . .

Następnego dnia obudził mnie dochodzący z korytarza zgiełk. Wylazłem zobaczyć, co się dzieje. Dłońmi doprowadziłem do jakiego takiego stanu fryzurę i przeciągnąłem włochatą gąsienicą, w którą podstępnie zamienił się mój język, po suchym jak pieprz podniebieniu.

– Wykończył następną – powiedział ktoś z pobladłą z wrażenia twarzą. – Muszą go wypuścić.

– Kogo?

– Amalarę! – wykrzyknął inny rozradowany głos. – Kiedy to się stało, on siedział w więzieniu.

– Stało się co? – dopytywałem się cierpliwie.

Wiedziałem, że wcześniej czy później dowiem się wszystkiego. Tego byłem pewien.

– Dziś w nocy zabił następną. Teraz ciągle jej szukają.

– Kogo szukają?

Przede mną znów zamajaczyła ta blada twarz.

– Nie kogo. Czego. Jej głowy. Ktokolwiek zabił tę dziewczynę, zabrał ze sobą jej głowę.

. . .

New Sharon nie jest dużą uczelnią, a w tamtych latach była jeszcze mniejszą – instytucja określana przez dziennikarzy mianem „uczelni środowiskowej”. I rzeczywiście stanowiliśmy niewielką społeczność: w każdym razie wtedy. Wszyscy się znali; gorzej lub lepiej, ale się znali. Gale Cerman była dziewczyną, której każdy kiwał głową na powitanie, myśląc sobie, że przecież gdzieś już ją wcześniej spotkał.

Ann Bray znali wszyscy. Rok wcześniej, w paradzie podczas konkursu na Miss Nowej Anglii, szła zaraz za zdobywczynią tytułu i wymachiwała laską w takt melodii *Hey, Look Me Over*. Rozum również posiadała nie od parady; do chwili śmierci była redaktorem uczelnianej gazety (tygodnika), należała do studenckiego koła dramatycznego i pełniła funkcję przewodniczącej filii Narodowego Żeńskiego Koła Studenckiego w New Sharon. Na fali entuzjazmu, jaki ogarnia każdego studenta pierwszego roku, wymyśliłem nową kolumnę do prowadzonej przez nią gazety i próbowałem się z Ann Bray umówić na randkę – w obu przypadkach poniosłem sromotną porażkę.

A teraz była martwa… gorzej niż martwa.

Na popołudniowe wykłady chadzałem jak każdy inny. Witając się, mówiłem „cześć” z nieco mniejszym zapałem niż zwykle; zupełnie jakbym bał się przyglądać twarzom znajomych. Oni zresztą zachowywali się podobnie w stosunku do mnie. Między nami trafiła się czarna owca, czarna jak żwir alejek krzyżujących się z deptakiem, jak wyrwa między stuletnimi dębami rosnącymi na tylnym dziedzińcu gimnazjum. Czarna jak masywne cielska armat z czasów wojny domowej oglądane w oparach półprzezroczystej mgły. Patrzyliśmy sobie w oczy, próbując odnaleźć wzajemnie w nich tę ciemność.

Tym razem policja nikogo nie aresztowała. W mgliste noce osiemnastego, dziewiętnastego i dwudziestego marca niebieskie radiowozy nieustannie patrolowały teren kampusu. Ich czołowe reflektory co chwila kłuły mroczne zakątki i zaułki. Administracja uczelni wprowadziła od dwudziestej pierwszej godzinę policyjną. Parki obłapiających się ryzykantów, których chwytano w krzakach na północ od Tate Alumni Building, zabierano na posterunek policji w New Sharon i bezlitośnie maglowano przez trzy godziny.

Dwudziestego miał miejsce histeryczny fałszywy alarm, kiedy na parkingu, w miejscu gdzie znaleziono zwłoki Gale Cerman, natknięto się na nieprzytomnego chłopaka. Przygłupi gliniarz z kampusu, nie badając nawet pulsu, załadował ciało na tylne siedzenie radiowozu, rozłożył sobie przed nosem mapę i ruszył do najbliższego szpitala. Na terenie opustoszałego terenu uniwersytetu syrena samochodu zawodziła jak walne zgromadzenie banshee.

W połowie drogi zwłoki usiadły i spytały głucho: „Gdzie, do diabła, jestem?”. Gliniarz wrzasnął i zjechał z szosy. Zwłoki okazały się studentem, który nazywał się Donald Morris i przez ostatnie dwa dni przechodził ciężką grypę… Czy panowała wtedy grypa azjatycka? Nie pamiętam. Tak czy owak, zemdlał po drodze do Grinder, dokąd wybrał się na zupę i tosty.

Dni ciągle były ciepłe, choć pochmurne. Ludzie gromadzili się w niewielkich grupach, które przejawiały zdumiewającą tendencję do błyskawicznego rozpadania się i formowania ponownie w innych już konfiguracjach. Jeśli człowiek zbyt długo oglądał te same twarze, przychodziły mu do głowy głupie myśli o ich właścicielach. A plotki po kampusie rozchodzić się zaczęły wręcz z szybkością światła.

Powszechnie lubiany profesor historii widziany był na niewielkim mostku, gdy śmiał się i płakał; Gale Cerman zostawiła tajemniczą, składającą się z dwóch słów wiadomość wypisaną jej własną krwią na asfalcie parkingu przy Animal Sciences; oba morderstwa tak naprawdę miały podłoże polityczne i dokonało ich odgałęzienie SDS, żeby zaprotestować przeciw wojnie. Wszystko to było bardzo zabawne. SDS w New Sharon liczyło siedmiu członków; jedno większe odgałęzienie mogłoby doprowadzić do bankructwa całą organizację. Ten fakt spowodował jeszcze bardziej złowieszczą teorię wysnuwaną przez prawicowe ugrupowania kampusu – to robota agitatorów z zewnątrz. Tak zatem w tamtych dziwacznych, ciepłych dniach odwracaliśmy głowy, nie patrząc sobie w oczy.

Zawsze wietrząca sensację prasa zignorowała duże podobieństwo naszego mordercy do Kuby Rozpruwacza i dokopała się o wiele głębiej – aż do roku tysiąc osiemset dziewiętnastego. Ann Bray znaleziono na rozmiękłym skrawku ziemi, zaledwie cztery metry od najbliższego chodnika, ale nie odkryto żadnych odcisków stóp; nawet należących do ofiary. Obdarzony fantazją dziennikarz z New Hampshire, który uwielbiał takie mroczne, tajemnicze historie, ochrzcił

zabójcę mianem Springheel Jacka, czym nawiązał do odrażającego lekarza, Johna Hawkinsa z Bristolu, który za pomocą różnych dziwnych mikstur farmaceutycznych zamordował swoich pięć żon. I przezwisko to z powodu owego błotnistego miejsca, na którym nie było żadnych śladów, natychmiast się przyjęło.

Dwudziestego pierwszego znów padało, więc deptak oraz tylny dziedziniec zamieniły się w trzęsawisko. Policja oświadczyła, że zostawi w kampusie agentów w cywilnych ubraniach, zarówno kobiety, jak i mężczyzn, po czym połowa radiowozów odjechała.

Gazeta kampusu w nieco chaotycznym artykule wstępnym wyraziła z tego powodu duże oburzenie. Generalnie sens publikacji był taki, że jeśli pojawi się tyle glin przebranych za studentów, to już na pewno nikt nie zdoła rozpoznać agitatorów z zewnątrz.

Nadszedł wieczór, a wraz z nim mgła. Wirowała po obramowanych drzewami alejkach, prawie zamyślona, zasnuwała swymi oparami budynek za budynkiem. Była delikatna, niematerialna, ale w jakiś sposób nieubłagana i przerażająca. Springheel Jack to mężczyzna – co do tego nikt chyba nie żywił najmniejszych

wątpliwości – ale mgła stanowiła jego wspólniczkę, kobietę… tak w każdym razie ja to odbierałem. Odnosiłem wrażenie, że nasza niewielka uczelnia wpadła między ich ciała i ściśnięta w ich miłosnym uścisku, stała się częścią składową małżeństwa, które skonsumowane zostało w potokach krwi. Siedziałem, paliłem i obserwowałem, jak w zapadającym mroku rozbłyskuje coraz więcej świateł. Zastanawiałem się właśnie, czy to się już skończyło, kiedy do pokoju wtargnął kolega, z którym mieszkałem, i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Będzie padał śnieg – powiedział.

Odwróciłem się w jego stronę.

– Wiesz to z radia?

– Nie – odparł. – Komu potrzebny meteorolog? Czy słyszałeś o truskawkowej wiośnie?

– Chyba tak – powiedziałem. – Dawno temu. To coś, o czym opowiadały babcie, prawda?

Stał obok mnie i patrzył w okno na skradający się chyłkiem mrok.

– Truskawkowa wiosna jest jak babie lato – powiedział. – Tyle że zdarza się znacznie rzadziej. W tej części kraju dobre babie lato masz co dwa, trzy lata. Pogoda, jaką mamy teraz, przytrafia się raz na osiem albo dziesięć lat. To

fałszywa wiosna, kłamliwa wiosna, podobnie jak babie lato jest fałszywym latem. Moja babcia mawiała, że truskawkowa wiosna poprzedza nadejście straszliwej burzy śnieżnej… im dłużej trwa truskawkowa wiosna, tym burza ta będzie silniejsza.

– Klity-bajdy – odparłem. – Nie wierzę w ani jedno słowo. – Popatrzyłem na niego. – Ale wiesz, jestem trochę podenerwowany. A ty?

Uśmiechnął się łaskawie i podgrandził mi papierosa z otwartej paczki leżącej na parapecie okna.

– Myślę, że wszyscy tylko nie ty i nie ja – odparł i z twarzy zniknął mu uśmiech. – Wiesz, czasami zastanawiam się nad tobą. Może pójdziemy do związku i pogramy sobie w bilard? Załatwię cię dziesięć do ośmiu.

– W przyszłym tygodniu mam egzamin wstępny z trygonometrii. Zamierzam zająć się magicznym cyrklem i stosem notatek.

Długo jeszcze po jego wyjściu mogłem tylko siedzieć i bezmyślnie gapić się w okno. A nawet później, kiedy już rozłożyłem książki i zabrałem się do pracy, jakaś cząstka mnie przebywała poza pokojem, spacerowała w ciemnościach, gdzie wartę pełniło coś niewyobrażalnie mrocznego.

Tej nocy zabita została Adelle Parkins. W tym samym czasie kampus patrolowało sześć wozów policyjnych i siedemnastu przebranych za studentów wywiadowców (ośmiu stanowiły ściągnięte z Bostonu kobiety). Ale Springheel Jack, dążąc do zabicia czterech z nas, był nieulękły. Fałszywa wiosna, kłamliwa wiosna pomogła mu i pobudziła go – zabił Adelle Parkins i zostawił ją za kierownicą jej dodge'a rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty, gdzie rano znaleziono zwłoki. Część ciała znajdowała się w samochodzie, a druga część w bagażniku. Na przedniej szybie widniały wymalowane krwią – to już nie była plotka – dwie sylaby: HA! HA!

Po tej tragedii kampus trochę zwariował. Wszyscy i nikt znaliśmy Adelle Parkins. Należała do tych bezimiennych, zaharowanych kobiet, jakie pracowały w Grinder od szóstej do dwudziestej trzeciej, zaspokajając w każdej chwili hamburgerami wilczy apetyt studentów, którzy wpadali do klubu w przerwach między wykładami a pracą w bibliotece. Te ostatnie trzy mgliste wieczory stanowiły zapewne najmniej uciążliwe dni w jej życiu; godzina policyjna była ściśle przestrzegana i po dwudziestej pierwszej Adelle obsługiwała jedynie policjantów i uradowanych dozorców – opustoszałe budynki

w dużym stopniu poprawiły im zły zazwyczaj humor.

Niewiele zostało do opowiadania. Policja, równie bliska histerii jak my, ponownie waliła głową w mur i aresztowała nieszkodliwego homoseksualistę, absolwenta socjologii. Hanson Gray utrzymywał, że „nie pamięta", gdzie spędził ostatnie, krytyczne noce. Przymknięto go, postawiono w stan oskarżenia, a następnie, po ostatniej, niemożliwej do opisania nocy truskawkowej wiosny, kiedy to na deptaku zarżnięta została Marsha Curran, polecono mu opuścić New Sharon i galopem wracać do rodzinnego miasteczka w New Hampshire.

Nikt nigdy się nie dowie, dlaczego wyszła samotnie – była tłustym stworzeniem o żałosnej urodzie, które mieszkało w mieście z trzema innymi dziewczętami. Przesmyrgnęła się na kampus równie cicho jak sam Springheel Jack. Co ją do tego skłoniło? Zapewne jakaś potrzeba, równie głęboka i niemożliwa do opanowania, jak żądza kierująca jej zabójcą. I podobnie niezrozumiała. Może wiódł ją przymus jakiegoś rozpaczliwego, pełnego namiętności romansu z ciepłą nocą, z ciepłą mgłą, z zapachem morza i zimnym nożem?

. . .

Stało się to dwudziestego trzeciego marca. Dwudziestego czwartego dyrektor college'u oznajmił, że ferie wiosenne zostaną przyśpieszone o tydzień, więc zanim nadeszła burza śnieżna, bynajmniej nie radośnie, lecz jak stado przerażonych owiec, rozjechaliśmy się do domów. Za nami został pusty kampus nawiedzany jedynie przez policję i mrocznego upiora.

Miałem własny samochód, więc zabrałem ze sobą sześć osób; ich bagaż upchaliśmy byle jak. Nie była to przyjemna podróż. Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że w samochodzie mógł jechać Springheel Jack.

Tej nocy temperatura spadła do piętnastu stopni poniżej zera. Nad całą północną Nową Anglią rozszalała się burza śnieżna, która zaczęła się opadem deszczu ze śniegiem, a zakończyła trzydziestocentymetrowymi zaspami. Jak zwykle, odpowiednia liczba starych pierników dostała zawałów serca, odgarniając ten śnieg… I nagle, jak za sprawą jakiejś magii, był już kwiecień. Ciepłe, przelotne deszcze, gwiaździste noce.

Nazwali to truskawkową wiosną – Bóg jeden wie dlaczego – i jest to zły, kłamliwy czas, który

nastaje tylko co osiem lub dziesięć lat. Springheel Jack odszedł wraz z mgłą, toteż na początku czerwca na kampusie mówiło się głównie o protestach przeciwko służbie wojskowej i pikiecie domu, w którym znany producent napalmu przeprowadzał nabór nowych pracowników. W lipcu powszechnie już unikano tematu Springheel Jacka – w każdym razie w rozmowach. Podejrzewam, że wiele osób roztrząsało ten problem na okrągło, szukając jakiejś luki w tym całym szaleństwie, wytłumaczenia, które by cokolwiek wyjaśniło.

W tym samym roku ukończyłem uczelnię, a w następnym ożeniłem się. Doskonała praca w lokalnym wydawnictwie. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym urodziło nam się dziecko; teraz jest już prawie w wieku szkolnym. Śliczny, ciekawy świata chłopak o moich oczach i jej ustach.

I oto dzisiejsza gazeta.

Oczywiście wiedziałem, że to przyszło. Wiedziałem o tym wczorajszego ranka, kiedy obudziłem się i usłyszałem tajemniczy dźwięk tającego, spływającego rynnami śniegu. Wiedziałem, gdy poczułem delikatną woń oceanu otulającą naszą frontową werandę, która znajduje się w odległości piętnastu kilometrów

od wybrzeża. Wiedziałem, że ponownie nadeszła truskawkowa wiosna, kiedy zeszłego wieczoru ruszałem z pracy do domu, bo musiałem włączyć w samochodzie czołowe reflektory, żeby przebić się przez mgłę, która właśnie zaczęła się podnosić z pól i zagłębień terenu, rozmywać sylwetki budynków i tańczyć w czarodziejskich halo wokół ulicznych latarni.

Poranna gazeta przyniosła wiadomość, że na kampusie w New Sharon, w pobliżu dział z czasów wojny domowej, znaleziono w topniejącej zaspie śnieżnej zamordowaną dziewczynę. Nie znaleziono… nie znaleziono jej całej.

Moja żona jest załamana. Chce wiedzieć, gdzie spędziłem ostatnią noc. Nie mogę jej tego wyjaśnić, ponieważ sam nie pamiętam. Pamiętam, jak wyruszałem z pracy do domu, pamiętam, jak włączałem reflektory, żeby przebić się przez cudownie nadpełzającą mgłę; ale to wszystko, co pamiętam.

Rozmyślałem o tym owej mglistej nocy, kiedy przechadzałem się z bólem głowy po terenach kampusu i mijałem te wszystkie urocze, niematerialne cienie pozbawione kształtu. I rozmyślałem o bagażniku swego samochodu – jakież to okropne słowo: bagażnik –

i zastanawiałem się, dlaczego tak bardzo boję się go otworzyć.

Kiedy piszę te słowa, słyszę, jak w sąsiednim pokoju płacze moja żona. Myśli, że ostatnią noc spędziłem z inną kobietą.

Boże drogi, wszystko bym oddał, żeby tak właśnie było.

GZYMS

– Proszę, niech pan zajrzy do torby – powiedział Cressner.

Znajdowaliśmy się w wytwornym apartamencie mieszczącym się na dachu czterdziestodwupiętrowego drapacza chmur. Dywan był puszysty, ciemnowiśniowy. Pośrodku, między baskijskim plecionym krzesłem, na którym siedział Cressner, a kanapką obitą prawdziwą skórą, na której w ogóle nigdy nikt nie siadał, stała brązowa plastikowa reklamówka.

– Jeśli to ma być ekwiwalent pieniężny, to proszę dać sobie z tym spokój – zaoponowałem. – Kocham ją.

– Tak, to są pieniądze, ale nie żaden ekwiwalent. Proszę, niech pan zajrzy do środka.

Palił tureckiego papierosa osadzonego w onyksowej lufce. Wspaniała klimatyzacja pomieszczenia sprawiała, że docierał do mnie

wyłącznie nikły zapach tytoniowego dymu. Cressner miał na sobie ozdobny jedwabny szlafrok z wyhaftowanym wizerunkiem smoka. Patrzył na mnie zza okularów spokojnymi, inteligentnymi oczyma. Wyglądał dokładnie na tego, kim był: tip-top, super-duper, pięćsetkaratowy farbowany dupek. Kochałem jego żonę, a ona była zakochana we mnie. Spodziewałem się zatem wielu kłopotów z jego strony, ale nie wiedziałem, jaki numer mi wykręci.

Podszedłem do reklamówki i odwróciłem ją dnem do góry. Na dywan wysypały się pliki banknotów w bankowych banderolach. Dwudziestodolarówki. Podniosłem jedną paczkę i przeliczyłem. Plik składał się z dziesięciu banknotów. A było ich bardzo dużo.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów – oświadczył i wypuścił z płuc papierosowy dym.

Wyprostowałem się.

– W porządku.

– Należą do pana.

– Nie chcę ich.

– To pomysł mojej żony.

Nic nie odpowiedziałem. Marcia ostrzegała mnie, że tak właśnie będzie. Powiedziała: „Jest

jak kot. Stary nikczemny kocur. Będzie chciał zrobić z ciebie mysz”.

– Więc jest pan zawodowym tenisistą – ciągnął. – Nigdy dotąd nie widziałem na oczy tenisisty.

– Twierdzi pan, że detektywi nie dostarczyli panu żadnych zdjęć?

– Wręcz przeciwnie. – Niedbale machnął fifką. – Przynieśli nawet film nakręcony w motelu Bayside uwieczniający was oboje. Kamera była umieszczona za lustrem. Ale zdjęcia to nie to samo.

– Skoro pan tak mówi.

„Nieustannie lawiruje i zmienia taktykę – mówiła Marcia. – Spycha ludzi do defensywy. Natychmiast wyczuje, że domyślasz się, dokąd zmierza, i ani się obejrzysz, a zaprowadzi cię zupełnie gdzieś indziej. Jak najmniej mów, Stan. I pamiętaj, że cię kocham”.

– Zaprosiłem pana tutaj, panie Norris, ponieważ pomyślałem sobie, że powinniśmy odbyć taką męską, szczerą rozmowę w cztery oczy. Sympatyczną pogawędkę dwóch cywilizowanych istot ludzkich, z których jedna ukradła drugiej żonę.

Chciałem w pierwszej chwili coś odpowiedzieć, ale ugryzłem się w język.

– Podoba się panu San Quentin? – zapytał Cressner, puszczając leniwie kółka dymu.

– Nieszczególnie.

– Jeśli się nie mylę, spędził pan tam trzy lata za kradzież z włamaniem.

– Marcia o tym wie – odparłem i natychmiast pożałowałem swoich słów.

Jak ostrzegała Marcia, tańczyłem, jak mi zagrał. Posyłałem mu miękkie loby, a on odpowiadał ostrą piłką.

– Pozwoliłem sobie przestawić pański samochód – powiedział, wyglądając przez okno znajdujące się po drugiej stronie pokoju.

Tak naprawdę to wcale nie było okno, lecz cała ściana ze szkła. W środku znajdowały się suwane szklane drzwi, a za nimi balkonik rozmiarów znaczka pocztowego. Dalej już tylko bardzo dużo świeżego powietrza. W samych drzwiach było coś dziwnego. Ale nie wiedziałem co.

– To bardzo przyjemny budynek – kontynuował Cressner. – Dobrze strzeżony. Ukryte kamery i te rzeczy. Kiedy dowiedziałem się, że jest pan już w westybulu, wykonałem telefon. Pracownik uruchomił pański samochód za pomocą krótkiego spięcia i odstawił wóz na parking publiczny, kilka przecznic dalej. –

Spojrzał na modernistyczny zegar z tarczą w kształcie słońca, wiszący nad kanapą. – O dwudziestej dwadzieścia ten sam pracownik zadzwoni z budki na policję i powie o pańskim samochodzie. Najpóźniej o dwudziestej trzydzieści przedstawiciele prawa odkryją w zapasowym kole w bagażniku pańskiego auta ponad sto osiemdziesiąt gramów heroiny. I od tej chwili będzie pan, panie Norris, kimś cholernie poszukiwanym.

Zrobił mnie na szaro. Choć starałem się zachowywać maksymalną ostrożność, stałem się dla niego zwykłą zabawką.

– Tak właśnie będzie, jeśli nie powiem mojemu pracownikowi, żeby zapomniał o tym telefonie.

– A ja muszę tylko poinformować pana, gdzie przebywa Marcia – domyśliłem się. – Ale to na nic, panie Cressner. Po prostu nie wiem. Zaaranżowaliśmy to tylko ze względu na pana.

– Moi ludzie ją śledzili.

– Nie sądzę. Zgubiliśmy ich na lotnisku.

Cressner westchnął, wyciągnął z lufki tlący się niedopałek i wrzucił go do krytej chromowanej popielniczki. Niedopałek i Stan Norris zostali potraktowani z tą samą uwagą.

– Cóż, ma pan rację – powiedział. – Stara sztuczka ze znikaniem w damskiej toalecie. Moich ludzi bardzo zirytował taki oklepany chwyt. Podejrzewam, że nie spodziewali się równie starego i prymitywnego grepsu.

Milczałem. Kiedy Marcia wymknęła się ludziom Cressnera na lotnisku, wsiadła do wahadłowego autobusu jadącego do miasta, a następnie udała się na dworzec autobusowy; to był nasz plan. Wzięła ze sobą dwieście dolarów, wszystkie pieniądze, jakie miałem na koncie. W tym kraju za dwieście dolarów autobus Greyhounda zawiezie człowieka wszędzie.

– Czy zawsze jest pan tak mało komunikatywny? – spytał z niekłamanym zainteresowaniem Cressner.

– Tak mi radziła Marcia.

– Sądzę, że będzie się pan domagał swoich praw, kiedy policja pana zgarnie – odparł trochę ostrzej. – Zobaczy pan moją żonę, kiedy będzie babcią przesiadującą w fotelu na biegunach. Czy zaświtała panu w głowie taka myśl? Myślę, że za posiadanie stu osiemdziesięciu gramów heroiny można dostać nawet czterdzieści lat.

– Ale Marcii i tak pan nie odzyska.

– Czy tu właśnie, pana zdaniem, leży pies pogrzebany? – Uśmiechnął się lekko. –

Prześledźmy całą sprawę. Pan i moja żona zakochaliście się w sobie. Mieliście ze sobą romans… jeśli romansem nazwie pan noce spędzane w tanich motelach. Żona rzuciła mnie. Ale ja mam pana. I jest pan, jak to się mówi, w kropce. Czy właściwie nakreśliłem obraz sytuacji?

– Teraz już rozumiem, dlaczego była tak panem zmęczona – odparłem.

Ku memu zdziwieniu zadarł głowę i wybuchnął śmiechem.

– Wie pan, panie Norris, nawet pana lubię. Jest pan wulgarny, pozbawiony fantazji, ale ma pan serce. Tak w każdym razie twierdziła Marcia. Nie dowierzałem jej. Nie umie oceniać ludzi. Ale widzę, że nie jest pan pozbawiony pewnego… wigoru. I dlatego przygotowałem wszystko tak, jak przygotowałem. Z pewnością Marcia wspomniała panu, że mam bzika na punkcie stawiania ludziom wyzwań.

– Owszem.

Teraz już wiedziałem, co jest nie w porządku z drzwiami w szklanej ścianie. Był środek zimy i nikt nie palił się do picia herbaty pod gołym niebem na dachu czterdziestodwupiętrowego wieżowca. Z balkonu wyniesiono wszystkie meble, ale drzwi nie osłonięto. Dlaczego?

– Nie przepadam za swoją żoną – zakomunikował Cressner, z namaszczeniem osadzając w lufce następnego papierosa. – To żadna tajemnica. Myślę, że nieraz panu o tym mówiła. I sądzę, że mężczyzna z… pańskim doświadczeniem doskonale sobie zdaje sprawę, że kochające i zadowolone żony nie wdają się w miłostki z lokalnym gwiazdorem tenisa na jedno jego skinienie rakiety. Moim zdaniem Marcia jest sztuczna, pruderyjna, marudna, beksa, plotkara…

– Wystarczy – przerwałem mu.

Uśmiechnął się chłodno.

– Och, bardzo przepraszam. Ciągle zapominam, że rozmawiamy o pańskiej ukochanej. Ale, ale… jest już dwudziesta szesnaście. Czy nie puszczają panu nerwy?

Wzruszyłem ramionami.

– No cóż, wróćmy do tematu – powiedział i zapalił papierosa. – Tak czy owak, jest pan zapewne ciekaw, dlaczego, jeśli tak bardzo nie lubię Marcii, nie chcę dać jej wolnej ręki i…

– Zupełnie mnie to nie interesuje.

Rzucił mi spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Jest z pana kawał egoistycznego, zaborczego, egocentrycznego sukinkota. Dokładnie tak. Nie

da pan nikomu tknąć żadnej swojej rzeczy; nawet jeśli już panu na niej nie zależy.

Poczerwieniał, po czym wybuchnął śmiechem.

– Jeden zero dla pana, panie Norris. Bardzo dobrze.

Znów wzruszyłem ramionami.

– Zamierzam rzucić panu wyzwanie. Jeśli pan mu sprosta, odejdzie pan stąd wolny, z pieniędzmi i z kobietą. W wypadku przegranej umrze pan.

Popatrzyłem na zegar. Nie miałem wiele do gadania. Była dwudziesta dziewiętnaście.

– W porządku – powiedziałem.

Cóż więcej mogłem zrobić? Grałem na zwłokę. Musiałem mieć czas, żeby obmyślić sposób, jak się stąd wydostać – nieważne, z pieniędzmi czy bez.

Cressner podniósł słuchawkę stojącego obok niego telefonu i wykręcił numer.

– Tony? Wariant drugi. Tak.

Odłożył słuchawkę.

– Cóż to za wariant drugi? – spytałem.

– Zadzwonię do Tony'ego za kwadrans i wtedy usunie… kompromitujący towar z bagażnika pańskiego samochodu, a wóz znów podstawi tutaj. Jeśli nie zatelefonuję, połączy się z policją.

– Nie należy pan do ludzi ufnych, prawda?

– Niech pan będzie rozsądny, panie Norris. Na dywanie leży dwadzieścia tysięcy dolarów. W tym mieście mordują dla dwudziestu centów.

– O jaki zakład panu chodzi?

Na twarzy odmalował mu się wyraz niekłamanego bólu.

– Wyzwanie, panie Norris, wyzwanie. Dżentelmeni rzucają wyzwanie. Zakłada się pospólstwo.

– Skoro pan tak mówi…

– Wspaniale. Zauważyłem, że zainteresował się pan moim balkonem.

– Zdjął pan osłony.

– Tak. Po południu często tak robię. Moja propozycja brzmi: obejdzie pan cały budynek po gzymsie, który biegnie tuż pod okapem dachu. Jeśli uda się panu ta sztuka, zgarnia pan całą pulę.

– Zwariował pan.

– Przeciwnie. W ciągu dwunastu lat, przez które zajmuję ten apartament, podobną propozycję złożyłem sześciu osobom. Trzy z nich były zawodowymi sportowcami, jak pan. Jeden to kapitan drużyny piłkarskiej, bardziej znany z występów w telewizji komercyjnej niż ze swojej gry, drugi to baseballista, a trzeci – słynny dżokej,

który choć każdego roku zarabiał bajońskie sumy, musiał również płacić olbrzymie alimenty. Pozostała trójka składała się ze zwykłych obywateli, których łączyła wspólna cecha: byli wspaniale zbudowani i niezwykle łasi na pieniądze. – Umilkł i przez chwilę w zadumie palił papierosa. – W pięciu przypadkach moja propozycja została odrzucona natychmiast. W jednym została przyjęta. Stawką było dwadzieścia tysięcy dolarów przeciw sześciu miesiącom służby u mnie. Wygrałem. Facet wyjrzał z balkonu i prawie zemdlał. – Cressner był nadęty i wyraźnie rozbawiony. – Oświadczył, że na dole wszystko jest takie malutkie. To odebrało mu całą odwagę.

– Dlaczego pan myśli…

Przerwał mi pełnym zniecierpliwienia machnięciem ręki.

– Niech pan nie marudzi, panie Norris. Wiem, że przyjmie pan wyzwanie, bo nie ma pan innego wyjścia. Na tym właśnie polega cały figiel: albo dwadzieścia tysięcy dolarów, albo czterdzieści lat przymusowego pobytu w San Quentin. Pieniądze i kobieta stanowią jedynie zachętę, co świadczy dobrze o moim charakterze i intencjach.

– Jakie mam gwarancje, że nie nabija mnie pan w butelkę? A jeśli dokonam tego, a pan mimo

to zadzwoni do Tony’ego, żeby i tak swoje zrobił?

Westchnął.

– Jest pan chodzącym przypadkiem paranoi, panie Norris. Nie kocham swojej żony. Jej obecność niebywale rani moje potężne ego. Dla mnie dwadzieścia tysięcy dolarów to psie pieniądze. Co tydzień płacę policji cztery razy wyższą łapówkę. Ale wracając do mego wyzwania… – Oczy mu rozbłysły. – To dla mnie nie ma ceny.

Zastanawiałem się, a on mi nie przeszkadzał. Zapewne zdawał sobie sprawę z tego, że prawdziwa klasa nie wymaga reklamy. Miałem trzydzieści sześć lat i byłem starym tenisistą wyrobnikiem, a klub pod lekkim naciskiem Marcii skłonny był rozwiązać ze mną kontrakt. Tenis to jedyna rzecz, na której się znałem, i doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nie dostałbym innej pracy, nawet stróża nocnego – zwłaszcza że miałem zapaskudzoną kartotekę. Był to wprawdzie młodzieńczy wybryk, ale pracodawców to nie obchodziło.

A najśmieszniejsze w tym wszystkim, że naprawdę kochałem Marcię Cressner. Zakochałem się, ze wzajemnością zresztą, już po drugiej lekcji tenisa, którą dawałem jej o godzinie dziewiątej rano. Cóż, Stan Norris takie już miał

szczęście. Po trzydziestu sześciu latach kawalerstwa zakochałem się w niej jak worek listów w żonie naczelnika poczty.

Stary kocur, który z niezmąconym spokojem siedział i palił importowanego tureckiego papierosa, oczywiście dobrze o tym wszystkim wiedział. I jeszcze coś. Nie miałem żadnych gwarancji, że dotrzyma warunków, jeśli nawet przyjmę wyzwanie i wygram, ale również wiedziałem, że o dwudziestej drugiej Cressner będzie jeszcze mniej do tego skłonny. A ja wyjdę na wolność na przełomie stuleci.

– Chcę wiedzieć jedno – odezwałem się w końcu.

– Co pan chce wiedzieć, panie Norris?

– Proszę spojrzeć mi głęboko w oczy i powiedzieć, czy jest pan kanciarzem, czy nie.

Popatrzył mi prosto w oczy.

– Panie Norris – oświadczył cicho. – Ja nigdy nie kantuję.

– W porządku – skinąłem głową.

Czyż miałem inny wybór?

Rozpromienił się i wstał.

– Cudownie! Cudownie! Proszę, niech pan podejdzie ze mną do drzwi balkonowych, panie Norris.

Podeszliśmy do szklanej ściany. Na twarzy malował mu się taki wyraz, jaki ma człowiek, który scenę tę przeżywał we śnie setki razy i wreszcie ziściły się jego marzenia.

– Gzyms ma dokładnie trzynaście centymetrów szerokości – odezwał się z rozmarzeniem. – Osobiście mierzyłem. Nawet stanąłem na tym występie; oczywiście trzymałem się poręczy balkonu. Musi pan przejść przez balustradę na drugą stronę. Wtedy poręcz będzie panu sięgać do piersi. Potem chwyty się skończą. Będzie pan pełznął do przodu centymetr po centymetrze, uważając, żeby nie stracić równowagi.

Utkwiłem wzrok w czymś za oknem… w czymś, czego widok zmroził mnie do szpiku kości. Wiatromierz. Apartament Cressnera znajdował się w bezpośredniej bliskości jeziora i niechybnie tego budynku nie chroniły przed uderzeniami wichury drapacze chmur. Wiały tu z pewnością zimne wiatry tnące niczym nóż. Wskazówka przyrządu stała wprawdzie nieruchomo na dziesiątce, ale w każdej chwili mógł przyjść potężny podmuch, który pchnąłby ją na dwadzieścia pięć, żeby po kilku sekundach ponownie wróciła na dziesiątkę.

– Proszę, widzę, że zauważył pan mój wiatromierz – skonstatował jowialnie Cressner. – Po drugiej stronie panują dużo silniejsze wiatry. Tak naprawdę dzisiaj jest wyjątkowo spokojnie. Były tu wieczory, kiedy strzałka dochodziła do osiemdziesięciu pięciu… wtedy cały budynek się kołysał. Zupełnie jakby człowiek siedział na okręcie na bocianim gnieździe. Jak na obecną porę roku jest wyjątkowo ciepło.

Wskazał wieżowiec będący siedzibą banku. Na jego dachu widniała świetlna tablica pokazująca aktualną temperaturę i czas. Termometr wskazywał dziewięć stopni ciepła. Ale przy silnym wietrze temperatura mogła spaść do minus siedmiu.

– Czy ma pan jakiś płaszcz? – spytałem.

Włożyłem na siebie jedynie cienką kurtkę.

– Niestety, nie. – Cyfry na bankowym wieżowcu wskazywały teraz godzinę. Była dwudziesta trzydzieści dwie. – No, myślę, panie Norris, że czas na pana. Proszę zaczynać, bo w przeciwnym wypadku zadzwonię do Tony’ego i zaczniemy realizować wariant trzeci. Tony to dobry chłopiec, choć czasami bywa impulsywny. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Rozumiałem. Aż za dobrze.

Myśl o wspólnym życiu z Marcią, z dala od macek Cressnera i z wystarczającą ilością pieniędzy, żeby zacząć coś od nowa, skłoniła mnie do rozsunięcia szklanych drzwi i wyjścia na balkon. Było zimno i wilgotno; rozwiane włosy przesłoniły mi oczy.

– *Bon soir* – usłyszałem za plecami głos Cressnera, lecz nawet nie pofatygowałem się, by zerknąć w jego stronę.

Zbliżyłem się do balustrady, ale nie spojrzałem na dół. Jeszcze nie. Zacząłem głęboko oddychać.

Nie był to rodzaj żadnego ćwiczenia, a po prostu próba autohipnozy. Z każdym wdechem-wydechem człowiek wyrzuca z siebie jakiś fragment swojej jaźni, aż zostaje wyłącznie świadomość czekającego zadania. Za pierwszym oddechem wyrzuciłem z siebie pieniądze, a za drugim Cressnera. Marcia zajęła mi dużo więcej czasu – przed oczyma duszy bez przerwy jawiła mi się jej twarz mówiąca, żebym nie był głupcem, żebym nie podejmował tej gry, że Cressner może nie oszukuje, ale zawsze ma jakiegoś asa w rękawie. Nie słuchałem przestróg. Nie było mnie na to stać. Jeśli przegram, nigdy już nie kupię sobie piwa ani nie sprawdzę naciągu rakiety. Zamienię się w czerwoną miazgę

rozchlapaną na wszystkie strony na Deakman Street.

Pod wpływem tej refleksji popatrzyłem w dół.

Ściana budynku uciekała zawrotnie w dół niczym gładkie, wapienne urwisko kończące się na poziomie ulicy. Zaparkowane samochody wyglądały jak matchboxy warte pięć dolarów dziesięć centów za sztukę. Te, które przejeżdżały właśnie obok budynku, sprawiały wrażenie maleńkich iskierek światła. Gdyby człowiek spadał z tej wysokości, miałby wiele czasu na uświadomienie sobie tego, co się dzieje, widziałby rozwiewane wiatrem własne ubranie i oblicze ziemi zbliżające się w coraz większym tempie. Miałby czas, żeby długo, bardzo długo krzyczeć. A dźwięk, jaki wydałby przy uderzeniu o ziemię, przypominałby odgłos roztrzaskującego się przejrzałego melona.

Zrozumiałem, dlaczego tamten facet scykorował. Ale on miał w perspektywie zaledwie sześć miesięcy. Mnie czekało czterdzieści długich lat, podczas których nie ujrzałbym ani razu Marcii.

Popatrzyłem na gzyms. Był bardzo wąski; nigdy w życiu nie widziałem tak wąskich trzynastu centymetrów, które bardziej przypominały dwa. Ale przynajmniej sam

budynek był nowy, więc może nic się pode mną nie ukruszy.

Taką w każdym razie miałem nadzieję.

Przeszedłem przez balustradę i ostrożnie obniżyłem się tak, że stanąłem na gzymsie. Pięty wystawały mi w próżnię. Podłoga balkonu znajdowała się na wysokości mojej piersi i na apartament Cressnera spoglądałem przez kute w żelazie, ozdobne pręty. Właściciel apartamentu stał w drzwiach, palił papierosa i obserwował mnie, jak naukowiec obserwuje świnkę morską, najwyraźniej zainteresowany tym, jaki efekt wywrze na niej ostatni zastrzyk.

– Niech pan zadzwoni – powiedziałem, trzymając się balustrady.

– Słucham?

– Niech pan zadzwoni do Tony'ego. Nie ruszę się stąd, dopóki pan tego nie zrobi.

Cressner wrócił do salonu – z mojej perspektywy pokój wyglądał teraz niebywale przytulnie, bezpiecznie i przyjemnie – i podniósł słuchawkę telefonu. To i tak nie miało sensu. Przebywając na wietrze, nie mogłem usłyszeć tego, co mówił. Potem odłożył słuchawkę i wrócił na balkon.

– Musi pan bardzo uważać, panie Norris – powiedział.

– Niech pana o to głowa nie boli.

– Do widzenia, panie Norris. Zobaczymy się niedługo… Zapewne.

Należało zaczynać. Pogaduszki się skończyły. Po raz ostatni pozwoliłem sobie pomyśleć o Marcii, o jej jasnobrązowych włosach, wielkich szarych oczach, rozkosznym ciele, po czym wyrzuciłem ją z pamięci na dobre. Nie patrzyłem również w dół. Gdybym zobaczył rozciągającą się pode mną przestrzeń, mógłbym zdrętwieć ze strachu. Bardzo łatwo wtedy straciłbym równowagę albo po prostu zemdlałbym pod wpływem lęku. Musiałem nałożyć sobie klapki na oczy, skoncentrować się jedynie na miarowym: lewa, prawa, lewa, prawa.

Ruszyłem w prawo, trzymając się balkonowej balustrady tak długo, jak to było możliwe. Bardzo szybko przekonałem się, że będę musiał wykorzystywać wyrobione przez lata gry w tenisa mięśnie i ścięgna kostek. Ponieważ pięty sterczały mi na zewnątrz gzymsu, właśnie na kostkach spoczywał cały ciężar ciała.

Balkon się skończył, a ja uświadomiłem sobie, że chyba jednak nie odważę się puścić zbawczej poręczy. Uczyniłem to najwyższym wysiłkiem woli. Trzynaście centymetrów to diabelnie dużo miejsca. Przekonywałem sam siebie, że gdyby

występ w murze znajdował się nad samą ziemią, a nie na wysokości stu dwudziestu metrów, obiegłbym budynek w cztery minuty. Robiłem dobrą minę do złej gry.

Ba, gdyby gzyms ciągnął się nad samą ziemią i spadłbym, mruknąłbym tylko pod nosem: głupstwo – i ponowiłbym próbę. Tutaj człowiek miał tylko jedną szansę.

Przesunąłem prawą stopę i dostawiłem do niej lewą. Puściłem się balustrady. Uniosłem ręce i przyłożyłem rozwarte dłonie do szorstkiego kamienia, którym wyłożone były ściany budynku. Pieściłem kamień. Mógłbym go nawet całować.

Uderzył mnie podmuch wiatru i szarpnął kołnierzem kurtki, który na chwilę przysłonił mi twarz. Zachwiałem się. Serce we mnie zamarło aż do chwili, kiedy wiatr ucichł. Mocniejszy podmuch mógłby strącić mnie z mojej grzędy, a wtedy poszybowałbym w dół, w objęcia nocy. A po drugiej stronie wiatr będzie jeszcze silniejszy!

Spojrzałem w lewo, przyciskając twarz do kamienia. Cressner, przechylony przez balustradę balkonu, bacznie mnie obserwował.

– Jak leci? – spytał uprzejmie.

Miał na sobie brązowy płaszcz z wielbłądziej wełny.

– A mówił pan, że nie ma płaszcza.

– Skłamałem – wyjaśnił gładko. – Bardzo często zdarza mi się kłamać.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nic… zupełnie nic. A może i chcę. To taka drobna wojna psychologiczna, panie Norris. Ale radzę panu nie przedłużać pańskiego występu. Ścięgna w kostkach mogą odmówić posłuszeństwa, a wtedy…

Wyciągnął z kieszeni jabłko, odgryzł kawałek, a następnie wyrzucił owoc za balkon. Dopiero po bardzo długim czasie dobiegło mnie ciche, przyprawiające o mdłości pacnięcie. Cressner zachichotał.

Kompletnie mnie swoim gadaniem zdekoncentrował. Czułem, jak stalowe zęby strachu szarpią moją duszę. Ogarnęło mnie przerażenie. Odwróciłem głowę i zacząłem głęboko oddychać. Po chwili odzyskałem spokój. Spojrzałem na zegar na dachu wieżowca. Wybiła dwudziesta czterdzieści sześć. Pod cyframi widniał napis: „Pora oszczędzać, żeby nikt nie tracił”.

Kiedy pojawiły się cyfry 8:49, całkowicie już nad sobą panowałem. Cressner sądził chyba, że

zamieniłem się w sopel lodu, ponieważ kiedy zbliżałem się do załomu ściany, usłyszałem jego szydercze klaskanie.

Zaczynał mi dokuczać chłód. Wiejący bezpośrednio od jeziora wiatr stawał się bardzo zimny; wilgotny ziąb przewiercał mi ciało niczym świder. Wiatr wdzierał się pod cienką kurtkę i wydymał ją na wszystkie strony. Ale nie zważając na piekielne zimno, posuwałem się powoli do przodu. Jeśli chcę, żeby mi się powiodło i nie spotkała mnie jakaś zła przygoda, muszę robić wszystko powoli, dokładnie i z namysłem. Jeśli zacznę się śpieszyć, spadnę.

Kiedy dotarłem do narożnika, bankowy zegar wskazywał dwudziestą pięćdziesiąt dwie. Nie miałem najmniejszego problemu z wyborem drogi – gzyms prowadził dookoła budynku, załamując się na narożnikach pod kątem prostym – ale moja prawa dłoń mówiła mi, że za załomem muru czeka mnie boczny wiatr. Jeśli niewłaściwie ustawię ciało, szybko rozpocznę długą podróż w dół.

Czekałem, aż wiatr trochę ucichnie, ale najwyraźniej nie zamierzał przestać wiać, zupełnie jakby chciał zadowolić Cressnera. Chłostał mnie złośliwie niewidzialnymi palcami, wybijając z równowagi; szturchał, łaskotał.

W końcu, po jednym ze szczególnie silnych podmuchów, który sprawił, że o mało nie spadłem, zrozumiałem, że mogę tak czekać do końca świata, a wiatr nie ustanie.

Tak więc, kiedy na chwileczkę siła wiatru się zmniejszyła, przesunąłem prawą stopę za róg i ściskając dłońmi obie schodzące się ściany, przewinąłem się za załom. Bijący z dwóch kierunków wiatr popychał mnie w dwie strony jednocześnie i przez moment myślałem, że Cressner wygrał zakład. Przesunąłem jeszcze trochę stopę i przykleiłem się do ściany. Odetchnąłem; gardło miałem kompletnie wyschnięte.

I wtedy tuż przy moim uchu rozległo się pogardliwe parsknięcie.

Zaskoczony, odruchowo szarpnąłem ciało do tyłu i zachwiałem się. Dłonie oderwały się od ściany i przez chwilę jak oszalały młóciłem rękami powietrze, próbując złapać straconą równowagę. Myślę, że gdybym podczas tego szaleńczego tańca uderzył ręką w mur, byłoby po mnie. Po jakimś jednak czasie, który wydawał się wiecznością, grawitacja najwyraźniej postanowiła dać mi jeszcze jedną szansę i nie skazała mnie na lot, który nieuchronnie

zakończyłby się na bruku czterdzieści dwa piętra niżej.

Jak oszalały ze świstem wciągałem powietrze, nogi miałem jak z waty. Ścięgna w kostkach wibrowały niczym przewody pod wysokim napięciem. Nigdy jeszcze nie czułem się tak śmiertelny. Po prostu w plecy dyszała mi zimnym oddechem kostucha.

Odwróciłem głowę i popatrzyłem w górę. Mniej więcej metr nad sobą ujrzałem Cressnera, który wychylał się z okna swojej sypialni. W dłoniach trzymał piszczałkę wydającą dziwne dźwięki, której używa się podczas zabaw sylwestrowych.

– Trzymaj się, chłopie – powiedział.

Puściłem jego słowa mimo uszu. Nie zamierzałem marnować energii na dyskusje. Serce mi łopotało, obijając się boleśnie o żebra. Szybko przesunąłem się jakieś dwa metry do przodu; tak na wszelki wypadek, gdyby przyszedł Cressnerowi do głowy szampański pomysł dania mi kuksańca. Potem przystanąłem, zamknąłem oczy i przez chwilę oddychałem głęboko, dochodząc do siebie po tym jego figlu.

Znajdowałem się na krótszej ścianie budynku. Z prawej strony majaczyło nade mną tylko kilka najwyższych wieżowców w mieście. Po lewej

ręce rozciągała się czarna płaszczyzna jeziora, na której unosiło się kilka nikłych światełek. Wiatr wył i zawodził.

Na kolejnym załomie zawirowania powietrzne nie były tak silne i bez kłopotu przewinąłem się na następną ścianę.

Wtedy coś mnie ugryzło.

Drgnąłem i gwałtownie wciągnąłem powietrze. Przestraszyłem się, że stracę równowagę, więc całym ciałem przylgnąłem do ściany. Znów coś mnie ugryzło… nie, to było skubnięcie. Popatrzyłem pod nogi.

Na krawędzi gzymsu siedział gołąb i spoglądał na mnie błyszczącymi, pełnymi nienawiści ślepkami.

Mieszkańcy miasta przyzwyczajeni są do widoku gołębi. Jest ich w mieście tyle samo co taksówkarzy, którzy nigdy nie mają drobnych, żeby wydać resztę z banknotu dziesięciodolarowego. Te ptaszyska nie lubią latać i strzegą swoich miejsc na chodnikach, jakby przebywanie na nich było ich niezbywalnym prawem nadanym im przez Boga. Pewnie, a na masce swego samochodu człowiek zawsze znajdzie ich wizytówkę. Ale rzadko kiedy zwracamy na nie uwagę. Czasami nas irytują, ale

generalnie nie przejmujemy się obecnością tych intruzów w naszym świecie.

Ale teraz ja byłem intruzem w jego świecie, byłem zupełnie bezradny i bezbronny, a on najwyraźniej świetnie o tym wiedział. Ponownie dziobnął mnie w naprężoną do granic wytrzymałości kostkę; nogę przeszył okropny ból.

– Zjeżdżaj stąd! – warknąłem. – Spadaj!

W odpowiedzi gołąb dziobnął mnie znowu. Z pewnością, według jego mniemania, wpakowałem mu się do domu; w tym miejscu gzyms pokryty był ptasimi odchodami; starymi i całkiem świeżymi.

Z góry dobiegł mnie głuchy pisk.

Odchyliłem głowę najdalej jak zdołałem i popatrzyłem w górę. Ujrzałem celujący prosto w moją twarz dziób i o mały włos nie spadłem. Gdyby do tego doszło, stałbym się pierwszą śmiertelną ofiarą gołębi w historii miasta. Była to mamusia-gołąb, broniąca jak lwica swoich piskląt w gnieździe pod okapem dachu. Łaska boska, gniazdo znajdowało się w takiej odległości, że dziób ptaka nie dosięgnął mojej twarzy.

Mąż pani mamusi ponownie dziobnął mnie w kostkę i tym razem poczułem, że po nodze

zaczyna spływać mi krew. Centymetr po centymetrze przesunąłem się do przodu, mając nadzieję, że w końcu wypłoszę ptaszysko. Ale skądże! Gołębie nie są płochliwe; a już na pewno nie gołębie miejskie. Skoro pędząca jezdnią ciężarówka zmusza je najwyżej do szybszego, ale pełnego dostojeństwa kroku, to co dopiero ma powiedzieć człowiek zawieszony między niebem a ziemią na wąziutkim gzymsie?

W miarę jak się posuwałem, pierzasty upiór wędrował razem ze mną i nie spuszczał ze mnie wzroku; z wyjątkiem tych chwil, kiedy wyciągał głowę, żeby kolejny raz uderzyć mnie w kostkę. Z każdym uderzeniem dzioba ból stawał się przenikliwszy; ptak dotarł już do żywego mięsa… i wszystko wskazywało na to, że bardzo mu smakowałem.

Kopnąłem go prawą stopą. Było to bardzo słabe kopnięcie… tak naprawdę, to tylko próbowałem kopnąć. Gołąb niemrawo zamachał skrzydłami i ponownie ruszył do ataku. A ja dotarłem już prawie do końca ściany.

Gołąb dziobał, dziobał i dziobał.

Uderzył we mnie lodowaty podmuch wiatru, zachwiałem się, zaszorowałem opuszkami palców po chropowatym murze i przytuliłem

lewy policzek do ściany. Dłuższy czas odpoczywałem w tej pozycji, ciężko dysząc.

Cressner, choćby myślał i dziesięć lat, nie wymyśliłby gorszej tortury. Jednego dziobnięcia nie poczułbym wcale. Tak samo dwóch albo i trzech. Ale to cholerne ptaszysko dziobnęło mnie jeszcze ze sześćdziesiąt razy, zanim dotarłem w końcu do kutej w żelazie balustrady balkonu apartamentu znajdującego się po przeciwnej stronie budynku niż mieszkanie Cressnera.

Dotknięcie balustrady było niczym dotknięcie wrót raju. Zacisnąłem gracko dłonie na pionowych prętach i w pierwszej chwili pomyślałem, że nie puszczę już ich do dnia Sądu Ostatecznego.

Dziobnięcie.

Gołąb popatrzył na mnie błyszczącymi paciorkami z prawie ludzkim zadowoleniem. Najwyraźniej był świadom mojej niemocy i własnej potęgi. Do złudzenia przypominał Cressnera w chwili, kiedy ten z namaszczeniem wyprowadzał mnie na balkon po przeciwnej stronie budynku.

Chwyciłem się z całych sił balustrady i kopnąłem gołębia. Trafiłem idealnie. Wrzasnął, aż zagrało mi w duszy, i obrzydłe ptaszysko, jak

wystrzelone z katapulty, poszybowało swobodnie w powietrzu, machając rozpaczliwie skrzydłami. Kilkanaście siwych piór uniosło się w przestrzeni. Niektóre wylądowały na gzymsie, a reszta łabędzim lotem zaczęła opadać ku ziemi, szybko niknąc mi z oczu.

Ciężko dysząc, wgramoliłem się na balkon i opadłem jak zużyta ścierka. Mimo przenikliwego chłodu pot ściekał ze mnie strumieniami. Nie wiem, jak długo leżałem na tym balkonie, dochodząc do siebie. Drapacz chmur z bankowym zegarem był zasłonięty, a ja nie noszę zegarka.

Zanim mięśnie zdążyły mi zupełnie zesztywnieć, usiadłem i spuściłem skarpetkę. Skórę na prawej kostce miałem poszarpaną i obficie ciekła z niej krew, ale rana wyglądała na powierzchowną. Niemniej, jeśli zamierzałem podjąć wędrówkę i ukończyć ją szczęśliwie, musiałem coś z tym zrobić. Bóg jeden wie, jakie świństwa przenoszą gołębie. Początkowo myślałem, żeby ranę obandażować, ale przyszło mi do głowy, że w razie gdyby gałgan się odwiązał, mógłbym nadepnąć na jego koniec, a to miałoby tragiczny finał. Na ranę przyjdzie czas. Wtedy będę mógł sobie kupić bandaży za dwadzieścia tysięcy dolarów.

Podniosłem się z balkonu i rzuciłem tęskne spojrzenie na ciemny apartament. Opuszczony, pusty, niezamieszkany. Na balkonowe drzwi zsunięta została masywna osłona przeciwwiatrowa. Naturalnie, sforsowałbym ją bez trudu, ale tym samym złamałbym naszą umowę, a wtedy miałbym do stracenia więcej niż pieniądze.

Kiedy nie mogłem już dłużej odwlekać chwili wyruszenia w dalszą drogę, przesmyrgnąłem się przez balustradę i znów stanąłem na gzymsie. Gołąb – kilka piór miał solidnie połamanych – przysiadł pod gniazdem w miejscu, gdzie było najwięcej guana, i ponuro łypał na mnie okiem. Nie sądziłem, żeby jeszcze mnie napastował; ostatecznie oddalałem się od jego terytorium.

Początek drogi był upiorny – dużo gorszy niż wtedy, kiedy opuszczałem balkon Cressnera. Zdawałem sobie sprawę z tego, że muszę kontynuować moją wędrówkę po gzymsie, ale jednocześnie coś krzyczało we mnie, że opuszczanie bezpiecznej przystani, jaką był balkon po przeciwnej stronie do balkonu Cressnera, jest przejawem największej głupoty. A jednak musiałem to zrobić; ponaglał mnie do tego obraz twarzy Marcii, która nagle, jak żywa, wyłoniła się z otaczających mnie ciemności.

Dotarłem do kolejnej krótszej ściany, przewinąłem się przez narożnik i powoli pełzłem wzdłuż muru. Teraz, kiedy byłem coraz bliżej końca tej upiornej wędrówki, coś krzyczało we mnie, żeby przyśpieszyć i skończyć z tym wszystkim. Ale jeśli zacząłbym się posuwać szybciej, zginąłbym nieuchronnie. Zmusiłem się więc do tego, by poruszać się bardzo powoli i bardzo ostrożnie.

Miałem więcej szczęścia niż rozumu, ponieważ zawirowania powietrzne prawie same przepchnęły mnie przez czwarty narożnik. Ponownie przykleiłem się do ściany i długo trwałem w bezruchu, ciężko łapiąc oddech. Ale po raz pierwszy zaświtała mi w głowie myśl, że sprostam wyzwaniu i wygram zakład. Dłonie miałem jak befsztyki wyjęte z zamrażarki, stopy paliły mnie żywym ogniem (zwłaszcza prawa kostka, poraniona przez tego cholernego gołębia), pot zalewał mi oczy, ale wiedziałem, że zrobię to. Daleko, w połowie ściany, balkon Cressnera pałał żółtym światłem, a w oddali, niczym przyjazna dłoń zapraszająca gościnnie do domu, migał zegar na dachu bankowca; wskazywał dwudziestą drugą czterdzieści osiem. Mnie jednak wydawało się, że na tym gzymsie

o szerokości trzynastu centymetrów spędziłem całe życie.

I niech Bóg ma w opiece Cressnera, jeśli zamierza mnie okantować i czmychnąć z pieniędzmi. Chęć pośpiechu opuściła mnie zupełnie. Wlokłem się. Kiedy na zegarze wybiła dwudziesta trzecia zero dziewięć, położyłem prawą rękę na kutej w żelazie poręczy balkonu, a następnie dołączyłem do niej lewą. Wgramoliłem się na balustradę i przerzuciłem ciało na drugą stronę. Z ogromnym westchnieniem ulgi osunąłem się na podłogę balkonu i… poczułem na skroni lodowatą końcówkę lufy czterdziestkipiątki.

Uniosłem głowę i ujrzałem potwornego jegomościa, na którego widok zatrzymałby się nawet sam Big Ben. Facet patrzył na mnie, szczerząc w uśmiechu zęby.

– Wspaniale! – dobiegł mnie zza jego pleców głos Cressnera. – Biję panu brawo, panie Norris! – Zaklaskał. – Weź go do środka, Tony.

Tony ostrym szarpnięciem postawił mnie na nogi tak gwałtownie, że zgrzytnęły mi kości w stopach. Idąc balkonem w kierunku drzwi prowadzących do salonu, musiałem trzymać się poręczy.

Cressner stał obok kominka i pociągał brandy z kieliszka wielkości średniego akwarium. Pieniądze zostały ponownie schowane do plastikowej reklamówki, która ciągle leżała na środku pokoju, na ciemnowiśniowym dywanie.

Mignęło mi moje odbicie w lustrze wiszącym po drugiej stronie pomieszczenia. Miałem potargane włosy i twarz białą jak kreda, ale w czerwone cętki. Wzrok szalony.

Swoje oblicze widziałem tylko przez mgnienie oka, ponieważ przeleciałem przez pokój jak burza i wylądowałem na baskijskim krześle, które przewracając się pod moim ciężarem, wyhamowało lot.

Kiedy podniosłem się już z podłogi i postawiłem krzesło, usiadłem na nim i wydusiłem z siebie:

– Ty wszawy kanciarzu. Oszukałeś mnie. Wszystko sobie zaplanowałeś z góry.

– Rzeczywiście, wszystko sobie zaplanowałem – odparł Cressner, ostrożnie stawiając na okapie kominka kieliszek z brandy. – Ale kanciarzem nie jestem, panie Norris. Naprawdę nie. Po prostu przegrałem. A Tony jest tutaj na wypadek, gdyby próbował pan zrobić coś… nieprzemyślanego.

Dotknął palcem podbródka i zachichotał.

Wcale nie sprawiał wrażenia kogoś, kto przegrał. Wyglądał raczej na kota z piórkami kanarka na pysku. Zerwałem się z krzesła przerażony bardziej niż wtedy, kiedy wędrowałem po gzymsie.

– Wszystko pan zaplanował – powiedziałem powoli. – Wszystko, od początku do końca.

– Wcale nie. W pańskim samochodzie nie ma już heroiny, a auto czeka na pana na parkingu. Proszę, tu ma pan pieniądze. Niech pan je bierze i wynosi się z mego domu.

– Świetnie – powiedziałem.

Tony, niczym jakiś niedobitek z Halloween, stał nieruchomo przy szklanych drzwiach prowadzących na balkon. W ręku trzymał czterdziestkępiątkę. Podszedłem do reklamówki, podniosłem ją z podłogi i szurając zdrętwiałymi ciągle stopami, ruszyłem w stronę wyjścia. W każdej chwili spodziewałem się strzału w plecy. Kiedy jednak otworzyłem drzwi, odniosłem takie samo wrażenie jak na gzymsie, gdy przewinąłem się przez czwarty narożnik: podołam wyzwaniu.

Zatrzymał mnie leniwy, pełen rozbawienia głos Cressnera.

– Chyba sam pan nie wierzy w to, że stara sztuczka z damską toaletą wypaliła?

Nie wypuszczając reklamówki z garści, powoli odwróciłem się w jego stronę.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Powiedziałem już, że nie jestem kanciarzem i nigdy nim nie byłem. Panie Norris, wygrał pan trzy rzeczy: pieniądze, wolność i moją żonę. Ale odbierze pan tylko dwie. Trzecią może pan odebrać w miejskiej kostnicy.

Gapiłem się w niego jak cielę w malowane wrota, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu.

– Chyba nie myślał pan poważnie, że pozwolę panu tak swobodnie ją sobie zabrać – odezwał się z politowaniem Cressner. – Ach, naturalnie, pieniądze: proszę bardzo! Wolność? Jak najbardziej! Ale nie Marcię. Chwileczkę, nadal nie jestem kanciarzem. Kiedy już pan ją pochowa…

Nie ruszyłem w jego stronę. Jeszcze nie. Jego zostawiłem sobie na później. Ruszyłem w stronę Tony’ego, który sprawiał wrażenie trochę zaskoczonego i ożywił się dopiero wtedy, kiedy Cressner odezwał się cicho:

– Zastrzel go, proszę!

Cisnąłem torbą z pieniędzmi. Trafiła ze straszliwą siłą prosto w rewolwer. Na gzymsie nie używałem ramion i nadgarstków, a każdy

tenisista te właśnie partie ciała ma rozwinięte najlepiej. Pocisk uderzył w ciemnowiśniowy dywan, a ja już byłem przy facecie.

Miał gębę bandyty. Wyrwałem mu z ręki spluwę i grzmotnąłem lufą w środek nosa. Osunął się na podłogę; wyglądał jak Rondo Hatton.

Cressner znalazł się już prawie przy drzwiach, kiedy wycelowałem. Kula przeleciała mu tuż nad ramieniem.

– Stój albo umrzesz!

Błyskawicznie wszystko przekalkulował i przystanął. Kiedy odwrócił się w moją stronę, jego twarz znużonego życiem światowca straciła wiele ze swego fasonu. Straciła jeszcze więcej, kiedy ujrzał leżącego na ziemi Tony'ego, który dławił się własną krwią.

– Ona żyje! – powiedział szybko. – Musiałem przecież coś uratować, prawda?

Przesłał mi znudzony, mdły uśmiech.

– Jestem może naiwniak, ale nie aż taki – odparłem głuchym, martwym głosem.

Cóż, Marcia była wszystkim, co miałem, a on ją wykończył.

Drżącym lekko palcem Cressner wskazał leżące obok stóp Tony'ego pieniądze.

– To są śmieci – oświadczył. – Dam panu sto tysięcy. Albo pięćset. A co pan powie o milioniku na koncie w Szwajcarii? Co pan na to? Co pan…

– Proponuję zakład – odparłem leniwie.

Cressner popatrzył na lufę rewolweru i znów przeniósł wzrok na moją twarz.

– Za…

– Tak, zakład – powtórzyłem. – Nie żadne wyzwanie, ale stary, dobry zakład. Zakładam się, że nie przejdzie pan po gzymsie wokół budynku.

W ułamku sekundy stał się blady jak śmierć na chorągwi i przez chwilę myślałem, że zemdleje.

– Pan… – szepnął.

– Pyta pan o stawkę? – Głos ciągle miałem martwy. – Jeśli pan przejdzie, będzie pan wolny. Co pan na to?

– Nie – szepnął.

Oczy miał jak spodki. Wytrzeszczone.

– W porządku.

Uniosłem broń.

– Nie, nie! – wyciągnął przed siebie ręce. – Nie, proszę nie… w porządku!

Oblizał wargi.

Wskazałem mu kierunek lufą rewolweru, a on ruszył przede mną w kierunku balkonu.

– Pan się trzęsie – zauważyłem. – Nie ułatwi to panu zadania.

– Dwa miliony – zaskomlał. – Dwa miliony w banknotach o nieznaczonych numerach serii.

– Nie – odparłem. – Nawet za dziesięć milionów. Ale jeśli wygra pan zakład, odejdzie pan wolny. Mówię poważnie.

W minutę później stał już na gzymsie. Był niższy ode mnie i na wysokości podłogi balkonu widziałem tylko jego oczy – rozwarte, pełne niemego błagania, i zbielałe kłykcie palców zaciśniętych kurczowo na prętach balustrady; jak dłonie więźnia na więziennej kracie.

– Proszę – szepnął. – Wszystko…

– Traci pan czas – powiedziałem. – Kostki szybko się panu zmęczą.

Ale nie ruszał się z miejsca. Dopiero kiedy przyłożyłem mu lufę do czoła, jęknął i przesunął stopę w prawo. Popatrzyłem na bankowy zegar. Była dwudziesta trzecia dwadzieścia dziewięć.

Nie sądziłem, by dotarł do pierwszego narożnika. Początkowo w ogóle nie chciał się posuwać, ale kiedy wreszcie ruszył, robił to nerwowo, ryzykując utratę równowagi. Jego wytworny szlafrok wydymał się w podmuchach wiatru.

Minął narożnik dokładnie minutę po północy – prawie czterdzieści minut temu. Nasłuchiwałem ginącego w dole wrzasku Cressnera, sygnału, że zepchnął go z gzymsu powietrzny wir. Ale panowała cisza. Może wiatr się uspokoił? Przypomniałem sobie, że tam, na gzymsie, wyobrażałem sobie, iż wichura jest po stronie Cressnera. A może po prostu dopisywało mu szczęście? Może leży na balkonie apartamentu po przeciwnej stronie budynku, drżąc jak kupka nieszczęścia, niezdolny do kontynuowania marszu?

Ale z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli włamię się do tamtego mieszkania i znajdę go na balkonie, zastrzelę go jak psa. A skoro już mowa o tamtej stronie budynku; ciekaw jestem, czy lubi gołębie.

Czy to był krzyk? Nie wiem. Równie dobrze mógł to być tylko ryk wiatru. Nieważne. Bankowy zegar wskazuje czterdzieści cztery minuty po północy. Niedługo włamię się do tamtego apartamentu i sprawdzę balkon. Na razie siedzę sobie na balkonie Cressnera i bawię się czterdziestkąpiątką Tony'ego. Tak na wszelki wypadek, gdyby Cressner pojawił się po tej stronie budynku w wydymanym wiatrem wytwornym szlafroku.

Cressner oświadczył, że gdy się zakłada, nigdy nie kantuje.

Ale chcę się o tym przekonać osobiście.

KOSIARZ TRAWY

W minionych latach Harold Parkette zawsze pysznił się swoim trawnikiem. Był właścicielem wielkiego, srebrzystego lawnboya i chłopcu z sąsiedniej przecznicy płacił pięć dolarów za każde strzyżenie tą maszyną trawy. W tamtych czasach Harold Parkette dużo czasu spędzał przy radiu, pijąc piwo i słuchając transmisji z meczów rozgrywanych przez bostońskich Red Soxów. Żywił najgłębsze przekonanie, że Bóg czuwa w niebie i nic się złego ze światem nie dzieje; ze światem, a więc i z jego trawnikiem. Ale w zeszłym roku, w połowie października los spłatał Haroldowi Parkette'owi paskudnego figla. Kiedy po raz ostatni w sezonie chłopak ścinał trawę, pies Castonmeyerów zagonił kota Smithów prosto pod kosiarkę.

Córka Harolda zwymiotowała na nową sukienkę z pół kwarty wiśniowej oranżady, a jego żonę przez cały tydzień dręczyły nocne

koszmary. Jakkolwiek na miejscu wypadku pojawiła się już po wszystkim, ale pojawiła się akurat w chwili, kiedy Harold i pozieleniały na twarzy chłopak czyścili ostrza maszyny. Córka Parkette'ów i pani Smith sterczały im nad głowami i chlipały. Niemniej Alicia znalazła czas, żeby zmienić sukienkę na dżinsy i jeden z tych okropnych, kusych swetrów. Jego żona ciskała gromy na głowę nieszczęsnego chłopca.

Po tygodniu wysłuchiwania jęków i skowytów, jakie przez sen wydawała śpiąca w sąsiednim łożu małżonka, Harold postanowił pozbyć się kosiarki. Doszedł do wniosku, że nie będzie potrzebował maszyny. Skoro w tym roku wynajmował chłopaka, to w przyszłym po prostu wynajmie i chłopaka, i kosiarkę. A tymczasem Carla powinna już przestać jęczeć przez sen. On zaś może nawet położy się obok niej.

Zawiózł srebrzystego lawnboya na stację benzynową Sunoco, którą prowadził Phil. Bardzo długo się targowali. Ostatecznie Harold odjechał na nowiutkich oponach marki Kelly i z bakiem pełnym wysokooktanowej benzyny, a Phil na jednej z wysepek z dystrybutorami postawił srebrzystego lawnboya z przyczepioną kartką, na której widniał odręcznie skreślony napis: NA SPRZEDAŻ.

Ale w tym roku Harold zwlekał jakoś z wypożyczeniem maszyny. Kiedy w końcu zatelefonował do chłopaka, który przed rokiem strzygł mu trawnik, matka Franka poinformowała go, że syn wyjechał na studia na uniwersytet stanowy. Harold potrząsnął ze zdziwieniem głową i poszedł do lodówki po piwo. Czas uciekał, prawda? Mój Boże, tak.

Odłożył wynajęcie innego chłopca najpierw do maja, później minął czerwiec, a Red Soxi ciągle pokutowali na czwartej pozycji. W weekendy siadywał na tylnej werandzie i spoglądał ponuro na niekończącą się paradę chłopaków, których widział po raz pierwszy w życiu. Przechodzili obok niego, mruczeli „dzień dobry” i zabierali jego rozkwitającą córkę do jakiejś miejscowej jaskini rozrywek. A trawa rosła nad podziw bujnie. Lato tego roku było bardzo dla niej korzystne: trzy dni upałów, a czwartego ciepły deszcz. Regularnie; jak w zegarku.

W połowie lipca trawnik przypominał raczej łąkę niż podwórko przed domem stojącym na przedmieściach, a Jack Castonmeyer zaczął sobie stroić wyjątkowo nieśmieszne żarciki – większość dotyczyła ceny skupu siana i lucerny. A czteroletnia córeczka Dona Smitha, Jenny,

nabrała zwyczaju chowania się w tej trawie, kiedy na śniadanie dostawała płatki owsiane, a na kolację szpinak.

Pewnego dnia, pod koniec lipca, kiedy Harold wyszedł na patio podczas przerwy w meczu i ujrzał na zarośniętej ścieżce na tyłach domu świstaka amerykańskiego stającego bezczelnie słupka, doszedł do wniosku, że dość już tego dobrego. Że nadszedł czas. Wyłączył radio, sięgnął po gazetę i otworzył na ogłoszeniach. W połowie kolumny z anonsami o pracy znalazł notkę: „Strzyżenie trawników. Rozsądne ceny. 776-2390”.

Wykręcił numer, spodziewając się, że usłyszy głos jakiejś odkurzającej właśnie mieszkanie gospodyni domowej, która zawoła z podwórka swego syna. Zamiast tego w słuchawce odezwał się rzeźki głos zawodowca:

– Usługi Pasterskie i Polowe. Czym możemy służyć?

Starannie dobierając słowa, Harold wyjaśnił, w czym mogą mu pomóc Usługi Pasterskie i Polowe. To już do tego doszło? To już nawet kosiarze trawy zaczynają rozkręcać własny interes, oferując swoje usługi? Zapytał o stawki i głos w słuchawce podał mu rzeczywiście umiarkowaną kwotę.

Harold odwiesił słuchawkę z uczuciem lekkiego niesmaku i wrócił na werandę. Usiadł, włączył radio i zapatrzył się na rozciągające się nad jego przerośniętym trawnikiem sobotnie niebo, po którym płynęły sobotnie obłoki. Carla i Alicia poszły do teściowej, więc cały dom należał do niego. Sprawiłby kobietom miłą niespodziankę, gdyby chłopiec zaraz przyszedł ostrzyc trawniki i uporał się z tym przed ich powrotem.

Otworzył piwo i westchnął, kiedy Dick Drago obiegł cztery bazy, ale na koniec wpadł na battera. Pod wpływem lekkiego podmuchu wiatru zaskrzypiały wahadłowe drzwi werandy. W wysokiej trawie grały świerszcze. Harold mruknął coś niepochlebnego pod adresem Dicka Drago i zapadł w drzemkę.

Pół godziny później ze snu wyrwał go gwałtownie dzwonek do drzwi. Harold, zrywając się z miejsca, przewrócił puszkę z piwem.

W progu stał uśmiechnięty mężczyzna w zabrudzonych trawą dżinsowych ogrodniczkach; w zębach żuł wykałaczkę. Był gruby. Jego brzuszysko tak wypychało spłowiały dżinsowy kombinezon, że Harold pomyślał w pierwszej chwili, że jegomość połknął piłkę do koszykówki.

– Tak? – zapytał Harold Parkette, ciągle jeszcze na wpół drzemiąc.

Mężczyzna ponownie wyszczerzył zęby, przesunął językiem wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi, obciągnął ogrodniczki na siedzeniu, a następnie uniósł nieco z czoła zieloną czapeczkę baseballową. Na daszku widać było świeżą plamę po oleju maszynowym. Pachnący trawą, ziemią i smarem jegomość szeroko uśmiechnął się do Harolda Parkette'a.

– Przysłały mnie Pasterskie, chłopie – wyjaśnił jowialnie, drapiąc się po kroku. – Dzwonił pan, prawda? Dzwoniłeś, chłopie, tak?

Nie przestawał szczerzyć zębów.

– Och, trawnik! To pan? – Harold wpatrywał się w niego tępym wzrokiem.

– Pewnie, że ja.

Kosiarz wybuchnął śmiechem, patrząc w napuchniętą lekko od snu twarz Harolda.

Ten trochę bezradnie ustąpił z drogi i grubas wparował do holu, przeszedł salon, minął kuchnię, po czym skierował się na tylną werandę. Teraz już Harold wiedział, z kim ma do czynienia, i wszystko wróciło na swoje miejsce. Dokładnie takie same typy pracowały przeważnie w kanalizacjach miejskich lub przy naprawach autostrad. Tacy zawsze mieli chwilę

czasu, żeby oprzeć się na łopacie i wypalić lucky strike'a lub camela, zawsze patrzyli na człowieka z wyższością, jakby sami stanowili sól ziemi, i gotowi byli naciągnąć pracodawcę na pięć dolarów albo przespać się z jego żoną, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Harold bał się trochę takich ludzi; nieodmiennie spaleni na brązowo słońcem, wokół oczu mieli zmarszczki i dokładnie wiedzieli, co trzeba zrobić.

– Trawnik na tyłach domu wymaga niezłej pracy – wyjaśnił, nieświadomie zniżając głos. – Jest kwadratowy, nie ma na nim żadnych kamieni, ale okropnie zarósł. – Głos powrócił mu do normalnego rejestru. – Obawiam się, że go nieco zapuściłem – dodał usprawiedliwiająco.

– Bez nerwów, chłopie. Rozluźnij się. Spokój-spokój-spokój. – Kosiarz znów wyszczerzył zęby; oczy lśniły mu dobrym samopoczuciem i humorem wszystkich akwizytorów świata. – Im trawa wyższa, tym lepsza. Dobra ziemia… taką właśnie tutaj masz, chłopie. Na Circe. Zawsze tak mówię.

Na Circe?

Kosiarz wskazał głową radio. Yastrzemski właśnie trzeci raz nie odbił i wypadł z gry.

– Kibicujesz Red Soxom? Ja trzymam z Jankesami.

Ciężko stąpając, wrócił do frontowego holu. Harold obserwował go z goryczą.

Ponownie usiadł przy stole i popatrzył na rozlane na podłodze piwo oraz przewróconą puszkę coorsa leżącą w samym środku kałuży. Pomyślał, że w zasadzie powinien przynieść z kuchni mopa, ale doszedł do wniosku, że to może poczekać.

Bez nerwów. Rozluźnij się.

Otworzył gazetę na dziale finansowym i rzucił rozsądnym okiem na notowania giełdowe. Jako dobry republikanin, za tymi zadrukowanymi kolumnami widział szefów Wall Street, których traktował jak półbogów…

(Na Circe?)

…i wielokrotnie marzył o tym, żeby lepiej rozumieć Słowo, które otrzymałby z góry wyryte wcale nie na kamiennych tablicach, ale podane w tak enigmatycznych skrótach jak proc., KdK czy 3,28 do 2/3. Raz nawet przezornie zakupił trzy udziały w przedsiębiorstwie zwanym Midwest Bisonburgers, Inc., ale firma ta zbankrutowała w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Stracił cały siedemdziesięciopięciodolarowy wkład w tę inwestycję. Teraz już rozumiał, że czas bisonburgerów dopiero nadejdzie. Pieśń

przyszłości. Często rozmawiał o tym z Sonnym, barmanem w Goldfish Bowl. Sonny oświadczył Haroldowi, że cały jego problem polega na tym, że umysłowo jest już o pięć lat do przodu i powinien…

Nagły, ogłuszający grzmot wyrwał go z drzemki, w którą ponownie zapadł.

Harold zerwał się na równe nogi, przewrócił krzesło i toczył wokół dzikim wzrokiem.

– Czy to kosiarz? – zawołał w kierunku kuchni. – Boże drogi, czy to kosiarz?

Biegiem ruszył w stronę frontowych drzwi. Przed domem stała tylko zdezelowana, zielona furgonetka w napisem: USŁUGI PASTERSKIE I POLOWE. Grzmiący dźwięk dobiegał teraz z tyłu domu. Harold puścił się pędem w tamtą stronę, przebiegł pokoje, wybiegł na tylną werandę i stanął jak wryty.

Widok był odrażający.

To była parodia.

Stara czerwona kosiarka do trawy, którą grubas przywiózł furgonetką, pracowała sama. Nikt jej nie popychał; tak naprawdę w promieniu półtora metra nie było nikogo. Chodziła na wysokich obrotach, przedzierając się przez nieszczęsną trawę Harolda Parkette’a niczym anioł zemsty, niczym czerwony diabeł wezwany

z najgłębszych czeluści piekieł. Ryczała, wyła i pierdziała tłustym, błękitnym dymem ogarnięta jakimś mechanicznym szaleństwem, które w najwyższym stopniu Harolda przeraziło. W powietrzu wisiał ciężki zapach ściętej trawy jak woń cierpkiego wina.

Ale najbardziej odrażający był sam kosiarz.

Zdjął z siebie wszystko – każdą część garderoby. Ubranie leżało schludnie złożone w pustym baseniku, który znajdował się pośrodku trawnika. Nagi i usmarowany sokiem z trawy kosiarz posuwał się na czworakach w odległości półtora metra za maszyną i pożerał ściętą trawę. Zielony sok spływał mu po brodzie i skapywał na obwisły, kołyszący się brzuch. A przy każdym nawrocie kosiarz wstawał, wykonywał dziwaczny, radosny podskok, po czym znów padał na ziemię.

– Zatrzymaj to! – wrzasnął Harold. – Zatrzymaj tę maszynę!

Ale kosiarz nie zwrócił najmniejszej uwagi na Harolda, a jego ryczący szkarłatny kumpel nawet nie zwolnił. Tak naprawdę to wydawało się, że maszyna weszła na jeszcze wyższe obroty. Jej poszczerbiona stalowa przednia kratownica szczerzyła zęby w słodkim uśmiechu do dławiącego się ze złości Harolda.

I wtedy Harold dostrzegł kreta. Porażone strachem zwierzątko ukrywało się przed kosiarką w trawie, która miała zostać właśnie ścięta, i teraz umykało po ostrzyżonym trawniku w kierunku jakiejś bezpiecznej norki pod werandą; przerażona, ciemna smużka.

Kosiarka natychmiast zboczyła z trasy.

Becząc i zawodząc, z rykiem przetoczyła się nad krecikiem, a po chwili wypluła go z siebie w postaci kłaków futra i poszarpanych wnętrzności. Haroldowi przypomniał się kot Smithów. Po zabiciu kreta maszyna natychmiast wróciła na poprzednie miejsce.

Kosiarz chyżo pełzł za maszyną, pochłaniając trawę. Przejęty zgrozą Harold stał jak sparaliżowany; udziały, obligacje i bisonburgery kompletnie wywietrzały mu z głowy. Ujrzał, że wielkie, obwisłe brzuszysko kosiarza wypręża się. Kosiarz przekręcił tułów i zżerał kreta.

Wtedy właśnie Harold Parkette wychylił się z oszklonych, wahadłowych drzwi i zwymiotował na cynie. Świat pociemniał mu w oczach, poszarzał i Parkette uświadomił sobie, że za chwilę zemdleje; że zemdlał. Osunął się do tyłu na deski werandy, zamknął oczy…

. . .

Ktoś nim potrząsał. Potrząsała nim Carla. Nie pozmywał naczyń albo nie wyniósł śmieci i Carla z pewnością jest wściekła; ale tym przejmował się najmniej. Ostatecznie budziła go, wyciągała z tych przerażających koszmarów sennych, zmuszała do powrotu do normalnego świata; miła Carla, z wysuniętymi zębami, w swoim wyszczuplającym gorsecie…

Tak, wystające zęby. Ale te sterczące zęby wcale nie należały do Carli. Carla miała wprawdzie wystające zęby, lecz one były cieniutkie jak u wiewiórki ziemnej. Przed oczyma zaś miał zęby…

Włochate.

Sterczące zębiska porastało zielone włosie, które wyglądało zupełnie jak…

Trawa?

– Wielki Boże – mruknął Harold.

– Chłopie, przecież ty zemdlałeś, prawda?

Pochylał się nad nim kosiarz i szczerzył w uśmiechu owłosione zęby. Wargi i podbródek również miał owłosione. Cały był owłosiony. Na zielono. Podwórze tonęło w zapachu świeżo skoszonej trawy, smrodzie gazoliny i w zbyt nagłej ciszy.

Jak dźgnięty prądem, Harold usiadł wyprostowany i gapił się w nieruchomą

kosiarkę. Trawa została przepięknie skoszona. Nie trzeba nawet niczego grabić, pomyślał, czując ponownie przypływ nudności. Jeśli kosiarz przegapił jakieś źdźbła, Harold ich nie dostrzegał. Popatrzył z ukosa na jegomościa od cięcia trawy i skrzywił się. Kosiarz ciągle był nagi, ciągle tłusty i ciągle przerażający. Z kącików ust spływały mu zielone strużki.

– Co to jest? – bąknął Harold.

Mężczyzna dobrotliwie wskazał trawnik.

– To? No cóż, to nowa metoda, którą wypróbowuje szef. Sprawdza się znakomicie, chłopie, naprawdę znakomicie. Załatwiamy dwie sprawy za jednym zamachem. Osiągamy cel i jeszcze gromadzimy środki na wspieranie innych naszych działań. Wiesz, o co mi chodzi? Oczywiście, tu i tam spotykamy klientów, którzy tego nie rozumieją… Pewni ludzie nie potrafią docenić skuteczności działania, prawda?… Ale szef zawsze z wielką chęcią zgadza się na ofiary. Tryby muszą być naoliwione, jeśli kapujesz, o co mi chodzi.

Harold milczał. W czaszce dzwoniło mu tylko słowo: „ofiary”. Oczyma wyobraźni ciągle widział krecika wyrzygiwanego przez zdezelowaną czerwoną kosiarkę.

Wstawał powoli, jak dotknięty niedowładem starzec.

– Naturalnie – powiedział. Był w stanie dowlec się tylko do półki z płytami muzyki folk należącymi do Alicii. – Pobłogosław, Panie, trawę.

Kosiarz z uciechą klepnął się po udzie koloru dojrzałego jabłka.

– Masz rację, chłopie. Masz cholerną rację. Widzę, że przejawiasz właściwego ducha. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli po powrocie do biura umieszczę to w raporcie? Może nawet dostanę awans.

– Ależ naturalnie – odparł Harold, ruszając w stronę tylnych drzwi i dokładając wszelkich starań, żeby zachować miły uśmiech. – No, wracaj kończyć pracę. Myślę, że dobrze mi zrobi krótka drzemka…

– Jasne, chłopie – odrzekł kosiarz, wstając ciężko z krzesła.

Harold spostrzegł niezwykle szeroki rozstaw pierwszych i drugich palców u obu jego nóg; zupełnie jakby były to… no cóż, racice.

– Za pierwszym razem na każdym robi to wrażenie – wyjaśnił kosiarz. – Ale przyzwyczaisz się. – Popatrzył bystro na zażywną sylwetkę Harolda. – Tak naprawdę, to może zechcesz

spróbować sam. Szef ma dobre oko do wyszukiwania prawdziwych talentów.

– Szef? – zapytał słabym głosem Harold.

Kosiarz zatrzymał się na dole schodków i popatrzył wyrozumiale na Harolda Parkette'a.

– Cóż, chłopie, postawmy sprawę jasno. Widzę, że sam już się domyśliłeś… Pobłogosław, Panie, trawę i te rzeczy.

Harold powoli potrząsnął głową, a kosiarz wybuchnął gromkim śmiechem.

– Pan. Szefem jest Pan.

Podskoczył, wyciął hołubca, zaszurał bosymi stopami po świeżo skoszonej trawie, uruchomił kosiarkę i ruszył na drugą stronę domu.

– Sąsiedzi… – zaczął Harold, ale kosiarz tylko machnął mu ręką i zniknął za rogiem.

Maszyna kaszlała i wyła przed frontem domu. Harold Parkette nie chciał na to patrzeć, jakby przez to niepatrzenie sprawiał, że groteskowe widowisko naprawdę nie istniało i Castonmeyerowie oraz Smithowie – żałośni demokraci – nie obserwowali go przerażonym, ale pełnym zadowolenia spojrzeniem „a-nie-mówiłem".

Tak więc zamiast przyglądać się pracy kosiarza, Harold ruszył do telefonu, podniósł

słuchawkę i wykręcił wypisany na słuchawce numer policji.

– Sierżant Hall przy telefonie – dobiegł głos z drugiej strony drutów.

Harold zatkał palcem ucho, przy którym nie trzymał słuchawki, i powiedział:

– Nazywam się Harold Parkette. Mieszkam na ulicy East Endicott pod numerem tysiąc czterysta dwadzieścia jeden. Chciałbym zameldować…

Co? Co chciał zameldować? Że właśnie facet gwałci i morduje jego trawnik, że działa w imieniu innego faceta imieniem Pan, i ma racice zamiast stóp?

– Słucham, panie Parkette?

Harold doznał olśnienia.

– Pragnę zameldować o przypadku obnażania się.

– Obnażania? – powtórzył sierżant Hall.

– Tak. Pewien mężczyzna strzyże mój trawnik. I jest… eee… jak akt…

– Chodzi panu o to, że jest nago? – zapytał Hall z uprzejmym niedowierzaniem.

– Nago! – potwierdził Harold, starając się ze wszystkich sił zachować odrobinę zdrowego rozsądku. – Goły. Bez ubrania. Świeci gołą dupą. Na trawniku przed frontem mego domu. Czy moglibyście tu, do licha, przyjechać?

– Pod adres West Endicott tysiąc czterysta dwadzieścia jeden? – zapytał tępo sierżant Hall.

– East! – wrzasnął Harold. – Na Boga…

– I twierdzi pan, że jest kompletnie nagi? Może pan widzieć jego… eee… genitalia i tak dalej?

Harold próbował coś powiedzieć, ale z gardła wydobył mu się tylko niezrozumiały gulgot. Dźwięk oszalałej kosiarki wciąż przybierał na sile, pogrążał w swoim ryku cały wszechświat. Harold poczuł, że żołądek ponownie podchodzi mu do gardła.

– Może pan mówić głośniej? – burknął Hall. – Straszliwy tam u pana hałas…

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Harold odwrócił się i ujrzał, że przez drzwi przeciska się zmechanizowany kumpel kosiarza, a za nim sam kosiarz, ciągle nagi. Harold na widok soczyście zielonych włosów łonowych mężczyzny poczuł, że traci resztki zdrowego rozsądku. Kosiarz kręcił na palcu czapeczką baseballową.

– To był błąd, chłopie – odezwał się z wyrzutem. – Powinieneś jednak trzymać z Panem, który błogosławi trawę.

– Halo? Halo, panie Parkette…

Słuchawka wymknęła się ze zdrętwiałych palców Harolda, a kosiarka już sunęła w jego kierunku po nowym, należącym do Carli dywaniku tkanym ręcznie przez Mohawków. Maszyna wypluwała z siebie brązowe kłaki włókna.

Harold spoglądał na nią jak ptak w hipnotyzujące oczy atakującego węża. Kiedy urządzenie zaczęło przetaczać się po stoliku do kawy i ciąć jedną nogę mebla na wióry, zasłonił się krzesłem i trzymając je przed sobą za oparcie, zaczął wycofywać się do kuchni.

– Nic ci to nie pomoże, chłopie – powiedział uprzejmie kosiarz. – Narobisz tylko większego bałaganu. Tak więc, jeśli zechcesz mi teraz pokazać, gdzie trzymasz najostrzejszy nóż kuchenny, spełnimy tę ofiarę naprawdę bezboleśnie… myślę, że sadzawka będzie najlepsza… a wtedy…

Harold cisnął krzesłem w kosiarkę, która chytrze zajechała go z flanki, kiedy nagi kosiarz odciągał jego uwagę, i runął do drzwi wyjściowych. Maszyna z rykiem wyminęła krzesło, parsknęła spalinami, ale gdy Harold był już w szklanych, wahadłowych drzwiach prowadzących na werandę, a poźniej skokami

zbiegał po schodkach, usłyszał ją – poczuł jej zapach, poczuł jej obecność – tuż za plecami.

Maszyna jak narciarz z progu skoczni z rykiem rzuciła się ze schodków. Harold gnał przez świeżo skoszony trawnik na tyłach domu, ale miał za sobą zbyt wiele wypitych piw, zbyt wiele popołudniowych drzemek. Czuł, że kosiarka się zbliża, czuł jej obecność na plecach i kiedy się obejrzał, ona sięgała już jego pięt.

Ostatnią rzeczą, którą ujrzał Harold Parkette, była właśnie owa wyszczerzona w uśmiechu kratownica szarżującej maszyny, odchylonej do tyłu tak, że widać było zbrukane zielonym sokiem ostrza, a nad nimi tłustą twarz kosiarza, który kiwał głową z wyrzutem.

. . .

– Co za cholera – odezwał się porucznik Goodwin, gdy wykonano już ostatnie zdjęcia. Skinął głową na dwóch mężczyzn w bieli, a ci ruszyli z koszykami przez trawnik. – Niecałe dwie godziny temu dzwonił do nas, że na jego trawniku ugania się na golasa jakiś facet.

– Naprawdę? – spytał mundurowy Cooley.

– Tak. Dzwonił również jeden z jego sąsiadów. Facet nazywał się Castonmeyer. Myślał, że to

biega sam Parkette. Może i tak było, Cooley. Może naprawdę tak było.

– Słucham, proszę pana?

– Zwariował od upału – wyjaśnił poważnie porucznik Goodwin i popukał się w skroń. – Schizo-pierdolona-frenia.

– Tak, proszę pana – odparł z szacunkiem Cooley.

– A gdzie reszta? – zapytał jeden z mężczyzn w białych fartuchach.

– W sadzawce – odparł Goodwin, rozglądając się z uwagą po niebie.

– Mówi pan: w sadzawce? – upewnił się ubrany na biało mężczyzna.

– Tak, mówię – zgodził się porucznik Goodwin.

Mundurowy Cooley popatrzył w stronę baseniku i w jednej chwili stracił wiele ze swojej czerstwej opalenizny.

– Jakiś maniak seksualny – odezwał się porucznik Goodwin. – Tak, na pewno.

– Odciski palców? – spytał nienaturalnie grubym głosem Cooley.

– Możesz również zapytać o odciski stóp – powiedział Goodwin, wskazując świeżo ściętą trawę.

Z gardła mundurowego Cooleya wydarł się zduszony jęk.

Oficer wsunął ręce do kieszeni i zaczął kołysać się na piętach.

– Świat pełen jest świrów – odezwał się grobowym głosem. – Nie zapominaj o tym ani na chwilę, Cooley. Czubów. Chłopaki z laboratorium utrzymują, że Parkette'a ktoś gonił z kosiarką do trawy aż od salonu. Wyobrażasz to sobie?

– Nie, proszę pana – odparł Cooley.

Goodwin popatrzył na nieskazitelnie utrzymany trawnik Harolda Parkette'a.

– No cóż, jeden facet na widok czarnowłosego Szweda powiedział, że to Norweg, tyle że w innym kolorze.

Goodwin ruszył w stronę domu, a Cooley za nim. Powietrze przepajał miły zapach świeżo ściętej trawy.

QUITTERS, INC.

Morrison czekał właśnie na kogoś, kto wisiał w powietrzu nad Międzynarodowym Lotniskiem imienia Kennedy’ego, kiedy w odległym końcu baru dostrzegł znajomą twarz. Natychmiast ruszył w tamtą stronę.

– Jimmy? Jimmy McCann?

To był on. Od czasu, kiedy Morrison widział go przed rokiem na Atlanta Exhibition, przytył nieco, ale poza tym trzymał się świetnie. W college’u był chudym, bladym, namiętnym palaczem tytoniu, a oczy skrywał za olbrzymimi okularami w rogowej oprawie. Najwidoczniej ostatnio zmienił je na szkła kontaktowe.

– Dick Morrison?

– A któż by inny? Świetnie wyglądasz.

Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie.

– Ty też – odparł McCann, ale Morrison zdawał sobie sprawę z tego, że tamten kłamie. Za

dużo pracował, za dużo jadł i za dużo palił. – Czego się napijesz?

– Bourbona z tonikiem – odrzekł Morrison. Rozsiadł się wygodniej na barowym stołku i zapalił papierosa. – Czekasz na kogoś, Jimmy?

– Nie. Lecę na konferencję do Miami. Poważny klient. Rachunek na sześć milionów. Muszę go trochę dopieścić, żebyśmy wiosną nie stracili wyjątkowej okazji.

– Ciągle jesteś z Cragerem i Bartonem?

– Jako wicedyrektor zarządu.

– To fantastycznie! Gratulacje! Od kiedy?

Starał się sam siebie przekonać, że lekki robak zazdrości palący go w żołądku to wyłącznie niestrawność. Wyciągnął fiolkę z pastylkami przeciw zgadze i połknął jedną.

– Od sierpnia. Wtedy wydarzyło się coś, co kompletnie odmieniło moje życie. – Popatrzył uważnie na Morrisa i pociągnął łyk trunku. – Może ciebie też to zainteresuje?

Wielki Boże, pomyślał Morrison, krzywiąc się w duchu. Jimmy McCann stał się religijny!

– Jasne – powiedział i napił się ze szklaneczki, którą mu właśnie przyniesiono.

– Byłem w nie najlepszym stanie – ciągnął McCann. – Osobiste kłopoty z Sharon, śmierć mego taty… umarł na zawał serca. Ponadto

nabawiłem się okropnego, suchego kaszlu. Pewnego dnia wpadł do mego biura Bobby Crager i ojcowskim tonem palnął mi mówkę. Pamiętasz, jacy oni są.

– Pewnie. – Zanim przeszedł do Morton Agency, przez półtora roku pracował dla Cragera i Bartona. – Albo ty rzucisz palenie, albo my wyrzucimy ciebie.

McCann wybuchnął śmiechem.

– Widzę, że pamiętasz. No a uwieńczeniem tego wszystkiego był lekarz, który oświadczył, że zaczyna robić mi się wrzód. Poradził, żebym przestał palić. – McCann skrzywił się. – Równie dobrze mógł mi powiedzieć, żebym przestał oddychać.

Morrison z pełnym zrozumieniem skinął głową. Doskonale wiedział, że tylko niepalący mogą być tak zadowoleni z siebie. Popatrzył z niesmakiem na trzymanego w palcach papierosa i zdusił go w popielniczce, wiedząc, że za pięć minut zapali kolejnego.

– I rzuciłeś? – zapytał.

– Tak, rzuciłem. Początkowo wydawało mi się to niemożliwe… męczyłem się jak jasny gwint. I wtedy spotkałem pewnego faceta, który powiedział mi o ośrodku na Czterdziestej Szóstej Ulicy. Specjaliści. Pomyślałem sobie, że nie mam

nic do stracenia, i poszedłem. Od tamtego czasu nie palę.

Morrison otworzył szeroko oczy.

– Jak to zrobili? Nafaszerowali cię narkotykiem albo innym paskudztwem?

– Nie. – Wyciągnął portfel i zaczął w nim grzebać. – O, tu masz. Wiedziałem, że jedna musiała mi się gdzieś zaplątać.

Położył między nimi na kontuarze białą wizytówkę.

QUITTERS, INC.
Przestań palić od razu!
237 East 46th Street
Leczenie na umowę

– Zatrzymaj ją sobie – powiedział McCann. – Wyleczą cię. Gwarantowane.

– W jaki sposób?

– Tego nie mogę ci zdradzić.

– Jak to? Dlaczego nie?

– To część kontraktu, który z nimi podpisałem. Ale tak czy owak, dowiesz się wszystkiego po osobistym spotkaniu z nimi.

– Podpisałeś kontrakt?

McCann skinął głową

– I na tej podstawie…

– Tak – odparł spokojnie z uśmiechem.

No cóż, stało się, pomyślał Morrison. Przyłączył się do tych zadowolonych z siebie łapserdaków.

– Skoro ten ośrodek jest aż tak fantastyczny, dlaczego działa w tajemnicy? Dlaczego nie spotkałem się z jego nazwą w telewizji, na tablicach ogłoszeń, w reklamach w czasopismach…

– Ponieważ zajmują się wyłącznie klientami z polecenia.

– Jimmy, przecież sam pracujesz w reklamie. Jak mogłeś w coś takiego uwierzyć?

– Uwierzyłem – odparł McCann. – Są skuteczni w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach.

– Chwileczkę – przerwał mu Morrison. Skinął na barmana, żeby nalał następną kolejkę, po czym zapalił papierosa. – Czy ci faceci przywiązali cię pasami do krzesła i kazali tak długo palić, aż się wyrzygasz?

– Nie.

– Dali ci jakiś środek, po którym chorowałeś, jeśli zapaliłeś papierosa?

– Nie, to nie tak. Zresztą idź i się przekonaj. – Wskazał papierosa, którego Morrison trzymał w palcach. – Bo tak naprawdę, to one wcale ci nie smakują, co?

– Nooooo nie, ale…

– Rzucenie palenia faktycznie odmieniło moje życie – stwierdził McCann. – Nie twierdzę, że ma to dla wszystkich aż takie znaczenie, ale w moim przypadku był to efekt domina. Od razu poczułem się lepiej, poprawiły się moje stosunki z Sharon, przybyło mi energii, znacznie lepiej mi się pracuje…

– Słuchaj, zaciekawiłeś mnie. Czy nie mógłbyś jednak…

– Przykro mi, Dick, ale naprawdę nie mogę o tym rozmawiać – odrzekł zdecydowanie.

– I nie utyłeś?

Przez chwilę miał wrażenie, że Jimmy McCann spochmurniał.

– Utyłem. Szczerze mówiąc nawet bardzo. Szybko jednak zbiłem wagę. Teraz już jestem w porządku. Zawsze byłem chudy.

– Pasażerowie lotu dwieście sześć proszeni są do wyjścia numer dziewięć – oznajmił megafon.

– To mój – rzekł McCann, wstając. Rzucił na bar pięć dolarów. – Zamów sobie jeszcze jednego. I przemyśl to wszystko, Dick. Dobrze przemyśl.

Zaczął przepychać się przez tłum w stronę ruchomego chodnika. Morrison podniósł z baru wizytówkę, popatrzył na nią zamyślonym

wzrokiem, wsunął kartonik do portfela i o całej sprawie zapomniał.

. . .

Wizytówka wyleciała mu z portfela miesiąc później, gdy siedział w innym barze. Wyszedł wcześniej z biura i wpadł na jednego, żeby jakoś rozsądnie spędzić popołudnie. W Morton Agency jego sprawy szły nie najlepiej. Tak naprawdę, sytuacja była fatalna.

Płacił Henry'emu banknotem dziesięciodolarowym i wtedy wysunęła się zapomniana wizytówka. Odruchowo ponownie ją przeczytał – 237 East 46th Street znajdowała się dwie przecznice dalej. Był słoneczny, choć zimny październikowy dzień i Morris pomyślał, że może… tak dla hecy…

Kiedy Henry przyniósł mu resztę, dopił do końca drinka i opuścił bar.

. . .

Quitters, Inc. mieściło się w nowym budynku, gdzie miesięczny czynsz za wynajem pomieszczeń biurowych wynosił mniej więcej

tyle, ile roczny dochód Morrisona. Z tablicy informacyjnej umieszczonej na parterze wynikało, że interesująca go firma zajmuje całe piętro, a to pachniało pieniędzmi. Wielkimi pieniędzmi.

Wjechał windą i trafił do wyłożonego puszystym dywanem foyer, a z niego do uroczego pomieszczenia z recepcją i ogromnym oknem wychodzącym na mrowiące się w dole robaczki. Na ustawionych pod ścianami krzesłach siedziało trzech mężczyzn i jedna kobieta; wszyscy byli pogrążeni w lekturze jakichś magazynów. Wyglądali na ludzi interesów. Morrison podszedł do biurka.

– Dostałem to od przyjaciela – oświadczył, podając recepcjonistce wizytówkę. – Sądzę, że możecie go nazwać swoim absolwentem.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wkręciła w maszynę do pisania blankiet formularza.

– Jak pan się nazywa, sir?

– Richard Morrison.

Klik-klak-klik. Był to bardzo cichy stukot; recepcjonistka pisała na maszynie IBM.

– Pański adres?

– Maple Lane, numer dwadzieścia dziewięć. Clinton w stanie Nowy Jork.

– Żonaty?

– Tak.

– Dzieci?

– Jedno.

Pomyślał o Alvinie i nachmurzył się. „Jedno” było niewłaściwym słowem. Dużo lepiej brzmiałoby: połowa. Jego syn był cofnięty w rozwoju i przebywał w szkole specjalnej w New Jersey.

– Kto nas panu zarekomendował, panie Morrison?

– Stary przyjaciel ze szkoły, James McCann.

– Świetnie. Proszę teraz usiąść i zaczekać. Mamy dzisiaj bardzo duży ruch.

– Jasne.

Zajął miejsce między kobietą ubraną w prostą, niebieską sukienkę a młodym człowiekiem o aparycji kierownika. Młodzieniec nosił marynarkę w jodełkę i modne baczki. Morrison wyjął paczkę papierosów, po czym rozejrzał się. Nigdzie nie dostrzegł popielniczki.

Schował papierosy do kieszeni. W porządku. Podejmie tę grę i zapali sobie dopiero po wyjściu. Jeśli każą mu czekać zbyt długo, to i tak zapali, a popiół będzie strząsał na ten kasztanowy, puszysty dywan. Sięgnął po egzamplarz „Time’a” i zaczął go kartkować.

Morrisona wezwano po upływie dobrej godziny, zaraz po kobiecie w niebieskiej sukience. Jego organizm już bardzo głośno domagał się nikotyny. Mężczyzna, który pojawił się w recepcji po nim, wyciągnął papierośnicę, otworzył ją z trzaskiem, ale kiedy spostrzegł, że nigdzie nie ma popielniczek, szybko schował ją z powrotem do kieszeni; wyglądało na to, że poczuł się winny, zauważył Morrison. Od razu zrobiło mu się lepiej.

W końcu recepcjonistka przesłała mu słoneczny uśmiech.

– Teraz pan, panie Morrison – zakomunikowała.

Otworzył drzwi za biurkiem dziewczyny i znalazł się w dyskretnie oświetlonym korytarzu. Masywnie zbudowany mężczyzna o siwych włosach sprawiających wrażenie peruki uścisnął mu rękę, uprzejmie uśmiechnął się i powiedział:

– Proszę za mną, panie Morrison.

Minęli szereg zamkniętych drzwi bez żadnych tabliczek, po czym, mniej więcej w połowie korytarza, otworzył kluczem jedne z nich. Znaleźli się w niewielkim, skromnym pokoiku o ścianach wyłożonych białym korkiem. W pomieszczeniu stało tylko biurko, a po obu

jego stronach dwa krzesła. Za biurkiem widniało prostokątne okno zasłonięte krótkimi, zielonymi firankami. Na ścianie po lewej ręce Morrisona wisiał obraz – portret wysokiego mężczyzny o stalowoszarych włosach. W ręce trzymał arkusz papieru. Rysy jego twarzy wydawały się Morrisonowi znajome.

– Nazywam się Vic Donatti – przedstawił się barczysty jegomość. – Jeśli zdecyduje się pan na nasz program, będę prowadził pana przypadek.

– Miło mi pana poznać – odparł Morrison.

Potwornie chciało mu się palić.

– Proszę usiąść.

Donatti położył na biurku formularz z recepcji, a potem z szuflady biurka wyjął jakiś inny blankiet. Spojrzał Morrisonowi prosto w oczy.

– A więc chce pan rzucić palenie?

Morrison chrząknął, skrzyżował nogi i próbował wymyślić jakąś wykrętną odpowiedź. Żadna nie przyszła mu do głowy.

– Tak – powiedział.

– Czy podpisze pan to?

Donatti podsunął formularz, a Morrison rzucił nań szybko okiem. Oświadczenie o zachowaniu tajemnicy odnośnie do metod, technik, sposobów et cetera, et cetera.

– Jasne – powiedział, a Donatti wsunął mu w dłoń pióro.

Morrison nagryzmolił swoje imię i nazwisko, poniżej podpisał się Donatti i w chwilę później papier ponownie zniknął w szufladzie. No cóż, pomyślał ironicznie Morrison. Złożyłem ślubowanie. Raz już takie złożył. Wytrwał całe dwa dni.

– Bardzo dobrze – mruknął Donatti. – Panie Morrison, propaganda nas nie interesuje. Nie interesują nas również czynniki zdrowotne ani wydatki związane z paleniem czy względy społeczne. Nie ciekawi nas powód, dla którego zamierza pan przestać palić. Jesteśmy pragmatykami.

– Oczywiście – odrzekł tępo Morrison.

– Nie stosujemy lekarstw ani narkotyków. Nie zatrudniamy nikogo od Dale Carnagie, kto prawiłby panu kazania. Nie zalecamy żadnych diet. A rachunek wystawimy dopiero po roku, kiedy pan rzeczywiście rzuci palenie.

– Mój Boże – mruknął Morrison.

– Pan McCann nie powiedział panu tego?

– Nie.

– A tak swoją drogą, co słychać u pana McCanna? Ma się dobrze?

– Wspaniale.

– To świetnie. To znakomicie. A teraz… cóż, kilka pytań, panie Morrison. Są może natury cokolwiek osobistej, ale zapewniam pana, że to, co pan tu powie, nie wyjdzie poza mury tego pokoju.

– Tak? – zapytał wymijająco Morrison.

– Jak nazywa się pańska żona?

– Lucinda Morrison. Nazwisko panieńskie: Ramsey.

– Czy pan ją kocha?

Morrison popatrzył ostro, ale Donatti posłał mu dobrotliwe spojrzenie.

– Tak, naturalnie.

– Czy mieliście kiedykolwiek kłopoty małżeńskie? Może separacja?

– Co te pytania mają wspólnego z rzucaniem nałogu? – zapytał Morrison. Powiedział to trochę ostrzejszym tonem, niż zamierzał, ale chciał – do licha, musiał – zapalić papierosa.

– Bardzo dużo – odparł Donatti. – Proszę po prostu mi odpowiadać.

– Nie, żadnych takich problemów nie mieliśmy.

Choć ostatnio panowało między nimi lekkie napięcie.

– I macie tylko jedno dziecko?

– Tak, Alvina. Jest w prywatnej szkole.

– W jakiej?

– Na to pytanie nie zamierzam odpowiadać – poinformował posępnie Morrison.

– W porządku – powiedział ugodowo Donatti i uśmiechnął się rozbrajająco. – Jutro, na naszej pierwszej sesji, wszystko sobie wyjaśnimy dokładnie.

– Było mi miło – powiedział Morrison i wstał.

– Jeszcze jedno, ostatnie pytanie – odezwał się Donatti. – Nie palił pan przeszło godzinę. Jak pan się czuje?

– Dobrze – skłamał Morrison. – Po prostu dobrze.

– To doskonale – oznajmił Donatti. Obszedł biurko i otworzył drzwi. – Niech pan się dzisiaj wieczorem nacieszy papierosami. Od pojutrza nie zapali pan już ani jednego.

– Naprawdę?

– Gwarantujemy to panu, panie Morrison – przyrzekł solennie Donatti.

. . .

Następnego dnia, dokładnie o piętnastej, Morrison zajął miejsce w poczekalni Quitters, Inc. Większość czasu spędził na rozważaniach, czy ma stawić się na spotkanie, które wyznaczyła

mu recepcjonistka, i jak muł dać się wodzić za nos, czy też nie zawracać sobie tym wszystkim głowy. *Graj do mnie tylko ostrą piłką, koleś.*

W końcu przypomniał sobie coś, co powiedział mu Jimmy McCann, i to dopiero sprawiło, że postanowił jednak pójść – to kompletnie odmieniło moje życie. Bóg świadkiem, że on również musiał coś zmienić w swoim. Poza tym kierowała nim ciekawość. Przed wejściem do windy wypalił papierosa; do samego filtra. Fatalnie, jeśli okaże się, że faktycznie jest to mój ostatni papieros, błysnęło mu w głowie. Smakował cudownie.

Tym razem czekał o wiele krócej. Kiedy recepcjonistka wskazała mu drzwi, po drugiej stronie stał już Donatti. Z uśmiechem wyciągnął rękę; w odczuciu Morrisona był to bardzo drapieżny uśmiech. Poczuł, że ogarnia go lekkie napięcie, i to sprawiło, że znów miał ochotę zapalić.

– Proszę ze mną – powiedział Donatti i ruszyli w stronę małego pokoju.

Ponownie zajął miejsce za biurkiem i wskazał Morrisonowi krzesło naprzeciwko.

– Cieszę się, że pan przyszedł – oświadczył. – Bardzo wielu spodziewanych klientów nie pojawia się po wstępnej rozmowie. Dochodzą do

wniosku, że nie zależy im aż tak bardzo na rzuceniu palenia, jak początkowo sądzili. Widzę już, że praca z panem sprawi mi wielką przyjemność.

– Kiedy zaczniemy kurację?

Hipnoza. Nic, tylko hipnoza, pomyślał Morrison.

– Och, już zaczęliśmy. Zaczęliśmy w chwili, kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie w korytarzu. Czy ma pan ze sobą papierosy, panie Morrison?

– Naturalnie.

– Proszę mi je w takim razie oddać.

Morrison wzruszył ramionami i wręczył Donattiemu paczkę. I tak zostały w niej już tylko dwie czy trzy sztuki.

Donatti położył pudełko na biurku i uśmiechając się do Morrisona, zwinął dłoń w pięść i zaczął w nie grzmocić. Natychmiast spłaszczyło się i wykrzywiło. Wypadła z niego końcówka złamanego papierosa. Posypał się tytoń. W maleńkim pomieszczeniu mocarne uderzenia pięści rozlegały się jak huk gromu. Z ust Donattiego, mimo że tak mocno walił pięścią, nie schodził uśmiech i Morrisonowi przeszedł po plecach zimny dreszcz. Zapewne chodzi mu o taki właśnie efekt, pomyślał.

W końcu Donatti przestał pastwić się nad kompletnie zniszczonym pudełkiem i ujął je w dwa palce.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jaką mi to sprawia frajdę – oświadczył i wrzucił paczkę do kosza na papiery. – Nawet po trzech latach pracy w tym interesie raduje mi się dusza, kiedy to robię.

– Jako metoda odwyku pozostawia ona to i owo do życzenia – oświadczył łagodnie Morrison. – W tym budynku, na dole w holu, znajduje się kiosk. Można tam kupić każdy gatunek papierosów.

– Ma pan niewątpliwie rację – zgodził się Donatti, zakładając ręce na piersi. – Pański syn, Alvin Dawes Morrison, przebywa w Szkole Patersona dla Dzieci Upośledzonych Umysłowo. Urodził się z wadą mózgu. Jego IQ wynosi czterdzieści sześć. Nie kwalifikuje się do normalnej nauki. Pańska żona…

– Skąd pan o tym wie? – warknął Morrison. Był zaskoczony i wściekły. – Nie macie prawa węszyć wokół mojej…

– Wiemy o panu bardzo dużo – odparł gładko Donatti. – Ale jak powiedziałem, żadna z tych informacji nie opuści tego pokoju.

– Wychodzę – powiedział wysokim głosem Morrison i wstał.

– Proszę jeszcze chwileczkę poczekać.

Morrison obrzucił go bacznym spojrzeniem. Donatti nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego; przeciwnie, był wyraźnie rozbawiony. Człowiek, który wielokrotnie już widział podobne sytuacje – zapewne setki razy.

– W porządku. Ale proszę się streszczać.

– Och, naturalnie. – Donatti rozparł się na krześle. – Powiedziałem już, że jesteśmy pragmatykami. A jako pragmatycy musimy zaczynać od uświadomienia sobie, jak trudno jest zwalczyć uzależnienie się organizmu od tytoniu. Powrót do nałogu notujemy prawie w osiemdziesięciu pięciu procentach przypadków. Nawet gdy mamy do czynienia z heroiną, procent ten jest znacznie niższy. To jest problem niezwykły. Niezwykły.

Morrison powędrował wzrokiem do kosza na śmieci. Jeden papieros, choć niemiłosiernie pogięty, sprawiał wrażenie całego. Donatti jednak roześmiał się dobrodusznie, sięgnął w kierunku zniszczonej paczki i zgniótł papierosa w palcach.

– Czasami padają propozycje, żeby ustanowić prawo stanowe, które zniosłoby tygodniowe

przydziały papierosów w więzieniach. Z góry wiadomo, że pomysły takie skazane są na niepowodzenie. W kilku przypadkach, kiedy podobny projekt został przyjęty, doprowadziło to do poważnych buntów w więzieniach. Buntów, panie Morrison. Wyobraża pan to sobie?

– Wcale… wcale się temu nie dziwię.

– Ale proszę rozważyć teraz wszelkie implikacje tego faktu. Kiedy wsadza się człowieka do więzienia, odbiera mu się normalne życie seksualne, odbiera się alkohol, wszelkie przyzwyczajenia, swobodę ruchu. I nie ma żadnych buntów… a w każdym razie jeśli nawet są, to, biorąc pod uwagę liczbę więzień, w ilości śladowej. Ale proszę tylko odebrać im papierosy… i bum! bum!

Z emfazą wyrżnął dwukrotnie pięścią w blat biurka.

– Podczas pierwszej wojny światowej, kiedy w Niemczech nie sposób było dostać papierosów, nawet arystokraci niemieccy powszechnie wyciągali niedopałki z rynsztoków. A podczas drugiej ileż amerykańskich kobiet paliło fajki, kiedy nie mogły dostać papierosów? To fascynujące zagadnienia dla pragmatyka, panie Morrison.

– Może przejdziemy jednak do kwestii samej kuracji?

– Jeszcze chwila. Proszę, niech pan się tutaj zbliży.

Donatti podszedł do zielonych firanek, które Morrison zauważył poprzedniego dnia. Po odsunięciu zasłony ukazało się prostokątne okno wychodzące na coś, co przypominało kompletnie pusty pokój… nie, nie był tak całkiem pusty. Na podłodze siedział królik i zajadał z talerza kulki czegoś.

– Miły króliczek – zauważył Morrison.

– Naturalnie. Teraz proszę popatrzeć.

Donatti nacisnął jakiś guzik obok parapetu. Królik w jednej chwili przerwał jedzenie i zaczął skakać jak oszalały. Każdy podskok był wyższy. Futro sterczało mu na wszystkie strony. Oczy zwierzęcia były szalone.

– Proszę przestać! Zabije go pan tym prądem!

Donatti zwolnił przycisk.

– Nie ma strachu. To bardzo słaby prąd. Niech pan obserwuje królika, panie Morrison!

Zwierzątko przycupnęło około trzech metrów od talerza i zmarszczyło nos. Po chwili pokicało w najodleglejszy kąt.

– Jeśli królik w trakcie jedzenia dostaje odpowiednio często uderzenie prądem, szybko

zaczyna sobie kojarzyć: jedzenie to ból – wyjaśnił Donatti. – Tak więc w końcu przestaje jeść. Kilka kolejnych seansów i zdechnie z głodu nad miską pełną jedzenia. Nazywamy to terapią chronicznej odrazy.

W mózgu Morrisona rozbłysło naraz jaskrawe światło.

– O nie, wielkie dzięki, pokorny sługa.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

– Panie Morrison, proszę zaczekać.

Morrison puścił słowa Donattiego mimo uszu. Sięgnął do gałki w drzwiach… i poczuł, że ta tylko prześlizgnęła mu się w dłoni.

– Proszę natychmiast otworzyć drzwi.

– Panie Morrison, jeśli pan usiądzie…

– Proszę otworzyć te drzwi albo wezwę policję. Nie zdąży pan nawet wymówić słów „paczka marlboro”.

– Niech pan siada. – Głos był zimny jak lód.

Morrison popatrzył na Donattiego tępym, wystraszonym wzrokiem. Mój Boże, błysnęło mu w głowie. Siedzę zamknięty w jednym pokoju ze świrem. Przeciągnął językiem po suchych nagle wargach. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął zapalić.

– Pozwoli pan, że w szczegółach opowiem o stosowanej u nas metodzie kuracji – odezwał

się Donatti.

– Pan mnie nie rozumie – powiedział Morrison, najlepiej jak umiał symulując znudzenie. – Nie chcę waszej kuracji. Postanowiłem jednak nie rzucać palenia.

– Nie, panie Morrison. To pan nie rozumie. Nie ma pan żadnego wyboru. Kiedy mówiłem, że kuracja już się zaczęła, mówiłem szczerą prawdę. Myślę, że teraz i pan już w to wierzy.

– Pan zwariował – wybąkał osłupiały Morrison.

– Nie. Jestem tylko pragmatykiem. Niech mi pan pozwoli opowiedzieć w szczegółach o naszej terapii.

– Jasne – odparł Morrison. – Niech pan mówi tak długo, aż pan zrozumie, że zaraz po wyjściu stąd kupię pięć paczek papierosów i wypalę wszystkie w drodze na posterunek policji.

Spostrzegł naraz, że zdążył do krwi obgryźć sobie paznokieć kciuka i natychmiast odjął palec od ust.

– Zrobi pan tak, jak pan będzie chciał. Ale myślę, że zmieni pan zamiar, kiedy naszkicuję obraz sytuacji.

Morrison zbył te słowa milczeniem. Zajął miejsce na krześle i założył ręce na piersi.

– Przez pierwszy miesiąc będzie pan pod ciągłą obserwacją naszych pracowników – mówił Donatti. – Być może nawet uda się panu kilku z nich rozpoznać. Ale nie wszystkich. A oni będą śledzić każdy pański krok. Każdy. Jeśli pan zapali, natychmiast powiadomią mnie o tym telefonicznie.

– I wtedy wsadzi mnie pan do tego pomieszczenia, żeby powtórzyć sztuczkę z królikiem – wtrącił Morrison.

Starał się jak mógł mówić spokojnie i z sarkazmem, ale czuł, że ogarnia go przerażenie. To był jakiś koszmar.

– O, nie – odparł Donatti. – Miejsce królika zajmie pańska żona, nie pan.

Morrison gapił się w niego osłupiały.

Donatti uśmiechnął się.

– Musi się pan bardzo pilnować.

. . .

Kiedy wreszcie Donatti pozwolił mu opuścić pokój, Morrison przez ponad dwie godziny chodził jak pijany. Był kolejny słoneczny dzień, ale on nawet tego nie zauważył. Przed oczyma ciągle majaczyła mu odrażająca, uśmiechnięta twarz Donattiego. Przesłaniała cały świat.

– Rozumie pan – stwierdził Donatti. – Pragmatyczne problemy wymagają pragmatycznych rozwiązań. Musi pan zrozumieć, że mamy na uwadze wyłącznie pańskie dobro.

Quitters, Inc., zgodnie z tym, co powiedział Donatti, stanowił rodzaj fundacji – nieprzynoszącą dochodu organizację założoną przez mężczyznę z portretu. Dżentelmen ten odniósł niebywały sukces w kilku rodzinnych przedsięwzięciach – produkował automaty do sprzedawania cukierków, papierosów i tak dalej, zorganizował sieć gabinetów masażu, przeprowadził szereg niebywale intratnych (choć potajemnych) wypraw handlowych z Nowego Jorku do Turcji. Mort „Trójpalcy” Minelli był namiętnym palaczem; wypalał dziennie do trzech paczek papierosów. Papier, który na portrecie trzyma w dłoni, był orzeczeniem lekarskim: rak płuc. Mort zmarł w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, ale wcześniej cały rodzinny majątek zapisał Quitters, Inc.

– Staramy się utrzymywać bilans zerowy – wyjaśniał Donatti. – Ale najbardziej interesuje nas niesienie pomocy innym. No i ma to ogromne znaczenie ze względów podatkowych.

Kuracja zasadzała się na przerażająco prostych zasadach. Pierwsze potknięcie i Cindy trafi do „pokoju królika”, jak określił to Donatti. Drugie potknięcie i trafi tam sam Morrison. Po trzecim – oboje. Czwarty błąd Morrisona znaczyć będzie, że poważnie zachwiana została harmonia współpracy, a taka sytuacja wymaga już znacznie surowszych metod działania. Specjalny wysłannik firmy uda się do szkoły Alvina, żeby popracować nad dzieckiem.

– Wyobraża pan sobie – ciągnął z uśmiechem terapeuta – jak przerażające będzie to doświadczenie dla chłopca? Niczego nie zrozumie, nawet gdyby ktoś mu wszystko wytłumaczył. Pojmie tylko jedno: sprawiają mu ból, bo jego tatuś jest niegrzeczny. Będzie przerażony.

– Ty skurwysynu! – wykrzyknął Morrison, czując, że jest zupełnie bezradny. Był bliski łez. – Ty odrażający, nędzny skurwysynu!

– Proszę mnie tak surowo nie oceniać – odparł Donatti, uśmiechając się współczująco. – Jestem pewien, że do tego nie dojdzie. Czterdzieści procent naszych klientów nie wymaga w ogóle żadnych kar. Jedynie dziesięciu procentom zdarzają się więcej niż trzy potknięcia. Wydaje

mi się, że ta statystyka jest uspokajająca, prawda?

Morrison nie dostrzegał w niej nic uspokajającego. Wręcz przeciwnie – przerażała go.

– Naturalnie, jeśli naruszy się zasady po raz piąty…

– Co ma pan na myśli?

Donatti rozpromienił się.

– Pokoik dla pana i pańskiej żony oraz drugie lanie pańskiego syna… Pańską żonę również czeka srogie manto.

Morrison, doprowadzony do stanu, w którym obce już mu były wszelkie racjonalne względy, rzucił się przez biurko w stronę Donattiego. Ten, z zadziwiającą szybkością jak na kogoś, kto jeszcze przed ułamkiem sekundy był całkowicie rozluźniony, cofnął się błyskawicznie wraz z krzesłem, uniósł nogi ponad blat biurka i uderzył Morrisona stopami w brzuch. Dusząc się i kaszląc, Morrison zatoczył się do tyłu.

– Niech pan siada – odezwał się dobrotliwie Donatti. – Porozmawiajmy jak ludzie rozsądni.

Kiedy wreszcie Morrison odzyskał dech, posłusznie zajął miejsce na krześle. Ostatecznie koszmary kiedyś się kończą, prawda? – błysnęła mu mglista myśl.

. . .

– Quitters, Inc. – wyjaśniał Donatti – stosuje dziesięciostopniowy system kar. Stopień szósty, siódmy i ósmy polegają na kolejnym umieszczaniu pacjenta w pokoju królika (z prądem pod coraz większym napięciem) i dotkliwszych pobiciach. Stopień dziewiąty zakłada złamanie ręki jego synowi.

– A dziesiąty? – spytał Morrison przez zaschnięte gardło.

Donatti smutno pokiwał głową.

– Oznacza on naszą bezsilność i rezygnację, panie Morrison. Oznacza, że należy pan do dwuprocentowej populacji naszych pacjentów niekwalifikujących się do wyleczenia.

– Naprawdę rezygnujecie?

– Tak to się mówi. – Otworzył szufladę w biurku i w milczeniu położył na blacie pistolet kalibru .45. Przesłał Morrisonowi uśmiech. – Ale nawet te dwa procent naszych pacjentów też już nigdy nie zapali papierosa. Gwarantujemy to.

. . .

W piątkowym kinie nocnym szedł *Bullitt*, jeden z ulubionych filmów Cindy, ale po godzinie

pomrukujący i wiercący się nerwowo Morrison kompletnie rozproszył jej uwagę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała w przerwie na reklamy.

– Nic… i wszystko – burknął. – Rzuciłem palenie.

Wybuchnęła śmiechem.

– Od kiedy? Chyba od pięciu minut.

– Od trzeciej po południu.

– Naprawdę tak długo nie zapaliłeś ani jednego papierosa?

– Naprawdę – odparł i zaczął nerwowo obgryzać paznokieć na kciuku, który i tak był już obgryziony prawie do żywego mięsa.

– To wspaniale! Co cię do tego skłoniło?

– Ty – odparł. – I… Alvin.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i nie zauważyła nawet, że w telewizji wznowiono projekcję filmu. Dick niesłychanie rzadko wspominał imię ich upośledzonego umysłowo syna. Podeszła do męża, popatrzyła na czystą popielniczkę stojącą po jego prawej stronie i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Dick, naprawdę chcesz rzucić palenie?

– Naprawdę.

A jeśli pójdę na policję, dodał w myślach, pojawi się tutaj miejscowa ekipa nożowników,

żeby zdefasonować ci buźkę, Cindy.

– Tak się cieszę, Dick. Nawet jeśli ci się nie uda, oboje będziemy ci wdzięczni za sam pomysł.

– Och, myślę, że mi się uda – odparł, przypominając sobie ów mętny, zabójczy wyraz oczu Donattiego, kiedy ten kopnął go w brzuch.

. . .

Tej nocy spał fatalnie; właściwie to tylko drzemał i co chwila się budził. Około trzeciej nad ranem dał za wygraną. Od chęci zapalenia papierosa dostał stanu podgorączkowego. Zszedł do swego gabinetu. Pokój mieścił się w środku domu i nie miał okien. Morrison otworzył szufladę w biurku i jak zahipnotyzowany spoglądał na paczkę papierosów. Rozejrzał się i oblizał usta.

Nieustanny nadzór przez pierwszy miesiąc, powiedział Donatti. Przez dwa następne osiemnaście godzin na dobę – ale nie wiadomo które osiemnaście. W czwartym miesiącu, kiedy to większość klientów powraca do „służby”, może nastąpić ponownie dwudziestoczterogodzinna inwigilacja; później do końca roku już tylko dwunastogodzinna, ale za to przerywana.

A jeszcze później? Wyrywkowa kontrola klienta do końca jego życia.

Do końca życia.

– Możemy pana sprawdzać co drugi miesiąc – mówił Donatti. – Albo co drugi dzień. Albo nieustannie co tydzień przez dwa lata, licząc od dnia dzisiejszego. Jedno jest w tym istotne: pan o tym nie będzie wiedział. Jeśli zacznie pan palić, podejmie pan ryzyko. Czy mnie obserwują? Czy pochwycą moją żonę lub wyślą kogoś do mego syna? Piękne, prawda? I jeśli nawet pan zapali, papieros smakować będzie obrzydliwie. Będzie pan czuł w ustach smak krwi własnego syna.

Ale przecież teraz, głuchą nocą, w jego własnym gabinecie, nie mogą go obserwować. W domu panowała grobowa cisza.

Prawie przez dwie minuty spoglądał na paczkę, niezdolny oderwać wzroku od fascynującego widoku. Następnie podszedł do drzwi gabinetu, wyjrzał na korytarz i wrócił do biurka, żeby jeszcze trochę popatrzeć. Doznał koszmarnej wizji: jak na filmie przesuwało się przed nim całe jego przyszłe życie; i nie było w nim śladu papierosa. Jak, na Boga żywego, zdoła prowadzić skomplikowane pertraktacje z trudnym klientem? Jak zdoła bez leniwie dymiącego mu między palcami papierosa

prezentować kontrahentowi mapy i szkice topograficzne? Jak bez papierosa zniesie owe nieustanne przyjęcia wydawane przez Cindy w ogrodzie? Jak w ogóle zniesie poranne przebudzenia, mając w perspektywie cały dzień bez papierosa, którego nie wolno mu będzie zapalić ani do kawy, ani podczas lektury gazety?

Przeklinał w duchu, że sam dobrowolnie dał się wrobić w taką historię. Przeklinał Donattiego. Ale największą nienawiść czuł do Jimmy'ego McCanna. Jak on mógł wykręcić mu taki numer? Kawał skurwysyna; dobrze wiedział. Morrisonowi aż trzęsły się ręce z ochoty, żeby chwycić za gardziel tego Jimmy'ego Judasza McCanna.

Ponownie ukradkiem rozejrzał się po gabinecie. Sięgnął do szuflady i wyciągnął papierosa. Bawił się nim, pieścił go w palcach. Jak to było w tej reklamie? Tak krągły, tak jędrny, tak dobrze ubity. Bardziej prawdziwych słów w życiu nie słyszał. Włożył papierosa do ust, ale nagle czujnie uniósł głowę. Czyżby coś delikatnie poruszyło się w szafie? Czyżby usłyszał jakiś szelest? Z całą pewnością nie, ale…

Kolejny obraz pod powiekami – rażony prądem królik skacze jak oszalały. Myśl o Cindy w tym pomieszczeniu…

Nasłuchiwał czujnie jak żuraw, ale nic nie słyszał. Powiedział sobie, że powinien po prostu podejść do szafy i zajrzeć do środka. Ale bał się tego, co mógłby w niej znaleźć. Wrócił do łóżka, lecz długo jeszcze nie mógł zasnąć.

. . .

Niezależnie od tego, jak parszywie się z rana czuł, apetyt na śniadanie miał wielki. Po chwili zastanowienia przygotował sobie jak zwykle talerz płatków kukurydzianych z mlekiem oraz jajka sadzone. Kiedy z sypialni zeszła w szlafroku Cindy, mył właśnie gniewnie patelnię.

– Richardzie Morrison! Nie jadłeś jajek od czasów, kiedy Hektor był jeszcze zupełnym szczeniakiem.

Morrison chrząknął. Uważał powiedzonko Cindy „od czasów, kiedy Hektor był jeszcze zupełnym szczeniakiem” za najgłupsze z jej powiedzonek, obok „powinnam się uśmiechnąć i pocałować świnkę”.

– Jeszcze nie paliłeś?

– Nie.

– Dotrwasz najwyżej do południa – oświadczyła z wdziękiem.

– Dziękuję za cholerne wsparcie duchowe – warknął, odwracając się w jej stronę. – Ty i wszyscy inni niepalący myślicie… ech, nieważne.

Spodziewał się, że Cindy wybuchnie gniewem, ale ona popatrzyła na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

– Ty naprawdę nie żartujesz. Naprawdę mówisz serio.

– A żebyś wiedziała.

I nigdy nie dowiesz się, jak serio. W każdym razie mam taką nadzieję.

– Biedactwo – powiedziała, podchodząc do niego. – Wyglądasz jak odgrzewana śmierć. Ale jestem z ciebie bardzo dumna.

Morrison mocno przytulił żonę.

. . .

Obrazki z życia Richarda Morrisona. Październik–listopad:

Morrison i jego kumpel z Larkin Studios w barze Jacka Dempseya. Kumpel częstuje go papierosem. Morrison zaciska mocniej palce na szklance i mówi: „Rzucam”. Kumpel wybucha śmiechem. „Pogadamy za tydzień” – oświadcza.

Morrison czeka na poranny pociąg i zerka znad „Timesa” na młodego człowieka w niebieskim garniturze. Tego młodzieńca spotyka na stacji prawie każdego ranka; czasami nawet w innych miejscach: u Ondego, gdzie umówił się z klientem; w księgarni Sama Goody’ego, gdzie zamierzał kupić album Sama Cooke’a, ów młodzieniec oglądał broszurowe wydania powieści. Raz nawet w klubie, gdzie Morrison uczęszczał na kursy golfa.

Pijany Morrison na przyjęciu ma ochotę zapalić – na szczęście nie jest jeszcze aż tak pijany.

Morrison odwiedza swego syna. Wiezie mu w prezencie wielką piłkę, która przy naciśnięciu piszczy. Syn ślini się i rozradowany całuje ojca. Z jakichś osobliwych względów pocałunek ten nie budzi, jak zwykle, w Morrisonie odrazy. Przytula mocno dziecko, uświadamiając sobie z goryczą, że Donatti i jego kolesie wcześniej od niego zrozumieli fakt, że miłość jest najbardziej zgubnym narkotykiem, i nie zawahali się cynicznie tego wykorzystać. Niech sobie o tym dyskutują romantycy. Pragmatyk zaakceptuje to i przy pierwszej okazji wykorzysta.

Morrison stopniowo odzwyczaja się od palenia, ale ciągle tęskni za papierosami, ciągle

czuje potrzebę trzymania czegoś w ustach – ssie dropsy, żuje gumę, gryzie wykałaczki. Nędzne substytuty.

I wreszcie. Morrison tkwi w gigantycznym korku w tunelu Midtown. Ciemność. Klaksony ryczą. W powietrzu wisi ciężki odór spalin. Samochody w ślimaczym tempie posuwają się po kilkanaście centymetrów. Nagle, otworzywszy skrytkę, widzi napoczętą paczkę papierosów. Przez chwilę spogląda na nią, po czym wyciąga papierosa i zapala go samochodową zapalniczką. Jeśli coś się stanie, myśli, Cindy może mieć żal wyłącznie do samej siebie. Setki razy jej mówił, żeby pousuwała zewsząd te przeklęte papierosy.

Zaciągnął się i dostał straszliwego kaszlu. Po drugim zaciągnięciu w oczach stanęły mu łzy. Po trzecim – doznał zawrotu głowy. Smakuje okropnie, pomyślał.

I nagła refleksja: Jezu Chryste, co ja robię?

Z tyłu dobiegł go niecierpliwy dźwięk klaksonu. Samochody znajdujące się w przodzie ruszyły. Zgniótł papierosa w popielniczce, otworzył oba okna, włączył klimatyzację i zaczął rozgarniać dłonią powietrze jak smarkacz, który właśnie w kiblu spuścił z wodą swego pierwszego peta.

Szybko dogonił jadący przed nim samochód i powoli ruszył do domu.

. . .

– Cindy! – zawołał. – Wróciłem.

Odpowiedziała mu cisza.

– Cindy? Gdzie jesteś, kochanie?

Zadzwonił telefon. Morrison rzucił się w jego stronę.

– Halo? Cindy?

– To ja, panie Morrison – usłyszał głos Donattiego. Ton głosu był miły, dźwięczny i rzeczowy. – Mamy tu pewną sprawę do załatwienia i jest nam pan potrzebny. Odpowiada panu godzina siedemnasta?

– Macie moją żonę?

– Zgadza się – zachichotał pobłażliwie Donatti.

– Niech pan posłucha, proszę ją wypuścić – wybełkotał Morrison. – Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. To była gafa, chwila nieuwagi, to wszystko. Zaciągnąłem się tylko trzy razy i, na Boga, nawet mi to nie smakowało.

– Powinien pan się wstydzić. Czekam zatem o piątej.

– Proszę – jęknął w słuchawkę bliski łez Morrison. – Proszę…

Ale linia była już głucha.

. . .

O piątej po południu w recepcji panował już spokój. W środku była tylko sekretarka, która przesłała Morrisonowi radosny uśmiech, jakby nie dostrzegła jego ściągniętej, szarej jak popiół twarzy i nieszczęśliwego wyglądu.

– Panie Donatti – odezwała się do interkomu. – Jest tutaj pan Morrison. – Skinęła głową Morrisonowi. – Jest pan proszony.

Donatti czekał przed nieoznakowanymi drzwiami w towarzystwie zbudowanego jak małpolud mężczyzny uzbrojonego w pistolet kalibru .38 i w podkoszulku z napisem: UŚMIECHNIJ SIĘ.

– Proszę posłuchać – odezwał się Morrison do Donattiego. – Już czegoś razem dokonaliśmy, prawda? Zapłacę panu. Ja…

– Zamknij ryj – odezwał się mężczyzna w podkoszulku z napisem: UŚMIECHNIJ SIĘ.

– Miło mi pana widzieć – powiedział Donatti. – Przykro tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach. Czy zechce pan mi towarzyszyć? Postaramy się, żeby trwało to jak najkrócej. Daję

najuroczystsze słowo honoru, że pańskiej żonie nie stanie się trwała krzywda… tym razem.

Morrison najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się, żeby nie skoczyć Donattiemu do gardła.

– Niech pan da spokój – powiedział wyraźnie zaniepokojony Donatti. – Jeśli pan to zrobi, oberwie pan po głowie pistoletem Junka, a pańska żona i tak swoje będzie musiała przejść.

– Mam nadzieję, że cię piekło pochłonie i tam zgnijesz.

Donatti westchnął.

– Gdybym od każdego, kto wygłasza podobne sentencje, brał po pięć centów, dawno przeszedłbym na zasobną emeryturę. Niech będzie to dla pana lekcją, panie Morrison. Kiedy romantycy próbują dokonać czegoś dobrego i nie udaje się im to, dostają medal. A kiedy pragmatyk odnosi sukces, posyła się go do piekła. Możemy iść?

Junk lufą pistoletu wskazał Morrisonowi kierunek.

Puścili Morrisona przodem. Pierwszy wszedł do pokoju. Był jak zdrętwiały. Niewielka, zielona zasłonka została wcześniej odsunięta. Junk pchnął go lufą pistoletu w stronę okna. Tak musi

się czuć człowiek obserwujący wydarzenia w komorze gazowej, pomyślał Morrison.

Zajrzał do środka. Ujrzał Cindy, która rozglądała się wokół siebie oszołomiona.

– Cindy! – krzyknął zrozpaczony Morrison. – Cindy, oni…

– Ona pana ani nie usłyszy, ani nie zobaczy – odezwał się Donatti. – Lustro weneckie. No dobrze, zaczynajmy. To był niewielki wybryk. Junk, jak myślisz, wystarczy chyba trzydzieści sekund, prawda?

Junk nacisnął guzik palcem jednej dłoni; w drugiej trzymał pistolet przyciśnięty do pleców Morrisona.

Było to najdłuższe pół minuty w życiu.

Kiedy wszystko się skończyło, Donatti położył mu dłoń na ramieniu i zapytał:

– Zamierza pan wymiotować?

– Nie – odrzekł słabym głosem Morrison. Oparł czoło o chłodną szybę. Nogi miał jak z waty. – Nie sądzę.

Odwrócił się i spostrzegł, że Junk zniknął.

– Proszę ze mną – polecił Donatti.

– Dokąd? – spytał apatycznie Morrison.

– Wydaje mi się, że powinien pan wyjaśnić jej kilka rzeczy.

– Jak ja jej spojrzę w twarz? Jak jej powiem, że… że…

– Sądzę, że czeka pana niespodzianka – powiedział Donatti.

. . .

W pokoju stała tylko kanapa. Siedziała na niej Cindy i cicho płakała.

– Cindy? – odezwał się niepewnie.

Uniosła głowę, oczy miała wielkie od łez.

– Dick? Och… Och, Boże… – Chwycił ją w ramiona i przytulił. – Dwóch mężczyzn – powiedziała, wtulając twarz w jego tors. – W domu… W pierwszej chwili myślałam, że to włamywacze, a później przyszło mi do głowy, że chcą mnie zgwałcić. Ale oni tylko zasłonili mi oczy opaską, gdzieś zawieźli… i… i to było przerażające…

– Ciii… – powiedział. – Ciii…

– Ale dlaczego? – spytała, podnosząc głowę. – Dlaczego oni…

– To moja wina – odparł. – Muszę ci opowiedzieć pewną historię, Cindy…

. . .

Kiedy skończył, dopiero po długiej chwili milczenia dodał:

– Musisz mnie nienawidzić. Wiem i nie czuję za to żalu.

Wzrok miał wbity w podłogę. Ujęła w dłonie jego twarz i uniosła do swojej.

– Nie – szepnęła. – Wcale nie.

Popatrzył na nią w niemym osłupieniu.

– To było tego warte – oświadczyła. – Niech Bóg ma tych ludzi w opiece. Wyrwali cię z więzienia.

– O co ci chodzi?

– Tak – powiedziała, całując go w usta. – Czy możemy już wracać do domu? Czuję się dużo lepiej. Mimo tego, co mnie spotkało.

. . .

W tydzień później, rano, zadzwonił telefon. Morrison poznał głos Donattiego.

– Pana chłopcy musieli się pomylić. Nie zbliżyłem się nawet do papierosa – zastrzegł się więc od razu.

– Wiemy o tym. Musimy omówić jeszcze ostatnią rzecz. Czy może pan wpaść jutro po południu?

– Jeśli…

– Nie, to nic ważnego. Sprawy księgowości. A tak na marginesie, gratuluję awansu.

– Skąd pan o tym wie?

– Pilnujemy interesu – odparł wymijająco Donatti i odłożył słuchawkę.

. . .

– Proszę nie rozglądać się tak nerwowo – odezwał się Donatti, kiedy weszli do maleńkiego pokoju. – Nic pana nie ugryzie. Proszę tutaj.

Morrison spostrzegł zwykłą wagę łazienkową.

– Proszę pana, przybrałem trochę na wadze, ale…

– Zgadza się, siedemdziesiąt trzy procent naszych klientów przybiera na wadze. Proszę na niej stanąć.

Morrison zrobił to, o co go proszono. Strzałka ustawiła się na liczbie siedemdziesiąt dziewięć.

– Doskonale. Może pan zejść. Ile pan ma wzrostu, panie Morrison?

– Metr osiemdziesiąt.

– Doskonale. Zobaczymy. – Z kieszeni na piersi wyciągnął niewielką kartę zatopioną w plastik. – Cóż, nie jest źle. Przepiszę panu nielegalne pastylki na odchudzanie. Proszę je zażywać dokładnie wedle wskazań. Może pan przytyć

najwyżej do… hm, zobaczmy… – Ponownie spojrzał na kartkę. – Powiedzmy do osiemdziesięciu trzech. Od pierwszego grudnia spodziewam się comiesięcznych wizyt na kontrolę wagi. Gdyby pan nie mógł przyjść, nie ma problemu; proszę tylko wcześniej mnie o tym uprzedzić. Koniecznie.

– A jeśli przekroczę wagę osiemdziesięciu trzech kilogramów?

Donatti uśmiechnął się.

– Wtedy wyślemy kogoś do pańskiego domu, żeby uciął pańskiej żonie mały palec, panie Morrison. A teraz życzę miłego dnia.

Osiem miesięcy później

Morrison w barze Jacka Dempseya wpadł na kumpla z Larkin Studios. Wygrał bitwę, którą Cindy z dumą nazywała wojną z wagą; obecnie ważył siedemdziesiąt sześć kilogramów. Trenował trzy razy w tygodniu i był smukły jak topola. W porównaniu z nim kumpel z Larkin wyglądał jak wypasione kocisko.

Kumpel: „Boże drogi, jak udało ci się rzucić palenie? Bo ja kopcę więcej nawet niż Tillie”. Ze wstrętem zgniótł papierosa w popielniczce i pociągnął zdrowy łyk whisky.

Morrison popatrzył nań z zastanowieniem, po czym wyciągnął z portfela niewielką białą wizytówkę. Położył ją na barze między nimi. „Wiesz – powiedział – ci faceci odmienią twoje życie”.

Dwanaście miesięcy później

W skrzynce pocztowej Morrison znalazł rachunek:

QUITTERS, INC.
237 East 46th Street
Nowy Jork, N.Y. 10017

1 Kuracja	$ 2500,00
Doradztwo (Victor Donatti)	$ 2500,00
Energia elektryczna	$ 0,50
RAZEM (kwota do zapłacenia)	$ 5000,50

– Ależ skurwysyny! – wybuchnął. – Obciążyli mnie kosztami prądu, który użyli do… do…

– Po prostu zapłać – powiedziała Cindy i pocałowała go w usta.

. . .

Dwadzieścia miesięcy później

Całkiem przypadkowo Morrison i jego żona spotkali Jimmy'ego McCanna w Helen Hayes Theatre. Jimmy przedstawił im swoją żonę. McCann wyglądał jeszcze lepiej niż tamtego dnia w barze na lotnisku. Morrison nigdy dotąd nie widział jego żony. Było to śliczne stworzenie promieniujące radością jak niektóre bardzo, ale to bardzo szczęśliwe dziewczęta.

Podała Morrisonowi rękę. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki uścisnęła mu dłoń. Dopiero w połowie drugiego aktu Morrison uświadomił sobie, o co chodzi. Nie miała małego palca prawej ręki.

WIEM, CZEGO CI POTRZEBA

– Wiem, czego ci potrzeba.

Zaskoczona Elizabeth popatrzyła znad podręcznika socjologii i ujrzała młodego człowieka o nieokreślonym wyglądzie w podniszczonej zielonej kurtce. Przez chwilę odnosiła wrażenie, że jego twarz wygląda znajomo, zupełnie jakby gdzieś kiedyś już go widziała; *déjà vu*. Po chwili jednak wrażenie minęło. Młody człowiek był mniej więcej jej wzrostu, chudy i… wykrzywiony. Tak, to było właściwe słowo. Siedział spokojnie, ale wydawało się, że coś rusza się mu pod skórą. Miał rozczochrane czarne włosy, na nosie grube okulary o brudnych szkłach umieszczonych w rogowej oprawce, które powiększały jego brązowe oczy. Nie, Elizabeth była przekonana, że nigdy dotąd go nie spotkała.

– Wiesz? – spytała. – Bardzo w to wątpię.

– Potrzebujesz podwójnych lodów truskawkowych, mam rację?

Szczerze zdumiona, zamrugała oczyma. Gdzieś w głębi umysłu rzeczywiście myślała o tym, żeby zrobić sobie przerwę na lody. Ale w mieszczącej się na drugim piętrze niewielkiej czytelni Stowarzyszenia Studentów przygotowywała się właśnie do końcowego egzaminu i zostało jej jeszcze mnóstwo materiału do przerobienia.

– Mam rację? – powtórzył z uporem i się uśmiechnął.

Uśmiech odebrał jego brzydkiej twarzy wyraz skrajnego napięcia, nadając jej osobliwą urodę. Słowo „ładny”, jakie przyszło na myśl Elizabeth, nie było może odpowiednim określeniem chłopaka, ale kiedy uśmiechnął się, pojęła, że to słowo pasuje najlepiej. Zanim zdążyła się opamiętać, oddała mu uśmiech. A przecież wcale nie było jej potrzebne do szczęścia marnowanie czasu na jakiegoś dziwaka, który w najmniej odpowiednim momencie w roku próbował zrobić na niej wrażenie. Musiała jeszcze przebrnąć przez szesnaście rozdziałów *Wstępu do socjologii*.

– Nie, dziękuję – odparła.

– Och, daj spokój, jeśli będziesz się dłużej tak męczyć, rozboli cię głowa. Pracujesz już dwie

godziny bez przerwy.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Obserwuję cię – odparł szczerze, ale tym razem jego łobuzerski uśmiech nie poskutkował.

Naprawdę bolała ją głowa.

– No cóż, możesz zaprzestać swoich obserwacji – odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała. – Nie znoszę, jak ludzie się na mnie gapią.

– Przepraszam.

Odczuła lekkie współczucie, jakie czasami ogarniało ją na widok zabłąkanych psów. Chłopak prawie tonął w tej swojej wytartej zielonej kurtce i… oczywiście, nawet skarpetki miał nie do pary. Jedną czarną, a jedną brązową. Znów chciała się uśmiechnąć, ale tym razem już zapanowała nad sobą.

– Muszę zdać egzamin końcowy – oświadczyła.

– Jasne. W porządku.

Przez chwilę jeszcze wodziła za nim zadumanym wzrokiem, po czym wetknęła nos w książkę, ale cały czas prześladowało ją wspomnienie chłopaka i jego propozycji: podwójne truskawkowe.

Wróciła do akademika kwadrans po jedenastej. Alice leżała już w łóżku. Słuchała

Neila Diamonda i czytała *The Story of O*.

– Nie wiedziałam, że masz to w programie – odezwała się Elizabeth.

Alice usiadła.

– Poszerzam swoje horyzonty, kochanie. Rozwijam intelektualne skrzydła. Podnoszę… Liz?

– Hm?

– Nie słuchasz tego, co mówię?

– Przepraszam, ja…

– Wyglądasz tak, jakbyś miała zemdleć, dziecko.

– Wieczorem spotkałam chłopaka. Takiego śmiesznego.

– Och? Musiał być kimś szczególnym, skoro zdołał oderwać wielką Rogan od jej ukochanych podręczników.

– Nazywa się Edward Jackson Hamner Junior. Niski. Chudy. Ostatni raz mył włosy chyba w dniu narodzin Washingtona. Aha, i miał skarpetki nie do pary. Jedną czarną i jedną brązową.

– Myślałam, że masz w sobie więcej studenckiego ducha.

– Nie o to chodzi, Alice. Uczyłam się w stowarzyszeniu na drugim piętrze, w Skarbnicy Myśli, i wtedy zaprosił mnie do Grindera na lody. Powiedziałam, żeby się

odczepił, więc sobie poszedł. Ale uświadomił mi, że mam ochotę na lody, i nie mogłam przestać o nich myśleć. W końcu dałam za wygraną, zrobiłam sobie przerwę, a on już tam na mnie czekał. Z dwiema ogromnymi, podwójnymi porcjami truskawkowych.

– Z drżeniem serca czekam, żeby usłyszeć, co było dalej – parsknęła Alice.

– Cóż, niezręcznie było mi powiedzieć „nie". Przysiadł się do mnie i wtedy się okazało, że w zeszłym roku miał socjologię z profesorem Brannerem.

– Na miłość boską, czyż te cuda nigdy się nie skończą? Do Bożego Narodzenia…

– Posłuchaj, to naprawdę zdumiewające. Wiesz, jak bardzo mi zależy, żeby zdać ten egzamin?

– Pewnie. Gadasz o tym nawet przez sen.

– Mam średnią siedemdziesiąt osiem. Żeby utrzymać stypendium, muszę mieć osiemdziesiąt, a to znaczy, że na końcowym egzaminie powinnam zdobyć co najmniej osiemdziesiąt cztery punkty. No cóż, ten Ed Hamner twierdzi, że Branner co roku zadaje na końcowym egzaminie te same pytania. A Ed jest ejdetykiem.

– Chodzi ci o to, że tego… ma fotograficzną pamięć?

– Właśnie. Popatrz na to.

Otworzyła podręcznik i wyciągnęła z niego trzy zapełnione pismem kartki.

Alice wzięła je w palce.

– Wygląda to na przegląd całego materiału – oświadczyła.

– Bo tak jest. Ed twierdzi, że to jego test egzaminacyjny z zeszłego roku… Słowo w słowo.

– Nie wierzę – odparła stanowczo Alice.

– Ależ to w sumie obejmuje cały materiał!

– Nadal nie wierzę. – Oddała Elizabeth kartki. – Dlatego, że to cudo…

– On nie jest żadnym cudem. Nie nazywaj go tak.

– W porządku. Chyba ten drobny chłopczyna nie wpuścił cię w maliny i nie przekonał, żebyś przestała się uczyć i wykuła po prostu to, co ci tu napisał?

– Oczywiście, że nie – odparła zakłopotana Elizabeth.

– A jeśli nawet jest to dokładnie to, co będzie na egzaminie, nie sądzisz, że to trochę nieuczciwe?

Elizabeth ogarnął gniew.

– Pewnie, tobie łatwo mówić – palnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język. – Wystarczy, że w każdym semestrze jesteś na Dean’s List,

a starzy już ci przysyłają forsę… no, przepraszam, nie chciałam wcale tego powiedzieć.

Alice wzruszyła ramionami i starannie nadawszy twarzy wyraz obojętności, wróciła do *O*.

– Dlaczego? Masz zupełną rację. To nie mój interes. Ale czy nie zamierzasz jednak dokładnie przestudiować tego podręcznika?… Tak na wszelki wypadek.

– Jasne.

Ale głównie studiowała kartki, które dostała od Edwarda Jacksona Hamnera Juniora.

. . .

Kiedy wyszła z egzaminu, czekał już w holu owinięty w swoją zniszczoną zieloną kurtkę wojskową. Uśmiechnął się nieobowiązująco i wstał.

– Jak poszło? – zapytał.

Elizabeth impulsywnie pocałowała go w policzek. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni odczuwała tak wielką ulgę.

– Myślę, że zdałam celująco.

– Naprawdę? To wspaniale. Co powiesz na hamburgera?

– Cudowny pomysł – odparła nieobecnym tonem.

Myślami ciągle jeszcze była na egzaminie. Tematy były prawie słowo w słowo takie, jak podał jej Ed, i bez trudu się z nimi uporała.

Przy hamburgerach zapytała go o jego egzaminy końcowe.

– Nie mam żadnych. Mam indywidualny tok studiów i jeśli nie chcę, nie muszę niczego zdawać. Dopóki idzie mi dobrze, żadne egzaminy mnie nie obowiązują.

– Więc dlaczego tu jesteś?

– Przecież musiałem dowiedzieć się, jak ci poszło, prawda?

– Ed, wcale nie musiałeś. To miło z twojej strony, ale…

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, było aż nadto wymowne. Dobrze znała takie spojrzenia. Była śliczną dziewczyną.

– Ależ wręcz przeciwnie, musiałem – odparł cicho.

– Ed, jestem ci bardzo wdzięczna. Myślę, że dzięki tobie uratowałam stypendium. Naprawdę jestem ci wdzięczna. Ale wiesz, mam chłopaka.

– Serio? – zapytał, z największym trudem siląc się na obojętność.

– Bardzo serio – odparła tym samym tonem. – Jesteśmy prawie zaręczeni.

– Czy on zdaje sobie sprawę z tego, jakim jest szczęściarzem? Czy wie, jakie go spotkało szczęście?

– Ja też jestem szczęśliwa – odparła, myśląc o Tonym Lombardzie.

– Beth – odezwał się nieoczekiwanie.

– Słucham? – zapytała zaskoczona.

– Nikt na ciebie tak nie mówi, prawda?

– Nie… nikt. Nikt tak na mnie nie mówi.

– Nawet twój chłopak?

– Nawet…

Tony mówił do niej Liz. Czasami Lizzy, co było jeszcze gorsze.

Ed pochylił się w jej stronę.

– Ale najbardziej podoba ci się Beth, prawda?

Głośnym śmiechem starała się pokryć zmieszanie.

– Cokolwiek na świecie…

– Nieważne. – Znów wykrzywił twarz w łobuzerskim uśmiechu. – Ja będę mówił na ciebie Beth. Tak jest dużo lepiej. A teraz wcinaj hamburgera.

. . .

Skończyła pierwszy rok studiów i pożegnała się z Alice. Ostatnio stosunki między nimi bardzo pochłodniały i Elizabeth było z tego powodu ogromnie przykro. Uważała, że to z jej winy – zbyt hałaśliwie wyrażała swą radość, kiedy ostatecznie wywieszono wyniki egzaminu z socjologii. Osiągnęła dziewięćdziesiąt siedem punktów – najwięcej na wydziale.

No cóż, mówiła sobie, czekając na lotnisku, aż wywołają jej lot. Nie było to bardziej nieetyczne niż wkuwanie w czytelni na drugim piętrze. Wkuwanie wcale nie stanowiło prawdziwej nauki; chodziło o to, żeby dożonglować wkutą wiedzą do egzaminu, a później natychmiast wszystko zapomnieć.

Namacała palcami tkwiącą w torebce kopertę – stypendium na następny rok studiów; dwa tysiące dolarów. Latem będzie razem z Tonym pracować w Boothbay w stanie Maine i zarobione pieniądze pozwolą jej na wiele. A dzięki Edowi Hamnerowi czeka ją cudowne lato. Bezproblemowe.

Okazało się jednak, że było to najbardziej nieszczęśliwe lato w jej życiu.

. . .

Czerwiec przyszedł deszczowy, niedobory benzyny sprawiły, że przybywało niewielu turystów, więc jej napiwki w Boothbay Inn były liche. A co gorsza, Tony bez przerwy poruszał temat ich małżeństwa. Miał widoki na pracę w pobliskim kampusie i jak twierdził, przy jej studenckich stypendiach Elizabeth spokojnie dociągnie do dyplomu. Zaskoczyło ją, że perspektywa ta bardziej ją niepokoiła, niż radowała.

Coś było nie tak.

Nie wiedziała co, ale coś pominęła, coś się paskudziło, coś było cholernie nie w porządku. Pewnego wieczoru pod koniec lipca ku swemu przerażeniu wpadła w depresję i histerię. Na szczęście koleżanka, z którą dzieliła pokój, drobna, nieśmiała Sandra Ackerman, wybrała się akurat na randkę.

Na początku sierpnia nawiedził ją koszmarny sen. Leżała w otwartym grobie i nie mogła wykonać ruchu. Z białego nieba lały się strugi deszczu, biły prosto w jej zwróconą do góry twarz. Wtedy stanął nad nią Tony w hełmie przeciwdźwiękowym na głowie.

„Liz, wyjdź za mnie – powiedział, patrząc na nią tępo w dół. – Wyjdź za mnie, albo…”.

Chciała coś powiedzieć, chciała wyrazić zgodę; zgodziłaby się na wszystko, żeby tylko wyciągnął ją z tego przerażającego bagnistego dołu. Ale była jak sparaliżowana.

„W porządeczku – powiedział. – To albo to”.

Odszedł, a ona bezskutecznie próbowała pokonać bezwład.

Później dotarł do niej ryk buldożera.

Uwięziona w unieruchomionym ciele, niezdolna wykrztusić słowa, mogła tylko patrzeć na rozgrywający się przed jej oczyma horror. Do dołu zaczęły wpadać pierwsze bryły ziemi…

„Zjeżdżaj! – rozległ się znajomy głos. – Zostaw ją w spokoju! Zjeżdżaj!”

Tony chwiejnie wygramolił się z buldożera i zaczął uciekać.

Poczuła niewysłowioną ulgę. Gdyby tylko była w stanie, wybuchnęłaby płaczem. Nad grobem pojawił się, niczym zakrystian, jej wybawca. Był to Ed Hamner otulony swoją wytartą zieloną kurtką, z potarganymi włosami i spuszczonymi na czubek nosa okularami w rogowej oprawie. Wyciągał rękę w jej stronę.

„Wstawaj – powiedział czule. – Wiem, czego ci potrzeba. Wstawaj, Beth”.

Okazało się, że może się ruszać. Płakała z ulgi. Próbowała mu dziękować, ale jej słowa

rozpływały się w powietrzu. Ed uśmiechnął się łagodnie i skinął głową. Chwyciła go za rękę i popatrzyła pod nogi. Kiedy ponownie uniosła twarz, ujrzała, że ściska w ręku łapę olbrzymiego wilka o czerwonych jak lampa sztormowa ślepiach. Bydlak szczerzył na nią kły.

Obudziła się i jak rażona prądem usiadła wyprostowana w łóżku. Koszulę nocną miała mokrą od potu. Drżała jak osika na wietrze. I nawet po gorącym prysznicu i wypiciu szklanki mleka nie potrafiła ponownie zasnąć po ciemku. Zapadła w sen przy zapalonej lampie.

W tydzień później Tony nie żył.

. . .

Otworzyła drzwi ubrana w szlafrok, spodziewając się, że ujrzy Tony'ego. Ale to był Danny Kilmer, jeden z chłopaków, z którymi pracował Tony. Danny był fajnym chłopcem; Elizabeth, Tony, Danny i jego dziewczyna kilkakrotnie razem wypuścili się na tańce. Ale teraz stojący w progu jej mieszkania na pierwszym piętrze Danny nie tylko wyglądał poważnie; był półprzytomny.

– Danny? – zapytała. – Co…

– Liz – powiedział. – Liz, musisz wziąć się w garść. Musisz… Och, Boże!

Bił kłykciami brudnej dłoni we framugę drzwi i Elizabeth spostrzegła, że chłopak płacze.

– Danny, chodzi o Tony'ego? Czy coś się…

– Tony nie żyje – odezwał się Danny. – Został…

Mówił już w powietrze. Elizabeth zemdlała.

. . .

Następny tydzień przeżyła jak we śnie. O całej historii dowiedziała się częściowo z okropnych artykułów w gazecie, a resztę opowiedział jej Danny przy piwie w Harbor Inn.

Naprawiali na drodze numer szesnaście przepusty wodne pod autostradą. Jedno pasmo szosy było rozkopane i Tony za pomocą chorągiewek sygnalizacyjnych kierował ruchem. Ze wzgórza zjeżdżał czerwonym fiatem jakiś dzieciak. Tony dał mu chorągiewką znak, żeby się zatrzymał, ale tamten nawet nie zwolnił. Tony stał przy wywrotce i nie miał już gdzie się cofnąć. Chłopak z fiata doznał obrażeń głowy i złamania ręki; był kompletnie trzeźwy i wpadł w histerię. Policja ustaliła, że linki hamulcowe jego samochodu najprawdopodobniej przegrzały się i stopiły. Chłopak zdał z wyróżnieniem egzamin

na prawo jazdy, ale w tym przypadku po prostu fizycznie nie był w stanie nic zrobić, żeby zatrzymać rozpędzony pojazd. Jej Tony stał się ofiarą wypadku, jaki zdarza się najrzadziej: czysty i przez nikogo niezawiniony.

Rozpacz i depresję Elizabeth potęgowało jeszcze poczucie winy. Sam los podjął za nią decyzję, jak rozwiązać sprawę z Tonym. I jakaś chora, sekretna część jej osobowości czuła z tego powodu mroczne zadowolenie. Elizabeth wcale nie chciała wychodzić za Tony'ego… nie chciała od tej nocy, kiedy nawiedził ją sen.

. . .

Załamała się na dzień przed powrotem do domu.

Siedziała samotnie na wysuniętym w morze skalistym cyplu i prawie od godziny płakała. Zaskoczyła ją własna rozpacz. Płakała tak długo, aż zaczęły boleć ją żołądek i głowa, a kiedy w końcu łzy przestały płynąć, poczuła się pusta i wypalona od środka.

Wtedy usłyszała głos Eda Hamnera:

– Beth?

Drgnęła gwałtownie, czując w ustach miedziany smak strachu, bo podświadomie

spodziewała się, że ujrzy szczerzącego kły wilka z sennego koszmaru. Ale był to tylko Ed Hamner. Spalony słońcem wyglądał osobliwie bezbronnie bez swej podniszczonej kurtki i dżinsów. Miał na sobie czerwone szorty kończące się tuż nad kościstymi kolanami, biały podkoszulek, który niczym żagiel furkotał na wietrze na jego zapadniętej klatce piersiowej, i gumowe sandały. Nie uśmiechał się, a jaskrawe słońce odbijające się w szkłach okularów sprawiało, że nie można było dostrzec jego oczu.

– Ed? – zapytała niepewnie, podejrzewając prawie, że jego postać jest wyłącznie wywołaną rozpaczą halucynacją. – To naprawdę…

– Tak, to ja.

– W jaki…

– Pracowałem w Lakewood Theatre w Skowhegan. Tam spotkałem twoją koleżankę z pokoju… Alice, tak się chyba nazywała?

– Tak.

– Powiedziała mi, co się stało, więc natychmiast przyjechałem. Biedna Beth.

Poruszył leciutko głową, ale to wystarczyło, żeby słońce przestało lśnić w jego okularach i Elizabeth nie ujrzała w jego źrenicach nic wilczego, nic drapieżnego; jedynie ciche, serdeczne współczucie.

Znów zaniosła się łkaniem, aż zachwiała się pod wpływem nagłej gwałtownej siły tego paroksyzmu. Po chwili trzymał ją już w ramionach i to było w porządku.

. . .

Kolację zjedli w Silent Woman w odległym o trzydzieści pięć kilometrów Waterville; zapewne musiała przejechać taką odległość, żeby jako tako dojść do siebie. Wsiedli do samochodu Eda, nowego corvette. Ed prowadził bardzo dobrze – ani się nie popisywał swymi umiejętnościami, ani nie denerwował się za kierownicą, o co mogła go podejrzewać. Nie chciała rozmawiać i nie chciała, żeby ktoś ją pocieszał. Ed chyba doskonale rozumiał jej nastrój, bo prowadził w milczeniu, słuchając tylko cichej muzyki płynącej z radia.

On również, nie konsultując się z Elizabeth, zdecydował, co będą jeść – owoce morza. Elizabeth początkowo myślała, że nie jest głodna, ale gdy podano potrawy, rzuciła się na nie z wilczym apetytem.

Kiedy w końcu uniosła głowę, jej talerz był pusty. Roześmiała się nerwowo. Ed palił papierosa i przyglądał się jej z uwagą.

– Panienka w żałobie, a wcina jak największy żarłok – stwierdziła. – Nie najlepsze chyba masz o mnie wyobrażenie.

– Wcale nie – odparł. – Wiele przeszłaś, teraz musisz odzyskać siły. To jak choroba, prawda?

– Tak. Dokładnie.

Wyciągnął przez stół rękę, ujął jej dłoń, ścisnął lekko i natychmiast puścił.

– Ale teraz już wracasz do zdrowia, Beth.

– Naprawdę? Naprawdę tak uważasz?

– Oczywiście – odparł. – Powiedz… powiedz mi, jakie masz plany.

– Jutro wracam do domu. A co później, sama jeszcze nie wiem.

– Później chyba wrócisz na studia, prawda?

– Po prostu nie wiem. Po tym… uczelnia wydaje mi się taka… taka trywialna. Straciłam do wszystkiego serce. I całą pogodę ducha.

– Wrócą. Chwilowo trudno ci w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Poczekaj sześć tygodni, a sama się przekonasz. Nie masz nic lepszego do zrobienia.

Ostatnie stwierdzenie zabrzmiało zupełnie jak pytanie.

– To prawda, też tak uważam. Z tym tylko… posłuchaj, możesz poczęstować mnie papierosem?

– Jasne. Ale mam tylko mentolowe. Przepraszam.

Wzięła papierosa, którego jej podał.

– Skąd wiesz, że nie lubię mentolowych?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wyglądasz na kogoś, kto ich nie lubi.

Uśmiechnęła się.

– Jesteś zabawny, wiesz?

Odpowiedział nieokreślonym uśmiechem.

– Naprawdę. Na widok innych ludzi robiło mi się niedobrze i… i myślałam, że nie będę chciała nikogo oglądać. Ale cieszę się, że jesteś ze mną, Ed.

– Czasami dobrze jest być z kimś, z kim nie jest się związanym uczuciowo.

– Masz rację… – Urwała. – Kim ty, na Boga, jeszcze jesteś, Ed? Poza tym, że moim dobrym duszkiem. Kim jesteś naprawdę?

Wydało się jej nagle niebywale istotne, aby to wiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Nikim. Po prostu jednym z tych śmiesznych chłopaków, którzy pętają się po kampusie z książkami pod pachą…

– Ed, ty wcale śmiesznie nie wyglądasz.

– Ależ wyglądam – odparł z uśmiechem. – Pryszcze ze szkoły średniej nigdy mi do końca nie zeszły; nigdy nie zaakceptowało mnie żadne wielkie bractwo studenckie, nie stałem się znaczącą postacią w życiu towarzyskim uczelni. Po prostu szary szczurek, który przechodzi z roku na rok, to wszystko. Kiedy w przyszłym roku na wiosnę pojawią się na kampusie przedstawiciele korporacji szukających stypendystów, podpiszę z którąś kontrakt i Ed Hamner zniknie z horyzontu uczelni.

– Będzie to ogromna szkoda – powiedziała cicho.

Zmarszczył twarz w bardzo dziwnym uśmiechu. Prawie gorzkim.

– A co z twoimi starymi? – zapytała. – Gdzie mieszkasz, co lubisz robić…

– Opowiem ci innym razem. Teraz już musimy wracać. Jutro czeka cię długi lot do domu i wiele zamieszania.

. . .

Tego wieczoru po raz pierwszy od śmierci Tony’ego rozluźniła się, opuściło ją uczucie, że gdzieś w środku naciąga się w niej i naciąga jakaś sprężyna, która kiedy pęknie, będzie już nie do

naprawienia. Myślała, że sen nadejdzie szybko, ale grubo się myliła.

Nie dawały jej spokoju liczne, pozornie nieistotne pytania.

Alice mi powiedziała… biedna Beth.

Ale Alice przecież spędziła wakacje w Kittery, sto dwadzieścia kilometrów od Skowhegan. Musiała zatem przyjechać do Lakewood na jakieś przedstawienie.

Corvette, tegoroczny model. Drogi. Pracując za kulisami teatru Lakewood, z pewnością nie zarabiał wystarczająco dobrze, żeby stać go było na takie auto. Czy jego rodzice są bogaci?

W restauracji zamówił dokładnie to, co sama by zamówiła. Jedyne danie, którego mogła zjeść na tyle dużo, by stwierdzić, że jednak była głodna.

Papierosy mentolowe, sposób, w jaki pocałował ją na dobranoc; dokładnie tak, jak chciała, żeby ją pocałował. I…

Jutro czeka cię długi lot do domu.

Wiedział, że wraca do domu, ponieważ sama mu to powiedziała. Ale skąd wiedział, że wybiera się samolotem? Albo w ogóle, że daleko mieszka?

Nie dawało jej to spokoju. Nie dawało jej to spokoju, ponieważ była już w połowie drogi do zakochania się w Edzie Hamnerze.

Wiem, czego ci potrzeba.

Słowa, którymi ją przywitał, poszły za nią w otchłanie snu, jak dochodzący z wielkiej głębiny głos kapitana okrętu podwodnego.

. . .

Zaskoczyło ją to, że poczuła się rozczarowana, kiedy nie przyszedł na maleńkie lotnisko w Augusta, żeby ją pożegnać i odprowadzić na samolot. Myślała o tym, jak łatwo człowiek potrafi uzależnić się od innej osoby; prawie tak jak ćpun od narkotyków. Głupcy wmawiają sobie, że będą mogli zażywać to swoje świństwo albo nie i że w każdej chwili mogą zerwać z nałogiem, gdy tymczasem…

– Elizabeth Rogan – zagrzmiał z głośnika komunikat z punktu informacyjnego – proszona jest do najbliższego białego telefonu wewnętrznego.

Pośpieszyła w tamtą stronę.

– Beth? – usłyszała głos Eda.

– Ed! Świetnie, że dzwonisz. Myślałam, że może…

– Że pojawię się na lotnisku? – Roześmiał się. – Do tego mnie nie potrzebujesz. Jesteś dużą, silną

dziewczyną. I w dodatku piękną. Poradzisz sobie sama. Czy spotkamy się w szkole?

– Tak… myślę, że tak.

– To dobrze. – Na moment zapadła cisza i po chwili ponownie rozległ się jego głos: – Ponieważ cię kocham. Kocham cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

Elizabeth zatkało. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Przez głowę, niczym tajfun, przeleciało jej tysiące myśli.

Roześmiał się cicho.

– Nie, nic nie mów. Nie teraz. Spotkamy się. Wtedy będziemy mieli masę czasu. Cały czas będzie należał do nas. A na razie szczęśliwej drogi, Beth. Do widzenia.

Rozłączył się, a ona została z białą słuchawką w ręku i kłębiącymi się chaotycznie pod czaszką myślami i pytaniami.

. . .

Wrzesień.

Elizabeth wróciła do rutyny szkolnej; jak kobieta, która na chwilę przerwała robienie na drutach. W dalszym ciągu mieszkała z Alice; mieszkały zresztą wspólnie od pierwszego roku, kiedy to komputer z sekcji zakwaterowania

studentów przydzielił im wspólny pokój. Mimo różnych zainteresowań i odmiennych osobowości egzystowało im się razem bardzo dobrze. Alice była pilna i pracowita, robiła specjalizację z chemii i miała średnią trzy koma sześć. Elizabeth, bardziej towarzyska, mniej czasu spędzała nad książkami, a jako specjalizację wybrała matematykę i wychowanie.

W dalszym ciągu współżyły ze sobą bezkonfliktowo, jakkolwiek po wakacjach wkradł się w ich wzajemne stosunki pewien chłód. Elizabeth składała to na karb różnicy zdań co do egzaminu z socjologii, więc nie poruszała tego tematu.

Wydarzenia z lata coraz częściej wydawały jej się odległym snem. Czasami w zabawny sposób odnosiła wrażenie, że Tony był jej chłopakiem z ogólniaka. Wspomnienia o nim ciągle jeszcze były żywe i sprawiały ból, więc w rozmowach z Alice nie mówiła na ten temat; coraz bardziej jednak przypominało to już raczej dotkliwe pulsowanie blizny niż palący żywym ogniem ból otwartej rany.

Bardziej doskwierał jej fakt, że Ed Hamner nie dzwonił.

Minął tydzień, minęły dwa, nastał październik. Ze stowarzyszenia wzięła książkę

adresową studentów i wyszukała adres Eda. Niewiele jej to dało. Po imieniu i nazwisku znalazła jedynie dwa słowa: „Mill Street”. A Mill była bardzo długą ulicą. Tak zatem nie pozostawało jej nic innego jak cierpliwie czekać, lecz kiedy otrzymywała telefony z propozycją randki – a zdarzało się to dość często – stanowczo odmawiała. Alice unosiła tylko brwi, ale nie odzywała się słowem; pogrzebała się żywcem w sześciotygodniowym programie badawczym z biochemii i większość wieczorów spędzała w bibliotece. Elizabeth zauważyła, że raz lub dwa razy w tygodniu Alice otrzymuje podłużną białą kopertę – wiedziała o tym, ponieważ zazwyczaj pierwsza wracała z wykładów. Ale żadnej bliższej informacji o tych listach nie zdobyła. Prywatna agencja detektywistyczna była dyskretna; nie umieszczała na kopertach adresu zwrotnego.

. . .

Kiedy zadzwonił interkom, Alice właśnie się uczyła.

– Odbierz, Liz. To i tak zapewne do ciebie.

Elizabeth podeszła do aparatu.

– Tak?

– Liz, dżentelmen puka do drzwi.

Och, Boże!

– Kto taki? – zapytała z niepokojem, przelatując w myślach swój rejestr wyświechtanych wykrętów.

Migrena. W tym tygodniu nie stosowała jeszcze tej wymówki.

– Nazywa się Edward Jackson Hamner. Ni mniej, ni więcej Junior – wyjaśniła z lekkim rozbawieniem dziewczyna z recepcji i zniżając głos, dodała: – Ma skarpetki nie do pary.

Dłoń Elizabeth powędrowała do kołnierzyka podomki.

– Jezu słodki! Powiedz mu, że już idę… nie, nie, powiedz, że zejdę za chwilę… nie, nie, powiedz, że pojawię się za kilka minut. Dobrze?

– Jasne – odparła niepewnie dziewczyna. – Nie dostań krwotoku z nosa…

Elizabeth wyciągnęła z szafy parę spodni. Wyciągnęła króciutką, dżinsową spódniczkę. Przypomniała sobie, że we włosach ma wałki i jęknęła. Zaczęła je energicznie zdejmować.

Alice wszystko to obserwowała spokojnie, pogrążona w głębokim milczeniu. Ale kiedy za Elizabeth zamknęły się drzwi, długo patrzyła na nie z namysłem.

. . .

Nic się nie zmienił. Miał na sobie sfatygowaną, zieloną kurtkę, która ciągle wyglądała na o dwa numery za dużą. Z jednej strony łuk rogowej oprawki jego okularów był sklejony taśmą izolacyjną. Tyle że nosił nowe, sztywne dżinsy w niczym nieprzypominające dawnych spranych i wymiętych spodni. Jedną skarpetkę miał zieloną, a drugą brązową.

I wiedziała, że go kocha.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? – zapytała, podchodząc do Eda.

Wbił dłonie w kieszenie kurtki i uśmiechnął się wstydliwie.

– Chciałem dać ci trochę czasu na inne randki; na spotkania z innymi chłopakami. Chciałem, żebyś sama zdecydowała, co ci najbardziej odpowiada.

– Domyślałam się.

– To wspaniale. Chcesz iść do kina?

– Gdziekolwiek – odparła. – Wszystko mi jedno.

. . .

W miarę upływu czasu coraz bardziej dochodziła do wniosku, że nie spotkała dotąd w życiu nikogo – ani mężczyzny, ani kobiety – kto by tak kompletnie i bez zbędnych wyjaśnień wyczuwał jej nastroje i rozumiał potrzeby. Mieli identyczne gusta. O ile Tony najbardziej lubił filmy akcji, takie jak *Ojciec chrzestny*, Eda bardziej interesowały komedie i dramaty. Pewnego wieczoru, kiedy popadła w przygnębienie, zabrał ją do cyrku, gdzie niezwykle wesoło spędzili czas. Spotkania na naukę były naprawdę spotkaniami na naukę, a nie wyłącznie wymówką, żeby iść na drugie piętro do stowarzyszenia. Zabierał ją na zabawy. Wyjątkowo dobrze potrafił tańczyć starsze tańce, które Elizabeth uwielbiała. Zdobyli nagrodę Strolla w konkursie tańca w nostalgicznych rytmach lat pięćdziesiątych. A co więcej, wyczuwał, kiedy pragnęła namiętności. Nie zmuszał jej do niczego, nie ponaglał; ani razu nie odniosła wrażenia, jakie miała, umawiając się z innymi chłopcami – że istnieje jakiś wewnętrzny rozkład spotkań prowadzący do seksu – poczynając od pocałunku na pożegnanie podczas Randki Pierwszej, a kończąc na nocy w wynajętym od znajomego mieszkaniu na Randce Dziesiątej. Mieszkanie na drugim piętrze

bez windy przy Mill Street należało wyłącznie do Eda. Często tam bywała, ale przekraczając próg domu, nigdy nie miała wrażenia, że wchodzi do jakiejś jaskini rozpusty należącej do Don Juana kategorii C. Ed na nic nie nalegał. Najwyraźniej chciał dokładnie tego samego i dokładnie wtedy, kiedy Elizabeth.

Romans się rozwijał.

. . .

Z przerwy międzysemestralnej Alice wróciła czymś bardzo zaabsorbowana i zatroskana. Tego popołudnia, zanim pojawił się Ed – wychodzili razem na kolację – Elizabeth kilkakrotnie unosiła głowę, żeby popatrzeć na koleżankę, która siedziała ze zmarszczonymi brwiami nad dużą manilową kopertą. W pewnej chwili Elizabeth chciała już zapytać, o co chodzi, ale poskromiła język. Alice nurtował zapewne problem jakiegoś nowego programu naukowego.

. . .

Kiedy Ed odwoził Elizabeth do akademika, szalała śnieżyca.

– Jutro? – spytał. – U mnie?

– Jasne. Uprażę trochę kukurydzy.

– Cudownie – odparł, całując dziewczynę. – Kocham cię, Beth.

– Ja ciebie też.

– A jutro zostaniesz u mnie na noc?

– Pewnie, Ed – odparła, patrząc mu w oczy. – Jeśli tylko będziesz chciał…

– Cudownie – powiedział cicho. – Dobrych snów, dziecko.

– Tobie też.

Spodziewała się, że Alice będzie już spać, więc do pokoju weszła na palcach. Ale współlokatorka siedziała przy biurku.

– Alice, co się z tobą dzieje?

– Liz, musimy porozmawiać. O Edzie.

– O Edzie?

– Podejrzewam, że kiedy skończę mówić, przestaniemy być przyjaciółkami. Nawet nie wiesz, ile mnie to kosztuje. Chcę, żebyś uważnie wysłuchała tego, co mam do powiedzenia.

– Może lepiej nic nie mów?

– Muszę.

Elizabeth poczuła, że początkowa ciekawość zamienia się w gniew.

– Węszyłaś wokół Eda?

Alice popatrzyła na nią w milczeniu.

– Jesteś zazdrosna?

– Gdybym była zazdrosna o ciebie i twoje randki, wyniosłabym się stąd już dwa lata temu.

Oszołomiona Elizabeth popatrzyła na przyjaciółkę. Wiedziała, że powiedziała prawdę. I nagle ogarnął ją strach.

– W Edzie Hamnerze zaintrygowały mnie dwie rzeczy – zaczęła Alice. – Po pierwsze, napisałaś do mnie o śmierci Tony'ego i dodałaś, że cieszysz się, iż spotkałam Eda w Lakewood Theatre… bo natychmiast pojechał prosto do Boothbay i tam rzeczywiście bardzo ci pomógł. Ale ja go wcale nie spotkałam, Liz. Ostatniego lata nie byłam nawet w pobliżu Lakewood Theatre.

– Ale…

– Skąd wiedział o śmierci Tony'ego? Nie mam zielonego pojęcia. Wiem tylko, że nie ode mnie. A druga sprawa, to ta historia z jego ejdetyczną pamięcią. Boże drogi, Liz, on nawet nie pamięta, którą skarpetkę włożył!

– To dwie różne rzeczy – odparła sztywno Liz. – To…

– Latem Ed Hamner wybrał się do Las Vegas – przerwała jej cicho Alice. – Wrócił stamtąd w połowie lipca i wynajął pokój w motelu w Pemaquid; to jest po drugiej stronie Boothbay

Harbor. Zupełnie jakby wiedział, że będziesz go potrzebować.

– Chyba zwariowałaś. I skąd wiesz, że Ed był w Las Vegas?

– Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego spotkałam Shirley D'Antonio. Pracowała w Pines Restaurant mieszczącej się dokładnie naprzeciwko teatru. Twierdzi, że nie spotkała tam nikogo, kto przypominałby Eda Hamnera. Stąd wiem, że w kilku kwestiach cię okłamał. Wtedy poszłam do swego ojca i wyłożyłam mu całą sprawę. Poradził, żebym poszła na całość.

– To znaczy? – zapytała oszołomiona Elizabeth.

– Wynajęłam prywatną agencję detektywistyczną.

Elizabeth zerwała się na równe nogi.

– Ani słowa więcej, Alice. To wszystko.

Postanowiła wsiąść do autobusu i pojechać do miasta, do Eda. Noc spędzi u niego. Podejrzewała, że i tak lada chwila sam zaproponowałby jej przeprowadzkę do siebie.

– Ale ostatecznie teraz już wszystko wiesz – powiedziała Alice. – Decyzja należy do ciebie.

– Nie muszę niczego wiedzieć poza tym, że jest dobry i…

– Miłość jest ślepa, prawda? – powiedziała z gorzkim uśmiechem Alice. – Cóż, tak się zdarzyło, że i mnie trochę na tobie zależy, Liz. Czy przyszło ci to kiedykolwiek do głowy?

Elizabeth odwróciła się i przez długą chwilę mierzyła ją wzrokiem.

– Jeśli nawet tak jest, to wybrałaś ciekawy sposób okazania mi swoich uczuć – oświadczyła cierpko. – No dobrze, mów dalej. Może masz rację. Może tyle jestem ci winna. Mów.

– Poznałaś go bardzo dawno temu – powiedziała cicho Alice.

– Ja… kiedy?

– Szkoła podstawowa numer sto dziewiętnaście, Bridgeport w Connecticut.

Elizabeth osłupiała. Ona i jej rodzice mieszkali w Bridgeport przez sześć lat i wynieśli się z miasteczka, kiedy Elizabeth ukończyła drugą klasę podstawówki. Rzeczywiście, uczęszczała do szkoły podstawowej numer sto dziewiętnaście, ale…

– Alice, jesteś tego pewna?

– Nie przypominasz sobie Eda z tamtych czasów?

– Oczywiście, że nie.

Ale tak naprawdę pamiętała tamto uczucie, kiedy po raz pierwszy ujrzała go w czytelni –

uczucie *déjà vu*.

– Domyślam się, że ładne dziewczęta nie pamiętają takich brzydali. Ale on zapewne już wtedy zwrócił na ciebie uwagę. Chodziłaś z nim do pierwszej klasy, Liz. Może siedział w samym końcu sali i po prostu… obserwował cię. A może na boisku. Niczym niewyróżniające się dziecko, które nosiło okulary i spodenki na szelkach. Po prostu nie zapamiętałaś go, ale założę się, że on ciebie zapamiętał aż za dobrze.

– Co jeszcze? – zapytała Elizabeth.

– Agencja zaczęła od szkoły. Później był to już tylko problem dotarcia do odpowiednich ludzi i odbycia z nimi stosownych rozmów. Agent wyznaczony do tej sprawy oświadczył, że nie rozumie pewnych rzeczy. Ja również. Niektóre z nich przerażają.

– No, no – mruknęła posępnie Elizabeth.

– Ed Hamner Senior był nałogowym hazardzistą. Pracował w jednej z największych agencji reklamowych w Nowym Jorku, a później przeniósł się do Bridgeport; rodzaj ucieczki. Agent mówi, że brał udział prawie we wszystkich partiach pokera o wielką stawkę, jakie odbywały się w mieście. Do gry zawsze wchodził z ogromnymi kwotami.

Elizabeth zamknęła oczy.

– Za pieniądze ludzie potrafią wyciągnąć na światło dzienne najgorsze brudy, prawda?

– Może. Tak czy owak, w Bridgeport ojciec Eda wpadł w kolejne tarapaty. Znów chodziło o hazard. Wdał się w jakieś ciemne machinacje z rekinem wśród lichwiarzy. Miał złamaną nogę i rękę. Agent nie wierzy, że to był wypadek.

– I co jeszcze? – zapytała Elizabeth. – Znęcanie się nad dzieckiem? Malwersacja?

– W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym ojciec Eda podjął pracę w jakiejś nędznej agencji reklamowej w Los Angeles. Niestety trochę za blisko Las Vegas. Na hazardzie spędzał tam całe weekendy. Stawiał bardzo wysoko i… przegrywał. Wtedy zaczął zabierać ze sobą Eda Juniora i los się odmienił. Zaczął wygrywać.

– Chyba sobie to wszystko zmyślasz. Tak, na pewno ponosi cię wyobraźnia.

Alice puknęła palcem w leżący przed nią raport.

– Tutaj masz wszystko czarno na białym, Liz. Wiele z tego nie przedstawiałoby dla sądu żadnej wartości dowodowej, ale agent twierdzi, że ludzie, z którymi rozmawiał, nie mieli powodów kłamać. Ojciec nazywał Eda „swoją szczęśliwą maskotką”. Początkowo nikt nie wysuwał

obiekcji co do chłopca, choć obecność dzieci w kasynach gry była zabroniona. Jego ojciec był dla właścicieli kasyn złotą żyłą. Ale w końcu przestawił się wyłącznie na ruletkę, stawiał tylko na pary i kolory. Na koniec chłopca nie wpuszczano już do żadnego lokalu. Ale wtedy jego ojciec przerzucił się na inny rodzaj hazardu.

– Na jaki?

– Rynek papierów wartościowych. Kiedy w połowie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku Hamnerowie wylądowali w Los Angeles, zamieszkali w norze za dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie, a stary Hamner jeździł chevroletem rocznik pięćdziesiąt dwa. Pod koniec sześćdziesiątego drugiego, zaledwie szesnaście miesięcy później, mieszkali już we własnym domu w San Jose. Pan Hamner jeździł nowiutkim thunderbirdem, a pani Hamner volkswagenem. Rozumiesz, w Newadzie wstęp do kasyn był dziecku zabroniony, ale nikt nie mógł zabronić mu studiowania kolumn gazetowych dotyczących giełdy i rynku papierów wartościowych.

– Próbujesz mi udowodnić, że Ed… że on mógłby… Alice, tyś chyba postradała rozum!

– Niczego nie próbuję ci udowadniać. Może tylko to, że doskonale wiedział, czego potrzeba

jego tacie.

Wiem, czego ci potrzeba.

Zupełnie jakby ktoś wyszeptał jej te słowa do ucha. Elizabeth zadrżała.

– Przez następnych sześć lat pani Hamner była pacjentką różnorodnych ośrodków dla chorych psychicznie. Rzekomo przeżywała załamania nerwowe, ale agent rozmawiał z pewnym sanitariuszem, który twierdził, że jej choroba miała podłoże psychotyczne. Utrzymywała, że jej syn jest „giermkiem diabła". W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku uderzyła go nożyczkami. Próba zabójstwa. Twierdziła… Liz, co ci jest?

– Blizna – wymamrotała. – Mniej więcej miesiąc temu wybraliśmy się nocą na czynny całą dobę basen uniwersytecki. Ed rzeczywiście ma głęboką bliznę… o, tutaj. – Położyła dłoń tuż nad lewą piersią. – Wyjaśnił… – Poczuła, że wywraca się jej żołądek i podchodzi do gardła. Musiała chwilę odczekać, aż sensacje miną. – Wyjaśnił, że kiedy był małym chłopcem, upadł na ostry płot.

– Czy mogę mówić dalej?

– Dlaczego nie, kończ. I tak już bardziej mi nie zaszkodzisz.

– W sześćdziesiątym ósmym roku została zwolniona z bardzo ekskluzywnej kliniki psychiatrycznej w San Joaquin Valley. We trójkę wybrali się na wakacje. Zatrzymali się na parkingu piknikowym przy szosie sto jeden. Chłopiec zbierał drewno na ognisko, a ona wraz z mężem wjechali na wysoki występ górujący nad oceanem. Może była to próba przejechania Eda? Miał wtedy prawie osiemnaście lat. Ojciec zostawił mu portfel papierów wartościowych na sumę miliona dolarów. Ed wybrał się na wschód, a półtora roku później zapisał się na naszą uczelnię. I to wszystko.

– Nie ma już w szafie więcej trupów?

– Liz, czy to ci nie wystarczy?

Elizabeth wstała.

– Nic dziwnego, że nie chce wspominać o swojej rodzinie. Ale ty musiałaś wykopać zwłoki, prawda?

– Jesteś ślepa – odparła Alice, kiedy Elizabeth wkładała płaszcz. – Rozumiem, że wybierasz się do niego?

– Zgadza się.

– Ponieważ go kochasz?

– Zgadza się.

Alice przeszła pokój i chwyciła Elizabeth za ramię.

– Może wreszcie przestaniesz się dąsać i przez chwilę pomyślisz! Ed Hamner potrafi robić rzeczy, o jakich wszyscy inni ludzie mogą sobie najwyżej pomarzyć. Zapewniał ojcu wygrane w ruletkę i zrobił z niego bogacza przez to, że pomagał mu grać na giełdzie. Najwyraźniej potrafił prokurować wygrane. Może ma rozwiniętą jakąś niższą warstwę psychiki. A może jest jasnowidzem. Nie wiem. Istnieją ludzie, którzy dysponują takim darem. Liz, czy nie przyszło ci do głowy, że on zmusił cię, żebyś go pokochała?

Liz powoli odwróciła się w jej stronę.

– W życiu nie słyszałam większej bzdury.

– Naprawdę? Dał ci test z socjologii w taki sam sposób, jak dawał ojcu informację, który numer padnie w ruletce! Przecież on nigdy nie zapisał się nawet na kurs socjologii! Sprawdziłam to. A zrobił to tylko dlatego, żebyś ty zaczęła traktować go poważnie!

– Dosyć! – krzyknęła Liz, zasłaniając dłońmi uszy.

– Znał test i wiedział, kiedy zginie Tony, i wiedział, że do domu będziesz wracać samolotem! Znał nawet ten najodpowiedniejszy moment psychologiczny, kiedy najdogodniej było

mu w zeszłym roku w październiku wkroczyć w twoje życie.

Elizabeth wyrwała rękę z uścisku Alice i otworzyła drzwi.

– Proszę – mówiła Alice. – Liz, proszę. Nie wiem, jak on to robi. Wątpię nawet, czy on to wie. Może nawet nie zamierza cię krzywdzić, ale już cię skrzywdził. Skrzywdził cię przez to, że znając twoje najdrobniejsze, najsekretniejsze życzenia, pragnienia i potrzeby, sprawił, że go pokochałaś. Ale to nie ma nic wspólnego z miłością. To gwałt.

Elizabeth zatrzasnęła za sobą drzwi i zbiegła po schodach.

. . .

Do miasta pojechała ostatnim autobusem. Pojazd, niczym okulawiony żuk, brnął przez niewielkie, ruchome zaspy sypkiego śniegu, jakie tworzyły się na jezdni. Elizabeth zajęła miejsce na samym końcu autobusu, w którym oprócz niej było już tylko sześciu czy siedmiu pasażerów. W głowie miała kompletny zamęt.

Mentolowe papierosy. Rynek papierów wartościowych. Znajomość panieńskiego nazwiska jej matki – Deedee. Mały chłopiec

siedzący na samym końcu klasy, wlepiający cielęcy wzrok w energiczną dziewczynkę, zbyt jeszcze młody, żeby zrozumieć…

Wiem, czego ci potrzeba.

Nie. Nie. Nie. Kocham go!

Naprawdę?

A może po prostu cieszyła się, że ma przy sobie kogoś, kto zawsze zamówi właściwe danie, zaprowadzi na właściwy film, nie pójdzie tam, dokąd ona nie chce pójść, ani nie zrobi czegoś, czego ona nie zaakceptuje? Może stanowił rodzaj jej psychicznego zwierciadła, które pokazywało wyłącznie to, co sama pragnęła ujrzeć? Prezenty od niego były zawsze prezentami właściwymi. Kiedy nastąpiło nagłe załamanie pogody i na gwałt potrzebowała suszarki do włosów, kto ją jej dał? Oczywiście Ed Hamner. Oświadczył, że akurat udało mu się ją okazyjnie kupić na bardzo atrakcyjnej wyprzedaży. A ona, naturalnie, była w siódmym niebie.

To nie ma nic wspólnego z miłością. To gwałt.

Kiedy wysiadła na rogu Main i Mill, jej twarz zaczęły ranić lodowate pazury mroźnego wiatru. Skrzywiła się. Autobus odjechał z cichym pomrukiem dieslowskiego silnika; przez chwilę jeszcze w spowitej w śniegu ciemności lśniły jego tylne światła, po czym pochłonął je mrok.

Elizabeth nigdy w życiu nie czuła się tak samotna.

. . .

Nie było go w domu.

Pukała energicznie przez dobrych pięć minut, aż w końcu dała za wygraną i zmieszana gapiła się w drzwi. Przyszło jej do głowy, że właściwie nie ma najmniejszego pojęcia, co Ed robi lub z kim się spotyka, kiedy jej przy nim nie ma. Nigdy się nad tym nie zastanawiała.

Może podbija cenę jakiejś kolejnej suszarki do włosów w partii pokera?

Podjęła nagłą decyzję. Wspięła się na palce i sięgnęła nad górną framugę drzwi, bo wiedziała, że tam powinien leżeć zapasowy klucz. Macała palcami i nagle klucz upadł z hałasem na podłogę korytarza.

Podniosła go i wsunęła do zamka.

Pod nieobecność Eda mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej – sztucznie, trochę jak teatralna dekoracja. Zawsze ją bawiła myśl, że ktoś, kto tak niewielką wagę przykłada do swego wyglądu, może mieszkać w tak schludnym i przytulnym mieszkaniu. Zupełnie jakby urządził je specjalnie

z myślą o niej, a nie o sobie. Ale to już było czyste szaleństwo. Prawda?

Ponownie uświadomiła sobie, że bardzo lubi krzesło, na którym siadała, kiedy razem uczyli się lub oglądali telewizję. Było w sam raz; jak w bajce o Złotowłosej i niedźwiadkach. Nie za twarde, nie za miękkie. Jak wszystko inne, co w myślach łączyła z Edem.

Z salonu prowadziło dwoje drzwi. Jedne do kuchni, drugie do sypialni.

Za oknem hulała taka wichura, że aż cały budynek trzeszczał i drżał.

W sypialni obrzuciła spojrzeniem mosiężne łóżko. Nie było za twarde, nie było za miękkie; po prostu w sam raz. I znów ten podstępny, złośliwy podszept: wszystko to jest prawie zbyt idealne, nieprawdaż?

Podeszła do regału z książkami i zaczęła niedbale wodzić wzrokiem po tytułach. Jej uwagę zwrócił jeden. Wyjęła tom *Szalone tańce lat pięćdziesiątych*. Książka sama otworzyła się na stronicy mniej więcej w trzech czwartych swej objętości, gdzie zakreślono grubym, kopiowym ołówkiem tytuł rozdziału: *Stroll*, a na marginesie wypisano wielkimi, prawie oskarżycielskimi literami: BETH.

Powinnam natychmiast stąd wyjść, powiedziała do siebie. Przecież muszę coś uratować. Jeśli teraz Ed wróci i zastanie mnie tutaj, nigdy już nie będę mogła spojrzeć mu w twarz i Alice wygra. Okaże się, że nie na darmo wydała pieniądze na detektywów.

Ale wiedziała też, że nie może zatrzymać się w połowie drogi. Sprawy zaszły za daleko.

Zbliżyła się do szafy i pociągnęła za gałkę. Szafa była zamknięta na klucz.

Bez zastanowienia wspięła się na palce i sięgnęła na górę drzwi. Namacała klucz. Zdjęła go i w tej samej chwili jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją bardzo wyraźnie: Nie rób tego. Pomyślała o żonie Sinobrodego i o tym, co znalazła, kiedy otworzyła niewłaściwe drzwi. Ale było już za późno; jeśli teraz tego nie zrobi, do końca życia będzie ją dręczyć niepewność. Otworzyła szafę.

Odniosła najdziwniejsze wrażenie, że właśnie tutaj cały czas ukrywał się prawdziwy Ed Hamner Junior.

Wewnątrz panował nieopisany bałagan – splątane krawaty, książki, rakieta tenisowa bez naciągu, para zniszczonych butów do gry na korcie, stare preliminarze i sprawozdania ciśnięte bezładnie na kupę, woreczek, z którego

wysypywał się tytoń marki Borkum Riff. W najdalszym kącie leżała ciśnięta jego sfatygowana zielona kurtka.

Wzięła książkę i zerknęła na tytuł. *Złota gałąź*. Inne: *Pradawne rytuały*, *Współczesne tajemnice*. Kolejna: *Haitańskie voodoo*. I ostatnia, oprawiona w starą, popękaną skórę. Tytuł był prawie nieczytelny od częstego używania księgi, która wydzielała lekki fetor psującej się ryby. *Necronomicon*. Otworzyła na chybił trafił, ze świstem wciągnęła powietrze w płuca, zamknęła książkę, ale ciągle miała przed oczyma obrzydliwość, jaką tam ujrzała.

Przede wszystkim, żeby zachować zimną krew, sięgnęła po podniszczoną zieloną kurtkę, nie przyznając się wcale przed samą sobą, że zamierza przeszukać jej kieszenie. Ale kiedy ją uniosła, spostrzegła kolejny przedmiot. Niewielkie pudełko…

Zaintrygowana, wzięła je do ręki i zaczęła obracać w dłoniach. W takich pudełkach mali chłopcy przechowują zazwyczaj swoje skarby. Na cienkim denku wytłoczony był napis: FABRYKA CUKIERKÓW W BRIDGEPORT.

Elizabeth otworzyła skrzyneczkę.

Na wierzchu leżała lalka. Lalka przedstawiająca ją.

Elizabeth zaczęła dygotać.

Lalka ubrana została w strzęp czerwonego nylonu; kawałek apaszki, która zginęła jej dwa lub trzy miesiące wcześniej. Była wówczas z Edem w kinie. Ręce figurki zrobione były z wyciorów do fajki pokrytych czymś, co przypominało niebieski mech. Zapewne mech z cmentarza. Lalka miała na głowie włosy, ale one do niczego nie pasowały. Zrobione zostały z delikatnego, białego lnu przylepionego do głowy wykonanej z gumki do ścierania. Loki Elizabeth były rudawoblond i dużo mniej puszyste. Te włosy przypominały jej włosy z czasów…

…kiedy była małą dziewczynką.

Przełknęła głośno ślinę, poczuła, że coś ściska ją w gardle. Czy nie mieli w pierwszej klasie maleńkich nożyczek z zaokrąglonymi ostrzami; takich, jakie bezpiecznie mogły używać małe dzieci? Czyżby dawno temu mały chłopiec podkradł się do niej w porze południowego leżakowania, kiedy spała, i…

Elizabeth odłożyła lalkę na bok i ponownie zajrzała do pudełka. Ujrzała niebieski żeton do pokera z osobliwym sześciobocznym wzorem wymalowanym czerwonym atramentem. Pod nim znajdowała się pognieciona strona z gazety

z kolumną z nekrologami – państwo Hamnerowie. Na załączonej fotografii oboje się uśmiechali, a na ich twarzach widniał taki sam sześcioboczny wzór – tym razem namalowany czarnym atramentem; jak całun. Dwie kolejne lalki, jedna przedstawiająca mężczyznę, a druga kobietę. Podobieństwo twarzy tych lalek do twarzy z fotografii było odrażająco uderzające.

Na samym dnie pudełka po cukierkach zagrzechotało jeszcze coś.

Nie patrząc do środka, wyciągnęła ten przedmiot. Palce jej drżały. Wydała cichy okrzyk.

Był to maleńki model samochodu, jaki chłopcy kupują w kioskach lub sklepach z zabawkami, a później mozolnie składają, używając do tego kleju do budowy modeli lotniczych. Ten samochodzik przedstawiał fiata i został pomalowany na czerwono. Na masce zabaweczki przylepiono strzęp czegoś, co przypominało kawałek koszuli Tony'ego.

Odwróciła samochodzik do góry nogami. Ktoś potrzaskał całe podwozie.

– A więc doszłaś wreszcie prawdy, ty niewdzięczna dziwko.

Wrzasnęła, wypuszczając z rąk samochodzik i pudełko. Odrażające skarby Eda rozsypały się po podłodze.

Stał w progu i patrzył na Elizabeth. Dziewczyna nigdy jeszcze na niczyjej twarzy nie widziała takiej nienawiści.

– Zabiłeś Tony'ego – powiedziała.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

– Myślisz, że zdołasz mi to udowodnić?

– To nieistotne – odparła zaskoczona pewnością, z jaką to powiedziała. – Ja wiem. I nie chcę cię już nigdy widzieć na oczy. Nigdy. A jeśli jeszcze zrobisz… cokolwiek… komukolwiek… będę o tym wiedziała. I wtedy dopiero wpadniesz w kłopoty.

Wykrzywił się.

– Więc w taki sposób mi dziękujesz? Dałem ci wszystko, czego chciałaś. Rzeczy, których nie zapewniłby ci nikt inny. Musisz to przyznać. Sprawiłem, że byłaś absolutnie szczęśliwa.

– Zabiłeś Tony'ego! – wrzasnęła mu prosto w twarz.

Przekroczył próg pokoju.

– Tak, i zrobiłem to dla ciebie. A kim ty jesteś, Beth? Nawet nie wiesz, co to prawdziwa miłość. Kochałem cię od chwili, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, ponad siedemnaście lat temu. Czy Tony mógł to o sobie powiedzieć? Dla ciebie nic nie było trudne. Jesteś piękna. Nigdy nie musiałaś myśleć o tym, czego ci potrzeba, czego

pragniesz, nie dręczyła cię samotność. Nie musiałaś szukać… innych sposobów, żeby dostać to, co chciałaś zdobyć. Zawsze był Tony, który ci to zapewniał. Musiałaś się tylko ładnie uśmiechnąć i powiedzieć „poproszę”. – Głos Eda stał się o ton wyższy. – Ja w ten sposób nie mogłem osiągnąć tego, czego chciałem. Myślisz, że się nie starałem? Z moim ojcem nie wyszło. On chciał tylko więcej i więcej. Dopóki nie uczyniłem z niego bogacza, ani razu nie pocałował mnie na dobranoc, nie przytulił. Moja matka to samo. Zwróciłem jej małżeństwo, ale myślisz, że to wystarczyło? Nienawidziła mnie! Nie potrafiła się nawet na tyle przemóc, żeby się do mnie zbliżyć! Mówiła, że jestem wybrykiem natury! Dałem jej tyle ślicznych rzeczy, ale… Beth, nie rób tego! Nie… niiieee…

Nastąpiła nogą na laleczkę, która ją przedstawiała, i z całej siły zakręciła obcasem. Poczuła w sobie rozbłysk straszliwego bólu, który natychmiast minął. Teraz nie bała się Eda. Był tylko małym chłopcem w ciele dorosłego mężczyzny. I miał skarpetki nie do pary.

– Nie wydaje mi się, żebyś mógł mi cokolwiek zrobić, Ed – oświadczyła. – Już nie teraz. Prawda, że mam rację?

Odwrócił się do niej plecami.

– Odejdź stąd – powiedział słabym głosem. – Wynoś się. Ale zostaw pudełko. Choć tyle dla mnie zrób.

– Pudełko zostawię. Ale jego zawartości nie.

Wyminęła go. Poruszył ramionami, jakby chciał ją złapać, lecz po chwili opuścił ręce i zgarbił plecy.

Kiedy już była na schodach, stanął na ich górze i krzyknął przenikliwym głosem:

– A więc idź sobie! Tylko pamiętaj, że już żaden mężczyzna cię nie zadowoli! A kiedy stracisz urodę i mężczyźni nie będą nawet starać się spełniać twoich zachcianek, zatęsknisz za mną! Wtedy dopiero zrozumiesz, co odrzuciłaś!

Zeszła po schodach i wyszła w śnieg. Jego chłód rozkosznie chłodził rozpaloną twarz. Czekały ją trzy kilometry marszu do kampusu, ale nie dbała o to. Chciała iść. Chciała zmarznąć. Chciała, żeby długi marsz i zimno ją oczyściły.

W pewien dziwaczny, skomplikowany sposób współczuła Edowi – mały chłopiec z ogromną potęgą wciśniętą w jego skarlałą duszę. Mały chłopiec, który zamieniał ludzi w ołowianych żołnierzyków, a następnie deptał ich w przypływie złego humoru… lub wtedy, gdy odkrywali jego tajemnicę.

A kim ona była? Pobłogosławiona tym wszystkim, czego on nie miał, zdobyła bez najmniejszego wysiłku to, czego mu brakowało. Pamiętała swoją reakcję na słowa Alice – była ślepa i zazdrośnie strzegła tego, co było raczej łatwe niż dobre. Nie dbała, nie dbała.

A kiedy stracisz urodę i mężczyźni nie będą nawet starać się spełniać twoich zachcianek, zatęsknisz za mną… Wiem, czego ci potrzeba.

Ale czy naprawdę jej dusza jest aż tak mała, żeby tak mało potrzebować?

Boże drogi, proszę, nie.

Na moście między miastem i kampusem przystanęła i cisnęła magicznymi strzępami Eda Hamnera; ciskała je po kolei za balustradę mostu. Czerwono pomalowany model fiata poleciał na końcu; spadał i spadał w śnieżnych wirach, aż zniknął jej z oczu.

DZIECI KUKURYDZY

Burt nastawił radio na cały regulator, ponieważ zanosiło się na kolejną kłótnię, a on chciał jej uniknąć. Chciał jej uniknąć za wszelką cenę.

Vicky coś powiedziała.

– Słucham? – krzyknął.

– Ścisz! Chcesz, żeby mi bębenki w uszach popękały?

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się przed powiedzeniem tego, co cisnęło mu się na usta, i przyciszył radio.

Mimo że ich thunderbird posiadał klimatyzację, Vicky wachlowała się chustką do nosa.

– Słuchaj, gdzie my właściwie jesteśmy?

– W Nebrasce.

Popatrzyła na niego obojętnie.

– Wiem o tym, Burt. Wiem, że jesteśmy w Nebrasce. Ale gdzie dokładnie, do cholery,

jesteśmy?

– Przecież to ty masz atlas samochodowy. Zajrzyj. Nie umiesz czytać?

– Bardzo śmieszne. Czy dlatego opuściliśmy płatną autostradę, żeby oglądać ciągnące się setkami kilometrów pola kukurydzy i podziwiać dowcip oraz mądrość Burta Robesona?

Zacisnął na kierownicy dłonie tak mocno, że mu kłykcie pobielały. Doszedł do wniosku, że gdyby tego nie zrobił, mógłby całkiem odruchowo uderzyć siedzącą obok niego po prawej stronie byłą królową balów studenckich. Cóż, ratujemy nasze małżeństwo, pomyślał. Tak, ale z równym powodzeniem moglibyśmy ratować podczas wojny skazaną na pacyfikację wioskę.

– Vicky – powiedział ostrożnie. – Odkąd opuściliśmy Boston, zrobiłem za kółkiem trzy tysiące kilometrów. I to tylko dlatego, że ty ani razu nie chciałaś prowadzić. Tak więc…

– Nie chodzi o to, że nie chciałam – odparła z przekonaniem Vicky. – Podczas długiej jazdy samochodem zawsze dostaję migreny i…

– I dlatego, kiedy spytałem cię, czy możesz mnie pilotować na bocznych drogach, ty odparłaś: „Pewnie, Burt”. Dokładnie tak powiedziałaś: „Pewnie, Burt”. A teraz…

– Czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle za ciebie wyszłam.

– Powiedziałaś jedno krótkie słówko.

Zacisnęła usta tak, że zsiniały jej wargi, popatrzyła na niego, po czym sięgnęła po atlas. Zaczęła go wściekle kartkować.

Popełniłem błąd, opuszczając autostradę, pomyślał posępnie Burt. Wprowadziło to wiele zamieszania, ponieważ aż do tamtej chwili udawało się im traktować siebie jak istoty ludzkie.

Podróż na wybrzeże stanowić miała ostatnią próbę uratowania ich małżeństwa. Pretekstem do wyjazdu stało się zaproszenie przysłane przez brata Vicky i jego żonę. Początkowo wiele rzeczy wskazywało na to, że plan się powiedzie; jednak od czasu opuszczenia płatnej autostrady wszystko zaczęło się psuć. Tak naprawdę, to sprawy między nimi przyjęły fatalny obrót.

– Autostradę opuściliśmy w Hamburgu, zgadza się?

– Zgadza.

– Najbliższa miejscowość to Gatlin – powiedziała. – Czterdzieści kilometrów prostej, pustej drogi. Jak sądzisz, czy moglibyśmy się tam zatrzymać i coś zjeść? A może twój sztywny

rozkład jazdy nie pozwala na to i przystaniemy dopiero o drugiej po południu, tak jak wczoraj?

Przeniósł wzrok z drogi na Vicky.

– Jak chcesz. Ale jeśli idzie o mnie, to uważam, że powinniśmy natychmiast zawrócić do domu. Tam spotkalibyśmy się z tym twoim prawnikiem. Nasz plan się nie powiódł…

Vicky odwróciła głowę i spojrzała przed siebie z napięciem. W jednej chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia i strachu.

– Burt, uważaj, coś jest na drodze…

Popatrzył przez przednią szybę i dostrzegł, że to coś znika właśnie pod przednim zderzakiem t-birda. W sekundę później, zanim zdążył przełożyć stopę z pedału gazu na hamulec, rozległ się okropny łomot, najpierw pod przednimi kołami, a następnie pod tylnymi. Kiedy gwałtownie zahamował, cisnęło ich do przodu i pędzący z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę samochód zatrzymał się, zostawiając na asfalcie czarne smugi po oponach.

– Pies – szepnął. – Vicky, powiedz mi, że to był tylko pies.

Ona miała twarz bladą jak twaróg.

– Chłopiec. Mały chłopiec. Wybiegł z kukurydzy i… moje gratulacje, tygrysie.

Niezdarnie, po omacku, otworzyła drzwi auta, wychyliła się i zwymiotowała.

Burt siedział nieporuszony, sztywny, ręce wciąż zaciskał na kierownicy. Długo nie czuł nic z wyjątkiem intensywnego, okropnego zapachu nawozów sztucznych.

Znacznie później dopiero spostrzegł, że Vicky wysiadła z samochodu. Kiedy popatrzył w lusterko wsteczne, ujrzał, że żona, zataczając się, podchodzi do ciemniejącego na środku szosy czegoś, co wyglądało jak stos łachmanów. Zazwyczaj była bardzo elegancką i pełną wdzięku kobietą; w tej chwili jednak z jej gracji nie zostało nawet śladu.

Zabójstwo. Tak to się nazywa. Po prostu przez chwilę nie patrzyłem na drogę.

Wyłączył silnik i wyskoczył z kabiny. Wiatr szeleścił w bujnych, osiągających wysokość człowieka zaroślach kukurydzy; dźwięk dziwnie kojarzący się z oddechem jakiegoś żywego stworzenia.

Vicky stała nad stosem łachmanów i cicho szlochała.

Przebył połowę drogi dzielącej samochód od miejsca wypadku, kiedy kątem oka po lewej stronie dostrzegł pośród zieleni jaskrawą,

czerwoną plamę – jaskrawą jak farba, której używa się do malowania stodół.

Przystanął i popatrzył bacznie na łan kukurydzy. Pomyślał abstrakcyjnie, że w tym roku zboże obrodziło nad podziw obficie (każdy temat był dobry, żeby tylko odwrócić na chwilę uwagę od sterty szmat, które wcale szmatami nie były). Poszczególne, rosnące w równych rzędach obok siebie, łodygi były już prawie dojrzałe. Gdyby ktoś przypadkiem zabłądził w tym gąszczu, mógłby cały dzień błąkać się w zbitej masie zieleni, poszukując drogi wyjścia. W jednym miejscu symetria rzędów została zniszczona. Kilka złamanych i przekrzywionych roślin spoczywało na sąsiadujących łodygach. Ale dalej, spowity cieniem i prawie zupełnie ukryty przed ludzkim wzrokiem leżał…

– Burt! – wrzasnęła Vicky. – Może byś tu przyszedł i sam to sobie obejrzał! Potem będziesz mógł się chwalić kolesiom od pokera, coś upolował w Nebrasce. Czy nie…

Reszta jej słów utonęła w kolejnym spazmie szlochu. Cień Vicky rozlewał się dokładnie wokół jej stóp. Było prawie południe.

Kiedy wkroczył między rosnące gęsto obok siebie łodygi, ogarnął go chłód i zielonkawy półmrok. Farba do malowania stodół okazała się

krwią. Wokół roznosiło się basowe, senne buczenie much, które siadały na czerwonej plamie, smakowały ją i odlatywały… zapewne po to, żeby podzielić się radosną wieścią z innymi owadami. Im dalej w głąb zarośli kukurydzy, tym więcej było na liściach posoki. Z całą pewnością krew nie mogła z drogi chlapnąć aż tak daleko.

Na koniec Burt dotarł do przedmiotu, który dostrzegł z szosy. Schylił się i podniósł go.

W tym miejscu kukurydza została najbardziej zniszczona. Kilkanaście łodyg było mocno przygiętych, a dwie kompletnie złamane; ziemia wokół naruszona i zryta. Wszędzie widniała krew. Zarośla zaszeleściły i Burt, czując biegnący po krzyżu zimny dreszcz, szybko wycofał się na drogę.

Vicky wpadła w histerię: wykrzykiwała jakieś niezrozumiałe słowa, płakała, śmiała się. I kto by pomyślał, że wszystko to zakończy się w tak melodramatyczny sposób? – błysnęło Burtowi w głowie. Popatrzył na żonę z nienawiścią. Pojął, że on nigdy nie przechodził kryzysów związanych z własną tożsamością, nie miewał w życiu okresów przejściowych, nie dręczyły go wątpliwości i tym podobne rzeczy. Mocno uderzył Vicky w twarz.

Umilkła natychmiast i przeciągnęła dłonią po policzku w miejscu, gdzie czerwieniały już pręgi zostawione przez jego palce.

– Burt, pójdziesz do więzienia – oświadczyła poważnie.

– Nie sądzę – odparł i postawił na ziemi, tuż przy jej stopach, walizkę, którą znalazł na polu kukurydzy.

– Co to…?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że należała do niego – wskazał palcem rozciągnięte, leżące twarzą do ziemi ciało.

Z wyglądu dzieciak miał nie więcej niż trzynaście lat.

Walizka była stara, zużyta, brązowa skóra mocno powycierana i miejscami świeciły w niej dziury. Związana została dwoma kawałkami sznurka do wieszania bielizny splątanymi nieporadnie w „babskie” supły. Vicky pochyliła się, żeby je rozwiązać, ale widząc, że przesiąknięte są krwią, cofnęła rękę z odrazą.

Burt uklęknął obok ciała i ostrożnie przewrócił je na plecy.

– Nie chcę na to patrzeć – oświadczyła Vicky, ale wbrew własnej woli zerknęła w dół.

Wrzasnęła. Twarz chłopca była usmarowana ziemią i wykrzywiona w grymasie przerażenia.

Miał rozerżnięte gardło.

Vicky zaczęła się chwiać, więc Burt chwycił ją w ramiona.

– Tylko nie zemdlej – powiedział bardzo spokojnym, wyważonym głosem. – Słyszysz? Tylko nie zemdlej.

Powtarzał to w kółko, aż Vicky zaczęła stopniowo dochodzić do siebie. Chwyciła go mocno za szyję. Wyglądali tak, jakby w samo południe, mając u stóp zwłoki dziecka, tańczyli na środku drogi jakiś powolny taniec.

– Vicky?

– Czego chcesz? – zapytała zduszonym głosem, tuląc twarz do jego koszuli.

– Wracaj do auta, wyjmij ze stacyjki kluczyki, schowaj je do kieszeni, a później przynieś mi z tylnego siedzenia koc i karabin.

– Karabin?

– Ktoś poderżnął mu gardło, a może teraz nas obserwuje.

Poderwała gwałtownie głowę i zmierzyła podejrzliwym spojrzeniem kukurydzę. Olbrzymie łany ciągnęły się jak z bicza strzelił aż po horyzont, opadając lub wznosząc się łagodnie wraz z krajobrazem.

– Myślę, że zabójca dawno już się stąd ulotnił, ale co nam szkodzi zachować ostrożność. No, idź

już i zrób to, co ci powiedziałem.

Ruszyła na sztywnych nogach w stronę samochodu, a za nią posuwał się, niczym czarna maskotka, jej króciutki o tej porze dnia cień. Kiedy przez tylne drzwi wsunęła głowę do pojazdu, Burt przykucnął przy chłopcu.

Biały, znaków szczególnych brak. T-bird mógł wprawdzie dzieciaka przejechać, ale nigdy poderżnąć mu gardło. Podcięto je brutalnie i nieudolnie – każdy sierżant w wojsku dokonałby tego w sposób dużo bardziej elegancki – ale efekt był przerażający. Dzieciak wybiegł na jezdnię lub został wypchnięty tak, że ostatnich dziesięć metrów pola kukurydzy przeleciał prawie w powietrzu; martwy lub śmiertelnie ranny wpadł prosto pod samochód Burta Robesona. Jeśli nawet w chwili uderzenia jeszcze oddychał, to impet auta skrócił mu życie najwyżej o trzydzieści sekund.

Vicky poklepała męża po plecach, a Burt podskoczył jak rażony prądem.

Przez lewe ramię przerzucony miała brązowy wojskowy koc, a w prawej dłoni ściskała pokrowiec z samopowtarzalnym karabinem. Odwracała głowę, starając się nie patrzeć na trupa. Burt odebrał od niej koc, rozłożył go na

drodze i przetoczył ciało. Vicky wydała cichy, stłumiony jęk.

– Co z tobą? – zapytał, unosząc głowę. – Vicky?

– Nie martw się o mnie – odparła zdławionym głosem.

Zawinął zwłoki i dźwignął tłumok, klnąc w duchu obrzydliwy ciężar bezwładnego ciała. Trup wygiął się w kształt litery U i o mało nie wyślizgnął mu się z rąk. Burt wzmocnił chwyt i dowlókł się z ciężarem do t-birda.

– Otwórz bagażnik! – sapnął pod adresem żony.

Samochód wypełniony był sprzętem turystycznym, walizkami i prezentami. Vicky prawie wszystko to przeniosła na tylne fotele, a Burt wsunął ciało do bagażnika, po czym zatrzasnął klapę.

Odetchnął z ogromną ulgą, a potem rozejrzał się za żoną, która ściskając w dłoni futerał z karabinem, czekała przy drzwiach od strony kierowcy.

– Odłóż go na tył i wsiadaj! – zarządził Burt.

Popatrzył na zegarek i ze zdziwieniem skonstatował, że od chwili wypadku minął zaledwie kwadrans, choć jemu wydawało się, że upłynęły całe wieki.

– A co z walizką? – zapytała Vicky.

Burt wrócił do miejsca, w którym postawił ją na środku drogi, na samej białej linii, gdzie czerniała teraz niczym centralny obiekt na jakimś malowidle impresjonisty. Podniósł walizkę za wytartą rączkę i na chwilę zamarł w bezruchu. Odniósł nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowany. O czymś takim czytał wprawdzie w książkach, przeważnie w brukowych kryminałach, ale poważnie wątpił, czy w normalnym życiu jest to możliwe. Teraz już definitywnie uwierzył. Wydawało mu się, że w kukurydzy czatują ludzie – wielu ludzi – którzy na zimno kalkulują, czy kobieta zdąży wyciągnąć z futerału broń i zacząć strzelać, zanim oni pochwycą jej męża, zawloką go w spowite głębokim cieniem zagony kukurydzy i poderżną mu gardło…

Serce zaczęło mu bić jak młotem, więc biegiem wrócił do auta. Energicznie wyrwał tkwiące ciągle w zamku bagażnika kluczyki i wskoczył za kierownicę.

Vicky znów płakała.

Ruszyli z piskiem opon, więc po niecałej minucie w lusterku wstecznym nie było już widać miejsca wypadku.

– Mówiłaś, że jak nazywa się najbliższe miasteczko? – zwrócił się do Vicky.

– Och… – Nachyliła się nad atlasem drogowym. – Gatlin. Powinniśmy w nim być za dziesięć minut.

– Czy jest na tyle duże, żeby mieć własny posterunek policji?

– Na mapie to tylko kropka.

– Ale konstabl na pewno będzie.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Minęli stojący po lewej stronie szosy silos. Nic, wszędzie tylko kukurydza. Nie spotkali żadnego nadjeżdżającego z przeciwka pojazdu; nawet rolniczej ciężarówki.

– Vicky, czy w ogóle od chwili opuszczenia płatnej autostrady mijał nas jakiś wóz?

Myślała chwilę.

– Tak, traktor i samochód osobowy. Na skrzyżowaniu.

– Nie, chodzi mi o tę drogę; o siedemnastkę.

– Nie, chyba nie.

Wcześniej takie pytanie Burta stanowiłoby doskonały pretekst do serii uszczypliwych uwag i komentarzy. Teraz jednak Vicky w milczeniu obserwowała przez przednią szybę ciągnącą się po horyzont szosę z wymalowanym pośrodku białym pasem.

– Vicky, mogłabyś otworzyć tę walizkę?

– Myślisz, że jest w niej coś ważnego?

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Może?

Kiedy zajęła się supłami (jej twarz przybrała przy tym dziwaczny wyraz – stała się pozornie wyprana z emocji, ale zaciśnięte wargi tworzyły cieniutką, białą kreskę; taką samą twarz miewała jego matka, kiedy patroszyła kurczaki na niedzielny obiad), Burt ponownie włączył radio.

Emitowany przez lokalną rozgłośnię program, którego dotychczas słuchali, prawie całkowicie zniknął już z eteru i Burt zaczął powoli przesuwać po skali czerwony marker. Doniesienia rolnicze. Buck Owens. Tammy Wynette… Wszystko to odległe, ginące w szumie i trzaskach. I nagle, prawie przy końcu skali, z głośnika rozległo się wyjątkowo głośno i wyraźnie – zupełnie jakby usta mówiącego znajdowały się bezpośrednio w radiu umieszczonym na tablicy rozdzielczej – pojedyncze słowo.

– POKUTA! – zadudniło.

Zaskoczony Burt chrząknął, Vicky podskoczyła.

– ZBAWIENIA DOSTĄPIMY JEDYNIE POPRZEZ KREW JAGNIĘCIA – ponownie ryknął głos i Burt pośpiesznie ściszył radio. No cóż, rozgłośnia musiała znajdować się bardzo blisko; tak blisko, że… Ależ naturalnie! Na horyzoncie, na tle

błękitnego nieba górowała nad bezkresnymi łanami kukurydzy trójnożna, czerwona, pajęcza konstrukcja. Maszt radiowy.

– Bracia i siostry, pokuta! To właśnie jest odpowiednie słowo – ciągnął dużo ciszej kaznodzieja. Z tła dobiegł chóralny szmer głosów: Amen. – Niektórzy sądzą, że mogą przyjść na świat, żyć na nim, pracować i nie zostać przez ten świat splugawieni. Pokuta. Czy tego właśnie słowa uczy nas Bóg?

Znów pomruk ludzkich głosów:

– Nie!

– PANIE JEZU – zagrzmiał głosiciel Słowa Bożego i ciągnął kazanie, wypowiadając frazy z opadającą lub wznoszącą się kadencją, która zniewalała niczym potężny rytm muzyki rockowej. – Kiedyż pojmą, że rozwiązaniem jest śmierć? Kiedyż pojmą, że zapłatę odbiorą dopiero po drugiej stronie? No? No? Bóg powiedział, że wiele jest pokoi w domu Jego. Ale nie ma w nim miejsca dla cudzołożników. Nie ma miejsca dla lubieżników. Nie ma miejsca dla kalających kukurydzę. Nie ma miejsca dla homoseksualistów. Nie ma miejsca…

– Robi mi się niedobrze, kiedy słyszę takie bzdury! – warknęła Vicky.

– Co on powiedział? – zapytał Burt. – Co on powiedział o kukurydzy?

– Nie słyszałam.

Mozoliła się z drugim supłem.

– Wspomniał coś o kukurydzy. Na pewno!

– No, nareszcie! – sapnęła Vicky i otworzyła leżącą na jej kolanach walizkę.

Minęli właśnie tablicę drogową z napisem: GATLIN: 8 KM. JEDŹ OSTROŻNIE. UWAŻAJ NA NASZE DZIECI.

Znak z całą pewnością umieściła miejscowa organizacja opieki społecznej. W tablicy czerniało kilka dziur pochodzących od pocisków kalibru .22.

– Skarpetki – zaczęła wyliczankę Vicky. – Dwie pary majtek… koszula… pasek… krawat z… – Pokazała mu porysowaną spinkę. – Kto to jest?

Burt szybko spojrzał na przedmiot.

– Chyba Hopalong Cassidy.

– Aha.

Odłożyła krawat do walizki i znów zaczęła chlipać.

– Czy nie uderzył cię pewien dziwny szczegół w tym radiowym kazaniu? – zapytał po dłuższej chwili Burt.

– Nie. Już ci mówiłam, że jako dziecko nasłuchałam się wystarczająco dużo tych bzdur.

– Nie odniosłaś wrażenia, że miał bardzo młody głos? Mówię o tym kaznodziei.

Roześmiała się pozbawionym wesołości śmiechem.

– Nastolatek? I co z tego? Widzisz, to właśnie jest w tym wszystkim najobrzydliwsze. Wyławiają dzieci, kiedy te nie mają jeszcze ukształtowanych umysłów i osobowości. Doskonale wiedzą, jak sterować ich emocjami i uczuciami. Powinieneś być ze mną w takiej jednej urządzonej w namiocie świątyni, do której siłą zaciągnęli mnie rodzice, ponieważ był tam… ktoś, kto miał mnie „zbawić”.

Posłuchaj. Była taka Baby Hortense, Śpiewające Cudo. Miała osiem lat. Śpiewała *Kiedyś, o Jezu, chodził po świecie*, a jej tata krążył z tacą pośród wiernych i mówił: „Sięgnijcie głębiej, nie zróbcie zawodu temu bożemu dziecku”. Był też Norman Staunton. Gdy wygłaszał kazania o siarce i ogniu piekielnym, miał na sobie ubranko w stylu Mały Lord Fauntleroy i krótkie spodenki. Liczył sobie zaledwie siedem lat.

Kiedy Burt popatrzył na nią z niedowierzaniem, poważnie skinęła głową.

– Była nie tylko ta dwójka. W tym kieracie chodzi dużo, dużo więcej dzieci. Stanowią

doskonały wabik. – Ostatnie słowo prawie wypluła. – Dziesięcioletnia Ruby Stampnell, która leczy wiarą. Grace Sisters, Miłosierne Siostrzyczki. Te zazwyczaj występują w aureolach z cieniutkiej folii i… och!…

Burt drgnął.

– Co to jest? – zapytał, spojrzał na żonę i szybko przeniósł spojrzenie na to, co trzymała w rękach.

Vicky z napięciem wpatrywała się w dziwny przedmiot. Gdy mówiła, po omacku grzebała w walizce i nie patrząc nawet, co wyciąga, wyjęła to na światło dzienne. Burt zatrzymał samochód, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Vicky bez słowa wręczyła mu znalezisko.

Był to krucyfiks wykonany z łodyg kukurydzianych, niegdyś zielonych, teraz już zupełnie zeschniętych. Za pomocą kukurydzianych wąsów przymocowano do niego lilipuci kaczan, z którego pieczołowicie usunięto nożem część ziaren. Te, które zostały, tworzyły na żółtawym tle obranej, maleńkiej kolby sylwetkę ukrzyżowanego człowieka. Oczy miał z ziaren, które rozcięto wzdłuż tak, że do złudzenia imitowały źrenice. Rozciągnięte ramiona też zrobiono z ziaren, a nogi kończyły się maleńkimi ziarenkami uformowanymi

z grubsza w kształt bosych stóp. Na samej górze na sinawym tle barwy kości widniały cztery litery: I.N.R.I.

. . .

– Coś wspaniałego! Przepiękna robota! – wykrzyknął Burt.

– Obrzydlistwo – odparła stanowczo głosem pełnym napięcia. – Wyrzuć to.

– Vicky, zapewne policja zechce to obejrzeć.

– Po co?

– Jak to, po co? Może…

– Wyrzuć to. Czy mogę cię o to prosić? Nie chcę mieć tej okropnej rzeczy w naszym samochodzie.

– Na razie położę go z tyłu. A kiedy już porozmawiamy z policją, to, w ten czy w inny sposób, pozbędziemy się tego krucyfiksu. Obiecuję. Zgoda?

– Ach, rób zresztą, co chcesz! – krzyknęła. – Przecież i tak zawsze stawiasz na swoim!

Zakłopotany Burt cisnął krucyfiks za siebie. Przedmiot wylądował na stosie ubrań. Wycięte w ziarnach kukurydzy oczy ukrzyżowanej postaci z uwagą wpatrywały się w lampkę w suficie t-birda.

Samochód ruszył tak gwałtownie, że spod opon wyprysnęła fontanna żwiru.

– Oddamy policji zwłoki oraz tę przeklętą walizkę i będziemy mieć problem z głowy – oświadczył Burt.

Vicky nie odpowiedziała. Intensywnie wpatrywała się w swoje dłonie.

Dwa kilometry dalej bezkresne pola kukurydzy oddaliły się nieco od drogi, a ich miejsce zajęły farmy otoczone budynkami gospodarczymi. Na jednym z podwórek dostrzegli kury, które apatycznie grzebały w ziemi. Na dachach stodół widniały wyblakłe reklamy coca-coli i tytoniu do żucia. Minęli wysoką tablicę z napisem: ZBAWIENIE W JEZUSIE, a chwilę później przydrożną kawiarnię, przed którą stał samotny dystrybutor z paliwem firmy Conoco.

Burt postanowił dostać się do centrum miasteczka, jeśli w ogóle coś takiego tam istniało. Gdyby go nie znaleźli, zamierzał wrócić do kawiarni. Kiedy już zostawili ją za sobą, Burt uświadomił sobie, że parking przed lokalem był zupełnie pusty. Stała na nim tylko stara, zdezelowana furgonetka; w dwóch kołach brakowało powietrza.

Vicky nieoczekiwanie zaniosła się śmiechem; piskliwym, nieprzytomnym chichotem, który utwierdził jej męża w przekonaniu, że wpadła w histerię.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał.

– Tablice z napisami – wyjaśniła, ciężko łapiąc powietrze. Dostała czkawki. – Nie czytałeś ich? „Nikt nie stroi sobie żartów, nazywając tutejszych mieszkańców świętoszkami[11]”… O, proszę, tutaj masz następny, bardzo zacny pęczek!

Znów zaczęła się histerycznie śmiać i przyłożyła dłonie do ust.

Każda tablica zawierała tylko jedno słowo. Znaki wspierały się na zbielałych od słońca i deszczu słupkach wbitych w piaszczyste pobocze drogi. Już na pierwszy rzut oka można było poznać, że tablice zostały ustawione dawno. Farba na nich była wyblakła i odchodziła płatami. Stały w odległości trzydziestu metrów jedna od drugiej.

Burt zaczął czytać.

CHMURA… W… CIĄGU… DNIA… SŁUP… OGNIA… W… NOCY

– Zapomnieli o jednym – oświadczyła Vicky, ciągle krztusząc się idiotycznym śmiechem.

– O czym? – zapytał Burt, marszcząc brwi.

– O kremie do golenia Burma Shave[12].

Przycisnęła kłykcie obu dłoni do ust, żeby powstrzymać gulgoczący w gardle chichot, ale z krtani nieustannie wydobywał się jej śmiech, niczym piana ze wzburzonego piwa imbirowego.

– Vicky, dobrze się czujesz?

– Nic mi nie będzie… jak tylko znajdziemy się dwa tysiące kilometrów stąd, w słonecznej, grzesznej Kalifornii, i od Nebraski oddzielać nas będą Góry Skaliste.

Pojawił się kolejny rząd tablic i oboje zaczęli je w milczeniu studiować.

BIERZCIE… I… JEDZCIE… OTO… CIAŁO… MOJE

Dlaczego to oderwane zdanie kojarzy mi się z kukurydzą? – zastanowił się Burt. Czyż nie takie właśnie słowa wypowiada kapłan, kiedy udziela komunii? Tak naprawdę nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni był w kościele. Wcale by się nie zdziwił, gdyby ktoś mu powiedział, że w tych stronach opłatki robi się z mąki kukurydzianej. Otwierał właśnie usta, żeby podzielić się tą myślą z Vicky, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Przyszło mu do głowy, że na razie lepiej nie poruszać z żoną takich tematów. Niech się najpierw uspokoi.

Wjechali na szczyt wzgórza, skąd w dole ujrzeli Gatlin; trzy ulice na krzyż i rynek; wyglądało to wszystko jak plener do filmu o latach wielkiego kryzysu.

– Z pewnością znajdziemy tu biuro konstabla – oświadczył Burt, zastanawiając się, dlaczego widok tego bardziej przypominającego wiochę miasteczka dławi mu gardło strachem.

Minęli znak drogowy ograniczający szybkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a zaraz za nim pojawiła się nadżarta rdzą tablica z napisem:

WITAMY W GATLIN, NAJSYMPATYCZNIEJSZYM MAŁYM MIASTECZKU W NEBRASCE I… NA CAŁYM ŚWIECIE! LUDNOŚĆ: 5431.

Po obu stronach drogi ciągnęły się przykurzone wiązy; większość drzew najwyraźniej cierpiała na jakąś chorobę. Minęli główny skład drewna i stację benzynową. W podmuchach upalnego wiatru leniwie obracały się tabliczki z cenami: ZWYKŁA: 35,9; WYSOKOOKTANOWA: 38,9. Obok stała kolejna tablica: DIESEL NA TYŁACH STACJI.

Minęli ulicę Wiązową, ulicę Brzozową i w perspektywie pojawił się rynek. Ciągnące się wzdłuż ulic domy były drewniane, kanciaste,

funkcjonalne, a każdy z nich miał oszkloną werandę. Otaczały je spalone słońcem, pożółkłe i sprawiające przygnębiające wrażenie trawniki. Na Klonowej wylazł im na środek jezdni kundel. Przez chwilę leniwie przyglądał się intruzom, po czym położył się na skraju drogi i oparł mordę na łapach.

– Zatrzymaj się – powiedziała Vicky. – Natychmiast się zatrzymaj.

Burt posłusznie zaparkował samochód przy krawężniku.

– Wynośmy się stąd. Zawracaj i jedziemy do Grand Island. To już niedaleko. Zrób to, o co cię proszę.

– Vicky, co ci się stało?

– Jak to, co mi się stało? – odparła nienaturalnie wysokim głosem. – Burt, to miasto jest puste. Poza nami nikogo w nim nie ma. Czy tego nie czujesz?

Tak, czuł coś. Czuł coś przedtem i czuł to również teraz. Niemniej…

– Tak ci się tylko wydaje – odparł niedbale. – W takich miejscowościach ludzie żyją gromadnie. Wszyscy naraz są w parku, na wyprzedaży albo grają w bingo.

– Tu nikogo nie ma. – Słowa te wypowiedziała z osobliwą afektacją i patosem. – Przypominasz

sobie stację benzynową?

– Przypominam, to ta przy składzie drewna. I co z tego? – odburknął.

Myślami błądził gdzie indziej. Słuchał tępego grania cykad buszujących w pobliskich wiązach, czuł zapach kukurydzy, ciężką woń róż i, oczywiście, wszechprzenikający fetor nawozów. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia płatnej autostrady trafili do jakiegoś miasteczka. Do miasteczka w stanie, w którym nigdy dotąd nie był (jakkolwiek niejednokrotnie przelatywał nad Nebraską boeingiem 747 należącym do United Airlines); i czuł, że wszystko tu w jakiś dziwaczny sposób jest w jak najlepszym porządku, a zarazem bardzo nie w porządku. Z całą pewnością natkną się na drogerię, w której można napić się za darmo wody sodowej, na kino o nazwie Bijou i szkołę imienia Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.

– Burt, pamiętasz ceny? Zwykła kosztowała trzydzieści pięć dziewięćdziesiąt, a wysokooktanowa trzydzieści osiem dziewięćdziesiąt. Powiedz sam, ile lat upłynęło od czasów, kiedy w tym kraju płaciłeś tyle za paliwo?

– Co najmniej cztery – przyznał. – Ale posłuchaj, Vicky…

– Jesteśmy w środku miasta, Burt, i nie ma tu żadnego samochodu. Ani jednego samochodu!

– Do Grand Island mamy sto dwadzieścia kilometrów. Będzie to wyglądało co najmniej dziwnie, że taki szmat drogi wleczemy ze sobą ciało dzieciaka.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Posłuchaj, podjedźmy po prostu do gmachu sądu…

– Nie!

No właśnie, cholera jasna, no właśnie! Ujmując sprawę w kilku słowach, dlatego rozpada się nasze małżeństwo. Nie, za skarby chińskiego boga, nie! Będę gadała tak długo, aż spuchnę, ale na swoim postawię.

– Vicky – powiedział.

– Burt, chcę stąd odjechać.

– Vicky, posłuchaj.

– Zawracaj. Jedziemy.

– Vicky, możesz mnie chwilę posłuchać?

– Posłucham, jak już ruszymy w przeciwną stronę. Jedź!

– W bagażniku naszego auta wieziemy zwłoki obcego dziecka! – ryknął i poczuł ogromną satysfakcję, że Vicky skuliła się ze strachu, że krzykiem zmył jej z twarzy ten cholerny wyraz samozadowolenia i pewności siebie. –

Poderżnięto mu gardło – ciągnął już trochę ciszej. – Poderżnięto mu gardło i wypchnięto na drogę. A ja go przejechałem. Tak więc zamierzam teraz pojechać do sądu, czy diabli wiedzą dokąd, i złożyć zeznania. Jeśli chcesz od razu wracać na autostradę, wysiadaj i idź piechotą, a ja potem zabiorę cię z drogi. Ale nie mów mi, że mam teraz zawrócić i jechać sto dwadzieścia kilometrów do Grand Island, tak jakbyśmy mieli w bagażniku worek śmieci. To jest czyjś syn i dlatego, zanim zabójca zdąży dać nogę, chcę powiadomić policję.

– Ty skurwysynu! – krzyknęła, a w oczach stanęły jej łzy. – Co ja tu z tobą robię?

– Nie wiem – odparł. – Naprawdę nie wiem. Ale wszystko jest do naprawienia.

Skierował samochód w górę ulicy. Na dźwięk pisku opon kundel uniósł na chwilę łeb, po czym znów położył go na łapach.

Minęli ostatnią przecznicę dzielącą ich od rynku. U zbiegu ulic Głównej i Miłej ta pierwsza rozdzielała się na dwa pasma. Był to główny skwer miasta: porośnięty trawą park, w środku którego ustawiono estradę. Po drugiej stronie ryneczku, gdzie oba pasma ponownie się zbiegały, widniały dwa wyglądające bardzo

oficjalnie budynki. Burt dostrzegł na jednym z nich napis: URZĄD MIEJSKI. GATLIN.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył.

Vicky z uporem milczała.

Kiedy znaleźli się w połowie rynku, Burt nieoczekiwanie zatrzymał samochód przed barem szybkiej obsługi.

– Dokąd się wybierasz? – spytała zaniepokojona Vicky, kiedy otworzył drzwi auta.

– Dowiedzieć się, co porabiają wszyscy mieszkańcy miasteczka. Nie widzisz napisu: „Otwarte”?

– Chyba nie zamierzasz zostawiać mnie tutaj samej?

– Więc chodź ze mną. Przecież nikt cię siłą w samochodzie nie trzyma.

Otworzyła drzwi po swojej stronie i zanim Burt zdążył wysiąść i obejść auto, stała już na chodniku. Ujrzał jej przeraźliwie bladą twarz i przez chwilę czuł wyrzuty sumienia.

Cholerne wyrzuty sumienia.

– Słyszysz? – spytała, kiedy do niej dołączył.

– Co?

– No właśnie, nic. Żadnych samochodów, ludzi, traktorów. Nic.

I wtedy, zza rogu ostatniej przecznicy, dobiegł ich piskliwy, radosny dziecięcy śmiech.

– Słyszę dzieci – odparł. – A ty nie?

Popatrzyła na niego z zakłopotaniem.

Otworzył drzwi lokalu. W twarz uderzyła go fala suchego, aseptycznego powietrza. Podłogę zalegała gruba warstwa kurzu, a niklowany szynkwas był zmatowiały. Drewniane skrzydełka umieszczonych pod sufitem wentylatorów trwały w bezruchu. Puste stoliki. Puste stołki przy barze. Za kontuarem rozbite lustro. I jeszcze coś… zmarszczył brwi i dłuższą chwilę się zastanawiał. Ależ tak! Kraniki od dystrybutorów piwa zostały wyłamane i rzucone niedbale na ladę.

– Wszystko jasne. Pytaj, ile dusza zapragnie – zakpiła Vicky. – Przepraszam pana bardzo, czy byłby pan uprzejmy poinformować mnie…

– Och, zamknij się! – burknął bez przekonania Burt.

Stali w pokrytym kurzem barze rozświetlanym jaskrawym, słonecznym światłem wpadającym przez wielkie okna i Burt ponownie odniósł paskudne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Pomyślał o zwłokach chłopca w bagażniku i o wysokim, piskliwym śmiechu dzieci. Bez żadnego powodu przyszło mu do głowy króciutkie zdanie, które w jakiś mistyczny sposób zaczął w myślach powtarzać: Ujrzeć

niewidzialne. Ujrzeć niewidzialne. Ujrzeć niewidzialne…

Powędrował wzrokiem do przypiętych pluskiewkami do ściany za barem pożółkłych kart z jadłospisem: CHEESEBURGER – 35 centów; NAJLEPSZA NA ŚWIECIE KAWA JAWAJSKA – 10 centów; CIASTO TRUSKAWKOWO-RABARBAROWE – 25 centów; DANIE SPECJALNE: SZYNKA W SOSIE SZPIKOWYM Z TŁUCZONYMI KARTOFLAMI – 80 centów.

Kiedy po raz ostatni widział w barze takie ceny?

Vicky miała gotową odpowiedź na jego problem.

– Spójrz na to – odezwała się ostro, wskazując wiszący na ścianie kalendarz. – On już tu wisi od dwunastu lat.

Wybuchnęła chrapliwym śmiechem.

Burt zbliżył się do kalendarza. Na zdjęciu dwóch chłopców kąpało się w stawie, a rezolutny psiak porywał im ubrania. Pod zdjęciem widniał napis: Z POZDROWIENIAMI OD SKŁADU DREWNA I ARTYKUŁÓW ŻELAZNYCH W GATLIN. *Wy zepsujeta, My naprawim.*

Karta kalendarza pochodziła z sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku.

– Nie rozumiem… – Zająknął się. – Ale jestem pewien…

– Jesteś pewien! – krzyknęła histerycznie. – Jasne, że jesteś pewien! Na tym częściowo polega twój problem. Całe życie byłeś pewien!

Ruszył w stronę wyjścia. Vicky nie odstępowała go na krok.

– Dokąd się wybierasz?

– Do urzędu miasta.

– Burt, dlaczego zawsze jesteś taki uparty? Przecież sam widzisz, że coś jest tutaj cholernie nie w porządku. Nie możesz tego faktu po prostu przyjąć do wiadomości?

– Wcale nie jestem uparty. Chcę się tylko pozbyć tego, co mamy w bagażniku.

Wyszli na ulicę. Burta ponownie uderzyły cisza panująca w miasteczku i przenikający wszystko zapach nawozów. Nigdy nie myśli się o tym zapachu, kiedy smaruje się masłem kaczan kukurydzy, soli go i wbija weń zęby. Dar słońca, deszczu, stworzonych przez człowieka fosfatów i zdrowej dawki krowiego łajna. Ale przenikający to miasteczko zapach w jakiś nieuchwytny sposób różnił się od woni, jakie Burt spotykał na rolniczych terenach w farmach na północy stanu Nowy Jork. O odorze nawozów organicznych można powiedzieć wiele, ale kiedy roztrząsacz

rozwozi po polu gnój, powietrze przesyca prawie rozkoszna woń. Nie jest to zapach najdroższych perfum – niech Pan Bóg broni! – ale kiedy w wiosenny wieczór wiatr niesie znad świeżo zaoranych pól ów zapach, niesie radosną nowinę: zima minęła na dobre, a wrota szkół za jakieś sześć tygodni zatrzasną się i przyjdą letnie wakacje. W świadomości Burta zapach ten ściśle związany był z innymi aromatami, które przewyższały woń najlepszych perfum: z zapachem tymotki, koniczyny, wilgotnej ziemi, malw i dereni.

Ale tutaj jest inaczej, myślał. Zapach jest bardzo podobny, a jednak inny. Miał w sobie jakąś przyprawiającą o mdłości, chorobliwą słodycz. Prawie jak odór wydzielany przez trupa. W Wietnamie, gdzie pełnił między innymi funkcję sanitariusza, Burt bardzo dobrze poznał ten zapach.

W samochodzie pogrążona w milczeniu Vicky trzymała na podołku kukurydziany krucyfiks i gapiła się w niego w skupieniu. Burt bardzo nie lubił, kiedy jego żona patrzyła w ten sposób.

– Odłóż to – powiedział.

– Nie – odparła, nie odrywając oczu od krucyfiksu. – Ty prowadzisz swoją grę, a ja swoją.

Bez słowa włączył bieg i ruszył w stronę najbliższego skrzyżowania. Nieczynne światła drogowe wisiały nad jezdnią, kołysząc się lekko w podmuchach wiatru. Po lewej stronie zamajaczył schludny biały kościół. Trawa wokół niego była równo przycięta, a wzdłuż wyłożonej kamiennymi płytami alejki wiodącej do wejścia ciągnęły się bardzo starannie utrzymane rabaty z kwiatami. Burt zatrzymał samochód.

– Co robisz?

– Chcę się tu rozejrzeć – odparł. – To jedyne miejsce w mieście, gdzie nie zalega dziesięcioletnia warstwa kurzu. Popatrz na tablicę ogłoszeniową z wypisanymi tematami kazań.

Posłusznie spojrzała we wskazanym kierunku. Pod szkłem widniał starannie wykaligrafowany napis: POTĘGA I MIŁOSIERDZIE TEGO, KTÓRY PRZECHADZA SIĘ ZA RZĘDAMI. Kazanie zostało wygłoszone dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku – była to poprzednia niedziela.

– Ten, Który Przechadza Się Za Rzędami – mruknął Burt i wyłączył silnik. – To chyba jedno z dziewięciu tysięcy używanych w samej tylko Nebrasce imion Boga. Idziesz?

Na twarzy Vicky nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Nie.

– Dobrze. Jak chcesz.

– Nie byłam w kościele od czasu, kiedy opuściłam dom rodzinny, a już na pewno nie chcę wchodzić do tego kościoła i nie chcę przebywać w tym mieście. Śmiertelnie się boję. Burt, czy nie możemy po prostu stąd wyjechać?

– Zajmie mi to tylko minutę.

– Burt, mam zapasowe kluczyki. Jeśli nie wrócisz za pięć minut, odjadę i zostawię cię tutaj na pastwę losu.

– Jak mówię, że minutę, to minutę, proszę pani.

– Niemniej ostrzegam, że zrobię to, co mówię. Chyba że jak zwykły bandzior wydrzesz mi z torebki te kluczyki. Wiem, że jesteś do tego zdolny.

– Ale w głębi serca nie wierzysz, że mogę coś podobnego zrobić, prawda?

– Nie.

Jej torebka leżała między nimi. Chwycił ją. Vicky krzyknęła i próbowała jeszcze złapać za pasek, ale Burt był szybszy. Bezwstydnie, nie fatygując się nawet, żeby poszukać kluczyków, po prostu wywrócił torebkę dnem do góry

i wszystko z niej wysypał. Kluczyki zalśniły między chusteczkami, kosmetykami, bilonem i starymi listami zakupów. Vicky błyskawicznie wyciągnęła dłoń w ich stronę, ale i tym razem Burt okazał się szybszy.

Schował kluczyki do kieszeni.

– Nie masz prawa mi tego robić – powiedziała z płaczem. – Oddaj mi je natychmiast.

– Nie ma mowy – odparł twardo i popatrzył na nią obojętnie. – Wykluczone.

– Burt, proszę. Tak bardzo się boję.

Nieśmiało wyciągnęła w jego stronę dłoń.

– Poczekałabyś najwyżej dwie minuty i doszła do wniosku, że i tak trwa to stanowczo za długo.

– Nigdy bym…

– Odjechałabyś, śmiejąc się ze mnie w kułak. Mówiłabyś sobie: „To oduczy Burta sprzeciwiać mi się, kiedy czegoś bardzo chcę”. Czyż właśnie nie to motto przyświecało ci w czasie trwania naszego małżeństwa? „Oduczę Burta sprzeciwiać się mojej woli”.

Wysiadł z samochodu.

– Proszę, Burt – zaskomliła, przesuwając się na jego fotel. – Posłuchaj… wiem… wyjedźmy z miasta i zadzwońmy na policję z pierwszej napotkanej budki telefonicznej. Mam dużo

drobnych. Ja po prostu… możemy… nie zostawiaj mnie samej, Burt, nie zostawiaj mnie tu samej!

Zatrzasnął za sobą drzwi, oparł się na chwilę o bok t-birda i nacisnął kciukami gałki oczne. Vicky łomotała od środka w szybę i wołała jego imię. Oj, dostanie mi się, kiedy już znajdę jakiegoś przedstawiciela tutejszych władz i pozbędę się ciała, pomyślał. Oj, będę miał za swoje.

Odwrócił się i pomaszerował wyłożoną kamiennymi płytami alejką w stronę kościelnych drzwi. Zdecydował, że przez dwie, trzy minuty porozgląda się i niezwłocznie wróci do samochodu. Zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kościół i tak będzie zamknięty.

Ale drzwi otworzyły się łatwo i cicho na dobrze naoliwionych zawiasach (naoliwionych z pełnym czci i namaszczenia szacunkiem, błysnęło mu w głowie, i myśl ta wydała mu się, nie wiadomo dlaczego, strasznie śmieszna). Wkroczył do przedsionka, w którym panował przenikający do szpiku kości chłód. Burt przez chwilę przyzwyczajał oczy do panującego tam półmroku.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był stos drewnianych liter porozrzucanych niedbale

w odległym kącie. Zaintrygowany, ruszył w tamtą stronę. W przeciwieństwie do reszty przedsionka, który był czysty i nie było w nim krztyny kurzu, litery sprawiały wrażenie starych i zapomnianych, zupełnie jak tamten kalendarz w barze. Rozłożył je na dywanie – wszystkich było szesnaście sztuk – i zaczął tworzyć z nich najprzeróżniejsze kombinacje. PTYŚ WÓŁ STOK BACIÓ. Bez sensu. BATYST PÓŁ KOŚCI WÓ. Też źle… nie, KOŚCI. Szybko ułożył słowo KOŚCIÓŁ. Zaczął intensywnie wpatrywać się w pozostałe litery. BATYST W PÓ. Idiotyzm. Zabawia się tutaj w dziecięce układanki, a tam, w samochodzie, Vicky dostaje już pomieszania zmysłów. Podniósł się z podłogi i zamierzał ruszyć do wyjścia, kiedy nagle znalazł rozwiązanie. Przykucnął, szybko przesunął literę P, a następnie ustawił na odpowiednich miejscach Ó i W. KOŚCIÓŁ BAPTYSTÓW. Litery te musiały niegdyś tworzyć napis na ścianie frontowej, ale ktoś je usunął i cisnął niedbale w ciemny kąt. Później musiano budynek odmalować, gdyż na frontonie nie było żadnych śladów po napisie.

Dlaczego usunięto nazwę kościoła?

Dlatego, że nie był to już kościół baptystów. W takim razie czyj? Z jakichś niejasnych względów pytanie to sprawiło, że po krzyżu

przeszedł mu lodowaty dreszcz. Burt szybko wstał z podłogi i otrzepał palce z kurzu. Zgoda, zdjęli z frontonu napis. Ale czego to dowodzi? Może zamienili to miejsce na Kościół Prozaicznych Czynności Flipa Wilsona[13].

Ale co się tu naprawdę stało?

Zniecierpliwiony potrząsnął głową i pchnął drzwi prowadzące do środka kościoła. Popatrzył na nawę główną i poczuł, że mrozi go strach, zaciska stalową obręczą gardło. Głośny oddech Burta mącił spokój nabrzmiałego ciszą pomieszczenia.

Za ołtarzem widniał gigantyczny obraz Chrystusa i Burt pomyślał: Gdyby już nic innego w tym mieście nie wystraszyło Vicky, na widok tego obrazu zaczęłaby wrzeszczeć.

Na twarzy Chrystusa malował się lisi uśmieszek. Oczy miał wielkie, szeroko rozwarte, w niepokojący sposób przypominające Lona Chaneya z *Ducha w operze*. W każdej z ogromnych, czarnych źrenic widniał ktoś (grzesznik zapewne) pławiący się w morzu ognia. Ale najdziwniejsze było to, że Chrystus miał zielone włosy… zielone włosy, które, gdy Burt bliżej im się przyjrzał, okazały się plątaniną łodyg i liści kukurydzy. Obraz wykonany został bardzo prymitywnie, ale zarazem był niebywale

sugestywny. Zupełnie jakby namalowało go uzdolnione dziecko – mógł to być Chrystus ze Starego Testamentu albo jakiś inny, pogański Chrystus, który zamiast prowadzić swoje owieczki, zarzyna je w ofierze.

Na końcu lewego rzędu ławek znajdowały się organy piszczałkowe i w pierwszej chwili Burt nie mógł zorientować się, co jest z nimi nie w porządku. Podszedł zatem do nich lewą nawą i tam dopiero ogarnęło go skrajne przerażenie. Klawisze instrumentu zostały wyrwane, pedały usunięte, a same piszczałki… wypełnione suchymi jak pieprz plewami i kukurydzianym ziarnem. Nad organami widniał starannie wykaligrafowany napis: ŻADNEJ MUZYKI Z WYJĄTKIEM TEJ, KTÓRĄ TWORZY LUDZKI JĘZYK, RZECZE PAN.

Vicky miała rację. Działo się tu coś przerażającego. Przez chwilę rozważał pomysł, żeby zaprzestać dalszych poszukiwań, dać sobie spokój z urzędem miejskim, wrócić do samochodu i opuścić miasteczko najszybciej, jak to możliwe. Ale aż skręcił się wewnętrznie na myśl o takim rozwiązaniu. Przyznaj się uczciwie sam przed sobą, powiedział w duchu. Masz zamiar podarować jej drogi dezodorant Ban 5000

jako zadośćuczynienie za to, że to ona od samego początku miała rację, a nie ty.

Wróci, ale za kilka minut.

Ruszył w stronę kazalnicy, myśląc: Przecież do Gatlin bez przerwy musi ktoś przyjeżdżać. Przecież w sąsiednich miasteczkach żyją ludzie, którzy mają tutaj krewnych i przyjaciół. Od czasu do czasu zapewne przejeżdża patrol policji stanowej. A energia elektryczna? Gdyby od dwunastu lat nikt w Gatlin nie używał prądu, natychmiast by to zauważono. Wniosek? To, co się pozornie wyprawia w miasteczku, jest po prostu niemożliwe.

A jednak cały czas dręczył go niepokój.

Wszedł po czterech wyłożonych dywanem stopniach, stanął obok ołtarza i popatrzył na puste rzędy ławek połyskujące w zalegającym świątynię półmroku. Cały czas czuł wlepiony w plecy wzrok tych niesamowitych i z całą pewnością niechrześcijańskich oczu z malowidła.

Na pulpicie, przy którym czyta się lekcję, leżała wielka Biblia otwarta na trzydziestym ósmym rozdziale Księgi Joba. Burt pochylił się nad tekstem i przeczytał: „Potem Pan odpowiedział Jobowi pośród zawieruchy i rzekł: Któż to zaciemnia mój plan słowami

bezmyślnymi?… Gdzie byłeś, gdy zakładałem ziemię? Powiedz, jeśli wiesz i rozumiesz”[14].

Pan. Ten Który Przechadza Się Za Rzędami. Powiedz, jeśli wiesz i rozumiesz. I proszę, daj spokój kukurydzy.

Kartkował Biblię. Stronice głośno i sucho szeleściły – dźwiękiem, jaki wydawałyby duchy, gdyby naprawdę istniały. Ale w miejscu takim jak to łatwo w duchy uwierzyć. Burt spostrzegł, że niektóre partie księgi zostały wydarte, głównie w Nowym Testamencie, a ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby dobremu królowi Jakubowi dorysować nożyczki.

Ale sam Stary Testament pozostał nietknięty.

Burt zamierzał właśnie odejść od ołtarza, kiedy ujrzał leżącą na dolnej półce inną księgę. Sięgnął po nią, sądząc, że może to być kościelny rejestr ślubów, konfirmacji i pogrzebów.

Skrzywił się na widok napisu wytłoczonego na okładce i umieszczonego na stylizowanym, nieudolnie pozłoconym wizerunku liścia: NIECH NIEGODZIWCOWI ODJĘTA ZOSTANIE GŁOWA, AŻEBY ZIEMIA PONOWNIE ŻYZNĄ BYĆ MOGŁA, RZECZE PAN ZASTĘPÓW.

Wszystko wskazywało na to, że myśli mieszkańców miasteczka biegły tylko jednym

torem i były bardzo monotematyczne; Burta jednak niewiele to obchodziło.

Otworzył księgę na pierwszej, poliniowanej szeroko stronicy. Natychmiast spostrzegł, że pismo wyszło spod ręki dziecka; miejscami wręcz widać było ślady wytartych gumką kleksów. Burt, choć nie stwierdził błędów, zauważył, że litery były duże i po dziecięcemu raczej starannie wyrysowane niż napisane. Pochylił się nad pierwszą kolumną.

Amos Deigan (Richard), ur. 04.09.1945	04.09.1964
Isaac Renfrew (William), ur. 19.09.1945	19.09.1964
Zepeniah Kirk (George), ur. 14.10.1945	14.10.1964
Mary Wells (Roberta), ur. 12.11.1945	12.11.1964
Yemen Hollis (Edward), ur. 05.01.1946	05.01.1965

Burt ze zmarszczonymi brwiami studiował kolejne stronice. Mniej więcej w trzech czwartych księgi podwójna kolumna nieoczekiwanie się kończyła:

Rachel Stigman (Donna), ur. 21.06.1957	21.06.1976

Moses Richardson (Henry), ur. 29.07.1957

Malachi Boardman (Craig), ur. 15.08.1957

Pod ostatnią pozycją figurowała Ruth Clawson (Sandra), ur. 30.04.1961. Burt zerknął na półkę, na której znalazł tę księgę, i po chwili wyciągnął dwie dalsze. Pierwsza nosiła ten sam tytuł: NIECH NIEGODZIWCOWI ODJĘTA ZOSTANIE GŁOWA… i stanowiła kontynuację poprzedniej; pojedyncza kolumna podająca imiona, nazwiska i daty urodzin. Na początku września 1964 roku znalazł Joba Gilmana (Claytona), ur. 06.09; kolejny zapis dotyczył Eve Tobin, ur. 16.06.1965. Brak drugiego imienia w nawiasie.

Trzecia księga była pusta.

Nie odchodząc zza ołtarza, Burt głęboko się zamyślił.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku coś się tutaj wydarzyło. Coś, co miało ścisły związek z religią, kukurydzą i… dziećmi.

„Panie, błagamy, pobłogosław nasze plony. W imię Jezusa Chrystusa, amen”.

I oto nóż wznosi się wysoko nad ofiarnym jagnięciem… Jagnięciem?

Zapewne wpadli w manię religijną. Sami, zupełnie sami, odcięci od świata zewnętrznego tysiącami kilometrów kwadratowych szeleszczącej tajemniczo kukurydzy. Samotni pod siedemdziesięcioma milionami akrów błękitnego nieba. Samotni pod czujnym okiem Boga, dziwnego zielonego Boga, Pana kukurydzy; Boga, który jest prastary, obcy i wiecznie głodny. Ten, Który Przechadza Się Za Rzędami.

Burt poczuł, że lodowacieje od środka.

Vicky, pozwól, że opowiem ci pewną historię. Opowiem ci o Amosie Deiganie, który urodził się jako Richard Deigan czwartego września tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym przyjął imię Amos, oryginalne imię ze Starego Testamentu, imię jednego z pomniejszych proroków. No cóż, Vicky, czy wiesz, co się dalej stało? Nie śmiej się. Ów Dick Deigan i jego przyjaciele – między innymi Billy Renfrew, George Kirk, Roberta Wells i Eddie Hollis – stworzyli sobie religię i zabili własnych rodziców. Wszystkich bez wyjątku. Czy to nie koszmarne? Zastrzelili ich w łóżkach, zasztyletowali w wannach, podali zatrute kolacje, powiesili, rozpruli im brzuchy; sam nie wiem, co jeszcze.

Dlaczego? Kukurydza. Może przyszła jakaś zaraza, a oni doszli do wniosku, że to kara za to, iż po ziemi chodzi zbyt wielu grzeszników? Ofiar zawsze mało. Zapewne robili to na polach, między rzędami kukurydzy.

Nie mam pojęcia, skąd to wiem, Vicky, ale jestem święcie przekonany, iż zdecydowali, że każdy z nich powinien żyć dziewiętnaście lat. Richard „Amos” Deigan, bohater naszej historii, swoje dziewiętnaste urodziny obchodził czwartego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku – datę tę znam z księgi. Sądzę, że go zabili. Złożyli w ofierze kukurydzy. Czyż to nie urocza historyjka?

Ale teraz posłuchaj o Rachel Stigman, która do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku była Donną Stigman. Dziewiętnaście lat skończyła dwudziestego pierwszego czerwca – mniej więcej miesiąc temu. Moses Richardson urodził się dwudziestego dziewiątego lipca – a więc urodziny będzie obchodził za trzy dni. Jak myślisz, co się przytrafi poczciwemu Mosesowi dwudziestego dziewiątego bieżącego miesiąca?

Bo ja chyba wiem.

Burt oblizał suche nagle wargi.

Vicky, i jeszcze jedno. Spójrz na to. Mamy tutaj Joba Gilmana (Claytona) urodzonego

szóstego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Aż do szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego nie notujemy żadnych narodzin. Dziesięciomiesięczna luka. Wiesz, co myślę? Myślę, że pozabijali już wszystkich swoich rodziców, nawet matki w ciąży. A później jedno z nich – jedna – w październiku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku zaszła w ciążę i dała życie Eve; któraś z tych szesnasto-, siedemnastoletnich dziewcząt. Eve! Pierwsza kobieta!

Ponownie gorączkowo przekartkował księgę i zatrzymał się przy Eve Tobin. Pod nią znajdowała się jeszcze jedna pozycja: „Adam Greenlaw, ur. 11.07.1965”.

Powinno być ich zatem jedenaścioro, pomyślał i poczuł gęsią skórkę. Być może gdzieś się tutaj czają. Gdziekolwiek.

Ale jak to możliwe? Jak taką rzecz dało się utrzymać w sekrecie? Jak mogło to trwać aż tyle lat?

Chyba że sam Bóg wyraził na to zgodę.

– Jezu słodki! – mruknął na głos Burt i w tej samej chwili rozległ się klakson t-birda.

Ciągły sygnał.

Burt zerwał się jak oparzony. Odskoczył od ołtarza i pobiegł środkową nawą. Z impetem pchnął drzwi wyprowadzające z przedsionka przed kościół i stanął pod palącymi promieniami słońca. Doznał zawrotu głowy. Vicky siedziała za kierownicą nienaturalnie wyprostowana. Ręce trzymała na klaksonie i gwałtownie odwracała głowę to w lewo, to w prawo.

Ze wszystkich stron nadchodziły dzieci. Niektóre radośnie się śmiały. Niosły noże, siekiery, stalowe rurki, kamienie, młotki. Jedna z dziewczynek, ośmioletni zapewne szkrab z pięknymi jasnymi jak u aniołka włosami, dźwigała lewarek do podnoszenia samochodów. Chłopska broń. Ani jednego karabinu, ani jednego rewolweru. Burt poczuł straszną ochotę, żeby wrzasnąć: „Który z was jest Adamem? Która z was jest Eve? Które są matkami? Które są córkami? A ojcowie? Synowie?”.

Powiedz, jeśli wiesz i rozumiesz.

Dzieciaki mrowiły się, wynurzały z bocznych uliczek, zza drzew, przełaziły przez zrobione z łańcuchów ogrodzenie otaczające szkolne boisko przy pierwszej przecznicy po zachodniej stronie miasteczka. Niektóre spoglądały obojętnie na Burta, który jak wmurowany stał na prowadzących do kościoła schodach. Inne

szturchały się wzajemnie, wskazywały go palcami i… przesyłały mu serdeczne dziecięce uśmiechy.

Dziewczęta miały na sobie długie, brązowe wełniane sukienki i spłowiałe narzutki. Chłopcy, niczym pastorzy kwakrów, nosili się na czarno, a głowy nakrywali niskimi kapeluszami o sztywnych rondach. Dzieciaki płynęły potokami przez miejski ryneczek, po trawnikach, niektóre przechodziły przez dziedziniec kościoła, który do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego był kościołem baptystów. Mijały Burta tak blisko, że mógł ich dotknąć. Wszystkie kierowały się w stronę samochodu.

– Strzelba! – wrzasnął Burt. – Vicky, strzelba!

Ale ona była sparaliżowana ze strachu; widział to nawet z daleka, z kościelnych schodów. Wątpił wręcz, czy przez zasunięte szyby w ogóle dotarł do niej jego głos.

Dzieciarnia skupiła się przy t-birdzie. Siekiery, tasaki, stalowe rurki zaczęły rytmicznie wznosić się i opadać. Mój Boże, a ja na to patrzę! – błysnęło mu w głowie, ale stał niczym słup soli. Z boku samochodu odpadły chromowane listwy. W powietrzu poszybowały ornamenty maski. Kiedy przerżnięto nożami opony, pojazd osiadł nisko na felgach. Klakson grzmiał i grzmiał.

Przednia i boczne szyby pokryły się tysiącem rys, zmatowiały pod wpływem gwałtownych ciosów… pękły i wpadały do środka. Burt ponownie ujrzał Vicky. Kuliła się w fotelu i już tylko jedną dłonią naciskała klakson; drugą zasłaniała twarz. Niecierpliwe, młode ręce sięgnęły do blokady drzwi. Vicky, jak oszalała, tłukła oplatające ją dłonie. Dźwięk klaksonu zaczął się rwać, aż w końcu umilkł na dobre.

Nagle poobijane i pogięte drzwi otworzyły się z rozmachem. Dzieci próbowały wywlec Vicky z auta, ale ta wciąż kurczowo trzymała się kierownicy. Wtedy jedno z nich pochyliło się i wsadziło tułów do samochodu. W dłoni ściskało nóż…

Na ten widok Burta opuściło całe odrętwienie. Potykając się na schodach kościoła, ruszył biegiem w stronę t-birda. Jeden z dzieciaków, chłopak w wieku mniej więcej szesnastu lat, z długimi rudymi włosami opadającymi spod kapelusza na ramiona, spojrzał obojętnie w jego stronę i w powietrzu coś śmignęło. Burt odniósł absurdalne wrażenie, że dostał w ramię cios z dystansu. Potem poczuł taki ból, że aż pociemniało mu w oczach.

Głupkowato spoglądał na swoją rękę. Warty półtora dolara nóż marki Pensy sterczał mu

z ramienia niczym jakaś dziwaczna narośl, a rękaw sportowej koszuli J.C. Penneya błyskawicznie nasiąkał krwią. Przez długą niczym wieczność chwilę Burt gapił się na nóż, rozmyślając idiotycznie, skąd wziął się w jego ramieniu.

Kiedy uniósł głowę, ujrzał, że rudzielec jest tuż-tuż. Jego uśmiech świadczył o absolutnej pewności siebie.

– Ty skurwysynu! – ryknął ochrypłym z emocji głosem Burt.

– Poleć duszę Bogu, bo za chwilę staniesz przed Jego tronem! – zawołał rudowłosy chłopak, wyciągając dłonie w kierunku twarzy Burta.

Ten zrobił krok do tyłu, wyrwał z rany nóż i wbił go prosto w gardło rudzielca. Z szyi trysnął strumień krwi i ochlapał Burta, a z krtani płomiennowłosego wyrostka dobył się obrzydliwy bulgot. Dzieciak, zataczając się jak pijany, zaczął chodzić w kółko. Sięgnął po sterczący z gardła nóż i bezskutecznie próbował go wyciągnąć. Burt obserwował to z rozdziawionymi ustami.

Nie, to wszystko nie działo się naprawdę. Wszystko to było snem. Rudowłosy chłopak krążył i krążył. Nieustannie gulgotał; jedyny hałas mący martwą ciszę popołudnia.

Pozostałe dzieci spoglądały na niego w osłupieniu.

Tego w scenariuszu nie było, pomyślał tępo Burt. W scenariuszu byłem tylko ja i Vicky. I chłopiec z kukurydzy, który próbował uciec. Ale żadne z nich!

Popatrzył na dzieciaki dzikim wzrokiem.

I jak wam się to podoba? – chciał wrzasnąć.

Rudzielec wydał ostatni, cichy bulgot, a potem miękko osunął się na kolana. Popatrzył jeszcze przelotnie na Burta, puścił rękojeść noża i upadł na ziemię.

Od strony zgromadzonej wokół t-birda dzieciarni dobiegło zbiorowe westchnienie. Malcy patrzyli na Burta, a Burt z jakąś dziwną fascynacją spoglądał na nich… ale zauważył, że w aucie nie ma już Vicky.

– Gdzie ona jest? – zapytał podniesionym głosem. – Gdzieście ją zabrali?

Jeden z chłopców uniósł skrwawiony nóż myśliwski, przysunął go sobie do gardła i wykonał taki ruch, jakby coś piłował. Wyszczerzył zęby w ironicznym grymasie. Odpowiedź była jednoznaczna.

– Brać go! – krzyknął jeden ze starszych chłopców.

Dzieci powoli ruszyły ławą, więc Burt się cofnął. Przyśpieszyły kroku. Burt również. Strzelba, cholerna strzelba! Ale w tej chwili było to marzenie ściętej głowy. Na przykościelnym trawniku zamajaczyły groźne cienie dzieci. Burt wyskoczył na ulicę.

Zaczął biec.

– Zabić go! – ryknął ktoś za jego plecami, a dzieciarnia hurmem ruszyła w pościg.

Nie uciekał na ślepo. Nie kierował się do budynku urzędu miejskiego, bo tam osaczyłyby go jak szczura. Pobiegł ulicą Główną, która dwie przecznice dalej znów przekształcała się w normalną szosę. Gdyby nie jego głupi upór, jechałby nią teraz spokojnie razem z Vicky.

Mokasyny rytmicznie biły w płyty trotuaru. Przed sobą ujrzał kilka biurowców, lodziarnię i – jakżeby inaczej! – kino Bijou. Nad wejściem widniał wielki, pokryty grubą warstwą kurzu napis: DZ Ś W PROG AMI KLEOPA RA Z ELI A TH TAYLOR. Za ostatnim skrzyżowaniem, na samym końcu miasteczka, znajdowała się stacja benzynowa, a dalej po obu stronach drogi rozciągały się już tylko bezkresne łany kukurydzy. Zwarta, zielona, sfalowana ściana.

Biegł. Z trudem łapał dech i bardzo dokuczało mu zranione ramię. Zostawiał za sobą ślady krwi.

W biegu wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i wsunął ją pod koszulę.

Biegł. Mokasyny równo uderzały w chodnik wyłożony popękanymi płytami. Coraz trudniej przychodziło mu złapać oddech. Ramię pulsowało okropnym bólem. Jakaś część umysłu zadawała mu pytanie, czy zamierza tak biec do najbliższego miasteczka, czy zdoła przebiec po tej asfaltówce czterdzieści kilometrów.

Biegł. Za sobą słyszał odgłosy zbliżającej się pogoni; ścigającej go sfory młodszych o piętnaście lat dzieciaków. Ich stopy łomotały po nawierzchni. Dzieciarnia wrzeszczała bezustannie. Doskonale się bawią, pomyślał zupełnie bez związku Burt. Będą o tym rozprawiać przez lata.

Burt biegł.

Minął stojącą na krańcach miasta stację benzynową. Ciężko dyszał, ból mu rozdzierał płuca. Pod nogami migały płyty chodnika. Pozostawało tylko jedno wyjście, miał jedną szansę, żeby przechytrzyć prześladowców i ujść z życiem. Domy się skończyły, miasteczko miał już za plecami. Po obu stronach drogi falowała miękko kukurydza. Zielone liście, przypominające kształtem miecze, szeleściły cicho. Zanurzy się głęboko w chłodnych,

cienistych rzędach wysokiej na człowieka kukurydzy.

Nie ustając w biegu, minął napis: OPUSZCZACIE GATLIN, NAJSYMPATYCZNIEJSZE MAŁE MIASTECZKO W NEBRASCE I… NA CAŁYM ŚWIECIE! WPADNIJCIE DO NAS KIEDYŚ JESZCZE RAZ.

O, tak, z całą pewnością jeszcze was odwiedzę, pomyślał ponuro Burt.

Tablicę minął niczym sprinter, który widząc taśmę mety, zaczyna finiszować. Zboczył w lewo, przebiegł w poprzek szosę i zrzucił z nóg mokasyny. Znalazł się w kukurydzy, która zamknęła się wokół niego, pochłonęła go jak szmaragdowe fale morza, skryła w swoim zielonym wnętrzu. Doznał ogromnej ulgi, a jednocześnie jakby złapał drugi oddech. Płuca, które nie były już zdolne pompować powietrza, nagle rozkurczyły się i Burt ponownie mógł swobodnie oddychać pełną piersią.

Pobiegł prosto rzędem, który wprowadził go w łan. Posuwał się z pochyloną głową, szerokimi ramionami rozgarniał liście. Po dwudziestu metrach skręcił pod kątem prostym w prawo i zaczął przemieszczać się równolegle do drogi. Biegł jak najbardziej schylony, tak żeby ścigający nie mogli dostrzec jego głowy między żółtymi

kitkami kaczanów kukurydzy. Przebył kilkanaście rzędów, ponownie odwrócił się plecami do szosy i, zmieniając na chybił trafił rzędy, coraz bardziej zaczął zagłębiać się w zbity zielony gąszcz.

W końcu opadł na kolana, wygiął grzbiet w łuk i przyłożył czoło do chłodnej ziemi. Ciężko dyszał, a pod czaszką kołatała mu obsesyjnie tylko jedna myśl: Chwała Bogu, że rzuciłem palenie, chwała Bogu, że rzuciłem palenie, chwała Bogu…

I wtedy ponownie usłyszał dzieci. Przeczesując gąszcze kukurydzy, biegały jak oszalałe, nawoływały się i buszując żywiołowo, wpadały na siebie („Hej, to mój rząd!”). Burta bardzo to podniosło na duchu. Raz, że pogoń znajdowała się daleko po lewej stronie, a dwa, że prowadzona była bez głowy i bardzo chaotycznie.

Wyciągnął spod koszuli chusteczkę, rzucił okiem na ranę, złożył od nowa prowizoryczny opatrunek i jeszcze raz owinął nim ramię. Mimo ogromnego wysiłku, jaki włożył w ucieczkę, jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu rana przestała krwawić.

Chwilę jeszcze odpoczywał, aż nagle uświadomił sobie ze zdumieniem, że czuje się

wyśmienicie, że od lat nie czuł w sobie takiej krzepy i rozsadzającej go energii… tylko rozdarte nożem ramię pulsowało bólem. Rozpierało go poczucie własnej siły i nieoczekiwanie zrozumiał, że po dwóch upiornych latach demony małżeństwa, które dzień po dniu drenowały go do sucha, odeszły i jest wolny.

Nie, nie powinienem tak myśleć, błysnęło mu w głowie. Ciągle jeszcze zagrażało mu śmiertelne niebezpieczeństwo, a jego żonę gdzieś zabrano i zapewne już nie żyje. Próbował przywołać w pamięci rysy Vicky, próbował przypomnieć sobie wszystkie dobre chwile, jakie z nią spędził, ale w głowie miał pustkę. Przed oczyma ciągle pojawiał mu się obraz rudowłosego chłopca ze sterczącym z gardła nożem.

Nagle z całą mocą dotarła do jego świadomości woń wydzielana przez kukurydzę. Buszujący w czubkach roślin wiatr tworzył dźwięk do złudzenia przypominający ludzkie głosy; kojący dźwięk. Cokolwiek zrobiono w imię kukurydzy, teraz ona była jego obrońcą.

Ale oni byli coraz bliżej.

Pochylony, pobiegł rzędem, w którym się znajdował, ale niebawem skręcił i przeciął kilkanaście sąsiednich. Cały czas starał się utrzymywać ścigających po lewej stronie, lecz

w miarę upływu czasu stawało się to coraz trudniejsze. Głosy bobrującej w zbożu dzieciarni cichły, coraz częściej szelest zarośli kompletnie je tłumił. Burt biegł, przystawał, nasłuchiwał i znów biegł. Ziemia była mocno ubita, toteż jego stopy w samych tylko skarpetkach nie zostawiały praktycznie śladów.

Kiedy dużo później ponownie zatrzymał się na odpoczynek, słońce, wędrujące po niebie po jego prawej stronie, wisiało już nad polami bardzo nisko. Spojrzał na zegarek; było kwadrans po siódmej. Promienie malowały jeszcze złotem czubki kukurydzy, ale w gąszczu zarośli cień już gęstniał, stawał się coraz głębszy. Burt nastawił bacznie uszu. Wraz ze zbliżającym się zmrokiem wiatr zupełnie ucichł i bezkresne pola kukurydzy znieruchomiały. Wszystko przesączała ciężka woń roślin. Jeśli ścigający ciągle jeszcze przebywali tutaj, to albo musieli być już bardzo daleko, albo też zatrzymali się w jakimś miejscu i również nasłuchiwali. Ale Burt nie sądził, żeby dzieciaki, nawet tak szalone jak te z Gatlin, potrafiły dłużej usiedzieć w spokoju. Podejrzewał, że zrobiły najbardziej dziecinną rzecz, jaką mogły w tej sytuacji zrobić, to znaczy, nie licząc się zupełnie

z konsekwencjami swego czynu, po prostu beztrosko wróciły do domów.

Popatrzył na zachodzące słońce, które wsiąkało właśnie w stojące tuż nad horyzontem chmury, i podjął marsz. Jeśli będzie poruszał się po przekątnej do rzędów, mając ciągle przed sobą słońce – a zatem zachód – wcześniej czy później dotrze do szosy 17.

Ból w ramieniu przeszedł w tępe, prawie przyjemne pulsowanie i Burta nie opuszczał dobry nastrój. Postanowił, że dopóki będzie przebywać w kukurydzy, nie dopuści do siebie żadnych przykrych myśli. Na żal, niepokój i poczucie winy przyjdzie czas, kiedy stanie już przed władzami, którym złoży dokładny raport o wszystkim, co wydarzyło się w Gatlin. Ale to była jeszcze bardzo odległa przyszłość.

Przedzierając się przez splątany, zbity gąszcz, pomyślał, że nigdy w życiu nie był tak czujny. Po piętnastu minutach już tylko połówka słońca wisiała nad horyzontem. Przystanął. Coś wyczuł; coś, co bardzo mu się nie spodobało. Refleksja była mglista i niejasna…

Uniósł bacznie głowę. Kukurydza szeleściła.

Fakt ten docierał do jego świadomości od dłuższego już czasu, ale jak wszystkie inne nieprzyjemne odczucia to spostrzeżenie Burt

również odsuwał od siebie. Lecz dłużej już nie mógł nie zwracać na to uwagi. Przecież powietrza nie mącił najlżejszy podmuch wiatru! Dlaczego więc kukurydza szeleści?

Rozejrzał się uważnie. Oczekiwał, że w każdej chwili ujrzy wynurzających się z gęstych zarośli uśmiechniętych chłopców w kwakierskich kapeluszach. W rękach ściskać będą noże… Nic takiego się nie wydarzyło. Jedynie ów nieustanny, niepokojący szelest. Dobiegał z lewej strony.

Ruszył w tamtym kierunku wzdłuż rzędu. Do celu dotarł jak po sznurku. Przed nim rząd się kończył. Kończył? Tak, zatracał się w niewielkiej polance wyciętej w równych rzędach kukurydzy. Stamtąd właśnie dobiegał złowieszczy szelest.

Ogarnięty nagłym lękiem Burt przystanął.

Zapach kukurydzy był tu tak intensywny, że odurzał. Ziemia i rośliny przez cały dzień magazynowały ciepło słoneczne, więc w jednej chwili Burt stwierdził, że jest zlepiony potem, że we włosach ma pełno cienkich i delikatnych jak pajęcza przędza wąsów kukurydzianych, a na ubraniu pełno źdźbeł. Ale przede wszystkim w powietrzu powinny unosić się roje owadów… a przecież nie było ani jednego.

Stał w bezruchu i spoglądał nieruchomym wzrokiem w stronę, gdzie zarośla przechodziły w rozległy krąg gołej ziemi.

Nie było tam ani meszek, ani komarów, ani pająków czy pluskiew polnych; nie było niczego, co Vicky jeszcze w czasach, kiedy się do siebie zalecali, nazywała „bździągwami”. Na to wspomnienie Burtowi ścisnęło się serce. Uderzył go inny, niepokojący szczegół: brak wron. Jak to? Pole pełne dojrzałej kukurydzy i nie ma wron?

W ostatnich przebłyskach dziennego światła popatrzył na wysmukłe łodygi po swojej lewej stronie. Ujrzał, że każda z nich, każdy najmniejszy listek, najdrobniejsza szypułka są w idealnym stanie; a to już po prostu zakrawało na absurd. Żadnych połamanych liści, żadnych gąsienic, pajęczyn, śladów żyjących pod ziemią szkodników, żadnych mrówek…

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

Boże wielki, tam nie było nawet chwastów!

Śladu chwastów. Dokładnie co pół metra z ziemi wyrastała łodyga kukurydzy. Żadnego perzu, kąkoli, trawy, mleczy czy szkarłatki. Nic.

Burt patrzył na to szeroko rozwartymi, nierozumiejącymi oczyma. Niebo po zachodniej stronie pociemniało. Nad samym horyzontem stał niewielki wał przedwieczornych chmur. Pod

nimi blask słońca barwił się kolorami starego złota, różu i ochry. Niebawem miał zapaść zmrok.

Najwyższy czas udać się na polanę i osobiście ją zbadać. A może właśnie na tym zasadzał się cały plan? Może chodziło o to, żeby Burt, myśląc, że kieruje się w stronę szosy, cały czas podążał dokładnie w to miejsce?

Czując w żołądku lodowate igły strachu, zbliżył się do końca rzędu i stanął u wejścia na polanę. Resztki dziennego światła pozwoliły zobaczyć mu wszystko z przerażającą dokładnością. Nie był w stanie wydać z siebie nawet krzyku. Po prostu w ułamku sekundy zabrakło mu powietrza w płucach. Nogi miał nieruchawe niczym dwie kłody drewna. Oczy wyszły mu z orbit.

– Vicky – szepnął. – Boże wielki, Vicky…

Przypięta była do dwóch skrzyżowanych słupów. Nadgarstki i kostki przyszpilał jej do pali zwykły drut kolczasty, który można kupić w sklepie z artykułami żelaznymi po siedemdziesiąt centów za metr. Miała wydarte oczy; z oczodołów sterczały jej pęki kukurydzianych wąsów; rozwarte w niemym krzyku usta wypełniało suche ziarno i plewy.

Obok poniewierał się szkielet owinięty w resztki przegniłej komży. Czaszka szczerzyła obnażone zęby. Oczodoły zdawały się spoglądać figlarnie na Burta; zupełnie jakby były pastor kościoła baptystów mówił: „Nie jest źle, nie jest źle zostać złożonym w ofierze kukurydzy przez pogańskie dzieci szatana, nie jest źle, jeśli w myśl Prawa Mojżeszowego wydrą ci oczy z czaszki…”.

Obok szkieletu w komży leżał inny szkielet w spleśniałym, niebieskim mundurze. Opuszczony na czoło kapelusz osłaniał puste oczodoły. Na nakryciu głowy widniała zaśniedziała plakietka: KONSTABL.

I wtedy Burt usłyszał, że coś nadchodzi; nie były to dzieci. Przez plątaninę liści do polany zbliżało się coś o wiele większego. Nie dzieci; z całą pewnością nie dzieci. Dzieci nie odważyłyby się wejść nocą w bezkresne łany. Było to miejsce święte, miejsce Tego, Który Przechadza Się Za Rzędami.

Ogarnięty przerażeniem rzucił się do ucieczki. Ale rząd, którym tu przybył, zamknął się. Wszystkie rzędy się zamknęły. A to coś nieubłaganie się zbliżało… Burt słyszał, jak przeciska się przez gęstwinę, słyszał, jak oddycha… Przejęła go najwyższa zgroza. To nadchodziło. Kukurydza po przeciwnej stronie

polany pociemniała, jakby padł na nią jakiś gigantyczny cień.

Nadchodził.

Ten, Który Przechadza Się Za Rzędami.

Wyłaził na polanę. Burt ujrzał coś ogromnego, majaczącego na tle nieba… coś, co było zielone i miało przerażające, czerwone ślepia, wielkie jak piłki futbolowe.

Coś, co śmierdziało jak suche ziarno kukurydzy przechowywane przez rok w ciemnej stodole.

Burt zaczął krzyczeć. Ale nie mógł krzyczeć długo.

Jakiś czas później na niebo wszedł opasły pomarańczowy księżyc.

. . .

Następnego dnia, w południe, dzieci kukurydzy stały na polance, patrząc na dwa szkielety i na dwa ciała… ciała nie były jeszcze szkieletami, ale niedługo będą. W swoim czasie. A tutaj, w samym sercu Nebraski, w kukurydzy, nie istniało nic poza czasem.

– I oto sen miałem ostatniej nocy, i Pan mi to wszystko ukazał.

Wszyscy, nawet Malachi, popatrzyli na Isaaca z lękiem i zadziwieniem. Isaac miał zaledwie dziewięć lat, ale od czasu, kiedy przed rokiem kukurydza zabrała Davida, on był Prorokiem. David skończył dziewiętnaście lat, więc w dzień urodzin, kiedy na letnie pola kładł się wieczorny mrok, udał się do kukurydzy.

Isaac, chłopiec z drobną twarzą ocienianą szerokim, sztywnym rondem kapelusza, ciągnął:

– A w moim śnie Pan był cieniem, który krył się za rzędami, i odezwał się do mnie słowy, jakich używał w rozmowie z naszymi starszymi braćmi w minionych latach. Bardzo był nierad z ostatniej ofiary.

Dzieci wydały cichy, płaczliwy jęk i popatrzyły na osaczające ich ze wszystkich stron ściany zieleni.

– I rzekł Pan: „Czyż nie dałem wam miejsca do zabijania po to, abyście w nim składali ofiary? Czyż nie okazałem wam łaski? Ale ten mężczyzna bluźnił mi i sam musiałem dokonać ofiary. Tak samo jak miało to miejsce w przypadku Niebieskiego Człowieka i fałszywego kapłana, którzy przed laty uciekli”.

– Niebieski Człowiek… fałszywy kapłan – szepnęły dzieci, spoglądając po sobie z bojaźnią.

– „Tak zatem obniżam Wiek Łaski siejby i żniwa z dziewiętnastu na osiemnaście – ciągnął bezlitośnie Isaac. – A jednak pozostaniecie płodni i liczni niczym kukurydza, kiedy okażę wam łaskę, która zostanie z wami”.

Isaac zamilkł.

Oczy wszystkich skierowały się na Malachiego i Josepha, jedynych, którzy w tej grupie ukończyli osiemnaście lat. W miasteczku pozostało ich jeszcze około dwudziestu…

Czekali, co powie Malachi, Malachi, który kierował pościgiem za Japhethem; Japhethem, co po wsze czasy znany będzie jako Ahaz – przeklęty przez Boga. To właśnie Malachi poderżnął Ahazowi gardło i wyrzucił jego ciało z kukurydzy, żeby obrzydliwe zwłoki nie bezcześciły zboża i nie rzucały złego uroku.

– Będę posłuszny słowu Pana – szepnął Malachi.

Kukurydza najwyraźniej westchnęła z aprobatą.

W nadchodzących tygodniach dziewczęta miały wykonać więcej kukurydzianych krucyfiksów, żeby odpędzić zło.

A tej samej jeszcze nocy wszyscy, którzy przekroczyli Wiek Łaski, poszli w milczeniu w kukurydzę i dotarli na polanę, żeby osiągnąć

na zawsze łaskę Tego, Który Przechadza Się Za Rzędami.

– Żegnaj, Malachi! – zawołała Ruth, machając mu z rozpaczą ręką.

Miała duży brzuch, ponieważ pod sercem nosiła dziecko Malachiego. Po policzkach płynęły jej strumienie łez. Malachi nawet się nie odwrócił. Szedł przed siebie wyprostowany.

Pożarła go kukurydza.

Ruth odwróciła się z płaczem. Czuła nienawiść do kukurydzy i czasami skrycie pragnęła pójść na pola z pochodnią – pójść tam we wrześniu, kiedy łodygi są już suche i łatwo palne. Ale się bała. Nocami kryło się w nich coś, co wiedziało wszystko… znało najskrytsze pragnienia i sekrety ludzkiego serca.

Zmierzch przeszedł w głęboką ciemność nocy. Wokół Gatlin tajemniczo szeleściła i szeptała kukurydza.

Była zadowolona.

OSTATNI SZCZEBEL W DRABINIE

Wczoraj, w niecały tydzień po tym, jak wróciłem z ojcem z Los Angeles, otrzymałem list od Katriny. Zaadresowany był do Wilmington w stanie Delaware, a przecież od tamtego czasu zdążyłem się już dwukrotnie przeprowadzić. Teraz ludzie często zmieniają miejsca zamieszkania i, zabawna rzecz, ale poprzekreślane na kopercie nieaktualne adresy i nalepki z nowymi wyglądają zgoła jak akty oskarżenia. Jej list był pomięty i poplamiony, a jeden róg koperty mocno załamany podczas transportu. Przeczytałem go; następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stałem w salonie ze słuchawką telefoniczną w dłoni, gotów zatelefonować do taty. Kiedy w pełni uświadomiłem sobie, co zamierzam zrobić, ze zgrozą ją odłożyłem. Tata był w podeszłym wieku

i po dwóch zawałach. A ja, zaraz po tym, jak wróciliśmy z Los Angeles, chciałem do niego dzwonić i powiedzieć o liście od Katriny? Przecież to by go zabiło.

Tak więc nie zadzwoniłem. I nie miałem nikogo, komu mógłbym o tym liście opowiedzieć… Są to rzeczy zbyt osobiste, żeby opowiadać o nich komukolwiek; może tylko żonie lub najbliższemu przyjacielowi. W ciągu ostatnich lat nie zdobyłem zbyt wielu przyjaciół, a z Helen rozwiodłem się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Wymieniamy ze sobą kartki na Boże Narodzenie. Jak ci leci? Co w pracy? Szczęśliwego Nowego Roku!

Całą noc przez to nie spałem, przez ten list Katriny. Przecież mogła napisać to na zwykłej kartce pocztowej. Pod nagłówkiem: „Drogi Larry” było tylko jedno zdanie. Ale ono wystarczało. Zupełnie wystarczało.

Przypominam sobie mego ojca, kiedy w ostrym słońcu lecieliśmy na wysokości sześciu tysięcy metrów z Nowego Jorku na zachód. Postarzał się. Gdy zgodnie z informacją pilota przelatywaliśmy nad Omaha, tata powiedział:

– Larry, to dużo dalej, niż się wydaje.

Słysząc ogromny smutek w jego głosie, poczułem się bardzo nieswojo, ponieważ nie

rozumiałem, o co mu chodzi. Pojąłem to dopiero po otrzymaniu listu od Katriny.

Wzrastaliśmy w miasteczku zwanym Hemingford Home leżącym sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Omaha – mama, tata, moja siostra Katrina i ja. Byłem o dwa lata starszy od Katriny, na którą wszyscy wołali Kitty. Była ślicznym dzieckiem, które wyrosło na piękną kobietę – nawet kiedy miała osiem lat, czyli kiedy wydarzył się wypadek w stodole, każdy widział, że jej pszeniczne włosy nigdy nie ściemnieją, a oczy zawsze będą miały ową ciemnoniebieską barwę właściwą Skandynawom. Wystarczało jedno spojrzenie w źrenice Katriny, żeby przepaść bez reszty.

Myślę, że ktoś mógłby powiedzieć, iż wyrastaliśmy na wieśniaków. Ojciec miał sto hektarów płaskiej, żyznej ziemi, na której uprawiał kukurydzę i hodował bydło. Wszyscy nazywaliśmy to miejsce „dom”. W tamtych latach w Nebrasce nie było jeszcze bitych dróg z wyjątkiem międzystanówki numer 80 i szosy 96, toteż każda wyprawa do miasta stanowiła coś, na co czekało się z biciem serca przez trzy dni.

Aktualnie jestem jednym z najbardziej wziętych w Ameryce prawników od spółek; tak

w każdym razie o mnie mówią i sądzę, że tkwi w tym źdźbło prawdy. Kiedyś dyrektor pewnego ogromnego przedsiębiorstwa przedstawił mnie radzie nadzorczej jako „wynajętą strzelbę". Noszę drogie garnitury, a obuwie mam w najwyższym gatunku. Zatrudniam w pełnym wymiarze godzin trzech asystentów i w każdej chwili mam na podorędziu tuzin innych. Ale w tamtych czasach chodziłem polną drogą do jednoizbowej szkoły i niosłem pod pachą związane paskiem podręczniki; obok mnie dreptała Katrina. Czasami wiosną chodziliśmy do szkoły na bosaka. W tamtych latach nawet człowiek bez butów mógł być obsłużony w restauracji albo w sklepie.

Później umarła nam matka – Katrina i ja uczęszczaliśmy już do liceum w Columbia City – a dwa lata później ojciec musiał sprzedać ziemię i podjąć pracę w firmie handlującej traktorami. To był koniec naszej rodziny, choć wtedy jeszcze nie wyglądało to tak źle. Tata doskonale zaadaptował się w nowej pracy i został dealerem; od dziewięciu lat zasiada w radzie nadzorczej. Ja otrzymałem od Uniwersytetu Nebraska stypendium dla futbolistów i starałem się tam nauczyć czegoś więcej niż tylko przechodzenia z piłką na prawym skrzydle.

A Katrina? O niej właśnie chcę opowiedzieć.

Doszło do tego – do owego zdarzenia w stodole – pewnej soboty na początku listopada. Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie roku, ale było to jeszcze za prezydenta Ike'a[15]. Mama pojechała na targ do Columbia City, a tata wybrał się do naszych najbliższych sąsiadów (mieszkali w odległości dwunastu kilometrów), żeby pomóc w zwózce siana. Nami zająć się miał jeden z pracowników farmy, ale tego dnia wcale nie pojawił się w pracy; zresztą w niecały miesiąc później ojciec wywalił go na zbity pysk.

Ojciec zostawił mi listę czynności do wykonania (Kitty dostała podobną) i zabronił nam się bawić, dopóki nie zrobimy tego, co polecił. Praca nie zajęła nam wiele czasu. Był to listopad, a o tej porze roku w gospodarstwie niewiele jest do roboty.

Dokładnie pamiętam ten dzień. Niebo spowijały chmury i chociaż wcale nie było zimno, czuło się, że świat już chce, żeby było zimno, chce, żeby przyszły przymrozki, deszcze ze śniegiem, a później śnieg i mróz. Pola były puste, zwierzęta ospałe i markotne. Wydawało się, że po domu chodzą jakieś osobliwe przeciągi, jakich nigdy dotąd nie było.

W takie dni jedynym naprawdę sympatycznym miejscem była stodoła. Ciepła, przesączona wonią siana, skór i nawozu, pełna tajemniczych chichotów i gaworzenia moszczących się w gniazdach pod sufitem na trzecim piętrze jaskółek. Kiedy zadzierało się wysoko głowę, można było dostrzec przez szczeliny w dachu napływające białe światło listopadowego dnia. Ale ta zabawa udawała się wyłącznie w listopadowe pochmurne dni.

W stodole była drabina przybita do grubej poprzecznej belki wysoko pod sufitem, na trzeciej kondygnacji, a dolną częścią wsparta o klepisko stodoły. Rodzice kategorycznie zabronili nam wspinać się po tej drabinie, bo była stara, zwichrowana, a jej szczeble spróchniały. Tata tysiące razy obiecywał mamie, że ją zdejmie i zamontuje nową, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie… na przykład pomoc sąsiedzka przy zwózce siana. A wynajęty pracownik tego nie zrobił…

Kiedy już człowiek wspiął się po tej rozchwierutanej drabinie – były w niej dokładnie czterdzieści trzy szczeble; policzyliśmy je z Kitty tyle razy, że pamiętam do dzisiaj – dochodził do poprzecznej belki, która znajdowała się dwadzieścia metrów nad zasypanym słomą

klepiskiem. Wtedy należało przejść około czterech metrów po tej belce – kolana trzęsły się, kostki paliły, usta były wyschnięte i czuło się w nich smak palonej gumy – i stawało się prosto nad ogromną stertą siana. Dopiero wtedy można było skoczyć z belki i przeleciawszy całe dwadzieścia metrów, spaść prosto w ogromny, mięciutki materac. Pachniał cudownie i człowiek miał wrażenie, że znalazł się nagle w środku lata, choć żołądek ciągle jeszcze był tam, w górze, w połowie drogi, a człowiek czuł się… no cóż, czuł się jak Łazarz. Spadł, przeżył i mógł się całą historią podzielić z innymi.

No tak, ale to była zabawa zakazana. Gdyby nas na niej przyłapano, matka dostałaby ślepej furii, a ojciec skroiłby nam tyłki pasem, chociaż nie byliśmy już maluchami. Gdyby człowiek nie zdołał dotrzeć nad stos miękkiego siana i spadł z belki wcześniej, niewielkie miałby szanse przeżycia.

Ale pokusa była zbyt wielka. A kiedy nie ma kota… no cóż, wiadomo, co się dzieje.

Tamten dzień zaczął się jak każdy inny; cudownym dreszczykiem strachu wymieszanego z oczekiwaniem. Stanęliśmy u stóp drabiny i spoglądaliśmy na siebie. Kitty z emocji

wystąpiły rumieńce na policzki. Oczy miała błyszczące i jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj.

– Odważysz się? – zapytałem.

– Ty pierwszy – odparła pośpiesznie.

– Dziewczynki mają pierwszeństwo – zauważyłem równie pośpiesznie.

– Ale nie wtedy, kiedy to jest niebezpieczne – odrzekła, spuszczając skromnie oczy, jakby nie była drugim największym łobuziakiem w Hemingford.

Ale taka już była. Poszłaby wszędzie, tyle że nie pierwsza.

– W porządku, idę – oświadczyłem.

Miałem wówczas dziesięć lat, byłem chudy jak sam diabeł i ważyłem około czterdziestu kilogramów. Kitty liczyła sobie lat osiem i była o dziesięć kilogramów lżejsza ode mnie. Drabina zawsze wytrzymywała nasz ciężar, więc uważaliśmy, że i tym razem się uda; filozofia, która nieustannie sprowadza nieszczęście na głowy ludzi, a nawet całych narodów.

Czułem to tamtego dnia, kiedy drabina w pełnej kurzu stodole drżała pode mną lekko, a ja wspinałem się coraz wyżej i wyżej. Jak zwykle mniej więcej w połowie drogi miałem wizję, co by się stało, gdyby nagle runęła. Wyzionąłbym na dole ducha. Ale wspinałem się

nieustępliwie i wreszcie chwyciłem rękami końcową belkę, podciągnąłem się na niej i popatrzyłem w dół.

Zadarta twarz Kitty była maleńkim białym owalem. W spłowiałej koszuli i dżinsach moja siostrzyczka wyglądała jak lalka. Nade mną, jeszcze wyżej majaczyło podstrzesze, gdzie cicho kwiliły w gniazdach jaskółki.

I znów, bez namysłu:

– Hej, tam na dole! – krzyknąłem, a mój głos popłynął do niej niesiony drobinami kurzu.

– Hej, tam na górze!

Stanąłem na belce. Lekko się zachwiała. Jak zwykle wydawało mi się, że pod dachem występują osobliwe prądy powietrzne, których nie było na dole. Czułem, jak wali mi serce, kiedy rozłożywszy dla lepszej równowagi ramiona, zacząłem pomalutku przesuwać się do przodu. Pewnego razu na tym etapie przygody tuż obok mojej głowy przeleciała jaskółka, a ja, cofając odruchowo twarz, o mało nie straciłem równowagi. Przestraszyłem się, że to samo się jeszcze kiedyś powtórzy.

Ale nie tym razem. W końcu znalazłem się w bezpiecznym miejscu nad sianem. Teraz już patrzenie w dół nie budziło we mnie takiej grozy. Nastąpił moment oczekiwania, a następnie

dałem krok w powietrze i zatkawszy palcami nos dla większego efektu – siła grawitacji pociągnęła mnie brutalnie w dół – poczułem się jak spadający kamień, prawie chciałem krzyczeć: Och, przepraszam, zrobiłem błąd, chcę wrócić!

I wtedy wyrżnąłem w stóg siana, wpadłem w niego jak pocisk. Otoczył mnie słodki, upajający zapach, a ja ciągle wpadałem w siano głębiej i głębiej niczym w gęstą wodę. Powoli impet upadku malał. W końcu zatrzymałem się otoczony ze wszystkich stron zwałami suchej trawy. Zakręciło mi w nosie od kurzu. Usłyszałem, że jedna albo dwie myszy czmychają w spokojniejsze rejony. I w jakiś cudowny sposób czułem się jak nowo narodzony. Pamiętam, że kiedyś, po którymś ze skoków, Kitty powiedziała, że czuje się świeża i nowa, jak niemowlak, który przed chwilą przyszedł na świat. Wypychałem zawsze tę myśl – trochę wiedząc, a trochę nie wiedząc, co to naprawdę znaczy – ale od czasu, kiedy otrzymałem list od Kitty, myśl ta nieustannie już mi towarzyszy.

Wygrzebałem się z siana, jak pływak pokonujący morskie odmęty, i w końcu zeskoczyłem na klepisko. Miałem siano w spodniach, za koszulą, w butach i rękawach. We włosach? O tak, z całą pewnością!

Kitty była już w połowie drabiny, warkoczyki obijały się jej o łopatki. Pięła się przez wpadający do stodoły strumień światła, w którym tańczyły drobiny kurzu. Czasami światło było równie jasne jak jej włosy, ale tamtego dnia warkocze mojej siostry były poza wszelką konkurencją – stanowiły najjaśniejszy punkt w górze.

Pamiętam, że pomyślałem sobie, iż nie podoba mi się to, że drabina tak się chwieje. Wydawało mi się, że nigdy nie była tak rozklekotana.

W końcu Kitty dotarła do belki, tam, wysoko, nade mną – teraz ja byłem malutki, a moja zadarta twarz stanowiła biały owal. Słowa mej siostrzyczki płynęły do mnie z pyłkami kurzu.

– Hej, tam na dole!

– Hej, tam na górze!

Zaczęła przemieszczać się po belce i kiedy już znalazła się bezpiecznie nad stogiem siana, serce zaczęło mi normalnie bić. Tak działo się zawsze, jakkolwiek Kitty była zręczniejsza ode mnie… i silniejsza, co może zabrzmi trochę dziwnie, kiedy uwzględni się to, że tak sądził mały chłopiec o młodszej siostrze.

Stała na palcach, idealnie utrzymując równowagę, na nogach miała sandały, ramiona wyciągnęła przed siebie. I wtedy znurkowała…

jak łabędź. Mówię o rzeczach, których nie jestem w stanie zapomnieć, o rzeczach, których nie sposób opisać. Cóż, postaram się opisać… na swój sposób. Ale wy i tak nie zrozumiecie, jak było to cudowne, jak doskonałe; jedna z niewielu rzeczy w moim życiu całkowicie prawdziwych, całkowicie realnych. Nie, nie jestem w stanie tego opowiedzieć. Opisanie tego lub opowiedzenie przekracza moje możliwości.

Przez chwilę zdawało się, że Kitty zawisła w powietrzu, jakby płynęła na jednym z tych tajemniczych prądów, które panują wyłącznie tam, na trzecim piętrze stodoły. Jasna jaskółka ze złocistymi piórami, jakiej nigdy już później w Nebrasce nie było. To Kitty, moja siostra – ręce trzymała wyciągnięte wzdłuż ciała, plecy lekko wygięte; jakżeż ja ją wtedy kochałem!

Zanurkowała w stóg i straciłem ją z oczu. W górę wzbił się tuman kurzu i siana, a ze stogu dotarł dźwięczny chichot. Kiedy obserwowałem wspinającą się Kitty, zapomniałem, jak bardzo rozchwierutana była drabina, więc zanim ona wykaraskała się ze stogu, ja ponownie byłem w połowie drogi do góry.

Też próbowałem wykonać taki łabędzi lot, ale jak zwykle strach chwycił mnie w swoje szpony i w jednej chwili z łabędzia zmieniłem się

w armatnią kulę. Wydaje mi się, że nigdy nie wierzyłem tak mocno jak Kitty w to, że na dole jest siano.

Jak długo trwała ta zabawa? Trudno powiedzieć. Ale po jakichś dziesięciu czy dwunastu skokach spostrzegłem, że światło w stodole zmieniło się. Lada chwila mogli wrócić tata i mama, a my byliśmy cali w sianie… lepszego dowodu przestępstwa być nie mogło. Ustaliliśmy, że wykonamy jeszcze po jednym skoku.

Idąc pierwszy w kolejce, czułem, że drabina chwieje się pode mną, i słyszałem – bardzo cichutki – chrobot starych gwoździ ruszających się w drewnie. Wtedy po raz pierwszy ogarnął mnie prawdziwy strach. Myślę, że zszedłbym, gdybym nie dotarł już tak wysoko, i cała historia na tym by się skończyła. Ale belka pod sufitem była już tak blisko i dawała poczucie bezpieczeństwa. Trzy szczeble przed końcem skamlenie wychodzących gwoździ stało się głośniejsze, a mnie po plecach przeszedł lodowaty dreszcz. Nabrałem przekonania, że tym razem posunąłem się za daleko.

Ale już trzymałem ręce na szorstkiej, pełnej drzazg belce i odciążyłem drabinę. Poczułem, że jestem zlany potem; do czoła przylepiło mi się

kilka źdźbeł siana. W jednej chwili zniknął cały urok zabawy.

Szybko przebyłem belkę i kiedy stanąłem już nad stogiem, natychmiast i bez zastanowienia skoczyłem. Zniknęła nawet rozkosz tego momentu spadania. Lecąc w dół, wyobrażałem sobie, co by było, gdyby na moje spotkanie wybiegały nie pokłady miękkiego siana, ale twarde deski podłogi.

Kiedy już wygrzebałem się ze stogu i stanąłem pośrodku stodoły, Kitty wspinała się po drabinie.

– Hej, złaź, tam zrobiło się niebezpiecznie! – zawołałem.

– Utrzyma mnie – odparła pewna siebie. – Jestem od ciebie lżejsza.

– Kitty…

Nie dokończyłem, bo wtedy właśnie drabina puściła.

Rozpadła się z okropnym trzaskiem spróchniałego, pękającego na drzazgi drewna. Krzyknąłem, a w sekundę później wrzasnęła Kitty. Znajdowała się mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie mnie wydawało się, że posunąłem się za daleko.

Szczebel, na którym stała Kitty, wyleciał i obie strony drabiny rozszczepiły się. Przez chwilę drabina wyglądała jak niezgrabny owad –

wzniesiona na tylnych odnóżach modliszka albo mamucich rozmiarów pająk – który właśnie zamierza odczłapać.

Wtedy też połowa drewnianej konstrukcji runęła, uderzając w podłogę z grzmiącym stukotem. W powietrze wzniosły się tumany kurzu. Za ścianą zaczęły ryczeć krowy; któreś bydlę kopało w przegrodę obory jak oszalałe.

Kitty wydała wysoki, piskliwy wrzask.

– Larry! Larry! Na pomoc!

Wiedziałem, co muszę zrobić. Wiedziałem od pierwszej chwili. Przeraźliwie się bałem, ale strach nie odebrał mi rozsądku. Kitty znajdowała się osiemnaście metrów nad ziemią, kopała dziko w powietrzu nogami w niebieskich dżinsach, a nad nią piszczały jaskółki. Tak, byłem przerażony. I wiecie, do dzisiaj nie jestem w stanie oglądać popisów akrobatów w cyrku; nawet w telewizji. Natychmiast wywraca mi się żołądek.

Ale wiedziałem, co muszę zrobić!

– Kitty! – wrzasnąłem. – Wiś i nie ruszaj się! Nie ruszaj się!

Posłuchała mnie od razu. Przestała kopać powietrze i wisiała pionowo niczym akrobatka na trapezie, który nagle znieruchomiał. Zaciskała

dziecięce piąstki na ostatnim szczeblu drabiny, która ułamała się tuż pod nim.

Pobiegłem do stogu, chwyciłem ogromne naręcze siana, wróciłem na środek stodoły i rzuciłem je na ziemię. Wróciłem do stogu. I jeszcze raz. I jeszcze…

Naprawdę niewiele pamiętam z tamtych chwil z wyjątkiem tego, że dostało mi się do nosa jakieś źdźbło i zacząłem kichać. Nie mogłem przestać. Biegałem w tę i we w tę, składałem u podnóża drabiny coraz większą stertę siana. Ale była to maleńka sterta. Patrząc na nią, a następnie na wiszącą tak wysoko Kitty, pomyślelibyście od razu o filmach rysunkowych, na których różni goście skaczą z wysokości stu metrów do szklanki z wodą.

W tę i we w tę. W tę i we w tę…

– Larry, nie wytrzymam już dłużej! – pisnęła Kitty z rozpaczą.

– Kitty, musisz! Musisz wytrzymać jeszcze trochę!

W tę i we w tę.

Stos sięgał mi do pasa.

W tę i we w tę.

Siano dochodziło mi już do brody, ale my skakaliśmy w siedmiometrowej grubości warstwę. Pomyślałem, że jeśli moja siostra

połamie sobie tylko nogi, to i tak będzie miała wiele szczęścia. I wiedziałem też, że jeśli nie trafi w kopkę siana, którą usypałem, to w ogóle pożegna się z życiem.

W tę i we w tę.

– Larry! Szczebel! Odrywa się…!

Do moich uszu dobiegał zgrzytliwy jęk pękającego pod jej ciężarem drewna. Wpadła w panikę i znów zaczęła kopać nogami powietrze; jeśli nie przestanie się miotać, z całą pewnością nie trafi na siano.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie! Nie rób tego! Po prostu spokojnie puść szczebel! Kitty, puść szczebel!

Bo nie było już czasu na to, żebym przydźwigał więcej siana. Nie było czasu na nic. Pozostała tylko cicha nadzieja.

W tej samej chwili, kiedy wypowiedziałem te słowa, Kitty puściła szczebel. Spadła jak nóż. Wydawało mi się, że trwa to całe wieki. Złociste warkoczyki sterczały jej prosto w górę, miała zamknięte oczy, a twarz bladą jak porcelana. Nie krzyczała. Złożone dłonie trzymała przy ustach, jakby odmawiała pacierz.

Spadła w sam środek siana. Zniknęła mi z oczu – siano rozprysnęło się na wszystkie strony jak strzaskana muszla – i usłyszałem, jak

ciało Kitty z łoskotem uderza o deski. Dźwięk, donośne tąpnięcie, sprawił, że po plecach przeszły mi lodowate ciarki. Za głośno; o wiele za głośno. Ale musiałem sprawdzić.

Z płaczem rozgarniałem siano, odrzucając za siebie całe jego naręcza. Pojawiła się noga w niebieskich dżinsach, następnie koszula w kratę… a na końcu twarz mojej siostry. Policzki miała śmiertelnie blade. Zamknięte oczy. Nie żyje, pomyślałem, kiedy na nią popatrzyłem. Świat przed mymi oczyma poszarzał, cały listopad stał się szary. Jedyne, co miało jakikolwiek kolor, to jasnozłote warkoczyki Kitty; były jaskrawozłote.

A później, kiedy otworzyła oczy, ujrzałem ciemny błękit jej źrenic.

– Kitty? – odezwałem się ochrypłym, tępym, pełnym niedowierzania głosem. Gardło miałem pełne pyłu. – Kitty?

– Larry? – spytała zdumiona. – To ja żyję?

Chwyciłem ją w objęcia, a ona zarzuciła mi ręce na szyję.

– Żyjesz – powtarzałem jak w gorączce. – Żyjesz, żyjesz…

. . .

Złamała sobie nogę w kostce; to wszystko. Kiedy doktor Pederson, internista z Columbia City, ponownie wszedł ze mną i z moim ojcem do stodoły, długo spoglądał w górę, w mrok, tam, gdzie zwisał ukośnie, na jednym tylko gwoździu, ostatni szczebel drabiny.

Jak wspomniałem, patrzył tam bardzo długo.

– Cud – oświadczył memu ojcu i kopnął pogardliwie stertę siana, którą usypałem.

Później wsiadł do zakurzonego deSoto i odjechał.

Ojciec położył mi swoją ciężką dłoń na ramieniu.

– Pójdziemy teraz do drewutni, Larry – powiedział spokojnie. – Sądzę, że wiesz, po co.

– Tak – szepnąłem.

– I chcę, żebyś za każdym razem, kiedy cię uderzę, Larry, głośno dziękował Bogu za to, że twoja siostra żyje.

– Tak.

I poszliśmy.

Uderzył mnie bardzo wiele razy; tak wiele, że przez następny tydzień musiałem jadać na stojąco, a przez dalsze dwa kładłem na krześle poduszkę. Za każdym razem, kiedy spadała na mnie jego wielka, czerwona, stwardniała od pracy, karząca dłoń, dziękowałem Bogu.

Dziękowałem Mu głośno; bardzo głośno. Przy dwóch czy trzech ostatnich uderzeniach wrzeszczałem już tak głośno, że Bóg z całą pewnością mnie usłyszał.

. . .

Z Kitty pozwolono mi się zobaczyć tuż przed ciszą nocną. Pamiętam, że za oknem jej sali siedział drozd. Nogę miała zawiniętą i uniesioną na skośnej desce.

Patrzyła na mnie tak długo i z taką miłością, że poczułem się nieswojo.

– Siano. Naniosłeś siana – powiedziała w końcu.

– Jasne, że naniosłem – bąknąłem. – A co mogłem innego zrobić? Kiedy drabina się złamała, nie było sposobu, żeby się do ciebie dostać.

– Nie wiedziałam, co robisz – wyjaśniła.

– Jak to? Boże, przecież byłem dokładnie pod tobą!

– Bałam się patrzeć w dół – zwierzyła się cicho. – Za bardzo się bałam. Cały czas miałam zamknięte oczy.

Osłupiałem.

– Nie wiedziałaś? Nie wiedziałaś, co robię?

Potrząsnęła przecząco głową.

– A kiedy powiedziałem ci, żebyś się puściła… ty się po prostu puściłaś?

Skinęła potakująco głową.

– Kitty, jak mogłaś?

Popatrzyła na mnie swymi ciemnoniebieskimi oczyma.

– Wiedziałam, że coś na to poradzisz. Jesteś przecież moim starszym bratem. Wiedziałam, że mnie nie zostawisz.

– Och, Kitty, nie wiesz nawet, jak byłaś blisko…!

Zakryłem twarz dłońmi.

Usiadła, odsunęła mi je z twarzy i pocałowała mnie w policzek.

– Nie – oświadczyła. – Wiedziałam tylko, że ty tam jesteś. Jezu, ale chce mi się spać. Larry, zobaczymy się jutro. Włożą mnie w gips. Doktor Pederson tak powiedział.

W gipsie była prawie miesiąc i cała jej klasa podpisała się na nim… nawet ja musiałem złożyć podpis. Kiedy wreszcie zdjęto jej ten gips, cały epizod w stodole poszedł w niepamięć. Ojciec postawił nową, mocną drabinę, ale nigdy już nie wspiąłem się po niej do belki i nie skoczyłem w siano. Z tego, co wiem, Kitty również nie.

I to już koniec, choć w pewien sposób nie koniec. W pewien sposób skończyło się to dziewięć dni temu, kiedy Kitty wyskoczyła z ostatniego piętra mieszkalnego wieżowca należącego do firmy ubezpieczeniowej w Los Angeles. Mam w portfelu notatkę z „Timesa”. Myślę, że będę już nosił ją do końca życia; nie tak, jak nosi się fotografię osoby, którą człowiek chce pamiętać, jak bilet z teatru, w którym grana sztuka wywarła na człowieku ogromne wrażenie, czy program z piłkarskich mistrzostw świata. Nie, ja ten wycinek będę nosił jak ciężar, ponieważ noszenie go to mój obowiązek. Tytuł notatki brzmi: ŁABĘDZI LOT WYTWORNEJ PROSTYTUTKI KU ŚMIERCI.

. . .

Dorośliśmy. Wiem tylko to i wszystko inne nie ma znaczenia. Kitty poszła do szkoły handlowej w Omaha, ale latem, po jej ukończeniu, wygrała konkurs piękności i wyszła za jednego z członków jury. Czyż nie brzmi to jak obrzydliwy żart? Moja Kitty!

Kiedy studiowałem prawo, ona rozwiodła się i napisała do mnie długi list – dziesięć albo i więcej stron – w którym wszystko mi

wyjaśniała, wyjaśniała cały bałagan, jaki nastał w jej życiu. Zwierzyła mi się, że wszystko ułożyłoby się dużo prościej, gdyby mogła mieć dziecko. Pytała, czy mogę do niej przyjechać. Ale opuszczenie na tydzień wykładów na prawie to tyle, co strata całego semestru na jakimkolwiek wydziale humanistycznym. Tu ludzie są jak psy na wyścigach; raz straci się z zasięgu wzroku mechanicznego królika i koniec.

Przeniosła się do Los Angeles i ponownie wyszła za mąż. Kiedy i to małżeństwo rozpadło się, ja akurat skończyłem prawo. Otrzymałem kolejny list; dużo krótszy i bardziej gorzki. „Nigdy nie miałam zamiaru wsiadać na taką karuzelę – pisała. – To mordercza praca. Jedynym sposobem, żeby przerwać ten zaklęty krąg, jest spaść z konia i roztrzaskać sobie czaszkę. Ale skoro taka jest cena swobodnej galopady, któż tego chce? PS Czy mógłbyś do mnie przyjechać, Larry? Choćby na krótko…”.

Odpisałem. Zapewniłem, że strasznie chcę ją zobaczyć, ale nie mogę. Podjąłem pracę w firmie, gdzie panował okropny reżim – nic nieznaczący chłopak wśród starszyzny; żadnych względów, tylko praca. Jeśli chcę pokonać kolejny szczebel, muszę to uczynić jeszcze w tym roku. To był mój

długi list; i pisałem w nim wyłącznie o własnej karierze.

Odpowiadałem na wszystkie jej listy. Ale tak naprawdę nie wierzyłem, że pisała je moja Kitty; podobnie jak nie wierzyłem, że na dole było siano, które… przerwało mój lot i uratowało mi życie. Nie wierzyłem, że moja siostra i ta załamana kobieta, która podpisywała się na końcu listów „Kitty”, biorąc swe imię w kółeczko, to naprawdę te same osoby. Moja siostra miała warkoczyki i ciągle nie urosły jej piersi.

To ona przestała pisać. Dostawałem wprawdzie kartki na Boże Narodzenie i urodziny, ale odpisywała na nie moja żona. Potem rozwiedliśmy się, przeprowadziłem się i po prostu zapomniałem. W kolejne Boże Narodzenia i na urodziny kartki od Kitty przychodziły na stary adres. I ciągle myślałem: Jezu Chryste, muszę napisać do Kitty i poinformować ją, że mieszkam gdzie indziej. Nie zrobiłem tego.

. . .

Ale jak już wspomniałem, to akurat nie ma znaczenia. Znaczenie ma jedynie fakt, że wyrośliśmy, a ona wyskoczyła z wieżowca

należącego do firmy ubezpieczeniowej, i że tylko Kitty wierzyła w to, że na dole będzie siano. Tylko Kitty powiedziała: „Wiedziałam, że coś na to poradzisz”. I to się liczy. To, i list Kitty.

Teraz ludzie bardzo często się przeprowadzają i zabawne, ale te poprzekreślane na kopertach stare adresy i nalepki z nowymi są jak akty oskarżenia. Adres zwrotny napisała w górnym lewym rogu koperty; adres, pod którym mieszkała do chwili, kiedy wyskoczyła z okna. Bardzo miły budynek mieszkalny na Van Nuys. Byłem tam z tatą, żeby zabrać rzeczy. Gospodyni domu okazała się niesłychanie sympatyczną niewiastą. Bardzo lubiła Kitty.

Ze stempla na znaczku pocztowym dowiedziałem się, że list został wysłany na dwa tygodnie przed śmiercią. Gdybym nie zmienił adresu, miałbym dużo czasu. Zmęczyło ją czekanie.

Drogi Larry!

Ostatnio dużo o tym myślałam… i doszłam do wniosku, że byłoby o wiele lepiej, gdyby ten ostatni szczebel w drabinie złamał się, zanim ty podłożyłeś siano.

Twoja Kitty

Tak, podejrzewam, że zmęczyło ją czekanie. Tak, wierzę mocno w to, że tak właśnie było, a nie w to, że Kitty doszła do wniosku, iż o niej zapomniałem. Nie chciałbym, żeby tak uważała, bo to jedno zdanie wystarczyłoby zapewne, bym rzucił wszystko i przyjechał.

Ale nie tylko z tego powodu nie potrafię teraz spokojnie usnąć. Kiedy zamykam oczy i odpływam w sen, widzę, jak Kitty skacze z trzeciego piętra stodoły. Ciemnoniebieskie oczy ma otwarte, ciało wygięte we wdzięczny łuk, a ręce wyciągnięte za siebie.

Tylko ona wierzyła, że na dole jest siano.

CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ KWIATY

Wczesnym majowym wieczorem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku posuwał się żwawo z rękami w kieszeniach po nowojorskiej Trzeciej Alei młody mężczyzna. Powietrze było łagodne i rześkie, niebo powoli ciemniało, przechodząc od błękitu do spokojnego, stonowanego fioletu zmierzchu. Istnieją osoby, które uwielbiają miasto, a w takie czarowne wieczory można miasto pokochać jeszcze bardziej. Mijający się w progu delikatesów, automatycznych pralni chemicznych czy restauracji ludzie uśmiechali się do siebie serdecznie. Stara kobieta pchająca zdezelowany wózek dziecięcy, na który załadowała dwie torby z zakupami, uśmiechnęła się do młodego mężczyzny.

– Hej, śliczny!

Młody człowiek oddał jej uśmiech i skinął ręką.

Minęła go myśląc: Zakochany.

Rzeczywiście sprawiał takie wrażenie. Miał na sobie jasnoszary garnitur, wąski krawat z poluźnionym odrobinę węzłem, a guzik od koszuli pod szyją rozpięty. Jego włosy były ciemne i krótko obcięte, cera jasna, a oczy błękitne. Twarz niczym szczególnym się nie wyróżniała, ale w tak cudny, wiosenny wieczór, w tej alei, w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku był naprawdę śliczny, i stara kobieta z lekką nostalgią pomyślała sobie, że na wiosnę każdy może być śliczny… zwłaszcza jeśli śpieszy na kolację z kimś ze swoich snów, a później, zapewne, na tańce. Wiosna jest jedyną porą roku, kiedy nostalgia nie bywa zaprawiona goryczą, więc kobieta szła dalej bardzo z siebie rada, że odezwała się do młodzieńca, i jeszcze bardziej rada z tego, że on podziękował jej za komplement delikatnym skinieniem ręki.

Młodzieniec przeciął Sześćdziesiątą Trzecią Ulicę. Szedł lekkim, prawie tanecznym krokiem, na ustach igrał mu uśmiech. W połowie drogi do kolejnej przecznicy ujrzał staruszka, a obok niego załadowany kwiatami ręczny wózek,

z którego łuszczyła się zielona farba; przeważały żółte – feeria żonkili i późnych krokusów. Były tam też goździki i cieplarniane róże. Staruszek jadł obwarzanek i słuchał masywnego radia tranzystorowego, które stało na skraju wózka.

Z głośnika płynęły same złe wiadomości; morderca, który zabijał swoje ofiary młotkiem, ciągle jeszcze przebywał na wolności; John Fitzgerald Kennedy oświadczył, że rozwój wypadków w małym azjatyckim kraju zwanym Wietnamem (spiker wymawiał „Wietenam") władze Stanów Zjednoczonych śledzą z najwyższą uwagą i niepokojem; z East River wyłowiono zwłoki niezidentyfikowanej kobiety; w sprawie toczonej obecnie przez zarząd miasta wojnie z handlarzami heroiny sąd i ława przysięgłych nie wydały wyroku; Rosjanie dokonali kolejnej próby nuklearnej. Każda z tych wiadomości wydawała się nierealna, wydawała się bez znaczenia. Powietrze było delikatne i wonne. Dwaj mężczyźni z brzuchami piwoszy stali przed sklepem z pieczywem i wymieniając kuksańce, grali w gazdę. Wiosna przechylała się już w stronę lata, a lato w mieście to pora marzeń.

Młodzieniec minął stragan z kwiatami i głos przekazujący złe wiadomości stopniowo cichł.

Niebawem jednak młody człowiek zawahał się, obejrzał przez ramię, chwilę się zastanawiał, po czym sięgnął do kieszeni i dotknął czegoś, co w niej trzymał. Przez moment wyglądał na kogoś zdziwionego, smutnego, wręcz opętanego, ale kiedy tylko wyciągnął rękę z kieszeni, jego twarz znów stała się pełna wielkiej pogody i niecierpliwego oczekiwania.

Z uśmiechem zawrócił do straganu. Podaruje jej kwiaty. Powinna się ucieszyć. Lubił patrzeć, jak jej oczy lśnią z zaskoczenia i radości, kiedy jej coś przynosił – drobny prezencik, ponieważ daleko było mu do zamożności. Pudełko czekoladek. Bransoletkę. Raz podarował tylko torbę pomarańcz Valencia, ponieważ wiedział, że ten gatunek Norma lubi najbardziej.

– Mój młody przyjacielu – odezwał się sprzedawca kwiatów, kiedy mężczyzna w szarym garniturze i płaszczu zatrzymał się przy straganie i z uwagą zaczął oglądać wystawiony na wózku towar.

Sprzedawca miał co najmniej sześćdziesiąt osiem lat, ubrany był w tkany maszynowo, zniszczony sweter, a na głowie, mimo że wieczór był bardzo ciepły, nosił małą czapeczkę. Jego twarz stanowiła mapę zmarszczek, oczy były głęboko osadzone, a między palcami drżał mu

papieros. Ale doskonale pamiętał, co to znaczy być młodym na wiosnę – młodym i tak zakochanym, że trudno sobie znaleźć miejsce. Zazwyczaj twarz sprzedawcy przybierała surowy wyraz, ale teraz rozjaśniał ją pogodny uśmiech, taki sam jak twarz starszej kobiety z zakupami; chłopiec stanowił przypadek ewidentny. Sprzedawca strząsnął z wypchanego na brzuchu swetra okruchy obwarzanka i pomyślał: Gdyby temu dzieciakowi nagle coś się przytrafiło, każdy z najwyższą ochotą ruszyłby mu na pomoc.

– Po ile ma pan kwiaty? – zapytał młody człowiek.

– Za dolara przygotuję przepiękny bukiet. To są róże z cieplarni. Kosztują trochę drożej, siedemdziesiąt centów za sztukę, ale jeśli kupi pan pół tuzina, sprzedam je za trzy i pół dolara.

– Trochę drogo.

– Nic, co dobre, nie jest tanie, mój młody przyjacielu. Matka nie nauczyła pana tej prawdy?

Młodzieniec roześmiał się.

– Chyba coś o tym wspominała.

– Jasne. Musiała wspominać. Dam panu sześć: dwie czerwone, dwie żółte i dwie białe. Czy może być coś piękniejszego? Przybiorę trochę

gipsówką. One to uwielbiają. I dodam kilka liści paproci. Ale może woli pan bukiet za dolara?

– One? – zapytał młody człowiek, ciągle się uśmiechając.

– Mój młody przyjacielu – odparł sprzedawca, wrzucając do rynsztoka niedopałek papierosa; uśmiechnął się. – W maju nikt nie kupuje kwiatów dla siebie. To jest zgoła prawo narodowe. Rozumie pan, co mam na myśli?

Młodzieniec pomyślał o Normie, o jej radosnych, pełnych zdumienia oczach, o łagodnym uśmiechu i pochylił lekko głowę.

– Chyba tak.

– Jasne. Więc na co się pan decyduje?

– A jak pan myśli?

– Powiem panu, co myślę. Ej, porada jest za darmo, prawda?

– Myślę, że to jedyna rzecz na świecie, którą jeszcze można mieć za darmo – odparł młodzian ze smętnym uśmiechem.

– Ma pan bezsporną rację – odrzekł kwiaciarz. – W porządku, młody przyjacielu. Jeśli kupuje pan kwiaty dla matki, proponuję kilka żonkili, kilka krokusów, trochę konwalii. Wtedy nie zepsuje panu humoru słowami: „Och, synku, one są cudowne, ale musiały dużo kosztować. Och, na

pewno dużo kosztowały, a przecież wiesz, że nie powinieneś trwonić pieniędzy”.

Młody mężczyzna zadarł głowę i roześmiał się, a sprzedawca mówił dalej:

– Ale jeśli kupuje pan kwiaty dziewczynie, to już zupełnie inna sprawa, synu. I dobrze o tym wiesz. Jeśli nawet dostanie róże, nie zamieni się w księgową; ma pan na to moje najuroczystsze słowo honoru. Może nawet zarzuci panu ręce na szyję…

– Wybieram róże – oświadczył młodzieniec i teraz z kolei sprzedawca wybuchnął gromkim śmiechem.

Grający w gazdę mężczyźni popatrzyli z rozbawieniem w ich stronę.

– Kawalerze! – zawołał jeden z nich. – Może chcesz tanio kupić obrączkę? Mogę sprzedać swoją… mnie już niepotrzebna.

Młody człowiek uśmiechnął się krzywo i oblał pąsem po koniuszki włosów.

Kwiaciarz wybrał sześć róż, przyciął odrobinę łodyżki, spryskał kwiaty wodą i wsunął w dużą stożkowatą torebkę z celofanu.

– „Dzisiaj pogoda zapowiada się na taką, o jakiej śnicie – dobiegło z radia. – Będzie ciepło, przewidywana temperatura o północy około trzydziestu stopni. Jeśli ktoś ma duszę

romantyka, to wymarzona noc do patrzenia z dachu na gwiazdy… Dobrej zabawy, wielki Nowy Jorku, dobrej zabawy!”

Kwiaciarz zakleił torbę kawałkiem taśmy samoprzylepnej i poradził młodemu człowiekowi, żeby jego dama wsypała do wody odrobinę cukru, dzięki czemu kwiaty dłużej postoją.

– Przekażę jej pańskie słowa – obiecał młody człowiek i wyciągnął z kieszeni pięciodolarowy banknot. – Dziękuję.

– Wykonuję po prostu swoją pracę, mój młody przyjacielu – odparł sprzedawca, wydając mu dolara i dwie dwudziestopięciocentówki. Uśmiechnął się trochę smutno. – Niech pan da jej ode mnie całusa.

W radiu zespół The Four Seasons zaczął śpiewać swój aktualny przebój *Sherry*. Młodzieniec schował drobne do kieszeni i ruszył ulicą. Oczy miał wielkie, czujne i ożywione pragnieniem, ale niewiele dostrzegał z pulsującej bujnym życiem Trzeciej Alei. A działo się wokół niego wiele: matka ciągnęła dziecko siedzące w samochodzie-zabawce (malec miał komicznie usmarowaną lodami buzię), mała dziewczynka skakała na skakance i wyliczała: „Ene–due–rike–fake–torba–borba–ósme–smake–eus–deus–

kosmateus–i–morele–baks”. Przed pralnią stały kobiety, paliły papierosy i porównywały swoje ciąże. Przy wystawie sklepu ze sprzętem radiowym grupka mężczyzn patrzyła w ogromny kolorowy telewizor z metką, na której widniała czterocyfrowa cena. Nadawano akurat transmisję z meczu baseballowego, a twarze graczy były zielone. Boisko miało barwę nie do końca dojrzałej truskawki, ale Metsi z Nowego Jorku tuż przed końcem rozgrywki prowadzili wysoko z Philliesami.

Młodzieniec szedł przed siebie, ściskał w dłoni kwiaty, nieświadom tego, że dwie kobiety przed pralnią, kiedy je mijał, przerwały na chwilę rozmowę i spoglądały na niego tęsknym wzrokiem; dni, kiedy one dostawały kwiaty, minęły już dawno i bezpowrotnie. Nie zauważył, że młody policjant na skrzyżowaniu Trzeciej Alei z Sześćdziesiątą Dziewiątą Ulicą gwizdkiem zatrzymał ruch, żeby on mógł przejść bezpiecznie przez jezdnię. Policjant sam był zakochany i podobnie maślane oczy widywał we własnym lusterku podczas golenia. Młody człowiek nie spostrzegł, że dwie nastolatki, które nadchodziły z przeciwka, minąwszy go, objęły się mocno ramionami i zachichotały.

Na rogu Siedemdziesiątej Trzeciej przystanął, po czym skręcił w prawo. Ta ulica była trochę bardziej zaciemniona i ciągnęły się wzdłuż niej domy o fasadach z piaskowca; na parterach mieściły się restauracje o włoskich nazwach. Trzy przecznice dalej w zapadającym zmroku grano w uliczny baseball. Młody człowiek nie poszedł aż tak daleko; w połowie przecznicy skręcił w wąski zaułek.

Na niebie pokazały się pierwsze lśniące lekko gwiazdy, ale zaułek był mroczny; w ciemnościach majaczyły pojemniki na śmieci. Teraz już młody mężczyzna był sam… nie, niezupełnie. Z mroku dobiegł przeraźliwy wrzask i młodzieniec zmarszczył brwi. Była to pieśń miłosna kocura i nie było w niej nic pięknego.

Młodzian zwolnił kroku. Popatrzył na zegarek. Kwadrans po ósmej i Norma powinna już po prostu…

Wtedy ją dostrzegł. Wychodziła z podwórka. Miała na sobie ciemnoniebieskie rozszerzane spodnie i bluzkę z marynarskim kołnierzem. Na ten widok ścisnęło mu się serce. Za każdym razem, gdy rzucał na nią pierwsze spojrzenie, dziwił się niebywale; zawsze stanowiło to pełen słodyczy wstrząs – wyglądała tak młodo.

Uśmiechnął się – promieniał wręcz uśmiechem – i przyśpieszył kroku.

– Norma – powiedział.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się… lecz kiedy się do siebie zbliżyli, jej twarz spoważniała.

Jego uśmiech też jakby lekko przygasł i młodzieńca ogarnął na chwilę niepokój. Twarz nad marynarskim kołnierzem nagle rozmazała się. Było coraz ciemniej… czyżby się pomylił? Z całą pewnością nie. To była Norma.

– Przyniosłem ci kwiaty – powiedział ogarnięty radosnym zapałem i wręczył jej bukiet w celofanie.

Spoglądała chwilę na kwiaty, uśmiechnęła się i… oddała mu je z powrotem.

– Dziękuję, ale pan najwyraźniej się pomylił. Nazywam się…

– Norma – szepnął i z kieszeni wyciągnął młotek na krótkim trzonku. – One są dla ciebie, Normo… zawsze były dla ciebie… wszystkie są dla ciebie.

Cofnęła się o krok, jej twarz była już tylko niewyraźną białą plamą, usta ogromnym czarnym O przerażenia i wcale to nie była Norma, Norma nie żyła, nie żyła od dziesięciu lat. Ale to już nie było istotne, ponieważ zamierzała krzyczeć. Machnął młotkiem, żeby powstrzymać

ten krzyk, zabić ten krzyk, i kiedy machnął młotkiem, bukiet upadł na ziemię, opakowanie pękło, a czerwone, białe oraz żółte róże rozsypały się obok pogiętych pojemników na śmieci, gdzie w mroku koty uprawiały swą obcą miłość, wrzeszcząc w miłosnym upojeniu, wrzeszcząc, wrzeszcząc.

Machnął młotkiem i już nie krzyczała, ale mogła krzyczeć, bo nie była przecież Normą, żadna z nich nie była Normą. Więc machał młotkiem, machał młotkiem, machał młotkiem. Nie była Normą, więc machał młotkiem tak, jak już robił to pięć razy.

W jakiś bliżej nieokreślony czas później wsunął go do wewnętrznej kieszeni i odsunął się od rozciągniętego na bruku ciemnego cienia, odszedł od wonnych róż rozsypanych obok pojemników ze śmieciami. Odwrócił się i opuścił wąski zaułek. Teraz było już zupełnie ciemno. Gracze w baseball dawno rozeszli się do domów. Jeśli nawet na jego garniturze widniały plamy krwi, nie było ich widać w mroku późnowiosennego wieczoru. A ona wcale nie nazywała się Norma. Ale on dobrze wiedział, jak on sam się nazywa. Nazywał się… nazywał…

Miłość.

Nazywał się miłość i spacerował ciemnymi ulicami, ponieważ Norma na niego czekała. I znajdzie ją. Już niebawem.

Zaczął się uśmiechać. Znów wędrował lekkim, tanecznym krokiem po Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Na schodkach przed domem siedziało małżeństwo. Obserwowało go: zadarta głowa, oczy wpatrzone w dal, lekki uśmiech na ustach. Kiedy ich minął, kobieta powiedziała:

– Jak to się dzieje, że ty już tak nie wyglądasz?

– Czego?

– Nic, nic – odparła, nie spuszczając wzroku z młodego człowieka w szarym garniturze, który znikał w ciemności nadchodzącej nocy, i myślała, że jeśli istnieje coś piękniejszego niż wiosna, musi to być młodzieńcza miłość.

KTOŚ NA DRODZE

Kwadrans po dwudziestej drugiej Herb Tooklander zamierzał już zamykać na noc, kiedy do Tookey's Bar, który znajdował się w północnej części Falmouth, wpadł mężczyzna w eleganckim palcie. Miał zupełnie białą twarz i wytrzeszczone oczy. Był dziesiąty stycznia, czas, kiedy generalnie ludzie pogodzili się już z myślą, że złamali wszystkie swoje noworoczne postanowienia, a naokoło szalała burza śnieżna. Do wieczora napadało piętnaście centymetrów, a później śnieżyca przybrała jeszcze na sile. Dwukrotnie widzieliśmy Billy'ego Larribee w wysokiej kabinie pługa śnieżnego, który przejeżdżał przed oknami baru. Za drugim razem Tookey wyniósł Billy'emu piwo na koszt firmy – moja matka, która Bóg jeden wie, ile w swoim czasie wydoiła piwa u Tookeya, nazwałaby to lekkomyślną dobroczynnością. Billy oświadczył, że odśnieżają tylko główną

ulicę, wszystkie boczne muszą poczekać do rana. Radio w Portlandzie zapowiedziało dalszych trzydzieści centymetrów śniegu, a wiejący z szybkością dochodzącą do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wiatr potworzył ogromne zaspy.

W barze był już tylko Tookey i ja. Słuchaliśmy zawodzącej w okapach budynku wichury i patrzyliśmy na tańczące płomienie w palenisku kominka.

– Wypij jeszcze jednego na drogę, Booth, bo zamykam już tę budę – odezwał się Tookey.

Nalał sobie i mnie, lecz wtedy z trzaskiem otworzyły się drzwi, a do środka wkroczył chwiejnie nieznajomy. Na ramionach i we włosach miał śnieg; jakby go ktoś posypał cukrem pudrem. Za nim wpadł do baru tuman śnieżnych drobin.

– Panie, zamykaj pan drzwi! – ryknął Tookey. – W stodole pan mieszkasz?

Nigdy nie widziałem tak wystraszonego człowieka. Przypominał konia, który przez całe popołudnie żarł pokrzywy. Wywrócił oczyma i powiedział:

– Moja żona… moja córka… – po czym zwalił się nieprzytomny na podłogę.

– Święty Józefie! – wykrzyknął Tookey. – Booth, możesz zamknąć drzwi?

Podbiegłem do wejścia i zatrzasnąłem je, pokonując napór wiatru. Tookey przyklęknął na jedno kolano, uniósł głowę gościa i lekko klepał go po policzkach. Podszedłem do nich i natychmiast zorientowałem się, że sytuacja jest poważna. Twarz faceta była ogniście czerwona, ale tu i ówdzie widać już było białe placki. Jeśli ktoś przeżył wszystkie zimy w Maine od czasów prezydentury Woodrowa Wilsona, tak jak ja, doskonale wie, że takie białe cętki oznaczają odmrożenia.

– Nieprzytomny – stwierdził Tookey. – Przynieś zza baru brandy.

Przyniosłem. Tookey rozpiął palto jegomościa, który jakby ciut-ciut dochodził do siebie. Oczy miał wpółotwarte i mamrotał coś, ale zbyt niewyraźnie, żeby cokolwiek zrozumieć.

– Wlej do nakrętki – polecił Tookey.

– Do nakrętki?

– Ta brandy to dynamit – wyjaśnił Tookey. – Chyba nie chcesz, żeby wykorkował?

Nalałem wódkę i spojrzałem na Tookeya. Skinął głową.

– Prosto do gęby – polecił.

Zrobiłem, co kazał. Był to widok jedyny w swoim rodzaju. Mężczyzna zaczął dygotać jak w febrze i rozkaszlał się. Jego twarz jeszcze bardziej spurpurowiała, a przymknięte powieki rozwarły się niczym żaluzje w oknach. Efekt był troszeczkę zatrważający, ale Tookey posadził gościa jak przerośniętego niemowlaka i grzmotnął go pięścią w plecy.

Chłopu zaczęło się odbijać, jakby lada chwila miał zamiar zwymiotować, więc Tookey wymierzył mu policzek.

– Trzymaj – powiedział. – Brandy dobrze ci zrobi.

Nieznajomy trochę jeszcze pokaszlał, ale powoli dochodził do siebie. Wtedy pierwszy raz dokładniej mu się przyjrzałem. Facio z miasta, podejrzewałem, że skądsiś na południe od Bostonu; tak mi się w każdym razie wydawało. Miał rękawiczki z koźlej skóry, drogie, ale cienkie. Zapewne na dłoniach również porobiły mu się sinobiałe placki i będzie mógł mówić o dużym szczęściu, jeśli nie straci palca albo dwóch. Palto było eleganckie, pewnie sam materiał kosztował ze trzysta dolarów. Na nogach miał cienkie buty sięgające niewiele nad kostkę, więc zacząłem się obawiać też o jego stopy.

– Lepiej – powiedział.

– W porządku – mruknął Tookey. – Może usiądzie pan przy ogniu?

– Moja żona i córka – powiedział jegomość. – One są tam… w burzy.

– Sądząc po sposobie, w jaki pan tutaj wtargnął, ani przez chwilę nie sądziłem, że siedzą w domu i oglądają telewizję – odparł Tookey. – Przy ogniu może nam pan wszystko opowiedzieć równie dobrze jak tutaj, na podłodze. Booth, bierz go pod ramię.

Podniósł się o własnych siłach, ale z ust wydarł mu się cichy jęk, a twarz wykrzywił grymas bólu. Znów pomyślałem o palcach u jego stóp i przez chwilę dumałem nad tym, co kierowało dobrym Panem Bogiem, że stworzył głupków z Nowego Jorku, którzy próbują podróżować po północnym Maine w porze największych zawiei. Zastanawiałem się również, czy żona i córka faceta są choć trochę cieplej ubrane.

Zaciągnęliśmy go przed kominek i posadziliśmy w bujanym fotelu, ukochanym sprzęcie pani Tookey, która zmarła w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym. To właściwie pani Tookey stworzyła to miejsce, które opisano w „Down East” i w „Sunday

Telegram”, a nawet w niedzielnym dodatku do bostońskiego „Globe”. Była to raczej gospoda niż zwykły bar. Składała się z rozległej sali wyłożonej deskami z barem wykonanym z klonowego drewna, z wspartym na krokwiach, jak w starej stodole, sufitem i olbrzymim kominkiem wymurowanym z polnych kamieni. Po tym, jak ukazał się artykuł w „Down East”, pani Tookey przychodziły do głowy różne pomysły. Chciała na przykład zmienić nazwę na Tookey’s Inn lub Tookey’s Rest i choć przyznaję, że brzmiało to dostojnie i po staroświecku, kojarzyło się z czasami kolonialnymi, ale jednak wolałem prostą nazwę Tookey’s Bar. Co innego lato, kiedy nasz stan odwiedzają tabuny turystów, a co innego zima, kiedy handluje się wyłącznie z sąsiadami. Zimą jest wiele wieczorów takich jak ten, kiedy w barze tylko Tookey i ja popijamy whisky z wodą albo po prostu piwo. Moja Victoria zeszła z tego świata w siedemdziesiątym trzecim, a lokal Tookeya stanowił jedyne miejsce, gdzie było wystarczająco gwarno, żeby zagłuszyć monotonne tykanie zegara odmierzającego czas trwania ludzkiego życia – nawet wtedy, kiedy w barze przebywałem wyłącznie z Tookeyem. Z całą pewnością wszystko uległoby radykalnej

zmianie, gdyby lokal nosił nazwę Tookey's Rest[16]. Może to i szalone, ale prawdziwe.

Posadziliśmy gościa przed ogniem. Dostał niesamowitych dreszczy. Objął ramionami kolana, przycisnął je do piersi, zęby mu dzwoniły i kapało z nosa. Podejrzewam, iż dopiero teraz uświadomił sobie, że jeszcze kwadrans i byłby martwy. To nie śnieg go wykończył, ale szalony, lodowaty wiatr. Wychłodził go niemal na śmierć.

– Gdzie pan zostawił samochód? – zapytał Tookey.

– D-dziesięć kilometrów s-stąd – odparł.

Wymieniliśmy z Tookeyem spojrzenia i nagle ogarnął mnie chłód. Przeraźliwy chłód.

– Jest pan tego pewien? – zapytał Tookey. – Brnął pan przez śniegi dziesięć kilometrów?

Skinął głową.

– Kiedy przejeżdżaliśmy przez m-miasto, sprawdziłem licznik. Jechałem w kierunku… zamierzaliśmy odwiedzić s-ss-siostrę mojej żony… w Cumberland… nigdy tam nie byłem… jesteśmy z New Jersey…

New Jersey. Jeśli istnieje ktoś głupszy od nowojorczyka, to tylko mieszkaniec New Jersey.

– Dziesięć kilometrów, jest pan pewien? – dopytywał się Tookey.

– Absolutnie. Znaleźliśmy skręt z drogi głównej, ale był kompletnie zasypany… był…

Tookey chwycił go za ramię. W migotliwym blasku ognia twarz właściciela baru była trupio blada. Tookey wcale nie wyglądał na swoje sześćdziesiąt sześć lat, ale o dziesięć starzej.

– Skręciliście w prawo?

– Tak, w prawo. Moja żona…

– Czy widział pan znak?

– Znak? – Popatrzył tępo na Tookeya i otarł dłonią nos. – Naturalnie, że widziałem. Miałem to zresztą zapisane w instrukcji. W Doli Jeruzalem jechać Jointner Avenue, a na rozjeździe skierować się na drogę 295. – Przeniósł wzrok z Tookeya na mnie i znów popatrzył na Tookeya. W okapie domu gwizdał i zawodził wiatr. – To niedobrze, proszę pana?

– Dola – powiedział Tookey tak cicho, że prawie nie dało się tego usłyszeć. – Och, mój Boże!

– Coś nie tak? – zapytał mężczyzna, podnosząc nieco głos. – Źle, że tamtędy pojechałem? Chodzi mi o to, że droga wprawdzie była zasypana śniegiem, ale pomyślałem sobie… skoro jest tam miasto, więc z pewnością wyjadą pługi i… i wtedy ja…

Wtulił głowę w ramiona.

– Booth – powiedział do mnie cicho Tookey. – Idź do telefonu. Zadzwoń do szeryfa.

– Jasne – wtrącił ten dureń z New Jersey. – O to właśnie chodzi. A tak swoją drogą, ludzie, co się z wami dzieje? Zachowujecie się tak, jakbyście zobaczyli ducha.

– W Doli nie ma duchów, proszę pana. Czy powiedział pan swoim, żeby siedzieli w samochodzie?

– No pewnie – odparł zgnębionym głosem. – Nie jestem wariatem.

Cóż, według mnie jesteś, pomyślałem.

– Jak się pan nazywa? – zapytałem. – Muszę coś szeryfowi powiedzieć.

– Lumley. Gerard Lumley.

Zaczął coś tłumaczyć Tookeyowi, a ja poszedłem dzwonić. Podniosłem słuchawkę. Panowała w niej głucha cisza. Kilkakrotnie nacisnąłem widełki. Bez skutku.

Wróciłem do kominka. Tookey ponownie wlewał w faceta kapkę brandy. Tym razem przeszła mu przez gardło bardziej gładko.

– Nie ma go w biurze?

– Nie, telefon jest głuchy.

– Cholera jasna – zaklął Tookey i popatrzyliśmy na siebie.

Za oknami hulała wichura, bijąc w szyby tumanami śniegu.

Lumley spojrzał na Tookeya, później na mnie i znów na Tookeya.

– No cóż, może któryś z panów ma samochód? – zapytał głosem, w którym znów dawało się wyczuć niepokój. – Żeby działało ogrzewanie, musi chodzić silnik. Miałem tylko jedną czwartą baku benzyny, a dotarcie tutaj zajęło mi półtorej godziny… No, odpowiedzcie mi.

Wstał z fotela i chwycił Tookeya za koszulę.

– Niech pan trzyma łapska przy sobie – warknął Tookey.

Lumley popatrzył na swoją rękę i opuścił ją.

– Maine – wysyczał. Powiedział to takim tonem, jakby wypowiadał ordynarne słowo odnoszące się do czyjejś matki. – W porządku. Gdzie jest najbliższa stacja benzynowa? Muszą mieć tam jakiś pojazd do holowania…

– Najbliższa stacja jest w Falmouth Center – odparłem. – Jakieś pięć kilometrów stąd.

– Dzięki – odparł z sarkazmem i zapinając palto, ruszył w stronę drzwi.

– Ale jest nieczynna – dodałem.

Powoli odwrócił się i popatrzył na nas.

– O czym ten staruch gada?

– Próbuje ci, idioto, wytłumaczyć, że to stacja Billy'ego Larribee, a Billy jeździ teraz pługiem śnieżnym – wyjaśnił spokojnie Tookey. – Zatem wracaj pan do ognia i siadaj na dupie, zanim rozpuknie się pan ze złości.

Zawrócił w naszą stronę. Sprawiał wrażenie oszołomionego i wystraszonego.

– Próbujecie mi wmówić, że nie możecie… że nic nie da się…

– Nie próbujemy nic wmawiać – odparł Tookey. – To pan dostał słowotoku, ale jeśli na chwilę zamknie pan buzię, spróbujemy się nad wszystkim zastanowić.

– Co to za miasteczko ta Dola Jeruzalem? – zapytał. – Dlaczego droga była zasypana? Dlaczego nie widziałem żadnych świateł?

– Dola Jeruzalem spaliła się dwa lata temu – odrzekłem.

– I nie odbudowano jej?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Na to wygląda – powiedziałem i spojrzałem na Tookeya. – I co my z tym fantem zrobimy?

– Nie możemy ich tak zostawić – odparł.

Podszedłem do niego bardzo blisko, a Lumley zaczął wyglądać przez okno w szalejącą w nocnym mroku śnieżycę.

– A jeśli już zostały przejęte? – zapytałem.

– To możliwe. Ale tego nie wiemy na pewno. Na półce mam Biblię. Ciągle nosisz jeszcze ten medalik poświęcony przez papieża?

Wyciągnąłem spod koszuli krzyżyk. Należałem wprawdzie do Kościoła kongregacjonistów, ale większość ludzi mieszkających w pobliżu Doli nosiła coś na piersiach – krzyżyki, medaliki ze świętym Krzysztofem, różańce – cokolwiek. A wszystko dlatego, że w ciągu mrocznego października przed dwoma laty Dola Jeruzalem popsuła się. Czasami do późna w nocy kilku starych bywalców lokalu Tookeya skupiało się przy kominku i prowadziło długie rozmowy. Zastanawiali się, co mogło być prawdą, a co zwykłym wymysłem. W Jeruzalem zaczęli znikać ludzie. Najpierw kilku, później jeszcze kilku, a później zaginęła ich już cała masa. Zamknięto szkoły. Przez większość roku miasto stało puste. Och, naturalnie, sprowadziło się tam kilka osób – przeważnie jacyś głupcy z innych stanów, tacy jak ten nasz egzemplarz. Podejrzewam, że zmamiła ich niska cena posiadłości. Ale żaden z nich długo tam miejsca nie zagrzał. Większość wyniosła się już po miesiącu lub dwóch. A inni… cóż, inni zniknęli. Później miasteczko spłonęło do szczętu. Stało się to pod koniec wyjątkowo suchej

jesieni. Podejrzewano, że zaczęło się palić w domu Marstena, który stał na górującym nad Jointner Avenue wzgórzu, ale nikt nie wie, skąd się ten ogień wziął. Miasteczko gorzało przez trzy dni. Później wszystko się uspokoiło. Lecz niebawem rozpoczęło się od nowa.

Tylko raz byłem świadkiem tego, jak padło słowo „wampiry". Tego wieczoru zwariowany kierowca z papierni, Richie Messina, mieszkający przy drodze do Freeport, tęgo sobie popił w barze Tookeya.

„Jezu Chryste! – ryknął wysoki jak tyczka, ubrany w wełniane spodnie, koszulę w szkocką kratę i skórzane buty Richie. – Do cholery, boicie się wypowiedzieć w końcu to słowo? Wampiry! O tym wszyscy myślicie, prawda? Zmartwychwstały Chryste w przyczepie motocyklowej! Jak banda wystraszonych filmem dzieciaków! Wiecie, co się dzieje w Doli Jeruzalem? Chcecie, żebym wam powiedział? Chcecie, żebym powiedział?"

„Gadaj, Richie" – odparł Tookey. W barze zapadła cisza jak makiem zasiał. Słychać było tylko trzask głowni w kominku i cichy szum listopadowego deszczu za oknem. „Masz głos".

„Zachowujecie się jak sfora zdziczałych, wystraszonych, psów – oświadczył Richie

Messina. – Właśnie tak. Wierzycie starym babom, które kochają opowiadać o duchach. Cóż, za osiemdziesiąt baksów gotów jestem spędzić noc w tym, co zostało po tym nawiedzonym domu, którego tak się obawiacie. I co wy na to? Czy ktoś przyjmuje zakład?”

Nikt nie podjął wyzwania. Richie był zawsze mocny w gębie, a teraz dodatkowo solidnie pijany i nikt nie wylewałby łez nad jego zwłokami, ale też i żaden z nas nie chciał, żeby szedł nocą do Doli Jeruzalem.

„Banda liczykrupów – oświadczył Richie. – Mam w bagażniku mego chevroleta czterdziestkę, która poradzi sobie z Falmouth, z Cumberland, a nawet z Dolą Jeruzalem”.

Z trzaskiem zamknął za sobą drzwi baru. Przez długą chwilę panowała martwa cisza. W końcu prawie szeptem odezwał się Henry Lamont:

„Widzieliśmy Richiego Messinę po raz ostatni. Wielki Boże”.

I oto Lamont, który należał do Kościoła metodystów, osobiście się przeżegnał.

„Jak wytrzeźwieje, miną mu głupie pomysły – mruknął Tookey, ale głos miał pełen niepokoju. – Niebawem tu wróci i oświadczy, że był to tylko głupi żart”.

Ale Lamont miał rację. Nikt już nigdy nie spotkał Richiego. Jego żona oświadczyła policji stanowej, że jej zdaniem Richie wyjechał na Florydę i podjął pracę w agencji odzyskiwania mienia, ale w jej oczach można było wyczytać całą prawdę – była wystraszona, śmiertelnie wystraszona. Niedługo potem przeniosła się do Rhode Island. Zapewne myślała, że którejś nocy pojawi się u niej Richie. A ja nie jestem z tych, którzy zaprzeczyliby, że tak mogłoby się faktycznie stać.

Tak więc teraz, kiedy chowałem krzyżyk za koszulę, Tookey spoglądał na mnie, a ja na niego. Nigdy jeszcze nie czułem się tak stary i nigdy się tak bardzo nie bałem.

– Po prostu nie możemy ich tak zostawić, Booth – powtórzył Tookey.

– Tak, wiem o tym.

Przez długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, w końcu Tookey wyciągnął rękę i ścisnął mnie za ramię.

– Jesteś porządny facet, Booth.

Bardzo mnie tym pokrzepił. Kiedy człowiek przekroczy siedemdziesiątkę, inni zapominają już, że jest mężczyzną; zapominają, że w ogóle kiedykolwiek nim był.

Tookey podszedł do Lumleya i oświadczył:

– Mam scouta z napędem na cztery koła. Przywieziemy nim pana żonę i córkę.

– Na Boga, człowieku, dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? – Odwrócił się gwałtownie od okna i gniewnie popatrzył na Tookeya. – Dlaczego straciłeś całe dziesięć minut na bicie piany?

– Proszę pana, niech będzie pan łaskaw zamknąć dziób – odpowiedział bardzo cicho Tookey. – A jeśli będzie pan miał zamiar go otworzyć, proszę się najpierw głęboko zastanowić, kto wjechał w tę nieodśnieżoną drogę w środku pieprzonej burzy śnieżnej.

Facio chciał coś odpowiedzieć, ale natychmiast poskromił język. Tylko na policzki wystąpiły mu krwiste rumieńce.

Tookey wyprowadził z garażu scouta, a ja udałem się za bar i nalałem brandy do piersiówki. Podejrzewałem, że zanim ta noc się skończy, bardzo będziemy potrzebować mocnej gorzałki.

Śnieżyca w Maine – czy byliście kiedyś w samym jej sercu?

Śnieg sypał tak gęsty i drobny, że człowiek odnosił wrażenie, że trafił w środek burzy piaskowej. Lodowate drobiny z łoskotem grzmociły w karoserię. Nie można było używać

długich świateł, bo ostry blask odbijał się tysiącami refleksów od ściany śniegu i widoczność ograniczała się do trzech metrów. Przy światłach mijania widoczność powiększała się do pięciu. Ale śnieg dałoby się przeżyć. Nie podobał mi się wiatr, który potępieńczo zawodził, wzbijał białe tumany, tworzył z nich bezlik ulotnych kształtów i wył, napełniając świat nienawiścią, bólem i przerażeniem. W burzy śnieżnej wichura wieściła białą śmierć – a może coś gorszego niż sama śmierć. Tego dźwięku człowiek nie doświadczy, leżąc w ciepłym łóżku za zamkniętymi okiennicami i zatrzaśniętymi na głucho drzwiami. Ale kiedy siedzi w samochodzie… A my siedzieliśmy w samochodzie i jechaliśmy prosto do Doli Jeruzalem…

– Może byśmy się trochę pośpieszyli? – zapytał Lumley.

– Jak na człowieka, który przed chwilą o mało nie zamarzł, diablo się panu śpieszy, żeby się jednak wykończyć – odrzekłem.

Przesłał mi miażdżące, pełne oburzenia spojrzenie, ale nic nie powiedział. Posuwaliśmy się autostradą ze stałą prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Trudno uwierzyć, że Billy Larribee był tu ze swym pługiem godzinę

wcześniej – napadało kolejne sześć centymetrów śniegu i powoli tworzyły się nowe zaspy. Najsilniejsze podmuchy wiatru wstrząsały naszym scoutem. Przednie reflektory cięły śnieżną pustkę. Nie spotkaliśmy po drodze ani jednego samochodu.

Mniej więcej po dziesięciu minutach jazdy Lumley ciężko wciągnął powietrze w płuca.

– Hej, co to było?

Wskazał palcem coś za prawą boczną szybą; ja akurat patrzyłem przed siebie. Odrobinę za późno spojrzałem w bok. A i tak chyba dostrzegłem pochyloną sylwetkę, która znikała już w tyle, zapadała się w śnieg. Ale głowy bym nie dał.

– Co to było? – zapytałem. – Jeleń?

– Być może – odparł drżącym głosem. – Ale oczy… one lśniły czerwonym blaskiem. – Popatrzył na mnie. – Czy tak wyglądają oczy jelenia w nocy?

Jego głos brzmiał prawie błagalnie.

– Zapewne – odparłem, myśląc, że może tak jest naprawdę, jakkolwiek wiele razy, kiedy jechałem nocą samochodem, spotykałem jelenie przy szosie, ale ich oczy nigdy nie żarzyły się czerwonym blaskiem.

Tookey milczał.

Około piętnastu minut później dotarliśmy do miejsca, gdzie zaspa śnieżna po prawej stronie drogi nie była zbyt wysoka, ponieważ pługi śnieżne, mijając skrzyżowanie, zawsze unoszą lemiesze.

– To chyba tutaj skręciliśmy – oznajmił niepewnie Lumley. – Nie widzę wprawdzie znaku, ale…

– Tam jest – odparł nieswoim głosem Tookey. – O tam, widać czubek drogowskazu.

– No, właśnie – westchnął z wyraźną ulgą Lumley. – Niech pan posłucha, panie Tooklander. Przepraszam za moje zachowanie. Byłem zmarznięty, wystraszony i zrobiłem z siebie idiotę. Chciałbym wam obu podziękować…

– Podziękuje pan Boothowi i mnie wtedy, gdy będziemy już mieli pańską rodzinę w tym samochodzie – odparł Tookey.

Włączył napęd na cztery koła, wjechał w zaspę i zaczął przebijać się na Jointner Avenue, która biegła przez Dolę i wychodziła na trasę 295. Błotniki energicznie rozgarniały śnieg. Tylne koła próbowały wprawdzie trochę buksować, ale Tookey jeździł w kopnych śniegach chyba od zawsze. Pomanewrował samochodem, pomruczał coś pod nosem i w końcu pokonał śnieżny wał. Od czasu do czasu reflektory

wyławiały odciski opon pozostawione przez auto Lumleya, ale ślady zaraz niknęły. Pochylony do przodu Lumley bacznie wypatrywał swego wozu.

– Panie Lumley? – odezwał się Tookey w pewnej chwili.

– Słucham?

– Jeśli chodzi o Dolę Jeruzalem, ludzie z tych stron są trochę zabobonni – wyjaśnił Tookey spokojnie, ale widziałem, że twarz ma napiętą i co chwila nerwowo zerka to w lewo, to w prawo. – Jeśli pańska rodzina jest w samochodzie, to wszystko w porządku. Wpakujemy ją tutaj i wrócimy do mnie. A rano, kiedy zadymka ustanie, Billy z chęcią wyciągnie z zaspy pański samochód. Ale jeśli ich w samochodzie nie będzie…

– Nie będzie ich w samochodzie? – przerwał ostro Lumley. – Po co miałyby go opuszczać?

– Ale jeśli ich nie będzie w samochodzie – ciągnął Tookey, pomijając pytanie Lumleya – natychmiast wracamy do Falmouth Center i gwizdniemy na szeryfa. I tak nie będzie sensu wałęsać się po okolicy w czasie takiej burzy śnieżnej, prawda?

– Ależ one będą w samochodzie. Gdzie indziej mogłyby być?

– Jeszcze jedno, panie Lumley – wtrąciłem z kolei ja. – Jeśli kogokolwiek zobaczymy, nie odzywamy się do niego. Nawet gdyby ten ktoś odzywał się do nas. Rozumie pan?

– O jakie zabobony chodzi? – zapytał Lumley, cedząc powoli słowa.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć – a Bóg jeden wie, co bym powiedział – odezwał się Tookey:

– Jesteśmy na miejscu.

Przed sobą ujrzeliśmy tył wielkiego mercedesa. Cała maska zagrzebana była pod śniegiem, a wiatr nawiał kolejną zaspę, która bez reszty zasypała lewy bok. Ale tylne światła paliły się i widzieliśmy, że z rury wydechowej wydostają się spaliny.

– Benzyna się nie skończyła – zauważył Lumley.

Tookey zatrzymał scouta i zaciągnął ręczny hamulec.

– Niech pan pamięta, co powiedział Booth, panie Lumley – przestrzegł jeszcze raz.

– Jasne, jasne.

Ale myślami był już przy swojej żonie i córce. Nie mogłem go za to winić.

– Booth, jesteś gotowy? – zapytał Tookey i popatrzył na mnie.

W świetle tablicy rozdzielczej jego twarz była szara i posępna.

– Chyba tak.

Wysiedliśmy i natychmiast otoczyła nas wichura, bijąc w twarze tumanami śniegu. Przodem brnął skulony pod naporem wiatru Lumley, drogie palto wzdymało mu się na plecach niczym żagiel. Jego postać rzucała dwa cienie; jeden od reflektorów czołowych scouta, drugi od tylnych świateł mercedesa. Szedłem za Lumleyem, a pochód zamykał Tookey. Kiedy dotarliśmy do bagażnika auta Lumleya, Tookey chwycił mnie za łokieć.

– Niech on idzie – powiedział.

– Janey! Francie! – krzyknął Lumley. – Wszystko w porządku? – Przedarł się przez śnieg i otworzył drzwi od strony kierowcy. – Czy wszystko…

Umilkł. Podmuch wiatru wyrwał mu z dłoni klamkę i drzwi pojazdu otworzyły się na oścież.

– Wielki Boże! – odezwał się Tookey, przekrzykując ryk wiatru. – Chyba historia się powtórzyła.

Lumley odwrócił się w naszą stronę. Twarz miał wystraszoną, malowało się na niej osłupienie. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma. I nagle runął w naszym kierunku, poślizgnął się

i omal nie upadł. Zmiótł mnie dosłownie ze swojej drogi, jakbym nic nie ważył, i chwycił Tookeya za klapy kurtki.

– Skąd pan o tym wiedział? – ryknął. – Gdzie one się podziały? Co, do cholery ciężkiej, tutaj się dzieje?

Tookey strząsnął ręce Lumleya i odsunął go na bok. Obaj patrzyliśmy na mercedesa. W środku było ciepło, ale paliło się już niewielkie bursztynowe światełko oznaczające koniec paliwa. W wielkim samochodzie nie było nikogo. Na podłodze, przy siedzeniu obok kierowcy, poniewierała się Barbie. Na tylnym fotelu leżała rzucona dziecięca narciarska parka.

Tookey zakrył twarz dłońmi… i nagle zniknął mi z pola widzenia. To Lumley ponownie chwycił go za poły ubrania i cisnął w zaspę. Twarz miał bladą i dziką. Poruszał gwałtownie szczękami, jakby żuł jakieś gorzkie paskudztwo, ale nie przeżuł go jeszcze na tyle, żeby wypluć. Wyciągnął rękę po parkę.

– Kurtka Francie? – szepnął, po czym ryknął: – Kurtka Francie! – Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał obszyty futrem kaptur. Popatrzył na mnie tępym, nic nierozumiejącym wzrokiem. – Ona nie wyszłaby z samochodu bez

kurtki, panie Booth. No… No… przecież by zamarzła.

– Panie Lumley…

Minął mnie chwiejnie. W ręku trzymał parkę i darł się jak opętany:

– Francie! Janey! Gdzie jesteście? Gdzieee jeeesteście?

Podałem Tookeyowi dłoń i pomogłem mu wygrzebać się ze śniegu.

– Czy nic ci się nie…

– Nic mi nie jest – przerwał mi. – Booth, musimy go koniecznie stąd zabrać.

Poszliśmy za facetem najszybciej, jak potrafiliśmy, ale w śniegu, który miejscami sięgał nam do bioder, poruszaliśmy się bardzo niemrawo. Dopiero kiedy Lumley na chwilę przystanął, udało się nam z nim zrównać.

– Panie Lumley… – zaczął Tookey, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Tędy – powiedział. – Tędy poszły. Widzicie?

Popatrzyliśmy pod nogi. Staliśmy akurat w niewielkim zagłębieniu terenu i wiatr przelatywał nam nad głowami. Ujrzałem dwie linie śladów, dużych i małych, które stopniowo zawiewał śnieg. Jeszcze pięć minut i nie będzie ich widać.

Lumley ruszył tropem z pochyloną głową, ale Tookey chwycił go za kołnierz.

– Nie, panie Lumley, nie!

Lumley odwrócił się, popatrzył na niego dziko i zacisnął pięść. Zamachnął się… ale w twarzy Tookeya było coś takiego, że zawahał się i opuścił rękę. Przerzucał ogłupiałe spojrzenie to na mnie, to na Tookeya.

– Ona zamarznie – powiedział, jakby miał przed sobą dwójkę niemądrych dzieciaków. – Nie rozumiecie tego? Nie ma kurtki. To siedmioletnie dziecko.

– Mogą być wszędzie – odparł Tookey. – Nie może pan iść tym śladem. W najbliższej zaspie straci pan trop.

– Więc co mi radzicie? – wrzasnął wysokim, na granicy histerii głosem. – Jeśli wrócimy, żeby złożyć meldunek na policji, one zamarzną. Francie i moja żona!

– Zapewne już zamarzły – odparł Tookey, patrząc Lumleyowi prosto w oczy. – Zamarzły albo spotkało je coś o wiele gorszego.

– O czym pan gada? – szepnął Lumley. – Cholera jasna, niech pan powie wprost, o co chodzi! Proszę mi natychmiast powiedzieć!

– Panie Lumley, jest coś w Doli…

Ale to w końcu ja wypowiedziałem to słowo, którego nie spodziewałem się nigdy wymówić.

– Wampiry, panie Lumley. W Doli Jeruzalem mieszkają wampiry. Rozumiem, że trudno się panu z tą myślą oswoić…

Gapił się na mnie tak, jakby moja skóra stała się nagle zielona.

– Świry – szepnął. – Jesteście parą świrów.

Odwrócił się do nas plecami, złożył dłonie w trąbkę, przyłożył je do ust i ryknął:

– FRANCIE! JANEY!

Zaczął brnąć przez zaspy. Poły fantazyjnego płaszcza ocierały się o śnieg.

Popatrzyłem na Tookeya.

– Co robimy?

– Idziemy za nim – odparł. We włosach miał masę śniegu i rzeczywiście wyglądał trochę jak zbzikowany. – Nie mogę go tutaj zostawić, Booth. A ty?

– Też nie – powiedziałem. – Chyba nie.

Ruszyliśmy zatem ciężko jego śladem najszybciej, jak mogliśmy. Ale on coraz bardziej zostawiał nas w tyle. Był młody. Rył w śniegu ślad jak szarżujący bawół. Zaczął mi okrutnie dokuczać artretyzm. Patrząc pod nogi, szeptałem do siebie: Jeszcze troszeczkę, jeszcze troszeczkę, idź, cholera, idź…

Wpadłem na Tookeya, który rozstawiwszy szeroko nogi, przystanął nagle w zaspie. Zwiesił głowę, a dłonie przyciskał do serca.

– Tookey? – zapytałem. – Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odrzekł, opuszczając ręce. – Musimy go złapać, Booth. Może jak się zmęczy, to odzyska zdrowy rozsądek.

Sforsowaliśmy kolejne wzniesienie i w dole ujrzeliśmy Lumleya, który rozpaczliwie rozglądał się za dalszymi śladami. Biedaczysko, nie miał najmniejszych szans odnalezienia rodziny. W miejscu, gdzie stał, dął potężny wiatr, który już po pięciu minutach zacierał wszelki trop; a jego żona i córeczka przeszły tędy przed kilkoma godzinami.

Uniósł głowę i wrzasnął w ciemność:

– FRANCIE! JANEY! NA BOGA, ODEZWIJCIE SIĘ!

Poczułem ogromne współczucie, słysząc w jego głosie rozpacz i przerażenie. Odpowiedziało mu zawodzenie wiatru. Zupełnie jakby śmiał się i szydził z ludzkiego nieszczęścia: Zabrałem je, panie z New Jersey w drogim samochodzie i w palcie z wielbłądziej sierści. Zabrałem je i pozacierałem ślady, żeby z rana wyglądały jak dwie śliczne truskaweczki w zamrażalniku…

– Lumley! – wrzasnął Tookey, przekrzykując ryk wiatru. – Niech pan posłucha. Nie chodzi o wampiry i inne rzeczy, ale o pana. Może pan jeszcze zaszkodzić rodzinie! Musimy pojechać…

Tym razem Lumley doczekał się odpowiedzi. Z mroku, niczym dźwięk malutkiego srebrnego dzwoneczka, dobiegł cichy głos, na którego dźwięk serce zamieniło mi się w sopel lodu.

– Jerry… Jerry, to ty?

Słysząc ów głosik, Lumley odwrócił się na pięcie. I wtedy ona niczym duch wynurzyła się z ciemności zza niewielkiej kępy drzew.

Cóż, była to mieszkanka wielkiego miasta, ale tak pięknej kobiety jeszcze w życiu nie spotkałem. Poczułem ochotę, żeby do niej podejść i powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że jest już bezpieczna. Miała na sobie obszerny, zielony pulower, coś w rodzaju poncha, tak się to chyba nazywa. Wiatr rozwiewał poły, a jej ciemne włosy płynęły w dzikim wietrze niczym grudniowy potok, który niebawem zostanie ścięty mrozem.

Zapewne nawet postąpiłem krok w jej stronę, bo poczułem na ramieniu dłoń Tookeya – ciężką i gorącą. Ale jednak – jak mogę to inaczej nazwać? – tęskniłem za nią, tak mroczną i piękną w zielonym, rozwiewanym przez wiatr ponchu

furkoczącym wokół jej szyi i ramion; tak egzotyczną i dziwną jak prześliczna kobieta z poematu Waltera de la Mare.

– Janey! – wrzasnął Lumley. – Janey!

Jak oszalały zaczął brnąć przez śnieg w stronę żony. Wyciągnął do niej ramiona.

– Nie! – ryknął Tookey. – Lumley, nie!

Nawet nie spojrzał w naszą stronę… ale ona tak. Popatrzyła na nas z uśmiechem. Pod wpływem tego uśmiechu cała moja tęsknota, całe uwielbienie zamieniły się w zgrozę zimną jak mogiła, białą i milczącą niczym kości owinięte śmiertelnym całunem. Nawet z naszego miejsca dostrzegliśmy posępny czerwony blask jej oczu; już wilcze ślepia posiadają w sobie więcej człowieczeństwa, niż miały jej źrenice. W uśmiechu odsłoniła niezwykle długie kły. Nie była już człowiekiem. Była martwym stworem, który w jakiś osobliwy sposób powrócił do życia w mroku nocy rozdzieranym rykiem śnieżnej zawiei.

Tookey wykonał w jej stronę znak krzyża. Cofnęła się gwałtownie… i ponownie wyszczerzyła w naszą stronę kły. Byliśmy za daleko i zapewne zbyt przerażeni.

– Zatrzymaj go! – szepnąłem. – Nie możesz go zatrzymać?

– Za późno, Booth – odparł ponuro Tookey.

Lumley dotarł do żony. Sam już wyglądał jak upiór pokryty od stóp do głów śniegiem. Wyciągnął do niej ręce… i zaczął wrzeszczeć. Ten wrzask będzie mnie już prześladował do końca życia, wrzask, jaki wydać by mogło dziecko dręczone sennym koszmarem. Chciał się cofnąć, ale jej ramiona, długie, gołe i białe jak śnieg, otoczyły go, przyciągnęły. Ujrzałem, jak stwór unosi głowę, po czym szybko, mocno ją opuszcza…

– Booth! – powiedział ochryple Tookey. – Wynośmy się stąd!

Pobiegliśmy. Można powiedzieć, że gnaliśmy jak szczury, ale kto zachowałby się inaczej w taką noc? Biegliśmy po zostawionych przez nas śladach, przewracaliśmy się w kopny śnieg, wstawaliśmy, biegliśmy, ślizgaliśmy się i potykali. Zerkałem co chwila za siebie, żeby sprawdzić, czy kobieta nie podąża naszym śladem, szczerząc zęby i świdrując nas swymi pałającymi czerwienią oczyma.

Dotarliśmy do scouta i Tookey, oparłszy się o karoserię, przycisnął dłonie do piersi.

– Tookey – zacząłem śmiertelnie wystraszony. – Co…

– Pikawa – wyjaśnił. – Od ponad pięciu lat mi dokucza. Wsadź mnie do samochodu i zwiewajmy stąd gdzie pieprz rośnie.

Wziąłem go pod rękę i wlokłem za sobą, jakoś udało mi się go podnieść i wepchnąć do auta. Skórę miał żółtą jak wosk.

Truchtem obiegłem maskę i o mało nie wpadłem na małą dziewczynkę. Stała obok drzwi kierowcy, włosy miała splecione w dwa mysie warkoczyki i nosiła tylko cienką, żółtą sukienkę.

– Proszę pana – powiedziała wysokim, czystym głosem słodkim jak poranna mgła. – Czy może mi pan pomóc znaleźć mamusię? Poszła gdzieś, a mnie jest zimno…

– Kochanie – odparłem bez namysłu. – Lepiej wsiadaj do samochodu. Twoja matka…

Urwałem. Jeśli kiedykolwiek w życiu byłem bliski zemdlenia, to właśnie wtedy. Stała tam, ale stała na powierzchni kopnego śniegu; a wokół nie było najmniejszego śladu jej stóp.

Wtedy córeczka Lumleya, Francie, popatrzyła na mnie. Nie miała więcej niż siedem lat i już przez całą wieczność nocami miała mieć siedem lat. Jej twarzyczka była trupio blada, a otchłanne oczy srebrzystoczerwone. Poniżej szczęki ujrzałem dwie niewielkie dziurki o strasznie poszarpanych brzegach; jakby czyjaś nielitościwa

ręka powbijała tam gwoździe, a następnie je wyrwała.

Wyciągnęła do mnie ramiona i uśmiechnęła się.

– Niech pan mnie weźmie na ręce – powiedziała cicho. – Chcę pana pocałować. A później proszę zabrać mnie do mamusi.

Wcale tego nie chciałem, ale nie mogłem niczego innego uczynić. Pochyliłem się i wyciągnąłem ramiona. Zobaczyłem, że dziecko otwiera usta. W otoczeniu różowych warg zalśniły małe białe kły. Coś jasnego i srebrzystego pociekło jej po podbródku i z jakimś odległym, mętnym, tępym przerażeniem zrozumiałem, że dziewczynka ślini się pożądliwie.

Zarzuciła mi na szyję małe rączki, a ja myślałem: Cóż, może nie będzie to takie okropne, może nie będzie takie okropne, może wcale nie okaże się to aż tak odrażające. Nagle z samochodu wyleciał jakiś ciemny przedmiot i uderzył dziecko w klatkę piersiową. Uniósł się kłąb dziwnie śmierdzącego dymu, nastąpił gwałtowny rozbłysk światła i dziecko cofnęło się, sycząc. Drobna twarz stała się maską wyrażającą gniew, nienawiść i ból. Dziewczynka zaczęła się chwiać, po czym… zniknęła. W jednej chwili stała przede mną ludzka postać, a w następnej już

tylko pecyna śniegu z grubsza przypominająca kształtem człowieka. A potem wiatr rozwiał ją po polach.

– Booth! – szepnął Tookey. – Śpiesz się, na Boga!

Pośpieszyłem się. Ale miałem jeszcze czas, żeby podnieść przedmiot, którym cisnął z samochodu w małą dziewczynkę z piekła rodem. Była to Biblia jego matki.

. . .

Działo się to już jakiś czas temu. Postarzałem się, a przecież i wtedy nie byłem młodzieniaszkiem. Herb Tooklander umarł przed dwoma laty. Odszedł cicho i spokojnie, w nocy. Bar ciągle funkcjonuje; kupiło go pewne małżeństwo z Waterville; uroczy ludzie, którzy wspaniale prowadzą lokal. Ale bardzo rzadko tam wpadam. Po śmierci Tookeya nic nie jest już tam takie samo.

Sytuacja w Doli nie zmieniła się. Następnego dnia szeryf znalazł samochód Lumleya; bak był pusty, akumulator wyładowany. Naturalnie ani Tookey, ani ja nie zdradziliśmy się słowem. Jakiż to miałoby sens?

Ale od czasu do czasu nieustannie w tamtych okolicach znika autostopowicz lub turysta; znika przeważnie przy Schoolyard Hill lub w pobliżu cmentarza na Harmony Hill. Znajdują później tylko pełny plecak lub jakąś książkę zniszczoną przez deszcze i śniegi. Ale nigdy właściciela.

Ciągle prześladuje mnie w snach tamta noc. Nie tyle wspomnienie kobiety, co małej dziewczynki uśmiechającej się do mnie, kiedy chciałem wziąć ją na ręce. Po to, żeby mogła mnie pocałować. Ale jestem starym człowiekiem i niebawem nadejdzie czas, kiedy nie będą już mnie prześladować żadne sny.

Być może trafi się wam okazja podróżować po południowym Maine. To przepiękne okolice. Możecie wstąpić nawet na jednego do Tookey's Bar. Sympatyczne miejsce. Nowi właściciele zachowali starą nazwę. Kiedy już wypijecie drinka, radzę wam ruszyć niezwłocznie na północ. Ale wystrzegajcie się drogi prowadzącej do Doli Jeruzalem.

A już na pewno po zmroku.

Gdzieś tam czeka mała dziewczynka. I myślę, że czeka po to, żeby pocałować kogoś na dobranoc.

KOBIETA NA SALI

Pytanie brzmi: Czy może to zrobić?

Nie wie. Wie tylko, że ona czasami ssie te pastylki, marszcząc przy tym twarz od ich okropnego, pomarańczowego smaku, a z ust wydobywa się jej taki dźwięk, jakby gryzła patyczki po lodach. Ale to są inne pigułki… w kapsułkach z żelatyny. Na wieczku pudełka widnieje napis DARVON COMPLEX. Natknął się na nie w jej apteczce i obracając opakowanie w palcach, głęboko się zastanawia. Środek ten przepisał jej lekarz, zanim wróciła do szpitala. Coś, co pozwalało przetrwać noce. Apteczka pełna jest specyfików skrupulatnie poustawianych niczym leki w worku doktora voodoo. Czary-mary zachodniego świata. CZOPKI NA PRZECZYSZCZENIE. Nigdy w życiu nie używał czopków i sama myśl, żeby wtykać sobie w odbyt jakieś topiące się pod wpływem temperatury ciała przedmioty, sprawiała, że robiło mu się

niedobrze. Nie ma nic dostojnego we wkładaniu sobie w tyłek różnych rzeczy. MLECZKO MAGNEZJOWE PHILLIPSA, ANACIN – ŚRODEK NA BÓLE ARTRETYCZNE, PEPTO-BISMOL. Wiele innych. W trakcie przeglądania tych medykamentów potrafił odtworzyć cały przebieg jej choroby.

Ale te pastylki są inne. Zwykły darvon przypominają tylko tym, że są w kapsułkach z żelatyny. Są większe, jak te, które ich zmarły ojciec określał mianem drażetek. Na pudełeczku widnieje informacja: Asp. 350 gr, Darvon 100 gr. Czy jeśli poda jej te pastylki, będzie mogła je ssać? Czy można je ssać? Dom ciągle jeszcze jest pełen dźwięków: włączają się i wyłączają termostaty w zamrażarce i piecu, z zegara co pół godziny wyskakuje marudna kukułka. Myśli: po jej śmierci musimy z Kevinem rozparcelować całe gospodarstwo. Cóż, ona już odeszła. Wskazuje na to cały dom. Ona

. . .

leży w Centralnym Szpitalu Maine w Lewiston, w sali numer trzysta dwanaście. Poszła tam, kiedy ból stał się tak okropny, że nie była w stanie samodzielnie przejść do kuchni,

żeby zaparzyć kawę. Czasami, kiedy ją odwiedzał, krzyczała, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Jadąca do góry winda trzeszczy, a on łapie się na tym, że z uwagą studiuje niebieską plakietkę znamionową. Dowiaduje się z niej, że urządzenie jest bezpieczne bez względu na to, czy trzeszczy czy nie. Przebywa już tutaj blisko trzy tygodnie, a dzisiaj poddali ją zabiegowi zwanemu „kortotomią". Nie jest pewien, czy dobrze to słowo wymawia, ale brzmiało właśnie tak. Lekarz poinformował ją, że „kortotomia" polega na wkłuciu igły w kark, a następnie wprowadzeniu jej do mózgu. Poinformował też, że przypomina to wbicie szpilki w pomarańczę i przekłucie pestki. Kiedy igła natrafia na jakiś ośrodek bólu, to przesyłany zostaje sygnał radiowy, który wyłącza ten ośrodek. Jak wyjęcie z kontaktu wtyczki od telewizora. Wtedy rak, który umiejscowił się jej w brzuchu, przestanie być tak dokuczliwy i bolesny.

Na myśl o takim zabiegu czuje się jeszcze bardziej nieswój niż na myśl o rozpuszczającym się w odbycie czopku. Przypomina sobie książkę Michaela Crichtona zatytułowaną *Człowiek terminal*, w której w ludzkich głowach instaluje

się przewody. Zdaniem Crichtona, jest to coś obrzydliwego. Naprawdę.

Drzwi windy otwierają się na trzecim piętrze. Wychodzi na korytarz. Znajduje się w starym skrzydle szpitala. W powietrzu wisi słodkawy zapach trocin, jakimi na wiejskich targowiskach posypuje się wymiociny. Pastylki zostawił w skrytce w samochodzie. Przed wizytą nic nie pił.

Ściany są dwukolorowe – lamperie brązowe, a reszta murów i sufity białe. Przychodzi mu do głowy, że bardziej przygnębiającą kombinację barw może stanowić tylko zestaw czerni i różu. Szpitalne korytarze są niczym olbrzymie trakty. Uśmiechnął się na tę myśl, a jednocześnie robi mu się trochę niedobrze.

Zbiegające się przy windzie korytarze tworzą literę T. Na skrzyżowaniu znajduje się niewielka fontanna z wodą do picia. Zawsze przy niej przystaje, żeby opanować skołatane nerwy. Tu i ówdzie dostrzega szpitalne sprzęty; są jak dziwaczne zabawki. Chromowany wózek na odpady pooperacyjne ma gumowe koła. Wózek, którym wozi się pacjentów na „trakt operacyjny”, żeby poddać ich zabiegowi „kortotomii”. Jakieś duże koliste urządzenie, którego przeznaczenia nie zna. Przypomina trochę koła, jakie umieszcza

się w klatkach dla wiewiórek. Stojak na kroplówki, z którego zwieszają się dwie butelki; obraz żywcem wyjęty ze snu Salvadora Dali o cyckach. W połowie korytarza mieści się dyżurka pielęgniarek. Dobiegają stamtąd śmiech i zapach parzonej kawy.

Pochyla się nad fontanienką, wypija kilka łyków wody, a następnie powłócząc nogami, rusza do jej sali. Boi się widoku, jaki tam zastanie, i ma nadzieję, że ona będzie spała. Jeśli tak, nie ma zamiaru jej budzić.

Nad każdymi mijanymi drzwiami znajduje się niewielka kwadratowa lampka. Jeśli pacjent naciska odpowiedni guzik przy swoim łóżku, lampka zapala się czerwonym światłem. Po korytarzach snują się chorzy odziani w tanie szpitalne szlafroki, spod których wystają szpitalne koszule nocne. Szlafroki są w białe i niebieskie prążki, mają okrągłe kołnierze. Szpitalne koszule natomiast określa się tu mianem „johnny”. „Johnny” dobrze leżą na pacjentkach, ale mężczyźni wyglądają w nich jak w sukienkach do kolan. Chorzy płci męskiej noszą kapcie z imitacji skóry; kobiety wolą kapcie z wełnianymi kulkami na podbiciu. Jego matka też miała takie i mówiła o nich „muły”.

Pacjenci kojarzą się mu z postaciami z filmu grozy *Noc żywej śmierci*. Przemieszczają się powoli, zupełnie jakby ktoś poodkręcał przykrywki ich narządów, jak słoiki z majonezem, i lada chwila miały się z nich wylać płyny organiczne. Niektórzy poruszają się o laskach. Ten powolny chód, kiedy przechadzają się wzdłuż korytarza, jest przerażający, a zarazem pełen jakiegoś majestatu. Krok ludzi, którzy powoli zmierzają donikąd, chód studentów, którzy w togach i biretach wypełniają główną aulę wyższej uczelni.

Z tranzystorów dobiegają dźwięki ektoplazmatycznej muzyki. Paplanina. Słyszy zespół Black Oak Arkansas wykonujący piosenkę *Jim Dandy* (*Go Jim Dandy, Go Jim Dandy!* – pogania przechadzających się wolno po korytarzu pacjentów falset wykonawcy). Słychać leniwą dyskusję o Nixonie prowadzoną głosami narkomanów rozprawiających w oparach opium. Słychać polkę z francuskim tekstem – większość mieszkańców Lewiston ciągle jeszcze posługuje się tym językiem i okoliczna ludność kocha skoczne tańce i wiry prawie tak samo jak bijatyki w barach na Lisbon Street.

Zatrzymuje się przed drzwiami sali, w której leży jego matka, i

. . .

przez chwilę jest tak wystraszony, że żałuje, iż nie jest podpity. Wstydziłby się jednak stanąć przed matką w takim stanie, mimo że jest zbyt oszołomiona narkotykami i nafaszerowana elavilem, żeby to zauważyć. Elavil jest środkiem uspokajającym, który dają pacjentom chorym na raka, by nie przejmowali się zbytnio tym, że umierają.

Normalnie kupiłby po południu w Sonny's Market dwa sześciopuszkowe kartony black label. Później zasiadłby z dzieciakami przed telewizorem i oglądał popołudniowy program. Przy *Ulicy Sezamkowej* poszłyby trzy piwa, przy *Mister Rogers* dwa i jedno przy *Electric Company*. I jeszcze jedno przy kolacji.

Pozostałe pięć puszek zabrałby ze sobą i schował w bagażniku samochodu. Lewiston od Raymond dzieliło trzydzieści pięć kilometrów via droga 302 i 202, toteż i byłoby nieźle, gdyby po przybyciu na miejsce zostały tam jeszcze ze dwie. Pod pretekstem, że idzie do samochodu po rzeczy matki, kropnąłby sobie z pół puszki albo i całą, żeby utrwalić rausz.

Dzięki temu nadarzyłaby się okazja, by wysikać się przy samochodzie, co z jakiegoś

powodu było w tej sytuacji najlepsze. Zawsze zostawiał wóz na bocznym parkingu pobrużdżonym koleinami i pełnym ściętych listopadowym mrozem śmieci, a zimne nocne powietrze gwarantowało skurcz pełnego pęcherza. Sikanie w szpitalnej toalecie stanowiłoby apoteozę szpitalnych warunków: umieszczony obok rezerwuaru guzik przyzywający pielęgniarkę, chromowane uchwyty przykręcone do ściany pod kątem czterdziestu pięciu stopni oraz butelka z różowym płynem dezynfekcyjnym na umywalce. Coś okropnego. Okropnego.

Gdy jechał do domu, wcale nie chciał pić. Zostawił więc w lodówce sześć puszek. Nie zrobiłby tego

. . .

gdyby wiedział, że sytuacja okaże się tak fatalna. Pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, było: Ona nie jest pomarańczą, i zaraz później: Ona naprawdę umiera już bardzo szybko, zupełnie jakby śpieszyła się na pociąg czekający na nią tam, w nicości. Spoczywa wyciągnięta na łóżku. Nie rusza się i tylko jej oczy są żywe; porusza się jedynie coś wewnątrz

jej ciała. Kark i szyję ma posmarowane czymś pomarańczowym, zapewne merkurochromem, a poniżej lewego ucha w miejscu, gdzie jakiś pomrukujący pod nosem lekarz wprowadził radiową igłę, która usunęła sześćdziesiąt procent ośrodków bólu, widnieje opatrunek. Jej oczy wodzą za nim jak wszystkowidzące oczy Chrystusa na malowidle.

– Nie wiem, czy powinieneś mnie dzisiaj oglądać, Johnny. Nie jestem w najlepszym stanie. Może jutro będzie lepiej.

– Czy dzieje się coś niedobrego?

– Swędzenie. Wszystko mnie swędzi. Czy nogi mam razem?

Nie widzi, czy nogi ma razem. Po prostu pod pasiastym szpitalnym prześcieradłem uniesione są w kształcie odwróconej litery V. W sali panuje straszliwy upał. Sąsiednie łóżko jest puste. Myśli: Pacjenci przychodzą, pacjenci odchodzą i tylko moja mama ciągle tutaj jest. Jezu!

– Są razem, mamo.

– Czy możesz mi je wyprostować, Johnny? A później już lepiej sobie idź. Nigdy jeszcze nie byłam tak unieruchomiona. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu. Nos mnie swędzi. Czy to nie żałosne, kiedy człowieka swędzi nos, ale nie można się w niego podrapać?

Drapie ją w nos, a następnie chwyta przez prześcieradło łydki matki i prostuje chorej nogi. Chociaż nie ma szczególnie dużych dłoni, może swobodnie objąć oba jej piszczele. Ona jęczy. Po policzkach, w kierunku uszu, płyną jej łzy.

– Mamo?

– Możesz wyprostować mi nogi?

– Już to zrobiłem.

– Och, naprawdę? To dobrze. Chyba płaczę. Nie chciałam, żebyś widział, jak płaczę. Tak bardzo chcę z tego wyjść. Zgodziłabym się na wszysto, żeby z tego wyjść.

– Może chcesz zapalić?

– Ale najpierw przynieś mi szklankę wody. Język mam suchy jak wiór.

– Jasne.

Bierze szklankę z plastikową rurką, wychodzi z sali i minąwszy róg, kieruje się do fontanienki. Mija go sunący korytarzem grubas z owiniętą elastycznym bandażem nogą. Nie ma na sobie prążkowanego szlafroka i jest w samym „johnny”.

Napełnia szklankę i wraca do sali numer trzysta dwanaście. Matka przestała płakać. Wsuwa jej do ust rurkę tak, że chora przypomina mu wielbłąda, którego widział na odczycie z przezroczami. Ma wymizerowaną twarz.

Najżywsze wspomnienie o matce pochodzi z czasów, kiedy miał dwanaście lat. On i jego brat Kevin musieli przenieść się do Maine dlatego, że ich matka zmuszona była opiekować się swoimi rodzicami. Babcię powaliła ciężka choroba. Wysokie ciśnienie krwi sprawiło, że matka jego matki zgrzybiała, a na dodatek oślepła. Szczęśliwe osiemdziesiąte szóste urodziny. Dnie i noce spędzane w łóżku; niewidoma i zgrzybiała, z dużymi pieluchami i w majtkach z gumy, nie potrafiła już zapamiętać, co jadła na śniadanie, ale potrafiła wymienić wszystkich prezydentów do Ike'a włącznie. Tak więc trzy pokolenia żyły pod jednym dachem w domu, w którym tak niedawno znalazł pastylki (mimo że dziadkowie nie żyją od dawna), i kiedy miał dwanaście lat, powiedział coś przy śniadaniu; coś, nie pamięta już co, a jego matka, która płukała zasikane pieluchy swojej matki, żeby następnie wrzucić je do staroświeckiej pralki, odwróciła się i przyłożyła mu płukanym właśnie gałganem. Pierwsze uderzenie mokrej, ciężkiej szmaty trafiło w talerz z płatkami owsianymi, który potoczył się po stole niczym błękitna obręcz. Drugie trafiło go w plecy; nawet nie bolało, ale natychmiast przestał się wymądrzać. Mimo to kobieta, która leży teraz tak skurczona na łóżku,

tłukła go i tłukła mokrą pieluchą, mówiąc: „Trzymaj swoją wielką gębę zamkniętą na kłódkę, bo jak dotąd masz tylko gębę dużą, więc trzymaj ją tak długo zamkniętą, aż reszta ciebie wyrośnie równie duża jak ta twoja obrzydła gęba”. Każdemu podkreślonemu słowu towarzyszyło uderzenie pieluchą babci – PAC! – i wszystkie złośliwe słowa, które zamierzał powiedzieć, po prostu wywietrzały mu z pamięci. Na świecie nie ma miejsca na mądrzenie się i złośliwości. Odkrył to tamtego dnia i zapamiętał dobrze na całe życie. Świat nie jest tak doskonały, żeby liczyć się z odczuciami dwunastolatka, ale wystarczająco dobry, żeby oberwać po karku mokrą pieluchą babki. Dopiero w cztery lata później ponownie opanował sztukę prawienia złośliwości.

Krztusi się wodą i to go trochę trwoży, pomimo że planuje nafaszerować ją pigułkami. Ponownie pyta matkę, czy chce papierosa.

– Jeśli nie sprawi ci to kłopotu – mówi. – Ale potem już idź. Może jutro będę czuła się lepiej.

Z jednej z paczek porozrzucanych na stoliku wytrząsa koola. Zapala. Trzyma papierosa między pierwszym i drugim palcem prawej ręki, a ona wysuwa wargi, żeby chwycić w usta

końcówkę filtra. Prawie wcale się nie zaciąga. Po prostu pyka.

– Żyłam sześćdziesiąt lat po to, żeby mój syn mógł podać mi papierosa.

– To żaden problem.

Ponownie chwyta wargami koniec filtra i tak długo trzyma go w ustach, że zaniepokojony odwraca wzrok od papierosa i spogląda jej w twarz. Matka ma zamknięte oczy.

– Mamo?

Rozchyla niemrawo powieki.

– Johnny?

– Tu jestem.

– Jak długo już tu jesteś?

– Niedługo. Myślę, że lepiej będzie, jak już sobie pójdę. A ty śpij.

– Hnnnnn.

Dusi papierosa w popielniczce i wymyka się z sali, myśląc: Chciałbym porozmawiać z lekarzem. Cholera jasna, chciałbym porozmawiać z lekarzem, który robił jej ten zabieg.

Gdy wchodzi do windy, myśli, że po osiągnięciu pewnego stopnia biegłości zawodowej słowo „lekarz” staje się synonimem słowa „człowiek”, jakby było to oczywiste i powszechnie akceptowane, że lekarze muszą

być okrutni, aby w ten sposób osiągnąć szczególny stopień człowieczeństwa. Ale

. . .

– Nie sądzę, żeby to jeszcze długo potrwało – mówi później, tego samego wieczoru, do swego brata. Kevin mieszka w Andover, ponad sto kilometrów na zachód od Lewiston. Do szpitala wpada najwyżej dwa razy w tygodniu.

– Ale już tak nie cierpi? – pyta Kev.

– Mówi, że wszystko ją swędzi.

W kieszeni swetra trzyma pigułki. Jego żona beztrosko śpi. Wyciąga ów łup skradziony z pustego domu ich matki, w którym mieszkali niegdyś z dziadkami. Podczas rozmowy obraca nieustannie w palcach pudełko jak króliczą łapkę na szczęście.

– Cóż, w każdym razie jest jej lepiej.

W pojęciu Kevina wszystko zmierza ku lepszemu; zupełnie jakby życie toczyło się w kierunku jakiegoś wzniosłego, wspaniałego szczytu. Jego młodszemu bratu obce jest takie widzenie świata.

– Jest sparaliżowana.

– Czy w tym stadium ma to jakiekolwiek znaczenie?

– Oczywiście, że ma! – wybucha, myśląc o jej nogach pod pasiastym prześcieradłem.

– John, ona umiera.

– Ale jeszcze nie umarła.

Tak naprawdę to właśnie najbardziej go przeraża. Będą tak sobie paplać, przysparzając tylko zysku kompanii telefonicznej, ale w tym tkwi sedno sprawy. Jeszcze nie umarła. Po prostu leży w sali szpitalnej, z bransoletką szpitalną na ręku i słucha płynących z korytarza nierealnych dźwięków z radia. No i

. . .

– Walczy teraz z czasem – mówi lekarz.

Jest to potężny mężczyzna z rudawoblond brodą. Ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bary atlety. Kiedy ona zaczęła drzemać, taktownie opuścili salę.

– Widzi pan – ciągnie – w zabiegach takich jak krototomia uszkodzenie motoryczne jest nie do uniknięcia. Pańska matka zachowała pewną władzę w lewej ręce. Można się spodziewać, że po dwóch lub najdalej czterech tygodniach odzyska władzę również w prawej.

– Ale czy będzie chodzić?

Lekarz w zadumie patrzy na wyłożony korkiem sufit korytarza. Razem z głową wędruje w górę gęsta broda, odsłaniając kołnierzyk koszuli w szkocką kratę. Z jakiegoś idiotycznego względu Johnny myśli o Algernonie Swinburnie. Dlaczego – sam nie wie. Lekarz w każdym szczególe stanowi przeciwieństwo nieszczęsnego Swinburne'a.

– Nie sądzę. Za długo już leży.

– A więc już do końca życia będzie przykuta do łóżka?

– Tak, raczej tak.

Czuje dla lekarza rodzaj podziwu; a przecież początkowo sądził, że go nienawidzi. Refleksji tej towarzyszy niesmak: ma podziwiać człowieka tylko za to, że ten mówi mu szczerą prawdę?

– Jak długo może jeszcze żyć?

– Trudno powiedzieć. – (To już dużo lepsze.) – Guz blokuje jedną nerkę. Druga funkcjonuje bez zarzutu. Kiedy zablokuje również zdrową, pańska matka zaśnie.

– Śpiączka uremiczna?

– Tak – mówi dużo ostrożniej lekarz.

„Uremia" to termin technopatologiczny, używany głównie przez doktorów medycyny i egzaminatorów. Ale Johnny zna to określenie, ponieważ na tę przypadłość umarła jego babka –

z tym tylko, że u niej nie wystąpił dodatkowo rak. Jej nerki zostały zablokowane i po prostu umarła, kiedy nastąpił wewnętrzny wylew moczu do klatki piersiowej. Umarła w łóżku, w domu, w porze kolacji. Johnny pierwszy pojął, że tym razem babcia umarła naprawdę, a nie tylko z otwartymi ustami znajduje się w stanie śpiączki, jak to bywa u starych ludzi. Z oczu spływały jej dwie niewielkie łzy, a rozwarte bezzębne usta przypominały wydrążonego pomidora, zapewne do sałatki z jajek, którego gospodyni odłożyła na półkę i zapomniała o nim na kilka dni. Przyłożył babce do ust okrągłe lusterko z puderniczki i trzymał je tak przez minutę. Kiedy szkło nie zaszło parą zasłaniającą te przypominające pomidor usta, zawołał matkę. Tamto było w równym stopniu normalne, jak obecna sytuacja jest nienormalna.

– Ale ona mówi, że ciągle ma bóle. I wszystko ją swędzi.

Doktor poważnie kiwa głową jak Victor DeGroot w filmach rysunkowych o starym psychiatrze.

– Ona tylko wyobraża sobie ból. Tym niemniej jest to rzecz jak najbardziej realna. Realna dla niej. Dlatego tak istotny jest czynnik czasu. Pańska matka nie potrafi już liczyć go

w kategoriach sekund, minut czy godzin. Jednostki te musi przerestrukturyzować na dni, tygodnie i miesiące.

Dociera do niego to, o czym ten krzepki człowiek mówi, i wzdryga się. W uszach dzwonią mu dzwoneczki. Nie jest w stanie dłużej rozmawiać z lekarzem. To człowiek techniczny. Rozprawia gładko o czasie, jakby chwytał jego koncepcję niczym kij od wędki. Może zresztą tak jest.

– Czy może pan coś jeszcze dla niej zrobić?

– Niewiele.

Lekarz przez cały czas zachowuje pogodę ducha, zupełnie jakby wszystko to było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Po prostu, w pierwszym rzędzie „nie daje złudnych nadziei”.

– Czy jej aktualny stan może być gorszy od śpiączki?

– Naturalnie. Nie potrafimy jeszcze rejestrować tych rzeczy z bezwzględną dokładnością. To tak, jakby miał pan żywego rekina w ciele. Może puchnąć.

– Puchnąć?

– Jej brzuch może się wzdymać i opadać, po czym znów się wzdymać. Ale dlaczego rozważać

przypadki aż tak skrajne? Sądzę, że możemy z czystym sumieniem powiedzieć

. . .

że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. A jeśli nie?

A jeśli mnie złapią? Nie chcę stanąć przed sądem za to, że zabiłem, żeby skrócić mękę śmiertelnie chorej. Nawet gdybym zdołał się jakoś wybronić. Nie chcę niszczyć samego siebie. Myśli o olbrzymich nagłówkach w gazetach, krzyczących: MATKOBÓJSTWO i krzywi się.

Siedząc na parkingu, nieustannie obraca w palcach pudełko. DARVON COMPLEX. Ciągle nurtuje go pytanie: Czy może to zrobić? Czy powinien? Powiedziała: Tak bardzo chcę z tego wyjść. Zgodziłabym się na wszystko, żeby z tego wyjść. Kevin mówi, że wyszykuje dla niej w swoim domu pokój, żeby nie musiała umierać w szpitalu. Szpital chce się jej pozbyć. Przepisano jej nowe tabletki, po których zaczęła bredzić i majaczyć. Stało się to czwartego dnia po kortotomii. Chcieliby, żeby przebywała gdzie indziej, ponieważ nikt jeszcze nie opracował w pełni bezpiecznej techniki „rakotomii”. A jeśli

zaczęliby usuwać zaatakowane przez nowotwór organy, pozostałyby z niej tylko głowa i nogi.

Zastanawiał się, jak teraz jego matka odbiera czas; chyba jak coś, co wyrywa się spod kontroli – jak koszyk pełen motków wełny, które wysypały się na podłogę, a wśród nich buszuje swawolny kocur. Dni w sali numer trzysta dwanaście. Noc w sali numer trzysta dwanaście. Przeciągnięto przewód od gniazdka z przyciskiem wzywającym pielęgniarkę i przywiązano go do jej lewego kciuka, ponieważ samodzielnie nie potrafi wyciągnąć ręki do guzika, kiedy uważa, że potrzebuje basenu.

Tak czy owak, nie jest to najistotniejsze, bo i tak przecież nie czuje potrzeb fizjologicznych. Środkowe partie jej ciała równie dobrze mogłyby być wypchane trocinami. Wypróżnia się do łóżka, oddaje do łóżka mocz i orientuje się wyłącznie po zapachu. Schudła z sześćdziesięciu ośmiu kilogramów do czterdziestu trzech, a mięśnie tak jej zwiotczały, że całe ciało jest jakby przymocowane do głowy niczym workowata sukienka do głowy kukiełki. Czy zrobiłoby to różnicę Kevowi? Czy może ją zamordować? Wie, że byłoby to morderstwo. Najgorszy rodzaj morderstwa, matkobójstwo. Jak ów embrion z wczesnego opowiadania horror

Raya Bradbury’ego zdecydowany pobić przeciwnika własną bronią i dokonać aborcji na zwierzęciu, które dało mu życie. Zapewne i tak to jego wina. Jest przecież jedynym dzieckiem, które nosiła pod sercem. Jego brat Kevin został adoptowany, kiedy lekarz z uśmiechem oświadczył matce, że nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci. No i naturalnie pojawił się jej w macicy rak, niczym drugie dziecko, jego mroczny bliźniak. Jego życie i jej śmierć wzięły początek z tego samego miejsca. Czyż nie uczynił tego samego, co w tej chwili robi ten drugi w tak powolny i niezdarny sposób?

Dostarczał jej aspirynę, która miała koić wyimaginowany ból. Tabletki trzymała w pudełku po sacharynie w szufladzie szpitalnej szafki, obok kart zdrowia i okularów do czytania, których już nigdy nie będzie potrzebować. Odebrali jej sztuczną szczękę w obawie, że może się nią udławić, więc teraz ssie aspirynę tak długo, aż jej język lekko bieleje.

Z pewnością może podać jej pigułki; trzy lub cztery wystarczyłyby w zupełności. Tysiąc czterysta granów aspiryny i czterysta granów darvonu to aż nadto dla kobiety, która w ciągu pięciu miesięcy straciła trzydzieści trzy procent ciężaru swego ciała.

Nikt nie wie, że ma te tabletki; ani żona, ani Kevin. Przychodzi mu do głowy myśl, że jeśli położą kogoś na drugim łóżku w sali numer trzysta dwanaście, cały problem przestanie istnieć samoistnie. Wycofa się. Tak naprawdę zastanawia się, czy nie byłoby to rozwiązanie najlepsze. Jeśli na salę dadzą jeszcze jakąś kobietę, nie będzie miał wyboru i potraktuje wszystko jak majak senny, który nawiedził go w Providence. Myśli

. . .

– Wyglądasz dziś lepiej.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jak się czujesz?

– Och, nie najlepiej. Nie najlepiej.

– Pokaż, jak ruszasz prawą ręką.

Unosi ją nad kołdrę. Podnosi dłoń z rozwartymi palcami do twarzy, po czym ręka opada. Pac. Uśmiecha się, a ona oddaje mu uśmiech.

– Czy był dzisiaj lekarz? – pyta.

– Tak, był. On jest dla mnie bardzo dobry. Odwiedza mnie codziennie. Johnny, możesz mi dać trochę wody?

Wsuwa jej w usta rurkę.

– Cieszę się, że tak często do mnie przychodzisz. Jesteś dobrym synkiem.

Znów zaczyna płakać. Sąsiednie łóżko jest wolne; oskarżycielsko wolne. Drzwi od sali są do połowy otwarte i od czasu do czasu migają w nich odziane w szlafroki w białe i niebieskie prążki postacie. Wyjmuje matce delikatnie rurkę z ust, myśląc idiotycznie: czy szklanka jest do połowy pełna, czy do połowy pusta?

– A jak twoja lewa ręka?

– Och, doskonale.

– Zobaczmy.

Unosi rękę. Lewą matka zawsze miała sprawniejszą i dlatego zapewne tak szybko wróciła do formy po straszliwym, niszczącym zabiegu krototomii. Zgina palce. Prostuje. Pstryka nimi. Ręka opada na kołdrę. Pac. Skarży się:

– Ale nie mam w niej czucia.

– Pozwól, że coś sprawdzę.

Podchodzi do szafy, otwiera ją i wyciąga torebkę zza płaszcza, w którym tu przyszła. Matka trzyma ją tam, ponieważ paranoicznie boi się złodziei; słyszała o salowych, które nie wiadomo kiedy kradną wszystko, co wpada im w ręce, a ma jakąkolwiek wartość. Od kobiety, z którą leżała na sali, a która wyszła już do domu, słyszała, że pewna pani w nowym skrzydle

szpitala straciła pięćset dolarów schowanych w bucie. Ostatnio ma obsesję na punkcie wielu rzeczy; raz nawet oświadczyła, że od czasu do czasu, późno w nocy, pod jej łóżko wsuwa się jakiś mężczyzna. Część tych historii jest wytworem halucynacji spowodowanych narkotykami, jakimi ją szpikują. Choćby amfetamina, którą i on czasami przyjmował, kiedy był jeszcze na studiach. Jest w szafce z narkotykami tuż za stanowiskiem pielęgniarki; w górę i w dół, falowanie, wizje, śmierć. Litościwa śmierć otulająca niczym słodki, czarny całun. Cuda nowoczesnej nauki.

Wraca z torebką do łóżka i otwiera ją.

– Czy będziesz umiała z niej coś wyjąć?

– Och, Johnny, nie wiem…

– Spróbuj – kusi. – Zrób to dla mnie.

Jej lewa ręka unosi się z kołdry niczym uszkodzony helikopter. Krąży w powietrzu, wsuwa się do torebki, po czym wynurza się z niej ze zmiętą chusteczką higieniczną.

– Wspaniale! Wspaniale! – przyklaskuje.

Ale ona odwraca twarz.

– W zeszłym roku mogłam tymi rękami pchać dwa wózki pełne brudnych naczyń.

Jeśli w ogóle ma to zrobić, musi to zrobić teraz. W sali jest gorąco, ale krople potu na jego

czole są lodowato zimne. Myśli: Jeśli nie poprosi o aspirynę, nie zrobię tego. Nie dzisiaj. Lecz wie, że jeśli nie zrobi tego dzisiaj, nie zrobi nigdy.

Ona uchyla do połowy powieki i mówi chytrze:

– Johnny, czy mógłbyś mi dać po cichutku kilka tych moich tabletek?

Zawsze prosi w ten sposób. Nie wolno jej zażywać innych pigułek poza oficjalnie przepisanymi, ponieważ straciła tyle na wadze, że osiągnęła stan, który jego koledzy ze studiów zażywający narkotyki określali mianem „na krawędzi”. Odporność organizmu doszła do punktu krytycznego. O jedną pigułkę za dużo i człowiek przekracza krawędź. Mówi się, że to właśnie przytrafiło się Marilyn Monroe.

– Przyniosłem z domu trochę pigułek.

– Naprawdę?

– Przeciwbólowe.

Wyciąga w jej stronę pudełko. Może czytać tylko z bardzo bliska. Marszczy brwi.

– Zażywałam kiedyś darvon. Ale niewiele mi pomagał.

– Ten jest mocniejszy.

Przenosi wzrok z pudełka na niego i pyta leniwie:

– Naprawdę?

Potrafi się tylko głupawo uśmiechnąć. Nie może wykrztusić słowa. Tak samo było wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu skłamał. Pewnego razu miał przygodę na tylnym siedzeniu samochodu kumpla, a kiedy matka spytała go, czy dobrze się bawił, potrafił się tylko tak głupkowato uśmiechnąć.

– Czy mogę je ssać?

– Nie wiem. Spróbuj.

– W porządku. Ale uważaj, żeby nikt nie zobaczył.

Otwiera pudełko i odkręca wieczko. Wyciąga watę. Czy poradzi sobie, dysponując jedynie tym uszkodzonym helikopterem, jaki stanowi jej lewa ręka? Czy nikt się nie zorientuje? Nie wie. Może nie. Może w ogóle ich to nie obchodzi.

Wysypuje na dłoń sześć tabletek. Spogląda na obserwującą go matkę. O wiele za dużo; nawet ona o tym musi wiedzieć. Jeśli zwróci mu na to uwagę, po prostu wsypie je z powrotem do opakowania i poda wyłącznie środek na bóle reumatyczne.

Przed drzwiami przechodzi pielęgniarka, a on natychmiast zaciska dłoń, w której trzyma szare kapsułki. Ale siostra nie zatrzymuje się, żeby zobaczyć, jak sobie radzi „dzieciak kortotomii”.

Matka milczy. Patrzy tylko na tabletki, jakby były to zwykłe pigułki (jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak zwykłe pigułki). Ale z drugiej strony nigdy nie lubiła ceremonii; gdyby miała własny okręt, też nie rozbiłaby o jego burtę butelki szampana.

– Proszę – mówi zupełnie normalnym głosem i wsuwa jej do ust pierwszą tabletkę.

Ssie ją powoli, aż żelatynowa otoczka się rozpuszcza. Krzywi się.

– Niedobre? Jeśli…

– Nie, nie, w porządku.

Daje następną. I następną. Ssie je z takim samym skupieniem. Podaje czwartą. Matka uśmiecha się, a on z przerażeniem konstatuje, że ona ma żółty język. Zapewne gdyby uderzył ją w żołądek, wszystko by zwróciła. Ale nie może tego zrobić. Nigdy nie uderzyłby matki.

– Sprawdź, czy mam nogi razem.

– Dobrze, ale najpierw to.

Daje piątą. I szóstą. Następnie sprawdza, czy nogi matki są razem. Są.

– Myślę, że teraz się trochę zdrzemnę – mówi.

– Świetnie. A ja pójdę się czegoś napić.

– Zawsze byłeś dobrym synkiem, Johnny.

Wsuwa buteleczkę do pudełka, a pudełko do torebki. Plastikowe wieczko zostawia na łóżku.

Kładzie torebkę na prześcieradle obok ręki matki. Myśli: Prosiła o torebkę. Tuż przed wyjściem otworzyłem ją i położyłem na łóżku obok niej. Oświadczyła, że jeśli będzie chciała coś z niej wyjąć, poradzi sobie. Powiedziała też, że później poprosi siostrę, żeby schowała torebkę do szafy.

Wychodzi z sali napić się wody. Nad fontanienką wisi lustro. Wysuwa język i obserwuje jego odbicie.

Kiedy wraca na salę, matka śpi ze splecionymi rękami. Na jej dłoniach występują grube, kręte żyły. Całuje śpiącą. Drgają jej gałki oczne, ale nie rozchyla powiek.

Tak.

Nie dostrzega żadnych zmian – ani na lepsze, ani na gorsze.

Wychodzi z sali, ale wtedy błyska mu w głowie pewna myśl. Zawraca do łóżka, wyciąga fiolkę z pudełka, dokładnie wyciera ją o koszulę, a następnie przyciska do naczynia wiotkie opuszki palców lewej ręki matki. Potem chowa buteleczkę do torebki i nie oglądając się za siebie, szybko opuszcza szpitalną salę.

Jedzie do domu i czeka na telefon. Żałuje, że nie pocałował matki jeszcze raz. Czekając, ogląda telewizję i pije dużo wody.

[1] Tekst pochodzi z roku 1977, kiedy Stephen King miał trzydzieści jeden lat.

[2] E.R. Burroughs, *Ląd zapomniany przez czas*, Warszawa 1993, Wydawnictwo ALFA, tłum. Jacek Manicki.

[3] Dosłownie: Kąty Kaznodziei.

[4] Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Warszawa 1975, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Ewangelia św. Mateusza 5, Błogosławieństwa 3.

[5] Dosłownie: Dom Kaznodziei.

[6] W oryginale „graveyard shift” – cmentarna szychta; żargonowa nazwa nocnej zmiany w kopalni lub zakładzie przemysłowym.

[7] Purple Heart – medal nadawany wszystkim wojskowym rannym w akcji.

[8] Miasto w stanie Maryland znane z ogromnego kompleksu szpitali i instytucji medycznych.

[9] Trzecia Księga Mojżeszowa.

[10] Wszystkie cytaty z Trzeciej Księgi Mojżeszowej.

[11] Bible Belt – potoczna nazwa bardzo purytańskich rejonów Stanów Zjednoczonych. Tereny te leżą w południowych i centralnych stanach USA.

[12] Reklama tego kremu polegała na takim właśnie ustawieniu tablic przy drogach i autostradach.

[13] Flip Wilson – popularny amerykański komik telewizyjny z lat sześćdziesiątych, który często wykpiwał księży i kaznodziejów.

[14] *Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Warszawa 1975, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne. Księga Joba, 38, 1, 2, 4.

[15] Ike – Dwight David Eisenhower.

[16] Tookey's Rest – gra słów. *Rest* może znaczyć zarówno odpoczynek, schronienie, jak również wieczny spoczynek.